

Kasia
Bulicz-Kasprzak



*Zielone
pastwiska*

DZIEWIĘĆ RZECZY POWINNO BYĆ TAJEMNICĄ: BOGACTWO,
KLÓTNIE, RODZINA, RELIGIA, ZDROWIE, ROMANSE,
PREZENTY, HONOR I HAŃBA.

Prószyński i S-ka



Jakże piękne by były lekcje historii, gdyby w tak wyśmienity sposób opowiadano o Polsce i Ukrainie lat 1913–1946. Jesteśmy świadkami przemian gospodarczych i społecznych wsi tamtego okresu. Nie wymyślonych, ale do bólu autentycznych. Na naszych oczach rosną kolejne pokolenia Hubów, Dołęgów, Mazurów, Połajów czy Lipczewskich. Pojawiają się dzieci, umierają seniorzy, poznajemy socjalizm, bolszewizm, czasy, gdy Ukraińiec i Polak zaczynają być wrogami, mimo że mieszkają obok siebie i tworzą mieszane rodziny. Podczas lektury stałam się częścią społeczności tej powieści. Pani Kasia używa wiejskiej gwary, raczy nas tradycyjnymi przepisami, wyjaśnia pochodzenie roślin. Tak jak w poprzednich częściach obserwujemy życie codzienne wsi, pracę w gospodarstwie, święta i tradycje. Pięknie opisane są zmiany pór roku, czuje się oddech ziemi tamtych terenów. Widać, że książka powstała dzięki przodkom autorki i na ich wspomnieniach bazuje. Ostatnia kropka w książce wywołuje tęsknotę za bohaterami, uświadomiłam sobie, że od trzech tomów jestem z nimi zżyta i już tęsknym wzrokiem wypatruję ciągu dalszego.

Westa Kowalska,
bibliotekarka w Miejskiej Bibliotece Publicznej
im. Stanisława Staszica w Lubinie

To porywająca, a zarazem intrygująca opowieść, której akcja rozgrywa się w pierwszej połowie XX wieku, na tle ważnych dla Polski wydarzeń historycznych. Odnajdujemy tu autentyczne losy mieszkańców Tyczyna, malowniczej wioski położonej na Zamojszczyźnie. Autorka w sposób wyjątkowo obrazowy opisuje ich codzienne życie, które toczy się własnym rytmem, a zakres obowiązków wyznaczają pory roku. Życie, wypełnione ciężką pracą i niepokojem o to, co wydarzy się w niedalekiej przyszłości. Czytelnik ma okazję poznać panujące na wsi obyczaje i zaobserwować relacje rodzinne. Lektura wzbudza wiele emocji, a przede wszystkim sprawia, że trudno się oderwać od czytania.

Mogę śmiało powiedzieć, że *Saga wiejska* Kasi Bulicz-Kasprzak to książkowy bestseller, bardzo chętnie wypożyczany przez czytelników naszej biblioteki. Z wielką niecierpliwością czekają oni na kolejny tom cyklu, czyli

Zielone pastwiska.

Marzena Gardiasz, bibliotekarka z Krynic

Z przyjemnością przeczytałem *Sagę wiejską* Kasi Bulicz-Kasprzak. Powieści napisane wspaniale, barwne i chwytające za serce. Losy rodzin Lipczewskich i Połajów śledzimy od roku 1904 aż do 1938. To trudne czasy: wojna, odzyskanie niepodległości, kryzysy dwudziestolecia, a na tle tych wydarzeń życie w Tynczynie zostało przedstawione bardzo pięknie.

Z przekonaniem będę polecać tę sagę swoim bliskim, nauczycielom i rodzicom, a przede wszystkim uczniom. To cenna lekcja historii.

Tomasz Oleszczuk,
nauczyciel bibliotekarz V Liceum
Ogólnokształcącego im. Jana III Sobieskiego w Białymstoku

Kasia
Bulicz-Kasprzak



*Zielone
pastwiska*



Prószyński i S-ka



Copyright © Katarzyna Bulicz-Kasprzak 2021

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Joanna Czogala/Arcangel.com

Redaktor prowadząca
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8234-896-5

Warszawa 2021

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla Ani

*Już zaszedł nad dolinę
Złocisty słońca krąg:
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.*

*Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gorącym blaskiem zórz
Cicha poezja światów
W głębi ludzkich spływa dusz.*

Adam Asnyk, Letni wieczór

Bełżec, 1946

Lokomotywa wtoczyła się na peron. Wydmuchnęła ze stalowych nozdrzy kłęby pary, sapnęła ciężko, coś w niej zazgrzytało i cała ta kupa żelastwa nagle stanęła w miejscu. Stłoczeni w wagonach ludzie z trudem łapali równowagę.

– A bodajby cię! – krzyknął ktoś, ktoś inny zaklął. W sąsiednim wagonie zapłakało dziecko. Płakało za każdym razem, gdy pociąg się zatrzymywał.

Jedna rzecz pewna, kolejarzem nie będzie, pomyślał. I uśmiechnął się, bo po raz pierwszy od lat trafiła mu się zabawna myśl. Może nawet pierwszy raz w życiu? Może, bo co też to było za życie. Splunąłby, gdyby nie to, że jedna z kobiet, z którą dzielił wagon, patrzyła na niego podejrzliwie.

Miała coś do niego, to pewne. Już gdy ładowali się do pociągu w Tłustem, w jej wzroku dostrzegł niechęć. Przez całą drogę szeptała do męża, a gdy które z dzieci zbyt blisko się zbliżyło, odciągała je, tak jak kwoka odciąga kurczęta z zasięgu łap kocura.

Udawał, że tego nie widzi, ukrywał się przed nią, a gdy musiał przejść obok, uśmiechał się jak najżyczliwiej. Z nadzieją, że to wystarczy, modlił się o jak najrychlejsze zakończenie ich wspólnej podróży.

– Stacja Bełżec! – ryknął zawiadowca.

Zgrzytnęły rozsuwane drzwi, załomotało uradowane serce. Przepchnął się przez ciżbę i wyskoczył na peron.

Człowiek, którym był osiem lat temu, z zadziwieniem patrzyłby na budynek stacji, tak inny od wszystkiego, co znał. Człowiek, którym był teraz, widział bardzo wiele i nic już go nie mogło zadziwić.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kapciuch z tytoniem, skręcił papierosa,

zapalił. Rozglądał się niby obojętnie, niby bez ciekawości, podobnie jak inni pasażerowie.

Na peronie zjawili się urzędnicy repatriacyjni. Podeszła do nich paniusia, ta, która tak wrogo na niego patrzyła przez cały czas.

– To tu teraz będzie się zaczynała Polska? – spytała.

– Ona to się tu, proszę pani, będzie kończyła.

Powoli, noga za nogą, oddalił się od nich. Bał się, że kobieta poprosi urzędników, by sprawdzili jego dokumenty. Odruchowo dotknął kieszeni, w której je trzymał. Solidne, nie do odróżnienia od prawdziwych. Niech tam, niech sprawdzają, pomyślał. Cóż mogą mi zarzucić? Tyle tylko, że moja twarz nie spodobała się jakiejś przewrażliwionej paniusi. Z drugiej jednak strony mógł tu się znaleźć, nawet między tymi urzędnikami, ktoś, kto by go rozpoznał. Tego się bał.

Rozsądniej byłoby nigdy nie wracać, ale tego zrobić nie mógł. Nie mógł jej zostawić.

Zgasił papierosa, niedopałek wrzucił do kapciucha.

Na peronie, jeszcze niedawno pustym i spokojnym, powstało zamieszanie. Jedni chcieli wysiadać, dość już mając tej podróży, dni spędzanych w wagonach bydłych, w których podróżowali z tym, co im pozwolono zabrać – krową, koniem, kurami, piernatami. Inni chcieli jechać dalej. Mężczyźni rozprawiali między sobą, co też im robić, osiedlać się tu czy lepszego miejsca szukać.

Nie ma lepszego, chciałby im powiedzieć. Ziemia tu czarna, dobra, ludziom oddana. Kocha jak matka i jak ona karmi obficie. Najlepsze to, najszcześniejsze miejsce. Łzy go zapiekły w oczach. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć swoją wioskę, konia do pługą zaprząć, rolę zorać, krowę na wygon zaprowadzić, nad rzeką usiąść, modlitwę na grobach bliskich odmówić.

Może kiedyś będzie mu to dane, ale nie teraz.

Jedyne, co mógł zrobić, to zabrać ją i znaleźć miejsce, gdzie wszyscy będą mogli żyć spokojnie.

Rozdział pierwszy



Kosa to jedno z najstarszych narzędzi rolniczych. Pierwsze kosy powstały prawdopodobnie w starożytnym Rzymie. Na terenach Polski narzędzie to upowszechniło się w trzynastym wieku. Części składowe to metalowe ostrze, zwane właśnie kosą, czasem nożem, i drewniane kosisko, czyli długie drzewce z dodatkowym uchwytem, ułatwiającym trzymanie, a przez to i koszenie. Kosę montuje się na kosisku prawie prostopadle do niego, za pomocą metalowej obręczy i klina. Istnieje szereg modyfikacji kosy, polegających na dodawaniu elementów ułatwiających odrzucanie pokosów czy trzymanie narzędzia.

Ostrze kosy znajduje się po wewnętrznej stronie. Kośba polega więc na zagarnianiu partii roślin i przeciągnięciu po nich ostrzem u podstawy.

Ponieważ ostrza są bardzo cienkie, łatwo ulegają stępieniu i uszkodzeniom, dlatego istotne jest ostrzenie i klepanie kosy. Ostrzy się ją delikatnymi ostrzałkami z piaskowca, które koniecznie muszą być zwilżone wodą. Klepanie, polegające na pocienieniu ostrza, wykonuje się przy użyciu młotka i babki. Czynność ta wymaga wprawy, niewłaściwie przeprowadzona powoduje pofalowanie ostrza.

Wrzesień 1913

Wojtuś ciaśniej owinął się derką. Dni wciąż były ciepłe, ale noce, zwłaszcza nad ranem, zaczynały być zimne, a do tego czasu zapiecek, nagrany w ciągu dnia, zdążył wystygnać. Jeszcze trochę, a każą mi się stąd wynieść, pomyślał ze smutkiem. Natalia tu spać będzie, a mnie każą ligać na ławie.

Żal okropny ścisnął go w piersiach. Toż tu cały jego świat był. Tu trzymał kolekcję kamyków, muszlę szczeżui, do cna wysuszone rakowe szczypce

i skarb największy – glinianego kogutka, tak kolorowego, że oczy bolały patrzeć. Gdzie będzie chował to wszystko, gdy rodzice każą mu opuścić zapiecek, by młodszej siostrze miejsce zrobić? A może i zabawki będzie musiał jej zostawić? Co to, to nie.

Najbardziej się bał, że wyproszony z kąta za piecem, nie będzie już miał gdzie się schronić. Gdy rodzice zaczynali się kłócić, mógł tu uciec, derką głowę nakryć, dłońmi uszy zasłonić i udawać, że wszystko dobrze.

Tak jak teraz. Leżeli w łóżku, najpierw szeptali między sobą, teraz mówili całkiem głośno. Zaraz zaczną krzyczeć.

Gdy był jeszcze całkiem mały i nie rozumiał, co się wokół działo, było najgorzej. Wydawało mu się, że w chałupie panuje spokój, bawił się, śmiał, a tu nagle ojce zaczynali mówić coraz to głośniejszym głosem, aż wreszcie krzyczeli na siebie, na nic nie bacząc.

Bał się tego. Bał się, że jedno drugiemu zrobi krzywdę, bał się, że zostanie sam i będzie musiał iść w świat, samotny, nikomu niepotrzebny. Najmniej bał się tego, że i jemu mogą zrobić krzywdę. Czasem nawet myślał, że dobrze by było, gdyby spuścili mu lanie i się uspokoili. Miał już sześć lat, znał życie, wiedział, że inni ojcowie czasem z karczmy wracają pełni złości, ale gdy za bat chwycą, żonę czy dziecko po grzbiecie złupią, to im gniew mija i zaraz przepraszają, zarzekają się, że to już ostatni raz, że nigdy więcej. Wszyscy w takiej chałupie czują wtedy ulgę, bo życie, które na moment wypadło z koleiny, teraz toczyć się będzie dalej swoim zwykłym torem. Czy długo? Po cóż się nad tym zastanawiać, skoro dziś jest dobrze?

U Dołęgów dobrze nie było nigdy. Nawet gdy się ojce godzili, co zwykle następowało po nocy pełnej dziwnych posapywań i skrzypienia łóżka, to zaraz pojawiał się ktoś, kto ich na powrót przeciwko sobie obracał. Wojtek znał to już dobrze, za każdym razem było tak samo.

Zaczynało się od wizyty babki.

– Taka pogoda, taka paskudna. Przeciąg straszliwy, alem przyszła, choć mnie to może zaszkodzić. Przyszłam do ciebie, córeczko, zobaczyć, co też robisz.

– Na łąkę się zbieram, siano trza grabić.

Babka wzdychała ciężko.

– Jakże to? Ty siano będziesz grabić, a gdzie ten twój?

– Toż on też ma robotę. W polu.

– Prawda to? – śmiała się babka. – Oj, Weronika, Weronika, jaka ty głupia.

On ci mówi, że do roboty idzie, a śpi pod miedzą. Dobrze, jak sam.

– Franek nie z tych.

– Z tych czy nie z tych, chłopcy wszystkie takie same. Jak cię brał, to gadał, że na krok z chałupy nie puści, nic robić nie będziesz musiała, najmitów znajdzie. A teraz siano każe ci grabić?

– Niczego nie każe, sama chcę. Jak ludzi do wszystkiego brać będziem, to nigdy się nie dorobim.

– To wam się trza dorabiać? Inaczej by było, gdyby Dołęgi pola wam dali.

– Toż przepisali to, co było obiecane.

– Tyciuńcio tego. Mogli co dodać, stać ich.

– Tego, co mamy, nie dajem rady obrobić.

– A czyja to wina?

I tak kręciła się ta rozmowa, dopóki matka nie wybuchnęła płaczem. Wtedy babka ją przytulała, użalała się, jednocześnie tłumacząc, co też trzeba Frankowi powiedzieć, by los Weroniki się poprawił.

Wieczorem ojciec z pola wracał.

– Drogi nadłożyłem, by koło naszej łąki iść. Myślałem sobie tak: zobaczę, ile to kopic wyszło. A tam niezgrabione leży. Czemuż to?

– Czasu mi nie starczyło.

– To cóżeś robiła?

– A bo to mało roboty w obejściu? Nie dałam rady.

– Trza było powiedzieć, że ci się nie chce, nająłbym kogo. Deszcze pójdą, ze szczętem zgnije. Co krowie zimą dasz?

– Co dasz, co dasz? Tak zawsze obrócisz, żeby to moja wina była. A cóżeś ty robił?

I tak, od słowa do słowa, niekoniecznie zgodnie z tym, co babka radziła, za to coraz głośniej i głośniej.

Najgorzej było, gdy krzyki zwabiały dziadka Huba.

– A cóż ty, łapserdaku, na moją Werę mordę drzesz?

– Nie mieszajcie się między nas.

– Co mam się nie mieszać, co? Dziadu ty!

Wojtek kulił się na zapiecku. Czekał, aż wszystko minie. Nie upominał się, gdy był głodny. Jak mu się siku chciało, czekał z tym, aż pęcherz bolał. Kiedy był młodszy, czasem nie wytrzymawał. Zimą derka zdążyła wyschnąć do rana i nikt nie wiedział, co się stało. Latem różnie bywało, zdarzało się oberwać, gdy matka poczuła zapach moczu.

– Taki duży chłop, a leje jak dzidzia. Jeszcze raz, a tak ci dupę złoję, że popamiętasz.

Miał nadzieję, że może kiedyś będzie lepiej i w końcu wszyscy się pogodzą. Marzył o tym. Rzeczywistość jednak daleka była od jego wyobrażeń. W chałupie zamiast lepiej zaczęło się dziać coraz gorzej.

Wszystko to przez Wawrzka Adamczuka. Wojtek dobrze znał Pawełka, bo ten był niewiele odeń starszy i często razem bawili się na wygonie. Cóż takiego starszy brat jego towarzysza zrobił, że w Wojtkowej chałupie wielką niezgodę wprowadził? Ano jechać gdzieś zamierzał. Bardzo daleka i niebezpieczna miała to być podróż, mogła jednak śmiałka, który w nią wyruszy, uczynić bogatym.

– Weronika, ty musisz go przekonać. Grosza przywiezie, panią będziesz, do końca życia palcem nie ruszysz – mówiła babka.

– Nie może to być, żeby dziadowski syn do Ameryki pojechał, a gospodarski nie. Antek za młody, za głupi, tedy niech Franek jedzie. Na drogę grosza dam, nie poskąpię. Wzbogaci się, z dziadostwa wylizie – mówił dziadek.

– Co wy też gadacie? My nie dziady. Chcecie, by chłop mnie zostawił? A jak on tam przepadnie? – protestowała matka.

– Co ma przepaść? Do jego powrotu my się tobą zajmiemy.

– Czyś ty rozum postradała, kobieto? Ciebie mam zostawić i dzieci? Na zginienie mnie wysyłasz? A bo to nam źle? – pytał ojciec.

Kłócili się bez przerwy, dniami i nocami. Wszyscy ze wszystkimi. Zarzucanie derki na głowę i zatykanie uszu Wojtkowi nie pomagało. Tak bardzo, bardzo chciał, by przestali. Niechże ojciec wędrują do tej Ameryki. Może gdy wyruszy, w domu zapanuje spokój?

Mówili już tak głośno, że dłonie do uszu przyciśnięte nic nie dawały.

– Niech ci będzie, babo. Tylko po mnie nie płacz, jeśli nie wrócę.

– Chyba durna bym była, żebym płakała.

– Tedy pojedę.

– A jedźże, jedź.

Zapadła cisza.

Wojtek odetchnął z ulgą.

Rozdział drugi



Rośliny jare to te rośliny jednoroczne, które nie potrzebują do rozwoju jarowizacji, czyli zimowania w gruncie. Ich cykl rozwojowy zamyka się w jednym okresie wegetacyjnym. Wysiewane są wiosną, zbierane pod koniec lata. Do najpopularniejszych należą owies, kukurydza, gryka, proso. Pszenica, żyto i jęczmień mają swoje odmiany zarówno ozime, jak i jare. Te drugie są jednak dużo mniej popularne, ponieważ dają niższe plony.

Lipiec 1920

Kajtek Mazur siedział na ławie przed chałupą i patrzył na zachodzące słońce.

Był to ten najprzyjemniejszy czas, gdy letni dzień powoli stawał się wspomnieniem. Upał zamienił się w ciepło, które trwać miało do świtu, gdy rześki chłód na krótko otulał świat. Sypiający na podwórzu czy w szopie zabierali ze sobą derkę, by przykryć się nią w czasie przed wschodem słońca. U Mazurów wszyscy spali w chałupie. Mieli ją niedużą, ale i nie byli liczną rodziną. Ojciec, matka, prawie dorosły Kajtek, a na koniec malutka Wietka, śliczna dziewczuszka, budząca zachwyt tak najbliższych, jak i obcych.

– Dał mi ją Pan Bóg, by wynagrodzić za te utracone – czasem mówiła matka.

Stefcio, Józia i Marysia leżeli zgodnie obok siebie w maleńkich mogiłkach na tynczyńskim cmentarzu przy cerkwi. Żadne z nich roku nie dożyło. Kajtek pamiętał płacz matki i smutek ojca. Pamiętał nadzieje, z którymi witał narodziny rodzeństwa, i ból towarzyszący pożegnaniu, jakby ktoś wyrwał kawałeczek serca. Czas zasklepił ranę, ale poczucie braku pozostawało.

Może dlatego wszyscy tak kochali Wietkę, która pulchnymi rączkami mocno wczepiła się w życie, tak mocno, że mimo paskudnej jesieni, srogiej zimy i zimnej wiosny dożyła swoich pierwszych urodzin, a po nich drugich i trzecich. Matka czuwała nad malutką jak kwoczek nad kurczęciem. A i ojciec z Kajtkiem pilnowali, by dziecku nic się nie stało, by dobrze jadło, by jej ciepło było. Gdy inne trzylatki gęsi już pasały, Wietka siedziała na podwórku, zastępowana przez Kajtkę, który miał pod opieką i krowę, i gęsi, i dwie czarne owce.

– Na łąkę jej nie puszczaj, żeby zapalenia nie dostała – mówił wychodzący z chałupy ojciec do matki, a ta prędkiej do piekła piechotą by poszła, niż puściła dziewczynkę na łąki, zalane majowymi kałużami, pełnymi zarazków.

– Ona dlatego taka ładna, bo się urodziła, gdy słońce wstawało. O świecie tylko dobre rzeczy na tym świecie się dzieją – tłumaczyła matka kumoszkom, zachwycającym się urodą dziewczynki.

Matka krzątała się przy kuchni. Myła w szafliki miski i garnek po wieczery. Młode kartofle i zsiadłe mleko, czy może być coś lepszego? Kajtek wciąż jeszcze czuł w ustach delikatną słodycz ziemniaczanych bulw, szczerze okraszonych podsmażoną na maśle młodą cebulą, grubo posypanych koprem, i ożywczą kwaśność dobrze zsiadłego mleka, tak gęstego, że pić się nie dawało, trzeba było łyżką z kubka wybierać galaretowate kawałki. Odruchowo oblizał wargi. Jedli teraz suto, bo i pracowali dużo i ciężko.

Od zeszłej jesieni Kajtek chodził już z ojcem do każdej roboty, wraz z nim orząc, bronując, kosząc i siejąc. Ciężko mu było, bo z tych wszystkich dziecięcych obowiązków, takich jak pasienie krowy czy noszenie rezginiem pokrzywy dla świń, nikt go nie wyręczył. Wietkę wszyscy uważali za zbyt małą do owych zajęć, choć jej rówieśniczki biegały już za krowami na wygon albo i z sierpem chodziły po miedzach. Jakoś tak się utarło, że ona mała, więc trzeba ją wyręczyć i chronić, jak skarb najcenniejszy. Nie tylko z ich chałupy śmierć zabrała dzieciaczki, w innych też tak bywało, rzecz normalna. Odchodziło z tego świata, co najmniejsze, najsłabsze, a także najstarsze, wyzute już z sił życiowych, nieważne, czy było człowiekiem, zwierzęciem czy rośliną. To, co silne, młode i pełne wigoru, walczyło. Jedni patrzyli na śmierć z obojętnością, pogodzeni z nią, tak jak z tym, że po dniu jasnym ciemna noc nastaje. Drudzy walczyli, przekonani, że uda się zmienić odwieczny porządek rzeczy. Bywało, że czasami udawało się śmierć oszukać.

Ze troska, którą otoczono najsłabsze z miotu prosię, procentowała i z prosiaka wyrastała maciorka na schwał. Bywało też tak, że mimo dokarmiania, podsadzania do cycka, by dobrze się nassało, rankiem znajdowano je całkiem już zimne w kącie zagrodki. Czuło się wtedy nie tylko smutek, ale i złość, jakby człowiek pozwolił się oszukać. Jakby poszedł na wojnę, za całą broń mając wierzbową witkę.

Wojna. To słowo przywróciło Kajtka do rzeczywistości. I choć jego myśli były przygnębiające, rzeczywistość zdawała się jeszcze smutniejsza.

W chałupie czuło się napięcie, takie samo jak to panujące w przyrodzie przed burzą. Niby wszystko było jak zwykle, rodzice wstawali o świcie, Kajtka budził szelest siennika i skrzypienie łóżka. Udawał, że śpi, dopóki matka nie położyła ręki na jego ramieniu:

– Wstawaj, synuś. Czas już.

Zdawało mu się, że gdyby choć kilka chwil jeszcze pospał, obudziłby się wyspany. Czemuż nie można było wstać później, tylko właśnie wtedy, gdy sen najlepszy, najgłębszy. To tak, jakby zabrano miskę z polewką, gdy człowiek ledwo trzy razy łyżkę zamoczył.

Przeciągał się, nie otwierając oczu.

– No wstawaj, wstawaj – ponaglała go matka. I szła budzić Wietkę, by ta ze wszystkimi do porannego pacierza klęknęła.

Potem każdy brał się do swojej roboty. Matka rozpałała w kuchni, ojciec z Kajtkiem szli do obory obrzędki zaczynać, Wietka wracała w piernaty.

Po obrzędkach jedli przygotowane przez matkę śniadanie i ruszali w pole. Zaczęły się żniwa, roboty było więc tyle, że w końcu i Wietce dostało się zajęcie. Krowę w obiad wydoić, napoić, ptactwu wody do korytek ponalewać, obiad na pole przynieść.

Wieczorem wracali wprost do prac gospodarskich. Matka doiła krowy i zlewała mleko, ojciec gnoje wyrzucał, Kajtek ciął sieczkę. Wszystko to w pośpiechu, bo konie rżały, krowa ryczała, a świnie tak ryje darły, że aż w uszach dzwoniło. Matka szykowała kolację, a Wietka, zagoniwszy ostatnie kury, wynosiła przed chałupę miednicę. Pierwszy mył się ojciec, rozchlapując wodę dokoła i parszając jak źrebak. Na koniec chlust!, opróżniał miskę, wylewając wodę na ubitą jak klepisko ziemię podwórza. Moment i tylko ciemna plama zostawała. Po ojcu mył się Kajtek. Jakże przyjemnie było spłukać z karku szary proch ziemi i ościaki jęczmienia. Ostatnia myła się matka, stawiała sobie miskę w sieni, drzwi zamykała.

Woda zmywała nie tylko brud, ale i zmęczenie. Siadali do posiłku pełni nowych sił. Najedzeni wychodzili przed chałupę. Ojciec siadał na ławie, matka z Wietką na progu. Kajtek przykucał na ziemi, tak by móc swoich najbliższych objąć wzrokiem. Czekali, aż z innych chałup powychodzą i ktoś zaintonuje piosenkę, by móc się do niej przyłączyć. Dźwięczne głosy wypełniały świat, snuły opowieści o dziewczynie, co nie chciała chłopca, i o takiej, która nie była kochaną, o tym, że biedna, choć ładna, za mąż wyjść nie może, i o takiej, co za mąż iść nie chce, ale ojciec jej każe.

W końcu pieśni cichły, ludzie wchodzili do domów, pozostawiając drzwi szeroko otwarte, by chłód nocy, wyparłszy gorące powietrze, pozwolił cieszyć się snem i siły odnowić.

Rodzina Mazurów czyniła jak wszyscy. Jeszcze pacierz przed snem i dzień się kończył. Niby niczym nie różnił się od innych dni, a jednak coś było nie tak.

Gorączkowe szeptów rodziców jeszcze długo po zachodzie słońca nie pozwalały Kajtkowi zasnąć. Czasem udawało mu się wychwycić pojedyncze słowo, czasem całe zdanie. Ale nawet gdyby do jego uszu docierały same niezrozumiałe dźwięki, to i tak wiedziałyby, czego dotyczy rozmowa. Właściwie to nie była rozmowa, tylko spór, coraz bardziej zażarty. W ciągu dnia nie mówili o tym i Kajtek dobrze wiedział dlaczego.

Ojciec postanowił iść na wojnę. Nie on jeden. Wielu w Tynczynie zamierzało walczyć z bolszewikami. Pod cerkwią, w karczmie, na gościńcu o niczym innym nie mówiono, tylko o wojnie. Niektórzy uważali, że to obowiązek. Padały takie słowa jak „ojczyzna odzyskana”, „kajdany niewoli”, „carski but”, „powinność”, „obowiązek”, „służba” i „wolność”. Byli też tacy, którzy nie czuli żadnego związku z pańskim rządem z Warszawy i uważali, że nic im Polska nie dała i nic nie da.

– Tylko konie zabierają, ot i cała ta Rzeczpospolita.

Było też kilku, którzy mówili, że bronić się przed bolszewikami to jak przed Królestwem Niebieskim się bronić. Bo wszak to władza robotników i chłopów, najlepsza ze wszystkich możliwych.

Chłopaki, gdy się na wygonie spotkały albo na gościńcu, powtarzały słowa ojców jak swoje własne, tylko z większym zapalem.

Dlatego rodzice Kajtka w nocy między sobą szeptali – żeby synowi jeszcze bardziej nie rozpalać młodej głowy, w której teraz tylko jedna myśl się tłukła. Kajtek widział siebie nie jako zwykłego żołnierza, szaraka, piechura, ale jako

wielkiego wodza, bohatera, któremu sam Marszałek z serca dziękuje za ocalenie ojczyzny. Marzenie to było tak piękne, wzruszające i taki żar w sercu rozpalało, że słuchanie głosu rozsądku, mówiącego, że to niemożliwe, wydawało się głupotą. Jakże niemożliwe? Wszystko jest możliwe. Nie takie historie starzy ludzie opowiadają. Może to bajki, ale przecież mówi się, że w każdej bajce tkwi odrobina prawdy. Czemuż więc Kajtkowi nie miałyby się przydarzyć taka bajka?

Chciał iść wojować. Nawet gdyby nie został bohaterem, to i tak chciał. Po powrocie byłby kimś tu, w Tynczynie. Taki młody, a walczył z bolszewikami. Nie bał się, na wojnę poszedł, śmierci w twarz spoglądał i nawet powieka mu nie drgnęła. Może los by się do niego uśmiechnął i wróciłby ranny. I znów jego myśli zmieniały się w marzenia, widział siebie na koniu, całego we krwi wrogów, z jedną ręką na temblaku, który już nasiąkł czerwienią. Wszyscy we wsi by na niego patrzyli. Wszyscy. Ona też. I może by się uśmiechnęła, może zagadnęła. Zrozumiałaby, jak bardzo Kajtek wart jest jej uwagi.

Chciał iść wojować, bo gdyby zginął, ona zdałaby sobie sprawę, jak wielką poniosła stratę. Łzy rzewne, strumieniem lane byłyby dla Kajtka wystarczającą rekompensatą za utracone życie.

On tak pragnął walczyć, a matka z ojcem nie pozwalali. Nawet słuchać o tym nie chcieli. Gdy pierwszy raz napomknął, ojciec pięścią w stół huknął, aż figurka Najświętszej Pani z ołtarzyka w rogu izby podskoczyła do góry.

– Myśleć ci o tym zabraniam. Za młody jesteś.

– Toż ja mam prawie piętnaście lat.

– Dzieciak jesteś i tyle. Zwiążę i w komorze zamknę, a na wojnę nie puszczę. Czy ty wiesz, smarkaczu, czym jest wojna?

Kajtek miał ogólne wyobrażenie, wszak duży już był, gdy wielka wojna wybuchła. Pamiętał wojsko, które przez Łaszczów przejeżdżało, i odgłosy bitwy na Towarni. Znał na pamięć wszelkie o niej opowieści, snute przez ojca w jesienne wieczory. Bo gdy wojna światowa wybuchła, car nakazał chłopom iść walczyć, i trochę trwało, nim ojciec wrócił, przez rząd bolszewicki z tego obowiązku zwolniony.

Kajtek domyślał się jednak, że nie taką odpowiedź ojciec chce usłyszeć. Tak właściwie to nie chciał usłyszeć żadnej odpowiedzi. Chłopak schylił głowę i milczał. Było to najlepszym sposobem na złagodzenie gniewu ojca

czy złości matki. Chcąc być sprawiedliwym, Kajtek musiał przyznać, że nie zdarzało się to zbyt często. Ojciec nie był człowiekiem porywczym, raczej spokojnym i trzeba było rzeczywiście coś poważnego przeszkrobać, by stracił cierpliwość. Krzyczał wtedy i wygrażał, ale nie bił. A nawet gdyby, to Kajtek nie miałby pretensji, wiedząc, że zasłużenie. Widział wszak często swoich rówieśników zbitych przez rodziców za byle przewinę, a czasami i bez niej, ot tak, bo ojciec potrzebowały zółć spuścić.

A co to im przeszkadza, że ja bym na wojnę poszedł?, pytał sam siebie, leżąc na derce na klepisku. Zimą spał na ławie, ale teraz, gdy upał doskwierał, wolał kłaść się na ziemi, od której ciągnęło przyjemnym chłodem. Poszedłby, a później wrócił, a jakby nie wrócił, to też do przeboleń. Przecież mają Wietkę, ona zajmie się nimi, gdy sami nie będą już mogli o siebie zadbać. Nawet tak się mówi, że syn dla świata, córka do wsparcia na stare lata. Kajtek, jako prawie dorosły, mógł już iść w świat. Powinni się z tym pogodzić, nie mogą wciąż go traktować, jakby był dzieckiem, któremu z obawą powierza się do pasania gęsi, bo jeszcze mały i nie wiadomo, czy podoła, czy upilnuje.

Gdyby ojciec nie postanowił się zaciągnąć, Kajtek by zrozumiał jego oburzenie. Jednak bronić komuś innemu tego, co samemu się robiło, czy to jest sprawiedliwość?

Czując, że i tak nie zaśnie, wyszedł przed chałupę. Usiadł na ławie i wpatrywał się w noc. Ciemność otulała świat, było w niej coś pięknego i strasznego, bo z jednej strony ta wręcz fizycznie odczuwalna aksamitność, z drugiej niepewność, co się za nią kryje.

Podniósł głowę i patrzył na gwiazdy. Migotały wesoło. Pomyślał o dziewczynie, której oczy też tak migotały, kiedy się śmiała. Czemuż on dostrzegał coś tak błahego i małego jak te iskielki w jej oczach, a ona w ogóle nie widziała Kajtka? Jakby był przezroczysty.

Rozległ się odgłos ciężkich kroków. Najpierw w izbie, później w sieni. To ojciec.

– A ty co? – zapytał, przekraczając próg.

– Spać nie mogę.

– Słyszałem, jak się wierzisz.

Usiadł obok Kajtka.

– Co to za myśli spać ci nie dają?

Pytasz, choć znasz odpowiedź?

– Synu... Dziecko drogie, wybij sobie tę wojnę z głowy.

Kajtek chciał powiedzieć, że dobrze, on sobie wybije, ale tylko pod warunkiem, że ojciec także. Jednak słowa, tak składnie brzmiące w głowie, najpierw przejść przez gardło nie chciały, a kiedy już siłą je przepchnął, zabrzmiały dziwnie, cały sens straciły. Dobrze, że było ciemno i ojciec nie mógł zobaczyć rumieńców na jego policzkach i łez w oczach. Wstyd, jakież wstyd. Tylko zerwać się i uciec.

Ojcowskie ramię otuliło Kajtka. Dłoń czule pogładziła rozczochrane włosy.

– Wiem, synu, wszystko wiem. Co ty myślisz, że ja nigdy nie był młody?

Mur, który dzielił ich od siebie, wzniesiony w dniu, gdy ojciec zapowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu, że Kajtek na wojnę nie pójdzie, choćby nie wiadomo co, runął. Znów było między nimi jak wtedy, gdy szli do orki w pole albo z kosami na łąkę. Kajtek przypomniał sobie śmiech ojca, gdy ten mówił:

– A to znasz? Kosyj z kosoju kosoju kosoju kosoju kosyw.

Powtarzał w myślach, wyobrażając sobie zezowatego, machającego krzywą kosą, aż osełdec podskakiwał. Uśmiechnął się do tego obrazka, wspomnienia, do ojca.

– Walczyć za Polskę to obowiązek – powiedział.

– To prawda. Tyle że to obowiązek na samym początku żołnierzy, później poborowych i wszystkich innych zdolnych do noszenia broni. Na samym zaś końcu kobiet, starców i dzieci. Nie możemy wszyscy naraz pójść i zginąć, bo kto zostanie? Kto pola zasieje, krowy napoi? Gdy ja pójde walczyć, ty zajmiesz moje miejsce, zajmiesz się matką i siostrą. Staniesz do walki dopiero wtedy, gdy im będzie zagrażać niebezpieczeństwo. To twój obowiązek, rozumiesz?

Kajtek skinął głową.

– Rozumiesz? – powtórzył pytanie ojciec.

– Rozumiem.

– I obiecujesz, że nic nie zrobisz, chyba że okoliczności cię do tego zmuszą?

– Obiecuję.

– To i dobrze. Matka się uspokoi. Zła jest na mnie, zem ci w głowie namieszał, że przeze mnie chcesz iść wojować. Bardzo się martwiła, że cię krzywda spotka.

– A o was się nie martwi?

– Ja już stary chłop, cóż mi się może stać? – Ojciec roześmiał się, jak to on, wesoło, zaraźliwie. Prawda. Cóż mogłoby mu się stać?

– Czas już spać. – Ojciec podniósł ramię. W ostatniej chwili Kajtek zdążył je chwycić i na powrót do siebie przycisnąć. Czuł się tak dobrze, tak bezpiecznie, jakby cały świat to była tylko ta ławka i ich dwóch. – No dobrze. Jeszcze chwilę. Chcesz, wiersz ci powiem. Poważny. Ojciec mnie nauczył, gdym był mały, to i ja ciebie nauczę.

Ojciec odchrząknął.

*Miejmy pogardę dla pychy zwycięskiej
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy!
Ale nie wielbmy poniesionej klęski
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.*

*Przestańmy własną pieścić się boleścią.
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić...*

– Mężom przystoi w milczeniu się zbroić – powtórzył Kajtek.

Rozdział trzeci



Bób to jedno z najpopularniejszych warzyw na świecie. Ponieważ nie występuje już w stanie dzikim, trudno określić jego naturalne pochodzenie. Najstarsze wzmianki o bobie znajdziemy w Biblii. Jego spożywanie zalecali w swoich pismach greccy i rzymscy filozofowie. Młode ziarna bobu można jeść na surowo, razem ze skórką, która zawiera najwięcej witamin. Bób obniża stężenie cholesterolu we krwi, oczyszcza organizm ze szkodliwych produktów przemiany materii, jest źródłem kwasu foliowego, żelaza i witaminy B12. Dawniej mączkę z bobu oraz suszone strączki wykorzystywano w okładach przy stanach zapalnych skóry. Bób nie jest zbyt kaloryczny, a wysoka zawartość białka sprawia, że stanowi idealny zamiennik dla produktów zwierzęcych. Ma szerokie zastosowanie w kuchni, może być osobnym daniem, składnikiem zup, sałatek, farszów. Dawniej na wsi popularną formą jedzenia bobu było pieczenie go na rozgrzanej kuchennej blasze.

Kwiecień 1927

Gwałtowność życia, budzącego się ze snu zimowego, zadziwia, bez względu na to, czy widzi się ją po raz pierwszy, czy pięćdziesiąty. Jeszcze kilka dni temu świat szeleścił suchością, którą pozostawiła jesień. Łąki pokrywała butwiejąca trawa, kolorem podobna do sierści burego kota. Drzewa zasepione w swej martwocie przypominały własne cienie, ciemne rosochy na tle szarego nieba. Pola ciągnęły się po horyzont czarnymi połaciami i trudno było uwierzyć, że za nie więcej niż szesnaście tygodni będzie się z nich w pocie czoła zbierać życiodajne ziarna.

Był taki moment, który zawsze przychodzi na początku marca, gdy

w ludziach umiera nadzieja. Choć wiedzą, że to nieprawda, a jednak przychodzą do nich uparte myśli, które mówią, że zima i głód trwać będą wiecznie. Zwłaszcza tak siarczysta zima jak tegoroczna. Przestają czekać. Siedzą w izbach, apatyczni, niechętni, bardziej niż pracą zmęczeni trwaniem w oczekiwaniu. I nagle, zupełnie niespodziewanie, błysnie jeden słoneczny promień, zupełnie inny od wszystkich, bo oprócz światła niesie też ciepło. Ten, kto pierwszy go dostrzeże, zrywa się z ławy, chwyta półkożuszek wiszący przy piecu, wychodzi przed chatę, kości prostuje. Przez płot zagląda do sąsiada.

– A cóż tam u was? – pyta.

– Stara bida. Ale zdaje się, wiosna idzie.

– Ano idzie.

Człek się nie obejrzał, a już cała wieś była na gościńcu. Ludzie zachowywali się, jakby widzieli się nie wczoraj, a przed rokiem, wprost nagadać się nie mogli. Baby plotkowały jak najęte, chłopcy politykowały, a takie w tym zapiekłone, że aż im spod czapek dym szedł. Panny strzelały oczyma za kawalerami, którzy, pocierając wąsy, bez kozery patrzyli na dziewczęta, porównując ich piersi, łydki i talie.

Szła wiosna, wracało życie.

Gdy do owego ciepłego promienia dołączał drugi i trzeci, ludzie biegli na łąki. Pomiedzy szarymi źdźbłami suchej trawy wypatrywali delikatnych, zielonych strzałek szczawiovych liści. Szczęśliwy, komu udało się je dostrzec i nazbierać bodaj garść. Biegł zaraz do swej chaty, rozkładał znalezisko na stole, głowę z dumą do góry zadzierał, jakby te listki, które przyniósł, były ze szczerego złota. Prawda była taka, że w owym momencie miały one większą wartość niż pieniądze, bo za pieniądze nie można kupić zdrowia. Dla organizmów, wycieńczonych dojadaniem wyjałowionych już zapasów, zastrzyk energii ze szczawiu był bezcenny. Wystarczała miska szczawiovego barszczu, lekko tylko zagęszczona śmietaną czy gotowanym żółtkiem, jeśli jeszcze jakieś w zapasach zostało, czy nawet, u tych najbiedniejszych, odrobiną mleka, by wypłukać wszelkie toksyny z krwi. Człowiek od razu stawał się weselszy, nabierał energii i chęci do pracy. Szczaw dawał nadzieję na rychłe nadejście ciepła, na letni czas obfitości, na życie.

Ledwo kilku dni trzeba było, by świat odmienić. Jednego dnia nabrzmiewały pączki na drzewach, z ciemnobrązowych stając się czerwone,

drugiego wychylały się z nich zielone falbaneczki młodych liści, a trzeciego całe drzewo witało ranek odziane w zieloną sukienkę. Pastwiska zaczynały pokrywać się świeżą zielenią. Bydłęta, wyczuwając to, zaczynały ryczeć tęsknie, zarzucały rogatymi łbami, dając gospodarzom znak, że czas wyjść z ciasnych, ciemnych obórek na świat. Koty zrywały się z zapiecków, donośnym miauczeniem domagały się, by je z chałup powypuszczać, i z zadartymi ogonami wyruszały w świat szukać szczęścia w miłości. Dzieci i psy zbijały się w stada, biegały po gościńcu, po łąkach, między opłotkami, wypatrując okazji, by jakąś psotę zrobić.

Życie wracało do wsi.

Staszka Pomiechowska niewiele miała zajęcia. Bo cóż staremu robić? Ugotować sobie garnuszek zupiny na śniadanie i garść kaszy, by ją w ciągu dnia zjeść, ot i całe przy kuchni zajęcie. W obórce jedna koza, by był kubeczek mleka, bo więcej nie trzeba, w kurniku trzy kokoszki, a tych trzech jajek od nich to i tak dla jednego za dużo. Ale niech tam się niosą, będzie koszałka jajek, to się Żydowi sprzeda i kilka groszy dostanie. Odkłada Staszka te grosze, planując, co też sobie za nie kupi, a koniec końców, niczego nie kupiwszy, niesie do córki.

– Oj mamó, a wam nie trza? – Jagna się wzdraga, ale wreszcie bierze, bo jej każdy grosz potrzebny.

Syn w wojsku, lada chwila wróci, to się żenić zechce, do córki kawalerowie zaglądną, trzeba na posag odkładać. A przecież i Jagna, i jej mąż, Bartosz, wciąż młodzi i jeszcze najmniej dwadzieścia lat gospodarowania przed nimi.

Nieraz mówią, że chcieliby matkę wziąć do siebie, bo to oszczędność i na opale, i na strawie. Pożytek byłby dla wszystkich. Jednak Staszka nie chce. Lubi zięcia, bo to dobry człowiek, córkę swoją kocha ogromnie, ale woli być sama. A może nie tyle sama, ile z tymi wszystkimi ludźmi, których każdego dnia widuje. Nie pozwoliłaby Jagna matce cały dzień po gościńcu chodzić.

– Na cóż wam plotki roznosić? – mówiłaby. – Zajmijcie się jaką robotą. Sakówkę trzeba wyłuskać, fasolę przebrać, mak przesiać. – Zawsze by jakieś zajęcie znalazła, bo w gospodarstwie to jest tak, że jedzenia mało, a pracy dużo. Jak świat światem tak było i tak jest.

Dlatego Staszka mieszka sama i dlatego gdy najdzie ją ochota, idzie na wieś, do ludzi.

– Ja plotki roznoszę? – zamruczała pod nosem. – Moja Jagna nie wie, co mówi. Żeby mnie tak pokręciło, jeśli kiedy jaką nieprawdę powiedziałam.

Zawsze powtarzam słowo w słowo to, co usłyszałam.

Wzięła wiadro. Zamknęła chałupę i podparła drzwi kołkiem, by mieć pewność, że się przypadkiem nie otworzą. Stare już były, drewno wypaczyło się od wielokrotnego schnięcia i wilgotnienia, między skrzydłem a futryną szpary były na palec. Wykorzystywały to przeciągi, które wpadając do środka i wypadając z izby, szarpały drzwiami, czasem tak długo, że haczyk wyskakiwał z oczka. Gdy Staszka była w domu, zamykała od razu, ale gdy jej nie było, chałupa stała otworem. A to gratka dla wszelkiej maści złodziejasków, bo zaraz głodny pies wyczuje aromatyczny zapach z garnka, kot przylezie wylizywać rynkę, kury zajrzą albo też dzieciaki, których ciekawość silna, a wiedza, co dobre, co złe, mała. Ukraść to tam nie było co, ale zawsze można szkody narobić. A tych szkód i gderania Jagny, gdyby się dowiedziała, że pod nieobecność matki ktoś w jej chałupie myszkował, bała się Pomiechowska najbardziej.

– Wy już starzy, wam nie można mieszkać samej. Dziś złodziej przyszedł, jutro może kto gorszy – mówiłaby i żadne tłumaczenia, że przecież wieś bezpieczna, że jakby kto miał napadać, to prędzej Teresę Hubową, bo o niej wiadomo, że ma pieniądze, a nie biedną Pomiechowską, nic by nie dały.

– Wiem ja, czego ty chcesz – powiedziała Staszka, choć córka żadnym sposobem nie mogła jej usłyszeć. – Gniazdko dla swego Walerka albo dla Franeczki szykujesz. Pójdę ja do ciebie, a moja chałupa młodym się dostanie. Podrychtują, dach na nowo poszyją i będzie im jeszcze służyła przez lata. A niedoczekanie wasze!

Westchnęła. Wiedziała dobrze, że gdy dojdzie do ślubu któregoś z wnuków, przez nikogo niepoganiana czy zachęcana spakuje swój dobytek w płachtę i przyjdzie do córki, pozwalając, by młodzi zajęli jej chatę. Tak bowiem już jest na tym świecie, że młodemu najlepiej na swoim, a nie pod teściowej czy świekry okiem. Nie ma co jeszcze o tym myśleć, upomniała samą siebie, przyjdzie, to będzie, na razie chłopak w wojsku, a panna nawet niezaręczona.

Doszła Staszka do studni. Nabrała wody do wiadra. Wiadomo, zobaczyć z rana babę z pustym wiadrem to największe nieszczęście. Wtedy lepiej do izby wrócić, na łóżku czy ławie legnąć i czekać końca dnia, a do roboty żadnej się nie brać, bo wszystko, za co się człowiek weźmie, obróci się przeciw niemu. Napęlnwszy wiadro, siadła na ławce przy studni. Powietrze przesycone było zapachem mokrej cembrowiny, błotnistej ziemi, która nie

nadażała wchłaniać rozlewanej wody i wilgotnych kamieni, położonych wokół, by nie grzęznąć w błocie. Z obejść dochodziły odgłosy codziennego wiejskiego życia. Tu gospodyni wołała kury, tam ktoś drwa rąbał, wieprzek kwiczał, ryczała krowa, płakało dziecko, gdzieś dalej rznęli pniak, dziewczyna śpiewała rzewnie o Jasieńku, chłopak gwizdał, kumoszki, wsparte o płot, miały jęzorami, parsknął koń, zaskrzypiał wóz, ktoś sapał, niosąc worek ze zbożem, u kowala miarowo stukał młot, dzieciarnia krzyczała w dzikim szale przedziwnej zabawy.

Drogą od strony dworku Kornelowiczów szła Jadźka Adamczukówna, ciągnąc za sobą krowę. Jaki to teraz dwór? Żaden. Brudny i zapuszczony gorzej niż niejedna wiejska chałupa. Nie stało gospodarza, to wszystko idzie w ruinę, ot co, pomyślała Pomiechowska. I tylko tyle uwagi poświęciła Kornelowiczom, bo przecież od Zośki wiedziała wszystko, co się tam działo. Natomiast Jadźka Adamczukówna z krową była czymś nad wyraz intrygującym.

Wyprawa Wawrzka do Ameryki odmieniła los jego rodziny. Nie wiadomo, ile pieniędzy przywiózł, na pewno nie tyle, by wszystkich za koleją wywianować. Okazało się jednak, że pieniądze nie były najważniejszym, co na tej wyprawie zyskał. Odmieniony wrócił. Inaczej mówił, inaczej chodził, inaczej też myślał. Stał się zaradniejszy, obrotniejszy, odważniejszy. Tędy nie siędy całe swoje rodzeństwo w życiu ustawił. Do Władziuni Francowej poszedł prosić, by Dorotę szyc przyuczyła. Rok nie minął, a dziewczyna poszła do Zamościa na pomocnicę do zakładu krawieckiego. Taka pani z niej tam się zrobiła, że ho, ho. Zaraz też Werę do siebie wzięła, że niby dziewczyna zakład miała sprzątać. Tyle było tego sprzątania, co nic. Zaraz ją z krawcową w zamożnym domu umieścili, by tam dzieci bawiła. To, że Tońko dostał dobrą robotę w nadoleckim folwarku, to też Wawrzka zasługa, bo tak długo do Juliana Lipczewskiego chodził, tak długo się łąsił, aż tamten uległ. Julian był polowym, wielki szacunek między ludźmi miał i byle kogo do roboty nie brał, żeby wstydu nie zaznać albo i gorzej – stanowiska nie stracić. Szczepciowi znaleźli robotę stróża w Kmiczynie. Widać nie tylko robota mu się podobała, ale i pewna panna. Ożenił się zeszłego lata i podobno już syna niańczył. Pawełka dali do piekarskiego terminu do tyszowieckiego Turka. Dobrze to było miejsce, lepszego nie trzeba. Turek ów zwał się Abdullah Ogły, choć tutejsi ludzie mówili na niego Abduły Ogły. Wypieki jego słynne były na całe województwo. Gdy w dzień targowy

wyjmował z pieca słodkie tureckie bułeczki z przyprawami i suszonymi owocami, to aż w Tynczynie czuło się ich zapach i ludziom ślinka ciekła. Gdy kto był w Tyszowcach, a miał parę groszy na zbytki, to zaraz biegł do Abduły po bułeczkę, którą jadł z namaszczeniem, a jej smak wspominał tygodniami. Taki nauczyciel fachu to brama na świat otwarta, dlatego też przyszłość Pawełka pewna była.

Tak jedno po drugim Adamczukowe dzieci z biedy powyłaziły i tylko ta Jadźka... Nie wiadomo, co z nią będzie. Mieszkała z ojcami, w chałupinie, którą im Wawrzek postawił na miejsce starej, przez Kornelowiczową spalonej, i do roboty do podpalaczki chodziła. Ludzie we wsi nadziwić się nie mogli. Jakże to? Wszyscy w Tynczynie, jak jeden mąż, mieli pani Marcie za złe to, co zrobiła. Pal licho chałupę Adamczuków. Nikomu nic się nie stało, a mogło być nawet tak, że ów pożar uratował im życie. Wszak chałupa stała tylko łaską Niebios, niewidzialną ręką podtrzymujących wielki piec, na którym cała ta budowla się wspierała. Niechby jednak wzrok Pański odwrócił się na moment w inną stronę, a ręka Majestatu piec puściła, zawaliłby się dach i pewnie nikt z tej chałupy z duszą by nie uciekł. Szczęściem w pożarze żadne z Adamczuków nie zginęło, a majątku tam było tyle, co kot napłakał. Przez jakiś czas mieliby ludzie we wsi za złe Kornelowiczowej to podpalenie, gadaliby o tym, a zaraz potem by wybaczyli. Jednak tego, że targana szaleństwem matka, która straciła dziecko, poszła podpalić Ciotkę Leonkę, nikt nigdy jej nie wybaczy. Może to prawda, co starzy ludzie gadali, że człek zrasta się ze swoim miejscem na ziemi i trwa, póki i ono trwa? Po pożarze Teofila Lipczewska wzięła staruszkę do siebie, ale tej nie było tam dobrze. Znaczący, dobrze jej było, bo Teofila dbała o nią jak o rodzoną matkę i starej ptasiego mleka nie brakowało, ale to nie jej miejsce. Następnej jesieni odeszła bladym świtem, rozpląnęła się w porannych mgłach. Najgorsze, że zabrała ze sobą całą swoją wiedzę. Kobiety daremnie próbowały odtworzyć receptury naparów, żadne nie były tak skuteczne jak te przygotowywane przez starą zielarkę.

Nic więc dziwnego, że nikt nawet spojrzeć nie chciał w stronę dworu. Kornelowiczowa musiała najmować ludzi do roboty z wiosek ościennych, a i to na wiele się nie zdawało, bo zawsze znalazł się ktoś życzliwy i tamtym wytłumaczył co i jak. Znalazła w końcu dzierżawcę, człowieka, któremu to, co zrobiła, było obojętne, ale tylko dlatego, że sam nie miał serca. Oszukiwał kaleką wdowę na wszystkim, z obietnic pomocy nie wywiązywał się w ogóle,

umówionego zaopatrzenia dawał pół albo i mniej niż pół. Ludziom było to obojętne, uważali, że Kornelowiczowa zasłużyła na takie traktowanie, a karą za grzech jest taka właśnie pokuta. Litowali się jedynie nad Zośką, choć ta, nieświadoma swego losu, za nic miała i dzierzawcę, i pole. Gdy poczuła się głodna, przychodziła do wsi i nie zdarzyło się nigdy, by jej kto strawą nie poczęstował. Choć szalona, ludzie jej się nie bali, bo w tym szaleństwie łagodna była jak pięcioletnie dziecko. Zresztą czy zwierzęta by tak do niej lgnęły, gdyby choć odrobinę złości w dziewczynie czuły? Najbardziej lubiły ją koty. Łatwo można było poznać, że Zośka do wsi zmierza, bo wylegały na gościniec, wskakiwały na płoty, mruzczały z zadowolenia. A ona witała się z nimi jak ze starymi przyjaciółmi, każdemu szepcząc miłe słowa.

Pomiechowska wyjątkowo lubiła tę dziewczynę. Nie wiedzieć czemu, nie wiedzieć za co, po prostu lubiła Zośkę.

W obawie, że Adamczukówna skręci w drożynę, wydeptaną między obejściami Latucha i Marca, by ludziom z głębi wsi skrócić drogę do studni, Pomiechowska, zostawiwszy wiadro, wyszła Jadźce naprzeciw. Tamta zrozumiała, że nie uniknie spotkania, przystanęła, poluzowała postronek, by krowina sięgnęła kępy suchej trawy porastającej brzeg drogi, i grzecznie przywitała staruszkę.

– Na wieki wieków amen – odpowiedziała Staszka. – A skąd to Bóg prowadzi?

– Od Kornelowiczowych idę.

– A co tam u nich?

– Zośka jak to Zośka. Szczęściem już zdrowa.

– To coś jej było?

– Kichała straszliwie. Lipczewska ziół jej dała do parzenia i przeszło. Dobrze, że pani Marty nie zaraziła.

Pomiechowska kiwnęła głową. Bywało tak, że Zośka zjawiała się we wsi każdego dnia, bywało i tak, że nikt nie widział jej tygodniami. Wszyscy do tego przywykli i nie martwiono się o dziewczynę, ale może należało zacząć? Z przeziębieniami, zwłaszcza tymi wiosennymi, żartów nie ma. Nie darmo się mówi: „Byle starzec przeżył marzec”, a ludzie wiedzą, że tak jak starych, dotyczy to i młodych, zwłaszcza dzieci.

– Trzeba mi będzie zajrzeć do niej za kilka dni. Jak całkiem się już wyleczy. – I uznawszy, że rozmawiała wystarczająco długo, by mogła zaspokoić ciekawość, nie wychodząc na wścibską, zapytała: – A cóż to za

krowę prowadzisz?

- A swoją.
- Znam ja twoich ojców krowę i ta nijak do waszej Rabuli niepodobna.
- Bo ta nie ojcowa, tylko moja.
- Twoja? Skądże twoja?
- Od pani Marty dostałam.

Żołądek i kiszki Pomiechowskiej zatelepały tak, jakby kto nimi potrząsnął. To z niecierpliwości, by się dowiedzieć co i jak.

- Krowę ci dała?
- Ano dała.
- Ale jak to tak?
- No tak.

Cóż z tej Jadźki za dziewczucha? Nie odpowie jak człowiek, tylko powtarza bezmyślnie, jak ten szpak ludzkiej mowy wyuczony.

- To tak nie bywa, żeby pani służce krowę dała.
- Może i nie bywa, ale dała.
- I co? Tak powiedziała: „Naści, Jadźko, krowę”?
- Tak właśnie.
- Tymi słowami?
- Tymi.

- Toż mnie oszukujesz, bo pani mówi po pańsku i tak by nie powiedziała.
- Może to było „Weź se krowę”, ale to przecież to samo znaczy.

Pomiechowską ponownie zatelepało w środku. Tym razem ze złości. Zrozumiała, że choć dziewczyna ma twarz poważną, to w duszy się śmieje i z przekory niczego więcej powiedzieć nie chce. Wydaje ci się, żeś taka sprytna? Zobaczmy, kto kogo, bo to nie pierwszy raz przyszło mi za język ciągnąć.

- Z jakiej okazji Kornelowiczowa krowy rozdaje?
- Nie rozdaje. Mnie dała.
- Z jakiego powodu?
- Bez powodu.
- Powód jakiś musiał być. Czymżeś sobie tak u niej zasłużyła?
- Niczym.
- To może pieniędzy nie ma i za służbę krową ci zapłaciła?

Jadźka nie musiała odpowiadać. Po zmianie na twarzy tamtej Pomiechowska poznała, że pytanie trafiło celnie.

– Tak u nich źle, że cię odprawiała i krową spłaca?

Jadźka przygryzła wargę.

– Pani Marta by mnie nie odprawiała. To dobra kobieta. Tylko ten ich dzierżawca powiedział, że płacił mi nie będzie. On to miejsce dla swojej siostry upatrzył. Najpierw pani Marcie dziurę w brzuchu wiercił, żeby mnie odprawiała, a jak to nic nie dało, wtedy Zośkę przeciw mnie zbuntował. Tej wariatce wiele nie trzeba. Powiedział, że widział, jak kota za ogon ciągnęłam, i wystarczyło. Teraz Zośka ma się zajmować domem, a ta dziewczucha od dzierżawcy będzie od czasu do czasu przychodzić, sprzątać i pracować. Już ja widzę to Zośki zajmowanie się domem! Biedna pani Marta.

– Nie taka ona biedna... – zaczęła Pomiechowska, ale Jadźka natychmiast jej przerwała.

– A właśnie że biedna. Wszyscyście we wsi przeciwko niej. Nikt nie widzi, ile wycierpiała. Najpierw mąż umarł, potem dzieciątko. Ja przy tym byłam, widziałam jej rozpacz.

– Bycie dobrą matką nie czyni z niej od razu dobrego człowieka.

– Jakby była zła, toby mi krowy nie dała. Nawet mi papier dała, że ona z własnej woli, żebym kłopotów nie miała. – I wyszarpnąwszy zza pazuchy papier, machnęła nim Pomiechowskiej przed oczami.

Widząc wzburzenie dziewczyny, Staszka powiedziała, jak umiała najdelikatniej:

– To szlachetnie z tobą postąpiła. Daj jej Panie Boże za to... – miała powiedzieć „zdrowie”, ale się zreflektowała, że to nie zabrzmie najlepiej. – Daj jej łaskę i odpuść grzechy. – I żeby zmienić temat, zagadnęła łagodnie: – Jak masz krowę, to ty teraz posażna. Może za mąż pójdziesz?

Czas by był na to najwyższy, pomyślała Staszka, szybko w pamięci licząc, ile to też Jadźka może mieć lat. Starsza od Natali Dołęgówny, to pewne, ale czy również od Zośki? Trudno powiedzieć. Gdy Kornelowiczowa wzięła ją na opiekunkę do dziecka, dziewczynina mogła mieć ze dwanaście wiosen albo i mniej, bo tam u Adamczuków przy młodszym rodzeństwie pomagała, to szybko praktyki nabyła, a choć miała swoje wady, rezolucji nikt jej nie mógł odmówić. Jak by nie liczyć, musiała mieć najmarniej dwadzieścia pięć lat, choć wcale na to nie wyglądała. Gładziutka buzia, bo jej troski nie pomarszczyły, oczy niepodpuchnięte, bo nie miała męża, co by wyspać się nie dawał, brzuch płaski, cycki jędrne, bo nie było dzieci, które by jej figurę odmieniły. Wygląda jak młódka, choć jest już o krok od staropanieństwa.

– Może pójdę, może nie pójdę – odpowiedziała po swojemu Jadźka.
– A czemuż byś miała nie iść? Czas na ciebie.
– Bo to wszystkie muszą za mąż iść?
– Tak Pan Bóg przykazał.
– Przykazał, żeby czcić ojców, żeby nie kraść i nie cudzołożyć.
O zamążpójściu nie wspominał.

– Mnie się zdaje, że wspominał. Księżdz trza by zapytać, on lepiej zna się na rzeczy i wie, gdzie to w Piśmie stoi. Na mój ludzki rozum to człowiekowi różniej iść przez życie z drugim człowiekiem.

Jadźka wzruszyła ramionami.

– Jak się dobrze trafi, to może i różniej. A jeśli źle... Bo to wiadomo, co w człeku siedzi?

– Sercem poznasz. Twoje ojce... – Po raz drugi słowa Pomiechowskiej trafiły w czułą strunę w dziewczęcej duszy. Jeśli ktoś codziennie patrzył na taką miłość, jaką darzyli się Honorata i Michał, to mógł odnieść wrażenie, że i od niego oczekuje się takiego zaangażowania. I choć jeszcze przed chwilą Staszka zła była na Jadźkę, teraz zrobiło jej się żal dziewczyny. – Twoje ojce to się od młodości bardzo silnie kochali, ot tak bywa. Bywa jednak i tak, że człowiek z czasem zakochuje się mocniej i mocniej. Patrz na swego brata. Trudno powiedzieć, żeby on się z Marianną żenił z miłości. A teraz? „Moja Marianna to gospodyni, że lepszej we wsi nie ma. Moja Marianna taki chleb piecze, to lepszego żem nie jadł. Moja Marianna to... Moja Marianna tamto”, a patrzy na nią jak w obraz. A może być i tak jak u Hubów. Mało się kochali, jeśli nie wcale, ale Sawerek swoją Tereskę szanował, opieką otaczał. Miała się z nim jak pączek w maśle. A teraz, jak sama została, to co ona warta? Szczęściem, że ten Antek dobry chłopak, to się nad matką ulituje i co pomoże. I szczęście Tereni wielkie, że Aniela dobra, bo po tym, co stara o niej wygadywała, to mogłaby nawet nie popatrzeć w tamtą stronę. No i Natalia pomaga, dobre dziecko, po tym, jak matka z habalem uciekła, to opieka nad babką na jej ręce. – Westchnęła. – Tak czy inaczej, jest się komu starą zająć. Co by było, gdyby ani dzieci, ani wnuków nie miała?

Jadźka nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami i pociągnęła za postronek, dając krowie znać, że pora iść. Bydlę zagarnęło jęzorem ostatnie źdźbła suchej trawy, nieśpiesznie podniosło łeb, machnęło ogonem i ruszyło za swoją nową panią.

Pomiechowska wróciła na ławeczkę pod studnią, niecierpliwie wyczekując

kogokolwiek, z kim mogłaby się podzielić nowiną, że oto Marta Kornelowiczowa sprezentowała Jadźce Adamczukównie krowę. I to nie była jaka! Dużą i tłąstą, z wymieniem takim, że dójki po ziemi się ciągnęły. A sądząc po szerokości grzbietu i krągłości boków, to na dodatek cielną. Ach, będą się ludzie dziwować, gdy to usłyszą. Taka krowa całkiem za nic. I to komu? Jadźce Adamczukównie! Mają czasem ludzie szczęście, westchnęła Staszka. Poprawiła się na ławeczce, żeby jak najwygodniej było siedzieć. Ciekawe, czy pod tą nową studnią, co to ją chcieli na Podpolu wykopać, też będzie taka ławeczka? Westchnęła. Już jakiś czas ludzie przebąkiwali, że druga studnia jest w Tynczynie koniecznie potrzebna. Pomiechowskiej wcale się ten pomysł nie podobał. Przecież wiadomo, że to zmieni życie calutkiej wsi. Jej życie zmieni. Taką miała wygodę, a teraz co? Będzie z wiadrem od jednej do drugiej studni wędrować? Przecież jest już stara. Kiedyś, za młodu, to zanim jeszcze na Anioł Pański zadzwonili, ona już trzy razy wieś obiegała. Teraz zdrowie nie to. A ciekawych rzeczy człowiek każdego dnia chciałby się dowiadywać i z innymi się nimi dzielić.

Ze swego obejścia wyszła Sweta Marcowa. Wiadra na koromysłach zadzwoniły wesoło.

– Dobrze ja widziała, moja Pomiechowska, że Jadźka Adamczuków tędy krowę goniła? – zapytała.

– Siadajcie, Sweta. – Staszka posunęła się ździebko. – Wszystko wam powiem, bo i wszystko wiem. Od samej Jadźki wiem, więc to najprawdziwsza prawda.

Rozdział czwarty



Rumianek to niepozorna roślina. Kwiatostan, zwany koszyczkiem, składa się z brzeźnych białych kwiatów żeńskich i żółtych rurkowatych kwiatów obupłciowych, a jego średnica to zaledwie dwa centymetry. Liście są nitkowate, również pozbawione jakichkolwiek walorów estetycznych.

Ma minimalne wymagania glebowe, rośnie wszędzie, gdzie ma dostateczną ilość światła. Na polach i w ogrodach traktowany jest jako chwast, bo ze względu na swoją ekspansywność zagłusza inne rośliny.

W ziołolecznictwie jest skarbem. Ma silne działanie przeciwzapalne, przeciwskurczowe, a nawet przeciwalergiczne. Leczy się nim schorzenia układu pokarmowego – od nieżyty żołądka po hemoroidy. Przeciwzapalne właściwości wykorzystuje się w leczeniu skóry – na rany, owrzodzenia, trądziki i oparzenia słoneczne.

Październik 1928

Antoszka Lipczewska usłyszała dziecięce głosiki i wyszła na ganek. Ścieżką, która przecinając wygon, łączyła wieś z Podpołem, szła dzieciarnia. Maluchy przekomarzały się, przepychały, jak to dzieci. Przymrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Nie. Ani Broneczka, ani Janeczki między nimi nie było. Jakże to? Przecież czas już, by do domu wracali. Poprawiła fartuszek i wyszła na drogę.

– Mikołaj, Mikołaj, a chodźże tu.

Mikołaj Kita powiedział coś do idącej obok niego dziewczynki i rzucił się biegiem ku Antoszce. Mało mu związane paskiem książki i zeszyt się nie

rozsypały.

– Ta powiedz mi, Mikołaju, gdzie to Bronczek i moja Janeczka?

– W kozie!

Antoszkę aż zatchnęło. W kozie? Jakże to? Za co? Przecież grzeczniejszych dzieci nad jej to w całej wsi nie było.

– No nie może to być! Oszukujesz.

Mikołaj zmarszczył brwi, dając tym do zrozumienia, że oskarżenie bardzo go ubodło.

– Pani powiedziała, że do wieczora będą tak siedzieć. To za karę. Drzwi zamknęła.

– Za karę? – To po prostu w głowie się nie mieściło.

Pozostałe dzieci zrównały się z nimi. Patrzyły na Antoszkę trochę z przestachem, a trochę jakby ze współczuciem.

– Idziesz, Mikołaj? – zapytał Franiu Makuch.

Po twarzy Mikołaja widać było, że jest rozdarty wewnętrznie. Chciał dołączyć do dzieci, a nie wiedział, jak się pożegnać z dorosłym.

– Ta idź, idź. Dobrze, żeś mi powiedział. – Antoszka odruchowo przygładziła chłopcu rozczochrane włosięta.

Do wieczora, bez posiłku takie maleńkie dzieci w zamknięciu trzymać! Toż się w głowie nie mieści.

Gdy pakowała do koszyka serek i bułeczki, ręce jej się trzęsły ze zdenerwowania. W głowie miała obraz Bronczka i Janeczki, skulonych w kącie pustej klasy, trzęsących się z zimna, osłabionych głodem. Winy, która wymagałaby tak wielkiej kary, nie była sobie w stanie wyobrazić. Cóż takie tyćciuncie dziateczki mogły zrobić złego? Może innemu dziecku się pokrzywiały. Wprost nieprawdopodobne, bo to bardzo grzeczne i miłe dzieci, niemniej sprowokowane mogły zrobić coś głupiego. Młode wszystko durne – i cielak, i dzieciak, to nie powód, żeby karać. Tłumaczyć trzeba i cierpliwie czekać, aż z głupoty wyrośnie.

Ruszyła przez wygon ścieżką do wsi. Ileż to razy dziennie przemierzało się tę drogę, by nanieść wody. Bywało, że z rana trzeba było i pięć razy obrócić. A to tylko z rana, bo do wieczora to i dwadzieścia, a jak chleb się piekło, to jeszcze więcej razy. Do studni droga łatwa, puste wiadra tylko dzwonią. Ciężko jednak nieść pełne wody, zwłaszcza gdy pod nogami błoto albo grudy pozamarzanej ziemi. Koromysło ugniata barki, woda się rozchlapuje, leje po nogach zimnymi strugami. Zdarza się nawet, że człowiek się pośliznie,

przewróci, wodę porozlewa. Najlepiej mają Pomiechowscy, bo przy samiutkiej studni mieszkają. Dobrze i tym, co w najstarszej części wsi mieszkają, najgorzej tym z Podpoła i Felówki.

Antek Hub namawiał, żeby drugą studnię wykopać. Jeśli oczywiście jest gdzie kopać, bo to przecież nie wiadomo, czy woda pod ziemią płynie. Droga to sprawa takie kopanie. No ale przecież oni tu na Podpołu niebiedni, a i gospodarze z Felówki jeden w drugiego grosz mają. Ależ to by była wygoda mieć studnię pod domem. I aż westchnęła z lubości na taką myśl.

Ścieżką dotarła do gościńca. Po prawej stronie jedno za drugim stały obejścia, dużo ciasniej niż na Podpołu. Miało się wrażenie, że gdyby uciszyć ten zwykły codzienny hałas, który wypełniał podwórka, to z pierwszego bez trudu można by usłyszeć, o czym na ostatnim rozmawiają. Nic dziwnego, że tynczyńscy szukali nowych miejsc, by chałupy budować. Zagęszczało się na Podpołu, na Felówce. Syn Heleny Dymowskiej chciał się na ostrów przenieść. Spojrzała na wzniesione w górę ramię żurawia. Z ostrowa do studni bliżej będzie, pomyślała i poczuła uczucie zazdrości. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że nie ma o co.

Trzeba sprawę wziąć w swoje ręce i na Juliana nacisnąć, żeby chłopów skrzyknął i w sprawie studni się naradzili. Poza nim nikt inny się do tego nie nadaje. Sołtys dwie chałupy od studni mieszka, to mu nowa niepotrzebna. Antek Hub dobry gospodarz i sąsiad, ale do ludzi dziwnie nieśmiały. We wsi się śmieją, że u nich w chałupie Aniela portki nosi. Bo to u jedynych Hubów tak jest? Cóż jednak z tego, że kobita w chałupie wszystkim i wszystkimi rządzi, gdy między ludźmi nikt jej słuchać nie będzie. Choćby nie wiedzieć jak mądrze gadała, pośmieją się i pójdą. Może kogoś takiego jak Teofila albo Pomiechowska to by posłuchali, ale na pewno nie Anieli czy Antoszki. Dlatego takie sprawy trzeba przez chłopą załatwiać. Przez Juliana znaczy.

Minęła karczmę, nawet nie spojrzawszy w tamtą stronę. Dobrze, że Lipczewscy jej się wyzbyli. To tylko grzech i obraza boska. Teofila za nią płakała, Jaśko żałował, ale Antoszka była zadowolona. Pijaństwo – grzech najcięższy ze wszystkich. Aż dziwne, że Pan Bóg nie od niego zaczął przykazania. Może w czasach, gdy je Mojżeszowi dyktował, nie było gorzałki? Teraz ludzie dużo pili, co skutkowało tym, że wszystkie przykazania łamali. No bo czy trzeźwy obrazi ojca lub matkę swoją? Nie obrazi. A pijany zaraz naubliża tak rodzicom, jak i żonie, a nawet dzieciom. Czy trzeźwy ukradnie? Jeśli złodziej, to tak, ale gdy człek uczciwy, to będzie

się wystrzegał. Pijak na wódkę kraść będzie, a może i bliźniego przez nią zamordować. O Panu Bogu zapomni, bo dla niego nowy bożek nastanie, a imię jego siwucha. Kto nie pije, ten się dorabia, ludzi szanuje i sam jest szanowany. Ten, kto pije, to nawet splunięcia niewart.

Skręciła z gościńca na plac przed szkołą. Pusto tu teraz było, cicho. Wszystkie dzieci dawno w domach, a Antoszkowe skarby zamknięte.

Szkoła stała na niewielkim podwóreczku. Gdyby to od Antoszki zależało, to ona nawet takiego spłachetka ziemi darmo by nie dała pod szkołę czy nie pod szkołę, przecież cała wieś korzysta, mogli się złożyć i coś Lipczewskim zapłacić. Teofila jednak uparta. Chciała dać, to dała, nie chciała pieniędzy, to i nie wzięła. Trudno. Może za tę dobroć Pan Bóg w niebie jakoś ją wynagrodzi, bo od ludzi czekać wdzięczności to darmowa robota.

Z gościńca schodziło się na wybrukowaną ceglami dróżkę. Wiosną zakwitały przy niej śnieżynki, później żonkile. Po jednej jej stronie był ogródek nauczycielki, w którym sadiła warzywa, po drugiej uczniowski, z klombem na środku. Na klombie rosła wielka czerwona piwonia. Uczniowie sadzili różne kwiaty, co tam im matki z ogródków dały. Ścieżka wiodła do trzech schodków, prowadzących na ganek. Był on do połowy murowany z czerwonych cegieł, a ponad nimi, aż do dwuspadowego daszku, została rozpięta drewniana kratownica, po której wił się niebieski powój. Sam budynek był duży i elegantszy od jakiegokolwiek chłopskiej chałupy. Wzniesiony na podmurówce, zawsze pobielonej, że aż po oczach biło, z porządnymi, szerokimi brusów, szalowany. Drewno z czasem pociemniało, przyjmując barwę głębokiego brązu, od którego odcinała się i podmurówka, i białe malowane okiennice. W chłopskich chałupach okiennice mało kto zakładał, po cóż, kiedy okienka maluteńkie. Jednak szkolny budynek miał duże okna, trzeba je było zabezpieczać przed wiatrem i gradem.

Za szkołą stała obórka. Postawiono ją z tych brusów, które po budowie szkoły zostały. Budynek podzielono w środku na trzy części. W jednej składowano opał, dwie pozostałe nauczycielka mogła zagospodarować, jak chciała. Toteż w jednej trzymała krowy, a w drugiej świnie. Mądre to było, bo choć kobiety z całej wsi nosiły jej różne produkty, najlepiej mieć swoje i od nikogo nie być zależnym, zwłaszcza gdy przednówek przyciskał. Z prawej strony obórki stała zadaszona wiatka, w której składowano siano, na lewo zaś znajdowała się podzielona na dwie części latryna. Jedna część, wysprzątana i pobielona, była dla nauczycielki, druga, zwyczajna, dla

uczniów.

Do budynku szkoły wchodziło się przez ganek. Za solidnymi drzwiami był długi korytarz, a na jego końcu znajdowały się schody prowadzące na strych. Antoszka była tu kilka razy na rozmaitych akademiach, na których dzieci śpiewały i recytowały wierszyki, i zawsze ją ten korytarz przygnębiał. Taki ciemny i smutny. Zupełnie inna była klasa. Przez okna wpadało do środka dużo światła, na ścianach wisały mapy, portrety ważnych ludzi, jakieś historyczne obrazy, a pod tym wszystkim dziecięce malunki. Przyjemnie było patrzeć. W kącie tej wielkiej na pół budynku sali stał kaflowy piec. Na środku rzędami ustawiono ławki, a pod oknem biurko nauczycielki.

Za każdym razem, gdy Antoszka tu wchodziła, zachwycał ją ten spokój i porządek. Żałowała, że nie mogła tego w dzieciństwie doświadczyć. Byłaby z niej najlepsza uczennica w całej klasie. Wyobrażała sobie, że siedzi w takiej właśnie drewnianej ławce, blacik podnosi, kartkę ze środka wyjmuje, kałamarz ustawia w tym wgłębieniu na środku ławki, prosi dyżurnego, by atramentu nalał, stalówkę obsadza, w kałamarzu macza, bibułą osusza, żeby przypadkiem kleks nie spadł. Teraz inne czasy, pomyślała. Kiedyś, nawet jak człowiek chciał się uczyć, to nie mógł. Tyle dobrze, że teściowa ciotuni akuszerstwa nauczyła. Dzięki temu człowiek ma szacunek, a jak położnica dojdzie do siebie, to zawsze coś tam przyniesie, żeby się odwdzińczyć za pomoc. No i napatrzy się człowiek na ten cud narodzin. Niby zawsze to samo, a za każdym razem inaczej. Jedna rodzi długo, inna mig i już dziecko wypchnięte. Jedno urodzi się śliczne, a potem zbrzydnie, inne paskudne, pomarszczone, choć weź i z powrotem wsadzaj, żeby nie trzeba było patrzeć, ale z czasem się rozprostuje i wypięknieje.

Zdarzały się rzeczy dziwne, smutne, straszne, takie, o których akuszerka od razu chciała zapomnieć.

Bywało też śmiesznie. Razu pewnego zawołali Antoszkę do Mikulina, do Zabawskich, krewnych Teofili. Ciężarna nijak sama urodzić nie mogła. Nic dziwnego, z bliźniakami trudna sprawa. Noc już ciemna była, z tej świeczki, co na stole, ledwo, ledwo światła, no ale w końcu urodziło się pierwsze dziecko, chwilę za nim drugie. Wtedy chłop „puch” – świecę zdmuchnął.

– Co wy stali robić? – krzyknęła Antoszka.

– Do światła idą. Trza zgasić, bo do rana się to nie skończy.

Ciemny był jak ta tabaka. Myślał, że noworodki jak te ćmy, do światła się pchają. Aż uwierzyć trudno. Całe życie człowiek między zwierzętami jest,

patrzy, jak ze sobą obcuja, jak na świat przychodzą, rosną i umierają, a nie potrafi w tym porządku siebie zobaczyć. Wydaje mu się, że u człowieka to inaczej niż u zwierząt. Dobrze, że teraz szkoła obowiązkowa. Może się jednemu z drugim we łbie rozjaśni.

Złapała za klamkę w drzwiach prowadzących do szkoły, lecz były zamknięte. Wychyliła się z ganku, jak mogła najdalej, by zajrzeć w szkolne okno, jednak nic widzieć nie mogła.

– Bronek, Bronek! Jesteś tam?

Najpierw nic, ale zaraz rozległo się szuranie i w oknie pojawiła się twarzyczka. Jakież on śliczny, pomyślała Antoszka. Taka buzia malutka, oczka czarniutkie jak węgielki, a tyle w nich mądrości, choć ma dopiero dziesięć lat. Włoski ciemne, kędzierzawe, ot, będą się panny za nim oglądać.

– Co tam, syneczku? Głodnyś? – zapytała, choć dobrze widziała, że głodny. Mizerniutko wyglądał, oczka mu się zapadły. – Janeczka z tobą?

Bronek kiwnął głową.

– Ta serka przyniesłam i bułeczki. Zaraz sobie podjecie. Nic się nie bój, mamcia tu jest, krzywda wam się nie stanie.

Zeskoczyła ze schodków i pobiegła na tyły, gdzie było wejście do mieszkania nauczycielki. Prowadziły do niego też drzwi ze szkolnego korytarza, ale skoro szkoła zamknięta, to wiadomo, że się tamtędy nie wejdzie.

Do mieszkania wchodziło się przez przybudówkę. Drzwi do niej były otwarte. Stała tam ława, na niej wiadra z wodą, a na ziemi skrzynka. Na ścianie na haku wisiał płaszcz, w kącie stała mietlicowa miotła. Wszystko to, co musi być pod ręką, trochę przedmiotów gospodarskich, trochę domowych. Ot, zwyczajny bajzel, jak w każdej sieni. Z owej przybudówki wchodziło się do kuchni. Dalej były dwa pokoje, ale tam nikt ze wsi nigdy nie wchodził, bo i za czym?

Antoszka otworzyła drzwi i stanęła na progu między przybudówką a kuchnią.

– Niech będzie pochwalony! – krzyknęła, by obwieścić swoje przybycie.

Zaraz też w kuchni zjawiała się nauczycielka.

– Dzień dobry, Lipczewska. A co was sprowadza?

– Co sprowadza? Ta pytają, co sprowadza! Tacy niby uczeni, a rozumu ani krzty! Dzieci maleńkie w kozie zamknąć? Bez kromczyny chleba, bez tego napaściczka wody? Toż pomdleć z głodu mogły! Pomyśleli, co by było,

gdyby pomdlały? Broneczek aż siny. Oczka mu się takie wielkie zrobiły. Patrząc nie mogłam, bo mi się serce krajało. Oni bez serca są. Swoich dzieci nie mają, to matki nie rozumieją. Dochowają się swoich, co daj Panie Boże, to rozumieją. Tyciuńcie dzieci zamykać, jak jakiś rzezimieszków.

Po twarzy nauczycielki widać było, że z każdym słowem Antoszki coraz bardziej żałuje swojego uczynku. Zamiast jednak w dyrdy pobiec do szkoły i więźniów uwolnić, zaczęła tłumaczyć.

– Ja ostrzegałam, że tak zrobię. Janeczka nie nauczyła się tabliczki mnożenia. Powiedziałam Bronkowi, że jeśli siostry nie przypilnuje, to za karę oboje ich zamknę w kozie.

Antoszką aż zarzuciło z nerwów.

– Sami się powinni zamknąć w kozie. Ta skoro dziecko się nie nauczyło, to znaczy, że albo za małe jest i to nie na jego głowę, albo z nich kiepska nauczycielka. Niech się nad tym zastanowią. A dzieci mnie natychmiast wypuścić!

Tamta chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Antoszka podniosła koszyk w górę, dając znak, że jeśli usłyszy jeszcze choć jedno słowo, to zdzieli nauczycielkę tym koszykiem jak nic.

Chwilę później dzieci były wolne. Przybiegły do Antoszki jak te pisklęta do kwoki.

– Ta moje biedactwa! Głodne, zmarznięte. Serka wam przyniosła i bułeczki, ta jedzcie na zdrowie. A nic się nie bójcie, mamcia przed wszystkim obroni. – Całowała ich główiny. – Moje skarby najdroższe.

Broneczek łapczywie gryzł bułkę.

– Nie moja to wina – mówił, żując. – To wszystko przez tę durną sikse. Takie to mnożenie łatwe, a ona za nic pojąć nie potrafi. Ja wszystko umiem. Niech mnie mamcia zapytają, ile jest trzy razy osiem. To łatwe. Dwadzieścia cztery. Może być coś trudnego. Sześć razy siedem. Czterdzieści dwa. Nawet jakbym zapomniał, to sobie pomnożę siedem razy trzy, to dwadzieścia jeden, a dwa razy dwadzieścia jeden to czterdzieści dwa. Całą tabliczkę mnożenia umiem.

– No widzisz, jaki ty mądry. Ty się ucz. A Janeczka ładna, zaraz się dla niej kawaler znajdzie. Wyda się ją za męża, będzie gospodynią. Do dojenia krów ta cała tabliczka niepotrzebna.

Rozdział piąty



Zawijas to popularne danie z chłopskiej kuchni, które odeszło w zapomnienie. Przygotowywano ciasto jak na pierogi, rozwałkowywano je cienko, na to nakładano farsz z ziemniaków tartych jak na placki, odparowanej kaszy gryczanej i białego sera, doprawionego solą i kminkiem. Zawijano całość jak struclę, krojono na dwucentymetrowe paski i na chwilę wrzucano do wrzątku. Wyjęte układano na blasze przetartej skórą słoniny i pieczono w piecu, aż się zarumieniły. Kraszono masłem, podsmażoną cebulą, śmietaną albo jedzono bez okrasy.

Wrzesień 1929

Gala Mazurowa sapnęła. Niby wrzesień, a upał jak w sierpniu. Nic to ten pot, co spływa po plecach, bo wsiąknie w spódnice, najgorszy ten, co po twarzy się leje, bo spływa do oczu i piecze ogniem. Usta wysusza, aż robią się jak ta stara bibułka, co się ją z okna zdejmuje. Na domiar złego chustka na głowie się przesuwająca, na oczy opada i widać tylko tyle, co pod nogami. A tu do domu jeszcze kawał drogi. Kusiło, by te sznurkiem powiązane fasolowe krzaczkę, co je na plecach niosła, odłożyć. Szkoda jednak, bo wysuszone strąki pękały przy byle dotyku i ziarno się rozsypywało. Czemuż taka durna była i gdy Kajtek pytał, czy fasolę wozem zwieźć, odmówiła? A bo to on nie miał roboty? Zboże trzeba młócić, zagaty pleść, poszycie na dachu poprawić, przecież zima idzie. Ze wszystkim trzeba się uwijać, jesień bywa kapryśna. Dziś upał, jutro może być wiatr, deszcz, a nawet przymrozek. Dlatego chłop robi swoją, chłopską robotę, a baba swoją, babską. Jak świat światem Gala

nosiła z pola mak, fasolę, sakówkę. Znow sapała. Tyle że młodsza była. Lat nie ubywa, tak to już jest. Z roku na rok te same zajęcia zajmują więcej czasu, szybciej siły odbierają.

Wciąż pamiętała swojego Prokopa, gdy w letni czas po wsi chodził i z dumą mówił: „A cóż to dla mojej Gali sto snopów przerzucić? Powiadam wam, nic. Siły w rękach ma więcej niż niejeden chłop. Taka to moja Gala”. To wspomnienie wywołało uśmiech, ale i ścisnęło w gardle. Och, Prokop, Prokop. Dziewiąty rok, jak ciebie na świecie nie ma, a ja wciąż pamiętam, westchnęła, a po jej policzku spłynęła nie wiadomo, czy kropla potu, czy łza.

Na początku wcale a wcale jej się nie podobał. Było w nim coś z dzikiego zwierza, wilka albo niedźwiedzia. Wysoki tak, że po izbie musiał chodzić zgarbiony, głowę wciskał między barki i wyglądał, jakby lada chwila miał się na człowieka rzucić. Gdy siadał na ławie, ta jęczała żałośnie, przytłoczona ciężarem. Po kątach wodził oczyma o barwie piwnej, bardziej żółtej niż brązowej, i dzikość w nich błyskała. Od czasu do czasu przyglądał długie, sumiaste wąsy łapą wielką jak ceber i owłosioną po koniuszki palców. Jakże tej ładnej pannie, jaką była Gala Śrutwa, mógł się podobać taki kawaler? Zwłaszcza że kręciło się koło niej wielu i ładnych, i zamożnych. I wesołych, bo Prokop nie dość, że wielki był jak góra, to jeszcze posepny. Niewiele mówił, żartować nie chciał, tańczyć nie umiał.

Było w nim jednak coś takiego, co kazało Gali wodzić za nim wzrokiem. Nie od razu, ale powoli zaczęła dostrzegać to, czego ani na pierwszy, ani nawet na drugi rzut okiem nie zauważysz. Prokop bardzo dbał o swoich ojców. Wyrecał ich we wszystkim, bo nie byli już młodzi. Nie wstydził się babskich prac i czasem można było zobaczyć, jak portki na tarze trze albo lniane płótno na sznurze rozwiesza. „Takem płakała, gdy na stare lata Pan Bóg postanowił mi dać jeszcze jedno dzieciąteczko, ale wiedział On, co robi, bo bez naszego Prokopa to byśmy z moim starym przepadli”, mówiła stara Mazurzycha.

A Gala słuchała tych słów i myślała o niedźwiedziowatym chłopaku, który sadza sobie maluchy na plecach i biega tak gościńcem, a śmiech dzieci niesie się hen, aż pod mikulińską górę. Widziała też Prokopa, jak bez słowa podchodził do kobiety z koromysłami, brał je od niej i niósł aż pod dom, a wylewne podziękowania zbywał machnięciem ręki. Widziała, jak skończywszy swoje żniwa, chodził od sąsiada do sąsiada, by pomóc, i nie oczekiwał za to ani pieniędzy, ani odrobku.

Pamiętała pewien letni wieczór, tuż po zachodzie słońca, kiedy, choć zmęczona całym dniem ciężkiej pracy w upale, wciąż nie chciała wchodzić do izby, by kłaść się spać. Na zewnątrz zaczynało się robić rześko, w izbie było gorąco i duszno. Gala słuchała miarowych posapywań matki i chrapania ojca. Jeszcze nie tak dawno mieszkał z nimi brat, ale jesienią się ożenił i teraz spał we własnej chałupie, z własną żoną i maluteńkim dzieciątkiem w kołysce. Już i na mnie czas, pomyślała. I jakoś jej się tak smutno zrobiło, bo nie chciała opuszczać ojcowskiej chałupy, nie pragnęła dorosłości ze wszystkim, co ta ze sobą niosła.

Od strony drogi dobiegło ciche pogwizdywanie. Podniosła głowę. W ciemności dostrzegła człowieka. Pewnie kogo innego by nie rozpoznała, ale wielka niedźwiedzia sylwetka nie pozostawiała wątpliwości, kto gwizdże.

Coś kazało Gali poderwać się i biec za nim. Dopiero gdy pod stopami poczuła pył gościńca, zdała sobie sprawę, jakie to głupie. Jakby się matka dowiedziała, dałaby jej, och, dała. „A cóż ty we łbie masz, dziewczyno, żeby za Prokopem Mazurem nocą po wsi latać? Toż cię ludzie obśmieją. A niechby się Pomiechowska dowiedziała, jęzor by na tobie wystrzępiła”. Stała i chciała cichcem wrócić na własne podwórze. Tymczasem gwizdanie umilkło, Prokop również przystanął. I tak stali w ciemności, nie dalej niż dziesięć kroków od siebie.

– Kto tu?

– To ja, Gala.

– Oj, Gala, Gala – powiedział z nieskrywaną wesołością w głosie. Znow rozległo się gwizdanie. Zrazu bliskie, głośne, cichło, gdy Prokop się oddalał. Zastłuchana, dopiero gdy całkiem umilkło, zdała sobie sprawę, że w pobliżu coś straszliwie dudni. To jej serce biło jak dzwon kościelny. Przyłożyła rękę do niego, próbując je uciszyć, ale nic to nie dało.

Tamtej nocy sen nie przyszedł.

– Czemuż u ciebie takie oczyska podkrążone? – zapytała matka.

– Spać nie mogłam.

– A czemuż ty spać nie mogła? – Matka patrzyła na nią podejrzliwie.

– Zaduch w izbie.

– Wcześniej ci nie przeszkadzał.

– I ojciec chrapali.

To kolejne tłumaczenie tyle dało, że przez cały dzień Gala była bacznie obserwowana przez matkę, a wieczorem przypilnowano, by pierwsza spać się

położyła, po czym ojciec drzwi zamknął na haczyk.

Niczego to nie dało, bo wory pod oczami Gali nie były spowodowane tym, o co podejrzewała ją matka. Dlatego też sen nie przyszedł, a rano przyniósł jeszcze większe zmęczenie niż poprzedni.

– Nie ma rady – powiedziała matka przy wieczerzy. – Widać чуć się w niej odezwała. Za mąż trzeba nam ją wydać jak najprędzej, zanim wstydu narobi. Chmielu jej naparzę, trochę się uspokoi i może jakoś wytrwa w cnotce do ślubu. Przez którego to spać nie możesz? – zwróciła się do córki, ta jednak pokręciła głową. – Przyznaj się, który tak ci w głowie zawrócił?

– Żaden.

– Żaden ci się nie podoba? No masz tobie! Tak to z tymi dzieciakami, małe czy duże, tylko kłopoty. Póki z domu nie wypchniesz, póty zmartwienia.

Sprawa rozwiązała się w niedzielę. Prokop Mazur swatów przysłał. Dziwiła się matka, dziwił się ojciec, oboje przekonani, że córka powie „nie”. Gala jednak zarumieniła się jak wiosenna zorza i oświadczyła, że za żadnego innego iść nie chce.

Gdy jesienią odbywało się wesele, to tak już kochała swojego Prokopa, że poza nim świat dla niej nie istniał.

Dobrze im było razem, oj, dobrze. Choć i ciemne chmury nad nimi wisiały, gdy jedno dzieciątko po drugim ledwo urodzone świat opuszczało. Nawet teraz, choć to już tyle lat, Gala czuła ból w piersi i nie potrafiła o nich pomyśleć, by jednocześnie modlitwy za ich duszyczki nie zmówić. Stratę Pan Bóg wynagrodził tymi, które szczęśliwie przeżyły. Kajtek był całkiem jak ojciec, dobry, uczynny, cichy i cierpliwy. Wietka... Gala westchnęła. Nie była to zła dziewczyna, tylko pusta. Z charakterem wdała się całkiem w młodszą siostrę starej Mazurzychy, co za brata Henia Domańskiego poszła. Teraz ludzie tego nie pamiętają, ale w młodości ona i babka Połajowa szalały we wsi jak nikt przed nimi i nikt po nich. Gala wiedziała to od matki, która od czasu do czasu wspominała grzeszne zachowania obu kobiet. Później za mąż powychodziły, ucichły, spokorniały, a stara Połajowa to prawie święta się zrobiła. Ludzie we wsi podziwiali jej religijność, bo kto tamte dawne czasy pamiętał? A to kawał cholery był, i jeśli teraz taka zamodlona, to widocznie wstyd za grzechy poczuła i pokutowała.

Gala znów westchnęła, przytłoczona nie tylko ciężarem fasolowych snopków, które w płachcie taszczyła, ale też ciężarem wspomnień i myśli. Martwiła się o swoje dzieci. Źle, gdy jedno z małżonków samo na świecie

zostanie, bo ciężar rodzicielstwa to zbyt wiele na jedną osobę.

– To już dziewięć lat, jakieś mnie zostawił – powiedziała ni to do siebie, ni do męża. – Byłam wtedy kobietą w sile, Kajtkowi wąż się sypał, a Wietka jeszcze dzieckiem była. A dziś ze mnie stara baba. Nie poznałbyś, gdybyś zobaczył.

Łza, bo teraz niewątpliwie była to łza, stoczyła się po policzku kobiety.

W tysiąc dziewięćset czternastym Prokopa wzięli do wojska. Płakała Gala, włosy z głowy darła, a on wziął ją w ramiona, w oczy spojrzął i przyrzekł, że wróci. I wrócił, bo bolszewiki woleli z carem wojować niż z ościennymi mocarstwami. Wydawało się, że wszystko dobrze będzie, wojna się skończyła, nastąpiła nowa Polska, wolna i niepodległa. I wtedy te cholerne bolszewiki zapomniały o swoich zapewnieniach z siedemnastego roku. Nic dziwnego. Na świecie jest kilka rzeczy, w które wierzyć nie wolno, a pierwszą z nich jest to, co z ust bolszewickich wychodzi. Zagarnąwszy Ukrainę, zapragnęli Polskę włączyć do swego raju na ziemi. Nikogo nie dziwiło, że trzeba ich zatrzymać, i Gala nie broniła Prokopowi iść do wojska. Gdy się żegnali, kazała mu przyrzec, że wróci.

– To wojna, Galu. Obiecać ci nie mogę.

– Ostatnim razem przyrzekłeś.

– Bom nie wiedział, na co się piszę. Teraz już wiem...

Gdyby nie pozwoliła mu iść na tę wojnę albo gdyby wymusiła na nim przysięgę, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Ilekroć o tym myślała, czuła na sercu ogromny ciężar, jakby to jej winą była śmierć ukochanego męża.

Gdy żałoba minęła, ten i ów pytał, czy drugi raz za męża by nie poszła. Wojna zdziesiątkowała nie tylko chłopów. Głód, zarazy, tułaczka zabierały z tego świata kobiety, które zostawiały mężów i dzieci. Niebiedna, silna i robotna wdowa mogła liczyć na szybkie zamążpójście. Były takie, co się wydawały, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jakaż różnica, czy w chałupie dwoje, czy troje albo i sześcioro dzieci? Tylko gar większy trzeba na piecu postawić. Gęb do wykarmienia więcej, ale i pola więcej. Roboty więcej, za to w chałupie chłop, co najcięższe prace weźmie na siebie. O opał zadba, koni dogładnie, porze, zasieje, siana przydaba, żniwa zrobi.

Gala jednak nie potrzebowała chłopca, bo miała Kajtka. Syn, jak umiał, wszystkim się zajmował. Z początku słabo sobie radził, nic dziwnego, dzieciak był z niego jeszcze. Czasem w nocy ciszę mąciło jego szlochanie. Nigdy jednak złego słowa od matki nie usłyszał. Gala dotąd pamiętała, jak

chodziła po sąsiadach i prosiła, by jej synowi dobrych, gospodarskich rad udzielali.

Kajtek w polu, Gala w obejściu, Wietka w chałupie, każde z nich miało swoje zajęcia. Lubili się wzajemnie i o siebie dbali. Gdybyż mogło tak być zawsze, gdyby można było zatrzymać czas. Ten jednak płynął nieubłaganie, jak szarozielone wody Huczwy. Wietka stała się już panną. Kajtka ten i ów nazywał starym kawalerem, a ponieważ tkwiła w tych słowach prawda, nawet nie należało się o to obrażać. Gala się postarzała i kiepska była z niej pomocnica.

Bywało w życiu tak, że brat z siostrą się nie żenili, tylko żyli pod jednym dachem, jedno o drugie się troszcząc i jedno drugiemu dając wsparcie. Gdyby Gala wiedziała, że z jej dziećmi tak się stanie, spokojnie czekałaby na śmierć pewna, że Kajtek i Wietka zaopiekują się sobą wzajemnie. Znała jednak córkę, widziała jej wady. Kajtek był dla siostry zbyt dobry. Trzeba jej było solidnego chłopca, mądrego, łagodnego, ale i stanowczego. Tylko taki miał szansę poskromić tę dziewczynę.

– A i memu Kajtusiowi trzeba by kogo znaleźć. Bo jeśli ja mu żonki nie znajdę, sam się o nią nie postara.

– A cóż wy tam gadacie? – rozległ się za Galą znajomy głos.

– Modłę się – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

– O co wy się modlicie?

– O szczęśliwe rozwiązanie dla mojej krowy.

– Jakże to? Wasza krowa cielna? Toż nie tak dawno ja u was cielaka oglądał. Nie może to być.

Gala się roześmiała. Nie ona jedna lubiła stroić sobie żarty z faktora Natana. Nie było tygodnia, żeby któryś z żydowskich handlarzy nie zjawił się we wsi. Byli tacy, co kupowali stare garnki i szmaty, a także tacy, co handlowali nowymi garnkami i materiałami. Byli też inni, jak Natan, faktorzy, kupujący zboże, groch, mak, kury, gęsi, konie, krowy, kozy i owce, jednym słowem wszystko to, co ludzie mieli na sprzedaż. Tylko świnie nie interesowały handlarzy. To właśnie było tematem najczęstszych żartów. Gdy Żyd pytał chłopca, czy ten ma co w oborze, w odpowiedzi słyszał, że i owszem.

– Może by my pohandlowali? Pokażcie, gospodarzu, co tam macie.

– A pokażę, co mam nie pokazać. Tanio sprzedam, bo mnie pili. Pieniądzy mi trza.

Wchodzili do obory i chłop z dumą pokazywał a to wieprzka, a to maciore albo parę różowych prosiąt. Żyd ręce wyrzucał do góry, krzyczał „aj waj” i zaklinał się, że w tym gospodarstwie jego noga ani noga żadnego z jego znajomych nie postanie, bo to głupie żarty, takiego poważnego gospodarza niegodne.

Jednak mimo owych przysięg zjawiał się w następnym tygodniu. Więcej, bywało i tak, że nawet jeszcze tego samego dnia na co innego ubił interes z owym żartownisiem.

– A tego cielaka toście już komu sprzedali? – zapytał Natan.

– Nie.

– Ile byście za niego chcieli, gosposiu?

– To se z gospodarzem gadajcie.

– A to wy nie gospodyni?

– Nie.

Żyd zamruczał coś pod nosem.

– Wasz chłopak nie chce go sprzedać. Przecie ja bym uczciwe pieniądze dał. Pogadajcie z synem.

Gala westchnęła.

– Jak gospodarz mówi, że nie na sprzedaż, to nie na sprzedaż – odparła. Stanowczość w jej głosie nie zrobiła wrażenia na faktorze. Przekonywał i namawiał, aż doszli do obejścia Mazurów.

– Pomyślcie, com wam gadał, gosposiu. Teraz idę do Jadźki Adamczuków. Krowa jej się ociełiła. Sprzeda mi ona cielaka. Dobry to cielak, od tej krowy, co to ją od Kornelowiczowej dostała. To już drugi. Poprzedniemu kupił, bo byczka nie chciała hodować. Teraz też gadają, że byczek. Z waszym to bym miał dwa. Dla dwóch warto się fatygować. A dla jednego? Nie wiem, nie wiem. Szybko się namyślajcie, bo potem nie kupię.

– Idźcie z Panem Bogiem – pożegnała go Gala, zdejmując z pleców płachtę. Nie wiedziała, czy bardziej cieszyła się z pozbycia ciężaru, czy z odejścia uprzykrzonego faktora.

Rozwiązała powróż i zaczęła nosić snopki, jeden po drugim, pod okap. Miejsce już się znalazło, bo mak, który wcześniej tam stał, powiązany w małe, smukłe snopeczki, już wysechł i można go było wyterebić z główek. Teraz będzie schnąć groch, a z nim fasola i sakówka. Szeroki okap słomianego dachu chronił snopki przed deszczem, mogły spokojnie dochodzić w ciepłe pierwszych wrześnieowych dni. Gdy doschną, oberwie się

strączki, a łądygi będą dla krów. Dobra to pasza dla bydła, pożywna. Gospodynie były zadowolone, gdy dużo jej miały, bo mniej śrutę schodziło, a sierść na bydle błyszcząca, jakby świeżą trawą je karmiono.

Dobrze, że ciepło, szybko wyschnie to wszystko i raz-dwa się uprzątnie, bo roboty teraz, nie wiadomo w co ręce włożyć. Tu groch, tam len, zaraz trzeba będzie słomę i liście za zagaty upychać, dziury mchem zatykać, a na ścianach wciąż bakun wisi. Z wyrzutem spojrzała na brązowe liście, nanizane na drut, który u Julka Lipczewskiego wyprosiła. Do suszenia bakunu cieniutki drut najlepszy, ale dostać go nie można było, zresztą kogo na niego stać. Gdy chmiel z podpór zdejmowali, zostawało sporo tego drutu, bo się płątał i rwał, więc jeśli kto był w przyjaźni z połowym, to mógł liczyć, że kawałek dostanie. Gala nie była, ale jak wiele rzeczy w życiu, tak i ten drut wyprosiła. Jeśli jesteś wdową z dwójką dzieci, musisz się nauczyć różnych ludzi o pomoc prosić, inaczej przepadniesz.

Jak my się ze wszystkim obrobimy?, zapytała samą siebie. I natychmiast dodała sobie otuchy, przecież to ani pierwsza, ani ostatnia jesień w ich życiu. A jeszcze wieprzka trzeba zaszlachtować. Z tym to będzie zawierencji. No ale to trzeba odłożyć na czas, gdy się zimno zrobi.

Bez względu na to, jak gorąco utrudniało prace, ciepły wrzesień był sprzymierzeńcem. Suszył otawę, snopki lnu i fasoli, wszystko to, co wcześniej zebrano, dochodziło. Owoce pokrojone w kawałki migiem schły na wielkich płachtach, czasem tak dobrze, że później nie trzeba ich było w piecach dosuszać. Na wykopki też ładna pogoda potrzebna. Żadna to przyjemność chodzić po polu, gdy grzbiet mokry, po twarzy woda płynie, a mazista ziemia oblepia nogi, ręce, ubrania. W deszcz przy kopaniu zmęczy się człowiek trzy, a może i cztery razy bardziej niż w słońcu, bo i każdy koszyk kartofli, każdy burak trzy razy więcej waży. Na samą myśl o wykopkach Gali dreszcz przeszedł po plecach. Ciężko będzie, oj ciężko.

– Starzejesz się – powiedziała do siebie. – Gospodarz młody, a pomocy w tobie nie ma żadnej, boś stara baba i rady nie dajesz. Nie masz już w sobie tej krzepy, co dawniej, oj nie masz.

Żal ścisnęła ją za gardło, no bo jakże to tak? Kochała swego Kajtka, chciała dla niego jak najlepiej, pragnęła pomóc we wszystkim, a rady nie dawała. Przyniosła parę snopków z pola i ledwo dychała.

– Jemu gospodyni trzeba. I to już, bo za rok czy dwa za późno będzie.

W tym momencie przez głowę przebiegło jej kilka myśli, podobnych stadu

spłoszonych koni. Pomyślała o krowie Jadźki Adamczuków i cielaku stojącym w ich ciemnej oborze, o samej Jadźce, cichej i spokojnej, a na koniec o wieprzku.

– Trza się z tym szlachtowaniem wstrzymać. Jesienną bidę opędzi się rybami. Mięso może być potrzebne na wesele.

Jutro z samego rana pobiegnie do Adamczuków. Dowie się, co i jak z tą ich Jadźką.

Rozdział szósty



*Pod niebem, co jesiennym siąpi kapuśniakiem,
Na sejm zlatują wrony w żałobnym zespole
I z krzykiem krążą nisko nad kobiet orszakiem,
Rozpinając swych skrzydeł czarne parasole.*

*A robotnice w twardym, cierpliwym mozole,
Okryte – każda innym – barwistym wełniakiem,
Dziobią pilnie motyką ziemniaczane pole,
W miękkiej ziemi stopami zaparte okrakiem.*

*Pośród mgły i szarugi, przemokłe do nitki,
Grudy grzęd rozgarniają schylone najmitki
I spod zeschniętych badyli i płytkich korzeni*

*Zbierają krągłe bulwy, jak jaja spod kwoki,
I rzucają je w wiadro lub ceber głęboki,
Co głucho grzmią jak bębny na odmarsz jesieni.*

Leopold Staff, *Kartoflisko*

Wrzesień 1929

Ażeby cię pokręciło, zarazo jedna – krzyknęła Jadźka Adamczukówna.
I zadarłszy spódnicę, by się nie plątała między nogami, ruszyła biegiem

przez sad. Przeskoczyła dziurę w mostku i dopadła do ogrodzenia. Walcząc ze spódnicą, wdrapywała się na płot. Skrzyknął ostrzegawczo, ale ona już zeskakiwała na drugą stronę. Biegła drogą, teraz wolniej, a gdy znalazła się na gościńcu, zaczęła iść. W końcu przystanęła, poprawiła spódnicę i serdak. Zdjęła z głowy chustkę i przyglądała włosy.

– Ażeby cię, durna jędzo... – rzuciła za siebie.

Ludzie, którzy mówią, że Zośka niczego złego nie zrobi, powinni zobaczyć Jadźczyne łydki, wysmagane pokrzywami. Niby to durne, a cwane, pomyślała. Zupełnie nie spodziewała się ataku. Gdy przyszła do pani Marty, Zośka, przywitawszy się grzecznie, oświadczyła, że pójdzie do siebie.

– Ty ciągle do mnie przychodzisz, Jadziu – powiedziała pani Marta z takim smutkiem w głosie, że aż za serce chwyciło. – A ja nie mam pieniędzy, żeby ci zapłacić.

– Ja nie za pieniędzmi przychodzę. Tylko żeby gniewu Bożego nie było. Grzech to o bliźniego nie zadbać, gdy tak jak... – urwała. Przecież pani Marta dobrze wiedziała, co się z nią dzieje.

– Nie skarzę się. Był grzech, musi być i pokuta.

Pewno musi, ale czy nie powinna być współmierna do winy? Cóż ta piękna kobieta mogła zrobić złego, że tak została pokarana?

Jadźkę długo męczyło wspomnienie tamtego letniego dnia jeszcze z czasów wojny. Biegła do Kornelowiczów taka szczęśliwa. I dumna, bo przecież ona pierwsza z całej rodziny znalazła płatne zajęcie. Starsze siostry w domu siedziały, a pani Rządcowa właśnie małą Jadźkę wzięła do pilnowania dziecka.

– To skąpiradło – mówiła Wera. – Dlatego ciebie zgodziła. Mnie by musiała dwa razy tyle zapłacić. – Znać było jednak, jak bardzo młodszej siostrze zazdrości.

Męczące miała zajęcie. Chłopiec ruchliwy, ciekawski, a Jadźce nie wolno było jednego słowa mu powiedzieć. Musiała przekonywać i prosić, by dziecięcych pomysłów zaniechał. Wciąż pamiętała tamten strach, który towarzyszył jej każdego dnia. Co będzie, jak dziecka nie dopilnuje i malec zrobi sobie coś złego?

Tak wtedy było ciepło, tak przyjemnie. Pani pojechała do Łaszczowa. Ze trzy razy powtarzała, żeby Henia od słońca chronić. I Jadźka chroniła, jak Bóg na niebie, chroniła. W śmierci chłopca żadnej jej winy nie było. Przecież gdyby była, pani Marta powiedziała by jej jakieś złe słowo, prawda? To przez

Zośkę, wszystko przez nią. To ona pozwoliła chłopcu po ogrodzie biegać. Zaparzył się. Serce gorąca nie wytrzymało. Tak było. Tak być musiało, bo jeśli było inne wyjaśnienie, jeśli to ona, Jadźka, nie dopilnowała, jeśli...

Próbowała odgonić te myśli, tak jak odgania się wrony, które obsiadły zagon, świadoma, że tak w jednym, jak i drugim przypadku próżny to trud, bo podobnie jak owe wrony, które odlecą, zatoczą koło w powietrzu, a potem wrócą, tak też powrócą te myśli, pełne smutku i wyrzutów sumienia.

Ludzie we wsi nie mogli zrozumieć, czemu ona wciąż do tej Kornelowiczowej chodzi. Prawda była taka, że tylko w smutnym towarzystwie pani Jadźka znajdowała spokój. Za każdym razem, gdy pani Marta mówiła: „Dobra z ciebie dziewczyna, Jadziu”, czuła się tak jak wtedy, gdy ksiądz dawał jej rozgrzeszenie.

– Powiedziałyby mi, gdyby to była moja wina – powtarzała sobie.

I nawet przez jakiś czas w to wierzyła. Było jej dobrze, nawet czasem się uśmiechała. A później owo wspomnienie znów wracało tak silne, wyraźne, jakby to się zdarzyło nie przed laty, ale wczoraj. Widziała Henia biegnącego między grządkami, słyszała jego piskliwy dziecięcy głosik i melodyjny głos Zośki, opowiadającej bajdurkę. Pamiętała swoje ciężkie powieki, pamiętała nawet obrazy ze snu, który ją wtedy zmorzył, i ciszę, jaka ją obudziła. Rozejrzała się, była sama. Henryś i Zośka zniknęli. Wtedy rozległy się krzyki. Nie rozumiejąc, co się stało, zerwała się i pobiegła do dworu. Minęła Zośkę, pędzącą nie wiedzieć dokąd. Zbyt szybkie przejście ze słonecznego światła do mrocznego przedsionka sprawiło, że nic nie widziała. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności, więc Jadźka szła po omacku. Pierwszą zobaczyła panią Martę, siedzącą na podłodze. Czemu? Pani trzymała coś w ramionach. Henia. Cóż mu się stało? Zasłabł? Zemdlął?

Chciała zapytać, czy przynieść wody, ale nie miała śmiałości. Czuła, że stało się coś złego, na co żadna woda, nawet przyniesiona ze świętego źródła, nie pomoże.

Wydawało się Jadźce, że gdyby spojrzała w okno, zobaczyłaby przemijające pory roku, zimy następujące po jesieniach. Dziwne, przytłaczające wrażenie, że świat pędzi, lata mijają, a one tu skamieniałe trwają, jakby były częścią obrazu.

Martwotę przerwał płacz pani Marty. Cichy najpierw szloch zmienił się w dzikie zwierzęce wycie. Kornelowiczowa kołysała się jak porzucone dziecko, a dobywający się z trzewi krzyk rozpaczy echo niosło po domu.

Jadźka nie mogła tego znieść. Odwróciła się i uciekła.

– Cóż tam się u Kornelowiczów stało? – zapytała Wera. – Cóż nic nie mówisz?

Nie mogła. Słowa nie mogły przejść przez jej zaciśnięte gardło. Dopiero kiedy przybiegła matka, gdy objęła Jadźkę, gdy popłynęły łzy, dopiero wtedy udało jej się wyszeptać:

– Dziecko. Ono chyba umarło.

Chciała zapomnieć. Bardzo chciała. Świat jednak był przeciwny. Drobiazgami przypominał o tym, co się stało. A to drogą biegł maluch dziwnie do Henrysia podobny, a to ktoś wymówił to imię albo rozległ się dziecięcy szczebiot. Zdarzało się, że pamięć płatała Jadźce figle.

Dziecko trzeba na obiad zaprowadzić, myślała. Jakie dziecko? Nie ma go już. I wszystkie wydarzenia tamtego dnia powracały.

Potem były pożary. Najpierw u nich, później u Ciotki Leonki. Jadźka nie mogła znieść tego, co ludzie mówili o Kornelowiczowej. Nikt jej wtedy nie widział, nikt nie słyszał tego jęku. Nic dziwnego, że szukała zemsty. Bo Jadźka nie miała wątpliwości, że pani Marta podpaliła ich chałupę, chcąc się zemścić na tej, która miała pilnować dziecka, a nie upilnowała.

Wyrzuty sumienia paliły. Jadźka czuła się tak, jakby ktoś jej wrzucił do brzucha rozżarzone węgielki. Coś ją pchało w stronę dworu. Najpierw podchodziła tylko do płotu, stała o niego oparta, czasem przez cały dzień, czasem tylko chwilę, bo uciekała spłoszona, sama nie wiedząc czym. Pewnego dnia odważyła się wślizgnąć do sadu. Później podeszła pod dom. Wreszcie przekroczyła próg. Znalazła panią Martę w sypialni. Drzwi były uchylone, pchnęła je delikatnie i weszła.

Piękny pokój, który jeszcze tak niedawno zachwycał Jadźkę, dziwnie się zmienił. Wciąż były te same różowe ściany, baldachim nad łóżkiem, toaletka, fotele, ale wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Trzeba było chwili, by zdała sobie sprawę, na czym polega różnica. Niegdyś panował tu ład, teraz był gorszy rozgardiasz niż w chlewie. Otwarte drzwi szafy, niedosunięte szuflady, na oparciach rozwieszane suknie, na toaletce stos brudnych talerzy, po których spacerowały ukontentowane muchy. I ten okropny smród. Na wsi człowiek przyzwyczaja się do zapachu ekskrementów, bo to nieodłączny towarzysz każdego dnia. Co innego jednak, gdy unosi się w powietrzu, otaczając obórkę czy zagrodę, pomieszany z wonią siana, słomy czy trawy, a co innego, kiedy stoi od kilku dni w niewietrzonym pomieszczeniu,

zmieszany z woniami perfum i gnijącego jedzenia. Jadźka przyłożyła dłoń do twarzy i chciała się wycofać. Wszakże chora wyczuła jej obecność.

– Kto tu?

– Ja, proszę jaśnie pani.

– Jadzia! Podejdz. Usiądź przy mnie, proszę. Nie mam z kim porozmawiać o moim Henrysiu. Pamiętasz te jego pulchne paluszki?

Pamiętała. Otaczały jej palec, miękkie i delikatne, pachnące różanym mydełkiem.

Siedziały tak i wspominały do późna. Obu przynosiło to ulgę.

Kilka dni później Jadźka odważyła się zmienić pani Marcie suknię, a później pościel. Prała, sprzątała, gotowała, karmiła. Zośka trzymała się z daleka. Obserwowała wszystko wzrokiem dzikiego zwierzątka. Było dobrze do czasu, gdy dzierzawca zbuntował ją przeciw Jadźce. I zaczęło się dokuczanie, wyganianie i złośliwe psoty. Przecież Jadźka już u nich nie pracowała. Przychodziła z przyjaźni do pani Marty, wiedząc, że chora potrzebuje i towarzystwa, i opieki kogoś, kto potrafi się nią zająć. A Zośka... Zośka sama potrzebowała opieki.

Dziś przyczaiła się w korytarzu. Jadźka zupełnie się nie spodziewała, że wyskoczy na nią dzikuska z wiązką pokrzyw. Spryciara owinęła sobie ręce szmatami, żeby uniknąć oparzeń. Biła Jadźkę po nogach, ramionach, po szyi i twarzy. Jedyńm ratunkiem była ucieczka.

– Ach, żeby cię... – powtórzyła, trąc ręce, jakby to miało cokolwiek pomóc na okropny swędzoco-piekący ból. Nie skończyła przekleństwa, bo i na cóż je kończyć? Zośka co miała dostać, to już dostała.

Bywały chwile, gdy Jadźce szkoda było dziewczyny. Pamiętała śliczną małą panienczkę w rękawiczkach i kapelusiku. Tak jak wszyscy we wsi współczuła Zośce, gdy ta straciła matkę. Nie ona pierwsza, nie ostatnia. Ludzie w Tynczynie umierali, starzy, młodzi, od wypadków czy chorób, a czasem, gdy kto miał wielkie szczęście, umierał w łóżku ze starości. Niejedna matka pochowała dziecko, niejedno dziecko opłakiwało matkę. To się zdarzało, były łzy, świat przystawał, ale tylko na chwilę, ta wkrótce mijała i życie toczyło się dalej.

W wypadku Kornelowiczówny było inaczej. Jej świat się nie zatrzymał, jej świat się zawalił, bo dziewczynka w nikim nie miała oparcia. Po sąsiedzku nie mieszkała żadna babcia, chrzestna czy stryjna, która by się nad sierotą ulitowała i przynosząc miskę zupy, dała też odrobinę serca. Zośce został

tylko ojciec, ale o tym, co on wyprawiał, lepiej nie wspominać, bo to aż grzech. Kiedy się opamiętał, poszedł po rozum do głowy i znalazł nową matkę dla swojej córki, ale wówczas było za późno. Dziewczynka już wtedy musiała być zdziwaczała, tylko nikt tego nie dostrzegął. Czas mijał, a Zośce coraz bardziej i bardziej mieszało się w głowie. Aż w końcu biedaczka zdurniała zupełnie. I nie było nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować.

– Bo ja na pewno nie będę! – Jadźka odwróciła się, pogroziła pięścią dworcowi Kornelowiczów i zszedłszy z gościńca, ruszyła ścieżką przez wygony w kierunku swojej chałupy.

Ojciec siedział pod szopą na pniaku. Przy jego nogach plątały się konopne pakuły, ich długie sploty z daleka podobne były do węży. Od kilku dni odgrażał się, że czas nowy postronek upleść, i widocznie dziś właśnie przyszedł ten dzień. Będą mu ręce pachniały tym dziwnym słodkawym zapachem konopnych łodyg, od pakuł i oleju, który w nie wetrze, by zabezpieczyć sznurek przed zbutwieniem. A Jadźka poczuje ten zapach, gdy ojciec codziennym zwyczajem pogładzi szorstką dłonią policzek córki i z uśmiechem powie:

– Ot, udałaś mi się, udała.

W przeciwieństwie do matki, która wszystkich ich traktowała jednakowo, ojciec miał swoich ulubieńców i zupełnie się z tym nie krył. Jadźka była jego ulubioną córką, a Wawrzek ukochanym synem, ukochanym dzieckiem, największą dumą i całym ojcowskim światem. Gdyby był bliżej, to pewnie on każdego wieczora słuchałby ojcowskich pochwał. Jednak mieszkał na kolonii, miał własną rodzinę, dom, gospodarstwo. Jadźka była podporą matki i ojca, wyrzekła się własnego życia, by zdjąć z rodzeństwa ciężar opieki nad starzejącymi się rodzicami.

Bo oni się starzeli. Czasem nie zwracała na to uwagi, czasem, tak jak w tym momencie, gdy ukryta za węglem przypatrywała się zajętemu ojcu, nie mogła się nadziwić zmianie, jaka w nim zaszła. Plecy, niegdyś proste, były zgięte w łuk, gładka twarz pomarszczyła się jak zwiędnięty liść, włosy, dawniej bujne i ciemne, teraz przypominały pajęczne nitki. Największej i najsmutniejszej zarazem zmianie uległy ruchy. Nie były już dziarskie i szybkie. Gdy Jadźka patrzyła na niego, odnosiła wrażenie, jakby oblepiał go niewidzialny smar, lepki i gęsty, który spowalniał każdy krok, każde podniesienie ręki.

Jadźka westchnęła. Podeszła do ojca.

– Pomóc wam, tatkum?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby nie słyszał jej nadejścia. Może i nie słyszał. Od kilku lat narzekał na wzrok, o słuchu nie wspominał, ale czy człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że głuchnie? Może po prostu głębiej się zamyślał? To było dobre tłumaczenie i dobry sposób na oszukanie samej siebie. Nie chciała widzieć ich starości ani śmierci, opartej o płot i czekającej na właściwą chwilę. Bzdura! Nie ma właściwej chwili, a odejście kogoś bliskiego zawsze boli.

– A coś ty taka sfrasowana? – zapytał ojciec.

Bo się martwię o ciebie, o matkę i, choć to dziwne, również o siebie, nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie bez was.

– O panią Martę się martwię. Zośka mnie dziś pogoniła. Pokrzywami smagała. – I pokazała dłonie, pokryte wypukłościami bąbli.

– Po cóż ty tam chodzisz?

Jadźka wzruszyła ramionami. Nie pierwszy raz słyszała to pytanie. Nigdy nie odpowiadała. Jej samej trudno było zrozumieć ową tęsknotę, która ciągnęła ją do Kornelowiczowej. Pani Marta ma tylko mnie, myślała, tylko ja się o nią troszczę, tylko ja pamiętam.

Ojciec wyciągnął dłoń, której skóra kolorem i fakturą przypominała lipową korę, i złapał Jadźkę za przegub.

– Dobry z ciebie człowiek.

Chciał coś dodać, ale mu nie pozwoliła. Nie miała zamiaru znów słuchać o tym, że sprawa między nią a panią Martą załatwiona, że owszem, tamta elegancko się zachowała, bo krowa pierwsza klasa i więcej warta niż pieniądze, co je Jadźce za pracę zalegała, ale przecie nie chodzi o to, by naddatek odpracować. Dzierżawca zgodził inną służącą, ona wszystkim się zajmuje, nie Jadźki to sprawa. Niczym się nie zajmuje. Ta nowa wszystko ma w dupie. Raz na tydzień przychodzi albo i rzadziej. Słowami nie da się opisać smrodu, który tam panuje. I jeszcze te koty. Wszędzie, dosłownie wszędzie wylegają się koty. By nie pozwolić ojcu mówić, zapytała ponownie, czy mu nie trzeba pomocy.

– A cóż ty mi pomożesz, zazuleczko? To chłopska robota postronki pleść. Nie na twoje słabe rączęta.

Nie takie one znowu słabe, pomyślała Jadźka. Skoro jednak ojciec pomocy nie chciał, nie było sensu się narzucać. Zrozumiała to niedawno, gdy w podobnej sytuacji spojrzał na nią ze złością. Był świadomy zmian, które

w nim zachodziły, wiedział, że starość stała się faktem. Ale czym innym jest wiedzieć, a czym innym się z tym pogodzić.

Skinęła głową. Stała za nim jeszcze czas jakiś, patrząc, jak z wprawą zmienia włókna, szare i popielate, podobne do włosów starzejącej się kobiety, w mocny sznurek, którego ani krowa, ani koń nie zerwie. Zwalczyła ochotę, by przy nim uklęknąć, objąć go i z płaczem wyrzucić z siebie cały ten wielki smutek, który zaczął się w chwili śmierci małego Henia Kornelowicza i rósł nieprzerwanie po dziś dzień.

Odwróciła się i ruszyła w stronę chałupy. Ilekroć stawała przed drzwiami, doznawała dziwnego uczucia, że zabłądziła i to nie jest próg jej domu, tylko obce miejsce, gdzie obcy ludzie mieszkają. Tyle lat minęło, przyzwyczaiła się do nowych ścian i nowych okien, nie błądziła już, gdy nocą trzeba było wyjść z izby. Gdy myślała albo mówiła o chałupie, to nową miała przed oczyma. I tylko w tym jednym momencie, gdy przekraczała próg, doznawała uczucia, że pobłądziła.

Ta chałupa, choć nieduża, w porównaniu z tamtą starą jawiła się dworem. Miała sień, z której wchodziło się do komory i kuchni, z tej zaś do jeszcze jednego pomieszczenia, urządzonego paradnie, gdzie przyjmowano zacniejszych gości i gdzie sypiała Jadźka. Tam się doczekała, myślała nieraz, poprawiając siennik, sypiam jak jaśnie pani. W życiu by jej do głowy nie przyszło, że będzie mieć własne łóżko. I nim sen ją całkiem zmorzył, wspominała piec ogromny, zajmujący prawie całą izbę w starej chałupie, zapiecek, na którym wszyscy się tłoczyli, zbijając się w kulę jak te szczenięta, jedno w drugim szukające ciepła. To spanie na klepisku, zaścielonym słomą, ale tak tylko, tylko, bo przecież słomy nie mieli zbyt dużo, a trzeba było czymś karmić krowę, żywicielkę rodziny. Co by z nami było, gdyby Wawrzek nie zakochał się w Anieli Połajównie?, zastanawiała się nieraz. Przecież mógł się nie zakochać albo mógł pokochać kogoś innego, choćby Agatę Lipczewską. Agata była bogata, nie musiałby wędrować do Ameryki, żeby swój los poprawić, wzięłby pannę z posagiem, którego jeszcze dla ich dzieci by starczyło. A tak, pokochawszy dziewczynę, która tak jak i on nie miała niczego, wyruszył na kraj świata, by swój byt poprawić. I za jednym zamachem poprawił też byt Dorotki, Wery, Szczepcia i Pawełka. No i jej, Jadźki, choć w najmniejszym stopniu. Nie Wawrzka to wina, tłumaczyła od razu, nie tyle sobie, ile jakiejś wyższej sile, która mogłaby to opacznie zrozumieć i albo brata pokarać za brak troski, albo ją, Jadźkę, za

niewdzięczność. Wawrzek bardzo się starał, tylko ona nie nadawała się ani do terminu, ani do miasta, ani za męża, ani do rodzenia dzieci. Zwłaszcza do rodzenia. Za nic nie zniosłaby, gdyby miał ją spotkać los podobny do losu pani Marty. Nie chciała iść za męża, bo nie chciała mieć dzieci. Nie i już.

W izbie siedziała Gała Mazurzycha. Ostatnio dziwnie często bywała ich gościem. Zaczęło się od tego, że rankiem przybiegała węgielka pożyczyć. Zwykła to była sprawa na wsi, bo pierwszą rzeczą, za jaką zabierały się gospodynie, gdy już wstały i pacierz zmówiły, było rozpalanie pod piecem. Najpierw szukały w popiele, czy nie zostało tam jakieś żarzące się drewnienko. Jeśli tak, pieczołowicie okładały je suchymi gałązkami, liśćmi, słomą i dmuchały delikatnie, by nie zgasić, tylko rozniecić. Gdy w popiele zgasło nawet wspomnienie żaru, sięgano po zapałkę. Jedną dzielono na cztery, z tej to przyczyny, że gdyby sobie pofolgować, można by niemało grosza na nie wydać, bo to i do ognia pod piecem, i do zapalenia lampy czy świecy, chłopom do papierosów, wszędzie zapałki były potrzebne. Dlatego najoszczędniejsze gospodynie rankiem brały garnuszek, cienkimi drewnienkami wypełniony, i biegały od chałupy do chałupy żaru pożyczyć. Jadźka nigdy nie widziała wśród nich Mazurzychy, widocznie jednak coś tam się u nich zmieniło, bo od dwóch tygodni przychodziła prawie co dzień – rano po ogień, wieczorem na pogaduszki, w ciągu dnia albo coś pożyczyć, albo coś oddać.

Jadźka przywitała się grzecznie i usiadła na zydłu pod piecem.

– Bałabuszków napiekłam – odezwała się Gała. – I tak mówię do mego Kajtka: „Podejdę ja do Adamczuków, zaniosę kilka. Co i raz coś pożyczam, nie wypada nie podziękować za sąsiedzką życzliwość”. – I popatrzyła na matkę Jadźki tak, jak babka Połajowa patrzyła na święte obrazy.

– Normalna to sprawa między ludźmi – powiedziała matka. – Jedz, Jadzia, bardzo smaczne bałabuszki. Mleka ci naleję.

Jadźka zerwała się z zydła.

– Nie trzeba, ja sama.

Wzięła gliniany kubek, który stał na brzegu kuchennej blachy, i poszła do komory, by zaczerpnąć mleka z rannego udoju. Nie chciało jej się jeść przez to zdarzenie z Zośką, ale nie wypadało odmówić poczęstunku, bo Mazurzycha poczułaby się urażona.

Po cóż ona przychodzi?, zastanawiała się Jadźka, starannie nakrywając cebryk, bo gdyby coś do niego wpadło, to mleko by się popsuło. Przecież

nie byli bliskimi sąsiadami. Adamczukowie mieszkali w połowie starej części wsi, niedaleko cerkwi i cmentarza, Mazurowie zaś na samym jej końcu, prawie przy rzece. Gdy po wiosennych roztopach Huczwa wylewała, na ich podwórku stała woda. Największa to była niedogodność. Za to z praniem Mazurzycha nie musiała daleko chodzić. A jej Kajtek, jeśli chciał ryb nałapać, wystarczyło, że za oborę wyszedł i już mógł wędkę zarzucać. Blżej niż do Adamczuków mieli Mazurowie na Felówkę albo i na ostrów, gdzie teraz zaczęli się budować ci młodzi gospodarze, którym za ciasno było w środku wsi.

Pewnie ma interes, odpowiedziała sobie. Najpewniej chciała cielę kupić, może nawet samą krowę. W końcu Mazurowa to gospodyni, nie żydowski handlarz, co prosto do obory idzie i od razu o cenę pyta. Ona będzie ze dwa miesiące przychodzić, pożyczać ogień, cukier, kaszę, olej, bałabuszki przynosić razem z plotkami, zanim w ogóle padnie słowo „cielę”. O to, czy zamierzają sprzedać, zapyta dopiero miesiąc później, jeśli wciąż jeszcze będzie stało w oborze. Dwa tygodnie upłyną, nim odważy się dowiedzieć o cenę. Ze trzy noce nie będzie spała, rozważając, czy cielę tyle warte, czy niewarte i ile ona skłonna byłaby za nie dać.

Czwartego dnia przyjdzie i może odważy się podać swoją cenę, a może i wstyd jej na to nie pozwoli. Jeśli to drugie, to zła będzie na siebie i na Adamczuków. Pójdzie z kumoszkami rozmawiać o planowanym zakupie i wtedy się zacznie. Jedna powie, że Adamczuki się drożą, druga przytaknie, doda, że cielę nawet połowy tego niewarte, trzecia nic nie powie, tylko poleci do domu i męża pošle, by o cielęciu z Michałem pogadał. Czwarta zapyta Mazurzychę, na co jej cielę kupować, wszak ona już stara, a wiadomo, ile to zawerencji, młode skacze, buca, a jak się urwie i z obory wybiegnie, to szaleć będzie, skakać, aż się zgrzeje, zapalenia płuc dostanie i zdechnie. To już nie na Mazurzychy zdrowie za podkasany młodym cielęciem po wsi latać.

Tym gadaniem taki zamęt wprowadzą, że kobiecina całkiem zgłupieje. Nie będzie wiedziała, co zrobić, a gdy w końcu się zdecyduje, będzie za późno, Żyd cielę kupi, bo on do interesu przechodzi od razu, nikogo o radę nie pyta. Gdy się Mazurzycha o tym dowie, poczuje żal ogromny, że bydłatka nie kupiła, i obrazi się na Adamczuków, uznając ich za winnych swojej straty. Skończy się odwiedzanie, pożyczanie, ploteczki i bałabuszki.

Zanim Jadźka wróciła na swoje miejsce na zydlu, wzięła ze stołu bułeczkę.

– Jedz, jedz, na zdrowie. A więcej sobie weź – zachęcała Mazurzycha. –

Powiesz, czy dobre. Kajtkowi smakowały, ale on niewybredny, jemu byle słodkie było.

Jadźka oderwała kęs. Dobrze wyrobione i wyrośnięte drożdżowe ciasto upiekło się tak, że skórka była złocista, a miąższ bieluteńki i puszysty. Nadzienie ze świeżych jabłek miało słodko-winny smak i zapach ostatnich dni lata.

– A może ty, Jadziu, z makiem wolisz?

– Z jabłkami.

– To tak jak ja. Moja Wietka to z makiem woli. A dla mnie i mego Kajtka to nie ma lepszych niż ze świeżymi jabłkami. Bo suszone już nie takie. – Patrzyła na Jadźkę tak, jakby oczekiwała potwierdzenia, że te z nadzieniem z suszonych jabłek to nie takie.

– Ze świeżych najlepsze – potwierdziła, żeby Mazurzychę usatysfakcjonować.

– Choć mak dobry w tym roku. Ciepło było, dobrze wysechł. Wam mak się udał? – To pytanie skierowane było do matki.

– Nie narzekamy. W tym roku wszystko dobrze poszło, zmiłował się Pan Bóg nad nami, wrzesień taki ciepły.

– Mówią, że gdy wrzesień ze słońkiem zaczyna, do końca jego się trzyma. Czy to całkiem prawda w przysłowiu, to się dopiero zobaczy. Ja bardziej na ptaki patrzę, niż porzekadeł słucham. Bo patrzajcie na to, w zeszłym roku jaskółki raz-dwa się zebrały, na świętej Bronisławy to już ani jednej nie było. A na świętego Franciszka żurawie odlatywały. I to górą leciały, klangor się niósł, a ptaków widać nie było, bo nad chmurami leciały. A w tym roku jeszcze na Matki Boskiej Siewnej u nas w oborze jedna para młode karmiła. Zobaczysz się, jak to będzie z żurawiami, one najpewniejszy zwiastun zimy.

Jadźka patrzyła na matkę, która skinieniem głowy dała znać sąsiadce, że się z nią zgadza, choć wcale tak nie było. Honorata Adamczukowa nie zwracała uwagi na ptaki. Ona wierzyła, że to dni między świętą Łucją a Bożym Narodzeniem są zwiastunami pogody na kolejne miesiące. Dlatego też czyniła skrzętne zapisy na marginesach książeczki do nabożeństwa. Od lat tak robiła i od lat wszystko bardzo dokładnie się sprawdzało. Nie wypadało jednak z gościem wchodzić w dyskusję, która prognoza lepsza, bo bez względu, jak wróżona, zeszłoroczna zima przyszła nagle i tak wszystkim dała w kość, że długo nie zostanie zapomniana.

Połknąwszy ostatni kęs, Jadźka dopiła mleko i odstawiła kubek.

– Do obory zajrzę – powiedziała.

– Jaka chętna – pochwaliła Mazurzycha. – Ot, udała wam się ta wasza Jadzia, udała.

– Wszystkie dzieci mi się udały. Dorotka taka zdolna, jak była w terminie, to się jej nachwalić nie mogli. Robotę od razu znalazła. A to każda znajdzie tak robotę? Ile na wieś wraca? A Wera z nią w mieście robi. Trzymają się siostry razem, wspierają. Inne dzieci jedno na drugie wilkiem patrzy, a moje poszłyby za sobą w ogień. Szczepcio...

Jadźka nie słyszała już, co zrobił brat, ale niewiele trzeba było zrobić, by matka przed ludźmi ich chwaliła. Zawsze tak było. Niech no tylko nawinał się ktoś, kto chciał słuchać, zaraz zaczynała pieśń pochwalną o swoich dzieciach. W całej wsi, w całym powiecie, a może i w całym kraju nie było tak mądrych, zdolnych i rezolutnych jak jej. I choć mali Adamczukowie zdawali sobie sprawę, że matka przesadza, miło było wiedzieć, że jest z nich dumna. Gdy nie ma się nic, zupełnie nic, dobrze jest mieć kochającą matkę, bo choć nie można napełnić brzucha miłością, to pozwala ona zapomnieć o głodzie i zasnąć w poczuciu szczęścia.

Ojciec skończył pleść powrozy i teraz sprzątał. Podbiegła i nie pytając, czy mu pomoc potrzebna, zaczęła zbierać pakuły i wkładać je do koszyka. Widziała, jak zerkał na nią raz po raz, a dziwny uśmiech co chwila gościł na jego ustach.

– A za czym to Mazurzycha przyszła? – zapytał.

– Bałabuszków przyniosła.

– Dobrze chociaż?

– Dobrze, ale naszej mamci lepsze. Jabłka smaczne, kwaskowate.

– U nich tam plenna jabłonka. To jeszcze stary Mazur, ojciec Prokopa, sadył.

I znów spojrzał na Jadźkę z tym dziwnym rozbawieniem.

– A co wy, tatku, tak na mnie patrzycie?

– Niby ty już dorosła, a jak to dziecko. Przychodzi Mazurzycha i przychodzi, a ty się nic nie domyślasz, jaki ona ma interes.

– Mnie się wydaje, że ona moją cieliczkę chce kupić.

Ojciec aż się po udach klepnął z uciechy.

– Ot, paradne, paradne. No prawieś trafiła, zazuleczko. Bo jak jej się plan ziści, to i twoje cielę też dostanie.

Jadźka nie zrozumiała.

– Jakże to? Jak to moje cielę jej się dostanie?
– A tak, że to twój posag. Pójdiesz za męża, weźmiesz krowę i cielaka.
– Też wymyśliliście. Za kogo miałabym za męża iść? Toż przecie nie za Mazurzychę.

Ojciec jeszcze głośniej się zaśmiał.

– Toż przecie nie za Mazurzychę – powtórzył. – To by dopiero było. Pomiechowska, jakby się dowiedziała, to we dwa pacierze całą wieś by obleciała. – Rękawem łzy z oczu otarł. – Jadziu, dziecko, ona tak tu przychodzi, bo sobie upatrzyła ciebie na synową. Dla swojego Kajtka by cię chciała.

Dla Kajtka? A to dopiero! Toż on stary, pomyślała Jadźka. No, ale i ty nie pierwszej młodości. Już we wsi ani jeden nie nazwie cię panną na wydaniu, już coraz częściej mówią, żeś stara panna. I niech tak mówią, niech tak zostanie.

– Tatku, ja nie chcę.

Ojciec przestał się śmiać. Rozejrzał się, gdzie by mogli usiąść. Pod domem stała ławka, ale po co w kuchni mają słyszeć, o czym oni rozmawiają. Ostatecznie wskazał córce pieńki, a sam po prostu przykucnął.

– Nikt ciebie za męża pchał nie będzie. Nie wydawaliśmy cię, gdy był twój czas, to i teraz nie będziemy. Żadnego z naszych dzieci do niczego nie zmuszaliśmy, a zawsze pomagali my we wszystkim. Chciał Wawrzek do Ameryki jechać? Tośmy mu na bilet pomogli uskładać i pojechał. Chciał się z Marianną ożenić, to się ożenił. Chciała Dorota w mieście zostać, to została. Nie chciałaś za męża iść, to i nie poszłaś. Powiesz: „nie”, Mazurzycha zacznie do kogo innego bałabuszki nosić. Tylko... Mnie się zdaje, że ja wiem, czemu ona to robi. Starzeje się, tak jak i ja z matką się starzejemy. I nagle żal jej się zrobiło, że ten Kajtek zostanie na świecie sam jak palec. Pomyślała sobie, że jak on dotąd żony nie znalazł, to już sam nie znajdzie, tak i postanowiła się tym zająć. – Westchnął. – O tym jeszcze myślę, że zanim odprawimy Mazurzychę, to może ty by pomyślała nad tym Kajtkiem. Cichy, spokojny, do roboty chętny. Mnie i matce lżej by było oczy zamykać i z tego świata odchodzić, gdyby my wiedzieli, że ciebie pod opieką kogoś takiego zostawiamy.

– Ja za męża nie pójdę.

– Zmuszać cię nie będę. Tylko mi obiecaj, że pomyślisz o tym.

Tu nie było o czym myśleć, ale obiecała.

Rozdział siódmy



Świnie ras zwisłouchych zyskały dużą popularność w latach dwudziestych, co wynikało z tego, że świnie takich ras były wyjątkowo odporne na czynniki środowiskowe i zadziwiająco dobrze znosiły prymitywne warunki hodowli.

Kolejne krzyżowania uszlachetniające, prowadzone w latach trzydziestych i po wojnie, doprowadziły do stworzenia jednej z najpopularniejszych polskich ras świń – polskiej białej zwisłouchej.

Jest to rasa wszechstronnie użytkowa, ponieważ sposób żywienia decyduje, czy uzyska się tuczniaki mięsne, czy słoninowe.

Najbardziej charakterystyczną cechą wyglądu tych świń są wielkie, zwisające uszy o trójkątnym kształcie i mlecznobiała skóra, pokryta białą szczecinką. Zwierzęta tej rasy mogą uzyskać do trzystu kilogramów wagi.

Grudzień 1929

Przez małe okienko do izby wpadała tylko odrobina światła. Za chwilę i tego nie będzie, bo zimowy dzień krótki, dobrze choć, że słoneczny.

Wszyscy Mazurowie siedzieli w izbie. Kajtek, oparty plecami o piec, plótł koszyk z cieniutkich wierzbowych gałązek. Jego długie, silne palce nagięły witek, jak chciały. Matka siedziała na zydlu i wyłuskiwała fasolę ze strąków.

Wietka poprawiła się na ławie, by lepiej widzieć kołnierz bluzki, który właśnie wyszywała. Nie było to wcale łatwe. Trzeba wyobraźni i precyzji, by zamienić małe krzyżyki z czarnych i czerwonych nici w wielkie, czarno-czerwone kwiaty. Błędy nie umknęłyby uwadze innych dziewcząt.

Szeptalyby o nich między sobą, nie obyłyby się bez chichotów i wytykania palcami. Przyjaciółki potrafią być najmiłsze, najlepsze i najserdeczniejsze, ale potrafią też być złośliwe i wredne. Jednego dnia otaczają życzliwością i z serca doradzają, drugiego nawet nie chcą na ciebie spojrzeć i obgadują za plecami. Wietka, która jeszcze niedawno miała kilka serdecznych koleżanek, dziś nie miała nikogo. Wszystko przez wróżby z wigilii świętego Andrzeja. Każda przepowiadała Wietce rychłe zamążpójście. Z wosku wyszła korona, a wiadomo, że pop na ślubie koronę nad głową trzyma. Łapeć Wietki pierwszy na progu stanął, spod miseczki wyciągnęła pierścionek, a rzucona przez ramię skórka jabłka ułożyła się w literę D. Może nie byłoby tego ambarasu, gdyby wyszło S albo P, jednak znak na klepisku nie pozostawiał żadnej wątpliwości, D jak wykaligrafowane. Dziewczęta jedna przez drugą zaczęły dociekać, kogoż może to oznaczać, i wyszło im, że w całej wsi tylko jeden chłopak nosi imię zaczynające się na tę literę – Dyzio Adamczuk. Zaraz też, jedna po drugiej, zaczęły na Wietkę patrzeć z zazdrością, jakby to nie andrzejkowa wróżba była, a zapowiedzi ogłoszone przez księdza z ambony.

Józia Kita posunęła się do tego, że na całą izbę krzyknęła:

– Nie pozwolą mu ojciec zenić się z tobą, bo on katolik, a ty prawosławna.

Wietka tylko ramionami wzruszyła na to głupie gadanie. Wiadomo, że Ukraińcy żenili się z Ukrainkami, a Polacy z Polkami, ale gdy jakiemuś polskiemu chłopcu spodobała się ukraińska panna, to się z nią żenił. Tak jak to było między jej rodzicami, a wcześniej dziadkami. Dla matek i ojców chłopców ważniejsze były poduchy i kołdry z pierza, poszwy i obrusy, a przede wszystkim morgi, z którymi dziewczyna z domu wychodziła, niż jej narodowość. Na to, czy matki i ojcowie dziewcząt przychylnie spojrzą na przyszłego zięcia, bardziej wpływały jego zamożność i przedsiębiorczość niż wyznanie. Owszem, bywało, że rodzice się zaparli i nie dawali zgody na ożenek z innowiercą, nie częściej jednak, jak nie dawali zgody na ożenek z biedakiem albo zalotnikiem o złej reputacji. W miejscu, gdzie obok siebie żyli Polacy i Ukraińcy, musiało dochodzić do małżeństw mieszanych, bo ludzie zakochują się sercem, nie rozumem, a serce nie bierze pod uwagę narodowości, języka czy wyznania, na te sprawy jest ślepe. Widzi natomiast uśmiech, oczy, usta czy figurę, które nagle stają się dla niego najpiękniejsze na świecie.

Gdyby któraś z koleżanek zapytała Wietkę, co ona myśli o Dionizym, to

powiedziałyby szczerze, że przede wszystkim chłopak jest kilka miesięcy młodszy, przez co dla niej zupełnie nieinteresujący. Powiedziałyby również, że owszem, Dionizy z domu bogaty, ale ona też niebiedna. I jeszcze by dodała, że ledwo skończyła szesnaście lat, ma więc jeszcze dużo czasu i śpieszyć się z zamążpójściem nie musi.

Żadna jednak o nic nie zapytała. Zaczęły się odwracać od Wietki, po kątach szeptać i chichotać. No to wyszła z izby. Miała nadzieję, że się spamiętają i któraś za nią wybiegnie. Daremnie. Wróciła więc do domu, a gdy następnego dnia matka zapytała, czy idzie na wieczórki, Wietka tylko pokręciła przecząco głową.

– Ot, młode, durne. Pokłóciłaś się z koleżankami?

Nie odpowiedziała.

– Nie chcesz, nie mów. Wieczorem idę do Maryny Kowalskiej. Ma nową książkę, będzie czytała.

Wietka mało pamiętała z przedwojennych czasów, gdy niewiele osób we wsi umiało pisać i czytać. Po wojnie w Tynczynie stanęła szkoła i musiały do niej chodzić wszystkie dzieci, które miały więcej niż siedem, a mniej niż czternaście lat. Co prawda Wietka z domu czytać i pisać umiała, bo nauczył ją Kajtek, którego nauczył ojciec, ale i tak musiała pójść do szkoły. Całkiem tam było przyjemnie. Chłopcy co rusz robili żarty. A to założyli się, kto na piec wlezie, a to bibułę napchali do kałamarzy, a to któryś zjadł kredę i nauczycielka nie miała czym pisać. Minęły te szkolne lata ani się obejrzała.

Wraz ze szkołą pojawiły się we wsi książki. Zwykłe książki, bo wcześniej to przeważnie modlitewniki i religijne w domach bywały, a czasem jakieś pisma polityczne, ciekawe tylko dla dorosłych mężczyzn. Nauczycielka miała półkę z książkami do czytania i pożyczała, ale tylko tym, co obiecywali nie zniszczyć.

Oprócz nauczycielki książki miała jeszcze Maryna Kowalska. Jej brat po wojnie wyjechał do Warszawy do pracy. Od czasu do czasu przysyłał stamtąd książkę w prezencie. Po tym wszyscy poznawali, że mu się dobrze powodzi, bo przecież taka książka to rzecz bardzo droga. Maryna nikomu ich nie pożyczała, choćby kto na największe świętości się zaklinał, że nie zgubi i nie zniszczy. Zgadzała się czytać na głos. Czasem sama, czasem, gdy była zmęczona, prosiła kogoś, by ją wyręczył. Na owo czytanie schodziło się do niej do domu mnóstwo narodu.

Jakież niektóre z tych opowieści były piękne. Ludzie słuchali i łzy mieli w oczach, o caluteńkim świecie zapominali. Krowy mogły ryczeć, owce beczeć, prosiaki kwiczeć, konie puste żłoby obgryzać, nikogo to nie obchodziło. Słuchali o tych okrutnych Krzyżakach, o biednych sierotach, o bogatych panach, o walecznych wojakach, słuchali każdego wieczoru od późnej jesieni do wczesnej wiosny. A gdy nie było nowej książki, sięgano po te najdawniej czytane.

Niektóre gospodynie przynosiły ze sobą jakąś robotę, a to worek pierza, a to fasolę czy sakówkę do łuskania, a to haft czy wełnę. Ważne, żeby nie hałasować i czytającej nie przeszkadzać, bo mogła wygonić z izby, a wtedy tragedia, choć stój pod oknem, by poznać koniec opowieści.

Wietka najbardziej lubiła historie o miłości. Nie ona jedna. Wszystkie dziewczęta takie książki lubiły. Rozmawiały o nich później ze sobą. Niektóre, jak Krysiunia, potrafiły się rozmarzyć, inne, jak Terenia, były bardzo praktyczne. Większość, między nimi i Wietka, miały zwyczajną nadzieję, że znajdzie się ktoś ładny i miły, z kim dobrze będzie razem przez życie wędrować.

Ale to na pewno nie ten gołowąs Dyziu. Przywołała w myślach obraz chłopaka. Z tymi swoimi chudymi ramionami przypominał młodą brzozę, wysoką a wiotką. Twarz miał smutną... Nie, nie smutną, tylko poważną. Znalazł sobie kilku kolegów, przeważnie młodszych od siebie. Rówieśników i starszych omijał, pewnie wciąż pamiętał czasy, gdy mu dokuczano. Byli tacy, co i teraz z czystej złośliwości nazywali Dyzia najduchem.

– Jakież on najduch? – mówiły starsze kobiety. – Toż toczka w toczkę Michał Adamczuk. Jakby skórę zdarł.

Nie miało to znaczenia dla dokuczających, bo po prostu dokuczyć chcieli. Trudno nie chcieć, gdy widziało się gospodarstwo Wawrzka Adamczuka, jego krowy, konie, owce, wozy, stogi siana, sterty słomy, chałupę wielką, oborę przestronną i narzędzia wszelakie, a później wracało się do własnej chaty, małej i ciasnej, do obórczyny malutkiej, w której stała jedna chuda krowina, żywicielka całej rodziny.

Wietka dobrze to знаła. Czyż zawiść dziewcząt i ta zazdrość o wróżbę nie miały tego samego źródła, co wyzwiska pod adresem Dyzia?

W tym przynajmniej byśmy się rozumieli, pomyślała. Może i nie tylko w tym. Machnęła ręką. Dionizy to dzieciak. Tyle on Wietkę obchodził, co ten śnieg, co stopniał w marcu. Może nie byli tak bogaci jak Adamczuki, ale te

piętnaście morgów samego pola to nie mało. Matka zaradna, brat pracowity, mogła więc spokojnie myśleć o swojej przyszłości. Wyjdzie za kogoś, kto jej się spodoba, za dorosłego mężczyznę. Może za kogoś, kto ją z Tynczyna zabierze w świat? Przecież czasy się zmieniły. Adamczukowe Wera i Dorota w Zamościu siedzą, wielkimi paniami się porobiły. Nie noszą już płóciennych bluzek z haftowanymi kołnierzami, tylko kolorowe, batystowe i perkalowe, a do tego zakieciki i spódnice w kontrafałdy. Kiedyś latem przyjechały na niedzielę i miały na sobie sukienki. Jakże im tych sukienek zazdrościła. Owo wspomnienie sprawiło, że Wietka ze smutku ciężko westchnęła.

– A cóż ty tak wzdychasz? – zapytała matka.

– Krzywo wyszło, pruć trzeba – skłamała.

– Bo też ślęczysz tak po ciemku. Cóż ty tam widzieć możesz? Lampę sobie weź.

– Mówiliście, że nafty szkoda.

– Bo i szkoda, to nie za darmo. Oczu bardziej szkoda. – Podniosła się z zamiarem pójścia po lampę, która wisiała na gwoździu przy drzwiach.

– Nie trzeba. Zostawię robotę i pomogę wam łuskać.

– Tu już nie ma przy czym pomagać. Prawiem skończyła. Sprzątnę i idę z chałupy. Do Adamczukowej zajrzę.

Kajtek, który wydawał się całkowicie pogrążony w swoich myślach, nieznacznie podniósł głowę i popatrzył na matkę z mieszaniną zainteresowania i dezaprobaty. Wietka zauważyła jego spojrzenie.

– Mama często coś ostatnio do Adamczuków zaglądają – ni to stwierdziła, ni to zapytała.

– Lubimy sobie z Honoratą porozmawiać. To taka miła, spokojna kobita, całkiem jak ja. Ona o dzieciach najchętniej mówi i ja o dzieciach, to nam się gadka klei.

Wietka dobrze wiedziała, że nie jest to prawda. Nagle przyszło jej do głowy, że może dziewczęta zachowały się wtedy tak, bo coś już z plotek wiedziały. Może matka chodzi do starych Adamczuków, żeby ich urobić? Może planują Wietkę z Dyziem zeswatać? To by dopiero było. Niby siłą jej do ołtarza ciągnąć nie będą, wiadomo jednak, że jak się ojce na coś uprą, to znajdą sposób, żeby młodych przekonać. Pożenią i już, a ty potem czekaj na tę miłość, co ma przyjść po ślubie, i czasem przychodzi, a czasem nie.

– Tylko o dzieciach rozmawiacie?

– O czymże innym?

– No ja nie wiem, tak pytam.

Matka, której cała uwaga była skupiona na woreczku z wyłuskanym ziarnem fasoli, sprawiała wrażenie, jakby nawet nie słyszała słów Wietki. Podniosła go, ważąc w rękach.

– Po przebiórce będzie dobre pięć kila – powiedziała z ukontentowaniem. – I teraz sama nie wiem, sprzedać czy zostawić? – Spojrzała na Kajtka. Ten skinął głową. – To i racja, zostawim. Na wiosnę choć te parę groszy droższa będzie. A jak nas głód przycisnie, to jeść będzie co. Od fasoli nie ma lepszego jada.

Odłożyła worek i zaczęła ugniatać w koszu suche strąki. Krowa zje je z apetytem.

– Jeszcze o wnukach czasem z Honoratą rozmawiamy. Lubi o nich opowiadać, a ja chętnie słucham.

Wietka odruchowo wyprostowała plecy. Jeszcze jedno zdanie i powie matce, że ona nie ma zamiaru wychodzić za Dyzia. Nie i już. Zresztą za młodzi na to oboje. Poza tym Dionizy młodszy i może komu innemu to nie przeszkadza, ale jej, Wietce, bardzo.

– Słucham – kontynuowała matka – bo sama pochwalić się nie mam czym. Przydałoby się już wnuki kołysać.

– Mnie za mąż nieśpieszno.

– Toż wiadomo. Nie o tobie, córuś, mówię. – Spojrzała na Kajtka. – Trzeba mu pannę znaleźć, bo sam sobie nie radzi.

Wietka odetchnęła z ulgą. Nie o nią chodziło. Pewnie matka miała nadzieję syna z którąś z Adamczukowych panien wyswatać. Ciekawe z którą? Najprędzej z Wera. Mieć ją za bratową to by było wspaniale. Nawet gdyby nie chciała, Wietka tak by tamtą prosiła, tak prosiła, że w końcu Wera zabrałaby ją do Zamościa. Chodziłyby tam po targu, do kupca by poszły, do sklepu bławatnego. Na koniec, z tego, co by kupiły, Wera uszyłaby Wietce sukienkę na miastową modę. Głupie marzenia, bo gdzieżby taka dama, miastowa pani, zechciała takiego Kajtka, co ani przystojny, ani wymowny nie jest? Ot, mruk spod pieca.

– To się nie uda – stwierdziła.

– Co się nie uda? – zapytała matka.

– To, co planujecie.

Na matczynej twarzy zagościł wyraz rozczarowania. Wszak mamcia też

miała marzenia i plany. Nie byłoby źle Kajtka ożenić. Dużo pracy by odpadło, gdyby w domu pojawiła się młoda gospodyni. Wietka pomagała, jak mogła, ale i na nie dwie roboty było aż nadto. Tyle że dla Kajtka trzeba szukać gdzie indziej. Taka Wera czy nawet Dorota to z miasta nie wrócą. Rozumu musiałyby zupełnie nie mieć, żeby z czyściutkiego śliczniutkiego miasta wracać do tego gnoju, do tej ciężkiej roboty, która nie ma końca. Zimą to człowiek troszkę odsapnie, ale od wiosny do jesieni od rana do świtu gania, przysiąść nie ma czasu. Jak nie w chałupie, to w polu, jak nie w polu, to w oborze, jak nie w oborze, to w ogrodzie. Cały dzień na nogach, ciągle jest się zajęty. Gdyby tak wieczorem zapytać, co bardziej boli – ręce, nogi czy plecy – nie potrafiłaby odpowiedzieć. I ktoś, kto się z tego wyrwał, miałby chcieć wracać? Też sobie mamcia wymyśliła. Kogo innego trzeba Kajtkowi znaleźć. Musi być robotna, silna i równie mrukliwa, co on.

Rozdział ósmy



Owies jest jednym z tych zbóż, które coraz rzadziej możemy zobaczyć na polach. Wynika to z nierentowności jego produkcji przy jednoczesnym ogromnym spadku pogłowia koni, dla których był hodowany na paszę.

Tymczasem owies jest jednym z najzdrowszych zbóż, o bardzo wysokiej wartości odżywczej i dużej ilości błonnika pokarmowego. Jest bogaty w składniki mineralne – żelazo, magnez, cynk i witaminy, w tym witaminę młodości, czyli E, oraz przeciwutleniacze. Dziś najczęściej spożywany w postaci płatków, choć dostępne są również otręby, mąki, śruty, kasze i mleko.

Owies w diecie przyczynia się do obniżenia poziomu cholesterolu, reguluje poziom glukozy we krwi, działa antyseptycznie, przeciwnowotworowo, uspokajająco, moczopędnie. Korzystnie wpływa na układ sercowo-naczyniowy, odpornościowy i nerwowy. Owsa używa się też w kosmetyce, a także do produkcji kociego żwirku oraz biodegradowalnego plastiku czy leków ułatwiających rzucenie palenia.

Większe spożycie owsa ułatwia odchudzanie, zapobiega kamicy nerkowej i cukrzycy, łagodzi dolegliwości reumatyczne, poprawia wygląd skóry i korzystnie wpływa na potencję.

Styczeń 1930

Po Nowym Roku dni stały się dłuższe i zawitała odwilż. Na końcach zwisających z dachów sopli wisały krople wody, zamienione przez słońce w błyszczące klejnoty. Wzrok ciągle do nich uciekał, serce się radowało ich pięknem, choć były nietrwałe i nic niewarte. Ludzi i sroki jedna tylko rzecz łączy, a jest nią wielka miłość do wszystkiego, co błyszczy. Sroka ukradnie kawałek szkiełka i będzie swą radość obwieszczać światu wrzaskliwym

skrzeczeniem, dzieciak ułame kawał sopła i będzie stał z nim na śniegu, ciesząc oczy tęczowymi błyskami.

Ponieważ nic nie trwa wiecznie, również ta nagła łagodność zimy szybko się skończyła. Kilka dni po katolickich Trzech Królach i prawosławnym Bożym Narodzeniu przyszedł mróz tak silny, że wilgoć w powietrzu zamarzała i wirowała w porywach wiatru jak srebrny proch. Szadź osiadła na wszystkim, tworząc z lodowych kryształków delikatne wzory, podobne koronkom. Małe okienka chałup pokryły kwiaty tak piękne, że pewnie i najzdolniejszy malarz podziwiałby je w niemym zachwycie, zazdroszcząc naturze precyzji i inwencji. Ze świata zniknęły kolory. Już nie było brunatnych pni drzew, błękitnych ścian chałup, czarnej ziemi ani płowych suchych traw. Mróz wszystko przemaalował na białe. Nawet ludzi. Gdy tylko się wyszło z chałupy, zaraz na rzęsach i brwiach osadzały się białe kryształki. Świat wyglądał jak z niezwykłej baśni, jak tajemnicza kraina, aż dech zapierało, tak było to piękne. Jednak za tą niewypowiedzianą cudnością stał wielki smutek i śmierć. Ptaki zamarzały na gałęziach i ciężko, jakby były z kamienia, spadały w śnieżne groby. Bezmyślne koty, które zbyt daleko zapędziły się w swoich wędrówkach, gdy nie zdążyły wrócić na noc do izby, na piec, rozpaczliwie szukały bezpiecznego noclegu, a nie znalazłszy, odchodziły ze świata cicho, we śnie. Dzieci zaczynały pokasływać, co wywoływało przerażenie matek. Bo jeśli to początek choroby, to też początek największego cierpienia, jakiego doświadczyć może kobieta.

Kończył się świąteczny czas, a wraz z nim rozkoszna sytość. Gospodynie przeliczały zapasy, wzdychały ciężko, a na stół wracały kluski na kartoflach, prażuchy czy golas. Cichła muzyka, nie organizowano kuligów, bo tylko największy dureń wyprowadzały konia na dwór w taki mróz.

Kajtek Mazur westchnął, jego westchnienie zawisło w powietrzu mleczną mgiełką. Wszedł do obory i nim zdążył zamknąć drzwi, wiatr wrzucił do środka garść śniegu, który znikł, gdy tylko dotknął podłogi. Bo tuż za wejściem ułożono kawałek podłogi z kamieni i poobijanych cegieł, by utwardzić ziemię. Nie ma bowiem nic gorszego, niż zaraz po przestąpieniu progu poślizgnąć się w gnojowym błocie.

Po prawej stronie w zagródce stała czarna owca, za nią maciora, dalej wieprzek, a w dalekim kącie były grzędy, na których siedziały kury i kogut.

Przy żłobie po lewej stronie stały dwie krowy. Jedna duża, czarno-biała, łaciata, miała wykręcone ku górze rogi, spiczasty grzbiet, wielki jak bęben

brzuch, chude nogi, wymię, którego strzyki prawie sięgały ziemi, i płaskie, rozczłapane kopyta. Druga była niewielka, cała czerwona, z grzbietem płaskim i bokami wyglądającymi na chude, i z wymieniem tak małym, że chowało się między masywnymi udami. Nogi, długie, sarnie, zakończone były zgrabnymi racicami. Łaciata miała łagodną naturę, ze stoickim spokojem znosiła dojenie, a nim wzięła do mordy kłapeć siana, długo go obwąchiwała. Czerwona, niecierpliwa, lubiła nogą firgnąć, gdy doszła do wniosku, że dojenie trwa zbyt długo. Na jedzenie rzucała się łapczywie, zanurzając całą mordę czy to w sianie, czy w trawie.

Widząc wchodzącego gospodarza, popatrzyły na niego z wyrzutem i zamruczały ponaglająco, bo żłób był już pusty. Kajtek podzielił oberem siana, które ze sobą przyniósł, na dwie porcje. Jedną rzucił krowom, z drugą podszedł do paśnika, zawieszzonego nad końskim żłobem. Koń beznamiętnie obwąchał siano.

– Zimno ci? – zapytał Gniadego, który nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Komu nie zimno. Damy radę. Pamiętasz przeszłą zimę? Drzewa od mrozu pękały. Tak ten świat urządzone, jest zima, to i zimno być musi. – I sięgnąwszy po wiszące na ścianie zgrzebło, zaczął delikatnie czesać konia, nie dlatego, by ten potrzebował owego zabiegu, ale dlatego, żeby nadać sens dłuższej wizycie w oborze. Tu było cicho i spokojnie. W izbie matka z Wietką liczyły łysych.

– Pawło Iwaniuk – mówiła matka, a siostra na to jak najgłośniej:

– Trzaśnie mróz!

– Krzywy Domański.

– Trzaśnie mróz!

– Michał Adamczuk.

– Trzaśnie mróz.

Jeśli udało im się doliczyć do piętnastu łysych chłopów we wsi, a nie zająknęły się przy tym, była nadzieja, że nazajutrz mróz odejdzie i przyjdzie odwilż. Jeśli się pomyliły albo wskazały kogoś, kogo łysina była sprawą dyskusyjną, mrozu nie dało się odczarować, a zabawę można było powtórzyć dopiero następnego dnia.

Kajtek czasem lubił to ich trajkotanie. Tylko czasem. Zwykle go irytowały, bo nie pozwalały skupić się na własnych myślach. Czuł się wtedy jak człowiek, który wyszedł na gościniec, gdzieś daleko słyszy przepiękną melodyjkę, ale hałas codziennej wiejskiej krzątany ją zagłusza. A on tak

bardzo chciał jej słuchać.

To nie tak, by owe myśli Kajtka były czymś niezwykłym. Ot, płynęły przez niego leniwie i swobodnie, tak jak płyną błękitnozielone wody Huczwy w upalny sierpniowy dzień. Czuł się tak, jakby leżał na falach, o one niosły go w dal, hen, hen, hen, poza dom, Tynczyn, poza codzienność. Nie, nie było to pragnienie wyjazdu czy tęsknota za Zamościem, Lublinem czy Ameryką. Jeśli tęsknił, to za miejscem w głębi siebie, cichym i spokojnym, gdzie mu nikt nie przeszkadzał być takim, jakim był.

Odwiesił zgrzebło. Przeciągnął ręką po końskim zadzie, pod cienką skórą czuł mięśnie, jak wykute ze stali. Pogłaskał grzbiet, kark, a na koniec chrapy Gniadego. Ciepły oddech zwierzęcia łaskotał wewnątrz dłoni, meszek z króciuteńkich włosów miał w sobie coś takiego, że nie można było przestać go gładzić. W końcu koń, znudzony pieśczością, niecierpliwie zarzucił łbem, dając znak, że chce już skubać swoje siano. Kajtek przesunął dłoń na kark i głaskał konia nieprzerwanie, patrząc na wielkie ciemne oczy, długie rzęsy, słuchając chrupania, gdy wielkie, żółknące zęby miażdżyły suche łodygi.

Gniady był dla Kajtka najbliższą istotą. Owszem, kochał i szanował matkę, miał mnóstwo serdeczności dla siostry, w sercu nosił wielką miłość, żadna jednak z tych trzech kobiet nie była mu bliska. Nie potrafił ich zrozumieć, nie umiał z nimi rozmawiać, czuł, że wcale go nie znają. Bywały dni, takie jak ten, gdy koń słyszał więcej słów niż jakikolwiek człowiek.

Splotły się ich życia tak, jak czasem splatają się ze sobą dwa drzewa, które zbyt blisko siebie wyrosły. Gniady pojawił się, gdy cały świat Kajtka runął. Był ojciec i była żrebna klaczy. W napięciu oczekiwali na jej oźrebiecie, ale nim do niego doszło, przyszła wojna.

– Klaczy dopilnuj. O żrebaka dbaj. Żółtka z cukrem, będziesz pamiętał? – To były ostatnie słowa, które usłyszał od ojca.

W sierpniowy ranek, po niesłuchanie długiej, niespokojnej nocy na słomianą podściółkę wprost z trzewi gniadej klaczy wypadł żrebak. Stary Hub wytarł dłonie o portki.

– No, no! Ogierek – powiedział z uznaniem. – A wiesz ty, chłopie, jak o żrebaka dbać?

– Tatko mówili.

– Wszystko pamiętasz? Co masz nie pamiętać, z ciebie już dorosły chłop. – Poklepał Kajtka po plecach. – No, ale zajrzę ja do ciebie od czasu do czasu.

Jakby tam co...

Przychodził codziennie. Udzielał wskazówek, pomagał, pokazywał. W dniu, gdy przyszła wiadomość o śmierci ojca, też przyszedł i ani jednym słowem nie wspomniął o tym, co się stało. Mówił o podkowach, siodłach i chomątach, o owsie, sianie i sieczce, o narowach, ochwacie, podbiciu. Ani jednego słowa o śmierci. Tylko na koniec, gdy już odchodził, bardzo mocno Kajtka przytulił.

Matka płakała, Wietka płakała, a Kajtek udawał, że nic się nie stało. Wstawał rano, robił obrządki, wodę nosił, bydłęta poił, gnoje wyrzucał. Gdy nikt nie patrzył, oplatał ramionami szyję żrebaka, przytulał do niej twarz i lał łzy na czarną grzywę.

Matka chciała sprzedać łoszaka, ale się nie zgodził.

– Kobyła spokojniejsza. Na cóż nam ogier?

– Ogier silniejszy.

– I ma narowy. Któż sobie z nim poradzi?

– To mój koń – powiedział tylko. A matka skinęła głową, godząc się na ten nowy porządek, gdy to Kajtek, nie ona, podejmuje decyzje.

I tak trwali razem już dziewięć lat.

O tajemnicy, którą nosił w sercu, nie wiedział nikt poza Gniadym. Gdyby Kajtek był innego rodzaju człowiekiem, śmielszym, odważniejszym, takim, który potrafi rozmawiać, może umiałby znaleźć sposób, by zmusić się do działania. Niestety, jedyne, co potrafił, to czekać, aż coś się stanie. Gdy on miał nadzieję, że coś się wydarzy i zostanie zauważony, dziewczyna poszła za innego. Teraz nosiła dziecko w brzuchu, a Kajtek miał wielką czarną dziurę w sercu.

Czas wracać do izby. Poklepał konia na pożegnanie i wyszedł. Sprawdził, czy drzwi dokładnie zamknięte. Opuścił starą płachtę, wiszącą nad nimi, która miała sprawić, że mróz nie będzie się wdzierał do środka przez szpary w drewnie. Podsunął snopek starej słomy, by wiatr nie zdarł zasłony. Na koniec zawołał psa, harującego po podwórzu, jakby w ogóle nie czuł mrozu.

– A ty co tak długo robił? – zapytała matka.

Nie odpowiedział, bo też ona wcale nie czekała odpowiedzi. Znała swojego syna i wiedziała, że usłyszenie od niego słowa zdarza się rzadziej niż znalezienie grosza na drodze.

– Zapalonej zupy zjesz?

I już na stole stała miska, nad którą unosił się obłok pary.

Zapaloną zupę robiło się z długo gotowanych kartofli. Gdy już się rozpadły, gospodyni zagęszczała całość zasmażką. Na koniec kraszono ją podsmażoną cebulą ze skwarkami. Kajtek zajrzał do miski, skwarek nie było. Pytająco spojrzął na matkę.

– Toż post dzisiaj. Wigilia Jordanu – wyjaśniła. – Ty patrz, a my jak te głupie łysych liczyły. Toż przecie „Na Jordana mróz do rana”.

Dopiero gdy przełknął pierwszą łyżkę zupy, uświadomił sobie, jak jest zmarznięty i głodny. Przyjemne ciepło promieniowało z żołądka na całe ciało. Choć niekraszona, zupa była przyjemnie sycąca, bo matka dodatkowo zagęściła ją kawałkami suchego chleba.

Zjadłszy, przeniósł się pod piec i usiadł tak, by grzało mu plecy. Zużył już całą wiklinę i teraz wziął się do plecenia warkoczy ze słomy. Nie była to łatwa sztuka, bo w przeciwieństwie do elastycznych wierzbowych gałązek słomiane źdźbła łamały się i kruszyły. Trzeba je było ciasno splatać ze sobą, co rusz dokładając nowe, by nadać warkoczowi odpowiednią długość. Z takiego warkocza robiło się kosze, dzieżki i, najważniejsze ze wszystkiego, ochraniacze na buty. Miały one kształt wielkich pantofli, luzy między takim ochraniaczem a butem wypełniano sieczką i dzięki temu żaden mróz nie był stopom straszny.

– Kończ już, spać idziem – powiedziała nagle matka.

Rozejrzał się. Za okienkiem ciemno, w izbie ciemno. Resztką żaru w palenisku mrugała czerwonymi oczkami. Kiedyż to minęło?

Odsunął robotę w kąt. Wstał, rozprostował plecy.

– Ani myśl na dwór wyłazić. Tylko zimna napuścisz.

Westchnął. Zgarnął z klepiska resztki pokruszonej słomy i razem z grubym polanem wrzucił do pieca. Czerwone oczka zamrugały niespokojnie, wydawało się, że zaraz wszystkie zgasną, ale gdy dostrzegły słomiane paprochy, otwierały się coraz szerzej i szerzej, aż rzuciły się ku nim wygłodniałe. To już nie były oczy, a języki, najpierw nieśmiało, później coraz odważniej liżące polano. Na koniec w radosnym trzasku narodził się płomień i zaczął tańczyć po swej ofierze. Do rana jedynym, co zostanie po kawale drewna, będzie garstka szarego popiołu.

– Nie wiem, czy ta twoja robota to nie grzech, toż jutro święto... – zaczęła matka. – No, niby mówią, żeby od ciężkiej roboty się powstrzymać, a to przecież nie ciężka. Nie wiem, nie wiem. – Odsunęła krzesło, by więcej miejsca zrobić. – Dzieci, to klękajmy do modlitwy.

Kajtek ukląkł po prawej stronie matki, Wietka po lewej. Wszyscy troje wzniesli oczy ku wiszącym na ścianie obrazom. Trzeba byłoby mieć sowi wzrok, żeby coś dostrzec w ciemności izby, pamiętali jednak wizerunki świętych w najdrobniejszych szczegółach, wszak patrzyli na nie całymi dniami.

Matka i Wietka zaczęły odmawiać modlitwy, jedna spokojnym, lekko znużonym głosem, druga dźwięcznym, młodzieńczym. Kajtek modlił się w myślach. Prosił Jezusa w przededniu Epifanii o zdrowie dla matki i siostry, i dla tej trzeciej, której imienia nawet w myślach nie wymawiał, bojąc się, że choć to jego grzech, ale i na nią karę może sprowadzić.

Po skończonym pacierzu matka dała znak, by syn i córka kładli się spać. Sama jeszcze czas jakiś czuwała, szepcząc dalsze modlitwy. Utulony monotonnym matczynym głosem, Kajtek zasnął.

Obudziło go zimno. Krótki był okres, gdy człowiek nie budził się zziębnięty. W czerwcu i w lipcu, aż do Hanki, jeszcze czasem sierpniowe upały przynosiły ze sobą kilka dni tak gorących, że rozgrzana ziemia do rana nie stygła. Przez resztę roku człowieka budziło zimno. Znak, że trzeba wstać, pod piecem rozpaścić, ruchu trochę zażyć, by ustała krew zmusić do krążenia. Pod piernatem chłód, ale w izbie jeszcze zimniej, dlatego, choć kusi, by się nie odkrywać, trzeba raz-dwa wstać, szybko się odziać i wyjść na dwór, zanim lenistwo człowieka dopadnie.

Słońce okraśniało niebo różowym rumieńcem, podobnym temu, który wykwita na policzkach dziewczyny, gdy chłopiec szepnie jej miłe słówko. Świat z wolna wynurzał się z atramentowej czerni. Dachy chałup stały się szare, później zapłonęły czerwienią, by na koniec stać się złotymi, tak jak złote było wschodzące słońce. Szadziowe koronki na drzewach zamigotały srebrem, a potem zrobiły się najpierw błękitne, wreszcie żółte.

Kajtek patrzył na ten niezwykle spektakl, jakby pierwszy raz w życiu widział zimowy wschód słońca. Jakże to tak, że wystarczy trochę zamarznętej wody i odrobina światła, by stworzyć taki cud? Zamknął oczy, by sprawdzić, czy mu zostało w pamięci choć tyle, by można to przywołać w ciągu dnia. Dziwna sprawa. Bez względu na to, jak uważnie patrzy człowiek na wschód czy zachód słońca, i tak rychło wszystko zapomina. Takie to piękne, warto by nosić ten obraz w pamięci, a jednak znika. Natomiast inne rzeczy – smutne wydarzenia czy ludzkie złośliwości – zostają w niej na zawsze.

Sięgnął po siekierę opartą o pniaczek do rąbania drewna. Wyważył ją w rękę, by dobrze ułożyć. Położył polano i raz-dwa zmienił je w kilka cienkich szczap. Jesienią przydobał dobrego drewna i był z tego bardzo dumny. Dobry opał w zimie najważniejszy.

Zaniósł naręcze drewna do izby i pod piecem rzucił.

– Dopiero zamiotłam – upomniała go siostra, gdy okruchy kory rozsypały się na wszystkie strony.

Nic nie odpowiedział, wyszedł z chałupy, bo przecież miał jeszcze zajęcie w oborze. Gdy wrócił, matka uwijała się po izbie, a Wietka płaczącym głosem dopytywała się, którą chustkę lepiej na głowę włożyć.

– Ta kraciasta cieplejsza, ale wyglądam w niej tak nijako.

– Toż mówiłam, żeby ty jej nie brała. W tej czerwonej ładniej ci było. Nie czas to już się zbierać? – Matka spojrzała pytająco na Kajtka.

Ano czas.

Wyjęła z kufra świąteczne ubrania. Koszulę z haftowaną krajką, wełniany serdak, futrzaną czapkę, zapaskę, spódnicę, bluzkę z szerokimi rękawami.

– Jeszcze korale – przypomniała Wietka.

– Na cóż tobie w zimie korale? Widać nie będzie, jak się chustami okutasz – odparła, a jednak dała.

Cała wieś wyległa na gościniec. Kolorowo się zrobiło i gwarno. Kobiety, odziane w kolorowe chusty i zapaski, z daleka wyglądały jak kwiaty, co wyrosły wśród śniegu. Przyjaciółka szukała w tłumie przyjaciółki, kuma kumy. Gdy się odnalazły, stawały blisko, opuszczały głowy i jedna drugiej opowiadała, co też ostatnio się stało, czy to u niej, czy u sąsiadki. Wieści od sąsiadów zawsze najlepsze. Bo cóż nasze życie? Nuda. Za to za płotem tyle ciekawego się dzieje, że aż trudno uwierzyć.

Mężczyźni zbijali się w stada. Z wyglądu i zachowania przypominali wróble, ustawicznie drące dzioby, szukające jakiegokolwiek zwady. Kajtek słyszał pojedyncze słowa, ale to wystarczyło, by wiedzieć, o czym mówią. Od zeszłego roku w rozmowach o polityce zagranicznej wciąż powracały dwa tematy – protokół Litwinowa i Linia Maginota. Byli tacy, co wierzyli słowom radzieckiego polityka, gdy zapewniał, że ZSRR wyrzeka się wojny jako środka rozwiązywania konfliktu. Byli też inni, którzy uważali, że lepiej wierzyć psu niż komuniście. Niewątpliwie należało mocniej naciskać na sąsiedni kraj i zmusić tamtych do wiążących paktów i deklaracji. Zwłaszcza że Francuzi budowali umocnienia, co było widomym znakiem ich stosunku

do innych państw Europy.

– Ja to nie pojmuję – perorował Domański, zwany Krzywym – czemuż nasze pany tak do tej Francji ciągną? Czy one już nie pamiętają, że gdy obrały Francuza polskim królem, to w nocy uciekł i jeszcze im dupę obrobił na całą Europę, że elegancko jeść nie potrafią?

Ten i ów mruknięciem przyznał mu rację, zaraz jednak odezwał się młody Pomiechowski, stryjeczny wnuk tej plotkary, Staszki.

– A Napoleon? Czyż Napoleon nie był przyjacielem Polaków?

– Był. Dopóki mu ruski mróz tego i owego nie przymroził. Cienko on potem śpiewał i pozwolił się na ciepłej wyspie na wywczas zamknąć.

– Nie zaprzeczycie, że wódz był z niego wielki.

– A czy ja mu wielkości odmawiam? Gadam tylko, że głupi był. Bo prawda jest taka, że ten, co zimą pod Moskwę się pcha, musi być głupi. To wam powiadam, każdego jednego, co tak robi, niechybnie czeka klęska.

Kajtek minął ich, kierując się ku cerkwi, gdzie zaraz rozpocząć się miała Boska Liturgia. Prawosławni uczestniczyli w nabożeństwie, katolicy tylko w procesji. Czekali pod cerkwią, ale już nie plotkowali, nie politykowali. Słuchali słów kapłana, które daleko niosło mroźne styczniowe powietrze.

Liturgia się skończyła. Gościńcem ruszyła procesja. Szli za olbrzymim złotym krzyżem ku rzece, tak jak to robili ich ojcowie, dziadkowie i ojcowie ich dziadków.

Huczwa stała skuta lodem. Trzeba było wykuć przerębłę, która musiała mieć kształt krzyża. Gdy była gotowa, duszpasterz trzykrotnie zanurzył w wodzie krzyż, na znak wierności i oczyszczenia, a także potrójną świecę, symbolizującą Trójcę Przenajświętszą. Wierni ustawili się w szeregu, by łatwiej ich było skropić świętą wodą jordańską. Kiedy obrócono krzyż, by powrócić z nim do cerkwi, kobiety rzuciły się ku rzece i zaczęły nabierać wody w butelki czy kubeczki. Nie było pewniejszego lekarstwa na zimowe choroby, odczynienie złych uroków i odegnanie czarów. W tym samym czasie mężczyźni, którzy mieli pistolety, a było ich we wsi kilku, wystrzelili salut z radości. Później wszyscy jeden przez drugiego przepychali się ku wodzie i obmywali w niej ręce i twarz.

Starzy ruszyli do ciepłych chałup, by spożyć świąteczny posiłek i wygrzać się przy piecu. Młodzi zostali nad rzeką. W ruch poszły siekiery, skuto lód przy brzegu. Pośpiesznie zrzucano ubrania.

– No, ciekawym bardzo, kto w tym roku najdłużej wytrzyma! – krzyknął

Dyzio Adamczuk.

– Na pewno nie ty – odpowiedział mu Stepan Iwaniuk.

– Wam, dzieci, na zapiecku siedzieć – śmiał się Pietro Matwiejczuk.

Kajtek nic nie mówił. Wraz z innymi wszedł do wody. Patrzył, jak tamtym sinieją twarze, jak jeden po drugim wybiegają z wody i byle jak naciągnawszy na siebie odzież, pędem rzucają się ku wsi.

Na koniec, jak co roku, w przerębli został tylko Pietro i Kajtek. Zebrani na brzegu radosnymi okrzykami dodawali im otuchy.

Wśród nich była ona. Cięża zmieniła jej figurę, ale nogi pozostały zgrabne. Spódnica, która zadarła się na zaokrąglonym brzuchu, odsłaniała nie tylko zgrabne kostki, ale prawie całą łydkę. Ponieważ kozuszek się nie dopinał, okutała się jesionką. Był to rodzaj wielkiej chusty, tkanej z grubej wełny, obowiązkowo obszytej frędzlami. Kobiety składały ją na wysokości trzech czwartych i zarzuciwszy sobie na ramiona, okręcały się nią ciasno. Nie wszystkie stać było na taki luksus. Ona dostała jesionkę w posagu. Razem z piernatem i dwiema poduszkami. Kajtek słyszał, we wsi o tym gadali. Nie tylko o posagu. Mówili też o tym, że dobrze za męża poszła. Na to wyglądało. Dziecko już w drodze, a ona roześmiana i szczęśliwa. Pokrzykuje wesoło, spod czapki wypadły pasma włosów, które zaraz mróz posrebrzył.

– Dawaj, dawaj, Pietro! – zachęcała męża, by jeszcze chwilę wytrzymał.

Ale ten już dzwonił zębami, już zaczynał się trząść. Naraz wyskoczył z wody, jakby nie była lodowata, a wrząca. Podskoczył ku swojemu ubraniu, wciągnął portki.

Marinka ze śmiechem rozwiązała swoją wielgachną chustę i okryła nią mężowski grzbiet. Pietro ruszył biegiem ku wsi, ona za nim. Nim jednak odeszła, rzuciła jeszcze pełne uznania spojrzenie na Kajtka.

Teraz mógł wyjść z wody. Nieśpiesznie ruszył brzegiem do miejsca, w którym zostawił ubrania. Wkładał je powoli, celebrując każdy ruch. Kiwał głową wszystkim, którzy mu gratulowali hartu. Wracał do domu powoli, smutny i jednocześnie uradowany tym jednym spojrzeniem.

Mógł wytrzymać w lodowatej wodzie, mógłby wytrzymać i we wrzątku. Gdy ona była w pobliżu, przestawał czuć dolegliwości fizyczne, trawiony miłością.

Rozdział dziewiąty



W Polsce występuje kilka gatunków łobody. Ich wspólną cechą jest to, że rosną na glebach piaszczystych i ubogich w składniki mineralne.

W kuchni chłopskiej łoboda była, podobnie jak szczaw czy pokrzywa, składnikiem popularnej zupy. Zupę z łobody gotowano na polewce, czyli wodzie po kluskach czy pierogach (woda ta była już zagęszczona mąką i posolona, wylanie jej to marnotrawstwo). Do gotującej się polewki wrzucano pocięte liście łobody w stosunku trzy, cztery garście na litr, do tego pokrojoną cebulę. Po kwadransie dolewano maślanek (tyle, ile użyto polewki do gotowania zupy) i jeszcze przez chwilę gotowano. Do zupy można było dodać jajko albo śmietanę. Do smaku doprawiano ją ziarnami kminku albo świeżym czosnkiem.

Suszonej łobody używano w ziołolecznictwie, ze względu na korzystne działanie na układ pokarmowy.

Maj 1930

Syn, jak to on, bez słowa wyszedł z izby. Zamknął za sobą drzwi, choć na zewnątrz była wyższa temperatura niż w środku. Dni teraz najprzyjemniejsze. Ranki rześkie, a do samego wieczora ciepło, choć nie upalnie. Najlepsza to pora na świecie, najgorsza w spiżarni. Kończyły się kartofle, a te, co zostały, czując ciepło ziemi, zaczynały kiełkować. W korcach z kaszami po kolei pokazywały się dna. Gala Mazurowa westchnęła. Pół biedy ona czy Wietka, ugotuje im klusek drobnych czy zalewajki, ale Kajtkowi trzeba dobrze dać jeść.

Czemuż ja taka głupia byłam i wieprzkowe szlachtowanie przełożyłam?

Będzie go trzeba do września karmić, bo teraz już za ciepło. A tej ćwiartki, co u Hubów złapałam, to tyciuńcio było. Żeby to choć zadnia, z niej więcej mięsa. Z przedniej tyle, co studzieninę się zrobi, salceson i tyle. Z wędzeniem nie ma się co rozpędzać, bo to trochę żeberek, trochę boczku i karkówka. Choć podgardle, trzeba przyznać, niczego sobie. Smalcu się natopiło, skwarek narobiło, a jeszcze jeden wędzony kawałek w komorze wisiał. Gala wciąż miała zakopany w ziemi garnek z mięsem. Na samą myśl ślina jej ciekła, bo lepszego jedzenia nie było. Obsmażało się kawałki mięsa na złoty kolor, ciasno układało w garnku i zalewało tłuszczem, a na wierzch sypało sól. Kawałkiem płótna i sznurkiem zabezpieczano pokrywkę i gotowe. Głęboki dół już czekał. Mięso mogło i rok w ziemi siedzieć, ale kto by rok wytrzymał? Gala tylko dlatego ten jeden garnczek zachowała, że pomyślała o żniwach. Bo w żniwa zbyt gorąco, by świnie bić, a po ciężkiej pracy chce się zjeść czegoś sycącego. Tym oto sposobem, przez jej głupotę, wieprzek żyje i na całe podwórko drze ryj, bo żreć chce. I trzeba wymyślać, co też mu dać, by nie wychudł, bo gdy potem przyjdzie sąsiadom pożyczoną ćwiartkę oddawać, żeby wstydu sobie nie narobić. A wesela jak nie było, tak i nie ma. I przyjdzie na nie jeszcze z rok poczekać. Cóż, rok nie wiek. Dobrze, że Gala posłuchała Wietki. Niby młode, niby durne, a swój rozum ma. Powiedziała, że Jadźka Adamczukówna nie zechce Kajtka, i miała rację. Darmo się tam Gala poczęstunków nanosiła. Nikt słowem się nie zająknął, ani na tak, ani na nie. Udawali, że nie rozumieją jej intencji. Nie to nie, nikt ich prosił nie będzie, nie taki to znowu towar ta Jadźka, by za nią płakać. Nie darmo ludzie mawiają, że tego kwiatu pół świata.

– Tak sobie myślę – szepnęła pewnego wieczoru Wietka – że naszego Kajtka to wyswatać by z Natalą.

– Co też ty mówisz? – Gala rzuciła spojrzenie w stronę drzwi, czy syn nie wraca z obory. – Toż to dziecko jeszcze.

– Nie takie znowu dziecko. Ze trzy lata starsza ode mnie.

Gala uśmiechnęła się z czułością do córki. Ot, cielecy czas, gdy młodemu się wydaje, że rok to wiek, a trzy lata to ho, ho!

– Szczerze ci powiem, córuś, że nie wiem, czy to byłby dobry ożenek. Ojciec dziewczyninie zaprzepadł, matka z chłopem uciekła. A co, jeśli Natalia w nich się wdała?

Wietka westchnęła.

– Ja tam nie wiem, w kogo ona się wdała, ale mnie się widzi, że ona

całkiem jak nasz Kajtek. Tylko do roboty. Z dziewczętami na tańce nie chodzi, mówi, że w domu siedzieć jej lepiej. Kawalerów, co zaglądną, jak szkodne koty rozgania. Zaczepi ją człowiek na wygonie i zagada, to szczęście, jak co odburknie.

– Może ona co z głową ma?

– A gdzież tam! – oburzyła się córka. – Mamcia by ją zobaczyli u Hubów. Tam gada za trzy, śpiewa, z dzieciakami się bawi. Między swymi ona całkiem inna. Obcych nie lubi. Całkiem jak nasz Kajtek.

Gala już miała powiedzieć, że nie tak całkiem, bo Kajtek i między swymi mruk, z którego dwa słowa ciężko wyciągnąć, ale zmieniła zdanie i tylko machnęła ręką, uznawszy, że to zły pomysł, a Natalia to kiepska partia.

Wszakże tak czasem bywa, że jak ktoś nam coś pokaże, zaczynamy to dostrzegać, choć wcześniej nie widzieliśmy. Gdyby Wieta nie wspomniała o Natali, Gala nigdy by nie zwróciła na Dołęgównę uwagi. Po tej rozmowie zaczęła się przypatrywać dziewczynie. Prawda to, że spokojna była i małomówna. Wieczorami nie spacerowała z innymi pannami po gościńcu, by się przed kawalerami przedstawiać, mówić zbyt głośno i zbyt głośno się śmiać. Za to można ją było zobaczyć w obejściu, wiecznie zajętą robotą. A to poła, a to doła. Plewiła ogród, koniczynę płachtą nosiła, buraczynie łamała. A w niedzielny poranek śpieszyła na nabożeństwo elegancko wystrojona. Gdy się przez płot spojrzęło na jej podwórko, to aż trudno było uwierzyć, że jedna osoba tu gospodarzy. Schludnie, czyściutko, wszystko zadbane. Wprost niewiarygodne.

Zauważyła też Gala, że Natalia wyjątkowo lubi dzieci. Nie tylko swoją wujeczną Walercię od Hubów, ale wszystkie. Kręciły się wokół niej różne wiejskie maluchy, tak jak kurczęta kręcą się wokół kwoki. Pewnie ona straszliwie nieśmiała, pomyślała Gala, a dzieci się nie wstydzą, bo to tylko dzieci. Między dorosłymi milczy.

Przypomniała sobie dawną historię, którą jeszcze tatko opowiadali, o pannie, co była tak nieśmiała, że aż mdlała. Zajrzy jaki kawaler, a ta w krzyk i do komory się chowa, wyjść nie chce, płacze, krzyczy. Ojce zafrasowane, bo co też zrobić, za mąż trza dziewczynę wydać, tylko jak, skoro ta chłopów się boi? Aż przyszedł taki jeden i mówi: „Dajcie mi waszą córkę. Ona mnie się podoba, dobrze będzie ze mną miała”. Pytają go, jakimż sposobem mają mu ją dać? „A choćby zwiążcie i przed ołtarz przywieźcie. Byle ślub się odbył, po ślubie to już moje zmartwienie będzie”. Tak zrobili.

Sposobem ją do kościoła zwabili. Ksiądz, który wiedział co i jak, raz-dwa ze ślubem się uwinął. Pojechali do domu, ona do komory, a on nic. Czeka. Minał dzień, drugi. Zgłodniała. Pyta, co jeść będą. „Ja tu nie gospodarz, tylko ty gospodyni. Wszystko jest. I kiełbasa, i kapusta, kasza, kartofle. Tylko gotować nie ma komu”. Wyszła więc rada nie rada, do gotowania się wzięła. Potem do roboty w oborze, na koniec w ogrodzie i polu. Tatko powiadali, że tamten chłop miał z żony pożytek i w szczęściu starości dożyli. Gdy go ludzie pytali, czemu ją wziął, on pytał: „A powiedzcie no, który pies lepszy, ten, co do wszystkich macha ogonem, czy ten, co na obcego warczy, a swojego po rękę liże?”.

Może i z tą Natalą podobna sprawa? Z usposobienia pasowałaby ona do Kajtka, wiadomo zaś, że ludzi sobie podobnych najlepiej małżeństwem wiązać, bo wtedy niesnasek między nimi nie ma.

Dajmy na to, że trafiłaby się Kajtkowi za żonę jaka gaduła, myślała Gała, toż on tego nie zniesie. Mówić nie lubi, ale słuchać babskiego trajkotania wprost nienawidzi.

I tym sposobem pomysł, który początkowo wydawał się zły, okazał się dobry, a kiepska partia – najlepszą z możliwych.

Z równym zapałem jak wcześniej do Adamczuków chodziła teraz Gała do Hubów. Najpierw do Antka i Anieli. Ci jednak na bardzo oględne pytanie o możliwe zamążpójście siostrzenicy odpowiedzieli, że Natalia ma czas. Dlatego też Gała zajrzała do Tereni, gdzie rozmowa wyglądała zupełnie inaczej.

– A miło, żeście do mnie zajrzeli, Mazurowo. Mało kto teraz przychodzi, kogo by tam obchodziła stara kobieta. Czekają wszyscy, bym jak najrychlej oczy zamknęła. I to się stanie, choroba mnie trawi. Trawi, trawi, a strawić nie może. Męczę się okrutnie. Słyszycie, jak oddycham? Świszczę. Tak czuję, że tam już w ogóle płuc nie ma. Policzone moje dni.

– To jak każdego.

– Dobrze wam mówić. Wy zdrowi, siłę macie. Pożyjecie jeszcze. A ja? Co zjem, to zaszkodzi, nie zjem – jeszcze gorzej. Ziół wypiję, to mnie mdli. Zadbaj o mnie nie ma komu. – Westchnęła ciężko.

– Syna macie, wnuki.

– Syna? Syna? Póki był mały, póty miałam syna. Podrósł, to mi go ta lafirynda Połajówna zabrała. Nie darmo mówią: „Jaki bochen, taka skórka, jaka matka, taka córka”. Jedną się za mego Sawerka, świeć Panie nad jego

duszą i odpuść mu, bo durny był i nie wiedział, co czyni, zabrała, druga za mego syna. Uwiodła i do ołtarza pociągnęła. Wędzidło mu założyła i krótko trzyma. Do matki chodzić nie pozwala, mówi, że ja go buntuję. Prawda w oczy to teraz buntowanie? No powiedzcie, Mazurowa, czy tak?

– Prawdę każdy ma prawo mówić.

– Toż ja to samo Antkowi gadam, a on mi na to, że cięta jestem na Aniele i od początku przeciwna jej byłam. Co miałam nie być przeciwna, jak ona taką matkę miała. Przecie o niej samej różnie ludzie mówili. Podobno coś było między nią a Adamczukowym Wawrzkiem, nim ten do Ameryki pojechał. Ten i ów go widział, jak przez płot do Połajów zaglądał.

Gala chciała powiedzieć, że przecież od Marianny czegoś chciał, a że dostał, to wiadomo, bo teraz po tynczyńskim gościńcu spaceruje żywy tego dowód. Uznała jednak, że jak się ma własny interes do załatwienia, to nierozważnie o cudze dbać, więc tylko skinęła głową.

– Taki to ja mam pożytek z syna, synowej i ich dzieci. Żaden. Tylko mojej śmierci czekają. Nachapać się chcą, a teraz, gdym chora, to nikt nie zajrzy. Niech tam stara zdycha. Niech tylko zamknę oczy, przylecą jak te kruki do padliny. Do wieczora nic w chałupie nie zostanie, wspomnicie moje słowa. Wszystko zabiorą. Wszyściusieńko.

Przez jakiś czas żadna się nie odzywała, a ciszę mącił tylko równy oddech przybyłej i nie mniej zdrowy oddech Hubowej.

– Waszą Natalę niedawno widziałam, krowę na wygon gnała – zaczęła Gala, bo przecież nie po to przyszła, by wysłuchiwać opowieści o chorobie i narzekań na synową. – To już panna.

Hubowa westchnęła, a głębia owego westchnienia była niezaprzeczalnym dowodem na to, że jej płuca są jak kowalskie miechy.

– Wam się wydaje, że ja mam się z czego cieszyć? Toż to kłopot tylko. Ojca nie ma, matki nie ma. Do Anieli lata, a tamta po swojemu ją wyszkoli. Jakbym to ja nie miała powodów do wstydu. Po tym, co Weronika zrobiła, to lepiej między ludźmi się nie pokazywać. Na własnej piersi gadzinę wychowałam, a ona ani przez chwilę nie pomyślała, że matka stara, chora, dni jej policzone. Gdzież tam. Ogon zadarła i za habalem poleciała. Znaku życia nie daje. Może jej już na świecie nie ma, może zaciukał gdzie w rowie, bo na co mu taki kurwiszon?

Gala nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Rozumiała złość Hubowej na córkę, ale żeby stateczna kobieta i dobra chrześcijanka plugawiła swoje wargi

takim słowem, to nie do pomyślenia. Cała ta rodzina wydała się nagle Gali taka ordynarna. Hub ganiał po wsi za Hanką Połajową, Weronika nocą uciekła, żeby z chłopem na wiarę żyć, Antek ożenił się z córką kochanki ojca. Terenia używała takich słów, że nawet najbardziej chamski fornal wstydziłby się je wypowiedzieć.

– Ja bym tę Natalę to zaraz za mąż wydała. Jenó zechce ją kto?

Jak to dziwnie czasem bywa. Na takie właśnie pytanie czekała Gala, ale gdy padło, to tylko z udawanym frasunkiem pokiwała głową i nic nie odpowiedziała. Posłuchała jeszcze utyskiwań Tereni, bo grzeczność nie pozwalała tak w pół słowa zerwać się i wyjść. A gdy zamykała za sobą drzwi, poczuła ulgę. To bym się wpakowała w kałabanię, pomyślała.

Wyszła na podwórko i odetchnęła. Chciała jak najszybciej znaleźć się na własnym podwórku, zatrzymał ją jednak wesoły głos, nucący skoczną piosenkę. Wyrzała zza węgła, ale drzewa i krzaki zasłaniały widok na podwórze Dołęgów.

Kupić nie kupić, potargować można, pomyślała. Przez sad wiodła ścieżka, dobrze udeptana, pewnie przemierzana nie raz każdego dnia.

– Niech będzie pochwalony! – przywitała Natalę.

– Na wieki wieków amen.

– Babcię twoją odwiedzałam.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Jakże to miło z waszej strony, Mazurowo. Dziękuję bardzo. Babci się nudzi, całymi dniami sama siedzi, ja nie mam czasu, tyle roboty. Wojtek, odkąd z wojska wrócił, to czasem z nią posiedzi. No ale i on ma swoje, jak to chłop. Babcia nawet słuchać nie chcą, żeby z chałupy wyjść. Mówią, że chorzy. A świat taki piękny.

– To prawda. Piękny.

– Haić nie chcę, ale Mazurowa podejda bliżej, popatrzą, jakie mam kury piękne. – I z dumą wypięła pierś.

Kury, tak zajęte dziobaniem ziarna, że na nic nie zwracały uwagi, rzeczywiście były bardzo ładne. Piórka im błyszcząły, znak to, że zdrowe. Gdy matowieją, a kura zaczyna się stroszyć, trzeba jej czym prędzej łeb uciąć i zupę ugotować, bo z ptaszyska już „tyle zysku, co w pysku”.

Właśnie wtedy Gala postanowiła, że zanim definitywnie odrzuci kandydaturę Natali, bliżej się dziewczynie przyjrzy. Młode to jeszcze, nie wiadomo, w którą stronę pójdzie z charakterem. Dołęgi byli pracowici

i pobożni, o Franku dobrze we wsi mówiono, choć dziś już mało kto go pamiętał. Ludzie to nie ptaki, że w jednym gnieździe takie same, kubek w kubek, siedzą. Weronika poszła się łajdaczyć, a Antek zupełnie inny. Po ojcu smykałkę do gospodarowania ma, pracuje za dwóch, uczciwy i spokojny. Gała pomyślała o swoich dzieciach. O Wietce, przypominającej cerkiewny dzwoneczek, wesołej, rozświergotanej od rana, i o Kajtku, który przypominał taki głaz pradawny, twardy i niemy, ciepły tylko wtedy, gdy słońce go ogrzeje. A w tej Natali było takie ciepło, które dawało nadzieję, że się przy niej Kajtek zmieni.

Do Adamczuków biegała jak do pożaru. Ledwo pannę zobaczyła, już do ołtarza by młodych ciągnęła. Głupota. Dlatego teraz należało działać wolno i z rozmysłem. Zaglądała do Hubowej od czasu do czasu, by sprawdzić, czy nic nowego się nie wydarzyło. Nic. Natalia pracowała, czasem była sama, czasem w towarzystwie wiejskich dzieci, najczęściej Dyzia Adamczuków.

Teraz, gdy wspominała to wszystko, stojąc na środku swojej izby, pomyślała, że to może dobry dzień, by znów zajrzeć do Tereni. Roboty nie ma tak wiele, uwinie się przy kuchni raz-dwa. Dobrze, że kury znów się niosły. Każdego roku wrzesień przynosił ten zły czas, gdy kury się zasuszały i choćby nie wiedzieć jak dobrze karmione, nie dawały nawet maleńkiego jajeczka. Zaradne gosposie letnie nadwyżki przechowywały w soli i popiele, ale zapas jajek, jak każdy inny, kiedyś się kończył. Szczęśliwe te, którym do świąt wystarczyło. Gdy robiło się ciepło, w kwietniu i maju, kury przypominały sobie o gniazdach, uszczęśliwiając gospodynie, które teraz mogły gotować wiele różnych potraw, do których jajko było potrzebne. Ot choćby placki.

– Barszcz ze szczawiu i placki będą w sam raz.

Zaraz Wietkę pośle, niech listków poszuka. Sama sięgnęła po wiszącą nad blachą świńską skórę. Ciepło blachy sprawiało, że wolno wytapiał się z niej tłuszcz, kraszac kaszę, stojącą w rynce pod haczykiem ze skórą. A choć się wytapiała, pozostało w niej tyle tłuszczu, że można było patelnię posmarować, by placki do niej nie przywierały.

Skończyła smażyć, odłożyła kilka placuszków, owinęła w szmatkę, poprawiła chustkę i poszła do Tereni.

– Jak zdrowie, moja Hubowo? – zapytała, choć dobrze wiedziała, co usłyszy.

Nie było litanii, która długością swoją mogłaby się równać z listą

dolegliwości, na które cierpiała sąsiadka. Zaczynało się od dziwnego bólu skóry wokół włosów, kończyło na ropniu przy paznokciu na małym palcu. Po drodze było sinienie warg, piasek w oczach, swędzenie pleców, kurcz ramion, kwaśność w ustach, świszczący oddech, podpieranie pod piersiami, rżnięcie w kiszki, podducie żołądka, łupanie w krzyżu, niemoc w dłoniach, strzykanie w kolanach, puchnięcie kostek i wiele wiele innych dolegliwości, których Gala spamiętać nie mogła, choć słyszała je już któryś raz.

– Biedniście, moja Hubowo – powiedziała z największym udawanym współczuciem, na jakie było ją stać. – Placuszków wam przyniosłam na skosztowanie.

– Daj wam Panie Boże zdrowia za wasze dobre serce, moja Mazurowo. Tylko żebym ja mogła jeść. Od młodości z kiszki mam kłopoty. Teraz jeszcze ta kwaśność mi się rzuciła, to od wątroby. Mnie się zdaje, że moja już całkiem twarda i biała, jak u tej kury, co zdechła ze starości – perorowała Teresa, wcinając placki.

Gala już miała wychodzić, bo z Hubową nie dało się długo wytrzymać, gdy zjawił się jej wnuk, Wojtek.

Ładny to był chłopak, wysoki, postawny, o ciemnych, kędzierzawych włosach. Patrzył na Galę roześmianymi oczyma, okolonymi rzęsami tak długimi i ciemnymi, że niejedna panna dałaby się za takie pokroić.

– A cóż to za miły gość do was, babciu, zawitał? Czyżby to Mazurowa? Dawnom sąsiady nie widział. Co tam u was dobrego?

– Nic, stara bida.

Wojtek się roześmiał i równo przystrzyżony wąs musnął.

– To ty teraz gospodarz? – zagadnęła Gala.

– Pomagam babci i siostrze, jak mogę. Ale z tego chleba mąki nie będzie. Ja do gospodarzenia głowy nie mam. Roboty w mieście szukam. Wyuczyli mnie w wojsku wielu pożytecznych rzeczy, więc kłopotu z tym nie będzie. Nawet teraz, bo ja z Hrubieszowa wracam, namawiał mnie jeden znajomek, bym u niego w warsztacie robił. „Na kolana przed tobą klękę, byleś tę robotę wziął”, tak mnie namawiał. A ja co? Musiałem odmówić. Siano trzeba kosić, zaraz żniwa będą. Najprędzej to na jesieni pewnie. On mi gada, że do jesieni kogo innego weźmie. To i nie będę płakał, ja mu na to, bo każdy jeden mnie chce, nie weźmiesz ty, weźmie kto drugi.

Gala patrzyła na niego jak urzeczona. Toż ten młodzian niewiele młodszy od Kajtka, ze trzy, może cztery lata. Pamiętała przecież, że syn już za gęśmi

z patykiem biegał, gdy Dołęgowa z brzuchem po wsi chodziła. Jaka różnica, jaka różnica, powtarzała w myśli. Gdzieżby jej Kajtek tak grzecznie przy obcym się zachował. Gdy jaka kumoszka zajrzy do Mazurów, ten zaraz się z izby zabiera, w oborze czy obejściu robotę sobie znajdzie i nie wróci, póki gość siedzi.

Wojtek, jakby świadom myśli Gali, zdjął z haka wełnianą chustę i okrył ramiona Hubowej.

– Babcia się opatulą. Niby ciepło, a przeciągi są. Babcia muszą na siebie uważać, bo ze wszystkich na świecie was kocham najbardziej i bardzo bym po was płakał.

Gdyby w tej chwili z wiszącego na ścianie obrazu zeszała święta osoba i obok Gali usiadła, nie zrobiłoby to na niej takiego wrażenia jak zachowanie tego młodego mężczyzny. Jak on o babkę dba, z takim szacunkiem do niej podchodzi, opieką otacza. Gdzieżby mój Kajtek, pomyślała z żalem i złością na syna, podał mi chustę.

Wojtek uśmiechnął się ciepło do Gali. Było w nim to samo ciepło, co w siostrze. Aż się człowiekowi chciało podejść, objąć, z całej siły do piersi przycisnąć. Żal z chałupy Hubowej wychodzić. W końcu jednak trzeba było, obrządki czekały. Wracając do domu, Gala tak sobie rozmyślała:

Hub nie był zły chłop, gospodarz na całą wieś najlepszy, a że na lewiznę chodził, to może trochę i Tereni wina, marudna ona bardzo. Trudno z taką wytrzymać. Jednak zły on nie był. Weronika widać w matkę się wdała. Bo Antek po ojcu poszedł. A tych dwoje, Natalia i Wojtek, najlepsze cechy po dziadku i ojcu dostali. Robotni, grzeczni, a mili, że do serca przyłoż. To nie ma co się oglądać, trzeba coś wymyślić i Natalę z Kajtkiem ożenić. Takiego jak Wojtek mieć w rodzinie to sama radość, rozmarzyła się.

Rozdział dziesiąty



*Pobiegła Maryś rano
Na łąkę grabić siano,
Bo już sienniczek świeży
Wojtkowi się należy.*

Stefania Szuchowa, *Siano*

Czerwiec 1930

Bronek Lipczewski drżał, ręce mu się pociły. Czy ten Józiu musi tak krzyczeć? Zaraz ludzie zaczną się zbiegać. Obok Bronka stał nie mniej przerażony Mikołaj Kita, najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel.

– Co ja zrobiłem? – wyszeptał drżącym głosem. – Tatko mnie zabiją.

Nie mieli wątpliwości, że tak właśnie może być. Anton Kita miał rękę ciężką jak ołów, na domiar złego chętnie jej używał, bez względu na to, czy istniała wina, czy też nie. Szczególnie chętnie bił najmłodsze ze swoich dzieci, Mikołaja, by „na jakiego łachudrę nie wyrósł”. To, co się przed chwilą stało, było zupełnie przypadkiem. Zupełnie, zupełnie niechcący.

Gdyby tak można wrócić do dzisiejszego ranka. Albo jeszcze lepiej do zeszłego tygodnia. A może nawet do początku roku. Na pewno do chwili, gdy poszli z Mikołajem się ślizgać.

Powiedzieć, że Huczwa okala Tynczyn zieloną wstążką, to nie powiedzieć o niej nawet części prawdy. Rzeka przybywała do wsi z Łaszczowa.

W dawnych czasach stanowiła zapórę, dlatego też na jej brzegu postawiono murowany zamek. Zniszczyli go Szwedzi, została tylko sala rycerska, którą w tysiąc siedemset siedemdziesiątym piątym przekazano ludności żydowskiej, coraz liczniejszej w miasteczku, na bożnicę. Tuż za miasteczkiem rzeka tworzyła rozlewiska. Wykorzystywali je jezuita, przybyli w siedemnastym wieku. Ludzie mówili, że tunel, wykopany przez nich z klasztoru pod rzeką, prowadzący daleko na ostrów, wciąż istnieje. Czy była to prawda, mogli wiedzieć tylko właściciele zamku, na który klasztor przebudowano, gdy zakonnicy opuścili miasto, po kasacie ich zgromadzenia.

Nadoleccy dziedzi wykorzystali rzekę, by stworzyć wielkie stawy, na zawsze zmieniające panoramę Łaszczowa. Hucznie widać to nie przeszkadzało, bo nadal płynęła spokojnie. Za Smarkatą Górą oddzielała łąki nadoleckie, dobórzeckie i tynczyńskie. Brała w czułe objęcia zakola pagórek, na którym osiadł Mikulin. Mieszkańcy tej wsi patrzyli na rzekę ze spokojem, niestraszne im były wiosenne roztopy i wezbrania po gwałtownych ulewach. Inaczej rzecz się miała z Tynczynem. Dawniej, gdy wieś leżała blisko rzeki, często zdarzały się podtopienia. Teraz woda zalewała łąki, szczególnie kubanie. Nie było w tym nic dobrego, zwłaszcza wiosną i latem, gdy trzeba było paść zwierzęta i kosić trawę. Zupełnie inna sprawa zimą. Stojąca od jesieni woda zamarzała, tworząc niekończące się ślizgawki. W przeciwieństwie do tych bezpośrednio na rzece, bezpieczne, bo załamanie się lodu groziło jedynie zamoczeniem stóp, a te przecież prawie zawsze były mokre.

Ubiegłej zimy Broniek, jak wszystkie tynczyńskie dzieci, ślizgał się, jak to mówiono, „na butach”. Było to określenie na wyrost, bo mało kto we wsi miał buty z prawdziwego zdarzenia. Większość chodziła w filcakach, drewniakach czy też łapciach ze słomy, zabezpieczanych od wilgoci warstwą dziegiu. Łyżwy stanowiły obiekt westchnień. Mieli je niektórzy, ale o tym, by pożyczyli, można było tylko pomarzyć.

Niespodziewanie w styczniu tatko kupił Bronkowi parę ślicznych łyżew i trzewiki u Hany w Łaszczowie. To dopiero było. Broniek śmigał na nich, a Mikołaj ledwo za nim nadązał biec. Później zmiana. Mikołaj się ślizgał, Broniek za nim biegł. Spędzali tak całe dni, a gdy wracali do domu, to woda z nich kapiała, jakby zmoczyła ich intensywna ulewa.

Mamcia Bronka, rozwieszając te mokre łachy na piecu, mówiła:

– Ta się przeziębisz czy jakiego zapalenia dostaniesz. Julian, powiedz mu

co, bo patrz, jak to dziecko wygląda. Choć mliczka ciepłutkiego wypij. – I z czułością wycierała mokre włosy syna.

Mamcia Mikołaja nic nie mówiła, by nie prowokować męża do udzielania synowi reprimendy.

W czasie jednej z tych eskapad spotkali nad rzeką chłopaka z Mikulina, kilka lat tylko od nich starszego. Ryby łowił. Nie on jeden zresztą. Rzeka była dla mieszkańców wsi błogosławieństwem nie dlatego, że mieli gdzie uprać, bydło napoić, a latem się wykąpać, ale z powodu nieprzebranego bogactwa ryb, które przez cały rok, głównie zaś zimą, ratowały ludzi przed głodem. Rybę można było usmażyć, albo upiec, albo ugotować z niej zupę, albo galaretę zrobić. Czegóż to gospodynie nie wymyślały, by do najmniejszego skraweczka mięsa wykorzystać ten dar natury.

Miały jednak ryby tę wadę, że nie hodowały się w zagrodach, tylko w rzece i trzeba je było najpierw złowić. Różnych sposobów używali mężczyźni, a to wężerzy, a to wędek. Czasem, gdy wezbrana woda wyrwała rów na łąkach i tam zagnała ryby, wyciągano je bezpośrednio rękami.

Chłopak z Mikulina miał patyk ze sznurkiem i drucianym haczykiem, który oblepiał ciastem. Na widok łyżew oczy mu się zaświeciły.

– Ej ty, mały, daj się poślizgać! – krzyknął do Mikołaja, który sunął po lodzie.

– W żopu mnie całuj!

– Nie bądź taki. Chudź, coś ci pokażę.

Mikołaj się zatrzymał i spojrzał pytająco na Bronka. To mogło być coś zupełnie nieinteresującego, najprędzej zwykły karaś. Albo wręcz przeciwnie, jakiś duży szczupak. Niektóre bywały tak wielkie, że wzbudzały strach. Nie, nie mógł to być szczupak, przecież na ciasto by się nie złapał. Zaintrygowani podeszli do chłopaka.

– Dasz się przejechać?

Bronek przecząco pokręcił głową.

– Wymienimy się. Ty dasz mi łyżwy, a ja ci dam to. – I wyjął zza pazuchy procę.

Bronek i Mikołaj zaczęli jej się przyglądać jak znawcy. Idealna rosocha, jakby od linijki wyrysowana, na tyle duża, by mieć spory zasięg, ale też niezbyt długa, tak by w ręku dobrze leżała. No i guma. Znaleźć patyk, który jako tako przypomina igrek, nie tak trudno, kawałek skóry na miseczkę też dałoby się wyszukać, ale zdobyć gumę niepodobieństwo. Bronek poczuł, że

oto ze wszystkich rzeczy na świecie pragnie właśnie tej procy.

Bez względu na to, jak chętnie sam by się zamienił, wiedział, że to kiepski interes i ojciec nie byłby z niego zadowolony.

– Mogę dać się poślizgać.

– To ja dam procę potrzymać.

Bronek wzruszył ramionami i odwrócił się, zamiany nie będzie.

– Poczekaj... Jedynie pod takim warunkiem, że będę się ślizgał, ile zechcę – ustąpił tamten.

Tak dobili targu.

Długo Bronek i Mikołaj siedzieli nad rzeką, czekając na powrót chłopaka. Najpierw nie martwili się wcale, zajęci oglądaniem procy, później zaczęli się niepokoić. Co, jeśli przepadł? Albo uciekł? Nie dość, że łyżwy stracone, to jeszcze buty, bo przecież na walonkach tamtego łyżwy nie chciały się trzymać. Trzeba było i obuwiem się wymienić.

– Nie wróci – zawyrokował Mikołaj. – Tatko twój zły będzie i cię zbije.

– Mnie tatko nigdy nie bił.

– Teraz zbije. A łyżew szkoda, ach, szkoda. Toż dopiero luty się zaczął, byłoby jazdy jeszcze na miesiąc.

– Jak nie wróci, to na Mikulin pójdziem, pytać o niego będziemy.

– A jak on już tam wrócił i nagadał, że się uczciwie pomieniał? Może uprzedził, żeby nikomu obcemu nie mówić, kto on i gdzie żyje?

Tak mogło być. Przestała się już Bronkowi podobać ta proca. Chciał z powrotem swoich łyżew.

Szare niebo z minuty na minutę robiło się ciemniejsze. Jeśli mieli wracać do domu, to właśnie teraz, nim zapadnie całkowita ciemność. Podnieśli się z ociąganiem. Bronek z trudem powstrzymywał łyzy. Nagle w oddali usłyszeli pogwizdywanie.

– Alem się zagonił! – wesoło krzyknął mikuliński chłopak. – łyżwy prima sort.

– Teraz oddawaj.

– Pomieniali my się... – zaczął tamten.

– Tylko na pojeżdżenie. – Bronek poczuł, że głos mu drży. – Jak mi nie oddasz, to swemu tacie powiem.

– A cóż mnie twój tato może? Uczciwy to interes.

– Jego tato jest polowym w Nadolcach i nikomu z Mikulina roboty nie da.

– Od nas więcęj do Dobóžka za robotą chodzą – powiedział tamten ze słabo

udawaną obojętnością.

– To nie masz się czym przejmować – obojętnie rzucił Mikołaj. – Ale jeśli kto się nawinie, to nie dość, że roboty nie dostanie, to jeszcze mu powiedzą, że to przez ciebie.

Po twarzy tamtego widać było, że groźba Mikołaja zrobiła na nim wrażenie.

– Toż ja się tylko drocę. – Usiadł na ziemi, by zdjąć buty. – Ale się najeździł. Za wszystkie czasy. A ty – zwrócił się do Bronka – procę oddawaj.

– Pierw ty łyżwy oddaj.

– Nie, pierw ty procę.

– Ej! – wtrącił się Mikołaj. – Proca miała być na zawsze.

– Zmieniłem zdanie. – Tamten wyciągnął rękę.

– Skąd mam wiedzieć, że znowu nie zmienisz i łyżwy oddasz? – zapytał Bronk.

Chłopak wstał.

– Temu małemu damy. Ty procę, ja łyżwy. – To mówiąc, podał Mikołajowi łyżwy.

Ten wziął je, wyciągając drugą rękę do Bronka, po procę. W chwili gdy miał ją wziąć, krzyknął:

– Chodu! – I rzucił się do ucieczki.

Niewiele myśląc, Bronk puścił się biegiem, a za nimi tamten.

– Buty jego masz. Kidaj je. Za butami poleci.

Tak też się stało. Gdy buty jeden za drugim pofrunęły w powietrze, chłopak się zatrzymał. Cenna rzecz proca, ale but, jaki by on był, cenniejszy. W zapadającym zmroku coraz mniej widać, wystarczy moment nieuwagi, a zgubionego i pod nogami nie dostrzeżesz.

– Czemuś to zrobił? – zapytał Bronk, gdy zziajani dobiegali do wioski.

– Powiedział, że za jazdę da procę. Niehonorowo tak się wycofywać.

– A jak przyjdzie i powie, żeśmy ukradli?

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Schowamy. Poza tym on nawet nie wie, kto my.

– Toż powiedziałaś, że mój ojciec polowy.

– Przecie do twego ojca nie pójdzie o ciebie pytać. Bał się będzie.

– Może nas poznać nad rzeką.

– To nie będziemy tam chodzić czas jakiś. Potem nie pozna. – Wcisnął Bronkowi procę do ręki. – Schowaj dobrze.

Gdyby nie to, że noc zapadła, Broniek wróciłby nad rzekę i oddał tamtemu procę. Już jej nie chciał. I tego dnia też nie chciał. Po cóż było z obcym gadać? Czuł taki niesmak w ustach, jakby zjadł coś nieświeżego. Może to kradzież, a nie uczciwa wymiana? Trzeba się będzie z tego wypowiadać. A jeśli ksiądz rozgrzeszenia nie da? Za kradzież nie daje.

Z tego wszystkiego rozboleła go głowa.

– Ta już miałam ojca posyłać, by cię szukał – powiedziała matka, gdy wrócił do domu. – Nawet nie wiesz, co ja przemyślałam. Mówię sobie, na pewno łód się załamał. Ostatni to raz, że po nocy wracasz. Ta zdrow ty? – I przyłożyła usta do czoła. – Rozpalone jakies. Wody ci trzeba spod krzyża i soli od świętej Agaty. Zaraz pomoże.

Broniek nie wierzył, żeby cokolwiek mogło mu pomóc. Okazało się jednak, że czas jest o wiele skuteczniejszy niż święta woda czy sól. Wydarzenie znad rzeki, początkowo bardzo wyraźne, bledło i bledło. Odtwarzane raz po raz zaczynało wyglądać coraz to inaczej. Chłopak stał się wielkim złym oszustem, który chciał ukraść Bronkowi łyżwy, cudem przez Mikołaja wyszarpane. Proca zaś miała być przeciw nim użyta, a gdy nie znalazł się pod ręką żaden kamień, ciśnięta została za nimi, by krzywdę zrobić. Przyjemnie było w to wierzyć, coś jednak szeptało Bronkowi, że nie powinien. Może dlatego nie wyjmował procy ze schowka za żłobem.

Mikołaj też o niej nie wspominał, aż do tego ranka.

– Masz ty jeszcze tę procę? – zapytał, a gdy Broniek potwierdził skinieniem głowy, tamten dodał: – A gumka nie sparciała?

– Gdzie tam.

– To może my by ją wypróbowali?

No i poszli na łąkę próbować.

Ach, cóż to była za proca! Niosła daleko, aż pod niebo. Miotane kamyki ze świstem przecinały powietrze. A jaką miała celność! Wyrwali ją sobie z Mikołajem, nie mogąc się nacieszyć. Kto dalej, kto wyżej!

– Dobrze, żem kamyków naszukał, co nie? – powtarzał co chwila Mikołaj.

Od dawna musiał myśleć o procy, bo zapas kamieni był spory. W tynczyńskich czarnoziemach, podobnych dobrze przesianej mące, trudno było o kamyki.

– Jeszcze raz jeden i kończym na dziś – powiedział Broniek. Choć zabawa była przednia, bał się, że ktoś ich dostrzeże. Nie ktoś, tylko tamten chłopak. Mógł się zakradać, obserwować. Dla pewności rozejrzał się wokoło.

– Tam za drzewem ktoś się chowa – szepnął do Mikołaja.

– Wydaje ci się. Zobaczysz. Strzelę w drzewo, jeśli się chowa, to ucieknie.

Wybrał kamień, sprawdził, czy dobrze leży, i naciągnął gumę. W chwili gdy ją puszczał, zza drzewa wychylił się Józio, ich szkolny kolega. Gdyby Mikołaj zrobił to mgnienie oka wcześniej, gdyby nie stał tam, gdzie stanął, gdyby trafił w drzewo... I oczywiście gdyby nie poszli na łyżwy, gdyby nie spotkali tego chłopaka, gdyby Broniek nie zapragnął procy, gdyby Mikołaj jej nie zabrał, gdyby wrzucić ją do ognia, jak wiele razy było planowane. Gdyby... Stało się jednak to wszystko, a na koniec kamyk trafił prosto w oko Józia, który zaczął strasznie krzyczeć.

Usłyszawszy krzyczące dziecko, ludzie zaczęli się zbiegać. Jeden przez drugiego pytali, co się stało. Czy to ważne? Krew zalewa dziecku twarz, trzeba pomoc sprowadzić. Ten szmatę przykładą, ten każe zaprzęgać, ktoś głośno się modli. A obok Bronka Mikołaj, drżący jak osikowy liść. Czy Józio jutro żyć będzie, to nie wiadomo, wiadomo jednak, że dziś stary Kita duszę z syna wybije.

Broniek zabrał Mikołajowi procę i na cały głos powiedział:

– To ja zrobiłem. To ja, kamieniem. Niechący.

Broniek? Broniek Lipczewski?, powtarzali ludzie, nie mogąc się nadziwić. Toż to taki grzeczny chłopiec, nauczycielka go chwali, że zdolny i pilny. Niechący to zrobił. Przez przypadek. Grzeczny jest, przecież nie chciałby tamtemu krzywdy zrobić. W zabawie między dziećmi wypadek zdarzyć się może, mówili niektórzy. Byli jednak i tacy, co szeptali, że Broniek tylko udaje grzecznego, że w babkę swoją się wdał, a wiadomo, co z niej za ziółko, że rozpuszczony jak dziadowski bicz, bo matka nigdy chłopaka nie skarci, wszystko mu wolno.

– Ta ludzie, rozstąpcie się! – krzyczała Antoszka, której już dali znać, że Broniek Józia zabił. – Synku, synku mój, cóż ci się stało?

Broniek rzucił się matce w ramiona i przywarł do niej całym. Z przerażenia nie mógł słowa wydusić. Mama dostrzegła procę, szybko schowała ją za zapaskę. Oczyma dała znak, by nic nie mówić.

– Na cóż to takie zbiegowisko robić? Ta zobaczym, co z Józkiem będzie. A tego małego mego nie straszcie. To dziecko jeszcze. Ot, nieszczęście się stało. A za doktora my zapłacim.

Jednak na doktorze się nie skończyło. Józiove oko wypłynęło i musiał długo w szpitalu leżeć. Proca trafiła w ogień. O jeden dzień za późno.

Rozdział jedenasty



Soczewica, zwana na wsi sakówką, była jedną z najpopularniejszych roślin strączkowych. Wynikało to z faktu, że zawierała dużo białka, będącego zamiennikiem dla białka zwierzęcego, na którego niedobór cierpiała polska wieś od wieków. Białko soczewicy, tuż po sojowym, jest najlepiej przyswajalnym przez człowieka białkiem roślinnym. Soczewica zawiera spore ilości żelaza, kwasu foliowego, witamin, a także tanin, czyli substancji spowalniających tempo podziału komórek nowotworowych. To sprawia, że spożycie soczewicy korzystnie wpływa na zdrowie – zapobiega nadciśnieniu tętniczemu, redukuje poziom złego cholesterolu, chroni przed anemią, wspomaga utrzymanie prawidłowej masy ciała.

Główną zaletą soczewicy, docenianą przez wiejskie gospodynie, był krótki czas gotowania. Poza tym, oprócz brązowej, której ziarna są najtwardsze, soczewica nie wymaga namaczania, wystarczy ją przepłukać.

W kuchni wiejskiej była podstawą zup i farszów do pierogów i bułek. Najpopularniejszy przepis na farsz to: szklanka soczewicy, dwa ziemniaki, cebula pokrojona w kostkę i podsmażona, jedno jajko.

Z podanych składników zagnieść farsz, doprawić solą i ziołami do smaku.

Sierpień 1930

Ognista kula słońca staczała się za horyzont, by pójść spać gdzieś hen, za pukarzowskimi polami. Jej ostatnie promienie, już ani złote, ani pomarańczowe, tylko czerwone, podpalały dachy domów i drzewa. Gdy patrzyło się z daleka, można by pomyśleć, że Tynczyn stanął w płomieniach. Za kilka pacierzy wilgotny chłód nocy zgasi ten mirażowy pożar i pogrąży

wszystko w rześkiej szarości, usypiając świat na kilka godzin. Jednak nim to się stanie, nim opustoszeje gościniec, nim ludzie pokładą się spać na ławach, a zwierzęta zwieszają łby, nim nastanie cisza, rozgwar wieczoru wypełniał wieś tysiącem odgłosów. Bo podobnie jak rankiem, tak wieczorem najwięcej było roboty. Ponagłał jeden drugiego, pokrzykiwano na siebie, bo też zmęczenie po całym dniu pracy dawało się wszystkim we znaki i każdy marzył tylko, by jak najrychlej się obrobiwszy, usiąść w izbie, zjeść coś i spać się położyć.

Dzieciarnia sprowadzała do obór krowy, pasione na ścierniach, mężczyźni mykali siano, by całe oberemki zanieść do obór na nocny posiłek zwierząt, gospodynie zaganiały kury, doily krowy, zachodziły w głowy, czym to rodzinę nakarmić.

Kajtek Mazur szedł gościńcem, przyglądał się temu wszystkiemu, a czuł się tak, jakby przypadkiem trafił w obce strony. Jego codzienną drogę wyznaczyły zajęcia. Chodził na pole czy łąkę, gdy miał tam robotę, a jak trzeba było, szedł do kuźni, nigdy przez wieś, tylko tą ścieżką przez pastwiska, czasem zdarzało mu się iść nad rzekę, na ryby albo popływać, bo były to jedyne jego rozrywki, ot i wszystkie wędrówki. Wyprawiał się do Łaszczowa po część do zepsutego narzędzia czy też, jeśli wiadomo było, że nic nie pomoże, kupić nowe. Zdarzało się to jednak niezmiernie rzadko, bo Kajtek szanował to, co miał, używał tak długo, jak się dało, naprawiał, dopóki było co. Handlarze, którzy od czasu do czasu zjawiali się we wsi, taszcząc w workach na plecach, w małych wózkach czy na wozach najprzeróżniejsze towary, omijali zagrodę Mazurów, świadomi, że tylko czas stracą. A czas to pieniądz, zwłaszcza w ich fachu.

Minął podwórze Adamczuków. Tyle to już lat od pożaru, a wciąż miało się wrażenie, że w powietrzu unosi się swąd spalenizny. Może to dlatego, że tuż za płotem, tam, gdzie kiedyś znajdowała się stara chata, sterczały ruiny pieca. Wyglądały jak pradawna warownia, która po latach stawiania oporu wrogowi poddała się, pozwoliła splądrować i spalić. Zawaliły się wieże, baszty i barbakany. Przez otwarte bramy wtargnęli przybysze z zupełnie innego świata i teraz z popielnika wyrastały piękne zielone pokrzywy, miejsce garnków zastąpiły pędy dzikiego bzu, a nad tym, co pozostało z komina, zamiast dymu wznosił się wciąż ciemny pień młodej brzoźki. I choć szerniała w ogniu glinę zmywały kolejne deszcze, kontrastująca z nią zieloność sprawiała, że chałupa nie smutno, a elegancko wyglądała. Jeszcze

rok, dwa i runie to wszystko, nikt nie będzie pamiętał, że Marian z Honoratą mieszkali w chacie tak lichej, że jej dach opierał się na kominie. Kajtek już słabo pamiętał tamte czasy, a przecież bywało, że przychodził tu, gnany tą dziecięcą tęsknotą, która każe szukać sobie towarzyszy w rówieśnikach. Pamiętał śmiechy dobiegające z chaty, świadczące o tym, że wszyscy tam świetnie się bawią. Stał za płotem, serce rwało mu się ku dzieciom, a jakiś strach w środku nie pozwalał kroku zrobić. Matka pytała potem, jakże mu czas upłynął, a on odpowiadał, że dobrze. Albo tylko głową kiwał. Potem siadał na zydelku pod piecem, wyobrażając sobie, jak wkracza do chałupy Adamczuków, a te wszystkie dzieci go otaczają, widział zachwyty w ich oczach, chęć, by mieć go tylko dla siebie i tylko z nim się bawić. A on, Kajtek, jak jakiś bajkowy król łagodzi spory, jednoczy wszystkich w zabawie tak świetnej, że gdy przychodzi się rozstać, tamci płaczą i błagają, by nazajutrz znów się zjawił. I on się zjawia, bo lubi ludzi... Tylko tak jakoś nie ma do nich śmiałości. Ani w dzieciństwie, ani teraz, choć przecież jest dorosły. Dziś, gdyby mógł, też nigdzie by nie szedł. Matka mogła biegać, plotek nabierać, z kumami porozmawiać. Ona to lubiła i przychodziło jej to z łatwością.

– Jakże ja? Co też ty mówisz? Ja mam iść? A cóż tam ze mnie za pożytek będzie? Toż ja baba. Gospodarska to sprawa. A tyś gospodarz. Idź i z innymi radź. Toż to dla wsi ważna sprawa.

Kajtek tylko się uśmiechnął, bo wiara matki, że on będzie z innymi radzić, bardzo go rozczuliła. Kocha mnie, myślał. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że widziała go innego, niż był w rzeczywistości, jeśli nie zaślepieniem? Miała syna, który publicznie słowa nie potrafił powiedzieć, i z tego powodu wielu brało go za niemowę albo kogoś niespełna rozumu, a widziała w nim poważnego gospodarza, którego głos liczy się na wiejskiej radzie.

Zgromadzenie miało się odbyć w karczmie. Wcześniej ktoś proponował, by w szkole, ale nauczycielka się nie zgodziła, bo, jak powiedziała, „tylko błota naniósł, a ona jest od uczenia dzieci, nie od sprzątnięcia”. Tak jakby ktokolwiek widział ją z miotłą. Nawet jej własne mieszkanie sprzątała jedna ze starszych uczennic. Po odmowie ktoś inny zasugerował, by sprawę organizacji zebrania w szkolnej sali powierzyć Antoszce Lipczewskiej, ponieważ nauczycielka bała jej się jak diabeł święconej wody. Natychmiast jednak odezwał się głos rozsądku, który słusznie zauważył, że ani Bronkowi, ani Janeczce nauczycielka krzywdy nie robi, ale na pozostałych dzieciach

mścić się będzie, taka już jest. Gdy ktoś z rodziców zrobił albo powiedział coś, co było nie po jej myśli, odbijała to sobie na dziecku, wyzywając je, bijąc linijką po rękach albo stawiając słaby stopień. Brak miejsca na spotkanie wywołał ogólne narzekania. Ten i ów wyrzekał, że w Tynczynie nie ma domu ludowego. W niektórych wsiach wzniesiono takie budowle, bardzo przydatne. Było gdzie urządzić i zebranie, i tańce.

– Postawim i dom ludowy. Wszystko po kolei. Są ważniejsze sprawy – słyszeli w odpowiedzi.

Bo i były. Studnia stanowiła najważniejszą z ważnych spraw.

Jeszcze trzydzieści lat temu, gdyby ktoś z wysoka na Tynczyn spojrzął, ujrzałby rysunek kształtem do ptasiego dziobu podobny, ot, takie dwie kreski. Przy jednej, tej dłuższej, ciągnącej się wzdłuż gościńca, znajdowała się cerkiew, otaczający ją cmentarz, karczma, a teraz jeszcze szkoła. To tu zabudowa była najciaśniejsza, to tu, naprzeciw obejścia Pomiechowskich, stała studnia. Przy tej drugiej, krótszej, bliżej łąk, mniej ludzi mieszkało. Tuż za dworkiem Kornelowiczów skręcała ona w czartowieckie pola. Teraz już tylko Pomiechowska знаła tamtą wieś, a i to z opowiadań swego teścia. Przez ostatnie lata zmienił się Tynczyn. Najpierw Podople, później Felówka odmieniły jego kształt. Baję przenieśli się hen, w pola, prawie pod nadolecką kolonię, a syn Heleny Lipczewskiej pobudował się na ostrowie, w samym sercu łąk. I choć dobrze było mieszkać z dala od ciasnoty wsi, w miejscu, gdzie wreszcie nie musisz rano oglądać dupy sąsiada między łopianowymi liśćmi, to noszenie wody w dalsze rejony stanowiło niemały problem. Bo we wsi wciąż była jedna studnia.

Dlatego postanowiono zwołać zebranie i uradzić, czy nowa na pewno jest potrzebna, a jeśli tak, to gdzie powinna powstać. No i najistotniejsze, kto i ile będzie za to płacił.

Ostatecznie uradzono, że zebranie odbędzie się w karczmie. Kogo jak kogo, ale jej obecnego właściciela, Żyda Szymona Tabacha to, że we wsi nie było domu ludowego, musiało bardzo cieszyć.

Im bliżej karczmy, tym więcej ludzi było na gościńcu. Tu grupa rozplotkowanych kobiet, tam politykujący mężczyźni, wystrojone panny rozglądające się za kawalerami, młodzieńcy przyglądający się dziewczynom, wszyscy weseli i roześmiani. A Kajtek szedł między nimi, jakby był niewidzialny.

Przed karczmą stał spory tłum. Młody Pawluk tłumaczył coś z takim

przejęciem, że policzki mu pokraśniały. Płowa grzywa raz po raz spadała mówiącemu na oczy, w kącikach ust białym nalotem zaschła ślina. Nie odpowiedział, gdy Kajtek uprzejmie podniósł kaszkiet w geście powitania. Pewnie nawet nie zauważył.

Kajtek wszedł do karczmy. Był tu dwa, trzy razy w swoim życiu, z okazji chrzcin, może na konsolacji, trudno powiedzieć, bo w pamięci zostały tylko obrazy wystrojonych ludzi, podpitych i rozwrzeszczanych. Bez względu na to, z jaką intencją zaczynała się uroczystość, alkohol sprawiał, że każda kończyła się tak samo. Może dlatego Kajtek nie pił, bojąc się tych demonów, które mogłyby dojść do głosu, gdyby gorzałka uspiła rozum? Nie. Raczej nie pił dlatego, że był samotnikiem. Pewnych nawyków nabiera się w towarzystwie, a on towarzyski nie był. Pamiętał, że gdy był w wojsku, kapral nie mógł się temu nadziwić.

– Porządny z ciebie chłopak – mówił. – Za porządny. I tak sobie myślę, że jak nie będziesz uważał, to jakieś nieszczęście może z tego wyniknąć.

Wtedy kiwnięciem głowy dawał znak, że będzie uważał, choć dziwiły go te słowa, bo jakież nieszczęście może spotkać człowieka za to, że jest porządny? Na pewno nie takie, które sam na siebie sprowadzi, ani też takie, które Pan Bóg za karę zsyła. Może to być jedynie zło sprowadzone na człowieka przez bliźniego, ale przed tym nie ma ochrony innej niż boska. Dlatego też Kajtek modlił się, prosząc, by go Bóg bez potrzeby nie doświadczał, a jeśli już przyjdzie krzyż nieść, to niech chociaż będzie wiadomo, z jakiej przyczyny, bo wtedy łatwiej.

Rozejrzał się po salce, podszedł do ławy, stojącej w najdalszym kącie, i usiadł. Szymon Tabach rzucił w stronę przybysza jedno znudzone spojrzenie, uznał jednak, że dla młodego Mazura nie warto opuszczać stanowiska za szynkwasem.

Powinienem się cieszyć, że nie tylko mnie poznał, ale zna na tyle, żeby wiedzieć, że nie ma po co się fatygować, pomyślał Kajtek, rozglądając się po karczmie. Brusy ściemniały tak bardzo, że wydawały się czarne. A ponieważ przez małe okienka niewiele światła wpadało do wnętrza, sprawiało ono wrażenie mrocznego i smutnego. Poza szynkwasem jedynymi sprzętami były tu stoły i nieprzystawione do nich ławy, wyglądające tak, jakby właśnie wstali z nich goście. Dawało to poczucie ogólnego rozgardiaszu, potęgowane przez wypełniający wnętrze dziwny zapach. Była to przedziwna mieszanka, nigdzie indziej niespotykana, choć przecież i w izbach, i w oborach nie

pachniało najlepiej. Najwyraźniej czuć było cebulę, i nic w tym dziwnego, bo Szymon właśnie ją jadł, a głośnie chrupnięcia rozlegały się raz po raz. Poza tym nos, nawet ten mało wrażliwy, zdołał rozpoznać czosnek i śledzie, gorzałkę i piwo. Byłaby ta mieszanina całkiem przyjemna, gdyby nie zapachy jełczejącej słoniny, ludzkiego potu, mokrych ubrań i rzygowin, wszystkie razem nie mniej intensywne. Kajtek poczuł, że go mdli i w głowie mu się kręci. Chciał wstać i wyjść. Poderwał się z ławy. W tym momencie przez otwarte drzwi zaczęli wchodzić do karczmy ludzie. Przepychali się jedni przez drugich, potracali, szukali miejsc, tylko po to, by dostrzegłszy kumę lub swata, zrywać się i przesiadać. Długo to nie trwało, a już nie było gdzie siedzieć. Jeśli wcześniej unosił się tu nieprzyjemny zapach, teraz po prostu cuchnęło, a z każdą chwilą było mniej powietrza.

– Niechże kto okno otworzy, podusimy się pierwej, niż coś uradzimy.

Kajtek rozpoznał głos Teofili Lipczewskiej. Wciąż donośny i dźwięczny, brzmiał tak, jakby należał do młodej dziewczyny, a nie kobiety, która dźwigała sześć krzyżyków. Trudno też powiedzieć, by dźwigała. Teofila była jedyną kobietą w Tynczynie, której plecy nie wygięły się w łuk od ciężkiej pracy na roli. Prosta jak struna, wysoko nosiła głowę, tak że patrząc z daleka, można było wziąć Lipczewską za młodą osobę. W przeciwieństwie do innych kobiet, które przyszły prosto z pól czy obór, ubrana była odświętnie, w bluzkę z szerokim, haftowanym kołnierzem i długą spódnicę. Z miejsca, w którym siedział, Kajtek nie mógł widzieć jej stóp, był jednak przekonany, że ma na nich wypastowane, brązowe męskie pantofle. Starość każdemu przynosi jakiś ohydny podarek, mówiła matka Kajtka, i była w tych słowach prawda. Teofili powykrzywiała palce u stóp do tego stopnia, że tamta nie mogła nosić żadnych innych butów poza męskimi. Nic sobie z tego nie robiła i zwykle chodziła boso, jednak na tak ważne zgromadzenie nie mogła przyjść nieobuta.

Posłuchano jej od razu. Miała w sobie coś takiego, że ludzie bez szemrania wypełniali jej polecenia. Stało się to dosłownie w ostatniej chwili, jeszcze moment, a Kajtek zwymiotowałby wprost w podolek siedzącej obok Francowej. Udało mu się powstrzymać dzięki kilku haustom świeżego powietrza, ale i tak czuł się okropnie. Oparł głowę o ścianę, przymknął oczy i czekał, by przeciąg wywiał smród. Dziwne to, myślał, na wsi tak wiele rzeczy śmierdzi, że przestajesz to czuć. Wszędzie gnój. W wielkiej przymie leży na środku podwórza i cuchnie sobie, ile tylko chce. Nie ma możliwości,

by wywietrzał, bo krowy, konie, owce, kozy i świnie każdego dnia produkują nowe łąjno. Cała ta kupa śmierdzi intensywnie i niezbyt przyjemnie, ale gdybyś miał do wyboru wdychać tylko jeden z tych zapachów, bez wahania powiedziałbyś, że koński nawóz ma woń najmniej odpychającą. Dalej byłyby owcze i kozie bobki, suche i twarde, a potem krowie placki, w których wciąż czuje się świeżość trawy. Najgorsze ze wszystkiego są odchody świńskie z tą ich słodkawą, mdlącą wonią. Gorzej od nich śmierdzi tylko gówno psów i kotów, lecz tego na szczęście jest mało i jeśli przypadkiem w nie nie wejdiesz, wachać go nie musisz. Na samym zaś szczycie tej listy niepodzielnie króluje smród tego, co wylewa się z cielaka, gdy ten cierpi na dolegliwości jelitowe. Wtedy to nie tylko do obory, ale i na podwórko wejść trudno.

Samo wspomnienie tego zapachu spowodowało, że Kajtkiem szarpnęło.

– Cóż wam to, Mazur, chorzyście? – zapytała Francowa.

Chciał powiedzieć, że nic, ale ona nie czekała na odpowiedź, tylko z uśmiechem doradziła, by naporu z mięty się napić, bo to pewnie coś z żołądka.

– Nic innego to być nie może, coś poszkodziło, boście zieleni na gębie. Jakby to kto inny, tobym pomyślała, że gorzałki troszku zbyt wiele było, ale to musi inna sprawa, bo was do niej nie ciągnie. Powiem szczerze, że i mojego nigdy nie ciągnęło. Szczęście to dla baby, jak chłop niepijący. Grosza w domu więcej i spokoju. – Przez chwilę coś rozważała. – Choć nie zawsze tak być musi. Sawerek Hub, świeć Panie nad jego duszą, wypić lubił, a przecie tam pieniędzy nie brakowało, a jeśli kto pokój burzył, to bardziej Tereska. Nic dziwnego, że chłop od czasu do czasu musiał do karczmy pójść, bo kto by to strzymał. Powiem wam, ale nie gadajcie nikomu, a zwłaszcza Pomiechowskiej, bo ta to ma jęzor, zaraz po wsi rozniesie, wymieniłam ja się kiedyś na kaczkę z Hubową. Kaczora miałam jak ta lala, ale stare kaczki nieść się przestały, a młode wszystkie po nim, to potrzebowałam wymienić, bo wiecie, te rodzinne to nie wychodzą. Wzięłam jedną z tych moich młodych kaczuszek i zanieślam do Hubowej, a od niej dostałam taką... no z dzioba całkiem, całkiem, ale na grzbiecie wyskubana okrutnie. Jak ona się jakoś tak tego mego ptaka czepiała, łąziła za nim i ciągle to „sia sia sia”. W końcu, i żeby mnie pokręciło, jeśli nieprawdę gadam, kaczor nie wytrzymał i się powiesił. No normalnie łeb między sztachety włożył i... Mówię, jak było, z desperacji to uczynił. Ja płaczę, bo mi kaczor szkoda,

a mój, jak to zobaczył, to tak gada: „Trzeba mu było wódki dać, to by żył”. I śmiał się jeszcze. Na koniec to i ja się z nim śmiałam. Wódki mu dać... – I klepnęła się w kolano, by podkreślić, jaki to dobry żart. – No ale teraz cicho już bądźcie, bo trza nam posłuchać, co radzą.

Co radzą? Nic nie radzili. W ogólnym rozgardiaszu przekrzykiwali jeden drugiego, byle szybciej wyrzucić z siebie to, co na wątrobie leżało. Pomiechowska perorowała, że od wieków jedna była studnia na wsi i nagle to mało? Trzeba się było wsi trzymać. Jak kto dla własnej wygody miejsca nowego szukał, to teraz niech se swoją własną studnię kopie. Na co Baj, że on owszem, tak właśnie robi, bo gdzie by ta nowa studnia była, jemu wszędzie za daleko. Na to odezwała się Matwiejczukowa, że Baj krętacz i ze wsi uciekł, gdyż między ludźmi żyć nie mógł. W odpowiedzi usłyszała, że jakież z niego krętacz, nie wolno takich słów przeciw drugiemu mówić, kiedy się nie może ich udowodnić.

– Jeśli kto ze wsi się wyniósł, to od razu krętacz? To Lipczewskie, France, Dymowskie też krętacze? – krzyknął.

Tak postawione pytanie sprawiło, że od razu posypały się odpowiedzi. Jedni twierdzili, że owszem, inni, że skądże znowu, uczciwych ludzi się czepiają.

– Do rana przyjdzie nam tu siedzieć – ponownie odezwała się Francowa. – Dobrze, że obrządek zrobiony. Mówiłam mojemu, zróbmy wszystko, zanim na to zgromadzenie pójdziem, bo to nie wiadomo, ile zajmie, bydłeta będą stały głodne. Najedzone zwaczkę rzuć będą albo i zasną. Zaś z głodu to do łbów najróżniejsze pomysły przyjść mogą i kłopot się z tego robi.

Kajtek skinieniem głowy przyznał kobiecie rację. On też wszystko w oborze zrobił, zostało tylko wydojenie krowy, ale to zawsze była robota matki.

Gwar, który wypełniał karczmę, stawał się coraz głośniejszy. I nie tylko. Była w nim owa zajadłość i podniecenie, które słychać w brzęczeniu much kręcących się nad padliną. Kajtka znów szarpnęło, a przecież nie był wrażliwy. Tu nikt nie był, bo wrażliwość to luksus, na który we wsi nie można sobie pozwolić. Nie istnieje życie bez śmierci ani śmierć bez życia. Wszystko, co ma swój początek, musi mieć i koniec, a tam, gdzie coś umiera, rodzi się coś nowego. Gdy zdechnie kot, jego ciało da pożywkę robakom, na nich wyżywią się ptaki, które upoluje inny kot, by móc żyć, dawać początek kolejnym pokoleniom kotów, a na koniec uczynić swoje ciało pożywką dla

robaków i zamknąć święte koło natury, toczące się nieprzerwanie od początku świata aż po jego kres. Kto nie akceptuje śmierci, zaprzecza życiu. Najśłabsze zwierzę w miocie powinno umrzeć, gdy jednak zlitujesz się nad nim, wykarmisz i odchowasz, da początek nowemu pokoleniu, tyle że tak jak ono będzie to pokolenie słabe. I już nie o jedno, ale o sześć kociąt musisz się troszczyć, a później o trzydzieści, przeszło setkę, tysiące. Wszystko to dlatego, że wydawało ci się, człowieku, że wiesz lepiej od natury, że masz prawo w nią ingerować, boś wrażliwy, a śmierć wydaje ci się niesprawiedliwością. Tymczasem nie ma na świecie siły sprawiedliwszej od niej. Przychodzi po biednego, przychodzi i po bogatego, młodego i starego, pięknego i brzydkiego, po człowieka, zwierzę i drzewo, a zabiera wtedy, gdy jej się to podoba, nie tobie. I póty, póki to ona rządzi na świecie, panuje na nim ład, bo wszystko, nawet największe zło, ma swój kres.

Z zamyślenia wyrwał Kajtka podniesiony męski głos. To sołtys, Hrihorij Iwaniuk, młodszy brat Pawła, próbował zaprowadzić porządek, krzycząc na całe gardło. Prędzej jednak by ochrypl, niż zebranych uciszył, bo mało kto zwrócił na niego uwagę. Ludzie pozbijali się w grupy, w których toczyły się zażarte dyskusje. Szymon Tabach uznał widać, że w jego interesie nie leży czekanie, aż coś uradzą, więc stojącym najbliżej już lał i podawał piwo. Tego tylko brakowało, żeby się popili. Zaraz zaczną się ze łbów kurzyć i z zebrania zrobi się awantura.

Widać nie tylko Kajtek myślał w ten sposób. Teofila, która tuż przy szynkwasiu stała, szepnęła coś Szymonowi, a po minie tamtego dało się poznać, że nie były to miłe dla niego słowa. Tymczasem ona podsunęła sobie zydela, weszła na niego i nie podnosząc głosu, powiedziała:

– Ludzie kochane, patrzajcie w okno. Ciemno już prawie, a my nawet jednego mądrego zdania nie powiedzieli. Tak do rana będziemy, jak te wróble, bez żadnego pożytku ćwierkać? Trzeba nam uradzić co i jak. Wiadomo, nie wszyscy będą zadowoleni, ale takiego sposobu, by wszystkim dogodzić, nie ma.

Stojący za jej plecami Szymon coś burknął, Kajtek nie mógł dosłyszeć co, ale Lipczewska usłyszała słowa karczmarza.

– Powiedzcie to ludziom. I to głośno.

Karczmarz się nie odezwał, wziął ścierkę i kufel przecierał.

– Tu nie ma co się wstydzić, do własnych poglądów każdy jeden człowiek ma prawo. Bez względu na to, kim jest i gdzie żyć mu przyszło.

Z głoszeniem ich to już sprawa inna. U nas jest demokracja i każdemu można na głos mówić, co chce.

– Nie każdemu, Lipczewska, nie każdemu – zaproponował stary Matwiejczuk. – Niektórzy za poglądy do ciupy idą.

– Nie za poglądy, tylko za antypolskie działania. Że my tu w karczmie dojść do porozumienia nie możemy, to jedno, bo sami sobie szkodzimy. A to, że pany tam w Warszawie tak samo radzą jak my tu, to drugie, bo oni całej Polsce i całemu narodowi szkodzą.

Szymon powiedział coś, od czego policzki Teofili pokraśniały.

– Miałam was, Tabach, za rozumnego człowieka, ale widzę teraz, że się myliła. Kto wam do łba takich durnot nakładł, to ja nie wiem. Jesteście kapitalista, żyjecie z tego, że ciemne chłopcy przychodzą do karczmy pić waszą gorzałkę i płacą za to. Wasz jest ten budynek, wasza ziemia, na której on stoi, wasze sprzęty i wasz ten pieniądz, co go zaraz tu chłopcy, jeden za drugim, zostawią. A wy, zamiast to szanować, odwracacie oczy na wschód i wzdychacie do tego rajy na ziemi. Byłam ja tam i na własne oczy widziałam. Niby wszystko jest wszystkim, a tak naprawdę nikt nic nie ma. Niechby tu przyszli komuniści, to w pierwszej kolejności upaństwowią tę karczmę. Urzędnicy wypiją waszą gorzałkę, nie płacąc, was wygonią, a za łapówkę kogo innego na to miejsce wsadzą. Czemuż, ludzie, wasza pamięć taka krótka? Toż dopiero dziesięć lat minęło, a wy już zapomnieli? To ja wam, Szymonie, przypomnę generała Bułak-Bałachowicza, który dziesiątego września roku dwudziestego wpadł ze swym oddziałem do Łaszczowa i tamtejszych Żydów tłukł jak mokre żyto. A rabina waszego, Jekutyla Szkoła Samuela, pamiętacie? Bo ja pamiętam tysiąc dziewięćset dziesiąty i uroczysty początek jego urzędowania. I pamiętam, jak go w dwudziestym roku bolszewicy do niewoli wzięli, a gminie kazali zapłacić dwadzieścia tysięcy rubli okupu. Więcej nawet, pamiętam niektórych z tych, co ich pobili czy pozabijali, bo oni tu, w Tynczynie, bywali częstymi gośćmi i do mojej karczmy zachodzili. A wy ich nie pamiętacie? Obracacie oczy na wschód i chcecie tu bolszewickiego ustroju?

– ...zmieniło.

– Wiercie mi, Tabach, jeśli w Rosji co się zmieniło, to tylko na gorsze. A wy, zamiast o tym myśleć, to się módlcie, żeby bolszewickie zło nie wróciło i nie zostawiło w waszych sercach takich ran, jaką ja mam w swoim.

Nawet jeśli ktoś coś mówił, po tych słowach zamilkł. Nawet ptak nie

śpiewał, komar nie brzęczał, liść nie szumiał. Cisza wypełniła karczmę.

Kajtek pamiętał Agatę. Często ją widywał, gdy biegła przez wieś. Jedno wspomnienie szczególnie zapadło mu w pamięć. Zdarzyło się to późną wiosną. Ziemia nie była już ani wilgotna, ani zimna, chłoneła ciepło słońca, które każdego dnia wyżej na niebo się wspinało i mocniej grzało. Kwiaty zamieniały łąki i pastwiska z zielonych w kolorowe. Roześmiane dziewczęta zbierały kwiaty i plotły wianki. Namówiły Agatę, by ta rozplotła warkocze. Na co dzień nosiła je upięte w misterną, wysoką koronę. Jej ciężar sprawiał, że dziewczyna lekko odchyłała głowę do tyłu, co nadawało sylwetce niezwykle królewski majestat. Jeśli zwykle wyglądała jak królowna, co zgubiwszy drogę do swego zamku, została między zwykłymi ludźmi w Tynczynie, to gdy rozpuściła włosy, wyglądała jak istota z baśni, rusalka czy inne чудо. Włosy przypominały płaszcz, który okrywał ramiona Agaty, spływał na plecy i zakrywał stopy oraz ziemię wokół nich. Słońce sprawiało, że mienił się złotomiedzianymi refleksami. Dziewczęta włożyły jej wianek na głowę i śmiały się, że oto lato nadeszło, na co Agata zaczęła tańczyć. Zawiął wiatr i trawy zafalowały, jakby kłaniały się swojej pani.

Teraz, ilekroć ktoś mówił, że idzie lato, Kajtek widział Agatę Lipczewską z rozpuszczonymi włosami, pływającą wśród traw.

– Prawdę Lipczewska gadają. – Pietro Matwiejczuk przerwał milczenie. – Z naszej wolnej Ukrainy zrobili sowiecką republikę.

– A kto im w tym pomógł? – zaczepnie spytał Kita, ale go zakrzyczano, że przecież nie o polityce mają gadać, tylko o studni.

– Racja to – powiedziała spokojnie Teofila. – Pany nami rządzą, granice ustalają, całymi narodami handlują, a nas, chłopów, jednych przeciwko drugim nastawiają. Dlatego trzeba swego chłopskiego rozumu słuchać, a nie pańskich podszeptów, bo oni ku zgubie nas prowadzą.

Francowa pochyliła się ku Kajtkowi.

– Pany i Żydy – szepnęła.

Nic nie odpowiedział. Gdyby był wygadany, mógłby rzec, że jak w każdym narodzie, tak w każdej społeczności, w każdej parafii i każdej rodzinie są ludzie dobrzy i źli, mądrzy i głupi. I ani narodowość, ani majątek, ani wyznanie nie mają tu nic do rzeczy. Gdyby, dajmy na to, Niemcy zajmowali się handlem, to na nich psioczyliby chłopci, bo to oni każdego dnia szukaliby sposobności, jak dobić targu z największą dla siebie korzyścią. Może gdyby na wsi nie było takiej biedy, to ta złotówka mniej nie bolałaby tak bardzo.

Jednak w sytuacji, gdy brakowało wszystkiego, zwłaszcza pieniędzy, gdy gromadka dzieciaków wodziła za matką podkrążonymi oczyma, gdy tego, co było w garnku, starczało tylko dla ojca rodziny, który jeść musiał, bo ciężko pracował, ale mu każda łyżka stawy z żalu w gardle stawała, gdy stara matka musiała się zadowolić wylizywaniem garnka, bo dla niej, jako dla tej, co nie pracowała, nic już nie zostało, gdy nie było ubrań, sprzętów, narzędzi i jedzenia, a rząd z obiecaną reformą, mającą być chłopów poprawić, już dziesiąty rok zwlekał, każda niesprawiedliwość bolała bardzo.

Może to i dobrze, że Kajtek nie był rozmowny? Po cóż wdawać się w spór? Ten, kto ma swoją prawdę, nie chce cudzej i choćbyś godzinami go przekonywał, nie przekonasz. Tylko na koniec usłyszysz: „Ja tam swoje wiem”. I tyle. Kiedy ludzie budowali wieżę Babel, Bóg nie tylko pomieszał języki narodom, ale też swojakom coś takiego uczynił, by się między sobą dogadać nie mogli. Dlatego tak jak tu w karczmie dzieje się i w Warszawie. Kłócą się, spierają, jeden na drugiego nastaje i uradzić nic nie mogą. Mowa to zła rzecz. Nie darmo mówi Pismo: „Takich poznacie z owoców ich”. Po owocach, nie po słowach.

– Studnia nie jest potrzebna tylko tym, co najbliżej niej mieszkają – powiedziała Teofila. – Wszyscy pozostali jej potrzebują, mam rację?

Miała. Po sali rozniosły się pomruki aprobaty.

– Kłopot mamy z ustaleniem, gdzie ją kopać trzeba. Powiem wam, co mnie się zdaje. Trza o to studniarza pytać.

– A jak on powie, że na kubaniach? – zapytał Hrihorij.

– Ojciec mądry, matka mądra, a wy w kogo się wdaliście? – zapytała Teofila, wywołując tym ogólną wesołość. – Na cóż nam studnia na kubaniach? Toż tam i bez studni wody po kolana. Może być na Felówce, może na Podpolu albo na Ostrowie. To dla nas najkorzystniej.

– Dla was, Lipczewska, to na pewno – rzuciła z przekąsem Pomiechowska.

– Żebyście wiedzieli. Marzy mi się ławka pod studnią, żeby na niej całymi dniami przesiadywać i plotkować.

I znów rozległ się wybuch śmiechu.

– Ta to ma mordę, tylko pozazdrościć – szepnęła Francowa. – Wy wiecie, Mazur, że to mego Fela świekra? Dobrze, że córka w nią się nie wdała, boby nie miał chłop lekkiego życia.

– Widzicie, jak spokojem i rozumem wszystko szybko można uradzić? – zapytała Teofila, a wielu z uznaniem kiwało głowami.

– Zapomnieliście, Lipczewska – odezwał się Hrihorij Iwaniuk – że nam najważniejsza kwestia do ustalenia została. Jak my będziemy się na tę studnię składać?

– Studniarz poda cenę, a my ją podzielim przez sto pięćdziesiąt chałup we wsi.

– To nie jest sprawiedliwe. My tu ze wsi nie będziemy z tej studni korzystać.

– Przypomnę wam te słowa, jak po drodze na pole zachce wam się pić. Albo wasz syn na Podpolu się pobuduje. Albo waszej córce nie będzie się chciało krowy pod dom gnać, żeby ją napoić. Póki studni tam nie ma, to się obywacie, a jak stanie, to się okaże, że jest po drodze. Wszyscy będą korzystać, to i wszyscy zapłacić muszą. A jak kto nie chce, to niech se na podwórzu studnię wykopie.

Przyklasnęli temu wszyscy, bo nagle się okazało, że nie ma nikogo, kto by inaczej myślał.

– A teraz się napijmy chłodnego piwa, niech i Szymon ma korzyść z tego zebrania. – Spojrzała na karczmarza. – Tylko nie próbuj się ze składki wymigać, bo ci tę karczmę spalę. – Roześmiała się głośno. – Ty się nie bój. I ty, i ja odejdziemy z tego świata, a ta karczma wciąż stać będzie. Sto lat postoi, to... – Resztę jej słów zagłuszył harmider. Odsuwano ławy, stoły, jedni przepychali się, by zająć miejsce w kolejce po kufelek piwa, drudzy parli ku wyjściu. Niektórzy zbijali się w grupy, by jeszcze raz sprawę omówić, inni tylko po to, by wspólnie zapalić.

– Jak tylko wrócicie do chałupy, to niech wam matka mięty naparzy – poradziła raz jeszcze Francowa, podnosząc się z ławy. – Albo se garść kminku zjedzcie. Tylko gryźcie dokładnie, to od razu was puści.

Kajtek podziękował skinieniem głowy i ruszył do drzwi. Zostawił za sobą woń cebuli, ludzkiego potu i wymiocin, zapach dymu tytoniowego i płóciennych koszul. Wyszedł w noc, pachnącą wilgotną ziemią, rosą na wciąż jeszcze zielonej trawie, jabłkami dojrzewającymi w sadach i przyzmami gnoju, który lada dzień wozić się będzie w pola, by nakarmić rolę przed jej zimowym odpoczynkiem.

Odetchnął głęboko, rad, że nie musi już siedzieć w karczmie i może wrócić do własnej chaty albo nie wrócić, tylko usiąść na ganeczku, zapalić papierosa i pozwolić myślom płynąć, gdzie tylko im się zechce.

Przystanął. Ktoś go wołał. Odwrócił się. To Pietro Matwiejczuk.

– Cały wieczór gadania. Dobrze, że choć co uradzili. Piwa się nie napijesz?

Kajtek przecząco pokręcił głową.

– Może i racja, późno już. Choć mnie do domu nie chce się wracać, dzieciak strasznie się drze. Kiedyś sobie myślałem, czemuż ten Kajtek się nie żeni, a teraz dochodzę do wniosku, żeś wiedział, co robisz. Choć pewnie znajdzie się taka, co cię przed ołtarz zaciągnie. – Roześmiał się.

Nie sposób było go nie lubić, zawsze wesoły, do każdego zagadnął, dla każdego miał czas. Nie czekał, by go ktoś o przysługę poprosił, tylko sam śpieszył z pomocą. Ze wszystkich chłopów we wsi był najlepszym żniwiarzem. Kajtek, który jako jedyny mógł stawać z nim w zawody, patrzył z zazdrością, jak Pietro spokojnie idzie przez pole, robi szerokie zamachy, kosa tylko błyska, a po tamtym nawet nie widać zmęczenia.

– Słuchaj no, Kajtek, tak sobie pomyślałem... Wpadłby ty do nas kiedy. Zbieramy się w kilku od czasu do czasu, ot tak, żeby pogadać o tym, co się na świecie dzieje. Wiesz, taki jak ty to by nam się przydał. Rozsądnyś i język za zębami umiesz trzymać. To jak będzie?

Kajtek wyobraził sobie izbę Matwiejczuków, Marinkę na ławie, z dzieckiem w ramionach, i bolesny skurcz wykręcił mu kiszki.

Skinął głową, nie dlatego, żeby interesowały go rozmowy o polityce, tylko dlatego, że chciał jak najszybciej Pietra się pozbyć.

Gdy kroki tamtego umilkły, zgiął się wpół i zwymiotował. Dobrze, że uradzili, co i jak z tą studnią, bo nie zniósłby kolejnego zebrania.

Rozdział dwunasty



Kminek to roślina dwuletnia z rodziny selerowatych, niewyróżniająca się wyglądem. Drobne białe kwiaty zebrane są w baldachy złożone, liście ma pierzastodzielne, w górnych częściach łodygi bezogonkowe. W pierwszym roku pojawia się rozeta liści, w kolejnym wyrasta łodyga z kwiatostanami. Okres kwitnienia przypada na późną wiosnę, owoce dojrzewają w lipcu.

Rośnie na suchych łąkach, pastwiskach, miedzach i przydrożach.

Nasiona zawierają olejek eteryczny i mają piekący, lekko korzenny smak. Od wieków są wykorzystywane w ziołolecznictwie, ze względu na pozytywny wpływ na przewód pokarmowy i działanie bakteriobójcze. Naparem z kminku pobudzano laktację, stosowano go też na kolikę u niemowląt.

Nasiona kminku to popularna przyprawa, w kuchni ludowej stosowana od wieków, nie tylko ze względu na właściwości smakowe, ale przede wszystkim dlatego, że kminek, działając pobudzająco na wydzielanie soku żołądkowego i wiatropędnie, ułatwia trawienie ciężkich potraw z kapusty i fasoli oraz tłustych dań smażonych. Kminek dodawano do zup i mięs, ale także do wypieków – sypano go do ciasta chlebowego, posypywano nim bułki, paluchy, precele.

Kminek, sam albo wraz z innymi ziołami, był składnikiem leczniczych nalewek i wódek. Podobnie jak korzeń wielu innych roślin selerowatych, również korzeń kminku w pierwszym roku wegetacji nadaje się do spożycia. Wyglądem i smakiem najbardziej przypomina korzeń pietruszki.

Listopad 1930

Wrzesień długo udawał, że jest sierpniem. Choć dni wstawały spowite w mleczone mgły, a od klepiska ciągnęło zimnem, koło dziesiątej świat zaczynał wypełniać się ciepłem i światłem. Ludzie z zadowoleniem patrzyli

na bezchmurne niebo, tak niezwykle im łaskawe. Tyle jeszcze pracy, tyle pracy. Niespodziewanie jednak w ostatnim tygodniu września na niebie pojawiły się podciągacze, czyli chmury podobne do pajęczej przędzy, zwiastujące deszcz. Ten i ów słusznie zauważył, że odrobina wody się przyda, bo gdy ziemia sucha, to orać, kopać, bronować i siać nie można. Nikt jednak nie spodziewał się aż takiej słoty. Szare chmury, które zasnuły niebo, przyniosły ze sobą dotkliwe zimno, takie, co to przeniknie pod każdą koszulę i wbija w ciało ostre szpileczki. Cóż z tego, że krople deszczu maleńkie, skoro były ich tysiące? Spadały gęsto, jedna za drugą, jakby ktoś nanizął je na niewidzialne nitki, a sznury tak ciasno przylegały do siebie, że tworzyły ścianę wody.

Pierwszego dnia ludzie, widząc tę intensywność, mieli nadzieję, że najpóźniej przed wieczornym obrzędkiem niebo się przetrze i błysnie słoneczko. Niestety. Padało do wieczora, padało nocą i nazajutrz też padało. Rozmiękły ścieżki, drogi i gościńce, lepkie błoto oblepiało stopy tak, że ciężko było chodzić. Ludzie mówili sobie, że ten jeden dzień trzeba zostać w domach, niech się wypada, toż i w chałupie jest co robić. Taki to okres w roku, że roboty więcej niż czasu.

Kolejny dzień przywitał ich taką samą pogodą. Patrzyli na ogromne kałuże i ciężko wzdychali, bo tworzące się na nich bańki zapowiadały słotę. A tam, w polu, kartofle w mokrej ziemi zaraz gnić zaczną, i kapusta, co jeszcze nie do końca wycięta, bo czasu nie starczyło, i ten len, co miał wyschnąć, te bakunowe liście, rozwieszzone pod fartuchem dachu – co też z nimi teraz będzie?

Nie było innej rady, jak zdjąć z haka kapotę czy serdak i iść do roboty. Cóż to jednak za robota, gdy deszcz moczy włosy, leje się po karku i plecach, wsiąka w portki, koszulę przykleja do ciała tak, że krępuje ruchy, a serdak ciąży, jakby był z ołowiu. Ci, co mieli na nogach drewniane chodaki czy słomiane łapcie, przeklinali je, bo grzęzły w błocie, ci zaś, co byli bez butów, nie mniej klęli, bo od zimnej ziemi stopy drętwiały i zupełnie nie było w nich czucia.

„Pamiętacie – wspominał ten i ów – jaka piękna pogoda była na wesele Jaśka Lipczewskiego?” Aż trudno uwierzyć, nawet dwie niedziele nie minęły.

I gdy ludziom się zdawało, że już zawsze tak będzie, przyszedł październik i przyniósł ładną, jesienną pogodę. Obmyty deszczem świat błyszczał, jakby

dopiero co Pan Bóg powołał go do życia. Wszelkie rośliny, choć niedawno zaczynały schnąć, teraz na potęgę wypuszczały świeże listki, by jeszcze trochę pożyć, jeszcze trochę nacieszyć się światem. Kobiety w pośpiechu wycinały ostatnie główki kapusty, by nie popękały. Ostukiwały dynie, nie mogąc zdecydować, czy je zbierać, czy w ogrodzie zostawić. Wszystko, co zmokło w czasie tych ostatnich wrześnieowych dni, wynoszono na słońce, by wyschło jak najrychlej.

Wreszcie można było skończyć kopanie kartofli. Kobiety brały motyki i szły w pole. Starają się nie myśleć o tym, co je czeka. Nie ma bowiem gorszej roboty od kopania kartofli. Trzeba motyką ziemię rozorać, a ostrożnie, żeby bulw nie uszkodzić. Jeśli ziemia wilgotna i pulchna, idzie to całkiem nieźle, tyle że ona rzadko taka. Zwykle jest albo twarda i zbita, albo błotnista i lepka, więc jeśli nie walisz w nią motyką, aż łeb ci podskakuje, to musisz wyciągać narzędzie z błota, a ciężkie takie, że aż plecy pieką. Gdy już wykopiesz krzak, to czeka cię zbieranie. Błoto najgorsze, każda bulwa nim oblepiona, trzeba wycierać. Koszyk, pleciony z grubej wikliny, by wytrzymał ciężar, sam z siebie sporo waży. Napęczniony kartoflami podnieść trudno. A trzeba go zanieść na przymę. Bo przecież nie może być tak, by do worków wrzucać wszystkie bulwy jak leci. Trzeba powybierać sadzeniaki, te największe, najładniejsze, w których zawarta jest obietnica dobrego plonu na przyszły rok. Najdrobniejsze będą paszą dla zwierząt, choć to różnie bywa i czasem na przednówku gospodynie przepraszają się z tą drobnicą, wzgardzoną jesienią. Reszta dla ludzi na kartoflankę, zawijasa czy psiochę. Jeśli który zepsuty, trzeba go od razu odrzucić, zabolące miejsce odciąć, a resztę uparować kurom i kaczkom.

Dzieciarnia, pasąca bydłeta na porośniętych chwastami ścierniach, zerkała łakomie ku kartofliskom. Czekali chwili, gdy będą mogli zebrać łęty, rozpalić z nich ognisko i upiec znalezione albo ukradzione z przymy kartofle.

Jadźka Adamczukówna, siedząc pod piecem w chałupie, myślała o tym, że choć była daleko od domu w czasie wykopków, to czuła zapach dymu z palonych łętów i zwęglonej ziemniaczanej skórki, a także pot na plecach i ciepłe promienie jesiennego słońca na twarzy.

Cóż z tego, że wyjechała? Niczego jej to nie dało, poza wielką tęsknotą. Przypominała sobie wszystko z tamtego czasu, nawet to, że zamykała oczy, by przywołać obraz pasiaka pól z wolna tracących swe kolory, kobiet z motykami idących drogą, rozwrzeszczanych dzieci, wielkich wiklinowych

koszy, chłopów w wydętych jesiennym wiatrem koszulach, którzy wolno szli za swoimi końmi. Całą sobą tęskniła wtedy za Tynczynem, za domem, ojcami i za panią Martą. Wciąż się zastanawiała, co też tam u niej i czy jej czego złego ta durna Zośka nie zrobiła. Najbliżsi obiecywali zająć się Kornelowiczową, ale czy będą pamiętali?

– Pojedziesz do miasta, między ludzi – mówiła matka, namawiając Jadźkę do wyjazdu. – Inny świat zobaczysz.

A czy ja nie między ludźmi? Lepsi oni jeszcze, bo swoi. Tam wszyscy obcy. Jak z nimi rozmawiać, jak między nimi żyć? Innego świata nie była ciekawa. Wiedziała jednak, co się za tym wszystkim kryje. Nim zdążyła poważnie pomyśleć o Kajtku Mazurze, jego matka znalazła inną kandydatkę. Jadźki to nie zmartwiło, ale rodziców, zwłaszcza ojca, bardzo. I to on namówił Werę, która pod koniec sierpnia przyjechała na kilka dni do rodziców, by zabrała Jadźkę ze sobą.

– Po co mam jechać?

– Może robotę ci znajdziemy.

– Ja mam tu swoją robotę.

– Ojce sobie poradzą, a jak nie, to pójdą do Wawrzka. Marianna dobra kobita, krzywdy przy niej nikt mieć nie będzie.

– Nie chcę.

– Jadźka, nie bądź dziecko. Nie spodoba ci się, to nie zostaniesz, na siłę nikt cię trzymać nie będzie.

Pojechała z myślą, że za dzień, najwyżej dwa, wróci. Zeszło jej o wiele dłużej. Wera z Dorotką wciąż coś planowały i nie wypadało im odmówić. Stroiły Jadźkę w swoje sukienki i buty, zabierały ją to do parku, to na starówkę, a raz nawet do kawiarni. Odwdzięczała im się, jak mogła, sprzątając ich wynajęty pokój.

– Wy inna niż siostry – mówiła gospodyni. – Cichutka taka z was dziewczyna, grzeczna. Tamte takie śmieszki, ale nic nie gadam, bo płacą komorne w terminie.

Do Wery pierwszej dotarło, że nie ma sensu Jadźki w mieście zatrzymywać, bo ona po prostu nie czuje się tu dobrze.

– Głupia jesteś. Tutaj byś sobie panią była. Na siebie byś robiła, pieniądze swoje miała, a jakakolwiek praca tu lepsza niż w polu, bo lżejsza. Kto cię zna, ten cię zna, ale gdy idziesz po mieście, to nikt nie wie, kto ty zacz. W Tynczynie wszyscy cię znają. Jak sobie chcesz, siłą cię trzymać nie

będziemy. Jeszcze będziesz żałowała.

Jedno, czego Jadźka żałowała, to że się na tę podróż dała namówić. Im bliżej była Tynczyna, tym większa radość wstępowała w jej serce. Myślała o tym, że zaraz zdejmie tę sukienkę, którą Dorotka kazała jej włożyć, weźmie sobie zwykłą płócienną koszulę, spódnicę i zapaskę. Najpierw pobiegnie do pani Marty sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem zabierze się do roboty. Jeśli u Wawrzka ziemniaki jeszcze niewykopane, to złapie motykę i poleci pomagać, a jeśli wykopane, pomoże przy kapuście albo przy Inie. Jakże już jej się chciało normalnej roboty.

Z Tyszowiec skierowała się na Mikulin, by tam mostkiem przejść na drugą stronę Huczwy. Oddychała głęboko rześkim powietrzem znad łąk, by oczyścić płuca z tego okropnego miejskiego zaduchu. Jakże w tym mieście śmierdziało, to strach! Tylu ludzi, a każdy jakimś mazidłem wysmarowany, panusie wodą różaną, mężczyźni pomadą. I woda różana, i pomada same w sobie pachniały przyjemnie, ale w połączeniu z zapachami ciała oraz ubrań z szaf wypełnionych naftaliną dawały mieszankę, od której robiło się słabo. Żeby jedynie ludzie śmierdzieli, śmierdziały też budynki, bramy, w których sikali przechodnie i koty, latryny na tyłach kamienic, sklepy rzeźnicze, te maciupkie komórki przy domach, gdzie na kupie trzymano świnie, kury, gęsi i co tam kto miał, rynsztoki, do których z ulic spływały końskie szczyny, cuchnęło nawet powietrze, wypełnione dymem z licznych kuchni, na których kucharki gotowały posiłki.

Tu, na tynczyńskich łąkach, można było odetchnąć powietrzem czystym jak kryształ, przesyconym wilgocią, pachnącym rzeką i tatarakiem.

Teraz mogła biec co sił. Na przełaj przez łąkę, przez grząskie błoto przy rowie, przez wypasiony do gołej ziemi wygon.

– Dziecko, a skądże ty tu? – zapytała matka.

– Wróciłam.

– My mieli nadzieję, że się tam zostaniesz. Źle ci było? – I sama sobie odpowiedziała: – Ano źle. A za czym to było tak gnać? Głodnaś? Siadaj, mleka ci naleję.

Nie mogła usiedzieć. Chodziła po izbie, przyglądając się wszystkiemu z taką ciekawością, jakby jej nieobecność trwała kilka lat, a nie tygodni.

Matka wróciła z kubkiem mleka.

– No siadajże. Co tak stoisz jak obca. Toż ty w swojej chałupie.

– Gdzie ojciec?

– Między chłopów poszedł, pogadać. Ty słyszała, co się wyrabia? Witos aresztowany, Korfanty aresztowany i tylu innych. Gadają, że to za komunizm, ale mnie się wierzyć nie chce, żeby Witos był komunistą. – Westchnęła.

Jadźka nic nie mówiła, choć pewnie o całej tej sytuacji wiedziała więcej niż matka. Kiedy była u sióstr, z nudów czytała gazety, które gospodyni kupowała regularnie. W domu, gdzie tyle różnych zajęć, nie miała na to czasu ani ochoty. W mieście dni jej się dłużyły, a ileż można sprzątać? Więc czytała. Zresztą nie tylko gazety, ale nawet dwie książki zdarzyło jej się przeczytać.

– Ojciec mówi, że my się nie ugniem i na swoich będziemy głosować. Choćby i nas mieli pozamykać.

– A nas za co?

– A za co Witosą?

To prawda. Za co? Jadźka westchnęła, wzięła z rąk matki kubek i wypiała mleko duszkiem. Teraz zrozumiała, dlaczego siostry, gdy przyjadą do domu, zachowują się tak, jakby miesiącami nic nie jadły. Miastowe jedzenie, poza chlebem z piekarni i ciastkiem z cukierni, nie było dobre. Chciała odstawić pusty kubek do szaflika z brudnymi naczyniami, ale matka jej nie pozwoliła.

– Siedz. Ty dziś jak gość.

– Co też mówicie? – obruszyła się.

– Tak, tak. Jakbym ja wiedziała, tobym ci coś dobrego nagotowała. A tak tylko kluski na kartoflach.

Nie było to może ulubione danie Jadźki, która od kartoflanek wolała kwaśne barszcze i kapuśniaki. Dziś jednak zupa z ziemniaków gotowanych tak długo, aż się rozpadły, zagęszczona zasmażką i okraszona podsmażoną cebulką, by była bardziej sycąca, podawana z kluskami, a na przednówku ze skórkami chleba albo starym, suchym chlebem, wydawała się najpyszniejszym jedzeniem, o którym miastowi mogli tylko pomarzyć.

– Opowiadaj mi teraz, coś tam w mieście widziała. Jak Wera, jak Dorotka?

– Dobrze, do roboty chodzą, bardzo sobie chwalą. Ich gospodyni miła, nie miała pretensji, że u sióstr jestem. Grzecznie ze mną rozmawiała. Byłyśmy w parku i kolegiacie. Ot i wszystko.

– Toś naopowiadała. Gadajże, co jeszcze.

– Kiedy to wszystko.

– Przyjedzie Wera, to buzia jej się nie zamyka. A ta ledwo dwa słowa

przemówiła – westchnęła matka.

Bo ona zachwycona miastem, a mnie się tam nie podobało. Tylko nie wypada o tym mówić, żeby nie wyszło, że jestem wobec sióstr niewdzięczna. Doceniam starania, tyle że to nie miejsce dla kogoś takiego jak ja, pomyślała. I żeby nie musieć mówić tego głośno, zapytała, co też się na wsi działo.

– Wesele u Lipczewskich się udało?

– Udało się, udało. My z ojcem długo nie byli, ot, na chwilę poszli, żeby sąsiadów nie obrazić, bo my już na to za starzy, ale powiem ci, córuś, takiego jedzenia jak tam to nigdy nigdzie nie było i długo jeszcze nie będzie. Matka panny młodej sama wszystko przygotowała. Jakież tam ciastka, jakie placki, to człowiek napatrzeć się nie mógł. A wyroby jakie! A ile tego było, no nie do przejedzenia. Jeszcze nam w kobiałkę włożyli, jakeśmy do domu wracali.

– To dobrze.

– Ano dobrze – powiedziała matka tonem, w którym wcale nie było radości.

Jadźce dreszcz przebiegł po plecach. Zimny zwiastun nieszczęścia.

– Mówcie – zażądała.

– Toś dopiero wróciła. Spocznij. Opowiedz mi coś jeszcze.

– Mówcie, co się stało.

– Zośka młodym mietlicę pod koła rzuciła. A potem zaprzepadła.

Biedni młodzi. Może Pan Bóg się nad nimi zlituje i nieszczęścia nie ześle? Przecież Jaśko nic Zośce nie obiecywał, żadnego słowa nie złamał, dziecka nie zrobił. Bardziej jak siostrę ją traktował. Pewnie mu nawet do głowy nie przyszło, że durne potoroczce tak się odwdzięczy za całą serdeczność, jaką Lipczewscy jej okazowali.

– Mówiłam? Mówiłam. – Ot, zwykła Zośki głupota, a matka miała taką minę, jakby coś strasznego się stało. – Nikt mi wierzyć nie chciał. Dobrze, że zaprzepadła, tyle spokoju.

Matka skinęła głową. Delikatny grymas, jakby cień padający na twarz, sprawił, że niepokój Jadźki wrócił.

– A z panią Martą wszystko dobrze?

Zapadła cisza. Okropna cisza, która sama w sobie jest odpowiedzią.

– Myśmy nie wiedzieli, że Zośka się zapodziała. Ludzie gadali, że się chowa, bo jej wstyd. Dopiero Pomiechowska... Już nie było ratunku.

Nie! To niemożliwe!

– Nie! – krzyknęła, zrywając się z ławy. Ruszyła pędem do drzwi, do

gościńca, do ścieżki, do dworu. – Nie! Pani Marta! Pani Marta!

Jeszcze nigdy tak nie biegła. Jakby chciała przegonić czas, sprawić, by był sierpień, powiedzieć siostrze, że nie pojedzie, być na weselu u Lipczewskich, zanieść gościńca pani Marcie, opiekować się nią, karmić, myć, przebierać.

Na drzwiach frontowych wisiała kłódka. Okiennice były pozamykane. Jadźka obiegła dom. Rozumiała, że nie może się odstać to, co się stało, ale wciąż miała nadzieję, że matka się pomyliła. Drzwi od ogrodu też były zamknięte, ale dobrze wiedziała, że tu kłódka na skoblu nie stanowi przeszkody, bo drewno już próchniało. Wystarczyło pociągnąć mocno, by śruby wyszły tak, jakby je wkręcono w masło, nie w drewno.

Zapach, unoszący się w pokojach, wyraźnie mówił Jadźce, że cud się nie zdarzył, nie znajdzie już pani Marty w sypialni. Zatrzymała się na progu, by pozwolić iskierce nadziei żarzyć się jeszcze przez chwilę, nim zgasła. Pani Marty nie było. Nie było jej tu z winy Jadźki. Gdyby nie pojechała do miasta...

Uklękła przy łóżku. Śmierdziało trupem, rozkładem i kocimi szczynami.

– Przepraszam, pani Marto, przepraszam. Nie chciałam was zawieść...

Ogromny żal ścisnął serce Jadźki. Czuła się winna wszystkiemu złemu, co stało się w tym domu. Przed laty nie dopilnowała dziecka, a teraz jego matki. Nawet za to szaleństwo, które ogarnęło Zośkę, była odpowiedzialna ona, Jadźka.

– Wybaczcie mi, wybaczcie, pani Marto. Ja nie chciałam. Nie chciałam.

W czasie pobytu w mieście najbardziej tęskniła za towarzystwem Kornelowniczej, bo ta była jedyną przyjaciółką, jaką Jadźka w życiu miała.

Płakała, długo płakała. Nawet gdy już przestała, nie chciała opuszczać tego pokoju i siedziała na podłodze z twarzą wtuloną w kapę, która przykrywała łóżko.

– Ciotko, ciotko! Babka się o was martwią. Wracajcie do domu.

Uniosła głowę. Obok stał Dyziu.

– Wiem, że wolelibyście tu zostać, ale chodźcie ze mną. Źle się stało, że sama tu umarła, no ale teraz nic już na to nie poradzimy. Jeszcze kto nas tutaj zobaczy i pomyśli, że szabrujemy. Po co nam kłopoty?

Włożył ręce Jadźce pod pachy i szarpnął ją do góry. Myślała, że nie da rady, jednak bratanek był silny, z łatwością ją postawił i delikatnie pchnął w stronę wyjścia.

– Czekaj! – poprosiła.

Podeszła do toaletki. Wszystko leżało tam tak, jak zostawiła. Puzderka, szczotki, grzebienie, medalion, różaniec i chusteczka. Sięgnęła po nią w nadziei, że wciąż jest przesiąknięta tym przyjemnym zapachem pani Marty, jej perfum i mydełka. Podniosła biały kwadracik do nosa, jednocześnie zamykając oczy. Zobaczyła panią Martę młodą, uśmiechniętą. I nie mogła już odłożyć chusteczki na miejsce.

Przez następne dni czuła się jak we śnie, swoją wewnętrzną rozpacz otuliła warstwą obojętności, by nikt nie mógł poznać, co się dzieje w jej sercu. Kiwała głową, gdy ludzie mówili, że przecież Kornelowiczowa była kaleką i tylko się męczyła, że skończyła się jej pokuta i Pan Bóg zabrał kobietę do siebie, że teraz jej lepiej. Jadźka miała ochotę krzyczeć, że gówno wiedzą. Tylko po co krzyczeć? I tak by nie zrozumieli.

Jeden tylko Kajtek Mazur zachował się inaczej. Podeszedł do Jadźki i spojrzawszy jej w oczy, powiedział:

– Smutne to.

Jadźka zdała sobie sprawę, że tak rzadko się odzywał, bo doceniał wagę słów i wiedział, że nie należy nimi szastać. W tych dwóch zawarł wszystko, co chciałoby się usłyszeć – współczucie zarówno dla Marty, jak i dla Jadźki, żal, że tak się stało, poczucie winy, że nie potrafiło się temu zapobiec. Po cóż trwonić słowa? Po co wyrzucać je z siebie, by z każdym kolejnym poprzednie traciły na wartości? Wystarczy powiedzieć raz. Bo to od słuchającego zależy, czy zechce nas zrozumieć, czy nie. Jeśli zamknie uszy na nasze słowa, możemy gadać i dzień cały, żadnego skutku to nie przyniesie. Jadźka otworzyła swoje serce na to, co Kajtek miał jej do powiedzenia, dlatego wystarczyło jedno słowo.

Szczerze współczucie, jakie okazał Jadźce, obudziło w niej wielką sympatię dla Kajtka, którą wywołała nie tylko jego serdeczność, ale też tęsknota za kimś, kto mógłby być dla Jadźki przyjacielem. Ciągnęło ją do tego człowieka.

Siedziała na zydlu pod ciepłym piecem i szyła słomianą matę. Dawniej zajmował się tym ojciec, teraz już oczy miał zbyt słabe, a palce zbyt sztywne. Potrzebowali trzech takich mat, by zabezpieczyć stojące przed domem ule.

– Ze wszystkim na tym świecie jest tak – przypomniała sobie słowa taty – że gdy o to dbasz, to masz. Dbasz o krowę, pasiesz ją w bujnej trawie, siano najlepsze dajesz, osypki podsypiesz, to mleka masz dużo, a cielęta czuście się

rodzą. Dbasz o konia, karmisz, czeszesz, nie przemęczasz, to cię i do miasta zawiezie, i pole zaorze. Dlatego też jeśli chcesz słodkiego miodu pojeść, to o pszczołki musisz zadbać. Nie tylko miodu przed zimą nie zabierać, by w ten trudny czas miały czym się pożywić, ale jeszcze trzymać jeden garnuszek schowany na czarną godzinę, bo gdy wiosna późna, może się zdarzyć, że głodować będą. Wtedy trzeba im tego schowanego miodu dać, a jak go nie masz, to choć garść cukru. W upał wody im nalewać, bo jak wszystko na ziemi, tak i pszczoła potrzebuje ugasić pragnienie. Tak jak swoją chałupę na zimę ogacamy, tak i ul musimy.

Ojciec bardzo lubił te swoje pszczoły. Teraz to całe jego gospodarzenie, mówił. „Taki to los mnie pisany, że gdy były siły i chęć, to nie było ani spłachetka pola, a kiedy za sprawą Wawrzka los nas wszystkich się poprawił, to starość zapukała do drzwi. Tak jak wszystko na tym świecie się zużywa, tako i człowiek. Koniec nadchodzi, niechby tam i nadszedł, życie zaczyna być męczące, strach jeno, by śmierć mnie i mojej Honoraty na długo nie rozdzielała”.

Jadźka przesunęła wierzchem dłoni po czole w złudnej nadziei, że tym sposobem zdoła zetrzeć smutne myśli, które zaczęły kiełkować w głowie. Gdy żyła pani Marta... To tak niedawno było, w sierpniu, w sierpniu ze sobą rozmawiały, we wrześniu jeszcze żyła. Teraz jest listopad, a jej nie ma i wydaje się, jakby żyła dawno, dawno temu w bardzo odległej krainie... Gdy żyła pani Marta, Jadźka nie myślała ani o samotności, ani o śmierci rodziców. Wydawało jej się, że świat może nie tyle stoi w miejscu, co posuwa się bardzo, bardzo wolno. Jesień podobna do zeszłej jesieni, wiosna sprzed roku podobna do tej, która przyjdzie za rok. To, co spotkało panią Martę, uświadomiło Jadźce, że świat przewraca się do góry nogami zupełnie bez ostrzeżenia. Przyszłość przestała być pewna, śmierć rodziców zdawała się nie tylko nieunikniona, ale i rychła. Gdy nastąpi, Jadźka zostanie sama, bo nie będzie już nikogo, kim mogłaby się opiekować, a to właśnie – opiekowanie się kimś – nadawało sens jej życiu. Niektórzy ludzie chcieli żyć, by kochać, inni, by pracować, jeszcze inni woleli zarabiać pieniądze. Jadźka była stworzona do opiekowania się bliskimi. Co z nią będzie, jak ich zabraknie?

Gdyby wiedziała, co się stanie, może odezwałaby się choć jednym zdaniem do Gali Mazurowej. Powiedziała by coś, by dać tamtej nadzieję, że małżeństwo Jadźki i Kajtka jest możliwe. Teraz było na to za późno. Matka mówiła, a wiedziała to od Pomiechowskiej, więc sprawa pewna, że Gala

Mazurowa dogadała się z Terenią Hubową, która łaskawym okiem patrzy na Kajtkę jako narzeczonego Natali Dołęgówny.

– Tylko czy Natalia go zechce? – zapytała Jadźka zupełnie obojętnym głosem. – Przecież on od niej z dziesięć lat starszy.

– Nie dziesięć, tylko pięć. Akuratna różnica.

– Nawet jeśli tak, to ona może go nie chcieć.

– Zechce nie zechce. Kto tam ją będzie pytał. Każą wuj z babką, by za Mazura poszła, to pójdzie. Antek będzie mu przychylny, bo wie, że to gospodarz, a i z charakteru człek dobry, Natali nie ukrzywdzi.

Prawda to. Dobry z Kajtką człowiek. Czemu Jadźka dopiero teraz to doceniła? Mogli wieść spokojne życie, bez miłości, ale z wzajemnym szacunkiem. Teraz zarówno Kajtek, jak i to spokojne życie dostaną się Dołęgównie. Gdy Jadźka o tym myślała, bolało ją w piersiach.

Do izby wszedł ojciec, spojrzął na słomianą matę i uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Ot, moja zazuleczka. Ciepło będzie pszczołkom. A teraz rzuć już tę robotę, wody mnie podgrzej, ogolić się trzeba przed jutrzejszym świętem.

Słowo „święto” wymówił z obrzydzeniem.

Nazajutrz rano, zaraz po obrządkach, odświętnie ubrani ruszyli na wybory. Ojciec z poważną miną trzeci raz tłumaczył matce, jak i na kogo ma głosować.

Ileż tam było ludzi! Tłum jak na odpuszcie, a Jadźka, nie wiedzieć jakim sposobem, pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi dostrzegła Kajtkę Mazura. Stał, podobnie jak kilku innych młodych gospodarzy, koło Pietra Matwiejczuka, który o czymś rozprawiał, jednak w przeciwieństwie do towarzyszy nie wyglądał ani na zainteresowanego, ani poruszonego. Bardziej była w nim obojętność wobec wszystkiego.

– Nasz Pietro zamierza karierę polityczną zrobić. Do ukraińskiej partii się zapisał – powiedział ojciec spokojnym, lecz pełnym wyrzutu głosem.

Jadźka skinęła głową, by myślał, że to właśnie na Matwiejczuka patrzyła. Tamten nic jej nie obchodził, ani jego partia, ani w ogóle polityka. Przecież od zawsze tak było, że Polacy i Ukraińcy mieszkali w jednej wsi łąt w łąt. Nikt nikomu nie wadził. Tak wielu Ukraińców, jak i wielu Polaków było unitami, więc tak samo cierpieli, gdy car ukazem zlikwidował Cerkiew greckokatolicką, czyniąc ją prawosławną. Ukraińcy współczuli Polakom, kiedy niszczone Kościoły katolickie, Polacy Ukraińcom, gdy w latach

dwudziestych dokonywano zamachów na prawosławie. Gdzieś tam wśród ludzi wysoko postawionych, rządzących tym światem, nie znalazł się ani jeden, co by zrozumiał, że między maluczkimi to wszystko inaczej wygląda i bardziej jest skomplikowane. Nie było bowiem polskiej rodziny, w którą nie wżeniłby się Ukrainiec, ani ukraińskiej, w której panna nie poszłaby za Polaka. W takich wsiach jak Tynczyn dobrze wiadano, że choć człowiek jest przywiązany do narodowości, języka czy wyznania, łatwo je z miłości porzuci.

– Cóż Mazur z nimi robi? – zapytała Jadźka. – Przecież nie Ukrainiec.

– Jakże nie? Toż jego babka i babka Pietra były siostrami.

– Z kogo jak z kogo – zaczął ojciec, który nie słyszał, co mówiły. – Ale z Mazura pociechy w żadnej partii mieć nie będą. Tam trzeba umieć gadać. A on, jeśli powie jedno słowo na rok, to można uznać, że się rozgadał.

Matka się roześmiała, Jadźce zaś przykro się zrobiło. Jeszcze niedawno ojciec mówił, że Kajtek to porządny chłop, a teraz się z niego wyśmiewa. Na złość ojcu zagłosowała odwrotnie do tego, co mówił. Nie przyznała się, nie chciała, by jej później dał nauczkę, nieważne, czy to burą, czy to milczeniem.

Wychodzili razem, po chwili jednak Jadźka spostrzegła, że jest sama. Obejrzała się i zobaczyła znajomą kwiecistą chustę. Czy to matka? Tak. Prowadziła ożywioną rozmowę z Hanką Połajową. Widząc przepychającą się córkę, tylko machnęła ręką, dając znak, że Jadźka może sama wracać, bo ona ma tu jeszcze do pogadania.

Jedni przychodzili, inni wracali, wszędzie pełno ludzi. Po gościńcu przechadzali się ci, którzy byli za młodzi na głosowanie, chcieli jednak pokazać się między ludźmi. Panny, z rękoma splecionymi na plecach, szły jedna obok drugiej, szepcząc między sobą i chichocząc głośno, gdy zobaczyły jakiegoś przystojnego chłopaka. Kozy, pomyślała o nich Jadźka, trochę z zazdrością, bo sama nigdy nie włóczyła się tak z rówieśnicami.

Między tamtymi dziewczętami była Wietka Mazurówna. Trudno jej nie zauważyć, wyróżniała się nie tylko urodą, ale i wzrostem. Choć o głowę wyższa od przyjaciółek, sprawiała wrażenie delikatniejszej od nich. Jak trzcinka, smukła i wiotka, szła, kołysząc się lekko. Jasne włosy zaplotła w prosty warkocz, grzywka falą spływała na prawy policzek. Była podobna do Kajtka, nikt nie mógłby wątpić w ich pokrewieństwo, a jednocześnie tak od niego różna. Jadźka pomyślała, że tak samo jest między nią a Wawrzkiem, Szczepanem, Pawełkiem, Tońkiem – wszyscy są podobni i niepodobni

jednocześnie. W myślach postawiła swoich braci obok Kajtka Mazura i musiała przyznać, że jest od nich przystojniejszy. Najmniej od Wawrzka, a od Tońcia tak bardzo, że najstarszy z braci wydał jej się nagle brzydalem.

I z charakterów są inni, Jadźka dalej porównywała Wietkę i Kajtka. Ona wesoła, roztrzepana i gadatliwa. On... Kiedyś powiedziałaaby, że ponury, zmieniała jednak zdanie, poznawszy bliżej jego naturę. Przecież ty go nie znasz, nawet z nim nie rozmawiałaś, zbeształa się w myślach. A bo to trzeba z kimś rozmawiać, żeby go poznać?

Gdy, jakby ściągnięty myślami, Kajtek pojawił się obok niej, pisnęła cicho. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Zamyśliłam się, a wyście mnie przestraszyli – skłamała. Tak naprawdę przestraszyła się, że mógł słyszeć jej myśli.

Uśmiechnął się i wskazał na rzekę. Przejdzie się z nim, czemu nie. Nagle zamarzyło się Jadźce, by ludzie we wsi gadali: „Poszła z Mazurem nad rzekę i nie wiadomo co wyprawiała, a przecież to listopad, zimno”. Wyobraziła sobie, jak Pomiechowska mówi to do Ireny Matwiejczukowej. Tamta w odpowiedzi wzrusza ramionami i odpowiada: „Puknijcie się w głowę, Pomiechowska, i zastanówcie, co gadacie, bo grzech plotki rozsiewać. Toż o Jadźce Adamczuków mówicie i Kajtku Mazurze. Widzieliście ognisko po ulewie? No w tych dwojgu tyle samo żaru. Jakby Ewa miała jej naturę, toby my, ludzie, dalej w rajku mieszkali”. Niechby Wera czy Dorotka poszły nad rzekę, wieś huczałaby od plotek. Oczywiście gdyby nie poszły z Mazurem, pomyślała i się roześmiała.

Kajtek spojrzął na nią pytająco.

– Tak mi przyszło do głowy, że z nas dwojga tacy porządni ludzie, że nawet jeśli nas kto zobaczy, to gadać o nas nie będzie.

Skinął głową, przyznając jej rację.

– Wcale to nie wesołe, tylko raczej smutne. Czasem myślę o sobie, że jestem jak ta szyba w okienku. Niby wszyscy o mnie wiedzą, ale nikomu świata nie przesłaniam. Jedna pani Marta mnie widziała. Jej nikt nie kochał, nikogo nie obchodziła, tak jak ja nikogo nie obchodzę. Znikłabym z tego świata i nikt by nie zauważył. Może za trzy, cztery dni ktoś by się po wsi rozejrzał i zapytał: „A czy między nami nie było Jadźki?”, a może i to by się nie wydarzyło. Dziś nikt nie wspomni o pani Marcie. Była, nie ma, tak się dzieje. O tej durnowatej Zośce więcej mówią. Nawet o bracie Kornelowicza, do którego teraz majątek należy, gadają. Zastanawiają się, czy przyjedzie,

kiedy, czy ziemię sprzeda, czy może nie? To ich zajmuje. Marta zaś wcale. Tylko ja za nią płacę, bośmy się miały wzajemnie. Teraz nikt mi nie został. – Wytarła oczy, bo przez łzy niczego już nie widziała. – Pomyślcie, że ja durna.

Spojrzała mu w oczy. Nie, nie myślał tak o niej. Współczuł.

– I wam się wydaje, żeście jak ta szyba i nikt was nie widzi, nikt was nie kocha?

Jego oczy też się zaszkliły. Nic dziwnego. Któż chce być niewidocznym, któż chce być niekochanym?

Podniosła rękę do jego twarzy i pogładziła policzek.

– Myślałam o was ostatnio – wyznała. – Przyszło mi do głowy, że jesteśmy bardzo do siebie podobni. Wolimy być sami niż z ludźmi, wolimy milczeć niż mówić.

I już zabierała rękę, ale Kajtek ją uchwycił. Przez chwilę trzymał, jakby zastanawiając się, co ma zrobić. W końcu podniósł do ust i pocałował. Była w tym krótkim pocałunku czysta wdzięczność za zrozumienie, nic poza tym.

Potem szli już w milczeniu, aż do Huczwy. Od rzeki ciągnęło wilgotnym chłodem, w powietrzu czuło się zapach suchej trzciny i mokrej ziemi. Wieś z całym jej hałasem została za nimi, było tak cicho, tak spokojnie.

Kajtek zatrzymał się gwałtownie. Położył dłonie na ramionach Jadźki i odwrócił ją ku sobie. Patrzył w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, co też ona czuje.

Nie, nie kocham cię jeszcze. Wydaje mi się, że jestem tego bliska, ale skądże mam wiedzieć, jeszcze nigdy nie kochałam mężczyzny. Kocham moich rodziców i rodzeństwo, kocham moich bratanków, kochałam panią Martę i nikogo więcej. Myślę jednak, że gdybyś się postarał... Nie, nie trzeba wiele, to współczucie dla mnie, to zrozumienie, które okazujesz, wystarczy. Pokocham cię i będę o ciebie dbała. Będę na ciebie patrzyła i będę cię widziała.

Czy zrozumiał, nie wiadomo. Długo trwał bez ruchu, aż wreszcie przyciągnął Jadźkę do siebie. Przechylił głowę jak ptak, gdy nie jest pewny, czy to, na co patrzy, to ziarno. Bardzo, bardzo powoli zbliżył swoje usta do jej ust. Najpierw poczuła jego oddech, ciepły i pachnący tytoniem, później łaskotanie wąsów, na koniec wilgotną miękkość warg. Byli w tym pierwszym pocałunku niezdarni, a to, co mówiła o nich Matwiejczukowa do Pomiechowskiej, choć wymyślane, okazało się prawdziwe. W ich pocałunku

tyle było żaru, co w zalanym przez deszcz ognisku. Jednak nie o to chodziło.
Przypieczętowali nim umowę, którą ze sobą zawarli.

Rozdział trzynasty



Golas to rodzaj potrawy zapiekanej w piecu, przygotowywanej z resztek pozostałej z poprzedniego dnia kaszy gryczanej. Mieszano ją z ugotowanymi i rozgniecionymi ziemniakami, czasem z jajkiem, i układano w glinianym naczyniu warstwami – kasza, farsz, kasza. Farszem najrzadziej było mięso, najczęściej ser, odkładany w Wielkim Poście, gdyż tradycyjnie nie jedzono wtedy przetworów mlecznych. Do farszu dodawano podsmażoną cebulę. W okresach postu farsz stanowiła sama cebula, przysmażona na suchej patelni.

Przyprawiano koperkiem, niektórzy do sera dodawali miętę. Te same składniki – kasza gryczana, ziemniaki i biały ser – stanowiły podstawę potrawy zwanej pierogiem biłgorajskim.

Różnicę stanowił dodatek jaj, śmietany i skwarek oraz sposób przyrządzenia – wszystkie składniki wymieszane i ubite jak na pasztet. Pieróg biłgorajski, zwany również gryczanym lub krupniakiem, wpisany jest na listę produktów tradycyjnych.

Styczeń 1931

Ej, panie! Panie!

Głos dobiegał z oddali, ale była w nim okropna wibracja, od której pulsowało w głowie.

– Panie, zbudź się pan.

Ciemność, mająca gęstość i lepkość smoły, nie chciała ustąpić. Sklejała oczy, jej podchodzącą żółcią gorycz czuć było w ustach, drażniła nos zapachem spalonych ptasich piór.

– Zbudźże się pan.

Powieki ważyły tonę, z trudem ledwo podniósł je do góry, a znów opadły.

Czy to, co przez ułamek sekundy widział przed sobą, było ludzką twarzą?

– No, panie ładny, zabalowało się, co?

Żebyś wiedział. I nie drzyj tak mordy, bo mi łeb pęknie, pomyślał. A w głowie, gdzie przecież słyhać było te myśli, zadzwoniło na ich potwierdzenie tak, że musiał nią potrząsnąć, żeby wszystko, co się tam kołatało, wróciło na swoje miejsce.

– Najważniejsze, że pan żyjesz. W pierwszej chwili ja się zestrachał, żeś pan trup.

Nie, Wojtek nie był trupem, jednak twierdzenie, że jest żywy, dalece odbiegało od prawdy. Te głośnie dźwięki w głowie – dudnienie, piszczenie, dzwonienie i jeszcze to pulsowanie okropne, jakby miejsce mózgu zajęło serce, które właśnie okrutnie się wystraszyło i wali jak szalone – wszystko to sprawiało, że czuł się bliski śmierci.

Przyłożył rękę do twarzy i siłą rozwarł powieki. Pochylał się nad nim jakiś mężczyzna, całkiem nieznajomy. W spojrzeniu wodnistych szarych oczu tyleż było ciekawości, co zmartwienia. Nie ulegało wątpliwości, że martwi się on o siebie, nie o leżącego.

Gdzie ja jestem? Kim jest ten człowiek?

– A wy to kto?

– Stróż. Wszyscy już poszli. Zamykać miałem, patrzę, między krzesłami coś leży. Ciało nie ciało. Zestrachałem się, myślę: trup. Na moje szczęście wy tylko pijani.

Pijany. To wszystko tłumaczy. Prawda, był pijany, bo pił dużo, tak dużo, że wpadł w tę czarną otchłań. Nie bardzo pamiętał, co się z nim działo. Jak znał życie, nie warto teraz sobie przypominać.

– Skoroś pan nie trup, to się zbieraj. Tu nie noclegownia. Ja tu muszę wszystko pozamykać. No, wstawaj pan, wstawaj.

Wstawaj, łatwo powiedzieć. We łbie kilo ołowiu, ciągnie ku podłodze, szyja się gnije, jakby z gumy była, rąk nie czuć, nogi jak cudze. Poczciwy stróż, widząc walkę Wojtka z własnym ciałem, pośpieszył z pomocą. Nie było łatwo, ale we dwóch jakoś dali radę.

– Jeszcze kaszkiet. – Tamten schylił się po nakrycie głowy, leżące pod stołem, podniósł, podał.

To nie moje, miał powiedzieć, bo w kraciastym kaszkiecie nie rozpoznał swojej własności, na szczęście w porę przypomniało mu się, że przecież zima, a jego własna czapka nie wiadomo gdzie jest i na kim. Miejsmy

nadzieję, że nie po jakimś wszarzu, pomyślał, poprawiając daszek tak, by nie zasłaniał widoku.

Udał, że nie widzi spojrzenia stróża, które wyraźnie mówiło, że tamten oczekuje za swoją pomoc jakiejś gratyfikacji. Jakbym tak każdemu dawał za to, że się ładnie uśmiechnie, tobym grosza przy duszy nie miał, powiedział mu w myśli Wojtek. Choć w zasadzie i tak nie mam. I roześmiał się szczerze ubawiony.

– Ot pijak durny – mruknął tamten i pchnął go w stronę wyjścia.

Nic nie otrzeźwia lepiej niż zimne powietrze. Wojtek od razu uświadomił sobie, że nie licząc kaszkietu, ma na sobie tylko portki, buty i koszulę. Odwrócił się w chwili, gdy stróż zamykał drzwi. Wsunął stopę między skrzydło a futrynę. Jeśli tamten zamknie od środka, wszystko przepadło.

– Marynarka moja gdzie?

– A bo to ja wiem?

– Już ty dobrze wiesz gdzie. Myślałeś sobie, że po kieszeniach pieniądze pochowane. Dawaj marynarkę! – huknął.

Tamten skurczył się w sobie.

– Ja jestem uczciwy człowiek. Mnie niepotrzebna ani wasza marynarka, ani wasze pieniądze.

– Uczciwy! – Wojtek splunął. – Gdybym ja dostawał złotówkę za każdym razem, kiedy spotykam „uczciwego” człowieka, toby mnie było stać Belweder sobie kupić.

I z całej siły napał na drzwi, które stróż próbował zamknąć. Siłowali się przez chwilę, tamten słabeuszem niebył. Nie wiedział jednak chłopina, że siła w rękach to nie wszystko. Sposób trzeba mieć. Koń, krowa, byk, a nawet durne ciele dużo więcej siły ma niż człowiek, a jednak ten jest w stanie silniejszego przeciwnika okiełznać. Wyuczone przez lata sztuczki, przekazywane z ojca na syna, dawały człowiekowi przewagę. Stróż pewnie miastowy, ot, parę bójek zaliczył, ale rozbuchanego konia nie łąpał i do obory nie prowadził. Najpierw trzeba cierpliwie poczekać, niech się zmęczy, później podpuścić, udać, że się ustępuje, na koniec użyć przeciw niemu jego własnej siły. No i Wojtek pan! Uniósł barki w górę, by je rozluźnić. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi. Tamten leżał na podłodze, nie bardzo świadom, co się właśnie wydarzyło.

– Drzwi odskoczyły – wyjaśnił Wojtek. – Nie trzeba było tak mocno ich ciągnąć. No, gdzie ta moja marynarka?

Stróż wskazał głową wewnątrz pomieszczenia.

Wojtek omijał stoliki, na których stały wspomnienia zeszłego wieczoru – kieliszki i flaszki po wódce. Kelnerzy, którzy uwijali się tu przez cały czas, zajmowali się głównie donoszeniem. Im kto bardziej pijany, tym więcej butelek wokół niego. Gdy kto wychodził, sprząтали kieliszki, ale nie nieśli ich dalej niż na sąsiedni stolik. Wszystko po to, by uwiarygodnić kosmiczne rachunki. Piłeś – płać, a jeśliś tak pijany, że nic nie pamiętasz, to możesz mieć pretensje tylko do siebie. Nie sprząтали od razu, gdyż zdarzało się rano, że jakaś żona czy matka przybiegała z płaczem, bo ostatni grosz przepity.

– Pamiętam szanownego pana, tam siedział, łaskawa pani będzie uprzejma spojrzeć.

I biedaczka nic już ani zrobić, ani powiedzieć nie mogła. Miała szczęście, jeśli jej dopłacać nie kazali, bo i tacy się zdarzali, normalna sprawa, knajpa to nie jest odpowiednie miejsce dla uczciwych ludzi.

Na szczęście Wojtek Dołęga uczciwy nie był.

W kantorku na tyłach znalazł swoją marynarkę. Puste kieszenie go nie zdziwiły, wiedział, że tak będzie. Zgrał się do czysta, parę drobniaków dzwoniło w kieszeni portek. A przecież przydałby się jakiś grosz. Stróż pewnie miał ukrytych parę złotych, zwędzonych innym pijanym. Zaczął myszkować.

– A ty czego tam szukasz? Marynarkę znalazłeś, to i zabieraj dupę w troki.

– Pieniądze w kieszeni miałem. Gdzie one teraz?

– Nie wiem.

– Tak samo nie wiesz, jakżeś nie wiedział, gdzie moja marynarka?

Tamten tylko wzruszył ramionami. Wojtek nic nie znalazł. Zaklął. Już miał wyjść, kiedy na wieszaku w kącie dostrzegł futro.

– Szubę biorę.

– To damska.

– Damska, męska, żadna różnica. Na dworze mróz.

Zdjął futro z haka i przyjrzał mu się uważnie. Jego właścicielka na pewno nie była drobną osobą, można zaryzykować stwierdzenie, że przez drzwi przechodziła bokiem. Nada się, żeby w nim dzisiejszy dzień przeczekać. Może trafi się na nie kupiec, da parę groszy, co pozwoli Wojtkowi odbić się od dna. Wczoraj nieźle szło, ale zaczął pić. Nie powinien, ale ucieszył się z wygranej i chciał to uczcić. Zbyt wiele radości, zbyt wiele wódki. Potem pił ze złości, potem... Nie wiadomo, co było potem. Straszliwy ból głowy

pozwała się domyślić, że jeszcze dużo pił, puste kieszenie, że próbował się odegrać. Nic to, łatwo przyszło, łatwo poszło. Dziś będzie się zachowywał rozsądniej.

Narzucił sobie futro na ramiona. Kaszkiet był zbyt duży, zsuwał mu się na oczy. Rozejrzał się za swoim albo jakimś innym, daremnie. Sprzeda go razem z futrem, a sobie kupi nowy.

Obmacał kieszenie marynarki. Tytoniu ani bibulek też nie było.

– Dasz zapalić? – zapytał stróża. Mężczyzna wzruszył ramionami. Widać było, że nie chce mieć z Wojtkiem nic wspólnego. – Nie bądź taki naduty, kolego. No normalnie jak ten indor, co go... – Już miał wspomnieć Pomiechowską i Tynczyn, ale ugryzł się w język. Wiadomość, kim i skąd jest Wojtek, nie była jego rozmówcy potrzebna. Nikomu nie jest potrzebna. – Zapomnij. Znajdzie się jakaś serdeczna dusza, co poratuje.

Minął stróża, zadzierając głowę, by dać do zrozumienia, że on, Wojtek, to jest ktoś, a tamten to tylko cham durny i złodziej.

– Co za czasy – mruknął, idąc zaśnieżoną ulicą. – Wszędzie złodzieje i oszuści. Babinie jakiejś futro zaiwanik. Też musiała nieźle się wstawić, skoro w taki mróz nie zauważyła.

Wyobraził sobie grubą damę, którą trzech, a może czterech mężczyzn do bryczki usadza, a ona przez ręce im się przelewa, obłapia, chce całować. Dziś dzień cały spędzi w zamknięciu, tłumacząc się migreną, dopiero jutro wyjść zechce. „Dajcie mi futro! Gdzie moje futro?“, będzie krzyczała, miotając się po korytarzu. Do tego czasu futro może czwarty, a nawet piąty raz zmienić właściciela. Na razie jednak grzało Wojtkowe plecy. Szkoda, że rękawy krótkie, bo w ramionach akuratne.

Trzeba sobie nocleg zorganizować, pomyślał. Pójdzie do Mietka. Równy z niego chłop, kawałka pryczy nie będzie koledze żałował. Pójdzie do Mietka, choć to kawał drogi, drugi kraniec miasta, zdaje się jednak, że tylko Mietek mu pozostał. Innym znajomkom winien był pieniądze i choć lubił ich, a oni jego, kwestia niespłaconych długów mogła wywołać pewien ferment, którego na trzeźwo znieść by nie mógł, cóż dopiero z tak olbrzymim kacem.

Śnieg przyjemnie skrzypiał pod nogami. Ludzie w domach wciąż jeszcze spali. Cicho było i spokojnie. Zatrzymał się na chwilę, wciągając w nozdrza nocne miejskie powietrze. Tu człowiek czuje, że żyje.

Przed pójściem do wojska Łaszczów znaczył dla Wojtka wielki świat. A to tylko zapyziały sztetl na krańcu ziemi, z kościółkiem, cerkiewką i bożnicą.

Nic, kompletnie nic tam się nie działo. Nuda i jójczenie Żydów, ot wszystko. W Hrubieszowie zobaczył świat inny, obszerniejszy jakby, nowocześniejszy. Zabawy, karty, wódka, panny. Człowiek czuł krew krążącą w żyłach. Potem wrócił do domu, a tam Natała marudząca, że babka, matka, że za robotę trzeba się brać, że pole, krowa. Na samo wspomnienie mdło mu się robiło. Poszedł parę razy do karczmy, ale ta prowincjonalność, ta ciemnota wieśniaków, z którymi przyszło mu pić, mierziła go okropnie. Wrócił więc do Hrubieszowa i siedział tam długo, w zasadzie do dziś by siedział, bo sentyment szczególny miał do tego miasteczka, gdyby nie pewne sprawy, które przyjęły nad wyraz niekorzystny obrót. A ponieważ zbyt wiele osób go tam znało, należało czym prędzej wyjechać.

Zamość zachwycił Wojtka jeszcze bardziej. Piękne kamienice wokół rynku, park, kościoły, nawet ogród zoologiczny – wszystko to sprawiało, że człowiek czuł się jak w wielkim świecie. Nocą życie tętniło jak krew w żyłach zakochanego uczniaka. Z okolicznych majątków przyjeżdżali tu znudzeni prowincją panowie, by z artystami, na których świat się nie poznał, pić i grać w karty. Wojtek świetnie się odnalazł w tym towarzystwie, bo wojsko dało mu na tyle ogłady, by z powodzeniem mógł udawać szlachcica z okolic Buczacza, wędrowca, którego los niespodziewanie rzucił w samo serce ordynacji.

– Matki nigdyśmy nie znali, ojciec zginął na wojnie, majątek pazerny brat zagabił, ot i cała moja smutna historia – mówił.

Gdy jakiś mężczyzna pytał o szczegóły, Wojtek machał ręką i proponował, żeby się napili, bo jest w wesołym nastroju i psuć go nie chce bolesnymi wspomnieniami. Jeśli pytała ładna kobieta, potrafił snuć smutną opowieść o grobie matki, na którym, gdy był pacholęciem, sadził kwiaty, o łzach w oczach ojca, idącego na wojnę, o bracie, który nie byłby taki zły, gdyby nie poślubił kobiety okrutnej i przebiegłej, o tułaczym życiu, braku zrozumienia, poszukiwaniu miłości do tej jednej jedynej, z którą można by iść przez świat, niczego się nie lękając.

Nie wiedzieć czemu większość kobiet uważała, że najlepszym wsparciem dla tak znękaney istoty ludzkiej będzie rozchylenie przed nią nóg. Nieliczne wpadały na to, że lepiej rozewrzeć portmonetkę.

W Zamościu spotkał rosyjskiego księcia Iwana Mikołajewicza Czarnobrewca z Primorskiego Kraju, arystokratę, który cudem uniknął śmierci w siedemnastym roku. Matka, widząc nadchodzących bolszewików,

ukryła dziecko w psiej budzie. Wcześniej powiedziała: „Dziesięć moich kroków od tej budy sobaczka zakopała swoju kosteczkę, jak się wszystko uspokoi, syneczku, odkopiesz ją i wszystko będzie jak dawniej”. Księżciu wiele lat zajęło, zanim zrozumiał, co miała na myśli. Ukryła nie tylko jego, ale i całą rodową bizuterię, będzie tego z dziesięć kilo klejnotów. Książę szykował wyprawę w głąb Związku Radzieckiego. Potrzebował tylko pieniędzy na fałszywe dokumenty i łapówki. Czarnobrewcowi towarzyszyło kilka osób, tworzących Komitet na rzecz Odzyskania Własności. Łożyły one na bieżące utrzymanie arystokraty w zamian za udział w skarbie. To był dobry interes – za kilka uregulowanych rachunków dostać później kilo złota. Tylko głupiec by się nie połaszczył. Wojtek od razu przyłączył się do książęcej kompanii.

– Pan szanowny rozumie – oświadczył któregoś wieczoru Iwan Mikołajewicz – że mamy tu pewne zasady. Wszyscy wysoko cenimy sobie pańskie towarzystwo, jednakowoż odnoszę wrażenie, że szanowny pan nie wpłacił wpisowego ani też nie uregulował składek członkowskich. Żywię do szanownego pana ciepłe, przyjacielskie, ba!, powiedziałbym nawet braterskie uczucia, nie mogę jednak pozwolić, by jednych z moich towarzyszy stawiać ponad innych. Jeśli szanowny pan nie ureguluje swoich zobowiązań, zmuszony będę prosić o opuszczenie naszego towarzystwa.

Wojtek objął go czule, po przyjacielsku.

– Wasza książęca mość ma rację, że my jak bracia, bo my taką samą psiochą karmieni. Tym tu durniom możesz, drogi książę, dyrdymały prawić, ale ja dobrze widzę, że ci z rosyjskich sapogów polska słoma wystaje. I wiesz, co mi się, bracie, widzi? Że ten cały komitet byłby bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, że sabaczka, która zakopała kosteczkę, istnieje tylko w twojej głowie.

Książę pobladł.

– Trzymaj jęzor za zębami, bo inaczej...

– I to właśnie takie was, arystokratów, podejście spowodowało wybuch rewolucji i śmierć mateczki Rosji. Nie mieliście szacunku dla tych, co pod wami. Groziliście, bili, krzywdzili. Tak nie można, proszę ja księcia. Trzeba miłym być. Groszem się podzielić z potrzebującym. Mnie dużo nie trzeba, ja na pańskie złoto nie łasy. Tysiąc złotych wystarczy.

– Tysiąc? Czyś ty oszalał? Nie mam tysiąca.

– Wcale nie twierdę, że książę ma. Ale na pewno znajdzie się ktoś, kto

wspomoże.

– Jutro.

– Jutro to księżę może, za przeproszeniem, pocałować swoją arystokratyczną żonę. Dziś, teraz, zaraz, bo jako człowiek uczciwy, podzielę się swoimi wątpliwościami z policją.

Księżę uśmiechnął się uprzejmie, poprosił o chwilę cierpliwości i poszedł porozmawiać ze swoim sekretarzem. Godzinę później Wojtek był bogatszy o tysiąc złotych. Nazajutrz księżę zniknął. Pytani o niego członkowie komitetu wyznali z okrutnym żalem, że został wytropiony przez bolszewickich szpiegów. Próbował ich przekupić, ale widocznie kwota pięciu tysięcy okazała się zbyt mała.

– Zaciukały go te bolszewickie sukinsyny. Szkoda księciunia, szkoda – westchnął Wojtek, a smutek w tym westchnieniu był autentyczny, bo jakże się nie smucić, gdy człowiek się dowiaduje, że zażądał marnego tysiąca, a mógł wziąć dwa albo trzy.

Te wspomnienia wywołały kolejne głębokie westchnienie, bo po pieniądzach, tak jak i po księciu, znaku już nie było.

Jednak dzięki temu, że myśli miał zajęte, nawet nie zauważył, gdy dotarł pod drzwi Mietka. Zapukał. Nic, ale to go nie dziwiło, uczciwi ludzie o tej porze jeszcze spali. Zapukał drugi i trzeci raz. Wreszcie coś zaszurało gdzieś w głębi.

– Kto tam?

– To ja.

– Kto ja?

– Wojtek.

Zamiast zgrzytnięcia zamka usłyszał wulgarną poradę, żeby sobie poszedł.

– Co ty, Mieczysław? Wpuść, przespać się muszę.

– Choćby mi płacili, nie wpuszczę.

– Co też ty mówisz, przyjacielu?

– Ty się módl, żebym ja do ciebie nie wyszedł, przyjacielu! Przyjacielu! Ty do mojej kobity...

Rzeczywiście! Wojtek zupełnie o tym zapomniał. Czy wyjaśnienie Mietkowi, że to się zupełnie nie liczy, bo oboje byli pijani, może poprawić nastawienie tamtego? Warto spróbować.

– Posłuchaj, Mieczysław. Wiesz, że ja twoją żonę bardzo szanuję i na trzeźwo...

– Paszoł won, bo policję zawołam. A wierz mi, jest w mieście kilku, którzy chętnie zobaczą cię za kratkami.

– Idę już, idę – mruknął Wojtek.

Głupia baba, że też jej się na szczerłość zebrało. Pewnie poszła do spowiedzi i ksiądz jej kazał wyznać grzech również mężowi. Jaki grzech? Pijani byli. Wojtek ledwo co pamiętał. I nie było czego pamiętać. Nawet mu się szkoda Mietka zrobiło, że z taką kłodą musi się męczyć.

– I co ja teraz zrobię?

Pytanie to nie dotyczyło tylko kwestii noclegu. Nie miał pieniędzy, nie miał też nikogo, kto udzieliłby mu pomocy. No i Mietek miał rację, mówiąc, że jest kilku takich, co chętnie wpakowaliby Wojtka do czumy, bo świadomi, że nie odzyskają pieniędzy, chcieli choć poczuć słodki smak zemsty.

Tak mi się widzi, monologował w myślach, że trzeba mnie, na wzór księcia, wydać się w ręce bolszewickich siepaczy. Zniknąć na trochę, odpocząć, wyspać się porządnie, trochę grosza skombinować i dopiero wtedy ruszyć w świat. Cóż taki Zamość? Prowincjonalna dziura. Wyżej trzeba mierzyć – Lwów, Kraków, Warszawa, oto miejsca dla mnie. I to nie jako wydziedziczonego szlachcica. Trzeba wziąć przykład z Czarnobrewca i zostać księciem. Albo i królewiczem. Poprawił futro tak, by spływało mu z ramion jak królewski płaszcz.

Postanowił wrócić do domu. Babcia z siostrą zadbają o niego. Kochana słodka Natałka. Z rozrzewnieniem pomyślał o siostrze. Jakaż z niej dobra dziewczyna, taka serdeczna i szczerą. Nie można przemilczeć tego, jak dobrze sobie radzi z gospodarstwem. Dobrze mi będzie w domu, pomyślał.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że zostawi sobie futro. Gdyby je teraz spieniężył, to i tak musiałby kupić sobie jakąś kapotę na grzbiet, zima to nie przelewki. W domu znajdzie się kabat po ojcu czy dziadku i to na początek wystarczy. Na coś lepszego weźmie pieniądze od Natali, a futro przed samym wyjazdem sprzeda. Może nawet lepiej na tym wyjdzie. Łaszczowiecki Żyd nieczęsto ma do czynienia z takim towarem, chętnie weźmie i da więcej niż taki zamojski, który nie takie futra widywał.

Wojtek doszedł do rogatek. Poranny ruch dopiero się zaczynał. Suszyło go, głowa bolała, mięśnie zachowywały się tak, jakby je odlano z żelaza. Marzył o śnie, ciepłej izbie, a przede wszystkim o kieliszku gorzałki, który uczyniłby życie znośniejszym. Zamiast tego musiał wędrować taki szmat drogi.

Zadzwończył za nim dzwoneczki. Odwrócił się. Ciągnięte przez bułaną

klaczkę sanie wolno sunęły po gościńcu.

– Niech będzie pochwalony! – zawołał wesoło, bo szczerze się ucieszył, że to zwykły chłop. Żyd za podwodę kazałby sobie płacić, bez pieniędzy by nie wziął, batem by zdzielił. – A dokąd to Bóg prowadzi?

– Do Łabuń.

– Święty Krzysztof mi was nadał. Ja na Tyszowce wędruję. Da radę zabrać się z wami kawałeczek?

Tamten spojrział podejrzliwie.

– Ja taki sam chłop jak i wy. Na robocie byłem. I tak mi pany wypłacili, że bez grosza wędruję. Jedna dobra dusza futro mi pożyczyła, bym w lichym przyodziewku nie zamarzł. – I rozchylił poły, by pokazać, że jest tak, jak mówi.

– A bo ja tam wiem... – mruknął chłop. Przekonany nie był, ale i konia nie gonił. Jechał spokojnie tuż obok Wojtka.

– Zlitujcie, się gospodarzu. Zgodził mnie do roboty jeden taki, co miał być rosyjskim księciem. Że niby za lokaja mam u niego być. Dobre pieniądze obiecywał, tom się połasił, bo u nas w chałupie bieda. Tamten oszust był. „Daj zadatek na liberię, bo trzeba obstałować, przy pierwszej wypłacie oddam, daj na buty, daj na koszulę”. Zanim się zorientowałem, bez grosza byłem.

– Tak całkiem bez grosza to chyba nie. Toż czuję, żeście pili.

– A co mi zostało? Z desperacji.

Chłop wskazał ręką tył sań. Wojtek wskoczył i od razu tego pożałował. Jego głowa nie była w formie na takie fanaberie.

– Jak się piszecie? – zapytał chłop.

– Franek Bulicz. Z Małoniża. Zwią mnie tam Polaczek. Czworo nas w domu, trzech chłopów i siostra. Jak będziecie w naszych stronach, możecie o mnie pytać.

– Ja jestem Maciej Łoza z Łabuń.

Wojtek miał nadzieję, że jeśli kiedy trafi do tych Łabuń, będzie pamiętał, by nie przedstawiać się prawdziwym nazwiskiem. Najlepiej jednak by było, żeby go tam los nie rzucał.

Nie rozmawiali wiele, ot, zwyczajnie, jak obcy ludzie, o polityce, reformie rolnej, takiej samej jak to carskie uwłaszczenie, co to niby jest, a nie ma, obiecane, a niewykonane. Trochę o Witosie, bo szkoda go, on jeden z chłopami trzymał. I tak droga minęła. Pożegnali się uprzejmie i każdy

ruszył w swoją stronę.

Wojtek nie miał szczęścia, bo kolejna okazja trafiła mu się dopiero w Komarowie. Chociaż może nie było to aż takie nieszczęście, skoro dojechał z chłopem aż do Mikulina. Stamtąd już droga prosta, byle przez rzekę, po łąkach, do tynczyńskiego gościńca.

Mróz odpuścił na tyle, że człowiek się nie telepał, nie myślał tylko o tym, by się w chałupie schować, a mógł cieszyć się wędrowaniem i tym światem dookoła, który w żadnej porze roku nie był tak piękny jak zimą. Rozglądasz się wokół i myślisz: Bajka to, takie cuda nie są możliwe w prawdziwym świecie. Jakże to, by tak bielusieńko było aż po sam horyzont, by na najcieńszym ździebełku trawy wisiały takie fikuśne kwiateczki z kryształków, i jeszcze żeby to wszystko mieniło się w promieniach słońca jak najdroższe klejnoty? Być to nie może. Taki cud nie ma prawa współistnieć obok przyzmu gnoju, krów obsranych po uszy i kóz śmierdzących, obok lichych chat, gdzie głód i śmierć mieszkają. Nie, być to nie może.

Śnieg z nieba spada równo, jednak wiatr psotnik znieść tego nie może. Rozwiewa biały puch na wszystkie strony, tu wyżej, tam niżej, tworzy kopy wokół krzaków, czasem z drogi zmiecie, czasem ją przykryje. Gdy mróz to widzi, ścina wierzchnią warstwę śniegu w podobną do lodu na rzece pokrywą. Dobrze po niej iść, do czasu. Tam, gdzie cieńsza, pęknie, a ty się zapadasz. W jednym miejscu po kostki, w innym po pachwiny. Przejście dziesięciu sążni męczy bardziej niż wiosną dziesięciu wiorst. Niby śnieg suchy, ale przez moment, a portki od niego tak mokre, że można wyżymać. I ciężkie, nie tylko one, każda część odzienia, jaką masz na sobie, cięży. Najchętniej byś, człeku, zrzucił to wszystko z siebie, bo pot już się leje po plecach, zdajesz sobie jednak sprawę, jak głupie by to było. Bo to przecież zimno, mróz, są chwile, gdy powietrze stoi nieruchomo, a są takie, że wiatr się zrywa. Wystarczyłby tylko jeden oddech mroźnego wiatru na plecach, a już po tobie.

Wojtek rozglądał się uważnie i w końcu dostrzegł to, czego szukał. Wydeptaną ścieżkę, którą w niezbyt mroźne dni chłopci z Tynczyna chodzili nad Huczwę, by ryby łapać. Chciał sobie drogę skrócić, przez wujowe pole w poprzek przejść, ale z zamarzniętych grud stopy się ześlizgiwały, trudno było utrzymać równowagę. Jeszcze nogę złamie i skończy jak Józek Połaj. Wrócił więc na ścieżkę i doszedł nią do wsi. Akurat zdążył, bo już zaczynało się ściemniać.

Koniec grudnia i styczeń były czasem szczególnym, święta ciągnęły się w nieskończoność, bo ledwo się kończyły u katolików, to zaczynały u unitów i prawosławnych. Radość wypełniała powietrze i odnosiło się wrażenie, że wystarczy rękę podnieść, by ją chwycić. Jedzono do syta, nawet jeśli były to golce, zawijasy czy pierogi z sakówką. Wesoło śpiewano kolędy, urządzano tańce, zapominano o zimnie, głodzie, nędzy i śmierci. Przyjdzie na to czas w poście, gdy zima, która w lutym zdaje się nie mieć końca, zbierze swoje żniwo spośród tych najstarszych, najmłodszych i najsłabszych.

W chałupie, którą właśnie mijał, zakwiliły skrzypeczki, otworzyły się drzwi, rozległy się śmiechy i trzy dziewczyny wybiegły na gościniec, wprost na Wojtka.

– Oj! – krzyknęła jedna z nich i rzuciła się do ucieczki. Wpadła na towarzyszkę, młyn się zrobił, bo przecież na gościńcu ciemno choć oko wykol.

– Spokojnie, panienki. Ja swój. Wojtek Dołęga się kłania.

Okrzyki przerażenia zmieniły się w śmiech.

– Toście nas przestraszyli. Ładnie to tak pod oknami się zakradać?

– Co też mówicie? Zakradać się? Nigdy. Idę sobie spokojnie, a tu napadają na mnie trzy panienki. Myślę sobie, nic, tylko pobić chcą.

– Mnie się zdawało, że zwierz na nas wyskoczył. A to wy, w futro przebrani, jakbyście z kozą zamierzali chodzić.

– To piękne futro. Jedna dama mnie nim obdarowała, gdy mi złodzieje kabat ukradli. Teraz w ciemności nie widać jego urody, ale zobaczyłybyście w dzień. Oczy by wam się do niego śmiały.

Komuś dzień nie był potrzebny. Wojtek czuł rączkę, która delikatnie pogładziła rękaw.

– To nie to, co owczy kozuch – z rozmarzeniem powiedziała właścicielka ręki.

– Srebrne lisy. Dużo ładniejsze, a równie ciepłe. Przyjdźcie w dzień, to zobaczycie.

Nie wiedział, kim są dziewczęta, w ciemności nie mógł ich rozpoznać. Może jednak któraś z nich z domu bogata, na futro się złakomi, ojców do kupna przekona. Będą potem gadać we wsi, że z Dołęgi zrobił się Żyd, ale kogo to obchodzi. Ludzkiego gadania nie da się spieniężyć, a to znaczy, że warte mniej niż gówno, bo choć i gówna nie da się spieniężyć, to można je na pole rzucić i dzięki temu jest jakiś pożytek, a z ludzkiego gadania pożytku

żadnego nie ma.

Pożegnał się grzecznie i do swojej chałupy ruszył. Drzwi były zamknięte.

– Natała, to ja, Wojtek. Otwórz. – Z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos. – Otwieraj, bo zimno.

Cisza. Gdyby nie to, że drzwi zamknięto od środka, pomyślałby, że gdzieś poszła.

– Otwórz. Toż to ja, twój brat, żaden złodziej. Wiem, żeś w chałupie. Otwórz. Poszedłbym do babki, ale przecież mnie nie wpuści.

Mógłby spróbować, ale dobrze wiedział, że tylko pożar był w stanie sprawić, by babka Hubowa nocą wystawiła nos spod pierzyny. „Przemarznęte nogi i głowa to prosta droga do choroby”, mówiła. Prośenie nic by nie dało, uparta była, a na swoje zdrowie wyjątkowo uważała. Setki dożyje jak nic, myślał Wojtek.

Wreszcie pod drzwiami zaszurało. Na progu stanęła Natała w rozchełstanej bluzce i ze zmierzwionymi włosami.

– Spałam – wyjaśniła.

– Już spałaś? – zdziwił się.

– Ano spałam. Zmęczonam była. Jakbym wiedziała, że jaśnie pan się zjawi, tobym poczekała z rąbaniem drewna. Babka narzekają, że im zimno. Wszystko na mojej głowie. Będziesz co jadł?

To pytanie uświadomiło mu, że od wczoraj nic w ustach nie miał, a to, czym się raczył, było w większości płynne.

– Jest kapuśniak z kielbasą i ziemniaki. Zaraz ci podgrzeję.

Podeszła do kuchni. Przygotowała rozpałkę, później z wprawą podzieliła zapałkę na czworo. Wojtek nie widział w mieście ludzi, którzy by tak robili. Pewnie byli i tacy, oszczędni, ale on wśród tamtych się nie obracał.

Anemiczny płomyczek zachybotał na końcówce drewnienka, wydawało się, że za moment padnie z głodu, ale wprawna gospodyni już mu podawała słomę, listek, suchą gałązkę. Długo nie trwało, a pod blachą wesoło buzował ogień.

– Przysuń się do pieca, boś pewnie przemarzł. A cóż ty masz na sobie?

– Futro.

– Futro? – powtórzyła ze śmiechem. – A skąd ty je masz?

– Długo by opowiadać.

– Ale nie kradzione?

– Kradzione? Skądże znowu! Pożyczone. Żeby mnie od chłodu broniło.

Natala podparła się pod boki i przekrzywiła głowę. Była w tej pozie bardzo podobna do ich matki.

– Powiedz mi, Wojtek, ale tak szczerze, co ty w tym mieście robisz?

Gram w karty, piję, bałamucę panny, mężatki i wdowy.

– W tartaku pracuję.

– W tartaku. A to nie lepiej we własnym gospodarstwie na siebie robić?

– Kiedy ja wolę między ludźmi.

– A tu między kim jesteś, bo przecie nie między wilkami?

– Tu wszyscy znajomi.

– To tobie lepiej między obcymi niż pośród swoich?

– Nie lepiej, inaczej.

Westchnęła. Zdjęła z półki dwie gliniane miski i wypełniła je ziemniakami. Polała to kapuśniakiem. Na koniec zdjęła z haczyka pęto kiełbasy i przekroiwszy, położyła na zupie.

– Od wujenki wyroby. Dała nam kiełbasy, słoniny, boczku i pół szynki. Trzeba będzie jej oddać, jak my wieprzka zaszlachtujemy.

Wojtek nie wiedział nawet, że mają wieprzka, o bliskim jego końcu nie wspominając.

– Ja bym wolała po zniwach oddać, do tego czasu prosięta z jesieni porosną, a tego sprzedać, bo wyjątkowo dorodny i sporo grosza się za niego weźmie.

– To sprzedaj – poradził szczerze, myśląc o pieniądzach, które siostra dostanie.

– Babka się upierają. Mówią, że ich koniec bliski i chcą się jeszcze najeść do syta.

– To już jej nie podpira pod piersiami?

– Podpira. W kiszkach ją źmie, serce zbyt mocno wali, w płucach świszczce. Co nie przeszkadza jej jeść tyle, że chłop po całym dniu orki nie dałby rady.

Wojtek spojrział na miski. W obu było tyle samo jedzenia. Widać Natala wdała się w babkę, bo porcje były spore.

– Teraz to już zostaniesz? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Zostałbyś. Źle nam nie będzie. Zgodnie będziemy gospodarzyć. Ciężko mi samej.

W jej głosie było tyle smutku, że Wojtka aż za gardło ścisnęło.

– Zostanę, Natalia, zostanę.

Uśmiechała się, podając mu jedzenie.

– Pościel czysta. – Wskazała na łóżko, zaścielone kapą. – Położysz się, kiedy będziesz chciał.

Wzięła miskę i poszła do swojej izby. Słyszał trzask opuszczanej zaszczepki, później stukanie łyżki o miskę, a na koniec szept. Pewnie się modli, pomyślał. Za moją duszę się modli.

Zmęczenie wędrownką szybko dało o sobie znać. Zdrożony, przemarznięty, ledwo zjadł, a już sen zaczął go morzyć. Ledwo głowę do poduszki przyłożył, a już spał.

W środku nocy wydało mu się, że słyszy kroki. Jakby ktoś szedł przez izbę. Chciał się obudzić, sprawdzić, czy to Natalia, ale nie dał rady, sen zbyt mocno trzymał go w objęciach. Ledwo się przecknął, a już na powrót spał.

Gdy się w końcu obudził, ranek odszedł już w przeszłość. W izbie było jasno i ciepło. Pachniało kaszą i smażoną cebulą. Natali nigdzie nie dostrzegł.

Wstał i podszedł do stojącego w kącie matczynego kufra. Powinna była go ze sobą wziąć, pomyślał, toż to z jej posagu. Przygryzł wargę, żeby nawet w myśli nie wypowiedzieć tego paskudnego słowa, bo korciło go, by nim matkę nazwać. Miał do niej żal, ogromny żal. Ojca rozumiał, sam by do Ameryki popłynął, kto wie, może nawet to zrobi, jeśli szczęście się do niego uśmiechnie i wpadnie do kieszeni tyle grosza, by na podróż starczyło. Miał też swoje własne zdanie na temat tego, co się z ojcem stało. Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn. Ciągoty do kart nie odziedziczył przecież po Teofili Lipczewskiej. Dziadek Hub lubił gorzałkę, a matka amory, ale kart żadne z nich nie lubiło. Stąd prosty wniosek, że tę słabość Wojtek dostał po tacie. Jeśli tamten w Ameryce przegrał więcej, niż zarobił, to nic dziwnego, że wracać nie chciał. Jakże ja to rozumiem, myślał, rozgrzeszając ojca. Matce ani rozgrzeszenia, ani wybaczenia dawać nie myślał. Porzuciła ich... Co za matka tak własne dzieci zostawia? I znów musiał zagryźć wargi.

W kufrze znalazł swoje stare koszule, jakieś portki, nawet nie bardzo połatane, i serdak, na pewno ojcowy, bo na niego zbyt ciasny. W izbie nie było lustro, w którym mógłby się przejrzeć, zdawał sobie jednak sprawę, że wygląda jak chłop. I to chłop ze wsi zabitej dechami, do której wiadomości ze świata nie przychodzą. Bo kto nowocześniejszy, ten, przynajmniej od święta, wkładał ubrania na miastową modę – kamizelki i marynarki.

– Trudno, wszak nie szata zdoła ozdobi człowieka – powiedział do siebie

ze śmiechem.

Skrzypnęły drzwi.

– I jakże ci się widzę? – zapytał, pewien, że to Natała.

W drzwiach stała dziewczyna, piękna jak lilia. Patrzyła na niego wielkimi szarymi oczyma, okolonymi rzęsami tak długimi i czarnymi, że w całym swym życiu drugich takich nie widział, a po wyrazie jej twarzyczki widać było, że nieznajoma nie wie, czy śmiać się, czy uciekać.

– Przepraszam panienkę – powiedział czym prędzej, pełen obaw, że spłoszona czmychnie. – Myślałem, że to moja siostra.

Odetchnęła z ulgą i zrobiła krok ku środkowi izby. Wojtek nie mógł oczu od niej oderwać. Wysoka była, wiotka, jakby jej ciało ktoś utkał z wiatru.

– Cóż cię, nieziemska istoto, sprowadza do mojej lichej chaty?

– Mówiliście, żeby przyjść.

– Mówiłem? A kiedyż to?

– Wczoraj.

W pierwszej chwili pomyślał o Zamościu, o tym, że mógł ją tam spotkać, dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to niemożliwe. Wróciło wspomnienie gościńca i panien spotkanych wieczorem.

– Futro!

– Futro – potwierdziła.

Przy zapiecku, przywiązany do krokwi zwisał kołek drewniany, na którym wieszano kapoty. Poprzedniego wieczoru Wojtek rzucił na niego futro, by dobrze wyschło. Sięgnął po nie teraz. Przez chwilę przyglądał się uważnie, bo sam też pierwszy raz miał okazję to zrobić. Gdy je brał, był pijany, później bardziej zajęty wędrówką niż swoim odzieniem. Nie dziwota, że stróż patrzył na niego, jakby chciał zabić, futro porządne, sporo warte, pomyślał. Gdyby odkryli, że tamten je ukradł, to jak nic wyleciałby z roboty, co stawiało uczynek Wojtka w lepszym świetle, jako przysługę, nie wyłudzenie.

Podał futro dziewczynie, a ta omal go nie upuściła. Rozbawiło ją to, a słodki uśmiech sprawił, że jej twarz była jeszcze piękniejsza.

– Jest takie gładkie.

– Przymierz.

– Ale jakże tak?

Podszedł do niej, pomógł zdjąć półkożuszek, który miała na sobie, i przytrzymał futro. Przez chwilę była tak blisko, że czuł woń rumianku, którym pachniały jej włosy. Odsunął się, bo pokusa, by zatopić w nich twarz,

była zbyt wielka.

Nie mógł uwierzyć w przemianę, która nagle nastąpiła. Dziewczyna była piękna, gdy wchodziła do izby. Teraz jednak stała się zachwycająca. Wyglądała jak dama, dziedziczka, hrabina.

– Jesteś, dziewczyno, najpiękniejsza ze wszystkiego, co w życiu widziałem. Mógłbym na ciebie patrzeć do końca świata.

Rumieniec zaróżowił jej policzki. Z ociąganiem zaczęła zsuwać z siebie futro. Wojtek poczuł dreszcz, bo pomyślał, że panna chce mu się oddać. Dopiero po chwili dotarło do niego, że po prostu zdejmuje nie swoje okrycie.

– Nie. Zatrzymaj je.

– Mówiliście, że pożyczone.

– Raczej podarowane. Osoba, od której je dostałem, nie liczy na zwrot, to pewne.

– Ja nie mogę...

– Nalegam. Na cóż mi damskie futro?

Roześmiała się perliście.

– Macie siostrę.

– Nie chce go, już pytałem.

Widać było po niej, jak bardzo pragnie futra.

– Zróbcie mi przysługę, zabierzcie je ode mnie. Będę wam wdzięczny. Ilekroć na nie spojrzę, przypomni mi się, żem z Zamościa w nim wędrował, i wstyd mi będzie. Taki zacny kawaler jak ja, a w kobiecym okryciu. Wstyd, wstyd, wstyd.

Skinęła głową.

– Nic za nie nie chcecie?

– Nic, zupełnie nic. Darmo dostałem, darmo daję. Powiedzcie mi tylko, jak wam na imię. Żebym wiedział, kto mnie wybronił.

– Wietka... – chrząknęła i poprawiła się: – Elżbieta Mazurówna.

Rozdział czternasty



W tradycji wiejskiej właściwości ziół były ogólnie znane i stanowiły element edukacji każdej gospodyni i gospodarza. W czasach, gdy dostęp do opieki medycznej był ograniczony, a weterynaryjnej w ogóle nie było, zioła ratowały zdrowie i życie tak ludziom, jak i zwierzętom. Mimo nawału prac gospodynie znajdowały czas, by zebrać i wysuszyć zioła. Ich pęczki mocowano do belek w spiżarni, niektórzy wieszali je w izbach. Jednym z najpopularniejszych był szczaw lancetowaty, zwany końskim lub kobylakiem ze względu na to, że powszechnie leczono nim konie. Używano go też do przemywania ran i przy wszelkiego rodzaju chorobach skóry, ze względu na działanie przeciwzapalne i ściągające. Innym popularnym ziołem była macierzanka, odstraszająca insekty. Dodawano jej do siana, którym wypychano sienniki, układano w psich budach przeciw pchłom. Malinowe patyczki stanowiły główny składnik naparu, pijanego zimą, bo chińska herbata była droga i mało popularna. Mięty używano jako lekarstwa i przyprawy, podobnie kminku czy lebidki. Suszono również rumianek, cykorię, szalwię, dziurawiec, krwawnik czy pokrzywę. Z punktu widzenia wiejskiej kuchni najistotniejsze były wszystkie te, które poprawiały smak potraw i trawienie, bo potrawy robione z przechowywanych miesiącami produktów, gotowane na kuchniach, do których często brakowało porządnego opału, nie wpływały dobrze na układ pokarmowy. Do potraw z białym serem sypano miętę, do mięs kminek, lebidkę czy kulki jałowca. Chętnie sięgano po cząber, lubczyk, kolendrę czy gorczycę.

Zioła nie tylko zbierano, niektóre, niewystępujące u nas naturalnie, siano w ogrodach.

Maj 1931

Bronka stanęła na progu domu. Każdego ranka, gdy wracała z obory, zatrzymywała się na progu i pozwalała, by uczucie wielkiej radości i dumy

ponownie ją napełniło. To jej dom. Nie chałupa krewnych z Pawłówki, nie służbówka we dworze ani dom teściów, tylko miejsce, w którym ona była gospodynią, a jej mąż, jej Jaśko, gospodarzem. Po raz pierwszy w życiu miała swój własny dom.

Wciąż czuła w czubkach palców tamto wynikające ze zniecierpliwienia mrowienie, gdy mówili o chałupie. Bronka pamiętała każdą rozmowę, każdy krok na drodze, która zaprowadziła ją na próg tej cudownej, pachnącej nowością chaty.

Zaczął się od tego, że matka sprzeciwiła się wspólnemu mieszkaniu Bronki z teściami.

– Na każdym kroku będą ci na ręce patrzeć i za wszystko krytykować, wspomnisz moje słowa – powtarzała wciąż i wciąż.

– Antoszka nie narzeka, lubi Teofilę.

– Antoszka jest głupia. Czy ty naprawdę nie widzisz, jak jesteś różna od tych ludzi? Wiesz, co wróble robią z kanarkiem, który z klatki ucieknie? Zadziobują go. Jaki jest tego powód? Jedynie kolor piórek. Ty jesteś jak ten kanarek, co na siłę pcha się między wróble.

Nie było na to odpowiedzi. Bronka mogła przekonywać, że wszyscy są dla niej dobrzy, mili, troskliwi, że Jaśko jest przez rodziców i rodzeństwo kochany, lubią go i szanują. Mogła bez końca zapewniać, że Lipczewscy to dobrzy ludzie i rodzina, jakich mało.

– Chcesz iść za Jaśka, idź. Nie będę ci na drodze stawać, żebyś mi później w życiu nie zarzuciła, żeś przeze mnie nieszczęśliwa. Przyjrzyj im się. Zwłaszcza zaś Antoszce. Teraz dobra, ale jak zamieszkas z nią pod jednym dachem, to da ci popalić. Wszystkich będzie przeciw tobie buntować.

– Jaśka nie zbuntuje.

– Może i nie, ale wszystkich was skłóci i tyle z tego będzie.

– To co mam zrobić?

– Na swoje iść. Dam ci pieniądze.

– A nie lepiej za to kawałek pola kupić? Albo oborę pobudować?

– Niech Lipczewscy pole Jaśkowi dają.

– Przecież dadzą, ale z pieniędzmi...

– Na dom dam i więcej o tym nie mówmy.

Po czymś takim Bronka nawet głośniej odetchnąć przy matce nie śmiała, cóż dopiero powiedzieć, że przecież tamta zaczęła rozmowę.

Przy zaręczynach ustalono, że Lipczewscy dadzą Jaśkowi nie tylko pole,

ale i kawałek osiedla, by miał gdzie swój dom postawić. Pierwotnie chcieli podzielić podwórkę na Podpolu, bo to przeszło dwie morgi. Jednak matka Bronki nie była zachwycona tym pomysłem.

– Nie dość, że z teściami, to jeszcze ze szwagrostwem na jednym podwórku... – Wzdychała teatralnie, by podkreślić, że wyobraźni rozmówców pozostawia wymyślenie, co też w takiej sytuacji dzieć się może.

– To na ostrowiu? Mieszkają tam Skorupskie, ciotka Julka, Edziu Linart się pobudował niedawno. Dobrze to miejsce dla młodych. Mamy tam trzy morgi po babce Lipczewskiej – zaproponowała Teofila.

Jaśko nie bardzo chciał, uważał, że to pole gównem warte, bo podmaka.

– Jak macie dać mi pole, to jakieś lepsze dajcie.

– Toż nie na pole, ale na osiedle – tłumaczyła Teofila.

– Wy myślicie, że ja pałac będę budował i parkiem się otaczał? Morga na podwórkę wystarczy, mniejsze bywają. A co mnie i Bronce przyjdzie z pola, na którym wymaka?

Wreszcie ustalono, że dostaną i ostrów, i taki sam kawałek pola, jaki wzięły pozostałe dzieci, co wydawało się satysfakcjonujące dla wszystkich. Bronce, szczerze powiedziawszy, było obojętne, jak ta sprawa zostanie zakończona. Liczyło się tylko to, by być razem z Jaśkiem. Gdyby miała z nim zamieszkać w ziemiance, to nie wahałaby się ani chwili i poszłaby do ziemianki.

– Jeszcze ci ten huncwot wyjdzie bokiem, wspomnisz moje słowa – przestrzegła matka.

Bronka zrozumieć tego nie mogła. Patrzą na tego samego człowieka, a tak różnie go widzą. Dlaczego? Przecież to nie tylko kwestia zakochania. Bronka nie była ani głupia, ani zaślepiona miłością. Dostrzegała wady Jaśka. Był uparty, czasem aż za bardzo. Czasem byle drobiazg potrafił wywołać w nim ogromną złość, czasem odwrotnie – choć był powód, Jasiek zachowywał się spokojnie, wręcz apatycznie. Nie potrafił rozmawiać z Teofilą i wydawało się, jakby miał do niej żal. To Bronkę dziwiło, bo choć sama ostatnio napotykała przeszkody w szczerzej, otwartej rozmowie z własną matką, to nie żywiła do niej najmniejszej urazy. Widziała cały ogrom poświęcenia, miłości i troski, których doświadczała z Włodziem, i mogła czuć do mamy jedynie wdzięczność.

Wreszcie odważyła się zapytać Jaśka o przyczynę tego żalu. Zaprowadził ją wtedy pod karczmę, długi, stojący bokiem do drogi budynek, oparty o ścianę drzew. Płynął za nim potoczek, w którym wiejscy chłopcy łowili ryby i raki.

Na drugim brzegu Lipczewscy mieli pole, gdzie uprawiali kapustę i soczewicę. Teofila nazywała je ogrodem. Tuż obok karczmy stała wiejska szkoła.

– Kiedyś to wszystko było nasze – powiedział Jaśko. – My byli bogaci.

– Wciąż jesteście.

– Nie tak jak kiedyś, przed wojną. Wszystko przez mamę. Lubiła karty, piła, balowała. Mną wcale się nie zajmowała. Pojechali do Rosji, żeby się odkuć, a zamiast pieniędzy przywieźli Antoszkę. Teraz Julian jest nieszczęśliwy, bo wcale jej nie kocha.

Bronka mocniej ścisnęła narzeczonego za rękę.

– Mamy siebie, to największe bogactwo – powiedziała.

Jednak zanim usłyszała odpowiedź, że owszem, największe, przez chwilę czuła, jakby Jaśko, jej Jaśko, bardziej żałował tego, co straciła rodzina, niż cieszył się z tego, co znalazł w Bronce.

Te wszystkie ustalenia, co młodzi dostaną i od kogo, obdzierały czas narzeczeństwa z całej jego słodyczy. Bronka odnosiła wrażenie, że jest jedyną osobą, dla której kwestie praktyczne nie mają znaczenia. Nawet Broneczek, ten słodki chłopczyk, syn Juliana, na wieść, że podwórze dziadków nie zostanie podzielone, bardzo się ucieszył.

– Myślałem sobie sad posadzić, Bronko – tłumaczył. – Sporo mi babcia dali, bo mnie lubią, a ja nie tracę. Parę groszy od chrzestnego wpadło, bo on bogaty, choć tatko mówią, że nic mu z tego bogactwa nie przyjdzie, jeśli jeszcze z raz się ożeni. On już dwa razy był żonaty. A najwięcej tom sam zarobił, bo do dworu na robotę chodziłem. Teraz drzewka kupię i sad założę, ule postawię. Jakbyście się tu budowali, to nie miałbym gdzie tych drzew sadzić.

Może dlatego podczas wesela Bronkę ogarnęła przede wszystkim ulga. Nie będzie już więcej rozmów o tym, ile da mama, ile Lipczewscy, co się komu należy, co nie, czy to mało, czy dużo. Teraz już będzie tylko ona i Jaśko. No nie tylko. W chałupie Lipczewskich mieszkali jeszcze Kazimierz z Teofilą, Antoszka z Julianem oraz Broneczek i Janeczka. Niemożliwością było znalezienie chwili, którą Bronka z Jaśkiem mogliby spędzić sami. Nawet w nocy, gdy się do siebie tulili, słyszała pochrapywania teścia dochodzące zza ściany.

Chciała być pomocna, ale nie umiała zajmować się gospodarstwem. Chciała stanąć przy kuchni i gotować, ale ją Antoszka pogoniła.

– Te fikuśne potrawy, co wy, bratowo, znacie, to nie dla nas. Tylko by nas ta brzucha rozboleła. A pustki w komorze to by były jeszcze przed adwentem. Kto to widział tyle kaszy gotować? Toż połowa się zmarnuje.

Będzie dobrze, przekonywała samą siebie Bronka. Będzie dobrze, mówiła, gdy matka pytała, jakże jej się układa w małżeństwie. Będzie dobrze, gdy tylko pójdą na swoje. I czekała momentu, kiedy własna chałupa przestanie być marzeniem.

Jeszcze przed ślubem Lipczewscy zasiali żyto, z którego słoma miała posłużyć na pokrycie nowej chaty. Bronka miała nadzieję na nowocześniejszy i bezpieczniejszy dach z blachy, ale Jaśko nawet słyszeć nie chciał.

– Słomę darmo ojce nam dadzą, a za blachę płacić trzeba.

– A gdybyśmy postawili małą chałupę? Po cóż nam duża?

– Po to, byśmy z twoją matką w jednej izbie nie siedzieli.

To był argument. Mama postanowiła, że po ślubie córki rzuci robotę we dworze i zamieszka z Bronką, by jej w gospodarstwie pomagać.

– We dwie sobie poradzimy, jakie by to nasze gospodarowanie było – mówiła ze śmiechem. – Ja przynajmniej otarłam się o pracę w gospodarstwie. Ty nie masz o niczym pojęcia.

Bronka była przekonana, że lepiej poradziłaby sobie sama, nie mogła jednak tego powiedzieć głośno, zdawała sobie bowiem sprawę, że na decyzję mamy w dużym stopniu miała wpływ troska o dalsze losy Włodzia. Kto jak kto, ale ukochany brat zasługiwał na wsparcie ze strony hrabiego, który przecież był stryjem chłopca.

Żeby niczego nie utrudniać, Bronka zgodziła się więc na słomiany dach. I choć mało rozumiała z wyliczeń, które czynił Jaśko, kiwała głową. Zapamiętała tylko, że trzeba trzydziestu snopów żyta na sto dwadzieścia kiczoków. A czym był ów kiczok? Zapytała matkę, bo nie chciała się przed Jaśkiem zbłąźnić.

– Owo żyto na poszycie tnie się nie kosą, a sierpem. Tuż przy ziemi i równiutko. Snopy się młóci cepami, ale tak, żeby przypadkiem słomy nie połamać. Wymłóconą wiąże się w snopeczki powrósem, tak w połowie wysokości. I jeszcze przez środek. – Matka udała, że bierze w dłonie garść słomy, oplata ją i odwraca, by znów opleść. – Tak to się wiąże. Dach buduje się z krokwi, na nich kładzie się łąty. Do tych łąt wiąże się te podwójne snopeczki, czyli kiczoki. Pierwszy rząd główkami do dołu, drugi główkami

do góry, tak żeby zachodziły na siebie. Potem się powróściły mocno wiąże, żeby ciasno przylegały. Powiem ci, że zanim szernieje, to taki słomiany dach pięknie wygląda.

W październiku pojechali do Tyszowiec chałupę obstalować. Oczywiście wszyscy razem, choć Bronka chciała być sama z Jaśkiem. Pomarzyć o tym mogła. No bo mama musiała pojechać, w końcu to jej pieniądze, Teofila musiała pojechać, bo lubiła wycieczki, Antoszka musiała, bo przy okazji „co nie bądź do domu się kupi”, Broniek musiał, bo mu się chciało słodkiej bułeczki od Abduły Ogły, jak tutejsi nazywali Abdulla Ogly, tureckiego piekarza. A skoro Broniek jechał, to musiała pojechać także Janeczka. Tym sposobem ledwo się pomieścili na wozie.

W Tyszowcach, przy drodze, która wiodła na Podbór, był plac, na którym cieśle postawili przeróżne chałupy, duże, małe, średnie. Można było do nich wchodzić i oglądać, a gdy się w końcu wybrało, wystarczyło termin ustalić i dać zadatek, a we wskazanym miejscu stawiali taką samiuteńką chałupę jak ta wybrana.

Bronka pierwszy raz w życiu widziała coś takiego. Gdyś patrzył z daleka, mogłeś pomyśleć, że to część miasteczka, że jak podjedziesz, zobaczysz dorosłych, dzieci, zwierzęta. Tymczasem z bliska te chaty wyglądały jak wieś, z której życie uszło, zanim w niej na dobre zagościło.

Niezmiernie przyjemnie było wchodzić do chałup, jedna po drugiej, i wypełniać wnętrza swoimi marzeniami. Tu zawiśnie ten święty obraz, którym w dniu ślubu matka kreśliła znak krzyża nad głowami małżonków, życząc im, by zawsze mieli w sercach miłość do Pana Boga, by święty Józef był wzorem dla męża, a Najświętsza Maria Panna dla żony. Obok tego obrazu powiesi się inne, kupione na odpustach albo od wędrownych handlarzy. Tam w kącie stanie łóżko, tu stół. Tu mógłby być alkierz dla mamy. Komora taka duża, zapasy pomieści – tu zasiek, tam drążek na wędliny, a tu, obok drzwi, postawi się beczkę z kapustą. I decyzja już... już... prawie podjęta. Nie, jednak nie. Ta chałupa ładniejsza, inny układ i od razu się wydaje, że miejsca więcej. Izby przechodnie, można chodzić naokoło domu, to bardzo wygodne. Tak we dworze było. Nagle ta mała chata wydała się większa i piękniejsza niż hrabiowska siedziba.

Pierwsza wchodziła do każdej chałupy Bronka; za nią jak orszak podążała matka, Antoszka, teściowa, mąż, a na końcu dwójka kłócących się dzieci. Poza Jaśkiem, który ze spokojem przyglądał się wszystkiemu, pozostali

zachowywali się tak, jakby dom miał być ich i to oni mieli dokonać wyboru. To było irytujące. Bronka bardzo chciałyby im powiedzieć, że nie mają prawa, bo to jej dom, jej wybór, jej decyzja, jej życie. Tylko jak powiedzieć coś takiego matce albo Antoszce?

Jaśko wyczytał z twarzy żony, co ją trapi. Podszedł, delikatnie ujął Bronkę za łokieć i odciągnął na bok.

– Powiedzże mi, która tobie podoba się najbardziej?

– Mnie ta z ganeczkiem, ale mama mówią...

– Jakbym ja chciał wiedzieć, co mama mówią, tobym ich zapytał.

Pocałował Bronkę w czoło, tak jak całuje się małe dziecko. To jej dodało odwagi. Poszła jeszcze raz do tej chaty, która podobała jej się najbardziej. Widziała w niej siebie, widziała tu Jaśka i widziała dzieci, które miały przyjść na świat, może już całkiem niedługo.

Odwróciła się do męża.

– Ten dom weźmy, Jaśku.

Skinął głową na znak aprobaty. Mama, teściowa i Antoszka zaczęły jedna przez drugą wyliczać, co też im się w tej chałupie nie podoba.

– Jak to dobrze, że nie wy, tylko moja żona będzie tu mieszkać. – Uśmiech rozjaśniający twarz Jaśka sprawił, że zamiast się obrazić, jedna przez drugą zaczęły się śmiać, jakby im opowiedział zabawną powiastkę.

Oczywiście matka, zanim wpłaciła zadatek, jeszcze kilka razy zapytała Bronkę, czy jest pewna swojej decyzji i czy ta chałupa trzecia od lewej nie podoba jej się bardziej. Gdyby nie to, że za plecami stał Jasiek, Bronka pewnie zmieniałaby zdanie, ulegając Krystynie. Obecność męża, fizyczny z nim kontakt dodawały jej odwagi.

Później było oczekiwanie i kolejne dni wypełnione niecierpliwością. Byle do wiosny, byle do wiosny, byle do wiosny, powtarzała sobie raz za razem. Advent ciągnął się w nieskończoność, święta wcale nie były radosne, karnawał wydawał niczym się nie różnić od adwentu. O niczym innym nie chciała mówić, tylko o tym, że niedługo pójda na swoje.

– Ta wszyscy tego chcemy, ulży nam się – powiedziała pewnego dnia Antoszka, sprawiając tym Bronce okropną przykrość.

Wieczorem, gdy leżeli w łóżku, poskarżyła się Jaśkowi.

– Oni mnie nie lubią.

– Co też ty mówisz, wszyscy bardzo cię lubią.

– Zachowują się, jakbym tylko przeszkadzała.

- Pożytku z ciebie zbyt wielkiego nie ma.
- Pomagałabym, ale nic mi robić nie pozwalają. Jak mam się nauczyć?
- Na pewno nie siedząc w izbie. Patrz, co robią, i ty rób to samo.

Odwróciła się naburmuszona, ale Jaśko przyciągnął ją do siebie, pocałował czule i zaraz wszystko zostało wybaczone.

Gdy tylko zszedł śnieg, pojawili się cieśle z chałupą. Wyznaczyli miejsce, wkopali podwaliny i ruszyli z robotą. Brusy były pomierzone, tylko spasować. Układali jeden na drugim z taką łatwością, jakby budowali ściany z zapalek, a nie z grubych, drewnianych bali. Gdy patrzyło się na to z Podpoła, miało się wrażenie, że dom sam rośnie.

Bronka nosiła cieślom jedzenie. Nie słuchała Antoszki, która twierdziła, że wystarczą kartofle i barszcz. Może i wystarczą, ale za byle jakie karmienie odpłacą się byle jaką robotą.

– Gosposiu, takiego jedzenia jak u was to nigdzie na świecie nie ma – chwalili robotnicy, a gdy dwojaki były puste, ochoczo brali się do roboty. – Za taką strawę starać się będziemy i dokładnie wszystko zrobim, jakby my dla siebie budowali, nie dla kogo obcego.

– Ta oni ci w oczy ładnie mówią, a poza oczami robią, co chcą. – Antoszka potrafiła zgasić entuzjazm Bronki.

– Nie przejmuj się, jest zazdrosna – uspokajała ją matka.

– Nie chciałabym, żeby była zazdrosna, chciałabym, żeby się ze mną zaprzyjaźniła.

– Nie bądź naiwna, Broniu. W całym swoim życiu nie miałaś innej przyjaciółki poza mną i mieć jej nie będziesz.

Nie była naiwna. Była pełna wiary w to nowe życie, które miała wieść u boku ukochanego męża. Znalezienie kogoś, kogo się tak szaleńczo kocha, kto odwzajemnia to uczucie i możliwość poślubienia tego człowieka, samo w sobie jest niespotykanym szczęściem. Ludzie wiążą się ze sobą z różnych powodów, zwykle ostatnim z nich jest obopólna miłość, choć powinno być odwrotnie. Dlatego fakt, że im obojgu się to udało, napawał Bronkę radością i dumą. I nie miłość była istotna. Czuła, że ma w Jaśku wsparcie, którego w nikim innym, nawet w matce, nigdy nie miała. Bolała nad tym, że ojciec nie żyje i nie może zobaczyć jej szczęścia. Cieszyłby się, och, jakże on by się cieszył. Bronka dobrze pamiętała, jak brał ją na kolana, nazywał swoim skarbem, najśłodszą zazuleczką. Pielęgnowała to wspomnienie jak skarb. Matka o nim mówić nie chciała. Po wielu przemyśleniach Bronka doszła do

wniosku, że miłość między rodzicami była jednostronna, tatko kochał mamę bez wzajemności. Smutne to, a jednocześnie budujące, że jej, Bronce, udało się znaleźć mężczyznę, którego pokochała, a który poza nią świata nie widział. To dawało jej siłę tak wielką, że góry mogła przenosić.

W końcu zaczęto poszywać dach i Bronka mogła zobaczyć, jak to się robi. Kiczok za kiczokiem trafiał na łąkę i w przeciągu kilku dni strzecha była gotowa. Zawisł na niej wianek, polała się wódka, rozliczono się z robotnikami, świętowano z sąsiadami. Nikt nie cieszył się tak jak Bronka. Chodziła po pustych izbach, wdychała zapach drewna, słomy i świeżego wapna, którym otynkowano ściany. Myślała o tych wszystkich rzeczach, które się tu wydarzą.

I choć byli na swoim już przeszło miesiąc, za każdym razem, gdy stawała na progu, wzdychała głęboko i pozwalała, by wypełniła ją niezmierna radość z posiadania własnej chałupy.

Nie miało znaczenia, że wszystkie ich sprzęty to łóżko, stół i jedna ława, ani to, że w komorze pusto i po wszystko trzeba do Lipczewskich biegać, ani to, że mając jeden garnek i rynkę, nie bardzo jest w czym gotować. Ważne, że miała swój własny dom.

Jeśli wcześniej między nią a Jaśkiem było dobrze, to teraz układało się jeszcze lepiej. W nocy mogli robić to, co małżonkowie robić powinni, nie wstydząc się porannych spojrzeń teściów czy bratowej. O ile Julek czasem pobłażliwie się uśmiechnął, o tyle Antoszka potrafiła zwrócić Bronce uwagę.

– Dzieci ta mnie pobudzą. One małe jeszcze, na cóż im takie bezceństwa wiedzieć?

Gdy powtórzyła to Jaśkowi, ten się roześmiał i powiedział, że Antoszka zazdrosna, bo Julian kochał się z nią dwa razy w życiu.

– Co też ty mówisz?

– Gdyby się kochali trzy razy, tobym miał teraz troje bratanków. On jej nie lubi.

– Jakże tak?

– Zwyczajnie. Moja matka kazała Julkowi z Antoszką się ożenić, bo tamta skłamała, że jest z nim w ciąży. Matka wstydu nie chciała ani ludzkiej krzywdy, to posłuchała tej znajdy, a swojemu synowi nie dała wiary. Mnie się czasem zdaje, że Julek z ojcami w jednej chałupie żyje, żeby matkę ukarać, niech codziennie patrzy na jego nieszczęśliwe małżeństwo.

– Dobrze, że myśmy na siebie trafili, prawda?

– Prawda. Ty nawet nie wiesz, jak mnie wtedy na ten odpust ciągnęło. Jakby tam żywą wodą mieli poić.

– Miłość więcej warta niż żywa woda.

– Ze wszystkiego na świecie prawdziwa miłość najwartościowsza.

Teraz, gdy stała na progu, wróciły do niej słowa męża. Prawdziwa miłość najwartościowsza na świecie. To prawda, Bronka dobrze o tym wiedziała. Ona i Jaśko ją znaleźli i mogli się nią cieszyć. I tymczasem tylko we dwójkę mogli się cieszyć, bo niedługo się to skończy. Mama odejdzie z dworu, gdy tylko zgodzą nową kucharkę. Będzie Bronce pomagać we wszystkim, zwłaszcza zaś przy dziecku. Położyła rękę na brzuchu. Nie mówiła jeszcze Jaśkowi, nie była do końca pewna, ale krwawienie się nie pojawiło. W napięciu czekała, nie do końca przekonana, czy chce, żeby przyszło, czy też nie. Chciała mieć pewność. Zdecydowała, że poczeka do Bożego Ciała. Jeśli do tej pory krwawienie nie nastąpi, podzieli się z mężem radosną nowiną.

– Bronka! Bronka! – zawołał z podwórza Jasiek.

Odwróciła się i wyszła z chałupy.

– Co ty się tak drzesz jak na pożar?

– Bom myślał, że ty na ogród poszła. Handlara idzie. Może nam co potrzeba?

Ze wszystkich handlujących, którzy dzień w dzień przemierzali wiejskie drogi, Bronka znała tych tylko, co przychodzili do dworu. Byli to zwykle Żydzi, oferujący przeróżne przyprawy. Z daleka można było poczuć, że się zbliżają, a piernikowy zapach unosił się w kuchni jeszcze długo po ich wizycie. Rozkładali na stole woreczki, pełne niezwykłych cudów. Były tam czarne kuleczki pieprzu i ziela angielskiego, brązowe gwiazdki anyżu, zielone liście lauru, zabawnie wykręczone laski cynamonu, owalne, pomarszczone i przypominające poczwarki gałki muszkatołowe, a także wanilia, podobna do uschniętego patyka. Nim się człowiek napatrzył, nawąchał, już otwierali inne woreczki, pełne mielonych papryk, tak ostrych, że podniebienie stawało w ogniu, sproszkowanych zamorskich ziół, pachnących odległymi łąkami. Na koniec zawsze pokazywali szafran, który nie tylko był złoty, ale tyle co złoto wart. Mama ze znawstwem oglądała, wąchała, wybierała. Dzięki tym przyprawom potrawy nabierały niezwykłego smaku.

Sprzedawcy przypraw chodzili i po wsi, jednak asortyment mieli znacznie

uboższy. Nic dziwnego. W kuchni chłopskiej królował kminek, którego pełno było na łąkach, podobnie jak chrzanu czy macierzanki. Jeśli kupowano, to kawę i herbatę, pieprz i laurowe liście, ziele angielskie. I nie tak jak we dworze, gdzie zawsze płacono gotówką. Tu zwykle następowała wymiana na kaszę gryczaną, jagły albo mąkę.

Dopiero na wsi Bronka zobaczyła, jak szeroki jest asortyment tego, czym można handlować, bo wielu z tych ludzi w ogóle nie wpuszczano do dworu. Najczęściej pojawiali się we wsi domokrażcy sprzedający najpotrzebniejsze rzeczy – zapalki, bibułki do papierosów, sól, cukier, nici, olej i wszystkie te drobiazgi, co to zawsze kończą się w najmniej oczekiwanym momencie, a wtedy stajesz przed dylematem, czy pobiec na pożyczki do sąsiadki, czy jakoś sobie radzić, czekając, aż ktoś ze wsi wybierze się do Łaszczowa. Przybycie handlarza było wtedy wybawieniem z kłopotów.

Rzadziej zjawiali się tacy, którzy w płachcie na plecach czy też w małym wózeku dostarczali do wsi wszelkiego rodzaju naczynia. Niekiedy były to metalowe garnki i patelnie, czasem gliniane kubki i miski, jeszcze innym razem szklane kieliszki, flaszki i wazoniki.

– Weźcie, gospodni, kieliszek, to od nas z Hutki taka piękność. Widzicie, jak się mieni na zielono? – namawiał sprzedawca.

Albo kuśił:

– To nasza krasnobrodzka glina, najlepsza na świecie. Weźcie te dwa kubki, a dam wam ptaszka dla dzieciaka. Cacany ptaszek, śpiewa jak prawdziwy, dzieciak się ucieszy, weźcie gosposiu, weźcie.

Przychodziły też handlarki. Te najczęściej sprzedawały materiały. Czegóż tam nie było. Najwięcej kuponów flaneli i barchanu, ale był też flausz czy samodział, te najpraktyczniejsze, najpotrzebniejsze tkaniny na koszule, kamizelki, portki i spódnice. Były też, pożądane przez strojnisię, delikatne jak mgiełka batysty i perkale na bluzeczki i sukieneczki, szyte według miastowej mody. A tasiemek, wstążek, aksamitek i koronek to miały bez liku.

Jednak największą popularnością cieszyli się we wsi ci, którzy sprzedawali zupełnie niepraktyczne przedmioty – obrazy, rzeźby, zegary. Od razu wiadomo było, że nadchodzą, bo towarzyszył im wrzask rozemocjonowanych dzieciaków. Nie wchodzili oni do pierwszej lepszej chałupy, tylko do najbogatszej i tam rozkładali skarby, do których wszystkim mieszkańcom wsi oczy się świeciły. Jakież to były cudowności! Najwięcej,

wiadomo, obrazów. Przedstawieni na nich święci wyglądali jak żywi. Lepiej nawet, bo byli o wiele piękniejsi, wprost oczu nie dało się od nich oderwać. Toteż mało kto pozostawał obojętny na ich urok. Wiadomo, świętych obrazów nigdy za wiele, a to, że można zapłacić nie tylko pieniędzmi, ale jajkami, serem, kaszą czy kogutem, ułatwiało podjęcie decyzji. Nawet gdy kto nie miał pieniędzy ani gotowizny na wymianę, mógł się z handlarzem umówić i wziąć na borg. Ten zapisywał w kajecie, kto i ile jest mu winien, a po żniwach czy wykopkach zjawiał się po zapłacie.

Cisza na gościńcu oznaczała, że tym razem to nie świętki przybywają na małym wózku.

– Sagan by nam się przydał. Nie wiesz, czy ma sagany?

Jaśko się roześmiał.

– Jej trza spytać.

To prawda. Bronka poprawiła chusteczkę i spojrzała na swój fartuszek. Nie był najczystszy. Zdjęła go i powiesiła na gwoździu w sieni.

– To pójdę.

– To idź.

Ależ ten Jasiek jest. Wcale się nie domyśla, że Bronka nie ma śmiałości i przydałoby jej się życzliwe wsparcie od kogoś bliskiego. Nigdy wcześniej nie kupowała saganów. A tu trzeba ocenić, czy z dobrego materiału, czy starannie wykonany, czy cena właściwa, a nawet jeśli nie zawyżona, to i tak warto trochę utargować.

– Bronka! Zaczekaj, pójdę z tobą.

Handlarka miała garnki. Miała też sagan, który wydawał się w sam raz do parowania kartofli dla świni i kur. Bronka pierwszy raz widziała targującego się męża, robił to z uśmiechem, który sprawiał, że handlarka też się uśmiechała. Wyglądali, jakby jedno drugiemu prawilo komplementy, jakby w tym, co robili, była zabawa, przekomarzanie się, nic poważnego. W końcu się dogadali.

– Ja wezmę garnek, a ty, Bronka, zapłać.

– Pieniądze w chałupie – wyznała zawstydzona. – Podlecę, przyniosę, zaraz wracam.

Za plecami słyszała ich śmiech. Co takiego zabawnego jest w tym, że z zaaferowania zapomniała wziąć woreczek z pieniędzmi? Bo to Jaśko nigdy niczego nie zapomina? Przecież zaledwie w zeszłym tygodniu poszedł miedzę obkaszać, a sierp został na haku. Bronka wtedy wcale się nie śmiała.

Złapała za sierp i za mężem pobiegła, żeby darmo nie ganiał w tę i we w tę.

– A ty co się tak w niego wpatrujesz? – zapytał Jaśko, gdy już szli z powrotem w stronę domu. – To zwykły garnek.

– Jakiś taki piękny mi się wydaje. Nie wiem, czy od razu na kuchnię go postawię. Osmoli się.

– Toż on od tego, żeby się osmolić.

– Ale tak od razu?

– Pewien pomysł mam. Na stole go postawimy, kwiatów do środka napchamy, będzie z niego piękny wazon.

– Głupiś.

Machnęła ręką w stronę męża, jakby go chciała uderzyć, a Jaśko złapał ją, przyciągnął do siebie i tak czule pocałował w usta, że Bronce z miłości mdło się zrobiło. Jeszcze długo trwałaby tak przytulona i do niego, i do sagana, ale gwizd, który przeszył powietrze, sprawił, że odskoczyła od męża.

– Nie powiem, przyjemnie na was popatrzeć.

Na gościńcu stał znajomy Jaśka. Bronka знаła jego twarz, ale nie pamiętała, jak się nazywał. Było tak wielu ludzi, których twarze, imiona, nazwiska musiała poznać. Wciąż pytała szeptem:

– Jaśku, kto to?

A on odpowiadał.

– To taki i taki, mieszka tu i tu, jego matka poszła za...

Teraz jednak, gdy ten mężczyzna stał kilka kroków od nich, zapytać nie mogła. Szukała więc w pamięci strzępków wspomnień. Nie było go na ich ślubie. W karnawale raz z Bronką tańczył. Jaśko mówił o nim „pijak” i „karciarz”. Jednak gdy się patrzyło na przystojną, pogodną twarz młodego mężczyzny, trudno było uwierzyć, że to prawda.

– Witajcie, Wojciechu. A skąd to tacy odstawieni wracacie?

Wojciech Dołęga, no przecież! Brat tej ładniutkiej Natali, do której Bronczek z Mikołajem wciąż biegają. Mówią, że pomagać, ale co też takie szkraby mogą pomóc? Przy lekcjach nie chce im się siedzieć, ot cała historia.

– Nie uwierzysz, Lipczewski, ale moja babka wreszcie zapis zrobiła. Już myślałam, że przyjdzie nam na jej śmierć czekać, a potem przez lata będziemy się z wujem po sądach włóczyć. Tymczasem rach-ciach poszło. Teraz my podzieleni majątkiem, ku ogólnemu zadowoleniu.

– To ty teraz gospodarz będziesz.

– Kpisz sobie, Jaśku. Dobrze wiesz, że to nie dla mnie.

- A co dla ciebie?
- Nie wiem. Może jaki sklep kupię. Do miasta mnie ciągnie.
- A gdzie ty znajdziesz takie miasto, w którym jest miejsce dla Polaka? Żyd na Żydzie siedzi. Rozejrzyj się wokół. W Łaszczowie same Żydy, podobnie w Tyszowcach.
- Toteż ja myślę gdzieś dalej wyruszyć. Do Lublina, Lwowa, albo i Warszawy.
- Tak jakby tam ich nie było.
- Co zrobisz, taki świat. Jakiś się urodził Polakiem czy Ukraińcem, to siedź na wsi i haruj od świtu do zmierzchu. Dla nas wieś, dla nich miasto. Dla nas ciężka robota, dla nich szachrowanie. Jeden na wsi mówił, że jak twoja matka miała karczmę, to po trzecim kieliszku już leżał na podłodze, a teraz u Szymona to dziesięciu trzeba, żeby się we łbie kręcić zaczęło.
- Bronka widziała, że Jaśko mocno zacisnął szczęki. Skóra na policzku mu zbielała, ale uśmiechał się, by nie dać po sobie poznać, że wspomnianie dawnych czasów, gdy mieli karczmę, bardzo go boli.
- Nie znaczy to jednak – ciągnął Wojtek – że nie należy swego szczęścia po świecie szukać.
- Ojciec twój go nie znalazł.
- Za to Adamczuk tak. I cała rodzina z nim razem. A ja swego ojca nie winię za to, co zrobił. Na jego miejscu tak samo bym postąpił.
- To idź w jego ślady. Najlepiej teraz, póki dzieci nie masz.
- Bronka delikatnie szarpnęła Jaśka za rękaw, dając mu znak, że ta złośliwość wcale nie była potrzebna, ale mąż tylko wzruszył ramionami. Wojtek się uśmiechnął.
- Masz rację, bracie. Tak i zamierzam wkrótce wyruszyć.
- A co z polem? – zapytał Jasiek.
- Tamten, nie znając go dobrze, nie usłyszał nadziei, pobrzmiwającej delikatnie w głosie Lipczewskiego. Potrzebowali więcej ziemi.
- Natalia wzięła.
- Jakże to, a twoja dola?
- Spłaciła mnie. Ona gospodarzyć lubi, po dziadku to ma, a mnie na co kula u nogi?
- Jaśko skinieniem głowy przyznał tamtemu rację.
- Wpadłbyś wieczorem do gospody? U mnie dziś święto, to napić się chcę z przyjaciółmi.

Jaśko ponownie skinął głową. Zaraz też ruszyli, każde w swoją stronę. Bronka obróciła się kilka razy, a gdy już miała pewność, że tamten nie usłyszy, zapytała:

– Pójdiesz do gospody?

– A bo to on mój przyjaciel?

Już miała odpowiedzieć, że nie wie, ale ten młody Dołęga wydał jej się sympatyczny. No i przecież w wojsku razem byli. Zdała sobie jednak sprawę, że Jaśko nie pytał. Z jakiegoś powodu nie lubił Wojtka i tyle.

– Czy on ci coś zrobił, że go nie lubisz?

– Mnie nie, bo ja się zawsze z dala od niego trzymam. To taki człowiek, że gdy blisko do niego podejdziesz, to cię skrzywdzi, chce czy nie chce. Może nie mówi prawdy, gdy wspomina ojca? Może żal czuje ogromny i z tego żalu taki się zrobił? Tego ja nie wiem. Widzę, jak tą biedną Natalą pomiata, w niczym dziewczynie nie pomoże. Ona w polu, on w karczmie. Wcześniej matkę oszukiwał, mówił jedno, robił drugie, byle tylko od pracy się wymigać. W wojsku... Nawet nie będę ci opowiadał, co on w wojsku robił. Niejeden przez niego miał kłopoty. Pieniądze pożyczął, nie oddawał. Kradł różne rzeczy, Żydowi sprzedawał, a tak się zawsze wykręcił, że вина na kogo innego spadła. Pannom w głowie mącił, obiecywał cuda-wianki, byle tylko... a potem udawał, że nie zna. Taki to człowiek. Nie człowiek nawet, bo on od zwierzęcia gorszy.

Bronka potrzebowała czasu, by wszystko, co usłyszała, przetrawić. Jakże to być może? Taki miły, sympatyczny człowiek, a tyle zła w nim siedzi?

– Nie jest on moim przyjacielem, a gadam z nim tylko dlatego, że nie chcę w nim mieć wroga – powiedział Jaśko, gdy wchodzili do izby.

Bronka z aprobatą skinęła głową, podobała jej się taka postawa.

Chwilę później nie myślała już wcale o Wojtku Dołędze. Miała sagan, piękny, nowy sagan. Czowała się teraz prawdziwą gospodynią.

Rozdział piętnasty



Wino z kaszy jaglanej

Pół kilograma kaszy jaglanej wypłukać cztery, a nawet pięć razy. Zalać ukropem, ale tylko na chwilę, zaraz odlać. Kilogram cukru rozpuścić w trzech litrach wrzątku. Gdy ostygnie, rozpuścić w tym pięć deka drożdży. Do gąsiora wsypać kaszę, zalać wodą z cukrem. Można dodać karmelu na kolor. Fermentuje około dwóch tygodni. Po tym czasie przefiltrować, zlać do butelek, szczelnie zamknąć.

Sierpień 1931

Staszka Pomiechowska patrzyła w kierunku Podpoła i doświadczała tak silnego uczucia straty, jakiego w życiu nie miała. A przecież pochowała rodziców, teściów i męża. Jednak w odejściu bliskich nie było nic zaskakującego. Pomarli zwyczajnie, ze starości, we własnych łóżkach, tak jak to Pan Bóg pozwala tym, którzy są Mu mili, bo wiedli życie religijne i uczciwe. Śmierć rodziców, a później męża, w niczym nie zmieniła życia Staszki. Było nawet tak, że po śmierci teścia odetchnęła z ulgą, choć oczywiście najpierw go opłakała, i to całkiem szczerze, bo dobry był człowiek ze starego Pomiechowskiego. Gdy jednak odumarła go żona, zupełnie nie potrafił o siebie zadbać. Troska o teścia spadła na Staszkę. „To tylko kubeczek wody dolany do garnka zupy, niby jeden kartofel więcej do obrania i jedne portki do oprania”, mówią ci, którzy nigdy nie opiekowali się starym człowiekiem. Przy jedzeniu grymasił jak dziecko, mówił, że żonka

inaczej gotowała.

– Co wy też mówicie? Jakże inaczej można golasa gotować? Jak Tynczyn długi, tak chałupa w chałupę baby robią go tak samo. Warstwa hreczki wymieszanej z gotowanymi kartoflami, na to ser z podsmażoną cebulą i znowu kartofle z hreczką.

– Moja mięso dawała.

– Toż i ja daję mięso zamiast sera, ale nie w poście.

– Smak był inny. Może kasza ci zatęchła?

– Jakże zatęchła, jak ledwo wczoraj gotowana.

– Nie będę tego jadł. – I z obrzydzeniem odsuwał miskę.

Żeby to tylko z jedzeniem tak było, ale nie, o wszystko marudził. Portki źle uprane, koszula na pewno nie jego, siennik za mało wypchany, krowa zapalenia dostała, widomy znak, że Staszka źle ją doi.

– Dobrze doję. Moja żadna zapalenia nie dostała. Ona mnie nie zna, przepuszczać nie chce i mleko zostaje w wymieniu. Przyłożę masła z sodą, zaraz jej minie.

I oczywiście minęło, bo na zapalenie wymienia nie ma nic lepszego niż je posmarować sodą z tłuszczem. Nawet kobiety, gdy dziecko dobrze nie wysie mleka i pierś twardnieje, a gorączka trawi, natychmiast smarują sodą ze smalcem albo innym tłuszczem. Na to liść kapusty kładą i zaraz wszystko mija. Krowie trudno kapustę przyłożyć, ale na szczęście sam okład też dobrze działa.

Póki tylko teścia miała pod opieką, jako tako dawała radę, mimo uszu puszczając jego marudzenie. Jednak gdy na świat przyszedł kolejny wnuk, zaczęło być trudno. Córce chciała pomóc, u siebie roboty miała aż nadto, a jeszcze trzeba było starego obsługiwać. Staszka wciąż pamiętała tych kilka lat w ciągłym biegu, z jednego końca wsi na drugi. To do córki coś pomóc, coś pokazać, dzieciaka przypilnować, odciążyć dziewczynę, bo już drugi brzuch pod nosem, potem zaraz do siebie, z motyką w pole, na obiad do domu, z dwojakami do teścia, tam chałupę ogarnąć, bo wedle ludzi wstyd, znowu za motykę, na pole, do obrządków. I tak w koło Macieju, od rana do wieczora.

Gdy pewnego lutowego dnia teść oświadczył, że będzie umierał, to w pierwszej chwili poczuła radość. Dopiero po chwili przyszło opamiętanie.

– Puknijcie wy się w głowę. Stary a durny. Teraz będziecie umierać? Śniegu napadało wyżej chłopskiej głowy, mróz, ziemia zamarznąta. Przeklną

was ci, co im przyjdzie grób kopać. Wstrzymajcie się jeszcze z miesiąc. Albo choć do odwilży.

Posłuchał. Umarł parę dni po świętym Józefie. Staszka czuła, że coś niedobrego się kroi, bo jak mu przyniosła kolację, to zjadł i złego słowa nie powiedział.

– A wam co? Chorzyście? Może ziółek wam jakich trzeba?

– Wszystko dobrze.

– Może zostać z wami na noc?

– Nie trzeba.

Była zbyt zmęczona, żeby się upierać. Potem żałowała. Człowiek nie powinien umierać w samotności jak jakiś pies. Nawet jeśli łaskawa śmierć we śnie przychodzi. Powinni być przy nim najbliżsi. Powinni czuwać, modlić się, rozmawiać. A przede wszystkim powinni się pożegnać, jak przystało na ludzi, którzy rozstają się na nie wiadomo jak długo. Bo że znów widzieć się będą w Królestwie Niebieskim, to pewne, ale ile czasu minie, to tylko Pan Bóg wie. Staszka już tyle lat była wdową, a myślała, że za rok, dwa w ślad za swoim mężem pójdzie.

Nawet śmierć męża, ze wszystkiego, co Staszkę w życiu spotkało, rzecz najsmutniejsza i najboleśnieszka, nie mogła się jednak równać z tym, co przyniósł ten ranek.

We wsi zjawili się studniarze. Byli już wcześniej, wiosną, szukali miejsca, gdzie w ziemi jest woda. Chodzili po wsi, po łąkach i polach, rozglądali się, uszy do ziemi przykładali, machali wierzbowymi gałązkami. Trochę to wyglądało jak czary, trochę jak odpustowe kuglarstwo. Gdy skończyli, poszli do karczmy, a cała wieś za nimi. Stwierdzili, że woda jest, co Pomiechowskiej nie wydawało się jakimś szczególnym odkryciem, bo gdyby kto jej zadał to pytanie, taką samą dałaby odpowiedź.

Tego, co oznajmili później, to Staszka już nie dałaby rady powiedzieć, bo wskazali miejsca, gdzie można kopać studnie. Z czterech znalezionych najdogodniejsze według nich było to na Podpolu, przy drodze na wygon. Gdyby kto Staszkę pytał, to odparłaby, że jej zdaniem Teofila maczała w tym palce i dała studniarzom boka. Bo jak to możliwe, że zaledwie dwie chałupy od obejścia Lipczewskich bije w ziemi źródło?

– Woda z samego serca ziemi, a wcale nie głęboko. Będziecie mieli najlepszą wodę w okolicy, po innych wioskach będą wam zazdrościć – zapewniał studniarz.

A ta ze starej studni to co, zła?, miała ochotę zapytać Staszka. Tyle pokoleń piło tę wodę od urodzenia aż do śmierci i jakoś nigdy nikt się nie skarżył. A teraz nagle okazuje się, że kawałek dalej jest lepsze źródło, lepsza woda. Czemuż ludzka natura taka, że zawsze do nowego ciągnie? Babie chce się nowego garnka na piecu, chłopu nowej baby, dziecku nowej zabawki, pannie nowego kawalera. Jakby samo to, że coś jest nowe, czyniło to coś wyjątkowym. Teraz wszyscy będą się zachwycać nową studnią i pewnie część ludzi ze wsi zacznie chodzić na Podpole, nawet jeśli to dalej, bo taki urok będzie dla nich miała nowa studnia. Pewnie zaraz się okaże, że tej wodzie niewiele brakuje do cudowności. Taka będzie smaczna, że na świecie smaczniejszej nie ma, co się na niej ugotuje, to nie do odjedzenia, umyje człowiek twarz, zaraz skóra mu pojaśnieje, a krowy takie się mleczne zrobią, że ho, ho.

Oczywiście korciło Staszkę, by pójść na Podpole i na własne oczy zobaczyć, jak kopanie studni wygląda. Może to jedyna w życiu okazja? Na przekór wszystkim nie pójdzie. Mogli ustalić, by gdzieś dalej kopać. Na Felówce na przykład. Przecież to właśnie tamtejsi mieszkańcy pierwsi zaczęli się o nową studnię dopominać, bo daleko im było i do starej, i do rzeki. Aniela Hubowa najgłośniej wrzeszczała, że ma dość od rana do wieczora z koromysłami ganiać, a teraz nagle cicho siedzi, choć ta nowa ledwo pół wiorsty bliżej. Pewno jej przegadali Lipczewscy, że tak będzie najlepiej. Dla nich, to oczywiste, ale czy dla Anieli? No i na pewno nie dla Staszki. Będzie siedziała teraz od rana do wieczora pod studnią, przy której nawet pies z kulawą nogą się nie zatrzyma. Gdy nie będzie z kim gadać, to jakim sposobem dowiedzieć się, co słychać we wsi?

Wczoraj, na przykład, Antoszka przysłała po wodę. Staszka bardzo lubiła tę synową Lipczewskich, bo w przeciwieństwie do reszty rodziny otwarcie mówiła o wszystkim. Pogadały chwilkę i tym sposobem cała wieś mogła się dowiedzieć, że dziewczynka, która właśnie się urodziła Helenie Francowej, ma u stóp po sześć palców.

– Tylem się porodów naodbierała, a takiego dziwu ta nie widziałam jeszcze – powiedziała Antoszka.

Dziw to był nad dziwy. Staszka nie wiedziała nawet, że coś takiego jest możliwe. Jakże to sześć palców? To gdzie się ten szósty mieści? Niech no tylko połów się skończy, pobiegnie zobaczyć.

Wzruszyła się też trochę, bo dziewczynka miała mieć na imię Zosia. Nikt

nie powiedział, że po Kornelowiczównie, ale Staszka to czuła. Wciąż jej się zdarzało po Zośce zapłakać, choć w głębi serca miała nadzieję, że pasierbica Marty żyje, tylko poszła w świat, gnana szaleństwem. Zdarzało się w jesienne wieczory, gdy zmierzch mieszał się z mgłą, że miała wrażenie, jakby widziała dziewczynę na polnej drodze. Szła wesoła, podskakiwała, a gromada kotów biegła za nią jak za jakąś pasterką. Jednak gdy Staszka przymrużała oczy, by lepiej widzieć, wszystko znikało i tylko ból i tęsknota w sercu pozostawały.

Wiosną zjawiał się bratanek Kornelowicza. Po śmierci Marty i zniknięciu Zośki był pierwszym ze spadkobierców. Podobno miał młodszą siostrę, a także własne, dorosłe już dzieci i wszystkich reprezentował. Z wyglądu bardzo przypominał Jana Kornelowicza. Podobnie jak tamten był niski, korpulentny. Jasne włosy i wąsy miał przystrzyżone starannie, zgodnie z najnowszą modą. Ubrany był jak pan, jego ubranie aż lśniło nowością i czystością. Ktoś później mówił Pomiechowskiej, że w miasteczku kazał gruntownie wyczyścić bryczkę, zanim do niej wsiadł. A gdy przyszło do płacenia za przejazd, targował się tak, że Żydowi oczy wyszły na wierzch z wrażenia.

Był oburzony stanem dworu, narzekał na smród. Kazał sprowadzić ze wsi kobiety, by posprzątały. Później zapłacić nie chciał, twierdząc, że to ich obowiązek. „Jak można było dopuścić do czegoś takiego? Chamy nieczułe, bydlęta podłe”, pomstował.

Miał pretensję, że nikt wcześniej nie dał znać. Pofatygował się na wieś, by sołtysa obsztorcować. Szedł jak bocian, gdy przemierza łąki, by wśród traw szukać ślimaków, myszy, chrabąszczy, żab i wszystkiego tego drobiazgu, którym się żywi. Tak i Kornelowicz kroczył powoli, ostrożnie nogi stawiając, a gdy je podnosił, pantofle oglądał, czy aby nie ubłocone. Gdyby mógł, toby się przesiadł do tego fotela na drążkach, który niewolnicy noszą, a którego nazwy spamiętać się nie dało, ale nauczycielka, przez ciekawych pytana, co nazwa tego pojazdu znaczy, wyjaśniła i nawet rysunek pokazywała w książce do historii.

O tym fotelu mieszkańcy Tynczyna dowiedzieli się z powieści, czytanej ostatnio za sprawą Adamczuków. Wawrzek do Lublina jeździł i trzy nowe książki tam kupił, między innymi tę o Neronie i chrześcijanach. Wzruszająca to była historia, a i pouczająca bardzo, bo wszak o takim sposobie podróżowania jak krzesłem na drążkach nie wiedziano. Na szczęście

Tynczyn to nie starożytny Rzym, a Kornelowicz nie był Neronem, choć nikt nie wątpił, że podobne okrucieństwo w nim drzemie. Jak to mówią starzy ludzie, „Najgorzej, jak się z dziada zrobi pan”. I to jest, jak wszystko, co starzy prawią, mądrość nad mądrościami, bo przecież każdy we wsi pamiętał, że ojciec Jana Kornelowicza był bękartem, któremu się w życiu powiodło, bo dziedzic, zamiast go psami poszczuć, zrobił z niego rządcę. We wsi o tym pamiętali, a w rodzinie Kornelowiczów widać nie. Zapomnieli o przeszłości, zapomnieli, że ich przodkowie tak samo jak wszyscy inni w Tynczynie na tę miskę kaszy bez omasty harowali od świtu do nocy.

Ten bratanek Kornelowicza traktował wszystkich z pogardą. Szczególnie sołtysa, którym na oczach tych kilku ze wsi, co to ich ciekawość przygnała, jawnie pomiatał. Krzyczał na niego, a gdy sołtys próbował odpowiedzieć, przerywał mu: „Nie rozumiem cię, chłopie, mówże po polsku”. Jakoś i urzędnicy w gminie, i ksiądz, i wszyscy inni rozumieli, tylko ten jeden pan z miasta zrozumieć nie mógł. Przecież sołtys, choć Ukrainiec, mówił po polsku równie dobrze jak każdy Polak. Zdaniem Pomiechowskiej tamten specjalnie udawał, że nie rozumie. Zarzucał sołtysowi, że sprawę zaniedbał, do urzędu nie dał znać, rodziny nie powiadomił. „Pewnieś był w zмовie z tym całym dzierżawcą, co ziemię darmo wziął i zysk z niej czerpał, a z właścicielkami się nie podzielił”. Skoroś tak dobrze wiedział, że jest dzierżawca i ile płaci, to czemuś wcześniej nie przyjechał zrobić z tym porządku?, miała ochotę zapytać Pomiechowska.

Nie uczyniła tego tylko z tej przyczyny, że dobrze wiedziała, jaką by dostała odpowiedź. Wiedziała również, że Kornelowicz był świadom, co się z jego krewniaczkami działo, tylko gównu go to obchodziło, bo nie miał w tym interesu. Teraz mu głupio było przed ludźmi, że weźmie majątek, choć stryjenkę i kuzynkę w biedzie zostawił. Jeśli kto miał na rękach ich krew, to on właśnie. Kobiecie na świecie źle, nic nie znaczy, nikt się z nią nie liczy. Jak jest młoda, musi pilnować swojej cnoty, uważać na wszystko, co mówi, bo z byle powodu ludzie ją na języki wezmą i opinię zszargają. Kiedy się zestarzeje, wyśmieją, szacunku nie mają, bo cóż stara baba znaczy? Mężczyznom łatwiej. Uwiedzie chłopak dziewczynę, to mu przyklaskują, jakby podboju jakiegoś dalekiego kraju dokonał. Nie chce się potem ożenić, trudno mu się dziwić, wszak nie wiadomo, ilu tam razem z nim przy tym stole jadło. Jeszcze powiedzą, że to dziewczyny wina, bo gdyby suka nie dała, pies by nie wziął.

Z dziewczyną odwrotnie. O wszystko mają do niej ludzie pretensje, wyrzucają jej nawet to, że zaczyna się starzeć. Mówią: „Taką ładną panną była, a teraz tak spiczniała”. Nie pamiętają, że urodziła czworo dzieci, dwoje pochowała i opłakała, że karmi rodzinę, choć nie zawsze jest co do garnka włożyć, że w polu robi, w ogrodzie, w chałupie i zajęć ma dwa, a może i trzy razy tyle co chłop, a zmartwień sto razy tyle. Nie, o tym nikt nie mówi.

Ani jeden mężczyzna, ani jedna kobieta nie powie o drugiej, że biedna, zmęczona, styrana. Gdy przyjdzie starość, to lepiej, żeby sama sobie radziła, bo u dzieci w domu póty będzie jej dobrze, póki przydatna. Zniedołężnieje, to zacznie przeszkadzać. Nikt nie poprosi o radę, bo co stara i durna może wiedzieć. Ojciec to co innego, on był gospodarz, wiele widział, on wie. Gównon on tam wie, ale szacunek ma, bo się ludzie przez wieki przyzwyczaili starych chłopów traktować jak jakich mędrców, a kobiety jak głupie. Dlatego też Pomiechowska milczała, choć powinna wyrzucić Kornelowiczowi, że trzeba mieć serce z kamienia, gdy się nie wsparło w biedzie dwóch kobiet, na dodatek nie tylko krewniaczek, ale i kalek, bo jedna na ciele, druga na umyśle odniosła uszczerbek.

Jak skończył z sołtysem, wrócił do dworu. Dobrze było słyhać, że wrócił, bo tak krzyczał na kobiety, które zgodziły się sprzątać, jak nikt nigdy w tej wsi, a miała ona już swoje sześćset lat, nie krzyczał. Podrostki, co od strony ogrodu się przekradły, by przez okno podglądać, opowiadały, że przejrzał każdy kąt, do każdej szuflady zajrzał, a co znalazł cenniejszego, to po kieszeniach upychał. Gdy skończył, kazał wezwać policję z miasteczka. Oskarżył chłopów ze wsi o kradzież kosztowności.

Staszka westchnęła. Smutno jej się zrobiło na wspomnienie tego, co było później. Bo przecież z całej wsi ani jedna osoba do dworu nie chodziła, tylko Jadźka Adamczukówna. Dzierżawca, żeby się wybielić i żeby przypadkiem na niego podejrzenie nie padło, powiedział, że Jadźka przychodziła, a po śmierci Marty to nawet ktoś się włamał, bo drzwi od ogrodu były otwarte.

No i tak zapukali do Adamczuków. Pytają biedną Jadźkę, czy chodziła. Dobre to dziecko, dusza szczerza, nie skłamała, tylko szczerze powiedziała, że chodziła, że z miłości do pani Marty. Potem w płacz. Słowa więcej nie powiedziała, tylko płakała i powtarzała, że to przez nią, że jej wina. Wszystkim na świecie wiadomo, że są słowa, których przy policjancie używać nie wolno pod żadnym pozorem. „Wina” to jedno z nich. Tylko to usłyszał, zaraz zakuł ją w kajdany i do Łaszczowa na posterunek zabrał

celem wyjaśnienia. Biedna Jadźka. Teraz Staszce było dziewczyny szczerze żal, choć jeszcze niedawno miała do niej pretensje za tę niczym niewytłumaczalną sympatię do Marty i niechęć do Zośki. To minęło i w nieszczęściu szczerze dziewczynie współczuła i na rozprawie na korzyść Jadźki świadczyła.

Można powiedzieć, że z sąsiedztwa z Kornelowiczami Tynczynowi nic dobrego nie przyszło. Dobrze, że cała ich gospodarka wystawiona na sprzedaż. Może kto kupi, może nie, trudno powiedzieć, czasy ciężkie. Wydaje się, że z roku na rok cięższe. Tak się wszyscy w osiemnastym roku cieszyli wolnością. Okazuje się jednak, że wolności do garnka nie włożysz, a postne kartofle tak samo smakują, bez względu na to, czy masz nad głową but carski, czy wiatr wolności ci nad nią szumi. Teraz ludzie zaczęli wzdychać za starymi czasami. Niektórzy się dziwili. Zwłaszcza Teofila przypominała, jak to kiedyś źle było, dzieci szkoły nie miały, a carscy urzędnicy chłopów nękali.

Pomiechowska się nie dziwiła. Rozumiała, że ludzie pamiętają to, co chcą. Z czasów zaborów zostały im wspomnienia młodości, miłości, radości, a o wszystkim, co złe, zapomnieli. Ma to jakiś sens, po cóż całe życie targać ze sobą niedobre wspomnienia? Tak samo to mądre jak wyprawienie się w podróż z kamieniami w kieszeniach. Pókiś niezmęczony, to nieść je będziesz, ale jak droga zacznie ciążyć, precz wyrzucisz i zapomnisz. Tak i złe wspomnienia ludzie precz odrzucają, bo czy im się do czegoś w życiu przydadzą?

Okazuje się jednak, że są przypadki, kiedy człowiek nie tylko powinien, ale też ma obowiązek pamiętać. Bo zapomnieć o tym, jak było, znaczy skłamać. Kłamstwo o sobie, swojej rodzinie, przeszłości, historii to grzech. Nawet ciężki, bo to wszak dawanie fałszywego świadectwa. I ci wszyscy, co mówią, że za cara było lepiej, powinni się z tego wypowiadać.

Inna sprawa, że ciężko było. Jeszcze z pięć lat temu poprawiało się ludziom, radość w nich wstępowała, nadzieja. Ten i ów zaczynał mieć pieniądze. Ubrania nosili lepsze, narzędzia, krowy i konie lśniły tłustością, tej i owej kobiecie podbródek zaczynał rosnać, temu i owemu chłopu brzuszysko się fundowało.

I pomyśleć, że gdy gazety pisały o tym, co tam gruchnęło w Ameryce, to we wsi jeden tylko Wawrzek Adamczuk się przejął. Gdy tylko kogoś spotkał, zaczynał wywód, jak to zaraz, za momencik źle zacznie się u nas dziać.

Zapominał się w tym tak bardzo, jakby już nie był Wawrzkiem, tylko Michaldą. Toteż śmiali się z niego ludzie za plecami. Gadali, że zdziwaczał w tej całej Ameryce, a im starszy, tym to zdziwaczenie bardziej rzuca się w oczy. A tu masz! Na jego wyszło. Pieniądze coraz mniej znaczyły, coraz trudniej było je zarobić, coraz mniej dało się za nie kupić. Wróciły czasy, że człowiek po pięć razy rzecz oglądał, zanim zdecydował się wyrzucić. Na te zwykłe ubrania, do chodu, naszywano łaty, a na nie kolejne łaty, później jeszcze jedno. Święteczne ubrania szanowano tak, jakby miały służyć do końca życia, a i po życiu, bo po cóż rodzinie kłopot robić, wystarczy, że ksiądz zedrze, jakby grzebanie nieboszczyka nie było obowiązkiem, a przywilejem dla bogatych.

– I w całej tej biedzie, jaka na nas przyszła, znaleźli się tacy, co uznali, że trzeba pieniądze wydać na takie widzimisię jak druga studnia – powiedziała na głos Staszka. – Jak mnie kto spyta... – urwała.

Nagle przyszła jej do głowy myśl, że przecież jak Tynczyn Tynczynem, tak są w nim Pomiechowscy, rodzina, która wszystko wie, wszystko pamięta. To teść Staszki wieczorami opowiadał o Mikołaju z Nieborowa herbu Prawda, kuchmistrzowi ksiązęcym i kasztelanie sochaczewskim, który te ziemie nadaniem królewskim otrzymał, mówił, że była to wieś trzyłanowa, a jej nazwa wywodzi się od nazwy tyżynu, który nad brzegami Huczwy rośnie. Takie rzeczy opowiadał, by zapomnieniu nie uległy i zachowane zostały w pamięci wsi.

– Jak mnie kto spyta, jak to ze studnią było, to co ja powiem? Że się obrażam, bo mi nijak ta nowa studnia nie pasuje, i nie poszłam zobaczyć, dlatego też niczego o tym powiedzieć nie mogę? – Policzki ją zapiekły ze wstydu. – Być tak nie może. Pomiechowska wie wszystko. Wszystko.

Zeskoczyła z ławeczki, jakby miała lat siedem, nie siedemdziesiąt, chwyciła za wiadro, ale zaraz palnęła się w czoło. Po cóż jej wiadro, jak tam jeszcze wody nie ma? Zostawić? Ze swoich nikt nie ukradnie, to pewne. Pewne również, że rozmaici ludzie chodzą po gościńcach. Zwłaszcza teraz. Jakby kto jej wiadro ukradł, żeby sprzedać i dzieciom chleb kupić, toby nie żałowała. Gdyby jednak ukradł, a pieniądze przepił, to Staszka do końca swoich dni wyrzucałaby sobie własną głupotę. Wreszcie wylała wodę, a wiadro schowała w łopianach, co za studnią rosły, bo szkoda jej było czasu, by do domu z nim wracać. Ręce zaplotła pod fartuszką, jak to miała w zwyczaju, i poszła oglądać dziwowisko, jakim było kopanie studni.

Rozdział szesnasty



Brona to, oprócz pługa, najstarsze i najpopularniejsze narzędzie używane do prac polowych.

Służyła do rozbijania grud ziemi, powstałych po orce, a także zbierania z pola wyoranych korzeni i kamieni. Bronowano pola również po zasiewie, by przykryć nasiona warstwą ziemi.

Najpopularniejsza i najstarsza brona, nazywana zębatą, to kratownica z listew metalowych (dawniej drewnianych), nabijanych zębami. Współcześnie istnieje wiele innych form bron, na przykład zygzakowe czy talerzowe, spełniających najróżniejsze zadania (odchwaszczanie, przycinanie ścierni na poziomie gruntu czy wycinanie poplonów).

Kiedyś brony były ciągnięte przez woły lub konie, obecnie służą do tego ciągniki. Pozwoliło to na znaczne rozbudowanie tego narzędzia, wzbogacenie o dodatkowe elementy, na przykład wałki ubijające. Takie maszyny, nazywane agregatami, pozwalają wykonać kilka czynności kultywacyjnych w czasie jednego przejazdu ciągnika.

Listopad 1931

Kajtek podniósł się z zydła. Podszedł do drzwi, zdjął z haka kabat.

– A ty znów dokąd? – zapytała matka. – Siedziałbyś w domu jak człowiek, to cię nosi. Patrz tylko, jaka pogoda podła.

Podła była, to prawda. Wiatr szarpał gołymi drzewami jak zazdrosny chłop szarpie swoją żonę. Wie, że ona niczemu niewinna, ale nie wiecieć skąd jest w nim ta dziwna złość, która przejdzie dopiero wtedy, gdy ją przeciw komuś obróci. Tak i ten wiatr wściekły póty będzie szalał, póty szarpał, póki złość na świat mu nie minie. Gdyby był sam, to pół biedy, towarzyszył mu jednak deszcz, a tak rześisty, jakby niebo było dziewczyną, co za ukochanym łązy

wylewa. Wiatr łapał krople w dłonie i ciskał w ludzi, strumienie wody spływały po twarzach, ubrania w jednej chwili stawały się mokre. W taką pogodę nikt, kto nie musiał, nie ruszał się spod pieca.

Kajtek westchnął i sięgnął po kaszkiet.

– Synu, czemu ty taki? Słowa nie powiesz, robisz coś, nie wiadomo co. Z matką własną nie porozmawiasz. Wietka zupełnie inna, szczerza, otwarta. Czemu ty tak, skoro moje serce jednakowo was oboje kocha?

– Do Matwiejczuka idę – powiedział, zamykając za sobą drzwi do izby.

Skrzypnięcie zagłuszyło słowa matki, nie musiał ich słyszeć, by wiedzieć, co powiedziała. Nie podobało jej się to, co robił. Uważała zaangażowanie Kajtka w działalność partii ukraińskiej za niebezpieczne. Nie używała słowa „głupie”. On sam tak to określał. Chodził na tajne zebrania, słuchał Pietra, który mówił z takim przejęciem, że aż mu kraśniały policzki, i myślał sobie, jakie to głupie. Nigdy wcześniej nie myślał o sobie jako o Ukraińcu czy Polaku. Jest chłopem, mieszkańcem Tynczyna, synem Prokopa Mazura. Już samo nazwisko było symbolem polsko-ukraińskiego, katolicko-prawosławno-unickiego tygla, z którego pochodził. Dziadek Polak ożenił się z Ukrainką, która przeszła na katolicyzm. Ojciec katolik wziął sobie za żonę ukraińską unitkę. Sam Kajtek planował ślub z Polką katoliczką o ukraińsko brzmiącym nazwisku.

Wspomnienie Jadźki wywołało żal. Martwił się o nią. Jeszcze trzy miesiące. Tylko nie wiadomo, co z nimi będzie, gdy dziewczyna wróci. Matka znów zaczyna mówić o Natali Dołęgównie. Czepiła się jak rzep psiego ogona. Nie widzi, że Natalia nie dla Kajtka? Toż to młoda dziewczyna, pogodna, szczęśliwa... Małżeństwo z nim byłoby dla niej jak kajdany. Jadźka to inna historia. Miała w sobie taki sam mrok, smutek, żal do świata. Z zupełnie innych powodów, ale taki sam. Mogli zatem żyć obok siebie we wzajemnej akceptacji. Z Natalą... Boże Broń!

Ciałem Kajtka aż zatelepało na myśl, jak bardzo unieszczęśliwiłby dziewczynę. Obawiał się też, by matka nie posunęła się zbyt daleko w planowaniu mu przyszłości. Co będzie, jak ze starą Hubową albo też z Wojtkiem, za plecami i Kajtka, i Natali, się zmówią i po wsi pójdzie wieść o planowanym weselu? Jemu wszystko jedno, wie, że ludzie za plecami szepczą, że niemowa, że durny. Tej biednej dziewczyny szkoda, bo po cóż znów mają o niej pleść niestworzone rzeczy. Mało wygadywali, kiedy matka się z różnymi gziła albo gdy w końcu uciekła? Teraz by wspominali tamto

i dodawali, że trefna, skoro nawet ktoś taki jak Kajtek Mazur, głupek kompletny, nie chciał się z nią ożenić. Po cóż dziewczynie to ludzkie gadanie? Gdyby się okazało, że jedynym sposobem, by ją przed nim uchronić, jest żenić się, toby się ożenił. Jadźka by zrozumiała. To w niej lubił. Rozumiała wszystko, nie trzeba było używać słów.

Naprawdę Kajtek miał nadzieję, że Jadźka wróci, zanim jego własna matka zrobi coś nieodwracalnego.

Deszcz chlustał w twarz, wiatr rozwiewał poły kapoty. Nie tylko pogoda była paskudna. Gościniec przypominał jedno wielkie trzęsawisko. Jak to mówią, „wiosną z wiadra wody kropla błota, jesienią z kropli wody wiadro błota”. Ziemia nie chciała już wchłaniać, olbrzymie kałuże sprawiały, że droga przypominała Huczwę. Stopy zapadały się po kostki i trzeba było nie lada siły, by je wyciągnąć. Ludzie zrezygnowali z wyprowadzania zwierząt na pastwiska. Przy ładnej pogodzie pasły się zwykle do świętego Marcina. Przy takiej jak ta trzeba byłoby potwora bez serca, by chudobę na wygonie trzymać. Pokuliłyby się tylko biedne zwierzęta, łby pospuszczały, nie jadłyby, tylko ze smutkiem pojękiwały, żaląc się na swój los.

Dlatego też we wsi nie było nikogo, kto by im kazał moknąć w listopadowym deszczu. Stały bydłatka w obórkach, ze spokojem żując siano czy sieczkę, wsłuchane w szum deszczu spływającego po strzesze. Nie myślały nawet o tym, że owo siano samo do żłobu nie zaszło, musiał je człowiek przynieść, tak jak i wodę do picia ze studni. Gdy więc one stały, ludzie chodzili po deszczu, mokli, marzli, chowali głowy w ramionach, bo wydawało im się, że to uczyni niedogodności znośniejszymi. Ze wszystkiego, co mawiają ludzie, najwięcej prawdy jest w tym, że człowiek zniesie więcej niż jakiegokolwiek bydłę.

Kajtek pomyślał o cierpieniu, które trawiło jego duszę. Z takiej tęsknoty zwierzę dawno by zdechło, a on żył. I nie tylko żył. Każdego ranka budził się z durną nadzieją, że może zdarzy mu się ją spotkać, że ona choć popatrzy w jego stronę.

Nikt, zupełnie nikt by się nie domyślił, że chodził na te tajne spotkania ukraińskiej organizacji nie ze względu na swoje poglądy, tylko dlatego, że odbywały się u niej w chałupie. Co prawda Pietro kazał żonie siedzieć w sypialnej izbie, Marinka jednak niewiele sobie z tego robiła. Kajtek siadał w kącie, udawał, że słucha o wolnej Ukrainie, a tak naprawdę marzył. Wodził wzrokiem za Marinką, gdy krzątała się przy kuchni, podrzucała do pieca,

strawę do dochówki wkładała, i wyobrażał sobie, że to jego chata, jego żona, jego kolacja trzymana w ciepłe, by nie wystygła. Ludzie, którzy tu siedzą, niedługo się rozejdą, a oni zostaną sami. Przytuli ją wtedy, pocałuje, powie, jaka jest dla niego ważna, jak bardzo ją kocha, i jeszcze o tym, że nie wyobraża sobie życia bez niej, bo tylko dzięki niej jego serce bije. A Marinka się roześmieje, zmierzwi mu włosy, powie, że jest jej światem, że ją uszczęśliwia, ale nie czas teraz na gadanie, tylko na wieczerzę, bo jeszcze chwila i kartofle zdębieją na amen, a ona nie po to cały dzień przy kuchni stoi, by jeść twarde kartofle.

Tak sobie marzył za każdym razem, gdy przychodził do Pietra Matwiejczuka. A ponieważ dobrze mu było z tymi marzeniami, coraz częściej się tu zjawiał.

– Mazur, dobrze cię widzieć. – Gospodarz klepnął Kajtkę w plecy, ledwo ten przekroczył próg. – Kilka spraw ważnych mamy do omówienia.

Ostatnim razem ważną do omówienia kwestią okazało się wychwalanie hydroelektrowni na Dniestrze, wybudowanej w dwudziestym siódmym roku. Miał to być dowód, do jak wielkich przedsięwzięć gotów jest naród ukraiński. Skoro pod jarzmem Związku Radzieckiego takie rzeczy tworzy, to wprost w głowie się nie mieści, co zdoła osiągnąć, jak już zdobędzie upragnioną wolność.

Skąd Pietro brał materiały, nie wiadomo, miał jednak zawsze coś do przeczytania. Kajtkę najbardziej cieszyło, gdy były to wiersze Tarasa Szewczenki. Melodyjności tekstów nie zakłócało nawet dukięcie Pietra. Kajtek zapamiętywał wersy, a później powtarzał je raz za razem. „Kiedy umrę, to na wzgórzu wzniesicie mi mogiłę, pośród stepu szerokiego Ukrainy miłej. Aby łąny rozłożyste i brzeg Dniepru stromy można było widzieć, słyszeć jego grzmiące głosy”. Te słowa wzbudzały niezwykłą tęsknotę, szarpały serce, a jednocześnie dawały słodkie ukojenie. Takie samo, jakie odczuwał, patrząc na Marinę.

Lubił też słuchać o historii Ukrainy. Zwłaszcza o jej najdawniejszych dziejach. O Ruryku, od którego wywodzili się ukraińscy władcy, o Olegu Mądrym i powstaniu Rusi Kijowskiej, o dzielnej Oldze Kijowskiej, która kraj zjednoczyła, sprawiając, że stał się potęgą, o Włodzimierzu, zwanym Wielkim, który poślubił siostrę cesarza Bazylego II Bułgarobójcy, Annę, i chrzest z Bizancjum przyjąwszy, złapał w objęcia posąg Peruna i w odmęty Dniestru go rzucił, o Jarosławie Mądrym, który śmiało wyprawiał się na

ziemie polskie, siejąc strach i zniszczenie, o wielkim hetmanie Iwanie Mazepie, który miał wizję nowoczesnego państwa dużo wcześniej, niż powstała ona w jakimkolwiek innym kraju.

Zdarzało się, że na spotkania przychodził ktoś starszy. Wtedy miały one burzliwszy przebieg. Ze smutkiem wspomniano czarne karty historii. Jeśli mówiono o Jarosławie Wielkim, to o tym, że, niestety, lepszym był ojcem niż władcą, bo podzieliwszy kraj między synów, położył kres wielkiej Rusi, skazując naród ukraiński na lata życia pod butem tak rosyjskim, jak i polskim. Rozprawiano o powstaniu Kosińskiego, które było pierwszym powstaniem kozackim, i o buncie Chmielnickiego, zakończonym ugodą perejasławską, czyli poddaniem Ukrainy mocarnemu sąsiadowi – Rosji. O unii hadziackiej, która mogła to odmienić, wiadomo jednak, że na czym car położył łapę, tego łatwo już nie oddał, więc skończyło się tak, jak się skończyło. O dokonanej przez carycę Katarzynę likwidacji Sycy Zaporoskiej, co było zniszczeniem najbardziej wolnego, narodowego bytu, jaki kiedykolwiek istniał. Opowiadano o wszystkich smutnych kartach ukraińskiej historii.

Dużą przykrość sprawiało Kajtkowi słuchanie tego, co wywracało jego sądy o Polsce i Polakach. Zdarzało mu się myśleć, że gdyby ojciec żył, a dowiedziałby się, że syn na zebrania do chałupy Matwiejczuków chodzi, to nie patrzyłby na to, że Kajtek dorosły, tylko sprząłby go po gębie. „To ja się pod polską flagą z bolszewikami biłem za ten kraj nasz, za jego wolność i niezależność, życie za niego oddałem, żebyś ty teraz na to pluł?” – to właśnie usłyszałby od ojca. I nie mógłby nie przyznać mu racji. To ich kraj, tu, w Tynczynie, w Polsce. I byli za niego odpowiedzialni, ale jednocześnie... Kajtek chciałby powiedzieć ojcu o unii lubelskiej, w myśl której Ukraina przeszła pod panowanie polskie, co zapoczątkowało jej kolonizację.

– Polscy panowie przyjechali jak po swoje. Brali, zagarniali, dzielili między siebie, jakby mieli do tego odwieczne prawo. Chłopi z najróżniejszych części Polski przybywali, budowali chałupy, nie pytając nikogo o zgodę. Zarówno jedni, jak i drudzy mieli się za lepszych od Ukraińców. To przecież polski szlachcic, Krzysztof Kosiński, we własnym interesie działając, poderwał Kozaków do powstania, krwawo stłumionego przez Rzeczpospolitą. Za jego przykładem szli inni, aż do Chmielnickiego, który chcąc Ukrainę ratować, zwrócił się do Rosji.

– A powiedzże mi synu, czy ów hetman Chmielnicki też przypadkiem nie działał we własnym interesie? Czy ruina po wznieconym przez niego powstaniu nie wzięła się z tego, że własne krzywdy chciał wyrównać? Czy widzisz jakąś różnicę między nim a Kosińskim?

Na tak postawione pytanie Kajtek nie potrafiłby odpowiedzieć. Jego zdaniem ojciec powiedziałby również, że gdy ziemie ukraińskie podzielono w Andruszowie między Polskę a Rosję, to bez wątpliwości tym, co zostali po stronie zachodniej, lepiej się działo. Rosja stłumiła wszelkie ruchy autonomiczne i zlikwidowała Cerkiew unicką. Upomniałby też syna, by Kajtek nie był jak ci chłopcy w Galicji i nie pozwalał szcuć się przeciw narodowi, którego krew w jego żyłach płynie.

Może dobrze, że ojciec zginął i nie widzi tego, co robi syn? A może widzi. Jeśli tak, jeśli z góry spogląda, to dobrze wie, że jest tylko jeden powód, dla którego Kajtek do Matwiejczuków przychodzi.

– Tylko popatrzcie, tatku, jaka ona piękna. Widzieliście kiedy takie oczy? Mówi się o oczach, że są jak gwiazdy. Ale jej oczy nie są jak gwiazdy. Są jak sierpniowe niebo odbite w zielonych wodach Huczwy, bo choć ciemne, to rozmigotane, a pełne niezwyklej tajemniczości. A skóra na policzkach? Nie ma na świecie batystu, który równać by się z nią mógł gładkością. I ten głos. Ona się śmieje, a ja na drugim krańcu wsi słyszę, bo brzmi, jakby tysiąc skowronków naraz zaświergotało. Tak przyjemnie na nią patrzeć, gdy idzie, ruchy ma takie zwinne, lekkie, jakby tańczyła. Niektóre po urodzeniu dziecka tracą urodę i figurę, a ona wciąż wygląda, jakby miała siedemnaście lat, a dzieciątko w jej ramionach było braciszkiem, nie synkiem.

Czuł, że się uśmiecha, lecz nie mógł się powstrzymać. Ilekroć o niej myślał, zawsze tak się działo.

– Tobie, Mazur, wesoło jakoś? – Głos Pietra pełen był gniewu. – Coś z tego, o czym mówimy, wydaje ci się śmieszne?

Ty wydajesz mi się śmieszny, atamanie. Oddajesz się marzeniom, żyjesz przeszłą chwałą, roi ci się świat, w którym będziesz kimś wielkim, znacznym. Nie walczysz o niepodległość Ukrainy, tylko o uznanie dla siebie, lubisz, by ludzie tu przychodzili, bo czujesz się ważny. A o tym, że masz w chałupie skarb najcenniejszy, o którym inni marzyć tylko mogą, że masz szczęście niewypowiedziane, to nawet nie pomyślisz.

W tej chwili siedzący obok Pietra młody Iwaniuk szarpnął go za rękaw i przysłaniając dłonią usta, szepnął:

– Co się czepiasz durnego?

Pietro sapnął. Spojrzał na Kajtka ze złością i politowaniem. Chrząknął.

– Będziesz walczył o wolną i niepodległą Ukrainę z całych sił?

Kajtek skinął głową. Będzie.

Rozdział siedemnasty



Jedną z najpopularniejszych zup na wsi była zwykła kartoflanka. Obrane i pokrojone ziemniaki gotowano do chwili, gdy się rozpadły. Zagęszczano całość zasmażką z cebulą i słoniną, a w okresie postu zwykłą zasmażką z mąki prażonej na suchej patelni. Można też było zagęścić zupę starym suchym chlebem. Gdy dodawano do niej kluski, mówiono już nie „kartoflanka”, tylko „kluski na kartoflach”.

Czerwiec 1932

Ciepła noc zamieniła się w przyjemny i jasny poranek. Z każdą godziną robiło się coraz bardziej gorąco, a gdy słońce stanęło w zenicie, było już upalnie. Podobnie jak dzień wcześniej, tyle że wtedy wiał ze wschodu chłodny wiatr, czyniąc upał znośnym. Teraz wiatru nie było. Pewnie zmęczony gorącem zwinął się w kłębek i usnął w konarach starej jabłoni albo wśród chwastów na miedzy. Nieruchome powietrze parzyło, coraz trudniej było nim oddychać, praca stawała się niemożliwa. Mokre od potu ubrania kleiły się do ciała, a każdy, nawet najdrobniejszy ruch wymagał więcej energii. Pić chciało się tak, że gdy człowiek przytulił wargi do brzegu kubka, nie było siły władnej mu go wyrwać. Kubek czy wiadro, żadna ilość wody nie gasiła pragnienia. Może dlatego, że przepływała tylko przez człowieka, chlupocząc w pustych kiszkiach? Jakże miały nie być puste, skoro z gorąca jeść się nie chciało? Nic, zupełnie nic się nie chciało – ani jeść, ani spać, ani pracować. Nie chciało się żyć.

Ci, którzy znali ten wilgotny, lepki upał, ze strachem podnosili głowy.

Niebo wciąż jednak było krystalicznie niebieskie, spokojne, równie zmęczone upałem, co oni, a słońce, które wydawało się poszarzałe, wolno toczyło się ku zachodowi.

Dobrze po południu obudził się wiatr. Zerwał się gwałtownie, zakołysał zbożem, zatrzęsł gałęziami drzew. Jaskółki pierwsze wyczuły, co się dzieje. Obniżyły lot i z przeraźliwym wrzaskiem wpadły do obór. Wywoływały piskłota: „Szybko, dzieci, szybko. To nic, że wasze piórka jeszcze krótkie, że wcześniej nie latałyście, ale zbliża się niebezpieczeństwo. Na drzewa, na gałęzie, tam będziemy bezpieczne”. Przestraszone maluchy darły się rozpaczliwie, te, które nie miały jeszcze piórek, żegnały się z rodzicami, kulily łebki i zamierały na dnie kolebek z błota i słomy.

Ludzie, który jeszcze chwilę temu snuli się po polach i łąkach jak te senne mary, nagle dostawali szwungu. Grabiący siano machali widłami tak, że aż furczało, byle jeszcze jedna kopica, bo w kopicy tak nie zmoknie. Plewiące fasolę czy buraki kobiety rzucały motyki i co sił w nogach gnały do domu, by chować pod dachy to, co wyniosły na słońce. Bo przecież trzeba zabrać i pierzyny, i sienniki, i dopiero co rozwieszane pranie. Chciało się wysuszyć, wygrzać na słoneczku, by zapach stęchlizny, który zimą wszedł w pościel, wywietrzał. Po drodze krzyczano na dzieciaki, by biegły na pastwiska i wygony.

– Zaganiaj krowę do domu, zaganiaj! – krzyczały matki, szarpiąc się z siennikami, zrywając koszule ze sznurków.

Niosły wszystko do izby, rzucały byle gdzie, bo czasu nie ma, trzeba drzwi do chlewika podeprzeć, żeby woda się nie nalała, bo prosięta się potopią. A jeszcze kury! Durne kury trzeba zagonić, niech pod dachem siedzą, burza idzie. A gdzież to gęsi?

– Widzieliście gęsi? Toż miałaś pilnować? Jak do rzeki poszły, to popłyną nie wiadomo gdzie i tyle z tego będzie – piekliły się na dzieci, których obowiązkiem było nie pozwolić, by ptaki poszły za głosem natury.

Jeszcze chwila, jeszcze moment i nie gęsi będą największym zmartwieniem mieszkańców Tynczyna. Z zachodu nadciągały chmury. Wysokie, spiętrzone jak morskie fale podczas sztormu. Ciemniejsze niż nocne niebo, a złe jak sam diabeł. Mruczały gniewnie, coraz to głośniej. Kobiety chwyciły sól święconą w dniu świętej Agaty. Modliły się, a słowa w tych nieskładnych modlitwach były słowami dzieci, proszących matkę o zlitowanie. Posypywano solą cztery rogi chaty. Zdarzało się, że ogarnięta strachem gospodyni soliła wszystko jak

popadło, póki soli w rękach.

Nad wieś nadciągnęły chmury. Zasnuły niebo, już nie mrucały. Przetaczały się po nich ryki grzmotów, tak że i niebo, i ziemia jednakowo drżały. Ciemno się zrobiło jak w bezgwiazdną noc. Przerażone dzieci tuliły się do matek.

Gdyby ktoś w takiej chwili szedł przez wieś, zobaczyłby tylko okienka rozświetlone płomykami gromnic. Zapalano je i modlono się do Matki Boskiej, tej ostatniej ucieczki grzesznych.

Jak wąż po liściach, tak po chmurach prześlizgnął się srebrny zygzak błyskawicy. A za nim drugi i trzeci. Pędziły ku ziemi, by w nią uderzyć z wściekłością. Srebrne iskry rozsypywały się na wszystkie strony jak krople wody w Huczwie, gdy chłopcy dla zabawy ciskali w nurt kamieniami. A w każdej z tych iskierek czaił się zarodek nieszczęścia. Wystarczyło bowiem, by spadła na suchy liść, wiecheć siana, garść sieczki, a mogła się zmienić w jęczyczek ognia, który tylko czekał, by polizać stojącą obok stertę, wspiąć się po ścianie budynku albo też by podmuch wiatru zaniósł go na dach.

Dziwny odgłos poszedł po niebie jak krzyk rozpacz. To dały się chmury. Z ich brzuchów brzemiennych lunęło i nie był to deszcz kropli. Z nieba ku ziemi opadały strumienie wody. Huczwa się zatrzymała i patrzyła ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, kto odbiera jej prymat tynczyńskiej rzeki. I czemuż ta nowa jest tak dziwna, że zamiast po ziemi toczy swoje wody pionowo? Może to ten słynny wodospad, o którym szemrzą spływające z gór strumyki?

Chlustająca z nieba woda wściekle pieniała się na ziemi. Przez czas jakiś grunt wchłaniał ją w siebie, w końcu jednak przestał nadążać, tak dużo jej leciało. Na palec, na dwa, w końcu na wysokość dłoni było wszędzie wody. Kurczęta, które kwoka ukryła pod łopianem, przekonana, że tam będzie bezpiecznie, piszczały teraz, bo woda sięgała ich dziobków, i wspinały się na matczyne grzbiec, by ratować życie. Jaskółki z całych sił trzymały się gałęzi starych jabłoni, uspokajając świergotem dzieci i prosząc, by pod żadnym pozorem nie zrywały się do lotu. Bo w takiej chwili lot znaczy śmierć.

I gdy już się wydawało, że ten wiatr, deszcz, te grzmoty nigdy nie ustaną, tak nagle, jak się zaczęło, tak i się skończyło. Między czarnymi chmurami ukazał się błękitny skrawek nieba, tak jasny i pogodny jak oczy zakochanej dziewczyny. I podobny do jej uśmiechu błysnął promień słońca. Chmury,

zawstydzone swoim zachowaniem, pobiegły ku wschodowi i tam zniknęły za horyzontem. Wiatr przysiadł na jabłoni i bawił się, strącając krople z liści. Jaskółki wzbiły się ku niebu, by w wilgotnym powietrzu szukać muszek, komarów i wszelkiego tego stworzenia, które służyło im za pokarm.

Kobiety zdmuchiwały gromnice, pośpiesznie szepcząc dziękczynne modlitwy. Nie było czasu do stracenia, trzeba było biec, ratować, co się dało, szacować straty.

– Woda pod progiem, odmiataj, odmiataj, bo do chałupy się naleje! – krzyczały, wkładając w małe dłonie mietlicowe miotły.

Same gnały do chlewika, bo prosięta najważniejsze. Nalało się, a jakże. Zadowolona maciora turlała się w błocie, nie zwracając najmniejszej uwagi na swoje potomstwo, które ugrzęzło tak, że ledwo oczy było widać. Jedno za drugim trzeba było z tego błota wyciągnąć i przenieść tam, gdzie bardziej sucho, choćby i na podwórze. Prosięta wcale nie uważały tego za pomoc. Wręcz przeciwnie, złapane za nogi wrywały się i darły przeraźliwie. Ich pisk sprawiał, że maciora rzucała się ku gospodyni, dając znak chrumkaniem, że ta sytuacja wcale jej się nie podoba.

– Gdzie się pchasz, durna? Mało się nie potopiły, a ty jeszcze podusić je chcesz? Patrz, gdzie leziesz!

I spod matczynych racic gospodyni wyciągała różowego malca, ledwie już żywego.

Skończywszy z prosiętami, biegły do obory sprawdzić, czy przestraszone bydłota nie pourywały się z postronków, na koniec ratowały pisklęta, zbierając przemoczone kulki do koszyków i niosąc do ciepłych izb, by tam wyschły. Bo na zewnątrz nie było ani jednego suchego miejsca. Cały, caluteńki Tynczyn został zalany wodą, jakby zbudowano go na środku ogromnego jeziora, ciągnącego się od Podpoła aż do brzegów Huczwy.

Gdy dorośli zajęci byli w obejściach, dzieciarnia porzucała izby, które nagle wydawały się mroczne i zimne, by biec na łąki, gdzie urządzano wyścigi w ciepłej wodzie.

Zaniepokojone matki wołały maluchy, by natychmiast wracały do domów.

– Żeby z tego nieszczęścia nie było! Wiesz, że od takiej wody choroba może cię pokręcić?

– A tamci mogą?

– Mogą, bo duzi. Jak urośniesz, to też będziesz tak biegał, a teraz do chałupy. I poproś Najświętszą Panią, żeby się nad tobą, durnym,

ulitowała i od choroby ochroniła. Na to, co siedzi w takiej wodzie, dzieci umierają. A jak nie umrą, to pokręcone w łózkach leżą. Chcesz całe życie jak ta kłoda leżeć? Tam konie szczają i tak rozsiewają chorobę. Więcej tak nie rób, a teraz idź i się pomódl.

Temu i owemu nalało się do obory. Nie wiedział, że w strzesze dziura. Ptaki słomę wybrały, myszy wygryzły, a może zwyczajnie zbutwiała. Człowiek nie zauważył, ale gwałtowny deszcz znalazł dziurę. Teraz trzeba było rozwodniony gnój wynosić, sprzątać, świeżą słomę zwierzętom pod nogi rzucać. No i koniecznie dach łątać, bo to dopiero pierwsza z letnich burz, do sierpnia należy się jeszcze kilku spodziewać.

Bronka zgasiła gromnicę i wyszła na podwórko. Czuła, że jej ruchy są powolne, nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie ani odrobiny energii więcej. Niby rozglądała się po obejściu, niby sprawdzała, jakich szkód deszcz narobił, wszystko to jednak było tylko udawane. Tak naprawdę nic jej to nie obchodziło.

Od łąk biegł ku niej Broneczek, bratanek Jaśka, a za nim Janeczka. Niewiarygodne, jak te dzieci się zmieniały. Chłopiec każdego dnia wydawał się wyższy i chudszy. Doroślał, ale twarz pozostawała drobna i dziecięca.

– Stryjno, stryjno! A Janeczka klucz od chałupy zgubiła.

– Zgubiła?

– Mnie mama dali klucz do pilnowania, bo oni poszli w pole fasolę wyciągać. A Janka: „Daj mi klucz, daj, ja nie zgubię”. Dał, a ona, durna, zgubiła.

W tym momencie tłuściutka Janeczka dotelepała się do nich na swoich krótkich, kaczyczych nóżkach. Twarzyczkę miała zalaną łzami. Bronka czuła, że powinna przytulić małą, powiedzieć jej kilka pocieszających słów. Tylko że nie znajdowała ich w sobie. Ani dla tego dziecka, ani dla siebie.

– Jak tatko wróć od dziedzica, to będą musieli klucza szukać. Nie ucieszą się z tego, oj, nie ucieszą – powiedział Broneczek bardzo poważnym tonem, a dziewczynka zanosła się płaczem.

– Nie płacz, przecież bić cię nie będą – rzuciła Bronka tak obojętnie, że aż samą ją to zdziwiło.

– Bić nie zbiją, ale źli będą. – Chłopiec wyraźnie chciał sprawić, by siostra dalej płakała.

Zwabiona odgłosami rozmowy, z chaty wyszła Krystyna. Mimo że ubrana w codzienną spódnicę i bluzkę, to i tak wyglądała jak wielka pani. Bronka

pojąć nie mogła, jak to się dzieje, że matka zawsze taka schludna. Jakby nigdy nic nie robiła. Przecież pomagała we wszystkim. Najwięcej oczywiście przy gotowaniu, ale zdarzało jej się sprzątać, pracować w ogrodzie i polu, a nawet robić obrządki. Bez względu na to, co robiła, jej bluzka miała czyste mankiety, kraj spódnicy nie był oblepiony błotem, a fartuszek nie wyglądał jak szmata, którą właśnie wycierano podłogi.

– Dzień dobry wam, mili moi. A cóż to za płacz słyszę?

– Dzień dobry, ciotko Malicka. Janeczka klucz zgubiła.

– To poważna sprawa. Musicie teraz klucz odszukać.

– Nie da rady.

– Jakże nie da? Musisz sobie, Janeczko, przypomnieć, gdzie chodziłaś. I wrócić dokładnie w te miejsca, wolniutko, krok za krokiem, z nosem przy ziemi, żeby niczego nie przeoczyć. Przecież klucz to nie igła. Brat ci pomoże.

– Kiedy to ona zgubiła! – zaprotestował chłopiec.

– A czyż Janeczka nie jest twoją młodszą siostrą? Nie masz przypadkiem obowiązku troszczyć się o nią? A ty – zwróciła się do dziewczynki – nie płacz już, buzię umyj i wytrzyj. Nie wypada, żeby taka duża panna chodziła zasmarkana.

Chłopiec podumał chwilę, a potem szurnął nogami, ukłonił się nisko i objąwszy Jankę ramieniem, zawrócił z nią w stronę łąk.

– Lubię tego Broneczka. Jest w wieku Włodzia, prawda?

– Rok starszy.

– Dwanaście lat? Kto by pomyślał, leci ten czas. Jeszcze nie tak dawno ty byłaś taka malutka. Pamiętam, jak pierwszy raz trzymałam cię w ramionach. Miałaś takie...

– Proszę, przestańcie, mamó.

– Powinnaś przeboleć. To nie może trwać wiecznie.

– Mama nie rozumieją...

– Oczywiście, że rozumiem. Sama straciłam dziecko.

– To co innego, wasze się nie urodziło.

Matka westchnęła. Podeszła do Bronki, położyła dłoń na jej ramieniu i patrząc w oczy, powiedziała:

– Zawsze jest to coś innego. Śmierć dziecka, matki, brata, męża, za każdym razem to jest coś innego. I zawsze, niestety, to samo. Trzeba przepłakać, przeboleć, a potem wytrzeć oczy i iść dalej.

– Ja... ja tak nie potrafię.

Palce matki mocniej zacisnęły się na ramieniu Bronki. Jakby matka zamierzała nią potrząsnąć.

– Owszem, potrafisz. To taka nasza ludzka umiejętność, przejście żałoby. Trwają w niej tylko ci, którzy chcą.

Bronka szarpnęła się i zrobiła krok w tył.

– Mama uważają, że ja tak specjalnie?

– Czy ja mówię, że specjalnie? Dotarło do ciebie, że poślubienie tego hultaja było błędem. Spadły ci klapki z oczu i widzisz, że trafiłaś do chamskiej, niewykształconej rodziny. Nie radzisz sobie z niczym, wszyscy mają o to do ciebie pretensje i jeszcze spada na ciebie śmierć dziecka. Jesteś w matni, nie widzisz dla siebie drogi ratunku i zatracasz się w żałobie.

Nie odpowiedziała; złapała widły oparte o ścianę obory.

– Pójdę na ogród. Trzeba...

Nie skończyła, odwróciła się na pięcie i pobiegła za chałupę.

Deszcz był tak ulewny, że rośliny gięły się pod ciężarem kropli. Łodygi leżały na ziemi, liście topiły się w błocie, które lada chwila słońce zacznie wysuszać. Twarda skorupa pokryje ziemię i zanim roślina zdąży się podnieść, zostanie uwięziona, a liście, na których zaschnie błoto, będą się dusić. Trzeba je ratować, delikatnie widłami wyciągać z miękkiego błota. Delikatnie. Tylko że Bronki w tej chwili nie stać było na delikatność. Chciałaby stanąć przed matką i rzucić jej prosto w twarz: – To wszystko przez ciebie! Przez ciebie!

To prawda, wcale sobie nie radziła, bo o wielu sprawach w gospodarstwie nie miała pojęcia, ale nikt nie żywił do niej o to pretensji. Zarówno Teofila, jak i Antoszka cierpliwie tłumaczyły, pokazywały, pomagały. Jaśko wspierał, jak umiał, niejedną raz podejmując babską robotę. Bronka uczyła się i było coraz lepiej. Wystarczy spojrzeć na ogród. Zeszłoroczny był klęską, w konopiach same płaszczaki, kapusty popękane, na bobie po trzy strączki, rośliny tak biedne, jakby cierpiały z niedożywienia. A w tym roku wprost gaj. Wszystko bujne, zielone, plenne. W oborze tak samo. Od Bożego Narodzenia krowa ani razu nie dostała zapalenia wymienia i dawała całe wiadro mleka, kury się niosły, świnia niedługo miała się oprosić. Nawet to teraz Bronka wiedziała, że ciąża u maciory trwa trzy miesiące, trzy tygodnie i trzy dni.

Słowo „ciąża” było jak wiatr, co na powrót przygania czarne chmury, gdy te już, już miały zniknąć za horyzontem.

– Jakaż ja byłam głupia – powiedziała do siebie, wspominając tę szczęśliwą

młodą mężatkę, którą była zaledwie rok temu.

Nim na dobre weszła w życie, już spełniły się jej wszystkie marzenia. Poślubiła ukochanego mężczyznę, miała własny dom, solidny kawałek ziemi, a rodzina Jaśka otaczała ją życzliwym wsparciem. No i była w ciąży. Życie jak sen złoty.

Wtedy sprowadziła się matka. Zgodnie z umową zawartą z hrabią Kalińskim opuściła dwór, by zapewnić Włodkowi lepsze życie. Wiadomo oczywiście, że syn kucharki nie miał szans, by rodzina hrabiowska uznała go za jednego ze swoich, tego na tym świecie nie było i nie będzie, jednak posada urzędnika w mieście to dużo więcej, niż los mógł przynieść Włodzowi. Choć marzeniem Bronki było, by brat zamieszkał u niej, zgodziła się z matką, że będzie dla niego najlepiej, jeśli zostanie przy hrabim Kalińskim. Sytuacja, w której Włodziu mówiłby „mamo” do kucharki, a do hrabiego „stryju”, była absolutnie nie do zaakceptowania. Dlatego też w tych ładnych, jaśniepańskich słowach poproszono mamę, by opuściła dwór, jak tylko znajdzie się następczyni. Gdy tak się stało, a było to w zeszłym roku, po święcie Matki Boskiej Jagodnej, mama zjawiała się w Tynczynie i zamieszkała z Bronką i Jaśkiem.

Wtedy to właśnie zaczęło się dziać źle. Matka, która od początku nie lubiła Lipczewskich, nie uważała za zasadne ukrywać swoich uczuć. Na każdym kroku wdawała się w spory z Teofilą i Antoszką. Choć o Julianie, polowym w nadoleckim majątku, miała nieco lepsze zdanie, to wcale nie przeszkadzało jej wchodzić z nim w spory polityczne. Nazywała Lipczewskich hultajami i chamami.

– Mamo, toż dziadek Kazimierza był unickim przeorem – mówiła Bronka.

– To tylko gorzej, moja droga, bo pokazuje, jak nisko upadli.

Jakby było jej mało ciągłych konfliktów z rodziną zięcia, wszczyniała kłótnie w Bronczynej chałupie. Wyglądało to zawsze tak samo. Zaczynało się od tego, że krytykowała córkę. Od rana do wieczora, bezustannie. To źle zrobiłaś, to nie tak, daj no, bo nie umiesz, a cóż z tego ma być, chyba tylko nieszczęście jakieś. Bronka zaciskała zęby, aż wreszcie nie dawała już rady i wybuchała jak ta beczka prochu, pod którą ktoś podłożył płonąca żagiew.

– Za całe moje poświęcenie takie słowa słyszę? Darmo hrabina Kalińska uczyła cię manier. Takaś sama chamka jak ci twoi Lipczewscy.

Mimo złości, która siedziała w Bronce jak dzikie zwierzątko i trzęsa się okrutnie, trzeba było przeprosić. Naprawdę doceniała wszystko, co matka dla

niej zrobiła. Tylko po prostu... Sama dobrze widziała, że popełnia błędy, nie potrzebowała, by dodatkowo ktoś je wytykał.

– Broniu, ty zadbaj o siebie, jesteś w odmiennym stanie. Ty nie możesz tak ciężko pracować – upominała matka.

– Ty, Bronko, nie siedź, bo dziecku zaszkodziś. Krew musi krążyć, bo inaczej w dziecku gazy trujące się zbierają – mówiła Antoszka.

– To robota mu nie zaszkodzi?

– Jak ono zdrowe, to nic mu nie będzie. Jeśli z nim co nie tak, to już lepiej, żeby teraz odpadło, niż żebyś miała później na nieszczęście patrzeć.

Matka miała odmienne zdanie.

– Śpij dużo. Sen ci potrzebny. I dobre odżywianie. Ugotuję ci, co lubisz.

– Ta ty, Bronko, nie jedz tyle – upominała ją Antoszka. – Upaśliście się jak stara baba. Nawet maciorę się odchudza przed zaproszeniem, żeby śniętych prosiąt nie było.

I tak w koło, aż do października.

Nad ranem odeszły Bronce wody, a że śniło jej się, że w Huczwie pływa, trwało, zanim się przebudziła, i zdawszy sobie sprawę, co się dzieje, obudziła Jaśka.

– Po Antoszkę idź. Rodzę.

Zbudzona odgłosami krzątający do alkierza zajrzała matka, a gdy powiedzieli, co się dzieje, kazała czekać do rana.

– Na cóż raban robić? Leż spokojnie i czekaj. Kiedy ciebie rodziłam, wody odeszły mi w południe, a ty długo po północy pojawiłaś się na świecie. Z Włodziem troszkę szybciej poszło, ale też całą noc się męczyłam. Spróbuj jeszcze pospać.

Jaśko, z jedną tylko nogawką wciągniętą, pytająco patrzył na Bronkę.

– No co patrzysz? Co patrzysz? Idź do kuchni, na ławie się połóż. Ja siennik pod nią zmienię. Zdążysz jeszcze rabanu narobić. I to nie raz, bo jak patrzę na ciebie, to czuję, że to na jednym się nie skończy.

Jaśko wyszedł do kuchni. Nie położył się, tylko chodził nerwowo. Bronka wsłuchiwała się w jego kroki i czuła narastający niepokój. Gdyby nie było matki, kazałaby mu biec po bratową. A może ten niepokój niepotrzebny? Mama urodziła dwoje dzieci, wiedziała co i jak. Jednak Bronka czułaby się pewniej, gdyby siedziała przy niej Antoszka. Jeszcze godzina do świtu. Niech minie, niech już Jaśko do Lipczewskich idzie.

– Mamo, ja czuję, że coś jest źle.

– Bo rodzisz, to ci się tak wydaje. Skąd możesz wiedzieć, że coś jest nie tak, skoroś nigdy wcześniej nie była ciężarna?

Bo czuję! Po prostu czuję, że coś jest nie tak.

Stuknęły drzwi w sieni. Matka spojrzała w okno.

– Ot i poleciał do Lipczewskich. Taki samo jak i ty w gorącej wodzie kąpany.

Bronka nie odpowiedziała, bolesny skurcz zmusił ją, by podniosła się z łóżka.

– Leż sobie.

– Kiedy mnie lepiej, jak chodzę.

Matka westchnęła w ten irytujący, udawany sposób.

– Broniu, będziesz zmęczona. Poród to ogromny wysiłek. Połóż się i zbieraj siły. Będą ci potrzebne, kiedy naprawdę się zaczniesz.

Zdaniem Bronki to się nie zaczynało, ale kończyło. Miała wrażenie, że chwila nieuwagi, a dziecko z niej wypadnie.

Kilka pacierzy później zjawiała się zziębnięta Antoszka. Ciemne oczy i cienki nos nadawały jej twarzy ptasi wygląd, a sposób, w jaki przekrzywiła głowę, by lepiej widzieć, potęgował to wrażenie. Wyglądała przy Bronce jak drobna, siemieniata kureczka przy tuczonych na święta gęsi. Trudno było uwierzyć, że ta maleńka Antoszka da radę odebrać poród. Widocznie po minie Bronki dało się poznać, że coś ją trapi, bo bratowa o to zapytała.

– Jakże dajecie radę pomóc rodzącej? Chuchro z was.

– Nie takie znowu ta chuchro, w środku całkiem krzepka. Niby każde młode na świat przychodzi tą samą drogą, ale każde inaczej. Czy to kłaczy, czy krowie często trzeba pomagać, bo choć w brzuchu jedno, to zawsze się wywinie, noga tędy, łeb tędy. – I dla podkreślenia słów pokazała, jak też te małe są pozaplątywane, co wywołało uśmiech na twarzy Bronki i grymas dezaprobaty u matki. – Świnia stoi przy korycie, poduma chwilę, w kącie chlewa zlegnie i bach, bach, wypadają z niej małe. Owca podobnie. Ile to razy było, że wyganiaś z obory jedną owcę, a przyprowadzasz trzy, bo się na pastwisku, ta nie wiedzieć kiedy, wykociła. A suka? Widzieliście, Bronko, żeby kto za suką szedł do budy? Chyba tylko taki by się odważył, co mu nie przeszkadza ta nos mieć odgryziony.

– Każcie jej się położyć – powiedziała matka.

– Wszystko w swoim czasie, moja Malicka. Ta dziewczyna ciekawa, wszak to jej pierwszy raz. Dla krowy czy kłaczy, by jej pomóc, to trzeba i sposobu,

i siły. Na człowieka tylko sposoby potrzebne. Tak to każde zwierzę po swojemu na świat przychodzi

– A człowiek jak?

– W bólach, bo tak napisano w Piśmie. Przez Ewę my wszystkie cierpim. Ale zdradzę ci, że choć widziałam tyle porodów, to jeszcze tak się nie zdarzyło, żeby matka, gdy na dzieciątko swoje spojrzy, nie zapomniała o bólu. Tak to jest. Jakbyśmy pamiętały, to żadna więcej by chłopa do siebie nie dopuściła. – Roześmiała się. – Wyobrazasz to sobie? Chłop się pod pierzyną zaczyna łąsić, a baba go po łbie, po łbie, za kudły i na dwór, żeby jej już więcej dzieciaka nie zrobił. – Sapnęła. – No, tośmy się pośmiały, a teraz weźmy się do roboty, bo trzeba maleństwo na świat sprowadzić.

Kazała Bronce się położyć i zaczęła obmacywać brzuch, przekrzywiając przy tym tę swoją ptasią głowę na wszystkie strony.

– Powiedźcie mi, Bronko... – urwała. Łypnęła przez ramię. – Może by wy, Malicka, poczekali z Jaśkiem? Mnie tu do niczego nie jesteście potrzebni.

– Przecież to moja córka.

– No właśnie. Tyle z was pożytku, że ona bardziej zestrachana.

Po twarzy matki widać było, jak bardzo jest obrażona. Postanowiła jednak być ponad to i zostać w izbie.

– Ta wy wyjdziecie albo ja wyjdę!

– Będę za drzwiami, Broniu, gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj.

Bronkę zapiekły policzki, a Antoszka jakby nigdy nic wesoło świergotała.

– Mamusię swoją mało pamiętam, alem się jej nie bała. Za to ciotuchny to się bałam, bo ona w nerwy potrafiła wpaść. Krzyczała wtedy na nas wszystkich, a na mnie najbardziej, bo nie byłam jej dzieckiem. Na cudze łatwiej, bo się serca do niego nie ma. Miałam już do dworu na służbę iść, za moim braciszkiem, ale pan Julian się natrafił. Tak i za mąż poszłam i nie narzekam. Lipczewscy dobrzy ludzie.

– Mama się troszczy.

– Ta ja widzę, że ona się troszczy, a wam ta troska bokiem wychodzi. Kiedy wam wody odeszły?

Bronka wszystko szczerze opowiedziała, najskładniej, jak na to pozwalały bóle, raz po raz ściskające jej ciało.

– Jakby mnie postronkami związali i za wozem ciągnęli – powiedziała.

– Raz-dwa będzie po wszystkim. Brzuch u ciebie wielki, ale dziecko małe.

– Skąd wiecie, że małe?

Antoszka, zamiast odpowiedzieć, westchnęła.

– Źle jest, prawda? Ja czuję, że jest źle.

– To tylko jeden Bóg wie, jak jest i co z tego będzie.

– A wam jak się zdaje?

Znów rozległo się długie, smutne westchnienie.

– Może modlitwa co pomoże? I tak nie mamy nic lepszego do roboty, jak czekać. To i modlić się możemy.

Dziecko urodziło się koło południa. Antoszka dobrze mówiła, było maleńkie. Mniejsze od noworodków, które widywała Bronka. Jego buzia miała kolor śliwki, oczu nie otwierało, a zamiast krzyczeć, tylko zakwiliło.

Żona Juliana przysiadła na brzegu łóżka.

– Może się i wykaraska. Cuda się zdarzają. To wam powiem, Bronko, żeście go zazarli. Tak to się dzieje, gdy ciężarna bez umiaru je. Ona robi się coraz grubsza, a dziecko nie ma z czego rosnąć. Nie raz to w życiu widziałam, głównie u szlachcianek. Je za dwoje albo i troje, śpi całymi dniami, a potem dziecko rodzi się ta małe jak kocię. I słabe.

– Umrze.

– Ta miej nadzieję.

Nadzieja nie wystarczyła. Dziecko było słabe, nie chciało jeść. W oczach gasło. Powinno było umrzeć od razu, żyło tydzień, każdego dnia wzbudzając w sercu Bronki silniejszą miłość.

Każdej nocy wstawiała do niego po sto razy, z niepokojem nasłuchując, czy oddycha. Była przekonana, że jeśli zdarzy się najgorsze, to w nocy.

Tego dnia nakarmiła je, choć ssało bardzo słabo, i położyła w wiklinowej kolibce, którą Jaśko przyniósł od Lipczewskich. Sznurkami mocowało się ją do sufitu i można było dziecko bujać od ściany do ściany. Bronce przypominało to huśtawkę, która była w parku u hrabiostwa Kalińskich.

– Jak urośniesz, to ci tatko zrobi taką – szepnęła. – A ja cię będę bujać aż pod samo niebo. Tylko zostań z nami.

Widocznie obietnica huśtawki nie wydała się maleństwu aż tak kusząca, by zechciało pozostać na tym łóż padole. Bo gdy Bronka chwilę później na nie spojrzała, już nie żyło. Słaby oddech ustał, buzia zrobiła się kredowobiała, paluszki zimne, jak utoczone ze śniegu.

Gdy myślała o tej chwili wcześniej, wszak Antoszka kazała się tego spodziewać, widziała siebie we łzach, krzyczącą jak zranione zwierzę. Tymczasem nie popłynęła ani jedna łza, nie rozległ się jęk rozpacz.

Siedziała na ławie, kołysała dziecko, patrzyła na jego słodką buzię i cichutko nuciała. W środku umierała z bólu, na zewnątrz była chłodna jak listopadowy poranek. Wspominając tamtą chwilę, a wspominała ją wciąż i wciąż każdego dnia, dziwiła się temu, co ją spotkało. Jakbym się rozpadła, mówiła sobie.

Straciła poczucie czasu i nie wiedziała, czy kołysała dziecko przez moment, czy przez godzinę. Pewnie trwałaby tak do wieczora, gdyby do izby nie weszła matka.

– Śpi? – zapytała. Coś w twarzy Bronki sprawiło, że nie czekała na odpowiedź, tylko rzuciła się ku kołysce.

– Zostaw.

– Broniu, dziecko, tak nie można.

– Zostaw!

– Posłuchaj, Broniu...

– Zostaw. To twoja wina.

Matka usiadła na stojącej pod ścianą ławie.

– Masz rację. To moja wina.

Nic więcej nie dodała, nic nie zrobiła. Czekwała.

– Teraz się z nim pożegnaj. Już czas – powiedziała w końcu, wstając. Podeszła do Bronki, położyła dłoń na jej ramieniu, a potem wyjęła dziecko z kołyski i wysunęła się z izby.

W tamtej chwili Bronka poczuła, że tak jak pusta jest ta kolibka, tak i ona sama jest pusta. Nie było w niej miłości do dziecka ani żalu po nim, ani złości na matkę, ani wściekłości na Boga, ani nadziei, ani rozpacz, ani miłości do Jaśka, niczego, kompletnie niczego już nie było.

Trwało to miesiącami.

Niektóre uczucia wróciły, ale były odmienione, trochę podobne do tych sprzed śmierci dziecka, trochę inne. Pierwszy wrócił żal. Dziwny, bo nieszukający ulgi w płaczu, tylko w samotności. Później pojawiła się złość na matkę. Okropna złość, taka szorstka jak tartaczna deska, a dzika jak kot, który nigdy nie widział człowieka. Najgorsze było to, że zrozumienie i miłość, które Bronce okazywała matka, jeszcze bardziej tę złość pobudzały.

Powinni być z Jaśkiem sami. Powinni siedzieć przytuleni jak te porzucone szczenięta, by podobnie jak one bliskością i ciepłem dawać sobie wsparcie i pocieszenie. Nie byli sami. Matka kręciła się po domu, na tysiąc sposobów próbując wyrwać Bronkę z rozpacz. Mówiła o swojej stracie, o pocieszeniu, którego zaznała, o kolejnych ciężach. „Nie jesteś jakaś wyjątkowa, kobiety

wciąż tracą dzieci, taki nasz los, trzeba się z tym pogodzić. Twoja to wina, że tak cierpisz, widziałas, że słabe, trzeba było nie obdarzać go miłością”. Bez względu na to, co matka mówiła, Bronka takie właśnie słowa słyszała. Jakby pod tymi wszystkimi: „Patrzeć nie mogę, Broniu, jak cierpisz. Pozwól, że ja to zrobię za ciebie. Jesteś całym moim światem” ukryte były inne, niewidzialne, niewypowiedziane zdania, znane jedynie Bronce. Nie tylko pod tymi pocieszającymi słowami, te inne zdania ukryte były we wszystkim, co matka robiła. Wyganiała krowy, a Bronka słyszała: „Przestałabyś się nad sobą uzalać. Sama chciałaś tej wsi i tego wszystkiego. Ja cię za mąż nie pchałam, mogłaś poczekać. Samaś sobie winna”.

Miłość do Jaśka też była inna. Obecność matki sprawiała, że cierpienie, zamiast zbliżać ich do siebie, oddalało. Mężowi nieraz zdarzyło się, że w obronie świekry upomniał żonę. „Okaż szacunek – mówił – to twoja matka”. I cóż z tego? Gdyby nie karmiła Bronki jak tucznego wieprzka, gdyby nie kazała jej spać całymi dniami. Antoszka mówiła, że dla dziecka najlepiej, jak matka się rusza. Wtedy krew szybciej krąży i wszystko, co złe, zabiera z łóżyska. Jaśko powinien zrozumieć, jak bardzo Bronka nienawidzi matki za to, co tamta zrobiła.

– Wszystko przez ciebie! Wszystko!

I zamiast podnosić rośliny z błota, zaczęła w nie walić widłami, aż zielony sok tryskał z nich jak krew. Poczowała ulgę, słabą, jednak ulgę. Waliła więc mocniej i mocniej. Błoto bryzgało jej wyżej czoła, strzępki liści fruwały w powietrzu, podobne latolistkom, trzaskały kapuściane głowy, łamały się łodygi bobu. I trwało to, aż Bronka całkiem z sił opadła. Usiadła w zielonoburej mazi, do gnoju podobnej, i zapłakała. Pierwszy raz od śmierci dziecka płakała.

– Tak je kochałam, Panie Boże, a tyś mi je zabrał. Nigdy więcej tak nie rób, bo tego nie zniosę. Raz wystarczy.

Nie wiadomo, czy usłyszał ją Bóg, ale na pewno usłyszała Krystyna. Nie wiadomo, jak długo była w ogrodzie, dopiero teraz Bronka zdała sobie sprawę z jej obecności. Matka podeszła, uklękła w błocie i objęła ją z całej siły.

– Przepraszam – powiedziała.

– Tak bardzo je kochałam.

– Wiem. Jeszcze nikt nikogo tak bardzo nie kochał.

Teraz po twarzy Bronki spływały nie tylko jej własne, ale i matczyne łzy.

Trwały tak w uścisku, próbując sobie wzajemnie wybaczyć.

Bronka podniosła twarz ku niebu. Słońce wyglądało inaczej niż rano. Jego tarcza błyszczała jak wyszorowany piaskiem garnek.

Jaśko nic nie powiedział o zniszczonym ogrodzie. Bronka, do tej pory jakby oddzielona od męża grubą szklaną szybą, przez którą tylko go widziała, zdała sobie sprawę, że wie, o czym Jaśko myśli. Nie obchodził go ogród. Pozwoliłby jej nie tylko zniszczyć ogród, ale i chałupę, oborę, wszystko. Byle tylko poczuła ulgę. Byle przestała się zadrećcać, przestała być tak bardzo nieszczęśliwa.

Ta niewypowiedziana troska sprawiła jej, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, przyjemność. Jeszcze nie radość, na to było zbyt wcześnie, ale tę przyjemność, jaką człowiek czuje, gdy wyciąga zmarznięte ręce w stronę gorącego pieca.

Tę przyjemność, jaką sprawia widok zachodu słońca, który wróży spokojną noc po burzliwym dniu.

Bronka przysiadła na schodkach prowadzących na ganek. Przymknęła oczy i wyobrażała sobie dziecko biegnące po podwórku. Obraz ten sprawiał jej ból, ale ponieważ jednocześnie przynosił radość, pozwoliła sobie cieszyć się nim przez chwilę. Byłaby dobrą matką. Będzie dobrą matką, najlepszą. A gdy skończy się jej czas tu, na ziemi, pójdzie do nieba i spotka tam swojego małego aniołeczka. Ileż wtedy łez popłynie! To będą dobre łzy radości.

– Obiecaj mi, tatku, że tam, u Pana Boga, będziesz się troszczył o moje dzieciątko – poprosiła.

Ktoś położył jej rękę na ramieniu. To Jaśko.

– Chodź do izby.

– Jeszcze chwilę.

– Mama mają coś do powiedzenia.

Ociągała się, lecz w końcu, przynaglona przez męża, weszła do chałupy. Matka siedziała w kuchni, przy stole. Zdjęła poplamioną błotem i roślinnym sokiem spódnicę, znów wyglądała nadzwyczaj schludnie.

– Tak sobie pomyślałam, Broniu... i ty, Jaśku... – zaczęła i urwała. – Na wsi coraz ciężiej, pieniądz traci na wartości, a ja tu u was tylko zawadzam. Pożytku ze mnie żadnego, a karmić trzeba... Dowiedziałam się, że państwo Liro, z cukrowni w Michalowie, szukają kucharki. Rozmawiałam z hrabią Kalińskim i nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym się tam najęła. Zarobię coś, to was wspomogę lepiej niż beczynnym siedzeniem. A jedna

gęba mniej do wykarmienia to dla was ulga będzie.

– Co też mama... – zaczęła Bronka, ale matka jej przerwała.

– Wszystko sobie przemyślałam. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Rozdział osiemnasty



Włosy były dla wiejskich kobiet atrybutem urody, dlatego też dbały o nie, jak mogły najlepiej.

Przekazywały sobie wiele domowych sposobów na zdrowe, lśniące włosy.

Myło się je albo deszczówką, albo przegotowaną wodą. Płukano odwarami z ziół – rumianku, chmielu i pokrzywy. Łupieżu pozbywano się, płucząc włosy w wodzie z dodatkiem sody, albo robiono masaż skóry głowy solą; po zabiegu należało włosy starannie wyczesać, by pozbyć się i martwego naskórka, i kryształków soli.

Wzmacniano włosy płukanką ze skrzypu lub rozmarynu albo naparem z chmielu, kory dębowej i korzenia łopianu, koniecznie gotowanych razem. Skuteczny był też sok z brzozy, wcierany w skórę głowy, oraz olej rycynowy. Podobno cuda potrafiła zdziałać cebula drobno pokrojona w kostkę i zalana spirytusem na dwa tygodnie.

Wcieranie tej nalewki przez sześć tygodni spektakularnie wzmacniało włosy.

Żeby we włosach nie zagnieździli się nieproszeni goście, nacierano je naftą.

Nie stroniono od farbowania włosów. Rozjaśniano je naparem z rumianku, przyciemniano naparem z liści kasztanowca czy orzecha włoskiego.

Sierpień 1932

Ostatnia kropla rosy spadła z liścia ostropestu. Nie zdążyła dotknąć ziemi, bo już wyparowała. Powietrze stawało się bardziej gorące, coraz bardziej suche. Słońce przypominało piec, do którego ktoś ustawicznie dorzuca, ale nie chrust, a dobrze wysuszone polana.

Mężczyźni włożyli luźniejsze portki, zawiązali tasiemki, wrzucili na grzbiet płócienne koszule, osłonili głowy słomianymi kapeluszami. Kobiety

wciągnęły spódnice, zarzuciły na włosy najzwyklejsze chustki. Przed wyjściem z domów odmawiali modlitwy i szli na pola.

Niczego niespodziewające się łany szumiały radośnie, a gdy kłos uderzył o kłos, można było usłyszeć delikatne dzwonenie, nie tak czyste jak to, które wydobywa się z metalowego dzwoneczka, inne, chropawe, podobne dzwoneniu glinianych miseczek.

Pierwsze zorientowały się przepiórki i kuropatwy. Rozpaczliwie nawoływały dziatwę, by uciekała ze zboża w międzyrzędzia buraków, w kartoflane bruzdy. Jutro wrócimy do tego naszego stołu – zapewniały – dziś jednak śmiertelne niebezpieczeństwo tam czeka. Nie po to chroniliśmy was przed deszczem, zakusami psów, kotów, lisów i jastrzębi, byście teraz położyły główki pod kosy. Uciekajmy, dzieci, uciekajmy. I żałosne „pit pilit” niosło się dookoła.

Do swych pól podeszli żeńcy, stanęli, a w tej jednej chwili nie przypominali chłopów, tylko jakichś pradawnych wojów. Plecy mieli proste, mięśnie napięte, ich skóra, spalona słońcem na brąz, połyskiwała od potu, można by pomyśleć, że nie ludzie to, a spizowe figury. Kosy trzymali jak broń. Przez kilka ostatnich dni klepali ostrza, by miały grubość włosa, i nieskończenie wiele razy przejeżdżali po nich osełkami, by cienkość zamienić w ostrość. Czerwone kreski na opuszkach palców świadczyły, jak mordercze jest to narzędzie, które wchodzi w ciało jak nóż w ciepłe masło i dopiero widok krwi sprawia, że człowiek zdaje sobie sprawę ze skaleczenia. Dlatego też kobiety zakazywały dzieciom przychodzić na pola. Wciskały malcom w rączki gałganki z makiem, by ssały i spały spokojnie, drzwi i okna zamykały szczelnie. Starszym dzieciom opowiadano okropne historie, prawdziwe przecież, choć zdarzyły się w innej wsi, jak to któremuś została obcięta ręka, noga, a nawet głowa. Nieszczęścia te wielkie sprowadziło na biedne matki nieodpowiedzialne potomstwo, które nie potrafiło samo się upilnować.

Po raz ostatni ostrzałki zgrzytnęły na srebrnych ostrzach, aż dreszcz przeszedł po grzbietach. Popłynęły modlitwy ku niebu. Na piersiach wykonano znak krzyża i przy dźwięku pobożnej pieśni skoszono zboże na pierwszy snop. Stawiano go osobno, by wieczorem, gdy się będzie z pola wracać, zabrać go do komory. Nie będzie młócony jak inne. Kilka kłosów ozdobi bukiet na święto Matki Boskiej Zielnej, kilka wplecie się w dożynkowy wieniec, reszta poczeka do Bożego Narodzenia, kiedy to

przystrojony pięknie, zajmie w izbie najważniejsze miejsce. Odrobinę tego świętego ziarna dostaną kury, by dobrze się nosły, krowy, konie, świnie, by nie chorowały, a pozostałe zasili przyszłoroczny zasiew i będzie gwarantem jego obfitości. Tak to odwiecznej tradycji stało się zadość.

Szar za szarem padały podcinane kłosa. Kobiety zbierały je starannie, by ani jedno źdźbło nie pozostało na ścierni. Od każdego oberemku odbierały garść, by zapleść ją w powróż, bo każdy snop tak ciasno wiązano w pól powrozem, że nie miał prawa się rozpaść ani stojąc w piętnastaku, ani wrzucany na wóz, ani zdejmowany z niego. Rozrywały go dopiero silne ręce tuż przed młocką. Rozsypywał się wtedy na klepisku, oddając kłosa pod rączy cepa, który wesoło furczał w powietrzu. Potem zostanie zebrana osobno słoma, osobno wymłócone ziarna, które trzeba odwiać od plew. Wsypią je do worków, do słomianych koszy, do zasieków. Będą wrzucać do stęp, na kaszę rozdrabniać albo wozić do młyna, na mąkę białą jak śnieg mleć, by piec z niej chleby, bułki, placki, lepić pierogi, kluski. Daleka to jeszcze droga, daleka, i trudu wiele. W największym upale, gdy rozgrzane powietrze aż faluje nad polami, będą pracowali od świtu do zmierzchu, wciąż lękliwie w niebo spoglądając, próbując z niego wyczytać, czy Pan Bóg łaskaw i pozwoli plon zebrać, czy też rozgniewany grzechem ukarze ludzi deszczem, burzą albo i nawałnicą.

Wawrzek Adamczuk spojrział przez ramię za swoje pole.

– Stań! – krzyknął do syna.

– A co tam? – zapytał Dyzio, kosę w górę unosząc.

– Kobiety wiązać nie nadążają.

Wsparli się na kosach. Otarli pot spływający strumieniem z czoła, rozgrzane mięśnie drżały.

– Ciotka chyba ustali – powiedział Dyziu, brodą wskazując Jadźkę, którą od pozostałych kobiet dzieliło kilka sążni.

– Mnie się zdaje, że specjalnie z dala od bab się trzyma. Gadać z nimi nie chce.

Dyzio wytarł nos wierzchem dłoni, z rozmachem, jakby nie pot, a strumień wody chciał z niego zetrzeć. Wawrzek dobrze znał syna, wiedział, że robi tak, ilekroć brak mu pewności, co też powinien zrobić.

– No mów – ponaglił.

– Kiedy nie wiem.

– Co nie wiesz?

– No mówić czy nie.

Wawrzek się roześmiał.

– I cóż ja mam ci, synu, powiedzieć? Trudno radzić, gdy nie wiadomo, w jakiej sprawie.

– To nie mnie, tatku, macie radzić, tylko ciotce. Ale nie wiem co i jak.

– Może ja też nie będę wiedział?

– Mnie się zdaje, że będziecie, bo mądry z was człowiek.

Uradowany pochwałą Wawrzek klepnął syna po plecach. Ten wygiął się, jakby to nie klepięcie, a uderzenie było. No tak, przecież skórę na plecach miał spaloną do czerwoności, bo durnemu młodemu strzeliło do łba bez koszuli chodzić.

– Każdy człek może być mądry, jak daje sobie czas na myślenie. Kiedy u kogo zapalona głowa, gdy robi, a się nie zastanawia, to mądrości nie będzie. Jeśli dasz sobie czas, by usiąść, podumać, to mądrość z czasem i do ciebie przyjdzie.

Dyzio głową skinął. Chyba dosłownie zrozumiał naukę ojca, bo bez słowa kosę opuścił i zamach wziął.

– Toż nie gadam, że teraz masz dumać. Coś mi chciał powiedzieć, to powiedz.

– Przecie powiedziałem.

– Co?

– No to, żebyście z ciotką pogadali.

– O czym?

Dyzio wzruszył ramionami.

– Chora, słaba?

Westchnienie syna oznaczało, że jednak Wawrzek nie posiada aż takiej mądrości, jakiej się po nim spodziewano.

– Tylko nie mówcie jej, że ode mnie wiecie. We wsi gadali, że coś tam między nią a Kajtkiem Mazurem było. Gdy ciotkę...

Dyzio urwał. niesprawiedliwość, która spotkała Jadźkę, bolała ich wszystkich. niesłuszne oskarżenie, aresztowanie, starania adwokata, wynajętego przez Wawrzka, i wyrok tak bardzo niesprawiedliwy, bo sąd, jak to sąd, znowu nie stanął po chłopskiej stronie. To wszystko wciąż bardzo ich bolało i mówić o tym nie chcieli. Wawrzek dał synowi znak, że rozumie, o co chodzi, i Dyzio może tę część opowieści opuścić.

– Mówiła mi... – Chłopak się zawahał. – No po wsi mówią, że Kajtek na

Jadźkę czekał, pretensji do niej nie ma. Tylko ona nie chce.

– Skoro nie chce, to jej sprawa. Przymuszać nie będziemy.

– Tato, jeśli ciotka nie pójdą za Mazura, to jego matka wyswata go do... Kogo innego mu znajdzie. A wierzcie mi, wtedy nikt nie będzie zadowolony. Ani ciotka, ani Mazur, ani ja, ani...

– Cóż tobie do tego?

– Bo ja ciotkę lubię. Szkoda mi jej. Dlatego z wami gadam. Jakbym nie lubił, obchodziłoby mnie to? Nic a nic.

Wawrzek poprawił kapelusz i z uwagą przyglądał się synowi. Wiedział, że tamten coś ukrywa, trudno jednak było dociec co. Wawrzek próbował przypomnieć sobie, jaki był, gdy miał tyle lat, co Dyzio. Co u mnie głowę wtedy zapalało?, zapytał siebie. Ameryka. O tym jednym tylko myślałem. Pojechać do Ameryki, zarobić pieniądze, ożenić się z Anielą, mieć dom, dzieci. Pojechałem, a potem wszystko potoczyło się inaczej. Gdyby mógł czas cofnąć, w iluż sprawach inne podjąłby decyzje.

Pieśń, którą śpiewały kobiety, ucichła i Marianna podjęła inną, rzewną. Jej głos, czysty jak kryształ, sprawiał, że dreszcz przechodził człowieka, a w sercu płakała mała tęsknota.

Czy rzeczywiście, gdyby ci kto dał moc cofania czasu, skorzystałbyś z tego? Pewnie nie, bo choć czasem tęsknisz do życia, które mogłeś wieść tam, w Ameryce, to toczy się ono tylko w twoich marzeniach, a marzenia to mają do siebie, że przypominają ciepły majowy dzień z niebem bezchmurnym. W twoich marzeniach z Joan żyło ci się jak najlepiej. Jak okazałoby się w rzeczywistości? Nikt tego nie wie, mogło się jednak tak zdarzyć, że nie byłaby to bajka. Dlatego należy przyjąć, że ze wszystkich szczęśliwych zakończeń najlepsze jest to, które ci się trafiło.

– Marianno! – zawołał do żony. Podniosła twarz. Nigdy nie stała się ładna, ale dojrzałość złagodziła jej rysy. – Może chcecie spocząć? W tyleście zostały.

W oczach Marianny migotały iskierki, podobne do tych sypiących się z trąconego pogrzebaczem polana.

– Tylko po to, byście nie słyszeli, co o was gadamy. Bierzcie się za kośbę, bo stać beczynnemu nie chcemy. – Rzuciła na ściernię kolejny snop.

– No to kosim. Zobaczymy, kto pierwszy ustanie. – I uśmiechnął się do żony, by dać jej znak, że to tylko żart i gdy będzie zmęczona, niech nie waży się tego ukrywać.

W południe, gdy żar był największy, przysiedli na miedzy, by zjeść przyniesioną przez Bogusię jabłczankę i kartofle. Drewniane łyżki tylko chrobotowały. W taki dzień nie było nic lepszego niż kwaskowata zupa z pierwszych jabłek, zwanych papierówkami. Nie każdy był ich amatorem, bo nawet dojrzałe, mało miały w sobie słodczy. Długo pozostawały twarde, a później nagle, zdawało się, jednego dnia, zamieniały się w suchą kaszę. Jednak na jabłczankę nie znajdziesz lepszych. Dobre z nich było też nadzienie do bałabuszków, a rozsmażone w garnku, który całymi dniami stał na brzegu kuchennej blachy, stawały się pysznym smarowidłem do chleba, popijanego świeżym mlekiem. Marianna nakładała je do glinianych garnków i zapiekała na zimę w piecu chlebowym. Gdy w mroźne poranki przynosiła garnczek z komory, zapach tak intensywny wypełniał chałupę, jakby to był środek lata.

– Jaśko Lipczewski do Łaszczowa jeździł – oznajmił Dyzio, wycierając kąciki ust z resztek zupy. – Gazetę kupił. O olimpiadzie tam napisane.

– Trza nam będzie podejść, pożyczyć. – Wawrzek słusznie się domyślił, o co synowi chodzi.

– Tatko tam byli?

– U Lipczewskich?

Dyzio roześmiał się głośno.

W wielu rzeczach podobny był do Wawrzka – w tym, jak mówił, i tym, jak zakasywał rękawy. Gdy stał, to kładł rękę na biodrze tak dobrze znanym ruchem. Miał w sobie wiele z Adamczuków, Wawrzek rozpoznawał zmarszczenie brwi, tak charakterystyczne dla własnego ojca, i ten wyraz zafrasowania, jaki tyle razy widział u matki. Miał też w sobie coś z Połajów, ten rozmarzony wzrok Józka i energiczne ruchy Marianny. Jednak w momencie, gdy się śmiał, był tak podobny do swojej rodzonej matki, że Wawrzka zadziwienie brało. Jakże to, inni tego nie widzą? To odrzucanie głowy do tyłu, te zmarszczki przy oczach, nawet brzmienie takie samo. Dobrze, że ludzie tego nie dostrzegali. Przez wzgląd na nich wszystkich, ale głównie przez wzgląd na Dyzia, dobrze, że inni byli tak nieuważni.

– O to miasto pytam. Tam gdzie olimpiada.

– Los Angeles? Nie, tam nie byłem. Tylko w Nowym Jorku, a później w Mayflower, ale to dziura, nie większa niż nasz Łaszczów.

Wawrzek przyglądał się uważnie synowi, jakby z jego twarzy mógł wyczytać to, co chłopakowi chodzi po głowie. O czym myśli? Czy i jego kusi

Ameryka? Czy ja dla swojego ojca też byłem tajemnicą czy też czytałem ze mnie jak z otwartej książki?

– Może ta olimpiada coś w Ameryce odmieni. Teraz tam kryzys.

– A bo to u nas nie? – wtrąciła Jadźka.

– Ano wszędzie. Tyle że u nich się zaczął. I to wam powiem – udawał, że nie patrzy na syna, jednak kątem oka nadal go obserwował – że trudny czas lepiej między swymi przeżyć. Brat, siostra, mąż, żona będą ci wsparciem.

Dyzio żuł zielone źdźbło zycicy i nie wyglądał na kogoś, kogo by te słowa w jakikolwiek sposób obeszczyły.

– Pojedli, popili, odetchnęli. Teraz czas nam do roboty się brać – powiedziała Marianna, podnosząc się z miedzy. – Ty, Bogusia, garnki do chałupy odnieś, umyj od razu, żeby nie pozasychały. A łyżek po drodze nie pogub.

Po południu trochę schłodniało i lżej było pracować. Szło im to wszystko tak składnie, że Wawrzek nadziwić się nie mógł. Ponieważ przy robocie zajęte ręce, ale głowa wolna, myślał o wielu sprawach, które się wydarzyły i na świecie, i w jego chałupie. Po pierwsze myślał o kryzysie, który Stany Zjednoczone sprowadziły na cały świat. Gdy przeczytał w gazecie o krachu na giełdzie, zaczął ostrzegać ludzi w Tynczynie przed tym, co przyjdzie, jednak nikt mu nie wierzył. Wszystkim dobrze się wiodło, a ludzie mają taką właściwość, że dzień jutrzejszy widzą bratem bliźniakiem dzisiejszego. Dlatego w słoneczny dzień ludzie planują, co też będą robić jutro, a nazajutrz patrzą w okna zdumieni, gdy wita ich zapłakany poranek. Dlatego nikt nie słuchał Wawrzka wieszczącego ciężkie czasy. Dobrze, że on sam siebie słuchał, gotówkę zamieniał na kawałki pola i narzędzia, a na koniec w tajemnicy kupował złoto. Teraz patrzył na sąsiadów, których oszczędności topniały w oczach, tak jak topnieje śnieżna zaspą w promieniach wiosennego słońca – rankiem wydaje ci się znaczna, w południe nie ma już po niej śladu. Kryzys uderzał w bogatych chłopów, uderzał też, pewnie po raz pierwszy od wieków, w szlachtę i obszarników. Najbardziej jednak dotykał tych, którzy byli biedni, nim nastał.

– Dopóki każda jedna rodzina nie będzie miała takiego kawałka pola, który jest w stanie ją wyżywić, dopóty źle będzie się działo w tym państwie – powiedziała kiedyś Teofila Lipczewska i Wawrzek się z nią zgadzał.

Tymczasem minęło dwanaście lat od momentu, gdy Witos poderwał chłopów do walki z bolszewikami, obiecując im, jako nagrodę, reformę.

Siedem lat od chwili, gdy ta została uchwalona przez sejm, i dwa od chwili, gdy Witos musiał uciekać z kraju, o którego niepodległość walczył, by niesłusznie oskarżony za swoje poglądy i otwarte wspieranie chłopstwa nie trafić do więzienia.

Każdy dzień z tych dwunastu lat był dniem wycisku chłopa, dniem nieprawości, upodlenia. Kiedy w grudniu dwudziestego piątego rząd uchwalił reformę, zapowiadając parcelację dużych majątków i sprzedaż ziemi z uprzywilejowaniem małorolnych i bezrolnych, wielu chłopów potraktowało to jak najlepszy świąteczny prezent. Najmowali się do tartaków, szukali roboty i odkładali każdy, każdziusienki zarobiony grosz, by mieć za co tę ziemię obiecaną kupić i los swój i swoich dzieci poprawić. Jedyne, co się w tym czasie zdarzyło, to sprowadzony przez Amerykanów kryzys, który zeżarł te oszczędności. Chłopi po raz kolejny zobaczyli, że czy pod carskim butem, czy w niepodległym kraju, nie ma takiej władzy, która się o nich zatroszczy. Zdani byli sami na siebie.

Mówią nam, żeśmy obywatele, a traktują jak bękarty, pomyślał Wawrzek i westchnął ciężko.

– Zmęczeniście, tatku? – zapytał Dyzio.

– Myśli ciężkie mnie naszły, to i wzdycham.

Dyzio pytając spojrział na ojca.

– Nic to, czym musiałbyś się martwić.

Przynajmniej póki ja żyję i jestem tu, by się tobą opiekować, pomyślał Wawrzek. Kochał wszystkie swoje dzieci, jednak Dyzia najmocniej. Czuł, że na początku wspólnej drogi zawiódł syna. Powinien przy nim być, powinien czuwać, a nawet nie wiedział o przyjściu dziecka na świat. Pewnie dlatego gdyby go kto zapytał, za co najbardziej szanuje Mariannę, odpowiedziałby, że za tę siłę, którą się wykazała, gdy obydwójce rodzice chłopca zawiedli. Dała Dyziowi tyle miłości, tyle ciepła, tyle serdecznej troski. A najdziwniejsze, że nikt by się tego po tak brzydkiej, złośliwej dziewczynie nie spodziewał. Prawda jest w słowach, że beczkę soli zjesz, a człowieka nie poznasz, i w tych, że gdy chcesz poznać człowieka, musisz w jego serce zaglądać, a także w tych jeszcze, że dopiero po owocach poznasz, z kim masz do czynienia. Wawrzek znów westchnął.

– Mnie się wydaje, że już czas kończyć – powiedział Dyzio.

– Skoro tak gadasz, to kończmy.

Wziął ostatni zamach, po czym podniósł kosę i wsparł się na niej. Rozejrzał

się po polach. Tam też kończono już robotę. Baby skręcały ostatnie powróśla i oplatały nimi ostatnie snopy. Ucichł szept kos, szelest łodyg padających na ściernię. Zastąpione zostały przez gwar rozmów, śmiech, przyśpiewki. Praca przy żniwach była jedną z najcięższych. Chłopi czuli pieczenie w plecach, od machania kosą bolały mięśnie ramion i barków. Pot spływał do oczu, piekł je żywym ogniem, od soli pękały wargi.

Kobiety z trudem prostowały obolałe grzbiety, a jeszcze twarda słoma kaleczyła im nadgarstki, ściernia kłuła w stopy, wokół kostek tworzyły się wianuszki ran tak malutkich, że ledwo widać je było. Jednak gdy przyjdzie się do chałupy i nogi do miski włoży, by je umyć, każda z tych maluteńkich ranek bardziej boleć będzie niż cięcie zadane nożem. Poczzerwienieją, napuchną i będą doskwierać przez całą noc, przerywając sen, którego w krótkie letnie noce i tak zbyt mało.

Lecz najdokuczliwszy ze wszystkiego był proch z suchego zboża, który mieszał się z potem, kleił do ciała, zatykał pory i sprawiał, że skóra swędziała niemiłosiernie. Najgorszym zaś, co człowieka w żniwa spotykało, była praca przy jęczmieniu. Gdy patrzyło się na rozkołysane łany wysokiego w pas żyta czy niewiele niższej pszenicy, to przy nich niziutki jęczmień, z podkulonymi kłosami, z tymi wąsikami, które wydawały się gładziutkie i miłutkie, sprawiał wrażenie najłatwiejszego do zbioru.

Nic bardziej mylnego. Wąsy nie były delikatne, tylko twarde, łamały się, przyczepiały do ubrania, wpełzały pod nie, raniły skórę. Proch drapał, jakby każdy jego okruch miał ostre kolce. Po dniu pracy przy jęczmieniu marzyłeś, by czas się cofnął albo przesunął do przodu, by nagle przyszła zima, a z nią śnieżne zaspy, w których mógłbyś się położyć goły, bo latem nie było takiej wody, co by ten proch kłujący skutecznie ze skóry usunęła. Tak było to silne, że ludzie na samo wspomnienie jęczmionki zaczynali się drapać.

Mimo tego bólu, mimo pracy ponad siły w okropnym upale, była w ludziach niesamowita radość i entuzjazm. Oto udawało się zebrać plon jesienią czy wiosną rzucony w rolę. Tyle miesięcy niepokoju oczekiwania miało się zakończyć wypełnionymi zasiekami. Będzie co jeść aż do przyszłych zbiorów, będzie czym karmić zwierzęta. Da się żyć. Przez ten jeden rok da się żyć, a potem... To już tylko Pan Bóg wie, co potem.

Ten moment, pełen radości i nadziei, wydawał się najlepszy na rozmowę. Wawrzek przystanął. Minął go syn, minęła żona. Wreszcie zrównała się z nim idąca za wszystkimi siostra.

– Jakże tam, Jadźka, bardzoś zmęczona? – zapytał.

– Nie bardziej niż inne. Do obiadu liczyłam snopy, potem się pogubiłam. Zdaje mnie się jednak, że lepiej obrodziło niż w zeszłym roku.

– Tu, w dołku, lepiej. Na górze rzadko i kłoski mniejsze, bo tam sucho. Taki rok. Raz się lepiej uda na górze, raz w dole, wszystko zależy od pogody. Żeby jeszcze tylko Pan Bóg łaskawie dał zwieźć do domu, to będzie Mu za co dziękować. Starczy tego i dla nas, i dla was.

– Bóg ci zapłać, bracie, że pozwalasz mi na twoim łaskawym chlebie żyć i o ojców się troszczysz. A za to, coś dla mnie zrobił...

Widział, że chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie mogła.

– Dajże spokój, nie ma o czym gadać.

Ruchem głowy dała znak, że jest, a później przegięła się tak, jakby chciała na kolana upaść. Wawrzek złapał ją za łokieć i powstrzymał.

– Twego dziękowania już mi wystarczy. Nie robiłem nic nadto, co ty byś dla mnie zrobiła, gdybym w jaką kałabanię popadł. Doświadczył cię los, a najgorsze, żeś sprawiedliwości nie dostała. Wiedz jednak, że my wszyscy za tobą murem.

Jadźka skinęła głową. Z kącika oka wypłynęła łza i przez brudny policzek przecierała sobie drogę ku szyi.

Szli czas jakiś w milczeniu. Nie jest dobrze mówić o trudnych sprawach bez przerwy. Trzeba dać sobie chwilę na uspokojenie.

– Powiedźże mi, Jadźka, czy o tobie i Kajtku Mazurze to prawda czy tylko bujdy starej Pomiechowskiej?

Zawahała się na moment.

– Teraz to bujdy.

– A wcześniej?

– Był taki czas, krótki bardzo, gdy nam się zdawało, że możemy żyć razem. On stary kawaler, ja także panna. Oboje mamy starych rodziców, nad którymi opiekę los nam powierzył. Ja bez posagu, a on na to nie patrzy. Mogłoby i co dobrego z tego wyjść.

– Czemu tedy nie wychodzi?

Spojrzała na Wawrzka, jakby nie zrozumiała pytania.

– Toż ja więźniarka.

Gdyby nie kosa, którą niósł, objąłby siostrę ramieniem.

– Przecież wszyscy we wsi za tobą. Pomiechowska widziała, jakieś z krową wracała, a po tym wydarzeniu pani Marta żyła jeszcze. Toż gdybyś ukradła,

ona pierwsza raban by podniosła. Nawet ten dzierzawca Kornelowiczowej za tobą świadczył.

– Sąd nie uwierzył.

– Sąd! Boski to był sąd czy ludzki? Pan Bóg wie, jak było, ludzie wiedzą. A ten pańsko-żydowski sąd to nie żaden sąd. To kolejne narzędzie szlacheckiej zemsty na zwykłym chłopie. – Zamilkł.

Nie było sensu mówić więcej. Ona swoje wycierpiała, nie musi teraz od brata wysłuchiwać, jak to wściekłość go ogarnia na myśl o tym świecie wokół. Czyż to się nigdy nie skończy? I czemuż? Za co pany tak bardzo chłopów nienawidzą? Cośmy wam uczynili, chciałby móc zapytać. Czemu w Ameryce może być tak inaczej, lepiej, jaśniej, a u nas tylko mrok i wszechstronna nienawiść?

Odchrząknął. Proch drażnił gardło wysuszone sierpniowym powietrzem.

– Ludzie nie są przeciwko tobie, Jadźka, tylko za tobą.

– Dziś są, jutro nie będą. Ludziom się odmienia.

– Niektórym się odmienia, ale ten, kto jest twoim przyjacielem, na zawsze nim pozostanie. Patrz tylko na mnie i Antka. Przyjaźniliśmy się, zanim do Ameryki popłynąłem, przyjaźniliśmy się po moim powrocie, razem w dwudziestym roku walczyliśmy. I choć stary Hub bardzo na mnie nastawał, Antek nigdy złego słowa nie powiedział ani nie wyrzekł się mnie, ojca stronę biorąc. A przecie niełatwe to dla niego było, bo starego się bał.

Jadźka nic nie powiedziała, czuł jednak, że z nim się nie zgadza.

– Znałem Prokopa, Kajtka ojca. Niezbyt dobrze, bo starszy był ode mnie, alem go znał. Na wojnę z nami szedł. Poczciwy był z niego człowiek. Podobny z natury do Żyda, tyle że Żyd oszczędza pieniądze, a Prokop oszczędzał słowa. – Roześmiał się, bo to, co powiedział, bardzo mu się spodobało. – Bez potrzeby słowa nie rzekł, jakby je oszczędzał – powtórzył, by i Jadźkę ucieszyło zabawne porównanie. Po minie siostry poznał, że albo nie zrozumiała, albo zbyt wielki smutek ją przygniała. Biedna dziewczyna. – Prokop był dobrym gospodarzem, wierzącym człowiekiem, takim prawdziwym i solidnym. Wielu ludzi w życiu poznałem, ale tylko kilku do niego podobnych.

Jadźka podniosła głowę, widać było, że zastanawia się, czemu Wawrzek o tym mówi.

– Mnie się wydaje, że Kajtek taki sam jak ojciec, do szpiku kości porządny człowiek.

- To prawda.
- Trudno mi zatem uwierzyć, by zmienił o tobie zdanie.
- Pewnie nie zmienił.
- To czemu...

Żachnęła się jak mała dziewczynka.

- Czemu, czemu, czemu? Tak po prostu...

I przyśpieszyła kroku. Wawrzek ledwo za nią nadązał.

– Jadźka, ja tobie nie wróg. Porozmawiać tylko chciałem. Widzę, żeś nieszczęśliwa. Przyczyny szukam.

Przystanąła tak nagle, że znalazł się dwa kroki przed nią. Też się zatrzymał, odwrócił.

- Myślisz, że Kajtek mnie nie chce, a ja po nocach za nim płaczę?

Spojrzał jej w oczy.

– Prawda jest taka, że do dziś ani razu o tym nie myślał. Przeceniasz moją braterską troskę. Patrzyłem dziś na mego syna i tak sobie myślałem, że nie wiem, co mu po głowie chodzi. Nasz ojciec nas zna. Mnie znał, wiedział, o czym myślę, o czym marzę. Dla mnie własne dzieci są tajemnicą, cóż dopiero ty. Dyzio mi radził zapytać, czy cię co nie dręczy. To pytam. I próbuję dojść, czemuś nieszczęśliwa. Czy to Kajtek winien, czy kto inny, ja nie wiem.

Mówiąc to wszystko, bacznie obserwował siostrzaną twarz i widział zmiany, jakie w niej zachodziły. Zaciśnięte szczęki się rozluźniły, kąciki ust ledwo dostrzegalnie uniosły się ku górze, spojrzenie złagodniało.

– My nigdy nie przestaniemy się troszczyć o siebie, prawda? – powiedziała, a w jej głosie słychać było ogromną czułość. – Gdzie by nas los rzucił, zawsze każde myślni będzie przy tamtych. Szczepcio, Wera, Dorotka, ty, ja, Pawełek, każde z nas będzie wszystkich pozostałych nosić w sercu, a gdy się dowie, że któremu nieszczęście się dzieje, zaraz na pomoc przybiegnie, jak wtedy, gdyśmy byli mali, a cały nasz świat to był zapiecek.

– To prawda. Martwię się o ciebie, tak jak bym się martwił o Werę czy Dorotkę, jakby mi kto powiedział, że nieszczęśliwa.

– Nie jestem nieszczęśliwa. Ja po prostu nie jestem szczęśliwa i pewnie nigdy nie będę. To nie jest wina Kajtka Mazura ani nikogo innego. Widziałam w swoim życiu tyle tragedii, że... Trudno mi przestać o nich myśleć, to wszystko.

- Wiesz, że przeszłości nie zmienisz?

– Niewiele mogłabym zmienić. Może tylko uratowałabym panią Martę. Nie zasłużyła na tak okrutną śmierć. Ona była dla mnie dobra. Była... – Urwała, nie wiedząc, czy wypada to powiedzieć. – Była moją jedyną przyjaciółką.

Wawrzek dał znak, że rozumie.

– Też straciłem przyjaciela. Gdy Franek Dołęga... Można powiedzieć, że utraciłem dwoje przyjaciół. Wiem, jak to boli. Wiem też, że czasem robimy coś tylko po to, by nasze życie uczynić znośniejszym, nie liczymy na szczęście, a ono niespodziewanie do nas przychodzi.

– Radzisz mi wyjść za Kajtka?

– Radzę ci szczerze z nim porozmawiać. Nie ze względu na samą siebie, ale przez wzgląd na niego. Jeśliś mu coś obiecała, a teraz to się odmieniło, niech wie od ciebie, nie od Pomiechowskiej. Czy nie chciałabyś, gdyby sprawy wyglądały na odwrót, by on był wobec ciebie szczerzy i powiedział, co czuje?

Jadźka przez chwilę rozważała jego słowa.

– Pomówię z nim – przyrzekła.

Rozdział dziewiętnasty



Z chemicznego punktu widzenia kiszenie to proces fermentacji mlekowej, polegający na rozkładzie cukrów prostych na kwas mlekowy. Obecność kwasu hamuje rozwój bakterii gnilnych. Z punktu widzenia kulinarnego zaś kiszenie jest sposobem konserwacji żywności, umożliwiającym długotrwałe jej przechowywanie.

Choć dziś kiszenie kojarzy nam się głównie z ogórkami i kapustą, ukisić można wszystko, nie tylko owoce i warzywa, ale również mięso. Ten sposób konserwacji żywności jest jednym z najstarszych, oprócz solenia i suszenia. I choć dziś możemy z powodzeniem przechowywać żywność w chłodniach i lodówkach, kiszenie wciąż jest popularne, ponieważ tak zakonserwowane produkty stanowią podstawę wielu tradycyjnych potraw.

Kiszzone produkty są bardzo zdrowe. Zawierają witaminy, przede wszystkim duże ilości C, ale też A, E, i B, stanowią naturalne źródło probiotyków i prebiotyków, są dobrze przyswajalne, łatwo trawione, wspierają pracę układu pokarmowego i odpornościowego, regulują wchłanianie glukozy i poziom cholesterolu. To wszystko sprawia, że dziś określilibyśmy je modnym słowem superfood.

W czasach, gdy na wsiach nie było innych sposobów na przechowywanie jedzenia, kiszono wszystko. Oprócz kapusty czy ogórków również grzyby, jabłka, buraki, liście winogron czy sałaty. Kiszono nie tylko żywność dla ludzi, ale również karmę dla zwierząt. Liście buraków cukrowych czy pastewnych zrzucano na pryzmy, by się ukisiły. Kiszonka ta miała specyficzny, niezapomniany zapach.

Wrzesień 1932

Cholerne pieniądze, ile by ich nie było, zawsze mało. Trzymasz w garści, wydaje ci się, że dużo, ale wystarczy jakiś drobiazg kupić, a już z tego, coś

miął, zostaje połowa albo i mniej. Jeszcze diabli nadal ten cholerny kryzys, każdego dnia złoty mniej znaczy.

Kiedy rok temu Wojtek opuszczał Tynczyn, wydawało mu się, że pieniędzy starczy mu do końca życia. Och, cudowna własna naiwności! Stopniały szybciej, niż topnieje śnieg po świętym Józefie. Mgnienie oka i już ich nie było.

– Ale com przeżył, to moje – powiedział do siebie, z lubością wracając do wspomnień.

Był we Lwowie, w Warszawie, w Krakowie. Zjeździł też mnóstwo prowincjonalnych dziur, gdzie podawał się za rosyjskiego księcia, niemieckiego przedsiębiorcę, architekta szukającego chętnych do budowy mostu w Ameryce. Och, cudowna cudza naiwności! Jakże łatwo ludzi urobić. Wystarczy mieć na sobie porządne ubranie, zrugać kogoś znacznego, roztaczać aurę pewności siebie i mówić z niezachwianym niczym przekonaniem, że świetnie wiesz, w czym rzecz.

W takim Lubartowie wkroczył do urzędu, przedstawił się i pokazał papier z pieczęcią, który dwa miesiące wcześniej wygrał w karty. Papier nic nie znaczył, choć rzucający go na stół przysięgał, że to akt własności. Miał jednak sporą pieczęć, a pisany był tak ozdobnie, że rozszyfrować tych zakrętasów nie można było żadnym sposobem. Prawda jest taka, że bywają momenty, gdy z każdego człowieka wychodzi naiwne dziecko, które wprost czeka, by je oszukać. Nim Wojtka zwiodła pieczęć, zwiodła go własna pazerność na ową mityczną własność. Dał się podejść jak chłopczyna, co ledwie zaczyna paść gęsi.

Nie ma wszakże tego złego, co by na dobre nie wyszło. Choć sam papier nie posiadał żadnej wartości, okazał się bardzo przydatnym narzędziem. Wystarczyło nim machnąć, a na widok pieczęci otwierały się różnorakie drzwi, a ludzie za nimi skorzy byli do udzielania różnorakiej pomocy. Gdy zaś wzmocniło się swój autorytet huknięciem na tego czy owego, co śmiał pozycję Wojtka podawać w wątpliwość, gdy ładnie się uśmiechnęło do tej czy owej panienci, zwłaszcza tej brzydszej, bo takie są złaknione komplementów jak wygłodzony kot śmietany, to możesz, człowieku, wszystko. Wszystko.

W tymże Lubartowie, prowincjonalnej dziurze, acz z aspiracjami, bo wszak to mięścina na obrzeżach wielkiego majątku magnackiego, przy drogach na północ i zachód leżąca, przeto mieszkańcom się wydaje, że każdego dnia

wielki świat do nich zagląda, Wojtek podał się w urządzie za Rudolfa Modrzejewskiego, lada dzień wyruszającego do Ameryki.

– Mam już podpisaną umowę na budowę nowego mostu. I to w samym Teksasie. Najbogatszym miejscu całej Ameryki, gdzie ludzie tylko w ziemię kopną, a złoto znajdują. Bo tam złota tak jak u nas kamieni.

– W gazetach piszą, że w Ameryce gorzej niż u nas – zauważył urzędnik.

– Pismaki! W kieszeni rządu siedzą i będą pisać to, co im każą, a pojęcia o świecie nie mają. Sugeruję wybrać się do Warszawy i tam jednego z drugim zapytać, czy był w Ameryce. Ja wiele razy bywałem, wiem, jak tam jest. Są miejsca bardzo kryzysem dotknięte, są też takie, gdzie nikt o nim nawet nie słyszał, jest praca, są i pieniądze. Jakże innym sposobem miałbym to? – Wyciągnął z kieszeni gruby plik, który tylko z wierzchu miał banknoty, reszta były to pocięte gazety. – To zadatek, który od władz tamtejszych dostałem. Będę musiał dać zaliczki hutom, tartakom, a nawet i dostawcom pieczywa, bo taka budowa to ogromne przedsięwzięcie. Nie ruszymy jednak bez robotników. Jeżdżę teraz po kraju i ludzi umawiam. Szukam chętnych, co z pomocą szanownego urzędu może się uda.

No i się udało, podobnie jak w paru innych miejscach. Ktoś rozniósł po mieście wieść, że robota jest, kwalifikacji nie trzeba. Dobrze płatna, bo związana z budową mostu w Ameryce. Dla niektórych oznaczać to będzie wyjazd, inni w Polsce zostaną i robić będą przy załadunku części. Trzeba w urządzie na listę się wpisać, uiszczając pięć złotych kaucji, która zostanie zwrócona pierwszego przepracowanego dnia.

– Ja sobie nie mogę pozwolić, żeby mi jeden z drugim do roboty się nie zgłosili, bo ich leń najdzie. Wie pan, jak to z tymi naszymi chłopami jest – tłumaczył Wojtek urzędnikowi, a tamten głową kiwał, bo dobrze to wiedział. – Pięć złotych nie majątek, zwłaszcza że już pierwszego dnia trzy razy tyle zarobią.

– Trzy razy?

– Taka, drogi panie, jest różnica między nami a Ameryką. Taka różnica. Rząd nasz rękami pismaków przeróżne kłamstwa nam wciska. Będiesz pan czytał, jak to źle jest w Ameryce, żebyś siedział cicho i nic na władzę nie mówił. Naiwniśmy tu w Polsce wszyscy i zbyt łatwo gazetom wierzymy, zamiast patrzeć na ręce politykom.

Mina urzędnika świadczyła o tym, że jest mu teraz bardzo głupio, że tak we wszystko, co w gazetach napisane, wierzył.

Chętnych do pracy zgłosiło się przeszło stu. Pod koniec dnia Wojtkowi wręczono listę i skrzynkę z pieniędzmi. Umówił się na dzień następny, zaprosił urzędników do lokalu na piwo. Po wypiciu jednego wymówił się bólem głowy, powiedział, że idzie na kwaterę, bo sen najlepszym lekarstwem. Nigdy tam jednak nie dotarł. Gdy koło południa w urzędzie dodano dwa do dwóch i w końcu domyślono się, co zaszło, Wojtek był już w drodze do Garwolina, gdzie podobną metodą zarobił aż siedemset złotych.

Nie ma wątpliwości, że przed wojną w taki sposób można było żyć całkiem wygodnie przez czas długi. Teraz jednak, gdy w każdym miasteczku telegraf, a poczta działa jak szwajcarski zegarek, wieści o oszustach szybko się rozchodzą. Nie pożyjesz długo z tego, co od naiwnych wyciągniesz, a policyjna pętla szybko się zaciska. Trzeba wiedzieć, kiedy podkulić ogon i wrócić na stare śmieci. Wojtek to wiedział. No prawie. Gdyby tydzień wcześniej opuścił Warszawę, wracałby znacznie bogatszy. Tak to już ze szczęściem bywa. Nie darmo przedstawiają je jako dziewczynę, bo nawet pogoda w marcowy dzień nie zmienia się z taką częstotliwością jak kobiecy humor. Rano kocha, w południe nienawidzi, przy podwieczorku chce cię, wieczorem precz wygania. Westchnął. Czyż nie tak było z Wietką? Ileż mu krwi napsuła ta dziewczucha to szkoda gadać. Jednego dnia miła, słodka, była niczym miód na serce, by zaraz drugiego odmienić się zupełnie, zmienić w dziegieć gorzki. Uśmiechnął się do tych wspomnień. Przez jego życie przewinęło się wiele kobiet, ale o żadnej z nich tak nie myślał jak o niej. Może to dlatego, że tylko ona jedna zrugła go jak psa, gdy zaproponował, że nocą się zakradnie.

– Co ty sobie, bydlaku, myślisz? Chcesz mnie, to się ożeń, a nie, to paszoł won.

– Żebyś wiedziała, że pójdę.

– A idź, na pewno płakała po tobie nie będę.

– Mówiłaś, że mnie kochasz.

– Tyś to samo mówił. Teraz się okazuje, że to kłamstwo, bo tylko zhańbić mnie chcesz. Idź w świat i tam se durnych bab szukaj, a w moją stronę nawet nie patrz.

– Pójdę.

– To idź.

– Jutro przybiegniesz błagać, żebym został.

– Zobaczymy.

- Jeszcze będziesz błagała, żebym wziął to, czego dziś bronisz.
- Co to, to nie.
- Przekonasz się.
- Zobaczymy, kto pierwszy.

Uparta była, nie przysłała do niego. On do niej też nie poszedł, raz dlatego, że tego kwiatu to pół świata, dwa, że go już bardzo w ten świat ciągnęło, a pieniądze, które dostał od Natali za pole, piekły żywym ogniem. Pragnął się wyrwać z Tynczyna, chciał się bawić, pić, grać w karty, tracić, wygrywać. Chciał żyć.

Z niewiadomego powodu myśli Wojtka często wracały do Mazurówny. Kiedy był z kobietą, zamykał oczy, by móc sobie wyobrazić, że jest z Wietką. Widział przed sobą jej słodką twarz, półprzymknięte oczy, cień rzęs na zaróżowionych z emocji policzkach, różowe usteczka rozchylone oddechem, który z minuty na minutę szybszy się staje, smukłą szyję, wygiętą jak u łabędzicy, pachnące rumiankiem włosy rozsypane na poduszce, piersi drobne, o dużych, brązowych brodawkach, które dotknięte twardniały natychmiast, o skórze gładkiej i delikatnej, mlecznej w smaku, pachnącej świeżym sianem.

Te myśli sprawiały, że łagodniał. Nie brał leżącej pod nim kobiety ze swą zwykłą gwałtownością. Dotykał jej, pieścił, lizał i całował, wyobrażając sobie, że tak właśnie cieszy się ciałem Wietki, smakując je i rozbudzając jednocześnie, by, gdy do obojga zbliży się koniec, namiętność targała nimi tak gwałtownie, że wprost nie do wytrzymania.

Gdy wycieńczony padał na łóżko obok kobiety, z którą był, prawie zawsze słyszał:

- Ja jeszcze... Nigdy dotąd... Nikt tak jak ty...
- Wiem. Tak właśnie jest, gdy robisz to z miłości.

Nawet gdy jest to miłość do innej, dopowiadał sobie w myśli, bo po cóż tej obok niego to wiedzieć.

Teraz, gdy los z powrotem gnał go do Tynczyna, Wojtek myślał o Wietce więcej niż kiedykolwiek. Ciekawiło go, czy za mąż poszła. Dla nich obojga byłoby to fortunne wyjście, on bowiem mógłby dostać to, czego pragnął, a ewentualne potknięcie zostałoby poczytane jako sukces małżonka. Wietka zaś nie musiałyby się obawiać hańby czy obmowy, jeśli tylko zachowałyby ich sekret dla siebie.

Wędrując po świecie, Wojtek poczynił wiele różnorodnych spostrzeżeń,

a pierwsze na liście było takie, że nie masz łatwiejszego polowania niż na mężatkę, zwłaszcza młodą. Nawet jeśli przed ślubem było zakochanie, trudy codzienności zdmuchują je z taką łatwością, jak dziecko zdmuchuje świeczkę. Przychodzi żal, że mąż nie stara się tak jak przed ślubem, i zaraz potem myśl, że może trzeba było na kogoś lepszego poczekać, a jednocześnie wciąż nie ma tego zdroworozsądkowego podejścia do życia, które staje się główną cechą starszych kobiet. Młode mężatki pragną wzruszeń, wierszy, kwiatów, zachwyty i komplementów, a gdy nie dostają ich od mężów, biorą to wszystko od tych mężczyzn, którzy chcą dawać. Tak też Wojtek miał nadzieję, że teraz wystarczy, by powiedział Wietce kilka ciepłych słów, a dostanie to, czego do tej pory mu wzbraniała.

Gdy wreszcie po wielu dniach wędrówki dotarł do Łaszczowa, pierwsze swoje kroki skierował do czajni. Nic tak zdrożonego człowieka nie wzmacnia jak czarka brunatnego napoju, arbatą zwanego. W większych miastach ludzie mówili „herbata”, tu jednak najczęściej „arbata”, czasem też „kawa”, choć były to dwa różne napary. Jeden z liści, drugi z ziaren.

Wojtek zajął miejsce przy stoliku i zaraz przyniesiono mu napój. Smużki pary unosiły się nad czarką. Osobno na spodeczku leżała łyżeczka z nabraną konfiturą. W Warszawie widywał też malusieńkie dzbanuszki ze śmietanką, tu jednak nie było takiego zwyczaju. Jakież ze mnie światowy człowiek, pomyślał, widziałem, jak damy w stolicy arbatę piją na angielską modłę, a nie tak jak my prostaki.

Już po trzech pierwszych łykach poczuł wzmocnienie. Do Tynczyna niby niedaleko, przez miasteczko, do drogi, tam groblą i prosto, najpierw przez nadoleckie pola, później przez tynczyńskie, wiadomo jednak, że ostatni kawałek wędrówki najdłuższy, bo człowiek zmęczony. Krócej by było, gdyby można było przejść przez park, jednak dziedzic krzywym okiem na to patrzy. Podobno gdy kogoś w parku zobaczy, każe zamykać bramę wyjściową. Biedak wraca więc do tej, którą wszedł, ale ona też już zamknięta. Błąka się więc tak od bramy do bramy, czekając pańskiego zmiłowania.

Z ociąganiem opuszczał budynek czajni. Szedł powoli, przyglądając się miasteczku, jako że trochę czasu minęło, odkąd je ostatnio widział. Porównywał to, co pamiętał, z tym, co zastał. Kościół w niczym się nie zmienił, stał tuż przy ryneczku, szerokimi otwartymi wrotami patrząc na ludzi, biegających po tutejszych ulicach. Musiał się zastanawiać, jak to się

stało, że Polacy, katolicy, których kiedyś było tu pełno, zniknęli. Zjawiali się gromadnie w miasteczku tylko dwa razy w tygodniu: w dzień targowy i dzień świąteczny. We wszystkie inne Łaszczowem rządził Żydzi. To oni mieszkali w drewnianych domach, stojących przy wąskich uliczkach, to oni prowadzili sklepy, to oni siedzieli w bryczkach, którymi, gdy kto życzył, wozili, gdzie żądano. To oni handlowali wszystkim ze wszystkimi, to oni grzebali się na cmentarzu na granicy miasteczka, nieopodal hrabiowskiego parku. To oni wreszcie modlili się w bożnicy, na którą przerobiono salę rycerską, jedyną część pradawnego zamku, ocalałą po ataku Szwedów. Może należało ją zostawić jako pamiątkę oporu przeciw wrogowi, siły i dumy narodu polskiego, tak by każdy, kto obok przechodził, czuł dumę, że jest Polakiem? Zamiast tego sprzedano ją na bożnicę. U nas wszystko na sprzedaż, przede wszystkim zaś honor, pomyślał Wojtek. Skundliliśmy się jako naród, skarleli. Nic dziwnego, że każdy nami pomiata, a najbardziej my sami sobą.

Skręcił na drogę, gdy usłyszał za sobą kroki i sapanie. Odwrócił się. Chłop niezbyt słusznego wzrostu, w marynarce, która widziała lepsze czasy, i wyświechtanym kaszkiecie, dziarsko maszerował w tym samym kierunku. W sylwetce tamtego i w jego ruchach było coś znajomego. Wojtek bezskutecznie szukał w pamięci jego twarzy.

– Uszanowanie – rzucił w stronę mężczyzny.

– Uszanowanie, Wojtek – odpowiedział tamten dziwnie znajomym głosem.

– Wy mnie znacie, ja was nie. Możecie mnie ten dziw wyjaśnić?

– Znacie mnie, i to dobrze, bom u szanownej mamusi za parobka był przez lata.

Wojtek poczuł, jakby w jego głowie nagle coś błysnęło, i wszystkie związane z tym człowiekiem wspomnienia pojawiły się jasne i czyste.

– Wybaczcie, Jakubie, że nie poznał. To przez to, że nos szanownego kolegi, gdyśmy się ostatnio widzieli, inne miejsce na twarzy zajmował. Kto wam tak facjatę przemebłował?

Jego rozmówca zatrzymał się w pół kroku. Stał na drodze i z uwagą przypatrywał się Wojtkowej twarzy.

– Mam uwierzyć, że nic nie wiecie?

– Możecie wierzyć albo i nie wierzyć. Ja nie odpowiem, bo nie wiem, w czym rzecz.

– Nie wiecie, czemu wyglądam jak to przejrzałe jabłko, co spadło na klepisko?

– Ano nie wiem.

– Ani o tym, co się stało, gdy wasza szanowna mamusia nawiała z niejakim Lesiukiem?

– Przykra to sprawa, pewnie gdybym nie był w wojsku, to wszystko inaczej by się potoczyło. Gdy wróciłem, zastałem w chałupie tylko siostrę.

I zrobił krok w stronę Tynczyna, nie uśmiechało mu się bowiem tkwić cały dzień na trakcie i z byłym parobkiem gadać, zwłaszcza że rozmowa zesłała na tak dla Wojtka nieprzyjemny temat. Szczerze żałował teraz, że zagadnął Jakubka.

Tamten ruszył również.

– Nie wspominała siostrzyczka, czemu mnie zwolniła?

– Powiedziała tylko, żeście zbyt wiele od niej chcieli.

Jakub roześmiał się gorzko.

– Niczego od niej nie chciałem poza robotą, do której byłem zgodzony. A co mnie spotkało?

Wojtek nie rozumiał.

– Nie wam jednemu roboty odmówiono. Teraz nawet najbogatsi gospodarze parobków zwalniają, bo ciężkie czasy nadeszły.

– Nie o tym ja mówię. – Wskazał na twarz. – Tylko o tym.

Wojtek wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Aż mu łzy do oczu napłynęły.

– Był u nas we wsi człek taki, pisał się Józek Połaj – zaczął, gdy już mógł mówić. – Bajdy on rozmaite wymyślał. Ale nawet on czegoś takiego wymyślić by nie zdołał. Może nie jesteście chłop jak dąb, aleście chłop. Mam uwierzyć, że moja siostra tak was obiała, że nos macie teraz tam, gdzie oko być powinno?

– Któż jak nie ona?

– A wyście stali i mordę do bicia nadstawiali? Toż wystarczyło waszej jednej ręki, żeby się obronić.

– W ciemności mnie napadła. W szopie. Usiadła mi na piersi i biła, nie patrząc.

Wojtek łzy wytrzeć musiał, bo ledwo przez nie widział.

– Nie dziwi mnie teraz, że precz wyгнаła. Widać wcale siły nie macie, skoro was dziewczuszka do ziemi przygwoździła i prała po pysku, jak chciała. Toż w kocięciu więcej siły niż w was, bo do ręki wzięte wywinie się i ucieknie.

Tamten się nie śmiał. Patrzył na Wojtka z nienawiścią.

– Gadam, jak było.

– Bzdury gadacie.

– Prawdę gadam.

– Tyle że to tylko wasza prawda. A moja prawda jest taka: jeśli usłyszę, że komu jeszcze to mówicie albo że na moją siostrę nastajecie, to Bóg mi świadkiem, przesunę wam ten nos z prawego oka na lewe.

Ruszył przed siebie, ale słyszał za plecami kroki Jakuba. Przyskoczył do niego, za poły marynarki złapał.

– Gdzie leziesz?

– Jedna nam droga, bo na Mikulin idę.

– Jaki masz interes na Mikulinie?

– Szukają tam kogo na nocnego stróża. Najmę się.

Wojtek puścił go i otrzepał ręce.

– Tylko zanim cię zatrudnią, lepiej szczerze im wyznaj, że to panienczka tak cię urządziła. Niech ludzie wiedzą, kogo do roboty biorą. – Pozwolił, by jego głos brzmiał wesoło, lecz zaraz dodał lodowatym tonem: – Do Mikulina przez Dobózek jest droga. Tamtędy idź i niech nawet noga twoja w Tynczynie nie postanie. A jak kiedy zbłądzisz i tam się pokażesz, to będziesz wiać tak, że ci mistrz Kusociński pozazdrości.

Jakubek patrzył pytająco, z niedowierzaniem. Ale gdy Wojtek stanął na szeroko rozstawionych nogach, ramiona na piersi splótłszy, parobek zrozumiał, że rad nierad, musi trasę zmienić. Zanim zawrócił, plunął Wojtkowi pod nogi.

Dołęga stał tak długo, aż postać tamtego nie znikła mu z oczu. Dopiero wtedy ruszył do Tynczyna.

Cóż to za dureń, pomyślał. Takie bzdury opowiadać. Toż jakby chciał, to taką jak Natalia jedną ręką do ziemi by przydusił.

Zboże sprzątnięto z pól do ostatniego kłoska. Na zieleniejących ścierniach dzieciarnia pasła krowy. Tu i ówdzie stały jeszcze kopczyki fasoli, ale i one znikwały, w miarę jak wysychały strączki. Za dzień, dwa zaczną się wykopki. Niefortunnie ten Wojtkowy powrót wypadł, bo akurat teraz najwięcej roboty. Nie tylko te cholerne kartofle, przy których człek się natyra tak, że dwa tygodnie grzbietu nie czuje, ale jeszcze len, fasola, zboże trzeba młócić, zagaty szykować, a na horyzoncie już kopanie buraków. Może Natalia trochę rozumu miała i od ich uprawy odstąpiła. Nie, nie miała rozumu. Po dziadku

była pazerna i, jak to na wsi mówili, lubiła gospodarzyć. Ciekawe, jak ona sobie daje radę sama ze wszystkim? Chciała, to ma, on na pewno pomagać nie będzie, to już nie jego. Nie po to wrócił. Musi się przycząić na trochę, odczekać, odespać, no i odpaść się trochę, bo trzeba było w pasku dodatkową dziurkę zrobić. Potem... Potem się zobaczy. Któż wie, co człowiekowi jutro przyniesie? A skoro nikt tego nie wie, to po co się zamartwiać? Czyż nie lepiej cieszyć się dniem dzisiejszym i żyć najpełniej i najradośniej, jak się tylko da?

Trzeba będzie coś wymyślić, żeby się od roboty wymigać. Powie, że chorował. Przez to pracę stracił, no i, co oczywiste, z sił opadł. Ważne, żeby przy babce zbyt wiele o tym nie mówić, bo ona drażliwa na punkcie chorób, uważa się za królową bólu i cierpienia, wszystkich, którzy chcieliby ją tego tronu pozbawić, podejrzliwie traktuje.

Wreszcie dotarł do wsi. Rozglądał się ciekawie, tak jak wcześniej po miasteczku. Niektóre rzeczy nic a nic się nie zmieniły. Trzy kopuły cerkwi pod wezwaniem świętego Mikołaja Cudotwórcy jak troje oczu z góry na wieś patrzyły. Za cerkwią pograżony w ciszy cmentarz, bliżej gościńca szkoła, niedawno postawiona, a tak już wpisana w krajobraz, jakby od zawsze tu była. Karczma z szeroko otwartymi drzwiami, bo Szymon pola nie uprawiał, tylko ten interes miał na głowie. Za karczmą topole i strużka, w której dzieciaki, tak jak kiedyś Wojtek, raki łowią. Chałupy w starej części wsi przytulane do siebie, ale na Felówce i Podpolu już inaczej, tam podwórza szerokie. A dalej, na ostrowie któż się znowu pobudował? Nowusieńka chałupa, i to na dodatek z blaszanym dachem. Ot, przybywa cywilizacja do Tynczyna, przybywa, ale powoli, bardzo powoli.

We wsi gwar, szum, ten krzyczy, tamten się śmieje, ktoś przy robocie śpiewa, inny gwizdże, psy szczekają, krowy ryczą, gęsi gęgają. Przy studni, którą mieli kopać, gdy Wojtek wieś opuszczał, stoją dziewczyny z wiadrami. Plotkują. Jeśli ten, co je po wodę posłał, bardzo spragniony, to tylko współczuć. Nie masz nic gorszego, niż jak się baby przy studni spotkają, do wieczora mogą stać i gadać.

Pod fartuchami dachów, na niektórych chałupach wypuszczonymi tak, że prawie ziemi sięgały, niczym żołnierze na odprawie stały snopki maków i lnu, a nad nimi, jak chorągwie, nanizane na druty bakunowe liście. Ciekawe, czy Natalia sadziła bakun? Pewnie tak, nie dla chłopa, bo go przecież nie miała, ale na sprzedaż. Chociaż może i dla chłopa. Rok to kawał

czasu, wiele mogło się zmienić.

W babczynej chałupie siedziała Mazurowa. Od kilku lat była tu częstym gościem. Niby nic niezwykłego, wdowieństwo mogło zbliżyć do siebie tak różne kobiety jak babka i Gala. Instykt podpowiadał jednak Wojtkowi, że Mazurowa czegoś chce. Może pożyczać pieniądze. Babka na pewno je miała. To w nią wdała się Natalia z tą chorobliwą wręcz oszczędnością.

– Patrzcie ludzie, kogo to Pan Bóg przyprowadził. – Gala zerwała się z ławy i obściskała go jak swego.

Babka nawet nie drgnęła, czekała, by Wojtek się pokłonił, rękę pocałował.

– Umrzeć bym mogła, a ty nawet na pogrzeb byś nie zjechał – zbeształa go.
– Rok znaku życia nie dawać?

– Obsztorcujcie mnie, babuniu, jak sztubaka. Zasłużyłem.

– I nic na swoje usprawiedliwienie nie masz?

Wojtek zobaczył w swojej głowie szereg obrazów, na których pił, grał w karty, zabawiał się z panienkami, i szczerze wyznał:

– Nie mam. Alem o was myślał, tęsknił i oto jestem.

– Łachudra z ciebie, pocziwy mój, kochany, łachudra. Dobrze, że jesteś. – To mówiąc, babka dała znak, żeby się do niej przytulił. Gdy to zrobił, poczochnęła mu czuprynę i z czułością pocałowała czubek głowy.

– Na długoście, Wojtku, wrócili? – zapytała Mazurowa.

– Tego nie wiem. Robotę dobrą miałem, subiektem byłem. Chciałem fach poznać, zanim sam sklep otworzę. Dobrze było, póki właściciela kryzys nie przycisnął. Zwolnił z dnia na dzień. Chodziłem trochę za robotą, ale nic nie znalazłem, więc wróciłem na czas jakiś. Może tu na co się przydam, gdy całkiem wydobrzeję, bom chorowałem.

– Cóż to was dopadło?

– Nic, o czym warto by wspominać.

I natychmiast zaczął wypytywać babkę o jej zdrowie, o to, czy Natalia dla niej dobra, czy czego nie trzeba, bo choć on właśnie przyszedł, to dla babki gotów jest nie tylko do Łaszczowa, ale i do Warszawy wrócić.

– To wyście w Warszawie byli? – Po Mazurowej widać było, że wspomnienie stolicy zrobiło na niej wrażenie.

– Tam miałem robotę.

– To wyście może i kogo znacznego widzieli? Marszałka może?

– Raz tylko i z daleka.

Zadziwiająco, że gdy człowiek w kłamstwie się wprawi, to przychodzi mu

ono z taką naturalnością. Wojtek sam uwierzył, że na warszawskiej ulicy widział Piłsudskiego.

– I jakież on? Jak na portrecie?

– Taki samiuteńki.

Gala westchnęła i popadła w zadumę.

– Mnie się zdaje, że wielki to zaszczyt zobaczyć Marszałka. Mój Prokop walczył z bolszewikami i pod Komarowem poległ.

Bo głupi był i walczyć poszedł. Po co mu to było? Teraz ziemię gryzie, a mógł sobie pożyc. Inna sprawa, że nie wiadomo, czy życie z Galą takie słodkie. Może lepiej było zginąć? Te złośliwe myśli sprawiły, że mimowolnie się uśmiechnął, a gdy zdał sobie z tego sprawę, by zmienić temat rozmowy, zapytał:

– A cóż tam u naszych dziewcząt? Ślub jaki był czy może się szykuje?

Babka z Mazurową wymieniły spojrzenia.

– O Wietkę to się chłopcy pewnie biją? Natalia ma kogo?

– Wietka wybredna, ale ma jeszcze czas, to niech wybiera – powiedziała Mazurowa.

– A siostrzyczka moja?

Znowu te spojrzenia, jakby ustalały między sobą, co powiedzieć.

– Tak ci z serca powiem, Wojtek, że radam z twojego powrotu – zaczęła Mazurowa, a babka z aprobatą skinęła głową. – Bo widzisz, my już czas jakiś ustaliłyśmy z twoją babcią, że mój Kajtek i wasza Natalia pasowaliby do siebie. Oboje nie tylko, że robotni, ale poza tą pracą na roli nic widzieć nie chcą. Ona posażna, on też nie bieduje. Pola u nas ładny kawałek, a na posag dla Wietki mam gotowiznę. Dobrze by im razem było.

– To ich pożeńmy.

Mazurowa westchnęła.

– Nie ma lekko. Kajtek, on nie mówi wiele, ale przeciwny nie jest. Znam go dobrze, to wiem. Tyle że Natalia się zaparła.

– Skoro on jej nie w smak, za innego pójdzie.

– No właśnie w tym sęk, że ona za nikogo iść nie chce. Mówi, że jej mąż niepotrzebny. Starą panną chce zostać.

Wojtek już miał powiedzieć, że to Natali wybór, nie zdążył.

– Weźże z nią porozmawiaj – powiedziała babka. – Toż tak być nie może. Stara panna? Któż jej na starość łyżkę stawy poda? Jej się wydaje, że młodość wieczna. Mnie też tak się zdawało, a minęło jak złoty sen. Przyszły

choroby i oto w izbie siedzę, bo byle wiaterek, a już mnie w piersiach ciśnie. I co ja bym była warta, gdybym dzieci nie miała? Antek zadba, Natalia zajrzy i tak człowiek ma się na kim wesprzeć. Porozmawiaj z nią, bo głupia. Ojca nie ma, wuj... wuj, jak ci wiadomo. Ale ty brat, ciebie ma posłuchać.

– Skoro tak – Wojtek podniósł się z ławy – zaraz z nią porozmawiam.

– Zaraz? – zdziwiła się Mazurowa.

– Widzicie, Mazurowo, dla mnie większej świętości nad moją babunię to nie ma. Każe mi ona z siostrą się rozmówić, to idę. Kazałaby iść do piekła, też bym poszedł.

I cmoknąwszy babkę w rękę, wyszedł na podwórze.

Siostrę znalazł za oborą, żęła pokrzywę dla świń. Dzielnie łąpała w dłoń drewnięjące już łodygi i tuż przy ziemi ciachnąwszy sierpem, rzucała na płachtę.

– Naznij więcej, to ci do obory zaniosę – powiedział Wojtek, a ona zamarła, powoli się odwróciła, pisnęła radośnie i rzuciwszy sierp, skoczyła ku bratu. Przywarła do niego, wtuliła się mocno.

– Wojtek! Wojtuś! Bałam się, żeś przepadł w świecie.

– Czemu miałem przepaść?

– Bo tatko... Od mamy też jednego słowa. Lesiuk do brata pisze, to wiem, że żyją, ale tylko tyle. – I ciężko westchnęła.

– Ja nie przepadnę. Nie trzeba się martwić.

– Mogłeś napisać choć dwa słowa.

– Ano mogłem.

– To czemuś nie napisał?

– Widocznie uznałem, że nie dzieje się nic tak ciekawego, by warto było o tym wspominać. Robotę miałem... W robocie czas inaczej płynie.

Po minie siostry poznał, że z nią nie pójdzie tak łatwo jak z babką. Zalażł Natali za skórę, to i poznała się na nim. To, że zabrał jej oszczędności, pewnie dawno mu wybaczyła, ale zapomnieć nigdy nie zapomni.

– Lepiej powiedz, co u ciebie. Za mąż nie idziesz, ale coś mi babka wspominała o weselu.

Jakby zeszywniała.

– O jakim weselu?

– A o tym, co to będzie, jak cię do Kajtka Mazura przekonam.

Prychnęła jak rozwścieczona kotka.

– Głupie stare baby! Jak sobie taka co do łba wbije, to nie wybijesz. Tysiąc

razy mówiłam babce, że ja go nie chcę.

Wojtek przywołał w pamięci twarz Kajtka i nie wydała mu się szpetna. Przeciwnie, był w niej niezwykle spokojny i stateczność, przydające mu uroku. Owszem, milczący był wyjątkowo. Niektórzy mówili, że on niemowa, i wyśmiewali, ale to nie była prawda. Kajtek mało mówił, bo wartość słowa znał. W porównaniu z jego, pomyślał Wojtek, moje tyle znaczy, co złoty po inflacji.

– A kogo chcesz?

Wzruszyła ramionami. Schyliła się po sierp i znów cięta pokrzywę.

– Abo to mnie źle? Nie muszę za męża iść, bom sama sobie panią.

– To i prawda, jak królowa żyjesz, nikogo nad sobą nie masz. A tak byś musiała męża słuchać. Chociaż jakbyś za Kajtka poszła, tobyś się nie nasłuchiwała zbyt wiele.

Natała się roześmiała.

– Od męża nie, za to od teściowej. Galinie usta się nie zamykają. Nawet Pomiechowska przed nią ucieka.

Teraz i Wojtek się roześmiał. Poczuł, jakby mu ciężar z ramion spadał i lekko się zrobiło. Gdziekolwiek znalazł się w świecie, bez względu na to, jak dobrze tam się bawił, był obcy. Ludzie go nie znali, a on nie znał ich. Mówił o sobie, co chciał, byli tacy, którzy mu wierzyli, byli i tacy, co spode łba rzucali podejrzliwe spojrzenia. Spotykał innych, sobie podobnych, którzy też kłamali. Niby wszystko działa się naprawdę, a jeden wielki fałsz.

A tu... Tu było inaczej. Wszystko prawdziwe, niezmienne. Ten sam gościniec, cerkiew, kuźnia, te same dachy, błoto na drodze, Pomiechowska pod studnią, plotki i ludzie, jak te chwasty na miedzy, co tak blisko siebie rosną, że splatają się jedne z drugimi i już nie widać, gdzie chaber, gdzie kąkol, gdzie lnica, gdzie macierzanka.

– Gdyby wszyscy patrzyli, kto im się za teściową trafi, to świat pełen byłby starych panien i starych kawalerów – odparł sentencjonalnie. – Ludzie nie zważają na to i nie wiem, mądrze czy głupio robią.

– Za to ja wiem. Nie chcę ani Gali, ani Kajtka.

– Nie ciężko ci samej?

– Nie. Co dam radę, sama zrobię, a jak czego nie dam rady albo nie mogę, to najemę kogoś do pomocy. Czasy teraz takie, że chętnych do roboty nie brakuje.

– Skoro już o najmowaniu mowa, spotkałem dziś naszego dawnego

parobka... Jak on się pisał? Zięba! Jakubka Ziębę. Pamiętasz go może?

Zamarła jak mysz na widok kota. Zesztywniała, jakby nie była z ciała, a z kamienia.

– Pamiętam – powiedziała wreszcie, ale nie swoim, tylko obcym, jakby ze studni dochodzącym głosem.

– Nos mu ktoś obił, paskudnie wygląda. Mówił, że ty. Prawda to?

Natala milczała.

– Skrzywdzić cię chciał?

Skinęła głową. Wojtkowi przyszło na myśl, że może ta niechęć siostry do małżeństwa ma inne podłoże, niż mogło się wydawać. Wyjście za mąż byłoby dla niej jednoznaczne z przyznaniem przed ludźmi, że już nie jest dziewicą. Nie do pozazdroszczenia los, zwłaszcza gdyby się trafiło do chałupy kogoś takiego jak Gala Mazurowa, kto od rana do nocy wyrzucałby synowej ten defekt, mówił o wstydzie, zhańbieniu rodziny, oszustwie, kto by wypominał ojca, co przepadł, i matkę, która porzuciła rodzinę.

– Skrzywdził? – zapytał.

Było to z jego strony okropne, lecz jeśli Natala została skrzywdzona, to raz, że pogoni Galę na cztery wiatry, a dwa, pofatyguje się na Mikulin, by parobkowi nos przesunąć na właściwe miejsce.

Przecząco pokręciła głową. Wojtek poczuł ulgę.

– Uciekłam do chałupy i się zamknęłam. W okna walił, mówił, że my dwoje powinniśmy być teraz jak mąż i żona, razem gospodarzyć i razem spać. – Głos jej się załamał, łzy popłynęły z oczu.

Podszedł do siostry i przytulił ją mocno. Przywarła do niego jak wtedy, gdy była mała, a ojciec jeszcze nie myślał o wyprawie za ocean. Potem zrobiła się taka twarda, niczego od nikogo nie chciała, zwłaszcza czułości.

– Powiedział, że wróci.

– Nic ci nie zrobi.

– Powiedział, że zrobi. Żebym się bała i oglądała za siebie.

– Nic się nie bój.

– Miałam nadzieję, że zdechł.

– Pewnie był tego bliski. Gadał, żeś ty go tak urządziła.

Pokręciła głową.

– Nieprawda... Uciekłam... – mówiąc, przetykała łzy. – Rano... krowa ryczała... nie miał siły nic mi zrobić...

– Mnie też się wydawało, że takie chuchro jak ty nie dałoby rady takiemu

chłopu jak on. Dobrze, żeś uciekła. Trzeba było wujowi powiedzieć, do mnie napisać. Przecież w wojsku dają przepustki. Przyjechałbym, pogonił dziada.

Płuca, przez płacz pozbawione powietrza, upomniały się o swoje i Natalia ze świstem wciągnęła podwójny haust.

– Nie było czasu pisać. Jakby mi do głowy przyszło, że on taki, tobym od razu do wuja poszła. Matka w nocy uciekła, a ten zaraz na drugi wieczór przystawiał się do mnie. Wojtek... Ja się go okropnie boję.

– Nic ci nie robi.

– Nie o siebie się boję. Tylko że on kogoś z moich bliskich ukrzywdzi.

No i jakże jej nie kochać, tej Natali? Pogładził ją po włosach, by dodać otuchy.

– Powiedziałem mu, żeby w Tynczynie się nie pokazywał. Posłucha, to jego szczęście, nie posłucha, to tak go obję, że się nie wyliże. Przy mnie nie musisz się bać. Z nie takimi łachudrami dawałem sobie radę. Będę cię pilnował, boś ty mój skarb największy. Toż poza tobą nikogo na tym świecie nie mam. – Odsunął siostrę od siebie, by móc spojrzeć jej w oczy. – Przy mnie nic ci nie grozi.

Otarła łzy. Oczy miała zaczerwienione, wargi opuchnięte, a na policzkach smugi rozmazanego brudu. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała siebie sprzed wielu lat, gdy była malutka i z byle powodu zanosila się płaczem.

– Nic ci nie grozi – powtórzył.

A ona się uśmiechnęła.

Rozdział dwudziesty



Pierogi wigilijne ze śledziem

Na ciasto pierogowe pół kilograma mąki i wody ciepłej tyle, by ciasto było elastyczne, oraz pół łyżeczki oleju wigilijnego.

Na farsz pół kilograma śledzi, garść grzybów suszonych, cebula.

Śledzie wymoczyć, najlepiej w mleku, oprawić, drobniutko posiekać. Grzyby namoczyć, obgotować, drobno pokroić. Posiekaną cebulę zrumienić na oleju wigilijnym, dodać grzyby i śledzie, wymieszać. Doprawić do smaku, jeśli trzeba. Ciasto zagnieść jak zwykle, rozwałkować.

Kroić na kwadraty, nadziewać. Gotować we wrzątku do momentu wypłynięcia. Podawać polane olejem.

Grudzień 1932

Do Bożego Narodzenia wciąż było daleko. Post ludziom doskwierał, a jeszcze bardziej doskwierał mrok, który zdawał się bez końca. I to nie tylko ten mrok, który zakuł w okowy świat, ale też ten toczący duszę Pietra Matwiejczuka. Był młody, miał swoje pole, chałupę, żonę, dziecko i kolejne w drodze, powinien czuć się może nie tyle szczęśliwy, ile przynajmniej rad z życia, a tak nie było.

Matwiejczuki mieszkali w Tynczynie od pokoleń. Żyli tu i pracowali, a gdy umierali, chowano ich na cmentarzu za cerkwią. Matka mówiła, że tam

człowieka miejsce na ziemi, gdzie jego przodkowie pogrzebani. Pietro wiedział, że tu jest jego dom, a jednocześnie nie czuł tego. Czuł się gościem, i to takim kłopotliwym, którego wyjścia czeka się w napięciu.

Trudno mu było stwierdzić, kiedy zaczął się tak czuć. Może wtedy, gdy świętej pamięci ojciec, Taras Matwiejczuk, w dwudziestym pierwszym powiedział matce, że żaden porządny Ukrainiec nie pozwoli się spisywać urzędnikom zdrajców. Pietro czuł się wtedy jednocześnie dumny i wykluczony.

Dwa lata temu sam stawiał się na spis, z dumą deklarując narodowość ukraińską i język ukraiński, choć wiedział, że urzędnicy fałszują dane, zwłaszcza te dotyczące języka.

– Wszystko w tym kraju jest fałszem – powiedział na którymś zebraniu stary Kita i była to prawda. Powiedział też, że mlekiem i miodem płynąca Ukraina jest stołem, do którego zupełnie nieproszeni siadają moiżni ze wschodu i zachodu, i żrą, aż im się uszy trzęsą. Nie ma siły, żeby ich od tego stołu przegonić, dopóty, dopóki coś na nim jest. Gdy już niczego nie zostanie, porzucą Ukrainę, bo nic ich nie będzie obchodzić.

Ojciec Pietra wspominał, że pod carskim butem chłopci polscy i ukraińscy cierpieli jednakowo i z taką samą niecierpliwością czekali na niepodległość. Ukraina ogłosiła się wolną w tysiąc dziewięćset cztertnastym. Powołano wtedy Główną Radę Ukraińską i uformowano Ukraiński Legion Strzelców Siczowych. Ojciec wspominał, że był to moment wielkiej narodowej euforii. Niestety tylko moment, bo nienazarte państwa ościenne nie chciały odejść od stołu. O Ukrainę walczyła Biała Armia Imperium Rosyjskiego, sowiecka Armia Czerwona, wojska polskie, a nawet niemieckie, wspierające marionetkowy rząd Skoropadskiego. A jednak dumny naród ukraiński potrafił wybaczyć i stanął po stronie Polaków w wojnie z bolszewikami. Jak to się skończyło? Traktatem w Rydze, który w niczym się nie różnił od swojego bliźniaczego poprzednika, zawartego w Andruszowie.

– Naszą nadzieją jest kolejna wojna – mówił Pietro na zebraniach. – Smutne to, bo przecież wiemy, jakich szkód narobiła poprzednia. Nie ma jednak innego sposobu na obalenie porządku, który ugruntował się w Europie po kongresie wiedeńskim. Zachód musi nas dostrzec. Tam są sojusznicy, których potrzebujemy. Bo słowiańskie narody wcale nie są nam bratnie.

Może nie byłoby tego mroku, gdyby Marinka inaczej na niego patrzyła? Kiedyś, zanim na świat przyszło dziecko, spoglądała z podziwem, a teraz

pytała:

– Na cóż ci ta walka? Pamiętasz, co się działo w trzydziestym roku na Podkarpaciu? Chcesz, żeby cię aresztowali i zabrali nam wszystko? Masz swoją chałupę, masz pole, we wsi jest szkoła, modlić się możemy, jak chcemy, nikt nam nie zabrania po ukraińsku mówić. Czego ci jeszcze trzeba?

– Wolności – odpowiadała, a wtedy patrzyła na niego jak na szaleńca.

– Jeśliś czymś zniewolony, to tą przysięgą, którą mi składałeś pod złotą koroną, przed Bogiem i popem, ale wiedz, że mogę cię z niej uwolnić. Idź sobie, gdzie chcesz. Korzystaj z wolności, a na mnie i na dzieci nie sprowadzaj nieszczęścia.

Przytulał ją wtedy do siebie, zapewniał, że nikogo i niczego na świecie nie kocha tak bardzo jak jej, swojej Marinki.

– I dlatego robię to, co robię. Zrozum, mogliśmy żyć w kraju, w którym bylibyśmy u siebie. Od tylu wieków o to walczymy. Gdyby nie błędna decyzja Jarosława Mądrego, bylibyśmy dziś największym państwem w Europie. Nie cierpielibyśmy głodu, tylko pod drzewami leżeli, a pieczone gołąbki same by nam do gąb wlatywały. I nie byłoby ponizenia, nikt by nami nie pomiatał.

– Co też ty mówisz, Pietro? Któż tu, w Tynczynie, tobą pomiata? Poza moją matką, bo ona nie bardzo cię lubi, nikt tu złego słowa o tobie nie powie. Ludzie cię szanują. Myślisz, że do kogo innego na zebrania by przybiegali? Mało który przychodzi tu ze względu na Wielką Ukrainę, przychodzą ze względu na ciebie. Choćby taki Kajtek Mazur. W nim tyle samo Ukraińca, co Polaka. Zagląda do nas dlatego, że cię lubi.

Gdy mówiła takie rzeczy, przytulał ją mocniej. Nie chciał, by widziała wyraz rozczarowania na jego twarzy. Miał tylko nadzieję, że Marinka się myli. Jeśli nie... Byłoby to bardzo, bardzo smutne. Pietro czułby się zdradzony. No bo jakże to? Siedzą z nim razem, dyskutują o ustawie samorządowej z dwudziestego drugiego, która zapowiadała powstanie dwuizbowych sejmików we wszystkich województwach zamieszkałych głównie przez Ukraińców, by ci mieli swoich przedstawicieli, a język ukraiński był na równi z polskim językiem urzędowym. Ta ustawa, podobnie jak reforma rolna, nie weszła w życie. Rozprawiają o niesprawiedliwości, jaką jest fakt, że Ukraińiec nie może się zgłosić na ochotnika do wojska, przez co chłopcy muszą zwlekać z ożenkiem, aż służbę odbędą. I o tym, że nawet wykształceni nie dostają posad urzędniczych. Nawet o uniwersytecie

ukraińskim rozprawiają, choć zważywszy na wiek, żaden z nich do tak poważnej edukacji się nie kwalifikuje. I to wszystko ma być czczym gadaniem, ot tak, żeby pogadać? Tylko dlatego, że Pietra lubią?

– Zmiłuj się, Panie Boże, i spraw, żeby to nie była prawda. Powinni wierzyć w Ukrainę tak samo, jak w Ciebie wierzą, bo inaczej, gdy przyjdzie bić się o nią, nie staną w pierwszym szeregu.

Pietro westchnął. Mrok miał wiele powodów, by wtargnąć do jego duszy. Gdyby nie owładnął nim do tej pory, teraz na pewno by się tak stało.

Ze znajdującej się pod sowieckim jarzmem części Ukrainy docierały wielce niepokojące wieści. Towarzysz Stalin, ten sam, który powinien od dwunastu lat gryźć ziemię, a przeżył rok dwudziesty tylko dlatego, że w jego żyłach płynęła krew samego diabła, nienawidził Ukraińców nawet bardziej niż Polaków. Nienawidził też chłopów, choć sam był jednym z nich. Mówił, że chłopska mentalność charakteryzuje się ciasnymi poglądami, chciwością i przesadami. Dlatego też tępi chłopci powinni zostać przekonani do szlachealnych i postępowych zasad kolektywizacji. Jeśli nie da się obudzić w nich ducha proletariackiego słowami, trzeba zastosować czyny. Zasady kołchozowe nie były nigdzie wprowadzane tak rygorystycznie jak właśnie w Ukraińskiej Republice Ludowej.

W końcu Stalin odkrył, że głód może być bronią polityczną. „Ukraińscy kułacy” zostali wzięci na celownik. We wrześniu armia zarekwirowała wszystkie zbiory. Nawet to ziarno, które było przeznaczone na siew. Jakże oni dają tam radę?, zastanawiał się Pietro i coś go ścisnęło za gardło, bo działacze OUN informowali, że to, co zabrano z ukraińskich spichlerzy i komór, trafiło na stoły w Berlinie i Paryżu, by mieszkańcy Zachodu zachwycali się cudem gospodarki sowieckiej. Na Ukrainie ludzie zaczęli umierać z głodu, ale głośno nikt o tym nie mówił. Polscy politycy postanowili nie patrzeć na wschód, tylko dalej taplać się w tym błocie, którego narobili wokół koryta.

– Nigdy z niego nie wyjdziecie, Lachy, dwulicowe świnie, zdrajcy – wyklinał ich Pietro.

Te wszystkie myśli i ten mrok sprawiły, że musiał wyjść z izby.

– Ty dokąd? – zapytała Marinka.

– Drwa trzeba narąbać.

– Toż dopiero rąbałeś.

– Mało będzie.

Skinęła głową. Idźże, skoro musisz, zdawała się mówić. W jej błękitnych oczach zamigotała złość.

Wyszedł. Ruszył za oborę, minął pniak, ale nawet nie spojrzał na wbitą w niego siekiere. Podązał przed siebie, na pamięć, bo chmury zakryły niebo. W ciemności mrugały okienka chałup, odbijając blade płomyki łojówek. Ludzie znów na wszystkim oszczędzali. LAMPY naftowe zawisły na haczykach, zapalane od wielkiego święta, bo nafta droga. Chałupy oświetlano łuczywem, świeczkami, kagankami, w których palono najgorszym olejem. Często nie oświetlano wcale. Ludzie siedzieli w ciemności. Nie jak ludzie, jak zwierzęta.

Jeśli u nas jest tak źle, myślał Pietro, jakże okropnie musi być tam. I spojrzał na wschód. Gdyby mógł, wziąłby worek zboża na plecy i zaniósł głodującym. Jeśli przetrwasz to, dzielny narodzie ukraiński, to ja, Pietro Matwiejczuk, obiecuję, że do ostatniej kropli krwi będę walczył o twoją niepodległość. Wszelkimi sposobami.

Z ziemi zerwał się zimny powiew, poderwał śnieg, wzniósł do góry i nim zakręcił. Pietrowi dreszcz przebiegł po plecach. Rozejrzał się wokół. Ależ pobłądził! Wydawało mu się, że idzie gościńcem, a znalazł się na tyłach karczmy. Z wnętrza dobiegały strzępy rozmów. Wielu mieszkańców Tynczyna wyrzekało się w adwencie wódki, lecz byli również tacy, którzy nigdy by tego nie zrobili.

Pietrowi zdarzało się pić do nieprzytomności, zwłaszcza gdy trafiała się okazja. Na weselu czy chrzcinach, gdy za wódkę płacić nie trzeba, grzechem byłoby nie skorzystać. Zanim się ożenił, pił z kolegami – zwykła to kawalerska rozrywka. Jednak gdy się ożenił, spoważniał i do wódki go nie ciągnęło, nie ciągnęło go też do hulanek. Marinka nie musiała męża w karczmie szukać ani miotłą miłości do siwuchy wybijać z głowy.

Dziś też nie przyszłoby mu do głowy, żeby w gościnne progi karczmy skrócić, gdyby nie ten ziąb okropny.

Jeden na rozgrzewkę, pomyślał.

W środku było ciepło. Pachniało kiszonymi ogórkami, solonym śledziem i cebulą. Złośliwi mówili, że to oddech Szymona, który zawsze miał w kieszeni cebulę, a gdy klientów nie obsługiwał, obierał ją z łusek, kozikiem plastry odkrawał i chrupał, a gębulę miał przy tym tak rozradowaną, jakby jadł słodkie jabłuszko.

Po chwili przez te przyjemne zapachy przedarła się przykra woń

wilgotnych ubrań, przesiąkniętych potem i smrodem z obór. Zaraz jednak i do niej nos się przyzwyczaił.

– Zapiszcie mnie, Szymonie, jeden kieliszek. Jutro wam przyniosę.

– Przyniesiecie albo i nie przyniesiecie. Abo to wiadomo, jak z wami będzie?

– Mogę się wrócić do chałupy, nie wiem tylko, czy mnie baba drugi raz puści – odpowiedział ze śmiechem Pietro.

– Komu innemu bym nie poborgował, ale was, Matwiejczuk, szanuję. Ojca znałem, a wy taki sam uczciwy człowiek jak on. – To mówiąc, Szymon sięgnął po kieliszek. – Zimno, co?

– Ano zimno.

– To może jeszcze jeden? Komu innemu bym nie zaufał, ale wam ufam.

Pietro się uśmiechnął i opróżnił drugi kieliszek.

– A nie zapisujecie sobie tego?

– Wszystko w głowie. Tam ja mam swój kajet i każdy, każdziusieńki zapis.

– Nie boicie się, że trochę niepewny ten wasz „kajet”?

Żyd uśmiechnął się chytrze.

– Najpewniejszy na świecie, pewniejszego nie ma. A jak ty dumasz, że jest, to ci powiem, co się w Małoniżu wydarzyło, no chyba żeś słyszał?

Pietro wzruszył ramionami. Wiele rzeczy słyszał, może i to. Skąd miał wiedzieć?

– O Mikołajciu żeś słyszał?

Nie. Tego akurat nie.

– A znasz go?

Jakżeby nie?

– A o sklepie żeś słyszał?

– Gadali, że w Małoniżu sklep otworzony, ale tylko tyle.

– To może ja ci piwka naleję i opowiem, bo wielce to jest pouczająca historia. – Szymon sięgnął po szklanę. – Teraz taka moda, że po wsiach w chałupach sklepy się otwierają. Może to i dobre, zawsze babie łatwiej po jedną czy dwie rzeczy parę kroków podlecieć, niż wyprawiać się do Łaszczowa. Ja sam, gdyby nie to, że mam karczmę, taki sklep bym otworzył. Tedy się nie dziwię, że Mikołajciu... – Urwał, zamyślił się. – Swoją drogą, ciekawa to wieś ten Małoniż, że tam nikt na nikogo zwyczajnie po imieniu nie powie. Jak to mówią, co jedna wieś, to inna pieśń. Tam wszyscy mają jakieś przezwiska, u nas nikt.

– No a Bidy?

– A co z nimi?

– Toż oni się piszą Gancarze, tylko we wsi na nich mówią Bidy.

Karczmarz złapał się za głowę.

– Aj waj! – krzyknął. – To ja tu tyle lat żyję między wami i tegom nie wiedział. To ja teraz całkiem rozumiem, czemu on na mnie ze złością patrzy, gdy się pytam: „A co tam dziś dobrego, panie Bida?”. Czemuż mnie nikt nie powiedział?

Pietro wzruszył ramionami. Rodzinę Mietka Gancarza nazywano Bidami, bo gdy do babki dziadek w zaloty przyszedł, matka jej tak powiedziała: „A cóż to za bida przyszła? Siedzi w kącie i piszczy”. I odtąd dziadek przez teściową był zwany Bidą. Od niej przejęli to sąsiedzi i tak, nie wiadomo kiedy, Gancarze stali się Bidami. Nikt jednak, poza Szymonem, tak do nich nie mówił. We wsi sądzono, że między Żydem a Gancarzami doszło do jakiegoś zatargu i karczmarz ze złośliwości ich tak przezywa. Pietro poczuł, jak kąciki ust same unoszą mu się ku górze, gdy pomyślał o swojej jutrzejszej rozmowie z Pomiechowską. Cała wieś będzie się z tego śmiała do samiutkiego Bożego Narodzenia.

Szymon wciąż cmokał i głową kręcił zawstydzony całą tą sprawą. Nie martw się, chciał mu powiedzieć Pietro, dziś karczma prawie pusta, za to jutro pełna będzie. Każdy zechce przyjść i na ciebie popatrzeć, pożartować za plecami, w oczy się pośmiać.

– No a co z tym Mikołajciem? – zapytał, by myśli tamtego odwrócić.

Żyd pacnął się w czoło, jakby tam owad siedział. Uśmiechnął się szeroko.

– Prawda, miałem ci rzec, co się też w Małoniżu nawyczyniało. Mikołajciu wykalkulował sobie sklep otworzyć. Dwie morgi pola sprzedał, kupił za to towaru, za ladą zasiadł i za handel się wziął. Tyle że wiadomo, jak jest z handlem. I z pieniądzem. Gotowy grosz nie zawsze w chałupie, trzeba borgować. Tedy wyposażył się Mikołajciu w kajet, nie byle jaki, tylko w twardej okładce, do tego ołówek kopiowy i linijkę. Zapisywał daty, nazwiska, no i dług. Jak kto oddał, to linijkę przykładał i z rozmachem wykreślał. Tak to się toczyło, aż dzieciak tego Bysia, co go Koziółek wołają, zapragnął wędki. Wędka rzecz droga, mało kto ma na nią pieniądze. Jeszcze żeby kawaler jaki, co w polu parę dni przy żniwach porobi, ale dzieciak? Skąd dzieciak ma pieniądz mieć? Mały sprytny, przyszedł, powiedział, że matka na borg pozwoliła. Jak on tego Mikołajcia przekonał, to ja nie wiem, ja

bym dzieciakowi nie dał, chyba żeby z matką przyszedł. Dzieciak wędkę wziął i od razu nad rzekę. Czy w domu wędkę pokazał, czy schował, to nie wiadomo. Pewnie gdzieś chował pod strzechą, żeby mu matka dupy nie złoła. Ja tam bym swojemu za takie coś złoł. Czas mija, a dzieciak coraz bardziej w strachu. Matka do sklepu pójdzie albo kto jej powie, trza coś wykombinować, by lania uniknąć. Sprytny ten mały Koziołek! Przebiegły jak nie wiadomo co. Urobił Mikołajciuniowego Oleksia, synka młodszego, znaczy się. „A ciekawe, ile to wam ludzie winni? Czy wy bogaci, czy wy biedni”, tak mówił, aż namówił, by mały zeszyt wyniósł. Mieli policzyć, ile tam Mikołajciuniowi ludzie dłużni. Koziołek tak sobie wydumał, że jak zeszyt w ręce dostanie, to wykreśli swój dług i będzie po sprawie. No i Oleksiu w końcu zeszyt wyniósł. Tylko gdzie z nim idź, jak oni w samym środku wsi mieszkają, tam, wiesz, za figurą, przy tej drodze, co w Gliniska idzie? Ano nad rzekę pójdą, tam w chaszczach się schowają i wszystko policzą. Tak i zrobili. Czy się gdzie który zaszportał czy też się między sobą szamotali, w każdym razie zeszyt plusk! W wodę. Wyłowili raz-dwa. Cóż z tego? Strony sine, bo kopiowym ołówkiem zapisane, nic nie rozczytasz. Afera się zrobiła, nabrał jeden z drugim od ojców. A zaraz druga afery, bo się okazało, że nikt nic Mikołajciowi nie jest winny. I tak skończył się jego sklep i handlowanie. Mikołajcio resztę towaru faktorom odsprzedał, a teraz może sobie jedynie w brodę pluć, że zeszytowi ufał. Ja w swoją głowę wierzę. Bo gdy jutro was zobaczę, głowa mi podpowie, żeście winni za dwie wódki i dwa piwa, a wtedy ja wam to powiem, a wy mnie oddacie albo i nie. A jeśli nie, to pojutrze wam przypomnę. I tak każdego dnia, dopóki nie oddacie. Dzięki temu ja nie zapomnę i wy nie zapomnicie.

A nie ma ta wasza głowa ochoty czegoś dodać, zwłaszcza gdy zapisujecie komuś w trzy dupy pijanemu?, miał ochotę zapytać Pietro, ale się pohamował. Żyd by się tylko obraził, a trzeba by kogoś bardzo naiwnego, by nie wierzył, że właśnie tak się dzieje. I nie można mieć tu do Szymona pretensji, bo każdy na jego miejscu by tak robił. A jeśli pijący ma pretensje, to do siebie mieć je powinien, bo nikt mu nie każe chlać aż do utraty świadomości.

– Toście mnie zabawną rzecz opowiedzieli. Wrócę do domu, żonie powtórzę. – Odsunął pustą szklankę i skinieniem podziękował karczmarzowi.

– Może jeszcze jedno?

– Dwa i dwa to ładny rachunek.

– Trzy i trzy jeszcze ładniejszy.
– Zależy dla kogo. Dla was na pewno, dla mojej głowy i kabzy już nie bardzo.

Roześmiali się obaj. W tym momencie drzwi do karczmy się otworzyły, wionęło zimnem, a wraz ze śnieżnym pyłem do środka weszła Pomiechowska.

– Niech będzie pochwalony – powiedziała.

Pietro odpowiedział uprzejmie, Szymon tylko głową skinął.

– Byłam ja na wieczórkach u Hubów, bo tam czytają książkę przepiękną. Tytułuje się ona *Cmentarz i sad*. – Strzepnęła śnieg z ramion. – Wszystkie my tam płaczemy nad losem tych młodych. Jeszcze na dwa wieczory tego będzie. Ja mam nadzieję, że los dla nich okaże się łaskawy, ale Teofila mówi, że ten cmentarz w tytule to nie na darmo. – Rozejrzała się po wnętrzu. – Pusto tu u was dzisiaj.

– Ano pusto.

– Szkoda. Weszłam, bo myślałam, że może chłopcy tu siedzą. Wiecie, jak jest, baby do książki, chłopcy do karczmy.

– Widocznie gdzieś indziej piją – wtrącił się Pietro.

– Prędzej śpią pod pierzynami, byle sami – roześmiała się Pomiechowska, a jej pomarszczona twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej. – Szkoda, bom ciekawa, czy to prawda, co Francowa gadała, że bratanek Kornelowicza ziemię będzie sprzedawał. Podobno ten z Czartowca, co od nich dzierżawił, skarżył się Linartowi, którego w Łaszczowie spotkał, że dzierżawa wymówiona, a on tam ma pszenicę posianą. I ten bratanek nawet słyszeć nie chce, żeby choć za ziarno wrócić, że o pozwoleniu na zebranie plonu nie wspomnę. No i tak już do domu szłam, myślę, zajrzę ja do karczmy, może jak raz Linart siedzi, to mi wszystko opowie. Albo kto drugi, kto z nim gadał. Bo wiecie, trzeba sprawdzić, nie ma co plotek po wsi rozsiewać na darmo, bo i bez tego ich sporo. A ja plotek nie lubię.

Po spojrzeniu, jakie rzucił na niego Szymon, Pietro poznał, że myślą tak samo.

– Ale może to prawda? Po cóż Kornelowiczowi ta ziemia po stryju? Daleko, nie ma jak upilnować. Sprzeda, to coś pod Krakowem kupi. Bo dobrze mnie się zdaje, że on z Krakowa?

Szymon skinął głową.

– Ze wszech miar mu się poszczęściło – powiedział. – Tyle pola, a on je za

nic dostał. Jedyne, co musiał zrobić, to się urodzić.

– I przy życiu zostać – zażartowała Pomiechowska. – U nich w rodzinie to trudne jakoś. Wiecie, że mnie wciąż Zośka się pokazuje? Wieczorami ją widzę, jak groblą idzie. Taka wesoła. – Westchnęła ciężko. – Wciąż mam nadzieję, że się bidula odnajdzie. Tęsknię za nią jak za swoją. Takie to było śliczne dziecko. Pamiętam, jak przez wieś biegły, ona i Agata Lipczewskich, człowiek choćby w najgorszym frasunku, a uśmiechnąć się musiał, takie były śliczne. Zośka co rusz poprawiała kapelusik, a Agata warkocze. Nie do uwierzenia, jakie ona miała te włosy. Różne dziwy w życiu widziałam, ale takich długiśnych warkoczy to nigdy. – I znów westchnęła. – Kto by się spodziewał, że los tak okrutnie z nimi postąpi?

Przez chwilę trwali w milczeniu. Pietro próbował przypomnieć sobie Agatę, ale tamte wspomnienia się zatarły i przypominały obrazy, które, zbyt długo wisząc w świetle, blakną tak, że bardziej domyślasz się tego, co przedstawiają, niż możesz to rozpoznać. Wiedział o warkoczach Agaty Lipczewskiej, ludzie o nich mówili, ale ich nie pamiętał, tak jak nie pamiętał twarzy tej dziewczyny. To, co ją spotkało, było straszną tragedią i wielkim okrucieństwem. Przyszło mu do głowy, że gdyby coś takiego jego Marince... Gniew nim wstrząsnął.

– Co wam? – zapytała Pomiechowska.

– Zima doskwiera. Gorzałka nie ogrzała, trzeba iść do żonki, może ona co poradzi.

Staruszka wybuchnęła skrzekliwym śmiechem.

– To na pewno. A jakbyście co wiedzieli o tej sprzedaży, to powiecie? Bom ciekawa.

Obaj z karczmarzem zgodnie skinęli głowami.

– To zostańcie z Bogiem. – I odwróciła się ku drzwiom.

Pietro przypomniał sobie to o Bidach, a że już zbierał się do domu, równie dobrze mógł wyjść z Pomiechowską.

– Czekaście, pójdę z wami.

Gdy kwadrans później szedł gościńcem w stronę własnej chałupy, myślał o tym, że nazajutrz w karczmie będzie ruch nie tylko dlatego, że ludzie przyjdą pośmiać się z Szymona. Przyjdą też dowiedzieć się, co z tą sprzedażą majątku Kornelowiczów. Ten i ów będzie myślał o kupnie. Tyle pola! Dzierżawca zaniedbał, ale to nic, ziemia dobra, tylko odżywić ją trzeba, a będzie dawać plon nieprzebrany. Żeby choć tak kawałek z tego. I żeby

w ręce Polaków nie poszła. Dość już mieli oni ukraińskiej ziemi we władaniu.

Rozdział dwudziesty pierwszy



Wigilię nazywano pośnikiem. Był to dzień święty, wróżba wszystkiego, co przyniesie nadchodzący rok. Na stole najważniejszy był opłatek, który przed zjedzeniem maczano w miodzie, bo to miało zapewnić powodzenie. Obok opłatka leżał wianuszek czosnku, którego ząbki wsadzano wiosną do ziemi, wierzono bowiem, że przyniesie to urodzaj.

Wierzono, że w noc wigilijną dzieją się cuda, mówią zwierzęta, kwiaty pod śniegiem zakwitają, a woda w rzekach i potokach nabiera uzdrawiającej mocy.

Najpopularniejszym daniem był barszcz z mąki żytniej lub owsianej z grzybami. Jadano też kraszone kasze i pierogi z najróżniejszym nadzieniem – z maku, sera, kapusty, kasz.

Wigilijne potrawy przygotowane były tylko z tych produktów, które pochodziły z pól i ogrodów. Nie jadano mięsa, tłuszców zwierzęcych ani ryb. To ostatnie z czasem uległo zmianie. Najpierw zaczęto jeść śledzie, później inne ryby, których w rzekach było pod dostatkiem.

Obowiązkowym akcentem wieczerzy był mak, bowiem jego czerwone kwiaty to symbol miłości i krwi, która jest źródłem życia.

Grudzień 1932

Wawrzek Adamczuk pogładził się po brzuchu. Choćby i chciał, nie dałby rady wcisnąć tam ani jednego pieroga, ani jednej łyżki kapusty więcej.

Z wdzięcznością spojrział na żonę. Miała Marianna wiele talentów, dobra z niej była gospodyni, wspaniała matka, a o tym, jak smacznie gotowała, to w gazetach powinni pisać. Wawrzek, gdy siadał za stołem, to wiedział, że nie odejdzie, póki coś jeszcze pozostanie na dnie w garnku.

Marianna, która widziała ten ruch, roześmiała się uradowana.

– Może łamańców ci nałożyć? – zapytała przekornie.

– Ty, kobieto, chcesz, żeby mi wańciel trzasnął.

– E tam, nie trzaśnie.

– Nie trzaśnie, bo już nic do niego pchać nie będę. Dopiero po pasterce. – I sięgnął przez stół po rękę żony, by pocałunkiem wyrazić, jak jest jej wdzięczny za tę kolację i za wszystkie inne posiłki, które przygotowywała w czasie ich małżeństwa.

Powiniennem z nią porozmawiać, pomyślał. Tyle że nie miał pojęcia jak. Nie chciał, żeby to, co miał do powiedzenia, źle zabrzmiało, Marianna bywała drażliwa. Wystarczyło jedno słowo, a wybuchała płaczem. Byle drobiazg brała sobie do serca. Taka mądra, taka rozsądna, a zachowywała się, jakby wciąż była młodą dziewczyną, a złośliwe dzieciaki wyśmiewały się z jej szpetoty.

A przecież tamten obraz zatarł się już w ludzkiej pamięci. Wawrzek sam z trudem przypominał sobie żonę sprzed dziesięciu lat. Czas niewątpliwie podziałał na jej korzyść. Daleko jej było do takich piękności jak Aniela Hubowa czy Helena Dymowska, nie wyglądała jednak gorzej od Staszki Francowej czy Józki Iwaniukowej, które przecież w młodości uchodziły za bardzo urodziwe. Poza tym Marianna miała to, czego wielu ludziom brakuje – złote serce. Nawet jeśli bywała szorstka, najbliżsi wiedzieli, że kocha ich nad życie i wszystko dla nich zrobić gotowa. Dlatego też rozmowa, którą Wawrzek chciał odbyć z żoną, musiała być najpierw gruntownie przemyślana.

– Pójdę do obory. Krowom trzeba siana podrzucić.

– Toż dopiero żeś chodził.

– Niech wiedzą, że dziś święto.

Wstając od stołu, zauważył gniewne spojrzenie, które mu posłał Dyzio. Udał ślepego, a w odruchu ojcowskiej miłości położył rękę na ramieniu syna. Tamten zeszywniał. Ech, młodość, młodość. Krew się w człowieku gotuje. Wydaje mu się, że tylko ta jedna na całym świecie. A później to mija, spotka się inną i nagle uczucie do poprzedniej niknie jak ta mgła nad łąkami w sierpniowy ranek, topnieje jak lód na kałużach w ciepły marcowy dzień.

Gdyby sprawa nie dotyczyła Dyzia, może byłoby łatwiej. Kłopot w tym, że choć Marianna kochała wszystkie swoje dzieci, do najstarszego miała szczególny sentyment, tych dwoje łączyła wyjątkowa więź. Może było to

wynikiem owych lat, które spędzili, mając tylko siebie. Wiadomo jednak, że gdy padnie imię syna, Marianna zareaguje emocjonalnie, a tu spokoju trzeba i rozwagi.

– Młode to, durne – powiedziały, wychodząc z sieni.

Tak naprawdę nie miał zamiaru krów karmić. Chciał odejść od stołu, by w samotności pomyśleć o tych, których już z nimi nie było. O bracie, który zginął na wojnie, o panu Greenwoodzie. Pragnął też pomyśleć o tych, co żyli i gdzieś w świecie radowali się świętami – o Franku, Willu i Joan. Nie mógł o nich rozmawiać z najbliższymi. Z nikim nie mógł o nich rozmawiać. A przecież każdego dnia modlił się za nich i każdego dnia za nimi tęsknił.

Dziw nad dziwy, jak się ten los czasem plecie. Gdyby nie stary Hub i jego obawy, że chłopczyzna Adamczuków wróci z wielkim majątkiem, odbierając Ksaweremu miano najbogatszego we wsi, Franek i Wawrzek nigdy by się nie zaprzyjaźnili, bo tu w Tynczynie dzieliło ich wszystko. Dołęga był starszy, żonaty, dzieciaty, a przede wszystkim zamożny. Wawrzek był biednym gówniarzem z głową pełną planów i pustką w kieszeniach. Skinienie głową w drodze do kościoła, pozdrowienie „Boże dopomóż”, gdyby spotkali się na polach, to byłoby wszystko. Ich wielkie, braterskie uczucie nigdy by się nie zdarzyło.

Wawrzek wspominał tamten dzień, gdy opuszczali Tynczyn, i to, jak mu Franek położył rękę na ramieniu, dodając otuchy. Choć wiele wspomnień z podróży już się zatarło, ten moment był wciąż barwny, jakby zdarzył się wczoraj, a nie przed dziewiętnastu laty. Wciąż też pamiętał zachwyty w oczach Franka i te jego okrzyki: „Wawrzek, bracie, widzisz, jaka droga? Jakie domy?”, „Wawrzek, morze! Powiedzże mi, jest w Tynczynie kto jeszcze, kto widział morze? Tyle wody! A nam się wydaje, że Huczwa szeroka! Śmiechu warte!”.

Potem, na statku, niańczył Wawrzka jak dziecko, na Ellis Island pilnował, by ten nie trafił do lazaretu, gdzie pewnie by zmarł, otaczał go opieką w Nowym Jorku i później, gdy wędrowali przez Amerykę. Wawrzek miał dobrego starszego brata, ale Toniek nie był tak opiekuńczy, tak serdeczny i kochający jak Franek.

I dlatego Wawrzek musiał wrócić. Gdyby tam został, nigdy nie mógłby być szczęśliwy. Gniew i zazdrość, które nim zawładnęły, gdy dowiedział się o uczuciu łączącym Franka i Joan, tylko na moment odebrały mu rozum. Kochał ich oboje i ta miłość dała mu siłę, by odejść i szukać szczęścia na

własną rękę. Z dała od miejsca, gdzie oni byli szczęśliwi. Bo przecież zarówno Franek, jak i Joan byli mądrymi, wrażliwymi ludźmi. Nawet jeśli od razu nie zauważyli, z czasem odkryliby to, co się działo w sercu Wawrzka. To mogłoby sprawić, że podjęliby decyzje inne od tych, które podjąć powinni. Mógłoby być głosem sumienia, sprawiającym, że Franek wyrzekłby się Joan i wrócił do Polski. A ona pewnie nigdy by tego Wawrzкови nie wybaczyła. Niechże tam, w Ameryce, pod tym innym niebem, na tych innych łąkach i zielonych pastwiskach, będą szczęśliwi. I jeśli jest sposób, by ta myśl trafiła z jednej głowy do drugiej, niech tak się stanie. Niech pomyślą o Wawrzku serdecznie, jak o młodszym bracie, który bardzo ich kocha, tęskni, ale jest tu szczęśliwy ze swoją rodziną, żoną i dziećmi.

Bywały chwile, gdy chciał napisać do Franka, bał się jednak, że tamten odpisze. List z Ameryki nie uszedłby uwagi mieszkańców wsi. Gdyby zdarzyło się to za życia starego Huba... A i teraz nic dobrego nie wynikłoby z tego, że rodzina poznałaby prawdę. Tylko więcej żalu, więcej smutku, kolejne łzy po już raz opłakanym.

I gdy się wydawało, że wszystko jest już ułożone, los zakpił z Wawrzka. Ponownie splótł nić jego życia z nicią Franka.

Przecucie podpowiadało im, że z Dyziem coś się dzieje. Wiedział to Wawrzek, wiedziała Marianna. Nie jeden raz pytali syna, ten jednak zawsze reagował tak samo. „Nic mi nie jest”, odpowiadał naburmuszony. Może i nie jest? Jeść je, robić robi, z młodszym rodzeństwem się przekomarza. Znika na całe dni, ale nie wraca pijany. Czasem w nocy z izby się wymknie, a pytany o to, idzie w zaparte i nie chce powiedzieć do kogo.

– Brzuch zrobisz, to się dowiemy – mówił mu Wawrzek, co wywoływało wybuch płaczu Marianny, Dyzio zaś wybiegał, trzaskając drzwiami.

– Dałby mi ojciec, gdybym ja tak trzasnął!

Spojrzenie żony sprawiało, że Wawrzek na tym poprzestawał. Nie ma sensu ani batem straszyć, ani samego siebie dawać za wzór, wiadomo przecież, że nie byłby to najlepszy przykład. Dyzio jest przecież owocem nocnych wypraw Wawrzka do obory Połajów.

Wreszcie, tydzień temu, syn sam poprosił go o rozmowę. No, może z owym poproszeniem to troszkę przesada. Po prostu chodził za Wawrzkiem, a jego oczy wyglądały tak, jakby się dusił.

– No powiedzże w końcu!

– Kiedy, tato...

– Tobie się synu wydaje, że ja jestem stary i nic nie wiem. Ja wiem, bom tak samo jak ty dziś był kiedyś młody i zakochany.

– Wiecie, żem zakochany? – zapytał chłopak z takim zaskoczeniem w głosie, że Wawrzek z trudem opanował śmiech.

– Łatwo się domyślić. Trudniej zgadnąć w kim.

Dyzio milczał.

– Twoja matka złości się na mnie, gdy mówię, że po brzuchu poznamy... I ma rację. Głupie to. Jednak tak być może, jeśli nie powiesz, do kogo chodzisz. – Nagle Wawrzekowi przyszła do głowy straszna myśl. – Chyba że to męzatka? – Wzroku z twarzy syna nie spuszczał, nie chciał, by tamten go oszukał.

– Nie, skądże! – zachnął się Dyzio. Prawdę mówił.

– Tyle dobrze. A ty chcesz się z tą swoją panną ożenić?

Chłopak skinął głową.

– A ona cię chce?

Nastąpiło ponowne skinienie.

– To powiedzże mi synu, czemu do mnie nie przychodzisz i nie mówisz: „Tatko, ja chcę swaty słać do tej i tej chałupy, do dziewczyny, co tam mieszka”.

Dyzio zebrał się w sobie; widać było, jak wiele go to kosztuje.

– Bo wy mi nie pozwolicie z nią się ożenić.

Wawrzek objął syna ramieniem.

– Jeśli ona biedna i myślisz, że my biednej nie przyjmimy, to się mylisz. I ja, i matka twoja z takiej nędzy się wywodzimy, że aż trudno w to uwierzyć. Ja własną zaradnością do majątku doszedłem, a teraz mam trzy razy więcej, niż z Ameryki przywiozłem, dzięki własnej i twojej matki pracowitości. Jeśli dziewczyna biedna, a pracowita, to my przeciw niej nic nie mamy. A nawet jak nie jest pracowita, to może się odmienić. Porozmawiać z nią będziesz musiał, powiedzieć, że życie długie przed wami i jeśli ona myśli za ciebie iść, żeby w chałupie się wylegiwać, to szczęśliwe ono nie będzie. Jeśli naprawdę cię kocha, to zrozumie. Jeśli chce ciebie, boś bogaty, a zrozumie, że do ciężkiej roboty idzie, to cię pogoni i to też będzie dobre.

Dyzio wydał usta.

– Nie jest biedna. Ani leniwa.

– Ukrainka? Jak świat światem żyjemy tu między sobą, Polacy żenią się z Ukrainkami, katoliczki idą za prawosławnych. Teraz rozmaite nastroje

między ludźmi, ale to minie, bo nie pierwszy to i nie ostatni raz, jak się politycy między nas mieszają. Ani mnie, ani matce nie będzie to przeszkadzało.

– To nie Ukrainka.

– To ja już nie jestem w stanie wymyślić powodu, dla którego tobie się wydaje, że ja na ślub nie dam zgody.

– Bo to Natalia. Natalia Dołęgówna.

Wawrzekowi jakby kto obuchem w łeb przyłożył.

– Czyś ty oszalał?

Dyzio nie odpowiedział, tylko odwrócił się i uciekł.

– Czyś ty oszalał? – powtórzył Wawrzek, już bez złości, a ze smutkiem.

Rozejrzał się wokół, bo usiąść musiał. Dobrze, że tak to urządził, by sam na sam z synem porozmawiać. Jak on to powie Mariannie? Powie?! Gdzież tam. Nic mówić nie będzie. Trzeba poczekać, aż gówniarzowi ta miłość z zapalonego łąba wywietrzeje.

Spojrzenie syna pełne było złości i żalu. Było w nim też rozczarowanie. W głębi serca chłopak miał nadzieję, to pewne, że ojciec zareaguje inaczej. Wawrzek chciał mu wytłumaczyć, ale Dyzio uciekł. A później unikał ojca na wszelkie możliwe sposoby. I choć przy Wigilii przełamali się opłatkami, serdeczności w tym nie było. Tak jeden, jak i drugi zrobili to tylko ze względu na Mariannę, żeby jej nie martwić. Niechże te święta, których ona najniecierpliwiej wypatruje, będą spokojne. Wojna może się zacząć na Jana.

Gdyby tylko Dyziu dał sobie wyjaśnić. Nie w tym rzecz, że Natalia starsza, a tak zapewne chłopak tłumaczy sobie reakcję ojca. Wawrzek trzy razy oddawał kobietom swoje serce, z tego dwa razy starszym. Po prawie piętnastu latach życia z Marianną mógł śmiało powiedzieć, że ani wiek, ani uroda nie liczą się w małżeństwie. Chodzi o to, by wpasować się w siebie, tak jak rękawica wpasowuje się w rękawiczkę, a stopa w but. Jeśli na początku co uwiera, ciśnie, gniecie, lepiej porzucić i szukać tego, co od początku daje wygodę. Bo miłość jest jak ogień w piecu – bucha płomieniami, a potem przygasa, by znów na nowo się rozjarzyć i ponownie przygasnąć. Gdy ci z drugim człowiekiem nie jest dobrze, to przyjdzie taki dzień, który będzie jak wiadro wody wylane na palenisko i nic już, nawet isierka nadziei, z tej miłości nie zostanie.

Nawet gdyby wybranka Dyzia była od niego dziesięć lat starsza, słowa by

nie powiedział. Nie powiedziałby nic na brzydką czy kulawą. Nie chciał Natali za synową, bo to córka Franka.

„Jakże to – usłyszał w głowie głos przyjaciela – moja dziewczuszka ci nie pasuje? A czemu to tak?”

Bo widzisz, Franku, serce mnie boli z tęsknoty za tobą. Ilekroć na nią spojrzę, ogarnia mnie smutek. Jakże miałbym tak po chałupie chodzić zasmucony? Cóż by sobie pomyślała Marianna? I do jakiego kłamstwa musiałbym się posunąć, by jej wytłumaczyć, co się ze mną dzieje. Przecież przyrzekłem ci, że nigdy nikomu nie powiem. Ciężko dochować słowa, Bóg świadkiem, ciężko, ale cię nie zawiódł i nie zawiodę, więc pozwól. Młodzi teraz zakochani, ale im przejdzie. Był czas, że świata za Anielą nie widziałem, a teraz równie mi ona obojętna, co ten śnieg zeszłej zimy pokrywający pola.

„A gdybyś do Ameryki nie popłynął, tylko został, też by ci zobojętniała?”, drążył Franek.

Wawrzek zagryzł usta, żeby nie krzyknąć, bo ujrzał swoje życie u boku Anieli. Zapewne nie byłby tak zamożny, ale mniej by miał w sobie gorzkości, to pewne. Więcej beztroski, mniej mądrości. Nie tylko on, Aniela także. Ani Dyziu, ani Natalia nie muszą doświadczać bólu złamanego serca i gorzkiej mądrości płynącej z tego doświadczenia.

„Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? Szliśmy na grób Greenwooda, boś chciał się tam pomodlić ostatni raz – mówił dalej przyjaciel. – Poprosiłem wtedy, byś był ojcem dla moich dzieci, a tyś mi to przyrzekł. Bądźże ojcem dla Natali”, prosił.

Czy Franek pozwoliłby jej na ślub z gówniarzem, któremu ledwo wąż się sypie? Dyzio to jeszcze chłopiec, jeśli się pobiorą, wszystko spadnie na Natalę i długo będzie musiała czekać, nim mąż stanie się mężczyzną.

Wawrzek tak był wewnętrznie rozdarty, jak mu się to jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło.

Wszedł do obory i zapalił lampę. Oparł się o słup, na którym wisały postronki i natłuszczona szmatka do smarowania krowiego wymienia przed dojeniem. Sięgnął do kieszeni, po kapciuch z tytoniem.

– Podobno zwierzęta w Wigilię gadają ludzkim głosem – powiedział. – Ciekawe, Krasa, co ty byś mi doradziła?

Krowa, której imię wymówił, odwróciła ku niemu łeb. Wątle światło naftówki odbijało się w jej oczach.

– Pozwóóóóóó! – ryknęła.

Kapciuch wypadł mu z dłoni. Wawrzek przełknął ślinę, nie wiedząc, czy ma uciekać, czy zostać. Serce waliło jak oszalałe, wszystkie włosy stanęły dęba. Uczynił krok do tyłu, zapominając o słupie, grzmotnął w niego, a wtedy krowa zachichotała.

Gdyby nie ten chichot, Wawrzek umarłby w przekonaniu, że w wigilijny wieczór stał się świadkiem cudu. Śmiech, dźwięczny, dziecięcy, przywrócił mu zdolność logicznego myślenia. Przecież to bajdurka dla maluchów, tak samo prawdziwa jak ta o krasnalach, co mieszkają w komorze i krupy w korcach liczą.

Wciąż drżącą ręką podkręcił knot, by lampa dawała więcej światła. Rozlało się ono po oborze, docierając do zakamarków. Dzięki temu Wawrzek mógł dostrzec dwie postaci, skulone pod żłobem. Udał, że ich nie widzi, i skręcił knot, pozwalając, by półmrok powrócił.

Odchrząknął.

– Na cóż mam pozwolić? – zapytał poważnym tonem.

Teraz dojrzał rękę, która machnęła szmatką przed krowim nosem. Krasula natychmiast nabrała powietrza w płuca i ryknęła:

– Śluuuuub!

– Ano, skoro ty tak radzisz, trzeba będzie się zgodzić – powiedział.

Zgasił lampę i wyszedł na podwórze. Nie wrócił do chałupy, tylko schował się za węglem. Długo nie czekał. Z obory wypadł w noc najpierw Mikołaj Kita, a za nim Bronczek Lipczewski. Chichotali i poszturchiwali się nawzajem.

– Uwierzył! – szepnął ten pierwszy.

– Mówiłem, że uwierzy. Dyzio się zamartwia. Teraz ojce mu pozwolą zenić się z Natalą.

No tak, pomyślał Wawrzek, bo któż by nie posłuchał własnej krowy, gdy ta dobrze radzi? Gęba mu się roześmiała, poczuł się lżejszy w środku, jakby wcale nie zjadł dziś stu pierogów.

Gdy przestępował przez próg, dostrzegł spojrzenie Dyzia. Syn musiał wiedzieć, co się działo. Może i sam przygotował szmatkę, którą Mikołaj krowie pod nos podtykał. Pewnie była w niej sierść cielaka, z miesiąc temu od Krasej zabranego, którego, jak widać, wciąż pamiętała i wzywała tęsknym ryczeniem.

– Już miałam kogo za tobą posłać, tak długo cię nie było – powiedziała

Marianna. – Zaraz na pasterkę trzeba się zbierać.

Wawrzek nic nie odpowiedział, wziął jedno z krzeseł stojących przy stole i przesunął na środek izby. Usiadł.

– Czemu to tak? – zapytała Marianna.

– Jak siądę przy stole, to coś zjem, a jak zjem, to pęknę – odpowiedział, nie patrząc na żonę. Cały czas przyglądał się Dyziowi, który odwracał wzrok, na twarzy się mienił i usta zagryzał.

Mało mi serce z piersi nie wyskoczyło, mówił w myślach do syna. Udał ci się ten fortel. Choć może byś wolał, bym ze strachu zszedł z tego świata? Nikt by wtedy nad tobą nie stał, poprowadziłbyś do ołtarza, kogo byś chciał. Tak tylko się droczę, wiem, że mnie kochasz i źle mi nie życzysz. Dlatego do podstępów się uciekasz. Bo przecie ty już dorosły, nie musisz mnie o zdanie pytać, a ona ma tyle pola, że o przyszłość martwić się nie będziecie.

Z zamyślenia wyrwała go Marianna. Czas już było wychodzić, do kościoła droga daleka, a że na dworze mróz, to koni szkoda. Dobry koń w gospodarstwie znaczy wszystko, bez niego człowiek ani nie porze, ani nie zabronuje, ani plonów z pola nie zwiezie. Wawrzek często wspominał Amerykę, gdzie konie przez cały rok przebywały na dworze, a niektóre nawet żyły dziko, w wielkich stadach. Tam jednak klimat był inny, tak jak i wszystko. Tęsknił za tą niezwykłą innością, która coś w nim odmieniła. Tu, w Tynczynie, konie wypasano latem, gdy było ciepło i sucho. Pętało im się przednie nogi powrozem, by spłoszone nie uciekły, i pozwalano skubać trawę. Nie zawsze i nie każdy tak robił. Bo koń mógł cały rok na sianie przeżyć, a krowa musiała się napaść, dlatego też ona miała pierwszeństwo. Żywicielka przed robotnikiem, oboje zaś przed człowiekiem, który do kościoła pieszo wolał iść niż konia męczyć ciągnięciem sań w zimową noc.

Wawrzek puścił przodem Mariannę z młodszymi dziećmi, a sam został z tyłu, by iść z Dyziem.

– Nie wiesz nawet, co się stało – oznajmił. – Krasula nasza wstawiła się za tobą. Radzi mi się zgodzić na twój ślub z Natalą.

Choć ciemno było, Wawrzek dostrzegł błysk w oczach syna.

– I co zrobicie? – drżącym głosem zapytał Dyzio.

– Porozmawiam z twoją matką.

– Kiedy?

Wawrzek myślał, że może jutro, może pojutrze, w spokojnej chwili, ale w głosie syna tyle było niecierpliwości, że westchnął tylko i kroku

przyśpieszył, by dogonić Mariannę.

Szli na przełaj, przez należące do dziedzica pole, z którego wiatr zmiótł śnieg. Miejscami szło się dobrze, ale czasem grudy były wielkie, nie mieli jak stopy postawić, musieli zwolnić i uważać, by pośliznięcia nie przypłacić upadkiem.

Wawrzek upewnił się, że zagadani Poldek i Bogusia są na tyle daleko, że nie usłyszą rozmowy rodziców.

– Wiem, do kogo Dyzio po nocach chodzi – szepnął żonie. – Żenić się z nią chce.

– Tyle dobrze. Serce by mi złamał, gdyby to było ot tak.

– Do Natali Dołęgówny chodzi. – Marianna chciała coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił. – Jaki ojciec, taki syn, nie ma co się dziwić.

Roześmiała się. Lubił jej śmiech, taki szczery, dziewczęcy.

– Coś mu powiedział?

– Że muszę porozmawiać z jego matką.

– Ano musisz.

– To i rozmawiam.

– Musisz porozmawiać z jego matką – powtórzyła, kładąc nacisk na słowo „matka”.

– Tak myślisz?

– Jakżeby inaczej?

– Co, jeśli ona się nie zgodzi?

– Czemu miałyby się nie zgodzić? Przecież kocha Dyzia całym sercem. Gdyby go nie kochała, dawno temu wyznałaby prawdę. Z miłości się go wyrzekła i poszła za Antką, żeby mały głodu nie cierpiał, wiesz, jak u nas w chałupie było. Powiesz jej, że Dyzio zakochany, to tylko skinie głową. Ale należy jej pozwolić podjąć tę decyzję. To się Anieli od nas należy.

Gdyby Wawrzek mógł pokochać Mariannę jeszcze bardziej, stałoby się to właśnie w tej chwili.

Rozdział dwudziesty drugi



Gleby bieliceowe zajmują około dziesięciu procent powierzchni Polski. To najmniej wydajne, najuboższe ziemie. Bielice charakteryzuje wysoka kwasowość i niska zawartość składników mineralnych. Skałami macierzystymi gleb bielicowych są piaski. Z powodu niskiej produktywności są zalesiane lub ugorowane.

Marzec 1933

Gdy zaczęło się rozjaśniać, Gala Mazurowa westchnęła z ulgą. Nie ona jedna. Półpostna noc dobiegła końca. Według starego powiedzenia, „gdy post przybijali, to okna malowali”. Żeby tylko okna. Znudzone brakiem rozrywek łobuziaki wymyślały takie figle i szutki, że w głowie się nie mieściło. Grandziarze cholerni! I nic nie da, że człowiek nie śpi, chałupy pilnuje. Wyczekają odpowiedniej chwili i już psota zrobiona.

Dla tych, którzy mieli dzieci małe albo już pożenione, ta noc niczym się nie różniła od innych. Szli spać, cieszyli się spokojnym snem, a świtem wychodzili wypoczęci na gościniec, by obejrzeć, co się w nocy wydarzyło. Jedni śmiali się do rozpuku, inni ze smutkiem wspominali swoje młode lata, kiedy to robiono takie psoty wymyślne, jakie teraz nikomu do głowy nie przychodzą.

Da Bóg, że niedługo i na mnie przyjdzie koniec tej męki. Byle Kajtek z Natalą się ożenił i kres głupim żartom położył. Wietka śliczna jak majowy poranek, wnet znajdzie męża. Gala widziała, jak chłopcy patrzyli na jej córkę – jak głodny na szpyrkę. Powie Wietka słowo, a chałupa kawalerów nie

pomieści. Półpostna noc dobrą wróżbę przyniosła, rzucony do izby gliniany garnek tylko gruchnął, od popiołu czarno się zrobiło. Gala była pewna, że to wróżba dla córki, bo w Tynczynie nie było panny, która by chciała takim psikusiem zwrócić na siebie uwagę Kajtka. Zresztą jemu wróżba niepotrzebna, ma zaradną matkę. Teresa Hubowa urobiona całkiem, bez gadania odda Natalę za synową do Mazurów.

Dobrze, że Wojtek wrócił, on babce we wszystkim posłuszny, a pierwszeństwo w decydowaniu o losie siostry ma przed wujem. W zeszłym roku, gdy Teresa wnuczkę zagadnęła, ta powiedziała tylko: „Gdzie ojca nie ma, tam wuja słuchaj. Każe mi wuj za mąż iść, to pójdę”. A wszyscy wiedzą, jaki Antek, baby nim rządzą, jak chcą. Powiedziała mu Natalia, że nie pójdzie, Anielka ją poparła, to tylko wzruszył ramionami i na tym sprawa się skończyła.

Wojtek inny, stanowczy i po jego być musi. Bardzo on się Gali podobał, bo różnił się od wszystkich we wsi. Ubierał się starannie, mówił tak po miastowemu, szacunek do starszych miał. Jakże on swojej babce nadskakiwał, aż się serce radowało, gdy człowiek na to patrzył. Gala wiedziała, że jej własne dzieci kochają ją i szanują, ale żeby okazywały jej to w taki sposób jak młody Dołęga babce, to nigdy. Westchnęła. A mogliby, ten raz jeden w życiu mogliby. Wietka zajęta swoimi sprawami, trzpiot to jeszcze, nigdy dla matki czasu nie ma, a Kajtek... Z niego trudno jakiegokolwiek słowo wyciągnąć. Głową kiwnie – ot i tyle rozmowy. Nic dziwnego, że Gali chce się do Hubowej iść, serce nacieszyć serdecznością, jaka tam panuje. A przecież Teresa nie jest łatwym człowiekiem. Maruda z niej taka, że ciężko wytrzymać, mimo to Wojtek złego słowa babce nie powie.

Zanim zacznie się ten pracowity dzień, bo przecie uprzątnięcie popiołu z izby to niełatwa robota, a jeszcze okna trzeba wyszorować z gliniastej mazi, postanowiła zajrzeć na wieś, zobaczyć, co też i u kogo się stało.

Ledwo wyszła na gościniec, od razu wpadła na Pomiechowską, która też nie wyglądała na wyspaną. Choć nie musiała pilnować swojej chałupy, bo nie tylko dzieci, ale i wnuki miała pożenione, to całą nockę wyglądała przez okno, kto u kogo granduje. Będzie miała z tego pożywkę do plotek.

I choć Gala jak najgorzej myślała o Pomiechowskiej, powitała ją serdecznym uśmiechem.

– A cóż tam, moja Pomiechowska?

– Ot, kawalerowie całą noc łobuzowali. U was widziałam szyby pomazane?
– Oj, pomazane, pomazane. Będziemy miały z Wietką robotę, bo i garnek z popiołem do izby wrzucili. Jakim cudem, to nie wiem, bo drzwi na zaszczepkę zamknięte i jeszcze bolczyk przełożony, a ja na krześle siedziałam, żeby łapserdaków pogonić.

– Moją oni swoje sposoby.

– Mają, oj mają.

Pomiechowska patrzyła z takim współczuciem, że Gala nie wytrzymała.

– Ze sprzątaniami kłopot, ale jest i radość, bo to pewnie ostatni raz u nas. Za rok nie będzie już w chałupie ani panny, ani kawalera.

Tamta skinęła głową; ruch ten wydał się Gali bardziej współczujący niż potakujący.

– Moja Wietka ma już swoje lata, a gdy za mąż zechce iść, to w kawalerach będzie przebierać jak w ulęgalkach. Może i są posażniejsze panny, ale drugiej tak ładnej to w okolicy nie ma.

– To prawda – niechętnie przyznała Pomiechowska.

Tak to już na tym świecie jest, że jedna kobieta niczego drugiej tak nie zazdrości jak urody. Możesz mieć męża najlepszego, kabzę pieniędzmi napchaną, może ci się darzyć, a krowy mogą się cielić dwa razy do roku, jednak nie wzbudzi to takiej zazdrości jak twoja piękna buzia. Z jej powodu inne w łyżce wody by cię utopiły. I to zarówno młode, jak i stare, podobnie jak Pomiechowska pomarszczone niczym suszone śliwki.

Gala chętnie pożegnałaby się z plotkarą, wypadło im jednak iść przez wieś razem. Na szczęście parę innych bab wyszło na gościniec. Zagadywały Pomiechowską, a ta chętnie im opowiadała, co się w nocy działo. U Iwka Matwiejczuka kozoki na chałupie wymalowane, bo Pawło jeszcze nieożeniony. Pietro raz-dwa się uwinął i Marinkę przed ołtarz powiódł, a brat nie wiadomo na co czeka. U Swatowskich mało, że okna zamalowane, to jeszcze wóz na dach chałupy wniesiony.

– Toż taki wóz waży a waży. Jakże to go wnieśli? I że nikt nie zauważył?

– Tam nie zauważył. Toż musiało ich z dziesięciu być. Stary udawał, że nie widzi, a teraz będzie po wsi chodził i puszył się jak ten kogut, bo u jego córki największa granda – powiedziała Pomiechowska.

Gala złapała jej spojrzenie, a w nim pytanie: „A ty masz na dachu wóz czy choćby sanie?”.

Już miała coś odpowiedzieć, gdy dogonił je zziajany Felu Franc.

– Kochane sąsiadeczki, nie widziałyście mego płotu?

– Jakiego płotu?

– No mojego, tego, co przy chałupie był. Wczoraj stał, garnki wisiały. Rankiem my wyszli, a tu ani płotu, ani garnków. Widziałyście? – A ponieważ zamiast odpowiedzieć, śmiały się głośno, machnął tylko ręką i pobiegł dalej.

– Pewnie postawili przed inną chałupą. Ciekawe, w czym Władziunia zupy zapalanej nagotuje?

– Suchy chleb będą jedli, póki garnki się nie poznajdą.

– To ci psota. Musiała ta ich dziewczyna komuś bardzo się spodobać.

I znów Gala dostrzegła złośliwe spojrzenie Pomiechowskiej. Powiedziałyby coś tamtej, ale przy innych nie chciała. Mogła do chałupy wrócić, powiedziałyby, że krowa ryczy albo że kaszę do dochówki trzeba wstawić, i nikt by się nie dziwił, że poszła. Raz to baba się z kumoszkami zagadała, a potem krzyczy „Moja fasola, moje kartofle!” i biegnie, choć wie, że w garnku już tylko węgiel czarny, w chałupie ciemno jak w noc bezksiężycową, a po otwarciu drzwi smród czuć w caluteńkiej wsi. Wiedziała jednak Gala, że ledwo ona dwa kroki odejdzie, a już Pomiechowska zacznie opowiadać, jaka to dumna była Mazurowa, bo ze względu na Wietkę ktoś im okna pomazał.

O oknach tylko powie, o glinianym garnku z popiołem wrzuconym do izby mimo zamkniętych drzwi nawet nie wspomni. Wiadomo przecież, że jeśli chce się zamek otworzyć, trzeba sprytu i czasu. To na pewno nie to samo, co narysowanie kozoka. Nawet wóz wtaszczyć na dach każdy głupi potrafi. Nie sam, oczywiście, na to musiałby mieć siły tyle, co biblijny Samson, ale rozumu do tego wiele nie trzeba. Pomiechowska tego nie przyzna, plotkara jedna, tylko będzie Galę obmawiać, że taka dumna z tej swojej Wietki, taka pewna, że do ich chałupy chłopcy będą się pchać jak muchy do miodu, choć wcale tak nie jest. Słuchające tego baby, te same, co teraz do Gali się uśmiechają, będą kiwały głowami. Fałsz, wszędzie fałsz.

No i została z nimi, coraz niecierpliwiej czekając, aż się porozchodzą. One zaś jakby naumyślnie rzucały jedna przez drugą nazwiska rodzin, gdzie wciąż była panna czy kawaler do wzięcia.

– Dołęgównę my pominęli – przypomniało się którejś.

– No tak, Natalia wciąż panną – przytaknęła druga.

Już niedługo, pomyślała Gala.

– Już niedługo – powiedziała Pomiechowska. – Tam u niej żadnego rabanu

w nocy nie było. Wszystko już ustalone.

Nie takie wszystko, pomyślała Gala. Tylko z Teresą ugadane, ale ona swoje zrobi, żeby Wojtka przekonać. Szybko to pójdzie i na przewodnią niedzielę Kajtek swaty pośle.

– Jakże ustalone? – zapytała któraś ciekawska.

– Wawrzek Adamczuk był u Antka Huba i sprawę załatwili. Zaraz po żniwach wesele zrobią.

– A Dyzio nie jest przypadkiem młodszy od Natali?

– Kto na to patrzy, kumo? Pieniądz idzie do pieniądza. Ona bogata, on też.

– Wawrzek też sobie wziął starszą. Widać u nich w rodzinie chłopcy tak mają.

– Mają nie mają, tu się o majątek rozchodzi. Adamczuk z biedy wylazł i teraz nie może się nachapać. Pół Tynczyna by kupił, jakby mógł.

– Głupot na niego nie gadajcie. To dobry człowiek. I szlachetny. Mógł się z Marianną nie żenić, ale się ożenił. O co go kto z sąsiadów poprosi, to pomoże. A z Antkiem od dziecka przyjaciele. Z bolszewikami razem się bili, jeden u drugiego w kumach był, to i nic dziwnego, że ślubem chcą rodziny połączyć. A że panna rok czy dwa starsza? Kto na to patrzy? Na stare lata wszystko się wyrówna.

Gala czuła, jak krew to odpływa z jej twarzy, czyniąc ją śnieżnobiałą, to napływa z powrotem, nadając policzkom kolor indyjskich koralików. Jakże to, jakże?, powtarzała w myśli, bo nic innego pomyśleć nie była zdolna. Jakże to tak?

Pomiechowska, złośliwy pomiot, zaczęła opowiadać, bo jako że akurat przypadkiem przechodziła, to wszystko widziała. Antka w koszuli z pięknie wyhaftowaną krajką i Wawrzka, po miastowemu, w marynarce i atłasowej kamizelce. Widziała też Mariannę i Anielę w siostrzanym uścisku i łyży radości, że obie rodziny jeszcze bliżej się zwiążą. No a przede wszystkim widziała młodych. Od czasu ślubu Antka z Anielą to w Tynczynie nie było chłopaka, który z taką miłością patrzyłby na wybrankę. Ona też oczu od niego nie odrywała, a gdy się zdawało obojgu, że nikt nie patrzy, brali się za ręce. O powadze całej sprawy najdobitniej świadczy to, że nawet Teresa z chałupy wylazła, co od pogrzebu Huba, świeć Panie nad jego duszą, nigdy się nie zdarzyło.

Mazurowa dobrze wiedziała, że tamta specjalnie tak o tym mówi, jakby czytała z jakiejś książki. Pewnie połowę od siebie dodała tylko po to, by jej,

Gali, dokuczyć. Bo kto jak kto, ale ta stara plotkara na pewno się domyśliła, co miała na celu częste wizyty matki Kajtka u Hubowej.

Trzeba zęby zagryźć i tę zniewagę przełknąć. Swoją drogą, jaka ta Teresa fałszywa i podła. Tak się przymilała, o przysługi prosiła, Natalkę obiecywała. Ile to czasu Gala u niej straciła? Ech, szkoda gadać. I stać tu nie ma po co. Odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę swojej chałupy. Jeszcze dziesięciu kroków nie zrobiła, gdy za jej plecami rozległ się śmiech.

A śmiecie się, śmiecie. Wiadomo przecie, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Zadziwi was jeszcze Galina Mazurowa. Zadziwi. Nie pójdzie Natalia za Kajtka, niech nie idzie. Inną się dla niego znajdzie, a nie, to też dobrze. Czy to we wsi nie znajdzie się starego kawalera? U Domańskich przecie. Nie ma tam pokolenia, żeby jeden albo i dwóch się nie ożeniło, i nikt im z tego powodu przytyków nie robi.

Teraz Wietkę dobrze za mąż się wyda. Za takiego kawalera, że... Ze wszystkich mężczyzn do wzięcia w Tynczynie najwartościowszym wydał się Gali Wojtek Dołęga. Przystojny, obyty, szlachetny w rysach i zachowaniu. Taki zięć to skarb.

Gdyby Wietka poszła za Wojtka, Gala mogłaby do Pomiechowskiej powiedzieć:

– Wyście myśleli, że ja do Teresy o Natalę biegam? Tacyście niby mądrzy, a głupi, tak niby wszystko wiecie, a nie wiecie nic.

Zanim doszła do swojej chałupy, wcale nie żałowała, że Natalia Dołęgówna za innego idzie. To dobrze. Bo gdyby poszła za Kajtka, Wietka nie mogłaby zostać żoną Wojtka. Małżeństwa na krzyż zawarte to nieszczęście gotowe. Lepiej już ślub w maju wziąć niż na krzyż się pożenić.

Rozdział dwudziesty trzeci



*Zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić,
Bo nas nogi bolą po tym polu chodzić.
Nogi bolą chodzić, ręce bolą robić.
Zachodźże, słoneczko, skoro masz zachodzić.
Żebyś ty, słoneczko, na zarobku było,
To byś ty, słoneczko, prędzej zachodziło.
Aleś ty, słoneczko, nie wiesz, co zarobek,
Chodzisz sobie górą jak siwy gołąbek.*

Maj 1933

Słońce, które jesienią i zimą leniwie gramoliło się z pościeli obłoków i skracało swoją niebieską podróż, ile tylko się dało, by znów lec w pościeli, teraz zrywało się radośnie i biegło na firmament byle wyżej, by jak najdłużej cieszyć się światem.

Z lotu ptaka świat musiał wyglądać cudnie. Wszystek brud, który został po zimie, spłukały kwietniowe deszcze. Suche palce gałęzi pokryły się młodymi liśćmi, pięły się ku górze łodygi nowych roślin i zakwitnęło wszystko, co zakwitnąć miało. Chyba tylko bardzo zdolny malarz byłby w stanie wymienić odcienie zieleni, którymi mienił się świat. Wszystkich barw nikt by wymienić nie zdołał, nawet jeśli siedziałby dzień cały i od rana nie robił nic innego, tylko wyliczał – białe jak płatki kwiatów śliwy, bladoróżowy jak płatki kwiatów jabłoni, białozółty jak drobne kwiatuszki bzu, bladozółty jak główki

koniczyny, białoniebieski jak... A to dopiero początek, jeszcze czerwienie, fiolety i brązy. Gdyby istniała jedynie przyroda, zachwyty byłyby niezmierny. Na swoje nieszczęście w tym cudnym świecie tkwił człowiek, a żołądek, który wprost kleił mu się do kręgosłupa, nie pozwalał na zachwywanie się naturą. Na nic nie pozwalał.

Przez kilka powojennych lat było jakoś lepiej, zasobniej. Ludzie chodzili nie tyle najedzeni, ile nie czuli głodu. Wygładziły się twarze, znikły cienie pod oczami. Stać było gospodarzy na naftę, gazetę, zapalki. Wszystkim się zdawało, że tak już będzie. Chwalili tę nową polską rzeczywistość, pełni optymizmu oczekiwali reformy rolnej i zmian, dzięki którym wiek dwudziesty będzie dla nich wiekiem nowoczesności. Nadzieja na lepsze czasy była niczym wiatr, ludzie czuli, jak rozwiewa im włosy.

Nagle stało się coś, co przypominało cofnięcie zegara. Wieś z nowych czasów powróciła do ciemnoty i biedy sprzed dekad, a może i sprzed stuleci, bo tak źle nie było od bardzo, bardzo dawna. Słowo „mrok” najlepiej określało te lata. Panował on w chałupach, gdzie lampy na powrót zastąpiło łuczywo. Panował w głowach ludzi, daremnie próbujących zrozumieć, co się stało. Czemuż krach w Ameryce wpływa na ich los? Czemu rząd nic nie robi? Czemu w sejmie kłótnie, jakby tam radzili nie mądrzy, wykształceni posłowie, ale dzieci niedojrzałe i głupie? Czemu chłop Polak jest we własnym kraju obywatelem drugiej kategorii i nikt, zupełnie nikt się z nim nie liczy? Czemu chłop Ukrainiec czy Białorusin jest obywatelem trzeciej kategorii, a wszelkie systemy funkcjonują tak, że swego miejsca w hierarchii społecznej nijak opuścić nie może – ani dzięki pieniądзом, ani dzięki talentowi. Ma być chłopem pod butem polskiego dziedzica, pod batem polskiego urzędnika, pilnowany przez polskiego policjanta, by mu jaka głupota do durnego ukraińskiego łba nie strzeliła.

Mrok panował również w sercach ludzi. Przez biedę i głód ulegali zezwierzeceniu, jeden na drugiego patrzył jak na wroga. Wybuchwały spory i kłótnie między sąsiadami. Ludzie szukali winnych tego, co się dzieje. Nie tylko tam, w Warszawie, ale też wokół siebie. Polacy oskarżali Ukraińców, Ukraińcy Polaków, a zarówno jedni, jak i drudzy patrzyli wilkiem na Żydów, którzy sami nie pracując na roli, żyli z pośrednictwa. Owszem, ten i ów widział, że w sztetlach źle się dzieje, że głód tam nie mniejszy niż we wsiach, widział zabiedzoną dzieciarnię, może głodniejszą jeszcze niż te wiejskie mizeroty, którym matki choć barszczu ze szczawiu mogły ugotować.

Jakby nagle zabrakło pieniędzy, jakby przestały istnieć, jakby ktoś tam w Warszawie postanowił zamknąć je w bankach, jak więźniów, by między ludźmi nie krążyły, pewnego dnia znikły zewsząd. W sklepach nie płacono już złotówkami i groszami, tylko jajkami, jakby to była nowa oficjalna waluta. Istniał jej kurs przeliczeniowy, jedno jajko warte było trzy grosze, a jeden dolar siedem złotych i dwa grosze.

Mazurów bieda tak bardzo nie dotykała, bo spory kawałek pola był w stanie wyżywić trzy osoby. I matka, i Kajtek pracowali ciężko, już nie tyle dla poprawy własnego losu, ale po to, by przeżyć.

Myślenie o małżeństwie w takim czasie było objawem niefrasobliwości. Wszystkim tym, których ciągnęło do ołtarza, do małżeńskich łóżek i płodzenia dzieci, należałoby przemówić do rozumu. Wszakże ludzie mogą stracić wszystko, a jednak będą żyć nadzieją. Cóż z tego, że w poście ślaniali się z głodu, że kobiety, idące po wodę do studni, niejedną raz wspierały się płotów, by z osłabienia nie runąć prosto w błoto gościńca.

Wielkanoc przynosiła lekkie polepszenie, w chałupach pachniało barszczem i golasem. Jeśli komu zostało trochę ziarna, to zdarzał się i zawijas, i pierogi, i chleb. Jednak mało kto miał takie szczęście. Dlatego ludzie tak bardzo dbali o krowy i kozy, jedyne żywicielki rodzin. Niezwykłą troską otaczano kury, które, wygrzane w wiosennym słońcu, na powrót dostarczały jajek. Owe zwykłe kury były teraz producentkami waluty, tym cenniejszymi, że niedokarmione, potrafiły same o siebie zadbać, wygrzebując z ziemi robaki i skubiąc trawę.

Gdy stawało się jasne, że kokoszka ani jednego jajeczka więcej nie zniesie, żal wielki ścisnął gospodynię za gardło. Zwykle, gdy niosła siekierę, to płakała i nad kurą, i nad sobą. Cóż jednak robić? Kura nieść się przestała, a w kolejce po to ziarno, które zje, stoją inne, wciąż dające jajka. Zresztą nie tylko kury jedzą zboże. Koń je owies, krowa pszeną śrutę, jęczmień jedzą świnię. Człowiek zaś, który chętnie zjadłby kaszy, od ust sobie odejmuje, by nakarmić bydłęta, bo jeśli one przepadną, on przepadnie wraz z nimi. Darmozjadów hodować nie wolno. Każdy na miskę strawy musi zapracować. Pies podwórka pilnuje, złodziei za kostki kasha, kot łapie myszy, koń ciągnie pług, krowa daje mleko, owca wełnę, kury jajka, świnię hoduje się na mięso albo na sprzedaż, bo czasem pieniądze potrzebne bardzo, a od mięsa ludzie się odzwyczajają, przecież i tak jedzą je od wielkiego dzwonu, a rzadko kiedy do syta.

Dlatego też z kury, której łeb odcięto, gotowano wielki gar rosołu, ku radości wszystkich domowników, poza gospodynią, szczerze żalującą, że jej się przychód pomniejszył o te parę złotych za jajka. Utrata kury była porównywalna do nadejścia zimy, kiedy z braku światła kury nieść się przestawały. Zbierano jajka na ten trudny czas, stosując najróżniejsze sposoby, by je jak najdłużej świeże przetrzymać. Jedne wkładały na zdrowaśkę do wrzątku, inne zasypywały solą. Ten drugi sposób, pewniejszy, mało która stosowała, bo ceny soli, jak wszystkiego, poszybowały w górę. Jedzono tańszą, szarą, a nawet bydłą. Niektórzy beczki po śledziach płukali i tą wodą doprawiali potrawy, bo nawet dwóch groszy na gram soli nie mieli.

Teraz jednak, gdy zjedzono wszystko, co przez zimowe miesiące pieczołowicie przechowywano na święta, gdy wymieciono z zasieków ostatnie pszeniczne ziarna, zmielono skórki ziemniaczane, suszone na piecu przez całą zimę, gdy wybrano ze ściółek leśnych ostatnie żółędzie, a dzieci zlizwały z wiśniowej kory najmniejsze nawet krople złotej żywicy, gdy szczaw i pokrzywa nie nadążały odrastać, wszystkim głód doskwierał straszliwy. I choć lato i jesień odmienia chłopski los, nie będzie to długotrwała poprawa. Zima znów wymiecie zapasy, przednówek przyniesie głód, a na polepszenie chłopskiego losu w takim kraju nie ma co liczyć.

Nie powinienesz być się zgadzać, pomyślał Kajtek, łamiąc suche gałązki na rozpałkę. Po co ci żona? A co będzie, jeśli nie tylko o nią rodzina się powiększy? Płodzić dzieci w taki czas to zuchwałość, którą na każdym kroku Bóg karze, zmuszając rodziców do patrzenia na ich śmierć. Nie będzie dzieci, bo ich nie zrobisz, i to nie tylko dlatego, żeś odpowiedzialny, ale też dlatego, że między tobą a Jadźką nic się nie wydarzy. Wszak sama zapowiedziała, że dzieci nie chce i nie szuka kogoś na męża, tylko na przyjaciela, który, gdy starość przyjdzie, da wsparcie.

Nic się nie wydarzy? Małżeństwo się wydarzy, ot co. Musi. Bez względu na to, jak bardzo tego nie chciał, dał Adamczukównie słowo i teraz nie mógł się z tego wycofać.

Matka często powtarzała, że Kajtek ma za dobre serce, a on tylko ręką machał. Cokolwiek dla innych robił, nigdy nie czuł się wykorzystywany. Aż do teraz. Przez niefortunny zbieg okoliczności stał się ofiarą swojego dobrego serca.

Kiedy bez mała trzy lata temu w najdziwniejszy na świecie sposób wyraził chęć żeniaczki z Jadźką Adamczuków, zrobił to ze szczerego współczucia.

Szkoda mu było dziewczyny, takiej smutnej, takiej samotnej, przez nikogo nierozumianej, przez wszystkich opuszczonej, bo choć rodzinę miała liczną, nikt nad wrażliwą duszą tej biedaczki pochylić się nie chciał. Wtedy, nad Huczwą, wydała mu się taka bliska. Byli jak garnki z tej samej gliny ulepione. Ona chciała tylko znaleźć kogoś, kto przyjmie ją taką, jaka była, komu nie będzie przeszkadzało, że jest smutna, kto nie będzie jej zmuszał do rozmowy. On szukał kogoś, kto zajmie się jego matką, gdy starość ją dopadnie, kto zupy ugotuje, krowę wydoi i komu milczenie w izbie nie będzie przeszkadzało. Gadatliwej baby w chałupie by nie zniósł.

Mogli wziąć ślub na Boże Narodzenie albo na Wielkanoc i teraz byłoby po wszystkim. Nim się ze swoim planem ujawnili, Kornelowicz oskarżył Jadźkę o kradzież krowy i nie wiadomo czego jeszcze. I choć w całej wsi nie było ani chłopca, ani baby, ani dziecka, które by dało wiarę temu oskarżeniu, poszła biedna odpokutować za postępek, którego nie uczyniła. Wiadomo bowiem, że to pany wymyślili prawo, by po ich stronie w każdym sporze stanęło. Nie pomogły nawet Wawrzkowe pieniądze.

Przed pójściem do więzienia Jadźka była spokojna i milcząca, a wróciła jeszcze cichsza, zamknięta w sobie. Była jak ta szczeżuja, którą na dnie Huczwy znaleźć można – zasklepiona między dwiema twardymi skorupami, tak że choćbyś chciał, nie otworzysz. Po powrocie Jadźki Kajtek myślał nawet, by z nią pomówić, ale okazja się nie trafiała, a on jej nie szukał. Miał nawet wrażenie, że dziewczyna go unika, wzrokiem ucieka. Nie chcesz mnie, trudno, myślał sobie. Nawet mu się wtedy jakoś tak smutno zrobiło, bo choć nie kochał Jadźki i dobrze wiedział, że nigdy nie pokocha, czuł do niej pewną serdeczność, a myśl o małżeństwie, gdy już się z nią oswoił, zrobiła mu się całkiem miła.

Czasem na gościńcu, czasem na polnej drodze mijali się jak ludzie, między którymi nic nie było. Kajtek patrzył na Jadźkę obojętnie, w jej spojrzeniu była ta pustka, co w oczach susła, wyciągniętego z nory na światło dzienne. A ponieważ wspomnienie z tego spaceru w listopadowy dzień trzydziestego roku z wolna się zamazywało, Kajtek zaczął myśleć, że tamta rozmowa miała inny przebieg i inne znaczenie, po prostu on czegoś nie zrozumiał, coś pomieszał. A może to mu się śniło?

Później, na Matki Boskiej Zielnej, w ten cudowny sierpniowy dzień odpoczynku, którego ludzie, wyczerpani żniwami i upałem, tak tęsknie wyglądali, zastąpiła mu drogę, gdy wracał z pastwiska. Dostrzegł w jej

oczach strach, więc uśmiechnął się jak najserdeczniej.

– Mówić z wami chciałam. – Głos jej drżał jak małemu dziecku, które rozgniewanej już matce musi wyznać przewinę.

Skinął głową. Miał nadzieję, że jego uśmiech jest jak najbardziej przyjazny.

– Wybaczcie, że do tej pory... Mnie się wydawało... Ludzie różnie o mnie gadają, różnie myślą... – Urwała i patrzyła na niego wyczekująco, jakby miał wydać wyrok.

Pokręcił głową, ale Jadźce to nie wystarczyło.

– Dobrzem o was myślał – i po chwili dodał: – Zawsze.

Odetchnęła z ulgą.

– Wiele się zmieniło. Nie mam prawa wymagać, byście czuli się związani tym, co my wtedy... Nie wymagam. Żadnych wobec mnie nie macie zobowiązań. Kto by tam chciał się żenić z więźniarką.

Gdyby nie powiedziała tego ostatniego zdania, rozeszliby się i tyle. Listopad rozplątałby się we wspomnieniach obojga i każde wiodłoby swoje spokojne życie osobno. Jednak powiedziawszy to, pchnęła ich losy na zupełnie inny tor. Kajtek bowiem nie mógłby żyć z przeświadczeniem, że w mniemaniu dziewczyny jest tak małym człowiekiem, i dlatego odruchowo złapał ją za rękę. Przyciągnął Jadźkę do siebie i z niespotykaną jak na niego otwartością dał wyraz swoim myślom. Nic a nic mu nie przeszkadza, że była w więzieniu, zwłaszcza że ani przez chwilę nie wątpił w jej niewinność. Wydawało mu się, że to ona zmieniła zdanie, i naciskać nie chciał.

Pot wystąpił mu na czoło i wcale nie dlatego, że sierpniowe słońce coraz mocniej grzało. Nigdy dotąd nie wypowiedział tylu słów naraz i czuł się tym tak zmęczony, jakby dwie morgi pola zorał. Na dodatek żałował każdego z nich, bo bał się, że każde przyniesie opaczny skutek.

Jadźka, której w miarę jak Kajtek mówił, strach mijał, teraz zdawała się jednocześnie zaskoczona i ubawiona. Pierwszy raz w życiu widział ją uśmiechniętą. Pasował jej ten uśmiech, ładnie wyglądała.

– Nie chcę, żebyście później żalowali – powiedziała. – Wydaje mi się, że każde z nas po tysiąc razy to przemyślało, a coś w duszy wciąż nam mówi, że działamy po prostu.

Schyliła się, zerwała bladofioletową główkę świerzbownicy i targała ją w palcach.

– Zróbmy tak, że jeśli żadnemu z nas się nie odmieni, to na Matki Boskiej

Roztwornej się zmówimy, a na Siewnej ślub weźmiemy. To będzie więcej niż rok od dzisiaj – dodała, jakby on sam nie wiedział, kiedy ów planowany ślub miałby się odbyć. – Do wiosny nic nikomu gadać nie będziemy. Po co ludzie mają wiedzieć? I tak już na nas patrzą jak na dziwowiska.

Cisnęła w trawy zmiętą kulkę, która jeszcze przed chwilą była kwiatuszkiem, odwróciła się i ruszyła przed siebie. Zaczepiała ciemną spódnicą o szare ogonki tymotki, żółte kwiatostany ognichy i zielone kulki przekwitłych już jaskrów. Na tle zieleni łąki, która od czerwcowych sianokosów zdążyła odrosnąć i choć mniej barwna niż w maju, cieszyła oczy mnogością kwiatów skrytych między zielonymi źdźbłami traw, prosty ubiór Jadźki wyglądał dostojnie i jednocześnie bardzo żałośnie. Skromna, szara spódnica, jasna bluzka, biała zapaska i włosy skryte pod chustką nieozdobioną nawet najprostszym wzorem przywiodły Kajtkowi na myśl siostrę służebniczkę, którą widział w turkowickim monasterze, gdy jeździł tam po świętą wodę dla matki. A może nie była to katolicka zakonnica, tylko jedna z tych świętych mniszek, które, powróciwszy z bieżenstwa, osiadły w Sahryniu? Matka czasem opowiadała mu o nich i o cudownym wizerunku Matki Bożej, dla którego car Mikołaj II i jego żona Aleksandra Fiodorowna utworzyli to wspaniałe miejsce kultu, obecnie wydarte prawosławnej wierze przez nowy porządek. Kajtek kilkakrotnie widział z daleka tę ikonę, miała w sobie takie dostojenie pomieszane ze smutkiem, które dostrzegał w Jadźce. Może zamiast za mąż powinna iść do klasztoru? Przygryzł wargę. Zdał sobie sprawę, że po tym, co ją spotkało, ta droga jest dla niej zamknięta. Nie tylko dlatego, że została skazana... Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Powinien był podejść do dziewczyny, gdy wróciła z więzienia, i powiedzieć jej, że to, co tam się stało, to, co z nią robili, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Uczyniłby tak, gdyby tylko przyszło mu do głowy, że takie okropieństwo ją spotkało, a że spotkało, to pewne. Pozwolił, by miesiącami myślała o nim jak najgorzej i by to ona w końcu podeszła doń, uznając, że należy zwolnić go ze słowa, jakie jej dał, by mu nie ciążyło.

Ruszył za nią, chciał wyjaśnić, wytłumaczyć, przeprosić. Po trzech krokach zatrzymał się i z politowaniem pomyślał o swojej niedelikatności. Po tym wszystkim jeszcze tej biedaczce powiedzieć w twarz, że ona już nie jest dziewczcą, ale to mu nie przeszkadza? Niechże już zostanie, jak jest. Tyle że teraz już trzeba będzie do niej swaty posłać. Innego wyjścia nie ma.

Dlatego też, gdy dzieciarnia biegła po gościńcu, krzycząc: „Dziś

Zwiastowanie, przybywaj, bocianie”, a gospodynie upychały w strzechę świeżo pieczone placuszki, kształtem podobne do pługa, które miały przynieść pomyślność wszystkim pracom gospodarskim, Kajtek poszedł pod zagrodę starych Adamczuków. Nie wchodził, bo nie wiedział, co też mógłby odpowiedzieć, gdyby zapytali, za czym go przyniosło. Kręcił się z kilkanaście pacierzy i już miał odejść, gdy z chałupy wyszła Jadźka. Spojrzał jej w oczy i głową skinąwszy, ruszył z powrotem. Podbiegła do niego, chwyciła za rękaw.

– Pewniście tego? – zapytała.

– Tak.

Chciał powiedzieć, że swaty przyśle, ale go ubiegła.

– Tedy przyślijcie do mnie z wódką na Jagodnej. Nie odmówię. Jeśliście pewni.

Skinął głową. Chciał już iść, ale Jadźka wciąż trzymała go za rękaw. Patrzyła w oczy, jakby w serce zajrzeć chciała. Szczery jestem wobec ciebie, dziewczyno. Ożenię się z tobą i będę cię szanował. Nie będziesz wymagała ode mnie miłości, więc źle nam nie będzie. Będziemy żyć razem, a każde osobno.

– Tak – powtórzył dobitnie.

To ją uspokoiło, puściła jego rękaw i wróciła na swoje podwórze. Kajtek nie wiedział, gdzie iść, bo w dzień świąteczny grzechem było robotę sobie wyszukiwać, a w chałupie wysiedzieć nie mógł, bo matka trajkotała mu nad głową niez mordowanie. Przestała opowiadać o Natali Dołęgównie, jaka to dobra gospodyni, nie zachęcała go już, by do dziewczyny poszedł, porozmawiał ani by się zenił. Teraz paplała o Wojtku. Jakież z niego przystojny mężczyzna, co za szlachetność w rysach i zachowaniu, jakie dobre serce. Dziewczyna, którą on do ołtarza poprowadzi, będzie najszczęśliwsza na ziemi.

Kajtek nie podzielał matczynych zachwyty. Gdy byli dziećmi, Wojtek uciekał z wygonu, dziadkowe krowy zostawiając bez opieki. Poszedł do wojska na ochotnika, bo się doczekać nie mógł, tak dom go nudził, tak świat nęcił. Gdy wrócił, pił, nawet czasem spał po rowach. Ten i ów usprawiedliwiał go, że młody, wyszumieć się musi. Kajtek tego nie rozumiał. Przecież on też był młody, a nie pił, spał we własnym łóżku, ciężko pracował od świtu do zmierzchu. Skoro on mógł bez wyszumienia się obyć, to każdy, również Dołęga, może. Gdy Pomiechowska rozniosła po wsi wiadomość, że Wojtek

spłatę od Natali przyjął, Kajtek nadziwić się nie mógł. Jakże to ziemi własnej, ojcowizny świętej się wyrzec? Dobrze, że przy siostrze została i w obce ręce nie pójdzie, ale jakże to tak, przyszłe swe dzieci spuścizny pozbawiać? Kto tak robi?

Przez jakiś czas nie było Wojtka w Tynczynie. Zapomnieli ludzie o nim, tak jak zapomnieli o jego ojcu, co do Ameryki z Wawrzkiem Adamczuków wyruszył, i o matce, która, kawalera córce odbiwszy, uciekła z nim do Związku Radzieckiego, wierząc, że to kraj mlekiem i miodem płynący. Wrócił jednak syn marnotrawny. Z babką teraz mieszkał, siostrę objadał i jak wcześniej, tak i teraz nic nie robił. Chodził po wsi niczym jaki hrabia, a ręce miał bieluteńkie. Dla ludzi o takich rękach Kajtek szacunku żadnego nie miał, no, chyba że byli doktorami. Jego zdaniem nawet ksiądz powinien czasem zbrudzić sobie ręce czy to w ogrodzie, czy przy pszczołach, bo przecież Pan Jezus cieśłą był i z rybakami wypływał na jezioro. A skoro Syn Boży pracował, tedy i jego następcy na ziemi pracować powinni, a nie, brzuchami do góry leżąc, korzystać z pracy innych.

Może powinien powiedzieć matce kilka słów, które ucięłyby te wszystkie pochwały, co to je ku czci Dołęgi wygłaszała, nie znajdował ich jednak. Dlatego wolał jej unikać, co w dni świąteczne było trudne.

Skończywszy łamać cienkie patyki, wziął się do odrąbywania grubszych. Niby chwilę to wszystko trwało, a on zdążył wspomnienia z całego roku przywołać. Nie pierwszy to raz. Słowa Jadźki, że choć wciąż o tym myślą, to i tak wydaje się, że działają pochopnie, były tak prawdziwe. Jeszcze osiem tygodni pozostało do momentu, gdy, według ustaleń, ma posłać do jej chałupy swata z butelką gorzałki, by tym sposobem obietnicę małżeństwa przypieczętować. Jeszcze osiem tygodni, kiedy może do niej podejść i powiedzieć, że głupio zrobią, jeśli się pobiorą. Bieda taka wszędzie, żadnej nadziei na poprawę losu, wokół głód i smutek. Takie rzeczy lepiej samemu znosić. Wystarczy każdemu z nich, że będą musieli patrzeć na podupadających rodziców. Po cóż im jeszcze smutny widok samych siebie?

Spotka ją na gościńcu, powie, co mu leży na sercu. Jadźka zrozumie. Rozumiała go bowiem jak nikt.

Zebrał drewno i ruszył do chałupy.

Matka siedziała na zydlu. Przed nią stał kosz z kartoflami.

– Ostatnie już, same drobne. Uparuję, bo szkoda obierać. Połowa odejdzie.

Kajtek skinął głową. Nie był wybredny. Częściej Wietka marudziła, prosiła

matkę o bałabuszki albo amoniaczki. I zawsze kręciła nosem na chleb pieczony na trzonie. Matka jakby odgadła jego myśli.

– Tylko czy Wietka nie będzie wybrzydzała?

Czy to powód, by się przejmować? Najmniej robi, najwięcej śpi, a marudzi, jakby była królewną z bajki. Zje parowanych kartofli i barszczu. Inni i tego nie mają.

Położył już drwa pod piecem i odwrócił się, by wyjść z chałupy. Znajdzie sobie jakieś zajęcie, nie będzie musiał babskiej gadaniny słuchać.

– A ty dokąd?

Wskazał głową podwórze.

– Do obory zajrzyj, Rabata się bydłuje. Ciągłe ryczy, a jak ją dołam, ustać spokojnie nie chciała.

Nie powiedział matce, że jemu już przedwczoraj się zdawało, że nadchodzi ten moment, gdy krowę do byka trzeba zaprowadzić. Inną już dziś świtem by poprowadził, ale z Rabatą zawsze mieli kłopoty, bo jej ruja była jakaś mało charakterystyczna. Niby krowa ryczała, tęsknie oglądając się za siebie, niby traciła apetyt, a uderzona w grzbiet, zadzierała ogon, lecz gdy przyszło co do czego, okazywało się, że jeszcze za wcześnie. Mimo starań byka nic się nie działo. Kajtek musiał trzy, czasem cztery spaceru odbyć, by w końcu ostatni zaowocował cielakiem. Odgrażał się Rabatej, że ją sprzeda, co byłoby najrozsądniejszym rozwiązaniem, wiadomo przecież, że im krowa starsza, tym trudniej jej się będzie odbydłować, a te wizyty u byka przecież nie za darmo. Niestety, matka się nie zgadzała, miała do tej krowy ogromny sentyment.

– Toż ona po mojej Krasej, co ją w posagu dostałam, a tamta jeszcze po maminej krówce.

Kajtek nic nie mówił, choć zupełnie nie rozumiał tego przywiązania, zwłaszcza że dopiero co sprzedali córkę Rabatej, piękną dwuletnią jałówkę. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby starą sprzedać, a młodą hodować, matka jednak się uparła. Starzała się i robiła coraz marudniejsza, coraz bardziej uparta. Może rzeczywiście Kajtkowi trzeba żony, która zajmie się jego matką i będzie cierpliwie znosiła jej humory?

Gdy wszedł do obory, Rabata zaryczała. Klepnął ją po grzbiecie, a ta zadarła ogon, ukazując lekko opuchnięty, ośluzowany srom. Kajtek się wahał. Może to już ten moment, a może jeszcze nie? Czekać do wieczora? Zaczeka.

Dzień minął szybko, wypełniony setką zajęć. Poostrzył sierpy i kosę, worki połatał, sieczki narznął, wody przyniósł, ot, zwykłe gospodarskie czynności. Po wieczornym obrządku wziął Rabatą na powróż i wyruszył z nią na spacer gościńcem. Przez cały dzień rozważał, czy zaprowadzić ją do buhaja Hubów, po którym liczni sąsiedzi doczekali się czustrych cieląt, czy też do obory Matwiejczuka. Byk Pietra był młody, co mogło wyjść na dobre, ze względu na zapał i entuzjizm rozplodowca, ale mogło też w złe się obrócić. Pomiechowska mówiła, że ten i ów się skarżył, że byk doświadczenia nie ma. Ostateczną decyzję podjął Kajtek dopiero na gościńcu. Serce ciągnęło go w stronę zagrody Matwiejczuków.

Słońce wciąż stało nad horyzontem, choć dzień wyraźnie miał się ku końcowi. Linie drzew, zarysy chat miękły, jakby je malarz delikatnie palcem rozcierał. Szarówka już będzie, gdy przyjdzie do chałupy wracać, jednak w tej chwili świat wciąż cieszył oczy szaleństwem wiosennych barw.

Nad głową Kajtka zatrzepotały ptasie skrzydła. Dzierlatka z tym swoim „didiri” spadła z góry wprost na końskie łajno, leżące na środku drogi. Spojrzała na Kajtka groźnie, jakby chcąc dać mu do zrozumienia, że pierwsza dojrzała łup i z nikim nie zamierza się nim dzielić. Czubek z brązowych piór, buńczucznie zadarty, nadawał jej wojowniczy wygląd. Gdy uznała, że zbliżający się człowiek nie stanowi zagrożenia, zaczęła rozdrapywać i rozdziobywać łajno w nadziei znalezienia tam niestrawionego ziarna. Radosne piski świadczyły, że jej się udało.

W obejściu Matwiejczuków panowała cisza. Pewnie byli już po obrządkach i siedzieli przy wieczerzy. Kajtek wyobraził sobie małżonków przy stole, pogrążonych w rozmowie, bliskich sobie, zakochanych, i ogarnął go niewymowny smutek. Choć już przywiązał krowę do płotu i ruszył ku chałupie z zamiarem wejścia do środka, zmienił zdanie. Bał się tego, co mógł zobaczyć. Dlatego, jak mógł najgłośniejszym głosem, zawołał:

– Pietro! – A po chwili powtórzył: – Pietro! Pietro!

Usłyszał skrzypnięcie drzwi od obory. Przekonany, że to Matwiejczuk, nieśpiesznie odwrócił głowę. Zbyt późno, by rozpoznać wychodzącego mężczyznę, ale na pewno nie był to gospodarz. Ten ktoś przemknął za oborę i zniknął w krzakach dzikiego bzu dokładnie w chwili, gdy w chałupie stuknęło, szurnęło i na progu stanął Pietro. Wyglądał na zaspianego.

– Zmożyło mnie – wyjaśnił. Spojrzał pytająco na Kajtka, który wskazał na krowę. – Z tym przychodzisz. Poczekaj, buty wżuję i kawalera wyprowadzę.

W tej chwili z obory wyszła Marinka z wiadrem mleka. Gdy zobaczyła Kajtkę, policzki jej zeszkarłatniały. Minęła go bez słowa, weszła do sieni, powiedziała coś do Pietra, trudno było słowa zrozumieć, ale musiało to być coś przyjemnego, bo oboje wybuchnęli śmiechem. Kajtek, który mówił mało, ale zawsze słuchał z wyjątkową uwagą, usłyszał w jej śmiechu fałszywe nuty.

Co ty robisz, dziewczyno?, zapytał ją w myślach. Serce mu waliło, pierś ścisnął żal niewypowiedziany. Takiego zawodu w życiu nie doznał. Próbował usprawiedliwić Marinkę, tłumacząc sobie, że to, czego był świadkiem, nic nie znaczy. Co ty robisz i po co? Mąż niczego nie dostrzeże dziś, jutro, może i pojutrze, ale za tydzień otworzą mu się oczy, tak jak tym szczeniętom, co na świat przychodzą niewidome, a jednak w końcu widzą wszystko, wszyściuteńko. Tak i Pietro zobaczy, a wtedy wasze szczęście zostanie na zawsze zniszczone. Bo szczęście małżeńskie nie jest jak woda w kałuży, co, choć zmętnieje, gdy ją patykiem zmącisz, po jakimś czasie znów się wyklaruje. Gdy raz je zniszczysz, na zawsze pozostanie mętne. To tak, jakby wlać szklankę mleka do wiadra z wodą. Nie odsączysz, nie rozdzielisz. W każdym łyku wody będzie czuć posmak mleka, nawet jeśli oko ledwo je dostrzeże.

Wreszcie Pietro się wyguzdrał.

– Tam ją daj. – Wskazał miejsce między oborą a krzakami bzu, w których przed chwilą zniknął tajemniczy mężczyzna. – Na ścianie jest kółko.

Ledwo Kajtek zdążył przywiązać powróż, a już Pietro taszczył żerdzie. Zrobili z nich ogrodzenie. Jeśli byk przypadkiem by się wyrwał, miałby odciętą drogę ucieczki. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby uciekł. Kajtek odruchowo się przeżegnał.

– Tak źle nie będzie – roześmiał się Pietro i dodał mu otuchy klepieniem po plecach, ruszył do obory.

Byczek był niczego sobie, tłuściutki, zadbany, czerwona sierść błyszcząca, lśniły ciemne oczy, okolone gęstymi rzęsami. Gdy wyszedł z ciemności obory, zatrzymał się i ciekawie rozejrzał wokół. Wilgotne brązowe nozdrza rozszerzyły się delikatnie, by łatwiej mu było wchłonąć wszystkie zapachy świata. Kwiaty, trawa, woda, resztki siana w kopiczce, która została ze stogu, nawet ta gliniasta ziemia na drodze, wszystko pachniało ciekawie i godne było chwili jego uwagi. Nim zdecydował, w którą pójść stronę, do wilgotnego nosa doleciał zapach samicy. Byk mruknął, by się upewnić, czy krowa jest niedaleko, a ta odpowiedziała mu tęsknym, rzewnym wezwaniem.

Odpowiedział natychmiast, szarpiąc się w jej stronę.

– Widzisz go? – Pietro nie krył dumy.

Podciągnął za postronek, by pokazać bykowi, kto tu rządzi. Każdego dnia człowiek stosuje te same sztuczki, by utrzymać zwierzę w przekonaniu, że jest od niego silniejszy. Biada ci, człowieku, gdy ono dostrzeże, że jest oszukiwane. Ten byk Pietrowy – nieduży przecież, łeb malutki, krótkie rogi, ale jakby wziął zamach, toby takiego chłopca jak Matwiejczuk na dwa sążnie odrzucił. Jednak przyzwyczajony od małego, że człowiek nad nim panuje, nie zamierzał się wyrywać. Zresztą po co, skoro wiadomo, że zostanie zaprowadzony tam, gdzie ciągnie go natura? Zapach samicy był coraz intensywniejszy, coraz bardziej kuszący.

Kajtek kilkakrotnie klepnął krowę po grzbiecie, by zadarła ogon. Rabata odwróciła łeb, sprawdzając, czy byk stoi za nią. W jej oczach błysnęło coś, co mogło być zdziwieniem. Spojrzała na Kajtkę, a ten gotów był przysiąc, że gdyby mogła mówić, zapytałaby: „A cóż to za kurdupel? Dla takiego nie warto było mnie fatygować z obory”. Prawda to, czerwony byczek Pietra, postawiony obok łaciatego buhaja Antka Huba, mógł zostać uznany za cielaka. Nogi miał krótkie, ciało krępe, ale nie było w nim jeszcze masywności.

– Coś jej się kawaler nie spodobał. – Pietro potwierdził obawy Kajtkę. – Czekaj ty, zobaczysz, jaki on w tych sprawach, to żadnego innego do siebie nie dopuścisz. No, czekaj, czekaj – powiedział łagodnie do zwierzaka, podprowadzając samca do krowiego zadu.

Byk zaczął obwąchiwać krowi srom, pomrukując z zadowoleniem. Krowa nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Kajtek znów klepnął ją po grzbiecie, by w naturalnym odruchu podniosła ogon, zachęcając byka.

Okazało się jednak, że ten nie potrzebuje zachęty. Upewniwszy się, że krowa jest w rui, zaczął się na nią wspinać. Jego krótkie przednie nogi szukały oparcia na jej grzbiecie, mięśnie tylnych napinały się pod skórą, bo teraz to one musiały utrzymać cały ciężar. Bycze prącie, jeszcze przed chwilą ukryte, wysunęło się spomiędzy fałd skóry. Wyglądało jak pika, dziwnie nienaturalne, oślizgłe, różowe. Wzwód sprawiał, że czerwieniało i drżało niecierpliwie. Wbił je w srom, a krowa westchnęła z zadowoleniem. Kajtek z podziwem patrzył na mięśnie byka, napinające się pod skórą. Wspięte na tylnych nogach zwierzę wydawało się takie wielkie i silne.

Gdy opadł na ziemię, ta zadrżała. Krowa wciąż trzymała ogon w górze. Po

zbliżeniu jej srom pozostał rozwarty, z różowymi fałdami na wierzchu, ociekający śluzem.

– Jeszcze raz? – zapytał Pietro.

Kajtek skinął głową.

– Co racja, to racja. Lepiej niech użyje, niż miałbym go za parę dni znowu z obory wyprowadzać. Chociaż powiem ci, że po nim jeszcze żadna nie powtarzała.

O tym ostatnim ludzie na wsi różnie gadali, ale już taka ich natura, że gadają. Jeden będzie z całego serca chwalił to, co inny zganił, jeden będzie zadowolony z tego, co innego rozczarowało. Mało kto pomyśli, że lepiej trzymać język za zębami. Bo ludzie lubią gadać, a czasem próżno szukać prawdy w ich słowach.

Pietro podprowadził byka, a ten, nie czekając, wskoczył na krowę. Kajtek miał wrażenie, że tym razem przyjęła go z większą ufnością, jakby się przekonała, że choć niewielki, jednak na tych rzeczach się zna.

– A nie mówiłem, że jej się spodoba? – Matwiejczuk się roześmiał. – Czy bydlę, czy człowiek, wszędzie tak samo. Jurnych lubią.

Kajtek odniósł wrażenie, że Pietro mówi o sobie. Jego słowa nie zgadzały się z tym, co wcześniej tu zaszło. Może po prostu znalazł się jurnieszcy? Kajtek zganił się za tę myśl. Jedna jego cząstka pragnęła postrzegać Marinę taką, za jaką zawsze ją uważał, inna, trawiona ogromnym żalem, wołała ją widzieć w jak najgorszym świetle.

– Starczy tego dobrego. – Szarpnięcie postronka było tak nagłe, że bydlę aż łeb odgięło do tyłu. – Jej już wystarczy, a ty się tylko rozbuchasz. No, chodź do obory. – Byk z ociąganiem ruszył za gospodarzem. Krowa pożegnała go tęsknym muczeniem.

Kajtek zaczął rozmontowywać zagrodę, nie czekając na gospodarza.

– Zostaw, rano sam to zrobię – powiedział Pietro, wychodząc z obory. Widząc, że jego słowa nie przyniosły skutku, pomógł Kajtkowi. Po chwili wszystkie żerdzie leżały pod ścianą. – Zapalisz?

Tytoniowy dym siwą smużką wzlatywał ku niebu, świat pogrążał się w półmroku, znudzona krowa opuściła łeb i obwąchawszy kępkę suchej trawy, zagarnęła ją jęzorem.

– Nie ma dnia, żebym wieczorem nie płakał z bezsilności – wyznał Pietro.

Jego głos ociekał żalem, jak ocieka wodą kapota chłopca, któremu cały dzień przyszło w deszczu pracować, i równą żalność jak ów biedny chłop

wzbudzał. Kajtek był przekonany, że tamten mówi o żonie, że wie, tylko udaje ślepego. Ruch ręki, wskazujący na Ukrainę, wyprowadził go z błędu.

– Ilekroć spojrzę na wschód, tylekroć za gardło mnie ściska. Nie potrafię pojąć ani tego okropieństwa, ani tej bezduszości – ciągnął tamten. – Pytam Boga, gdzie jest, ale milczy. Odwraca oczy. Może też boi się Człowieka ze Stali? Wiesz, że ten towarzysz jest gruzińskim chłopem? Miał rodzinę, ale wszyscy mu pomarli. Podobno po ich śmierci zrobił się tak okrutny. Może to być? Ja nie wierzę, nie wierzę, by wielka miłość mogła się przerodzić w takie okrucieństwo. I to wobec kogo? Wobec swojej własnej klasy? Czy to zgodne z ich bolszewickimi naukami? Sierp i młot, chłop i robotnik razem przeciw uciskowi. Teraz się okazuje, że chłop ma ciasne poglądy, jest chciwy i przesądny. Każdy chłop czy też może tylko ten ukraiński, który w głębi duszy czuje, że jego pochodzenie nie gorsze niż Polaków albo Rosjan? My też mieliśmy wielkich władców, hetmanów, bohaterów. Pierwej niż Polaczkę walczyliśmy o naszą niepodległość. I mieliśmy ją. Mieliśmy, dopóki zdradzieccy przywódcy sąsiadów nie podzielili się naszą ziemią. Świat odwrócił wtedy oczy, i teraz też się od nas odwraca. Kogo obchodzi Ukraina? Mnie obchodzi, ciebie też powinna. Obchodzi cię, Kajtek?

Skinął głową, a poznawszy, że tamtemu to mało, przełknął ślinę i powiedział:

– Obchodzi.

Pietro milczał. Podniósł do ust resztkę papierosa, która zaczynała parzyć mu palce, i zaciągnął się głęboko. Ponieważ nie był już w stanie utrzymać w palcach tego, co zostało, opuścił na żar kroplę śliny. Papieros zgasł, niedopałek trafił do kieszeni. Jak każdy chłop, wieczorem wsypie resztki tytoniu z powrotem do woreczka. Jeśli kto pozwalał sobie na rzucanie niedopałków na ziemię, to albo z nerwów, albo dla podkreślenia własnego statusu. Każdy okrucieństwo bakunowych liści jest cenny, bo niełatwo go uzyskać. Bakun sadziło się już po majowych przymrozkach, bo bardzo był wrażliwy na temperaturę. Gdy zmarzł, już nie wstawał. Nie lubił zbyt wilgoci, ale i susza mu szkodziła. Należało obrywać liście od dołu, uważając, by przypadkiem sąsiedniej rośliny nie złamać. Liście nawlekało się na drut, jeśli kto miał, czasem dziedzic go sprzedawał, a czasem bogaci gospodarze, ci, co chmiel hodowali. Raz użyty do chmielu drut drugi raz się nie nadawał, dlatego cięto go i sprzedawano. Liście trzeba było nawlekać naprzemiennie – spód do spodu, wierzch do wierzchu i znowu spód do spodu. Wieszalo się je

na ścianach chałup, od południa, pod okapem, żeby nie zmokły. Gdy wyschły, trzeba je było płukać. Kolejne wiadra czarnej i gęstej jak smoła cieczy wylewano za oborą, a śmierdziało to tak, że aż we łbie się kręciło. Wypłukane liście znów się suszyło i wtedy wreszcie nadawały się do kruszenia i palenia. Jeśli kto leniwy nie wypłukał ich dobrze, to paląc, kaszłał gorzej niż gruźlik. Czasem baby zostawiały wodę z płukania liści i gdy sadyły kapustę, chlapały tą wodą ziemię wokół sadzonek, bo wtedy żaden ślimak, żadna licha nie odważyła się podejść.

– Wiesz, śni mi się czasem, że to do mojej chałupy wchodzi żołnierze i zabierają worki z ziarnem – powiedział Pietro, a Kajtkowi wstyd się zrobiło, że przed chwilą myślał o bakunie. – Co oni musieli czuć? Czy wiedzieli, co ich czeka? A może wtedy, jesienią, mieli jeszcze nadzieję? Pewnie byli tacy, co mówili: „Oddadzą”, i tacy, co się pocieszali: „Jakoś to będzie, w wojnę też zabierali”. Stalinowskie pachołki zabrały nawet ziarno przeznaczone na siew. U nas role się zielenią, a ukraińskie pola czarne. U nas przednówek, brzuch do krzyża przyrasta, komory opustoszałe, ale kury już się nieść zaczynają, jest krowina, co da kubek mleka, masz konia, to sobie zarobisz parę groszy u faktora i u innego Żyda kupisz za to cebularza. Tam nie ma nic. Jeśli zostały krowy czy konie, to ludzie je zjedli. Zjedli psy, koty, wyłapali szczury i wrony. Na skórzanych paskach i butach matki gotowały dzieciom zupę z trawy. Jeżeli jeszcze mają jakieś dzieci. Żywi nie nadążają grzebać umarłych, śmierdzi gnijącymi trupami. A świat uśmiecha się do Stalina, wierząc w jego zapewnienia. Ślepcy! Wydaje się wam, że to kocię, ale to tygrys. Poodgryza wam głowy, nawet nie będziecie wiedzieć kiedy. Polska, która mogłaby się za nami wstawić, milczy. Nie pierwszy już raz Lachy mają na rękach krew narodu ukraińskiego. Przehandlowali nas w Rydze, tak samo jak wcześniej przehandlowali w Andruszowie. Teraz odwracają oczy, żeby nie patrzeć na wschód, przykładają do nosów perfumowane chusteczki, żeby nie czuć fetoru, który przynoszą wiatry znad Ukrainy. To już nie jest trzydziesty rok, gdy naszych krwawo pacyfikowali w Małopolsce. To coś znacznie, znacznie gorszego. Na Ukrainie leje się niewinna krew, dzieci umierają nie tysiącami, ale setkami tysięcy, i to każdego dnia. Za co to wszystko? Ano za to, że kochamy naszą ziemię i nie chcemy się kolektywizować. – Umilkł.

Zapadł zmrok i Kajtek nie był w stanie dojrzeć twarzy Matwiejczuka.

– Będziesz z nami, gdy przyjdzie czas zapłaty? – zapytał Pietro.

Zwykle „tak” byłoby za mało. Niestety, komuś, kto na co dzień niewiele słów używa, trudno w podniosłym momencie znaleźć właściwe. Dlatego, zamiast szukać własnych, Kajtek użył cudzych. Zaczął recytować:

*Moich ran nie ocierajcie,
Niechaj krwią spływają!
Niech na cudze pola rzeką
Moja łza się toczy,
Aż na wieki mi zasypią
Cudzym piaskiem oczy.
W Ukrainę idźcie, dzieci,
W naszą Ukrainę,
Popod płoty sierotami,
A ja – tutaj zginę.
Tam znajdziecie szczerę serca
I słowa łaskawe,
Tam znajdziecie szczerą prawdę...*

– A może i sławę – dokończył Pietro.

Wież jakby ich słyszała, bo w niebo popłynęły rzewne melodie. Zebrane przed chałupami dziewczęta, odetchnawszy już po całym dniu pracy, zaczęły śpiewać. Zawtórowali im chłopcy i cały świat wypełniły dźwięczne głosy. Ukryty w krzaku ptak zakląskał, zamigotały gwiazdy, jakby świat chciał pokazać, jak jest piękny, jakby chciał sprawić, by śmierć milionów stała się czymś nieistotnym.

Kajtek podszedł do krowy, wymacał postronek i szarpnięciem dał jej znak, że czas ruszać. Rabata smutnym westchnieniem pożegnała kępę trawy, której nie zdążyła wygryźć do gołej ziemi.

– Kajtek! – krzyknął Pietro, choć byli nie dalej niż dwa sążnie od siebie. – W paru chłopów chcemy kupić ziemię od Kornelowicza. Po co w obce ręce ma iść. Jeśli chcesz...

– Tak – odpowiedział Kajtek. Nie dlatego, by potrzebował więcej pola, ale dlatego że chciał być blisko Matwiejczuków. Czuł się za nich

odpowiedzialny. Chciał ustrzec ich od nieszczęścia, które mogło nadejść lada dzień.

Marinka... Nie, nie mógł teraz o niej myśleć, bo sprawiało to zbyt wielki ból. Musiał zasłonić jej obraz jakimś innym, czymś innym.

Pozwolił, by jego myśli poszybowały ku Jadźce. Były teraz zupełnie inne od tych z ranka.

Rozdział dwudziesty czwarty



Tytoń bakun, zwany też machorką, to jednoroczna roślina z rodziny psiankowatych, naturalnie występująca w Ameryce Południowej, gdzie przez wiele plemion indiańskich jest uważana za świętą i wykorzystywana w trakcie tradycyjnych świąt i ceremonii. Bakun jest rośliną o pojedynczym pędzie, osiągnącym około metra wysokości, zakończonym wiechowatym kwiatostanem z drobnymi, trąbkowatymi żółtymi kwiatami. Jego jajowate, płaskie liście o gładkim brzegu zawierają od dziesięciu do trzydziestu procent nikotyny, czyli nawet dziesięciokrotnie więcej niż tytoń szlachetny.

W okresie międzywojennym był bardzo popularny w Polsce i uprawiany na domowy użytek. Charakteryzuje go silny, intensywny zapach.

Nasiona tytoniu bardzo długo zachowują zdolność kiełkowania.

W chwili obecnej bakun uprawiany jest na bardzo małą skalę. W ogrodach występuje jako roślina ozdobna, często wykorzystywana również do oprysków – ze względu na zawartość substancji trujących wywar z bakunu używany jest jako naturalny środek chwastobójczy i owadobójczy.

Na naturalnych słonecznych i żyznych stanowiskach można natrafić na dziczące rośliny.

Październik 1933

Wojtek odłożył gazetę. Jedyne, co go zainteresowało, to informacja, że niejaka Stanisława Walasiewiczówna ustanowiła rekord świata w biegach na sześćdziesiąt i sto metrów. Spojrzał za okno, na gościniec, próbując oszacować, ile to będzie owe sześćdziesiąt metrów. Niby niewiele, ale siedem i pół sekundy też niedużo. Jak szybko musi przebierać nogami

człowiek, by przebiec taki dystans w czasie krótszym niż wypowiedzenie słów: „Nie mogę przestać myśleć o tobie. Jesteś najpiękniejsza na świecie. Kocham cię”. Wyobraził sobie, że czeka na mecie, a na starcie ustawia się tabun dziewcząt wpatrzonych w niego jak w obraz. Ta, która wygra wyścig, zostanie panią Dołęgową. Gdyby taka sytuacja zdarzyła się w życiu, rekord tej sportsmenki byłby poważnie zagrożony. Ta myśl tak go rozbawiła, że roześmiał się w głos.

– A tobie co tak wesoło? – zapytała babka.

– Co ma mi nie być wesoło, skoro się żenię?

Babka sarknęła. Powiedzieć, że nie przyjęła wieści o planach wnuka z radością, to nic nie powiedzieć. Jakoś z tydzień temu skończyła lamentować, teraz tylko wydawała gniewne pomruki.

Wbrew pozorom nie była osamotniona i nie tylko jej ów plan żeniaczki się nie podobał. Wojtek podzielał zdanie staruszki w tej kwestii. Małżeństwo to ostatnia rzecz, której pragnął. Problem polegał na tym, że jedynie tą drogą mógł zaprowadzić do łóżka Wietkę Mazurównę. Oczywiście zgadzał się z babką, że ta dziewczyna nie jest dla niego. Była naiwna, głupiotka, pusta, lecz niestety była też piękna i uparta. Wojtek na tysiąc sposobów próbował ją omotać i czasami prawie mu się to udawało. Już, już sięgał pod spódnicę... Mało tego, czuł zapach, który świadczył o tym, że Wietka ma na niego taką samą ochotę jak on na nią. Wystarczyło jednak, by dotknął jej nagiego ciała, a słyszał zdecydowane: „nie”.

– Pozwól, kochana, dobrze ci będzie.

– Ja w to wcale nie wątpię. Tyle że po ślubie.

– Toż przecież się z tobą ożenię.

– To wtedy dam ci, co tylko zechcesz.

– Po co tyle czekać? Zróbmy to teraz.

– Po co się gorączkować? A jak brzuch zrobimy?

– Umiem zrobić tak, żeby brzucha nie było.

– Niejeden tak mówił, a potem panna bez wianka ślub brała.

– Kiedy ja naprawdę umiem.

– Taaak? To ja niejedyzna?

Wojtek gryzł się w język, zły na siebie, że pozwolił, by go zapędziła w kozi róg, trochę też rozbawiony całą tą sytuacją, a trochę wzburzony krwią, która ogniem buzowała mu w żyłach. Ciekawe, co by było, gdyby powiedział Wietce, że Marince Matwiejczukowej czy Helce Iwaniukowej stan się nie

odmienił, a każda z nich dużo czasu z Wojtkiem spędziła. Nabralby po grzbiecie, oj nabrał. Choć cnoty strzegła jak ten pies z bajki wejścia do piekieł, to zakochana była w Wojtku na zabój. Musiał uważać. Bo nie ma nic gorszego niż zemsta zranionej kobiety, a im większa miłość, tym zdrada, nawet jeśli nic nieznacząca, bardziej boli.

Inna sprawa, że Marinka nie była taka zupełnie nic nieznacząca. Dziwne, jak to się w życiu plecie. Znał ją przecież, tak jak znał wszystkich innych we wsi. Tynczyn duży, pięćdziesiąt chałup to nie byle co, a z końca wsi bliżej było do Mikulina niż na Tynczyńską Kolonię. Nie zmienia to jednak faktu, że wszyscy się tu znali. Wiedzieli, kto jest czyim wnukiem, ojcem, mężem, stryjem czy kumem. Jakże mogłoby być inaczej? Wieś stanowiła jeden organizm, jedno ciało. I choć od czubka głowy do palców u stóp daleka droga, nie było tak, żeby mieszkańcy wszystkiego o sobie wzajemnie nie wiedzieli. Co ciekawe, podobnie jak ludzie, tak i wsie różniły się od siebie. Niektóre były zabudowane gęsto, chałupa przy chałupie, inne rozciągnięte między polami. W niektórych mieszkali sami Ukraińcy, w innych pomieszani byli z Polakami, a w jednej mieszkali sami Polacy, przez co okoliczni zwali ją Mazurami. W Tynczynie mówiono sobie po imieniu czy nazwisku, a na Małoniżu każdy miał przezwisko. Jedne wsie były bogate, w innych bieda aż piszczała. W jednych nastrój panował pogodny, przez inne strach przechodzić.

Wojtek westchnął ciężko, bo uświadomił sobie, że podobnie jak ludzka natura, tak i natura wsi się zmieniała. Kiedy był mały, jeszcze przed wojną, mało kogo obchodziła narodowość. Wszyscy byli tutejsi. Teraz Ukraińcy podkreślali, że są innego wyznania, mówią innym językiem, używają innego alfabetu, należą do innego narodu i że wszystko to różni ich od Polaków, z których większość miała unickie korzenie i wołała modlić się w cerkwi, a ukraińskim posługiwała się równie sprawnie jak polskim. Gdy próbował zrozumieć, dlaczego dzieje się tak, że sąsiad na sąsiada wilkiem patrzy, jedną tylko znajdował odpowiedź – polityka.

Gdzieś w Warszawie byli ludzie, co nie znając Tynczyna, nie znając Zamojszczyzny, może w ogóle życia nie znając, podejmowali decyzje i mówili rzeczy, które wrogo nastawiały do siebie ludzi. W gazetach pisano o ukraińskim nacjonalizmie. Owszem, prawda to była, ale jeden człowiek nie daje świadectwa całemu narodowi. Tu, w tej wsi nad Huczwą, od wieków żyły dwa narody, splątane jak ten dąb i lipa, co obok siebie wyrosły. A jeśli

dochodziło do kłótni, to o miedzę, o pannę, o uwiedzioną żonę.

Dołęga roześmiał się. Jeśliby mi Pietro wpirzył, pomyślał, dopieroż gazety miałyby używanie. Taki incydent to woda na ich młyn. Biedny Polak, bez przyczyny zaatakowany przez ukraińskiego nacjonalistę! No ale na szczęście do tego nie dojdzie, bo Pietro był głupi jak but i w ogóle się nie domyślał, co w jego oborze się wyczyniało. A działa się, oj, działa!

Myśli Wojtka wróciły do Marinki. Jakże się to stało, że przez tyle lat nie zwracał na nią uwagi? Pewnie nieraz ze sobą tańczyli, nieraz polał ją wodą albo pociągnął po łydkach wierzbową witką. Nie pamiętał, nie zwracał na nią uwagi, tak jak i na inne wiejskie dziewczęta. Może gdyby wtedy popatrzył jej w oczy? E, pewnie nic by nie zobaczył, bo tego, co Wojtka urzekło piętnaście, dziesięć czy nawet pięć lat temu, w nich nie było. Ten smutek, pomieszany z wściekłością na los, pojawił się dopiero niedawno, gdy do Marinki dotarło, że została uwięziona w życiu, którego nienawidzi, przywiązana do człowieka, którego dawno przestała kochać, a może nawet nie kochała go nigdy, tylko tak jej się wydawało, bo świat wokoło cudny, wszystko mało, a oni byli młodzi i gorąca krew pulsowała w tętnicach.

Jeśli teraz krew jej pulsowała, to ze złości na własną głupotę, na los, który każe kobietom, pokolenie po pokoleniu, wieść takie samo życie, jakby z jednej sztancy odbite – pasanie gęsi w dzieciństwie, krów w młodości, później pannaństwo, wybór kawalera, czasem własny, częściej dokonany przez rodziców, ślub, jedno dziecko, drugie, trzecie. Czasem uda się uchować wszystkie, czasem śmierć któreś zabierze, a wraz z nim część matczynej duszy. I ani się kobieta obejrzy, a już jej córka kosą zarzuca i za kawalerami się ogląda, a zaraz po niej wnuczka i wtedy wiadomo, że życie dobiega końca. Wbrew wszystkiemu to dobrze, bo ma się go dosyć, bo to tylko zgryzoty i praca ponad siły, a wszystko, o co walczy się każdego dnia, ma trwałość domku z kart.

Większość kobiet o tym nie myślała, bo po co? Czyż nie lepiej udawać, że życie trwa wiecznie, że jest piękne i samo dobro przynosi? Jednak Marinka nie potrafiła się oszukiwać. Chciała całą sobą poczuć, że żyje, chciała jakiś ślad po sobie zostawić, a ponieważ nie mogła, zapominała się w ramionach Wojtka z tak szaleńczą desperacją, jakby za mgnienie oka świat miał runąć. To zaś sprawiało, że on, Wojtek, zatracał się w jej szaleństwie coraz bardziej i bardziej. Jakże mogło być inaczej, skoro oboje tak samo widzieli świat, skoro oboje mieli za złe losowi, że takie role im przeznaczył? Nikt nie

rozumiał Wojtka tak jak Marinka i nikt nie rozumiał Marinki tak jak Wojtek.

Mimo to pragnął Wietki Mazurówny. Nie tyle jej samej, ile jej ciała. Pragnął jej tak, jak głodny pragnie strawy, ale nie byle jakiej, nie zawijasa czy polewki, tylko jak czegoś delikatnego i wymyślnego, czegoś, co lokaj postawiłby na pańskim stole, wymawiając przy tym francuską nazwę nie do powtórzenia; czegoś, co samym zapachem przyprawiało o zawrót głowy. Taka właśnie była Wietka. Jej skóra pachniała tak, że z daleka poznawał, gdy dziewczyna się zbliżała. Nie była to jedna woń, tylko tysiące, bo inaczej pachniały policzki dziewczyny, inaczej usta, jeszcze inaczej włosy, kark i dłonie.

Wojtek znał każdy z tych zapachów. Przywoływał je w pamięci i porównywał do innych znajomych. Krwawnik, macierzanka, skórka jabłka dobrze nagrzanego słońcem, wiesiołek, koniczyna, przejrząca śliwka, którą dzień jeden dzieli od gnicia, wszystkie te wonie znajdował na ciele Wietki. I nie tylko te, więcej jeszcze. A przecież oprócz zapachów były jeszcze smaki. Usta, lekko kwaskowe, jak papierówka w momencie, gdy miąższ z twardego staje się mączysty, dołek między obojczykami smakował najpierw lekko słono, a lizany dłużej nabierał gorzkawego posmaku pitego w gorączce naparu z wrotycza.

Były też brzmienia – śmiech, podobny do wiosennych zawołań sikorek, szept jak szelest grabionego siana, westchnienia jak szum fal Huczwy po wiosennych roztopach. A także faktura skóry, chropowatej na dłoniach, gładkiej na ramionach. Tysiące doznań towarzyszyły byciu z Wietką. Ten moment, gdy pozwalała się przytulić i mógł zanurzyć usta w jej włosach, pachnących rumiankiem, sprężystych i miękkich zarazem, które pogłaskane wydawały ten sam dźwięk, co łamana łydyga skrzypu. A także ten, gdy przyciągał dziewczynę do siebie, dotykał jej wilgotnych ust, a Wietka zaczynała się śmiać, czując jego podniecenie.

Pozwalała mu się całować, gładzić po ramionach, wtulać twarz we włosy, bładzić ustami po szyi. I tyle. Gdy posunął się odrobinę dalej, wyrwała się z ramion Wojtka. W oczach miała iskry, pragnęła go równie mocno jak on jej, a jednak odmawiała. Nie dziwił się, na jej miejscu robiłby tak samo. Poczucie, że ma się nad kimś władzę, smakuje lepiej niż najśłodszy kołacz, niż miód lipowy, niż tysiąc najwspanialszych pocałunków.

Wietka wiedziała, że dopóty wiedzie Wojtka na postronku, dopóki nie odda mu cnoty. Później wszystko między nimi się zmieni. Razem z ciałem odda

Wojtkowi duszę i już nic nie będzie miała do zaoferowania. W zamian za to dostanie obrączkę, nowe nazwisko i przekonanie, że na zawsze będą razem. Jakże mylne. Wojtek wcale nie myślał mieszkać w Tynczynie do końca życia. Zostanie tyle tylko, ile trzeba, by stara Mazurzycha dokonała zapisu. Mówiła o posagu w gotowiznie, ale nie wiadomo, ile to teraz warte.

Wojtek chciał otrzymać należącą się Wiecie część pola. Gdy już to dostanie, namówi żonę... Żonę, powtórzył, bo to słowo, nawet przywoływane w myślach, niezmiernie go bawiło. Namówi żonę, by sprzedali pole i wyjechali do miasta. Gdy tylko dostanie do ręki pieniądze, zniknie. Wietce powie, że najpierw pojedzie sam, rozejrzy się, jakąś kwaterę wynajmie. Tym razem nie będzie głupi. Przedtem wydawało mu się, że Warszawa czy Lwów to wielki świat. Wielki świat to Ameryka. Tam musi się udać, by zdobyć to, czego ojciec nie zdobył. Pieniądzy powinno wystarczyć na podróż dla dwojga. Jeśli Marinka zgodzi się z nim uciec. Jeśli nie... Nie chciał myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie będzie chciała. Zanim jednak zrealizuje swój plan, musi się ożenić. I nie ma już co po próżnicy rozmyślać.

Sięgnął po odłożoną wcześniej gazetę, ale zmienił zdanie.

- Do karczmy pójdę, z chłopami posiedzę.
- W karczmie porządne gospodarze nie siedzą – mruknęła babka.
- To i dobrze, bo ja ani porządny, ani gospodarz.
- Twoja to wina. Po coś siostrze pole oddał? Teraz trzeba ci do niej iść, niech ci się na powrót odpisze.
- Nie odpisze.
- Sama z siebie nie odpisze. Urobić ją musisz. I to po cichu, żeby Adamczuki się nie dowiedzieli. To chytre ludzie, nie dadzą sobie wyrwać ani grudeczki ziemi. Natalia inna, to twoja siostra. Odda ci, co twoje, tylko musisz ją ugłaskać.

Wojtek skinął głową. Nie chciał wchodzić z babką w dyskusję, gdyż wyjątkowo był w dobrym humorze. Ugłaskiwanie Natali szło opornie. Te wszystkie lata, przez które musiała sama dbać i o siebie, i o babkę, i o całe gospodarstwo, sprawiły, że zhardziała.

– Oddam ci twoje pole, jak ty mi oddasz moje pieniądze. To na świętego Dygdy będzie.

I ani słowa więcej nie powiedziała, bez względu na to, jak bardzo się starał wciągnąć ją w rozmowę. Poznała w Wojtku manipulanta, wiedziała, że gdy zaczną rozmawiać, wzbudzi w niej wątpliwości, a jak już się pojawią, koniec

końców on przeprowadzi swój plan. Dlatego nie chciała z nim rozmawiać, nie chciała go słuchać, a gdy robił się choć odrobinę natarczywy, goniła go z domu jak szkodnego kota.

Nic dziwnego, że to Dyzia Adamczuka wybrała. Chłopaczek to był jeszcze, siusmajtek, pacholątko zdatne tylko do tego, by słuchać, własnej woli i rozumu pozbawione. Dorosły chłop, z jakim takim pomysłuńkiem, za nic by sobie nie wziął tak twardej i upartej baby jak Natalia, wyżej ceniąc spokój w małżeństwie nad te morgi, co to je Dołęgówna miała, jak mawiano, pod dupą.

Wstał, poprawił pulowerek, który był cieplejszy i wygodniejszy od kamizelki, włożył marynarkę, poprawił włosy, zdjął z kołka kaszkiet i pogwizdując wesoło, ruszył do karczmy.

Szymon siedział na krześle, tuż obok beczki ze śledziami. Jak znosił jej zapach, trudno dociec. Pewnie przez lata się przyzwyczaił albo miał słabe powonienie, bo w karczmie śmierdziało gorzej niż w oborze, z której gospodarz przez tydzień nie wywalał gnoju. Na smród nikt nie narzekał, raz, że lud wiejski od wieków nawykły był do nieprzyjemnych woni, dwa, że mało kto przychodził tu w innym celu niż by napić się gorzałki, a jak wiadomo, pijanemu mało co przeszkadza.

Na widok Wojtka Szymon dzwignął się z krzesła. Nie przyszło mu to łatwo. Starzał się. Dlatego gdy nie obsługiwał klientów, siadał, zamiast jak dawniej stać. Abramek powinien mu pomagać i interes po ojcu przejąć, ale stary Żyd uparł się syna kształcić. Tak to już w życiu jest. Gdy człowiek biedny, myśli tylko o tym, by żołądek napełnić. Wraz z pojawieniem się grosza do głosu dochodzi ambicja. Jeden chce ładniejszego odzienia, inny chałupy, jeszcze innemu marzy się więcej pola albo wykształcenie dziecka.

Wojtek jednym haustem opróżnił kieliszek i dał znak, by znowu go napełnić. Szymon się uśmiechnął, szyjka butelki zawisała nad kieliszkiem, ale wódka się nie lała. Masz tobie! Wojtek zgrzytnął zębami, sięgnął do kieszeni i wygrzebał kilka monet. Położył je na blacie. Żyd uśmiechnął się szeroko. Płyn zagulgotał i kieliszek znów był pełen. Wojtek wziął go ostrożnie w dwa palce i ruszył do stołu, przy którym siedziało kilku chłopów. Rozpoznał Kajtka Mazura, bo ten jako jedyny odwrócony był twarzą do sali.

Szwagier, jak miło, pomyślał Wojtek. Wiedział, że tamten go nie lubi. Chyba mało kogo lubił i mało kto lubił Kajtka. Mruk, milczek, samotnik. Gdy na początku lipca Pomiechowska roznosiła po wsi wieść, że posłał

swaty do Jadźki Adamczuków, nikt wierzyć nie chciał. Okazało się to najprawdziwszą prawdą, ślub odbył się nie dalej jak miesiąc temu. Pan młody – jakże zabawnie to brzmi, wszak Kajtek miał już lat trzydzieści – poszedł za zięcia. Podobno dobrze się dogadywał ze starym Adamczukiem. Wojtek znów się uśmiechnął, bo słowo „dogadywać się” tak do Mazura pasowało jak kwiatek do kozucha. Inna sprawa, że taki dziwak po prostu pasował do Adamczuków.

Nie, Wojtek nie wierzył w to, co wygadywał dziadek, że Wawrzek zabił Franka, by mu zarobione w Ameryce pieniądze zrabować. Owszem, w młodości pozwalał się zwieść tej dziadkowej fantazji, bo złość, skierowaną na konkretną osobę, łatwiej było znosić. Teraz, jak dorósł, gdy między ludźmi bywał i wiele rzeczy widział, wiedział, kto do czego jest zdolny. Wawrzek Adamczuk nie miał w sobie nic z mordercy. Ani w gniewie, ani na spokojnie nie dałby rady nikogo zabić. Pewnie nawet na wojnie strzelał na oślep z nadzieją, że tylko zrani. Taki to był typ.

Wojtek postawił kieliszek na stole i głową dał znak Mazurowi, żeby się przesunął, co tamten posłusznie uczynił. Ludzie głupoty gadają, pomyślał, a mój dziadek pierwszy w tym był. W Adamczuku tyle z mordercy, co w tym oto Kajtku. Cichy, powolny, niezdecydowany, słowem: maramocha. Do niczego poza pracą na roli się nie nadaje. Cud prawdziwy, że tyle woli w sobie znalazł, żeby się z tą Jadźką ożenić. Może to jej wola była, a on tylko posłuchał, jak słuchał wszystkich wokół? Pewnie tak. Wietka o nich mówić chciała, ale Wojtka nic to nie obchodziło. Ożenił się, dobrze, nie ożeniłby się, też nic złego by z tego nie wynikło.

Czemuż jednak miałby się nie ożenić? Pasował on do tej dziwacznej rodziny, dobrze pasował. Weźmy Wawrzka – znalazł w sobie dość odwagi, by do Ameryki wyruszyć, ale wrócił. Na dodatek, mogąc mieć każdą dziewczynę, wybrał najbrzydszą, i to jeszcze z dzieciakiem. Mówili, że to jego syn, ale Wojtek, który dobrze poznał kobiecą naturę, nie wierzył. Mężatka zawsze powie, że ojcem dziecka jest jej ślubny, panna wskaże tego, z małżeństwa z którym będzie miała najwięcej korzyści – najbogatszego, najprzystojniejszego, najzaradniejszego. A ponieważ dzieci nie rodzą się podpisane, ludzie przyjmują, że matka wie, co mówi. I potem jasnowłosa para wychowuje bruneta albo śniadzi bladego. Ludzie kłamią, tacy już są z natury. Tak jak Adamczukowie z natury są dziwni, a Mazur spokojny i łagodny. Jak ten ciołek – duży i silny, ale tylko gabarytami robi wrażenie.

Bo gdy podejdziesz bliżej, zaraz się przekonasz, że on stokroć bardziej boi się ciebie niż ty jego.

– A co wy, Wojciechu, nic nie gadacie? – zagaił siedzący naprzeciw Kajtka Oleś Kita.

– Takem się zadumał.

– A o czym dumacie? – Z drugiego końca stołu Pietro Matwiejczuk świdrował wzrokiem Wojtka.

Dopiero teraz Dołęga dostrzegł, że przysiadł się do Ukraińców. Zaklął w myślach.

– O pannie, jakżeby mogło być inaczej. Zobaczyłem mego przyszłego szwagra i przywitać się chciałem, ale jeśli wadzę... – Podniósł się z wolna.

Pietro dał mu znak, żeby został. Wojtek dopiero teraz zdał sobie sprawę, że gdy do stołu podchodził, rozmowa urwała się nagle, a cisza, która zapanowała, z minuty na minutę stawała się cięższa. Jak to się dzieje, że choć ludzie milczą, można poznać, co myślą? Na wrogie nastawienie był tylko jeden sposób.

– Drodzy sąsiedzi, może się napijecie ze mną?

Jak na komendę, wszystkie głowy zwróciły się w stronę Pietra. Ten prawie niezauważalnie skinął głową.

– Co się mamy nie napić? – powiedział Pijajko, najbardziej pogodny w całej tej ponurej bandzie.

Wojtek dał znak Szymonowi, ale Żyd udał, że nie widzi. Wstał więc, podał mu wysupłany z dna kieszeni banknot, ostatni z czterech, które w zeszłym tygodniu zwinął z babczyngo kufra. Dostał butelkę wódki i kilka małych szklaneczek. Pełna kultura, pomyślał, wspominając knajpę, w której piło się z metalowych kieliszków, łańcuchem ze stołem połączonych, by ukraść ich nie można było. Jednak za Krasnobrodem, po wszelkich Hutkach, Hutach i Huciskach, wytwarzano szklane naczynia na tyle tanie, że tu nie używano metalowych. Nie były to rzeczy ładne. Grube, toporne, a szkłu daleko było do przezroczyści, cieszyły się jednak wielką popularnością.

Wojtek postawił na stole wódkę, rozstawił kieliszki. Kajtek delikatnie odsunął swój na środek stołu. Prawdą było to, co mówili, że Mazur w ogóle nie pije. Pomiechowska gadała, że podobno ślubował. Ciekawe, czy w jej słowach jest choć ziarno prawdy. I jakże on sobie poradził na własnym weselu? Nie ma mowy, na weselu musiał się napić. Toż to jego wesele.

– Pierwszy toast za moją narzeczoną – powiedział Wojtek, podnosząc

w górę kieliszek. Mazur milczał, jakby to nie o jego siostrę chodziło. Mimo jawnej prowokacji po kieliszek nie sięgnął.

Pozostali nie mieli oporów, nastąpił drugi toast, trzeci. Wypiwszy zdrowie żon, nie zawracali już sobie głowy toastami i pili normalnie, po chłopsku, szybko, by jak najprędzej zaczęło się we łbie kręcić.

Nadspodziewanie szybko odsłoniło się dno w butelce. Wojtek, idąc do karczmy, liczył, że zapłaci za dwa, trzy kieliszki, a później będzie pił za cudze. Gdyby wiedział, jak to się skończy, nigdy nie przysiadłby się do Mazura. Poczekałby na kogoś, o kim można by powiedzieć, że dusza w nim prawdziwie polska, chętna, by bliźniego ugościć nawet za ostatnie pieniądze. Tymczasem niefortunna decyzja kosztowała go pięć złotych. Z drugą piątką nie chciał się rozstawać, bo już tylko ona mu została, a gdyby trafiły się karty, miałyby co na stół położyć.

– Zdaje się, że przerwałem wam ważną naradę – powiedział, wytrząsając z butelki ostatnie krople. – Nie chciałbym się z moim towarzystwem narzucać, pójdę więc sobie, za miłą kompanię serdecznie podziękowawszy.

– Siedz – rzucił Pietro, jednocześnie dając znak Pijajkowi, by tamten przyniósł jeszcze jedną butelkę. – Pan Polak gotów pomyśleć, że my tu tajne zebranie UON organizujemy. A my tylko gadali o niesprawiedliwości.

– Tak mówicie, jakbyście mnie nie znali. Nie zwykłem myśleć, a zwłaszcza źle, o bliźnich. A babka moja przecie z Kitów i unitka.

Ten i ów skinął głową, że prawda to – Teresa Hubowa pochodziła z ukraińskiej rodziny, a czyny Wojtka wyjątkowo świadczą o jego bezmyślności.

– Skoro tak – podjął Pietro – to powiem wam, na czym owa niesprawiedliwość polega. Otóż jaśnie pan Kornelowicz, odziedziczywszy stryja swojego ziemię, postanowił ją sprzedać. Zebraliśmy się więc w kilku chłopa, poszliśmy o cenę zapytać. Zapytać! Tylko zapytać. A ten jaśnie wielmożny pan, co już zapomniał, że jego dziadek był szlacheckim bękartem, do którego los się uśmiechnął, nawet rozmawiać z nami nie chciał. Nazwał nas rozbójnicką bandą, złodziejami, zabójcami. Powiedział, że prędzej szczerze, niż choć piędź ziemi sprzeda Ukraińcom. Takiej my się oto Polski niepodległej doczekali, gdzie jesteśmy obywatelami drugiej kategorii, podobnie jak Białorusini, Żydzi i wszyscy nie-Polacy i niekatolicy. W bankach odmawiają nam kredytów, w urzędach obsługi. Dobrze, że w karczmie Żyd siedzi, bo i wódki by się człowiek nie napił. Na koniec taki

kutas jak Kornelowicz pogoni cię, bo jakim prawem ty, ukraiński chłop, myślisz jego ziemię kupować. – Pietro, który na początku swej przemowy był wzburzony, skończył ją już tylko smutny.

Wojtek, wbrew temu, co niedawno powiedział, myśleć lubił. Robił to szybko, zwłaszcza gdy o własny interes chodziło. W kilka chwil w jego głowie powstał plan, który pozwoliłby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Macie rację. Całym sercem jestem z wami. I nie dlatego, że ukraińska krew i w moich żyłach płynie, ale dlatego, że gdy kto obraża jednego chłopca, obraża nas wszystkich. Tedy powiem wam, co zrobimy...

Rozdział dwudziesty piąty



*Czcigodny gnoju, dobroczynne łajno,
Tchnące, jak znojna najmity pazucha
I nowa skóra chłopskiego kozucha,
Ostrej tężyzny siłą życiodajną!*

*Żyzności łaskę kryjesz w sobie tajną
I ciało ziemi łaknie twego ducha,
W tobie nadzieja pól i wsi otucha,
Bo czynisz siejbę stokrotnie wydajną.*

*Zdrowiem z obory kiedy bijesz mlecznej,
Masz dziką świeżość potęgi odwiecznej,
Którą się brzydzą mieszcuchowie słabi.*

*Lecz czarnym bogom pracy, gdy im w lica
Dymisz w świt chłodny, niby kadzielnica:
Pachniesz jak wszystkie wonności Arabii!*

Leopold Staff, *Gnój*

Listopad 1933

Niedobre? – zapytała Marianna.
– Bardzo dobre – odparła Natalia.
– Skoro dobre, to jedz.

– Nie głodnam.

Teściowie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– To nie to. Po prostu jakoś mi się jeść nie chce.

– Skoro to nie to, co myślałam, to pewnieś przerobiona. Albo ci nie smakuje.

– Smakuje.

– Toś przerobiona. Czemu ty jej tyle robić pozwalasz?

Dyziu, do którego skierowane było owo pytanie wyrzut, zrobił minę dziecka, niesłusznie oskarżonego.

– Natalia w miejscu nie wysiedzi. Tyle razy jej mówię, żeby odpoczęła, a ona tylko robić i robić. To w pole, to do obory, to pracć, to zamiatać. – Po sposobie, w jaki patrzył na matkę, poznać było, że szuka sojusznika, który go wesprze w próbach powstrzymania żony przed zbyt ciężką pracą. – Przecież nam dobrze, gospodarka duża, a my tylko we dwoje. Póki co.

– I tak zostanie, jeśli Natalia się nie poszanuje.

Pomoc nadeszła ze strony, z której Dyzio zupełnie się jej nie spodziewał. Zwykle podczas wizyt syna i synowej Wawrzek odzywał się mało albo wcale, teraz jednak zabrał głos.

– Tak jak tobie, dziecko – po raz pierwszy w życiu tak ją nazwał i Natalia poczuła, jak po tym słowie rozlewa jej się w sercu przyjemne ciepło – było ciężko, to pewnie nikt z nas pojąć nie zdoła. Póki dziadek żył, dobrze wam było, a później wszystko na ciebie spadło. Dzielna byłaś, ale już nie musisz. Masz Dyzia, ale i nas masz. Toż nas sześcioro. A jak mało będzie, to się kogo najmniej. Oszczędź się trochę, bo ty masz dzieci rodzić.

Natala skinęła głową, że rozumie i przyznaje teściowi rację. W innych okolicznościach wyznałaby, że robota jest dla niej ucieczką przed zmartwieniem i strachem. Jednak przez to, co się stało jeszcze przed zaręczynami, trudno jej było Wawrzkowi zaufać.

Kochała Dyzia i ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było przysporzenie mu smutku czy zgryzoty. Pozwalała mu przychodzić do siebie, kiwała głową, gdy mówił o ślubie, przekonana, że chłopakowi przejdzie. Odkocha się, tak jak wielu się odkochuje. Dziś taki Jaśko czy Kacper po wsi chodzi i do Marysi czy Hani wzdycha, spać przez nią nie może ani jeść, trwa to tydzień czy dwa, a potem równie nagle, jak się pojawiło, mija. Natalia dobrze to знаła. Nie z własnych doświadczeń, za nią nikt nie biegał, w śmigusa wodą nie lał i łydek wierzbową witką nie smagał, w półpoście do chaty popiołu nie

rzucał, okien nie malował. Chłopcy nią się nie interesowali, dlatego uczucie Dyzia przyjęła tak, jak głodny przyjmuje miskę sołoduchy – z radością i wdzięcznością. Spodziewała się jednak, że miłość Dyziowi minie jak ten wiosenny katar.

Myliła się. Kochał ją z każdym dniem mocniej, dojrzej. Otulił czułością, jak matka otula swoje dzieciątko becikiem. Tych kilka wspólnych chwil, które kradli nocy, dawało siłę, by z radością przeżyć cały dzień. Natali dobrze było z Dyziem. Czy to dziwne, że nie chciała się go wyrzec? Wiedziała, co będzie, gdy Adamczuki się dowiedzą. Zaczną się kłótnie, awantury i próby przemówienia synowi do rozumu, które osłabią więź między dzieckiem a rodzicami i wszyscy będą na tym cierpieć. Cóż mnie Adamczuki takiego dobrego zrobili, że mam ich przed tym uratować i Dyzia pogonić?, pytała sama siebie, ale nie znajdowała odpowiedzi innej niż ta, że jeśli tamci zechcą przeciw własnemu dziecku występować, to ich sprawa.

W zeszłe święta koleżkowie Dyzia umyślili fortel, by Wawrzka przekonać. Tyle to dało, że ojciec i syn porozmawiali. Adamczuki zgodę na ślub dali, ale... Natalę wciąż piekły policzki na wspomnienie wizyty przyszłego teścia. Po tym, jak kiedyś przed Wojtkiem ją przestrzegł i pole pomógł odkupić, myślała, że jest jej życzliwy. Nic bardziej mylnego. Powiedział, że Dyzio młody, głupi, zakochany. Samego siebie jeszcze nie zna, czasu na to nie miał. Gdy po ślubie na oczy przejrzy, będzie już za późno. Ponieważ Natalia jest starsza, to i rozsądniejsza być powinna.

– Nie wiąż mu świata – poprosił z drzeniem w głosie. Po tym poznała, jak wiele Dyzio znaczy dla swego ojca, jak jest kochany.

I żal okrutny ścisnął Natali serce, a w głowie usłyszała głos dziadka: „Nie masz ty, niuniu, ojca, który by się za tobą wstawił, bo za przyczyną tego oto Adamczuka zaprzepadł on, z tego świata zgładzony. A ten, przez którego to się stało, ma czelność przychodzić do twojego domu i mówić ci, co masz robić”.

– Jeśli uważacie, że ja Dyzia niegodna i świat mu zawiążę, to mu roztłumaczcie – rzuciła hardo.

– Jeśli ja cokolwiek powiem, znienawidzi mnie.

– Lepiej dla was, żeby mnie nienawidził?

Nie musiała pytać, on nie musiał odpowiadać, bo obydwójce wiedzieli. Natalia westchnęła i choć trudno jej to przyszło, kazała Wawrzkowi wynosić się z jej chałupy.

– Najbogatszym ze wszystkich panien w okolicy. A i urody mi nie brakuje. Lepszą ode mnie mu znajdziecie? To znajdziecie. Wbrew sercu każcie iść do ołtarza, a potem patrzcie na jego zgryzotę. Ale mnie do tego nie mieszajcie. Za bardzo Dyzia kocham, by mu serce złamać.

Wawrzek chciał coś na to odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, zmiął słowa w ustach i wypluł żółtawą plwociną, która przepadła w zaspie. Od tego czasu ze sobą nie rozmawiali, choć wiele trafiło się okazji, bo były zaręczyny i ślub. Jeśli teść miał Natali coś do powiedzenia, szukał drogi okrężnej albo mówił do niej i Dyzia, używając zwrotów: „trzeba wam” czy „musicie”. „Trzeba wam jęczmienia posiać”. „Na buraczysku musicie pszenicę zasiać, bo się uda”.

Po tamtej rozmowie Natalia czas jakiś zła była na Wawrzka, przeszło jej jednak. Rozum tłumaczył, że przecież niczego innego się nie spodziewała. Więcej nawet, była przekonana, że Adamczuki nigdy się nie zgodzą na małżeństwo jej i Dyzia. Nie awanturowali się, nie wygrażali, na nową drogę dali błogosławieństwo i piękny obraz Świętej Rodziny. Odpisali Dyziowi kawał pola, podarowali konia i cielną jałówkę, pierzynę, poduszkę, nowiusieńki kozuch i trochę gotowego grosza.

Pomagali młodym małżonkom we wszystkim, niczego poza dobrym słowem nie oczekując. Prawdą było to, co o Mariannie Adamczukowej w Tynczynie mówiono, że złote ma serce. Pokochała Natalę szczerze, tak jakby Dołęgówna była nie synową, a córką. Jeśli Marianna poszła na jarmark i coś Bogusi kupiła, to taką samą rzecz kupowała dla Natali. Bez względu na to, czy chodziło o chustkę na głowę, czy o cebularz, nigdy nie zdarzyło się, by obdarowała córkę, a pominęła synową.

– Toż ja już nie dziecko, podarków nie czekam – powiedziała kiedyś Natalia.

– Ty myślisz, że ja nie wiem? Bardziej dla siebie to robię niż dla ciebie, boby mnie serce bolało, gdyby mi się zdało, że cię ukrzywdziła. Moja matka bardziej kochała Anielcię i wcale się z tym nie kryła. Anielcia była ładna, miła, a ja... Było, minęło, żalu nie mam. Tylko sobie obiecałam, że jak mnie Pan Bóg dziećmi pobłogosławi, to nie będę między nimi różnic robić, nieważne, czy one własne, czy cudze. Teraz ty moje dziecko, tak samo jak Poldek, Bogusia czy Dyzio.

– Jakoś nie widziałam, żebyście Dyziowi słodkie bułeczki z Łaszczowa przynosili.

– Toż on już chłop żeniaty – śmiała się Marianna. – Jak był mały, dmuchałam, chuchałam, pieściłam i dbałam. Teraz twoja kolej.

Tak, z Marianną dobrze się Natali układało, z Dyziem jeszcze lepiej, z Poldkiem i Bogusią wzajemną sympatią się darzyli. Tylko Wawrzek był dla niej taki, jakby ich rozdzielał wysoki mur.

Przez to właśnie, a najbardziej przez tamtą rozmowę, nie chciała im wyznać, co się dzieje. A źle się działo. Przed rokiem wrócił Wojtek. Pieniądze wyszastał, pewnie długów narobił, nie miał gdzie się podziać, to wrócił. Gdyby on tylko wrócił, to pół biedy. Niestety, po swoim zaczął babkę urabiać, przeciw Natali buntować. Jak nie jedno, to drugie przychodziło do niej, zaczynali od słów miłych, pochwał, jaka to dzielna, jaka gospodarna, by zaraz dodawać, że w jednym źle zrobiła – pozbawiła brata ojcowizny.

– Wykorzystałaś zamieszanie w sądzie – mówił Wojtek.

– Przeciw Panu Bogu to było. To grzech – mówiła babka.

– Jakie zamieszanie? Jaki grzech? Co wy wygadujecie? Piliło Wojtka naszą ziemię sprzedać. Nie wzięłabym ja, wzięłby kto inny. W karty by przegrał alboby komornik za długi zajął. Brat mój rodzony, a jakbyśmy z dwóch matek byli, bo tak jak ja tę ziemię kocham, tak on jej nienawidzi. Ja grosz każdy trzy razy w palcach obrócę, jego aż świerzbi, by wydać – tłumaczyła. I co? I jak grochem o ścianę. Wojtek miał swój plan, a babka zbyt była w niego zapatrzona, by pojąć, jaki to zły człowiek. Zły, samolubny i pusty.

Natala miała wielkie szczęście, że spadły jej łuski z oczu i dostrzegła brata takim, jaki był w istocie. Musiała być sprawiedliwa i przyznać, że nie stałoby się to bez udziału Wawrzka, który przyszedł do niej przed trzema laty, dał pieniądze, przez ojca dawno podarowane na posag, i zaklinał, by ziemię od brata odkupiła. Dobrze wtedy, z serca radził. I na swoje szczęście posłuchała. Czemuż później serce do niej stracił i małżeństwu z Dyziem był przeciwny? Nie wiadomo. Natali przychodziło do głowy, że może to przez Wojtka. Nikt rozumny nie chciałby mieć takiej łajzy w rodzinie. Wstyd było pokazywać się na wsi, bo wielu już się na nim poznało i patrzyli na Natalę z wyrzutem, jakby jej to była wina, że ma takiego brata.

Znaleźli się tacy, co żądali od niej spłaty Wojtkowych długów. Nie dziwiło jej to. Brat nie miał skrupułów i pożyczał nawet od najbiedniejszych, którzy, omamieni gładką gadką, oddawali mu ostatni grosz. Gdy docierała do nich własna głupota, gdy zdawali sobie sprawę, że dzieciom od ust odebrali, by

dać Dołędze, który w eleganckiej marynarce przechadzał się po gościńcu, ogarniała ich złość. Złość na siebie, na niego, a na koniec, nie wiadomo czemu, również na Natalę.

– Jak mogłaś pozwolić, by nam to zrobił? – pytały zdesperowane matki. – Patrz na te dzieci głodne.

– To czemuście mu pożyczali? Trzeba było do mnie przyjść, zapytać. Z serca bym wam poradziła psem poszczuć. Nie przyszście do mnie pierw, nie przychodźcie teraz – odpowiadała twardo.

Nie chciała ulegać. Serce jej się krajało, bo wiedziała, ile trzeba pracować na pięć złotych. Spłaciłaby braterskie długi nie ze względu na głupiego chłopca czy babę, która się dała złapać na miłe słówka, ale z litości dla dzieci, w chałupie marznących o kromce postnego chleba. Wiedziała jednak, że gdy raz zapłaci, nigdy nie przestanie tego robić. On będzie prosił, durni ludzie będą mu ulegać, a potem, gdy stanie się jasne, że Wojtek nie odda, będą przychodzić do Natali. Z czasem od razu będą iść właśnie do niej, bo młoda, bo kobieta, bo można huknąć, zakląć, a ona się nie postawi, bo jej nie wypada.

Oddawałaby za niego, gdyby miała pewność, że to zostanie tajemnicą, ale to była wieś. Zawsze znajdą się jakieś oczy, które widziały, jakieś uszy, które słyszały. Żaden sekret nie należał tylko do jednej osoby. Jeśli ludzie nie zechcą go wydać, to nie wydadzą, ale jeśli chcą... Wieść polecą od chałupy do chałupy szybciej niż najsmiglejsza jaskółka. Dotrze do Wojtka i już nie będzie sposobu, by go powstrzymać, będzie pożyczać od każdego, nawet od tych dzieci, co bosa biegają po gościńcu, bo a nuż przypadkiem się trafi, że któreś ma grosz czy dwa.

Tym podstępny sposobem wyciągnie od Natali wszystko, do ostatniej złotówczyny, tak jak wcześniej wyciągnął od babki. Teraz stara w chałupie płacze, a gdy jej się mówiło, by za pazuchę oszczędności schowała, dzień i noc nie spuszczać oka z pieniędzy, to się śmiała.

– Z ciebie, Natalka, podła dziewczucha, to myślisz, że wszyscy podli. Choć ja twoja babka, to ty mnie nie kochasz ani nawet nie szanujesz. Wojtek inny, to dobre dziecko.

Nie omieszkała przypomnieć babce tych słów, gdy staruszka z płaczem przyszła o wsparcie prosić.

– Jakże tak? Z czego ja będę dożywać?

– Wojtka zapytajcie, nie mnie. On dobre dziecko, ja podła jestem.

Jednak gdy złość opadła, Natalia dała babce parę złotych, by tamta miała choć na zapalki, drożdże czy sól. Głupio zrobiła, bo jeszcze tego samego wieczoru Wojtek poszedł do karczmy pić. Za czyje? Ano za Natali pieniądze ciężką pracą zarobione.

I pomyśleć, że kiedy był w wojsku, czekała jego powrotu z taką niecierpliwością, gdy Adamczuk dał jej pieniądze na wykup, korciło ją, by o nich Wojtkowi powiedzieć. Cóż, też była głupia i jak ta mucha na lep dawała się złapać na słodkie słowa brata. Na szczęście to minęło. Porzucenie nadziei bywa czasem wyzwalające i gdy Natalia to zrobiła, zrozumiała nie tylko, jaka jest jego prawdziwa natura, ale również to, że Wojtek się nigdy nie zmieni. Nie czuła już wyrzutów sumienia, gdy nie pożyczała mu pieniędzy, nie spłacała długów, oszukiwała, mówiąc, ile wzięła za cielę czy prosiaka. Zanim wyszła za mąż, oddawała Dyziowi na przechowanie wszelką gotówkę, wiedziała bowiem, że nie ma w chałupie takiego miejsca, gdzie mogłaby bezpiecznie ukryć przed bratem swoje oszczędności.

Szkoda, że sama ukryć się nie mogła. To właśnie, a nie ciąża czy nadmiar pracy, było przyczyną złego samopoczucia Natali. Chciała uciec, schować się, zniknąć. Powrót Wojtka, wbrew pozorom, nie był najgorszą rzeczą, jaka ją spotkała. Zniosłaby i jego zachowanie, i złość ludzi, której z powodu brata doświadczała, wszystko by zniosła, gdyby czuła się bezpieczna. Niestety, Wojtek przyniósł wiadomość, że dawny ich parobek, Jakubek Zięba, dostał robotę nocnego stróża w Mikulinie, i od tego dnia Natalia wciąż trwożliwie zerkała za siebie.

Ze względu na bandy, rejzy, Cyganów i wszelką inną swołocz, włóczącą się po wsiach, napadającą i okradającą porządnych obywateli, władze wydały nakaz, by każda wieś albo zatrudniła stróża, albo wyznaczała nocne patrole. Policja sprawdzała wykonanie tego rozporządzenia, a gdyby się okazało, że jakaś wieś się nie dostosowała, mieszkańcom groziła wysoka grzywna. W Tynczynie chłopcy zgadali się między sobą i po trzech chodzili nocami po gościńcu. Dlatego Natalia mogła spać spokojnie. Tamten roboty nie rzuci, boby mu chłopcy dali, gdyby się okazało, że ich dobytku nie pilnował i na karę wieś naraził. A nawet gdyby się na to powążył, dostrzegliby go tynczyńscy i łomot spuścili, podejrzewając w nim złodzieja.

Jednak w dzień, rankiem czy przed wieczorem mógł tutaj przyjść. Ten i ów Jakubka znał, pił z nim w karczmie, czasem do roboty najmował, dlatego też nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Z Mikulina do Tynczyna

blisko, wystarczy mostkiem przez Huczwę przejść, a dalej już tynczyńskie łąki. Dwie wiorsty i już się jest w samym sercu wsi.

Tłumaczyła samej sobie, że złość tamtego osłabła. Pewnie wciąż żywił urazę, nie mogła jednak być tak wielka, by próbował spełnić rzucane w gniewie groźby. No i po cóż miałby to robić? Czasu nie cofną, ani Jakubek, ani Natała. I przed pobiciem urodą parobek nie grzeszył, złamany nos niczego mu nie ujął. Jedyne, co stracił, to posada i duma, obie przez własną głupotę.

– Na pewno wyciągnął wnioski z tej lekcji – mówiła do siebie. – Nie będzie ryzykował. Przecież to się może skończyć więzieniem.

Uspokajała się na chwilę, niestety, strach powracał. Klepał w ramię i kazał rozglądać się dokoła.

Jesień minęła, przyszła zima, a z nią mrozy tak siarczyste, że zamknęły ludzi we wsi, jakby byli wojami broniącymi oblężonej twierdzy. Ani przejść, ani przejechać nie można było, bo wiatry naniósł śniegu z pól na drogi i usypały zasy na dwa sążnie wysokie. Tylko ktoś, komu życie niemiłe, wyprawiliby się w taką pogodę dalej niż na drugi koniec wsi. Ludzie siedzieli we własnych domach, szukając ciepła pod kapami, pierzynami i kożuchami. Do Natali powrócił spokój, który trwał, choć zima odeszła, bo po roztopach wylała Huczwa, czyniąc drogę z Mikulina do Tynczyna niemożliwą do przebycia.

– Głupiaś – powiedziała do siebie na początku kwietnia. – Zapomniał on o tobie, ty o nim zapomnij.

Prawie się udało. Prawie.

Na przewodnią niedzielę we wsi urządzono zabawę. Młodzież chciała potańczyć, poswawolić, życiem się ucieszyć, wszak czas wielkanocny był oddechem między postem a przednówkiem. Wybrała się Natała z Dyziem na tańce, pierwszy raz szli jako para, po zaręczynach, które urządzono tydzień wcześniej. Była tak szczęśliwa, że widziała tylko życzliwe spojrzenia. Zawistnicy dla niej nie istnieli. Śmiała się, cieszyła, wirowała w tańcu, aż spódnica furczała. Czuła się wolna i tak beztroska jak jeszcze nigdy w życiu.

Wtedy go zobaczyła. Stał oparty o drzewo, ręce trzymał w kieszeniach. Patrzył na nią tak, jak kot patrzy na mysz. Nie chciała już tańczyć, pragnęła uciec do chałupy i schować się pod łóżkiem. Przecisnęła się między tańczącymi, by jak najszybciej znaleźć się na gościńcu. Niestety, parobek stanął jej na drodze.

- Natała! Dawnośmy się nie wiedzieli.
- I dobrze.
- Może i dobrze. Mam ja z tobą niedokończoną sprawę.
- Między nami żadnych spraw nie ma.
- To się jeszcze zobaczy. – W jego oczach błysnęło pragnienie zemsty, a Natali zimny dreszcz przebiegł po plecach.

Od tamtej pory wciąż go widywała. Krążył pod chałupami jak ten wygłodniały pies, zrazu daleko, z czasem coraz bliżej i bliżej. Nabierał odwagi i szukał sposobności. Natała wciąż oglądała się za siebie. Strach, jak trucizna, paraliżował jej ciało. Wpadała w panikę, gdy musiała zostać sama choć na chwilę. A jednocześnie bała się powiedzieć komukolwiek. Zwłaszcza Wawrzкови Adamczukowi. Pierwsze, o co by zapytał, to kto wtedy parobka pobił. Po cóż narobić kłopotów Mikołajowi, Bronkowi, Abramkowi, Józiowi i innym chłopcom? Po cóż sprawić kłopot Dyziowi? Postąpili wtedy szlachetnie, stając w jej obronie, przekroczyli jednak pewną granicę, tak okrutnie bijąc tego człowieka. Pewnie ze strachu, wszak to były jeszcze dzieci. Ona sama też była dzieckiem, sierotą opuszczoną przez ojca i matkę. Parobek nie powinien wtedy mówić, że będą jak mąż i żona. Nawet jeśli żartował. Dziś by wiedziała, czy mówił poważnie, czy głupoty gadał, dziś rozpoznałaby po głosie, spojrzeniu, po gestach. Wtedy była tylko złęczoną, porzuconą dziewczynką.

I żyła tak w strachu, czekając chwili, gdy przyjdzie jej stanąć z parobkiem oko w oko, bez świadków. Dobrze, że przyszła jesień. Zima znów da jej kilka tygodni wytchnienia.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Wawrzka:

- Wszystko dobrze, Natała?
- Zadumałam się tylko. Czas nam się zbierać, zaraz ciemno się zrobi. – Jeszcze gdy mówiła, podniosła się z ławy. Dyzio, choć z wyraźnym ociąganiem, podniósł się również.
- Posiedzieliby wy jeszcze chwilę – poprosiła teściowa.
- Obrządki trza zrobić.
- Choć chwilę, żebym wam sera i bałabuszków spakowała. Tak mi się pięknie ser odgrzał jak nigdy. Zawinę w szmatkę, na kolację sobie zjesz. – Popatrzyła na synową z czułością. – A ty jej pilnuj, huncwocie, bo z sił zejdzie i po babie będzie.

Dyzio zaczął matce tłumaczyć, że żona słuchać go nie chce, ale na jedno

spojrzenie Natali zamilkł.

– Mówię, żebyś pilnował, to pilnuj. – Wcisnęła mu koszyk. – Uważajcie, bo tam na krzyżowych drogach czarny baran wyskakuje.

Dionizy i Wawrzek jednocześnie parsknęli śmiechem.

– Będziecie tak się śmiać, póki go nie spotkacie. Pół wsi go już widziało. Trzeba tam krzyż postawić, bo zły jeszcze komu krzywdę robi.

Wawrzek spojrzał na żonę z mieszaniną miłości i politowania.

– Z ciebie, Marianna, taka mądra kobieta, a czasem takie głupoty gadasz.

– To nie żadne głupoty. Babka gadali, że mój ojciec taki dziwak był, bo w dzieciństwie czarnego barana na krzyżowych drogach spotkał. Tak się przeląkł, że nawet wylewanie jajka nie pomogło.

Mina Wawrzka wyraźnie mówiła, że jego zdaniem Józkowi Połajowi nic nie zdołałoby pomóc, a dziwakiem był nie z powodu barana, tylko dlatego, że szukał usprawiedliwienia dla swojego lenistwa. Jednak nie powiedział ani słowa.

Czule żegnani przez Mariannę, wyszli z ciepłej chałupy Adamczuków na pogrążony w szarości świat. Ruszyli ku drodze, biegnącej przez pola, którą najszybciej mogli dotrzeć do własnego domu.

– Dni coraz krótsze. Tylko patrzeć, jak przyjdą katarzynki i andrzejki. Wesóło się we wsi robi – powiedziała Natalia.

– Mnie to nigdy nie obchodziło.

– Nie wróżyłeś sobie na świętej Katarzyny?

– Po co miałbym to robić?

– Żeby się dowiedzieć, kto ci pisany.

– Przecież dobrze wiedziałem. Od samego początku. Tyś mi była pisana. – I przyciągnął ją do siebie, by z całej siły pocałować w usta.

– Jeszcze kto zobaczy.

– A niech zobaczy. – Szarpnął za poły kożuszka, by go rozchylić. – Tyle lat się ukrywałem z moim kochaniem, teraz już nie muszę.

– Toż to wstyd.

– To zamknij oczy – poradził, całując jej szyję i piersi.

– Takiś niecierpliwy. Poczekaj, zaraz będziemy w domu.

– Nie wytrzymam. – Jedną ręką szarpał tasiemkę żoninej koszuli, druga szukała drogi pod spódnicę.

– Zimno mi będzie.

– Zaraz cię rozgrzeję.

– Odstaw choć koszyk, żebyśmy sera nie zgnetli. – Wciąż nie potrafiła mu się oprzeć.

Może kiedyś, za wiele lat, znudzą się sobie, teraz wystarczyło, że Dyzio spojrział jej głęboko w oczy, zawadiacko się uśmiechnął czy czule pogładził ją po ramieniu, a miękła jak wosk.

– Tyś sobie wróżyła? – zapytał, gdy już było po wszystkim, a Natalia poprawiała zadartą spódnicę.

– Raz czy dwa. Jeszcze kiedy dziadek żył. Później to się wszystko poplątało...

Przez czas jakiś szli w milczeniu. Przerwał je Dyzio.

– Ja myślę, Natalia, że to się musiało tak poplątać, żebyśmy na koniec mogli być razem. Gdyby żył twój dziadek, gdyby matka była na miejscu, to stanęliby nam na drodze, raz dlatego, że jestem gówniarz, dwa, że mego ojca nienawidzili. Ty byś za innego poszła, boby ci kazali, ja może bym się z kim ożenił, ale bez miłości, bo tylko ciebie kocham. Unieszczęśliwilibyśmy wszystkich dokoła i sami bylibyśmy nieszczęśliwi. Może w końcu los by się nad nami zlitował i nas połączył, ale nie byłoby już w nas takiej radości, jaka jest teraz.

Natala przytaknęła. Jakże by chciała móc się cieszyć tą radością. Tymczasem oglądała się za siebie, patrzyła uważnie wokół. Nie czarnego barana z krzyżowych dróg się bała, a dawnego parobka. Czy to on się czai za drzewem? Czy to on wieczorem w okno stuka? Zrobi coś czy tylko straszy?

I czy chce krzywdę wyrządzić Natali czy Dyziowi?

Panie Boże, jeśli ten człowiek ma co złego zrobić, to mnie, a nie memu mężowi. A najlepiej by było, gdybyś coś takiego zrobił, by on odszedł i już nigdy nas nie nękał.

Rozdział dwudziesty szósty



Psiocha to tradycyjna potrawa kuchni lubelskiej. Głównym jej składnikiem są ziemniaki. Należy je ugotować w osolonej wodzie. Po ugotowaniu część wody się odlewa, zostawiając tyle, by ziemniaki nie wystawały. Posypuje się je mąką pszenną, w proporcji mniej więcej dwie kopiane łyżki na kilogram ziemniaków, przykrywa i gotuje przez dziesięć minut. Po zdjęciu z ognia ubija się całość do uzyskania gładkiej, kleistej masy. Można dodać do niej biały ser. Krasie się podsmażoną cebulką albo skwarkami. Taka masa nadaje się również do smażenia placków.

Grudzień 1933

Pietro Matwiejczuk siedział na ławie, odsuniętej pod samą ścianę chałupy. Obok niego synek bawił się w milczeniu wystruganym z drewna ptaszkiem, a w kołysce spała maleńka córeczka. Pietro od czasu do czasu spoglądał to na dzieci, to na Marinkę, która z jego matką filc na filcaki przygotowywała. Matwiejczuki od lat trzymali parę czarnych owiec, a z ich wełny powstawały buty, cieplejsze niż jakiegokolwiek inne. Owce strzyżono wiosną, gdy ciepłe futro nie tylko nie było im już potrzebne, ale wręcz mogło zaszkodzić, bo przegrzane zwierzęta zdychały. Wełnę pakowano do worków, część sprzedawano, bo każdy grosz się przydawał, część trzymano w przewiewnym miejscu, by późną jesienią, gdy wszystkie inne dużo pilniejsze prace zostały wykonane, zabrać się do robienia butów.

Marinka przyniosła worki, a matka sprzątnęła ze stołu, który razem przesunęły na środek izby, tak by z każdej strony był do niego dostęp.

Wyjęły z worka wełnę i cieniutko rozścieliły na stole. Matka pierwsza sięgnęła po bijak, drewniany wałek, tępo zakończony.

– Łupu, łupu, bijaku, tańczujże nam po wojłoku! – zaśpiewała, a Marinka skropiła wełnę wodą.

Matka biła, Marinka skrapiała. Obchodziły dookoła stół, a że przy tym podśpiewywały, wyglądało to, jakby tańczyły niezwykle taniec w rytm uderzeń.

– A pokaż no, Marinka, zlepiony?

Tamta delikatnie podniosła w palcach to, co kwadrans wcześniej było tylko owczą wełną. Cieniutka jak firanka tkanina zafalowała lekko.

– No to składamy – zakomenderowała matka.

Złapały za rogi z jednej strony i z największą delikatnością przeciągnęły je do rogów z przeciwnej. I taniec zaczął się na nowo, tyle że teraz matka skrapiała, a Marinka biła.

– Teraz na kopertę.

Było to trudniejsze. Należało połączyć na środku wszystkie rogi, tak by brzegi się nie rozchodziły, ale i nie nakładały na siebie.

Ubijanie, skrapianie wodą, ubijanie. Metodyczne stukanie zaczynało odbijać się w czaszce w irytujący sposób. Pietro sięgnął po tytoń.

– Tylko na podłogę nie strzepuj – upomniała żona. – Dopierom zamiatała.

– On w ojca się udał. Czy porządek, czy bałagan, za jedno mu było. Co ja się z nim kotów o to nadarłam! Zazdrościłam Teresie Hubowej, bo jej Sawer porządek trzymał. Teraz ona wdowa, ja wdowa – westchnęła matka. – Tak po prawdzie, to czasem bym chciała, żeby się mnie mój stary wrócił, niechby i chlew z chałupy robił, byle był. Samej źle na świecie.

– A my to co? – zachnął się Pietro.

– Wy młodzi. Swoje życie macie, swoje rozrywki, ot co. Pokaż, Marinka, czy to już wystarczy.

Stały nad filcem i z uwagą mu się przyglądały. Trudno było uwierzyć, że ten kawał sztywnego, czarnego materiału jeszcze niedawno był luźną owczą wełną. Matka postawiła kciuk na brzegu i rozciągnęła dłoń, najdalej jak to możliwe odsuwając palec wskazujący. Oparłszy go o materiał, przyciągnęła kciuk. Powtórzyła ten gąsieniczy ruch cztery razy.

– Chwatit – zawyrokowała. – Będzie filcak jak się patrzy. Dawaj prawidło.

Naciąganie filcu na prawidło i formowanie buta było trudną sztuką. Wymagało cierpliwości, spokoju i uwagi, by materiał wszędzie był

jednakowo gruby. Zanim się go zdejmie, jeszcze kilkanaście razy trzeba będzie wodą skropić, by wysechł równomiernie i się nie odkształcił. Gdy wyschną, to takich butów jak filcaki nie znajdziesz – lekkie, ciepłe i twarde. Wystarczy cienka onucka i możesz, człowieku, po najgłębszych śniegach w największy mróz biegać. Jeszcze tylko ochraniacze słomiane potrzebne. Męska to była robota ze słomy długie, jak najdłuższe warkocze upleść, a tak mocno ścisnąć, by zaraz się nie porozłaziły. Z takich warkoczy robiono dzieżki, foremki do chleba, a także i ochraniacze na buty. Żeby się w nich noga lepiej trzymała, sypano do środka sieczkę. Jedni upychali ją porządnie, inni byle jak. Bywało, że gdy kto na drugi koniec wsi poszedł, to cały gościniec słomianymi skrawkami zaścielił.

W tej chwili rozległo się walenie do drzwi. Pietro poczuł, jak jego synek zastygł w bezruchu.

– Dziad? – zapytał, podnosząc na ojca wielkie niebieskie oczy.

– Jesteście w domu, Matwiejczuk?

– Jaki dziad, toż to Wojtek Dołęga – roześmiał się Pietro, a mały się rozpogodził, bo z wielu osób, które do Matwiejczuków zaglądały, Wojtka lubił najbardziej.

Marinka rzuciła mężowi pytające spojrzenie. Abo to ja wiem, babo, za czym on przylazł?, odpowiedział jej w myślach. Wlezie do chałupy, to się przekonamy. I dał znak, by otworzyła.

Wojtek wszedł do izby. Jedną ręką ścisnął kaszkiet, drugą poprawiał włosy. Gdybyś nie wiedział, człowieku, że to chłop, wziąłbyś go za paniczyka z miasta. Nie dla niego były serdaki, półkożuszki, kaftany czy sukmany. Nie dla niego zgrzebna koszula, w pasie przewiązywana, czy proste portki. Nie dla niego wreszcie filcaki. Wojtek miał na sobie marynarkę, pulowerek, koszulę z kołnierzykiem i oficerki. Przez ramię przewiesił płaszcz.

– Niech będzie pochwalony i Boże dopomóż, bo widzę, żeś was przy robocie zastał – powiedział do matki Pietra, jakby tylko ona w izbie była.

– Daj Boże, dziękuję. Co was sprowadza?

– Do Pietra mam sprawę, długo nie zajmę. – I skinąwszy głową, wyszedł.

Są rzeczy, do których człowiek nigdy się nie przyzwyczai. Jedną z nich jest ten okropny moment, gdy z ciepłej chałupy wychodzi się na ziąb. Zaraz szczęki się zwierają, po skórze dreszcz przebiega, ciało sztywnieje. Trzeba chwili, by się przyzwyczaić, bo nawet ciepły kożuch przed mrozem nie chroni.

Stali w ciemności, czekając, aż Pietro upora się z latarką. Wreszcie jej rachityczne światełko zabłyśło w mroku listopadowego wieczoru.

Wojtek uczynił jakiś ruch, ale Pietro nie od razu pojął, że tamten podsuwa mu papierośnicę z gotowymi papierosami.

– Dopierom zgasił – powiedział, choć miał ogromną ochotę, by przynajmniej raz pociągnąć, bo jeszcze nigdy takich nie palił.

– To weź se na później – zachęcił go Wojtek.

Wziąć, nie wziąć? Pietro skusił się w końcu. Ręka lekko mu drżała. Z największą ostrożnością włożył papierosa do kieszeni. Później do pudełeczka z tytoniem, które stało na piecu, schowa. Zapali sobie może w niedzielę po obiedzie, a może dopiero w święta.

– Umówiłem się i jutro Kornelowicz ma być w karczmie – poinformował go Wojtek. – Szykuj się na jutro.

– Bo ja wiem...

– Przecie chcesz tej ziemi.

– A jeśli co pójdzie nie tak?

– Cóż tu może pójść nie tak?

Niby racja.

– Do jutra zatem.

– Do jutra.

Dawno już ucichło skrzypienie Wojtkowych oficerek, a Pietro wciąż stał przed chatą. On pierwszy do pomysłu Dołęgi się zapalił, ale też jego pierwszego ogarnęły wątpliwości.

Rozdział dwudziesty siódmy



Piękny Jaś, stara polska odmiana fasoli, została wpisana na listę produktów tradycyjnych. Jest to fasola tyczna, osiągająca nawet do trzech metrów wysokości. Sadzi się ją między połową maja a połową czerwca, gdyż najlepiej kiełkuje w temperaturze piętnastu stopni Celsjusza. Roślina jest bardzo wrażliwa na zimno, niszczy ją każdy, nawet najmniejszy przymrozek. Najlepiej rośnie w ziemi próchnicznej, wilgotnej. Nie lubi ani zbytniego przesuszenia, ani przelania, słabiej wtedy plonuje. Nasiona ma białe, bardzo duże, lekko spłaszczone. Stanowią bogate źródło błonnika i białka. Piękny Jaś jest doskonały do zup i fasolki po bretońsku. Ponieważ roślina lubi stanowiska słoneczne, a jednocześnie osłonięte od wiatru, można ją sadzić w donicach na balkonach, jako roślinę ozdobną, dającą cień.

Styczeń 1934

Staszka Pomiechowska, jak ten kot stary, grzbiet przy piecu grzała. Od czasu do czasu podchodziła do okienka, chuchała na dłoń i w kwiatkach, co je mróz pięknie na szybie wymalował, robiła kółko, przez które zerkała na podwórze. Czekwała na kolędników. Przyjdą, rozweselą, pośpiewają, życzenia złożą, do poczęstunku siądą i podzielą się wieściami ze wsi, bo przecież w wielu domach byli i wiele widzieli. Straszliwie się Staszce cknęło za nowymi wieściami.

Wszystko przez ten mróz. Jak chwycił na świętego Jana, to za nic puścić nie chciał. Wojskiem swoim, szadzią i szronem, się otulił i stał nad Tynczynem w całym okrucieństwie białego majestatu. Nikogo taka pogoda

nie dziwiła, wszyscy pamiętali mróz, który przyszedł na świętej Łucji i trzymał przez trzy dni, a wiadomo przecież, że każdy dzień między uroczystością tej świętej a Wigilią wróży pogodę na kolejny miesiąc roku. Dlatego mróz nikogo nie zdziwił. Młodym w zabawach nie przeszkadzał, starym pozwalał czas świąteczny spędzić w ciepłych chałupach. Katolicy, którzy do kościoła w Czartowcu iść musieli, radzi byli, że już po świętach, prawosławni liczyli, że do ich Bożego Narodzenia trochę popuści.

– Gdzie tam popuści – powiedziała sama do siebie Staszka. – Jak świat światem na ruską Wigilię najgorsza zimnica.

Zatrzęsło nią, gdy sobie wyobraziła, że jeszcze zimniej być może. Podkładała pod piec, ale cóż z tego? Co ona napali, to przeciąg wywieje. Szczęściem kozuch miała ciepły, na nogach dwie pary wełnianych skarpet, które sama wydziergała, do tego spódnica z barchanu, a pod nią halka flanelowa. W takim odzieniu to nawet z domu można wyjść. Tylko po co? Miała jedną kozę na mleko dla siebie i kilka kurek, to je po drugiej stronie chałupy trzymała, wystarczyło przez sień przejść. Teraz, jak budowali chałupy, to duże, na kilka izb, a zwierzęta trzymali osobno. Chyba że kto był bardzo biedny albo stary jak Pomiechowska, to z inwentarzem mieszkał pod jedną strzechą.

– Mnie się wydaje, że tak to nawet lepiej. Człowiek ma choć do kogo gębę otworzyć. Pies mi zdechł, stary był. Kot się wyrzekł, bo mu mleka było mało. Tylko ta koza została. A mądre to, jakby tę nowo reformowaną szkołę kończyło. – Zgarnęła skórki z jabłka, które na rozgrzanej blasze upiekła, i poszła z nimi do kozy.

Ta na jej widok zarzuciła łbem, przybiegła w róg zagrody i wspięła się na tylne nogi.

– Wiesz ty dobrze, z czym ja przyszłam, co? – Wysunęła dłoń i pozwoliła, by mięciutkie wargi sprzątnęły resztki z jabłka. Koza z ukontentowaniem żuła skórki. Staszka patrzyła w jej złociste oczy i biegnącą w poprzek kreskę źrenicy. – Coś ci kolędnicy marudzą. Pewnie u kogo znacznego siedzą, ciastka jedzą, gorzałkę piją. Dobra to robota. Pośpiewają, poskaczą, a dostają za to jedzenia więcej niż za dzień ciupania buraków. Gdyby nie ten ziąb, poszłabym ja im naprzeciw. Może nawet na chałupy bym poszła. Tyle ciekawego się we wsi dzieje, a ja nic nie wiem. Nic. No ale z mrozem nie ma żartów, wejdzie w kości i już nic go nie wygoni, a gdy przyjdzie jeszcze wiosenna wilgoć, to zmiłuj się, Panie Boże. Nie darmo ludzie mówią: „Byle

starzec przeżył marzec”. – Westchnęła. – Tak niedawno człowiek był młody, a tu starość się przypała. Za młodu to ja do dnia całą wieś obiegłam i wszystko dokładniutko wiedziałam. Później po gościńcu chodziłam. Teraz przy studni siedzę, a i to nie zawsze, bo od twardej ławki stara dupa boli. Ty byś jeszcze chciała? Nie ma już, sianka sobie pojedz. Wiesz ty, że kolędniki buraka na kijaszek wbijają, mordę i oczy kozikiem wystrugawszy, futrem nakrywają i mówią na to „koza”? Zjadłaby ty takiej kozy, oj, zjadła. A jakby się trafił cukrowy, nie pastewny, toby dopiero była radość, co? – Z czułością pogłaskała kozi kark. – Dobrze ci tu, ciepło. Kurki gdaczą, coś tam sobie gadacie, masz towarzystwo. Ja sama siedzę, zdurnieć można. Wiem, że ty wszystko rozumiesz, ale żebyś choć słowem się odezwała. Mogłybyśmy pogadać, bo tak to tylko ja mówię i zupełnie nie wiem, co ty sobie myślisz. Może by ty jakoś łbem kręciła, na tak i na nie?

Z napięciem wpatrywała się w kozę, ale ta, zrozumiawszy, że więcej skórek nie będzie, straciła zainteresowanie Staszka.

– Pomyślałby kto, że się Wojtek Dołęga z Wietką Mazurówną ożeni? Na Boże Narodzenie ślub był, ale mnie nie prosili. Pewnie przez to, co ja Gali jesienią powiedziałam, żeby się w łeb puknęła i dziecka w takie ręce nie dawała. Kajtek rozsądnie się ożenił. On momot, ona cicha jak myszka, oboje już nie najmłodszy, ale robotni, pasują do siebie. Będą sobie wieczorami w izbie siedzieć, ona przędąc, on koszyki plotąc, krzyków czy awantur tam nie usłyszysz. Może im się jeszcze jakie dzieciątko przytrafi, choć patrząc na oboje, to marna nadzieja, tyle w nich ikry, co w tej wypatroszonej uklei. Po co im zresztą dziecko? Nie było z rana orania, niech i po obiedzie nie będzie. Rodzicami się zajmą, rodzeństwo odciążą, a potem wspólnie będą dożywać. Dobrze to małżeństwo, z rozsądku zawarte. Ale Wietka z Wojtkiem? Nigdym Gali o taki brak rozumu nie podejrzewała. Dziewczyna jak kwiatusek śliczna, mogłaby złapać bogatego i nie wdowca, a młodego kawalera. Choćby wdowiec, a bezdzietny, to lepsza partia, tylko młode tego nie widzą, bo je do młodych ciągnie. Tak czy inaczej, mogłaby ta Wietka pójść za chłopca, za jakiego by chciała. Ale żeby za Dołęgę? To ja bym go najgorszemu wrogowi za męża, za zięcia, za szwagra nie życzyła. Pijak, babiarz i oszust. Teraz to ja w chałupie siedzę, to nic nie wiem, ale latem nieraz widziałam, jak się za opłotkami przemykał. Może powinnam była Gali powiedzieć, do kogo on chodzi? – Spojrzała na kozę, by z jej złotych oczu wyczytać, co myśli. – Pewno by nie uwierzyła. Powiedziałyby, że ploty

robię. Zamieszał jej w głowie, tak jak tej biednej Wietce i wszystkim kobitom, do których chodził. Durne te baby, oj durne. Pieniądze mu dają, a on prosto do karczmy idzie, by grać i pić. Dopiero jak przestaje przychodzić, bo wszystko już wyciągnął, baba w płacz. Nieraz widziałam, jak ta czy inna drogę mu przestępowała. Ona, biedaczka, płacze, bo w domu dzieci głodne, a mąż, jak się dowie, to bić będzie, słusznie zresztą, bo na taką głupotę to tylko bat, a Dołęga się śmieje. „Nie dam – powiada – nie mam z czego, nie dam”. To babina, rada nie rada, do Natali idzie. Czemuż do niej? Jak dziewczynę matka opuściła, to nikt się nie ulitował, nikt nie wsparł, tylko o niej jedna z drugą plotkowały. A ta biedna dziewczynina od rana do nocy harowała jak ten wół. Nikt nie pomógł. Jakby nie dzieciarnia i Antek, toby przepadła. A teraz za kolejną do niej idą i zmiłowania proszą? To Natała je namawiała, by Wojtka szczerze obdarzały i pieniędzmi, i dupą własną? Dobrze, że dziewczyna rozum ma, a teraz także mężowskie wsparcie, i goni te swołoczki na cztery wiatry. Gdyby Gala miała ten rozum, co Natała, nigdy by takiej krzywdy swojemu dziecku nie zrobiła. Podobno Pan Bóg rozumu wszystkim równo udziela, tylko nie wszyscy tak samo z tego korzystają. Gala to wcale nie korzysta. Wcale – powtórzyła dobitnie. – Taką piękną dziewczynę dała na zmarnowanie. Wszystko przez Teresę Hubową, tak mi się widzi. Gala do niej biegała, takie kumy się z nich zrobiły. Teresie ciężko, bo przecie ani Aniela, ani Natała usługiwać jej nie będą, to sobie wymyśliła wnuka wyswatać. Żeby zrobić z Wietki służkę. Tak będzie wyglądało to małżeństwo, że Wojtek będzie na baby chodził i do karczmy, a Wietka będzie Teresie usługiwać. Taki to los matka jej zgotowała, właśnie taki. Choć mówiłam, że głupio robi, nie posłuchała. Ty byś posłuchała, co? Pewnie, że byś posłuchała, tyś mądra. Czekaaj, ciasteczko ci przyniosę, bo się tych kołędniczków nie doczekam, a sama jeść nie będę.

Wróciła do izby i już sięgała do glinianej miski, w której leżały amoniaczki, gdy kątem oka dostrzegła ruch na podwórzu.

– Idą! Idą wreszcie! – krzyknęła uradowana i rzuciła się do sieni, by drzwi otworzyć.

Z mroźnym tchnieniem zimy, w obłokach śnieżynek, z pecynami śniegu oblepiającymi buty i powbijanymi w kozuchy, z zapachem mokrej zwierzęcej sierści i ludzkiego potu, z krzykiem i przepychankami, z młodzieńczą radością i szkarłatnymi policzkami, wtoczyli się do izby kołędnicy.

– Mości gospodyni miła, czas, byś nas tu ugościła. A nie bądź ospała, bo

wietrzeje gorzała! – zakrzyknął Mikołaj Kita, dzierżący kozę.

– A tyś nie za młody na gorzałę? – ze śmiechem zapytała Pomiechowska.

– A czy na dobrą siwuszkę czy ładną dziewczuszkę można być za młodym? – odpowiedział chłopak, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

Staszka też się uśmiechnęła i wskazała na stół. Rzucili się na poczęstunek, jakby nigdy nie jedli, choć dopiero co огоłocili stół u sąsiadów. Polewali sobie też gorzałki, a że Pomiechowska miała w chałupie tylko jeden kieliszek, wędrował on z rąk do rąk. I dobrze, wolniej piją, dłużej posiedzą.

– A co tam we wsi? – zapytała.

– Jak to na wsi – odpowiedział Mikołaj.

– Gadają o karczmie?

– Ten i ów gada.

– I co?

– Ano niewiele.

Nie można powiedzieć, żeby takie odpowiedzi zadowolily Pomiechowską. Po to ciastka piekła i gorzałkę, co to ją miała schowaną na najcięższą chwilę, wyciągnęła, żeby się dowiedzieć, że niewiele gadają? Toż tego, co się w karczmie wydarzyło, nikt we wsi nie zapomni. Sto lat minie, a ludzie wspominać będą. Zwłaszcza że cała rodzina Kornelowiczów jakby przeklęta. Albo to i tak było? Któż wiedzieć może? Tyle śmierci, najpierw żona Rządcy, matka Jana i Henryka, zmarła, zanim jej mąż dom zbudować zdążył. Henryk się wyuczył i pod Krakowem osiadł. Wiele o nim nie było wiadomo, ale Zośka kiedyś opowiedziała Staszce, że w przeddzień jego ślubu brat panny młodej rzucił się do Wisły. Jan długo z ożenkiem zwlekał, wreszcie ożenił się z Barbarą, sporo młodszą od niego.

Małżeństwo nie było szczęśliwe. Barbara chorowała i zmarła, osierocając małą Zosię. Jan się rozpił, za Teofilą Lipczewską się uganiał, w końcu wziął sobie za żonę Martę, niewiele starszą od jego własnej córki. Doczekał się z nią syna, ale nie szczęścia. Zmarł, a zaraz po nim umarł ten chłopczyk. Wdowie umysł się pomieszał, zaczęła chałupy na wsi palić. Najpierw Adamczuków, później Ciotki Leonki chatynkę z dymem puściła. Wtedy to deska na Martę spadła i kręgosłup przetrąciła. Akurat w tym jednym wypadku nikt nie miał wątpliwości, że to kara boska, bo Kornelowiczowa ważyła się podnieść rękę na świętą osobę. I to nie świętą w taki sposób, co na przykład taki ksiądz, który tylko udaje, a w poście do dziedzica na kolacyjki z gorzałą lata, wódkę pije i służące po tyłkach klepie, tylko prawdziwie

świętą, całym swoim życiem dającą dowód, że Bóg jest i nad człowiekiem, który mu szczerze oddany, czuwa.

Czuwał On nad Ciotką Leonką, z chałupy kazał jej iść na łąki po zioła, a winowajczyni od razu dał nawidzenie, żeby swój grzech w pełni zrozumiała. Pokutować jej kazał, a straszliwa to była pokuta, bo przecież Marta z głodu w zapomnieniu umarła. Zośce, po śmierci brata, rozum się zmącił. Przepadła, nikt we wsi nie wiedział kiedy i gdzie. Staszka, która szczerze lubiła dziewczynę, wciąż za nią tęskniła i wciąż miała nadzieję, że Zośka wróci. A na koniec, gdy już się wydawało, że wieś o Kornelowiczach zapomniała, pojawił się bratanek Jana i został zgłodzony. Na tyle śmierci i nieszczęść innego wytłumaczenia nie ma, tylko przekleństwo.

– Wiadomo, kiedy rozprawa będzie? – zapytała.

– Gadają, że po Nowym Roku.

– Toż teraz jest po Nowym Roku.

– Znaczy, że już niedługo to będzie. – I przeżuwszy kęs ciastka, Mikołaj zapytał: – Jakże to kolędę wam zaśpiewać?

– Jak mnie trzeba będzie kolędy, to se sama zaśpiewam. I to jeszcze ładniej niż wy, bo skrzeczycie jak te młode koguty. Jam ciekawa, co się we wsi dzieje, a wy nic nie mówicie. Gorzałkę zabiorę i schowam, jak mnie ciekawych rzeczy gadać nie będziecie.

Wymienili między sobą spojrzenia. Wódki była cała butelka. W innych chałupach, jeśli gospodarze częstowali, to tylko jednego czy dwóch najstarszych, gówniarzom żałowano.

– To co chcecie wiedzieć? – zapytał Bronek Lipczewski.

– Wszystko.

– Ale o karczmie już słyszeliście?

– Nic to nie przeszkadza, mów wszystko, wszyściuteńko.

Chłopak odchrząknął.

– Tedy tak to było, że Kornelowicz ziemię dzierżawcy odebrał, jeszcze w zeszłym roku, nie bacząc, że tamten zasiał. Gadał, że tamten oszukiwał na wypłatach i siew będzie jego, bo mu się należy.

Pomiechowska nie bardzo wiedziała, czy bardziej ma ochotę westchnąć ciężko, czy chłopaka w łeb zdzielić. Toż przecież ona to wszystko wiedziała, więcej nawet, miała te wiadomości z samego źródła, tak się bowiem zdarzyło, że Kornelowicza na gościńcu zobaczyła i zapytała, czy on czego o Zośce nie wie. Nie wiedział. Jego zdaniem ktoś ją zhańbił, a później zabił.

Pomiechowska już miała mu rację przyznać, że tak być mogło, gdy tamten dodał, że w tej wsi samo bydło mieszka, na wszystko gotowe. Mimo że początkowo Staszka czuła do tamtego jakąś sympatię, po tych słowach całkiem go znieubiła. Przecie wiadomo było, że tutejsi ludzie wiele serdeczności dla Zośki mieli i nikt by jej nie skrzywdził. Żadnym byłbym też nie byli, tylko porządnymi wierzącymi ludźmi, którzy na co dzień ciężko pracowali. Jak se który chłop chciał ulżyć, to miał od tego własną babę albo narzeczoną, kaleki zaś nikt by nie ruszył, bo to ciężki grzech. To wszystko i jeszcze kilka zdań na temat jego pochodzenia powiedziała Staszka Kornelowiczowi. Nazwał ją durną babą i na tym się skończyło.

– Słuchacie? – zapytał Broniek.

– Słucham, słucham, gadaj dalej.

– Kornelowicz żniwa urządził i to mu dojadło. Myślał, że chłopów do roboty darmo najmie, a od Żydów za zboże weźmie jak za złoto. Babcia moja powiadają, że nie ma gorszego, niż jak się z dziada zrobi pan. I to prawda, wystarczy na tego Kornelowicza spojrzeć. Taki kawał pięknej ziemi, a on nijakiego szacunku do niej nie ma. Ludzi zaś traktuje tak, jakby jeszcze pańszczyzna była. Moja babcia powiada, że pany nas nie szanują i szanować nie będą nigdy, bo my się przeciwko nim i ich wyzyskowi sprzeciwili. Jeszcze za sto lat będą źle mówić o chłopach.

Pomiechowska westchnęła ciężko. Tak rozpolitykowanej kobiety jak Teofila Lipczewska to w Tynczynie nie było i pewnie już nie będzie. Pogadać z nią miło, ale słuchać jej poglądów, powtarzanych przez Bronka, już nie.

– To nie tylko ja wiem, ale my wszystkie we wsi.

Broniek się zasmucił.

– Mów dalej – zachęciła go Pomiechowska.

– Kornelowicz powiedział, że majątek sprzeda, bo mu przyjeżdżać ciężko i drogo to kosztuje. Chłopy nasze się dowiedziały i w te pędy do niego o cenę pytać. On na to, że ukraińskiej swołoczy nie sprzeda, że on jest Polak, katolik, którego obowiązkiem nie dopuścić, żeby polska ziemia szła w obce ręce, zwłaszcza zaś w ręce ukraińskich morderców, splamione krwią dzieci ze Lwowa. I jeszcze dodał, że on dobrze wie o Matwiejczuku, co w OUN-ie działa. Do władz doniesie, żeby zrobiły z tym porządek, zanim rok trzydziesty się powtórzy. Nasze chłopcy tylko się po łbach drapały, aż przyszedł Wojtek Dołęga i powiedział, że on sposób ma. Matwiejczuk się

bał, bo Dołęgi sposób na tym miał polegać, że od chłopów pieniądze weźmie, na siebie ziemię kupi, a potem im odpisze. Durnego trzeba, żeby się na to zgodził, ale widać co poniektórym naszym chłopom rozumu brakuje. Dołęga gadane ma. Samego diabła by sprzedał, i to trzy razy jeszcze przed wschodem słońca. Podobno w karczmie całkiem dobrze ten interes szedł, ale niepotrzebnie poszedł tam Pietro i spółka. Jak ich Kornelowicz zobaczył, to się z miejsca zerwał i do wyjścia pobiegł. A do drzwi kamień na sznurze był przywiązany. Leżał na łacie, pod strzechą, tak że widać go nie było. Ale gdy tamten za drzwi pociągnął, to kamień spadł i prosto w łeb go walnął. Szymon się przeraził, posłał Abramka po sołtysa, a ten zaraz wezwał policjanta z Łaszczowa.

O tym również Pomiechowska wiedziała.

– A ty był tam może?

– Jakże nie był? Za karczmą strumyk i nasz zagon przecie. Mamcia tam len albo konopie sieją. Akurat byłem rybki łapać. Jak usłyszałem krzyki, to w te pędy pobiegłem i wszystkom widział.

– To mów!

Chłopak westchnął.

– Krwi to tam było jak z zarżniętego wieprzka. Kornelowicz bez tchu leżał. Ci, co w karczmie siedzieli, mówili, że tylko nogami strzepnął, że z koguta, gdy mu łeb utną, życie dłużej uchodzi. Szymon i Antek Hub stali nad nim i mieli baczenie, żeby nikt z karczmy nie wyszedł. Dołęga prosił, żeby im wódki dać, bo to grzech ludzi w karczmie trzymać o suchym pysku. Wtedy Antek tak na niego huknął, że nieszczęście się stało, a Wojtek wstyd rodzinie przynosi, żeby siedział cicho, bo jeszcze jedno słowo, a będzie tu na ziemi obok Kornelowicza leżał.

No proszę. Zawsze się człowiek może dowiedzieć czegoś nowego, bo tego, że Antek siostrzeńcowi groził, nikt dotąd Staszce nie powiedział.

– Co było dalej?

– Niewiele. Czekali my.

– A jak wy się doczekali?

– To przyjechał policjant i pytał, co kto widział. Mnie też pytali, ale ja nic nie widział, bom przyleciał, dopiero jak się rwetes zrobił. Zresztą nikt niczego nie widział. Chłopy siedzieli w karczmie, gadali, Kornelowicz był z Wojtkiem Dołęgą. Policjant powiedział, że to ktoś z zewnątrz musiał zrobić, śledztwo będzie i sąd.

- To wiem. Nie wiem tylko, kiedy ten sąd.
- Powieśki przyjdą, to wszyscy będą wiedzieli. Dołęga ma zeznawać, jego stryj, Natała...
- A czemuż Natała?
- Bo ona zeznała, że widziała mordercę. Podobno to ten ich dawny parobek.
- Ten, co do wnuczki Krzywej Józki chodził i miał się na wiosnę żenić, jakże mu tam, Jakubek?
- Ten sam.

Ludzie, ludzie, co się na tym świecie wyrabia. Pomiechowska znała przecie i Józki, zwaną Krzywą, ze względu na nogę, która, złamana w dzieciństwie, źle się zrosła, choć ojciec dziewczyny nie skąpił ani na doktora, ani na znachora. Szczęściem Józka miała pod dupą dziesięć morgów, to za mąż poszła szybciej niż niejedna na obie nogi zdrowa, przebierając wcześniej w kawalerach jak w ulęgałkach. Małżeństwo tak było udane, że na świat przyszło dzieci pięcioro i z majątku niewiele zostało. Dlatego też wnuczka Józki nie kręciła nosem na chłopaka, który, było nie było, posadę miał. I uważanie też, bo przecie stróż nocny to nie byle kto, bezpieczeństwo całej wsi w jego rękach.

Czasy takie nastąpiły, że złodzieje grasują, bandy rozmaite tylko czekają, by ludzi złupić. Kto by za cara pomyślał, że takie terminy nastaną, gdy rząd ustawą nakazywać będzie ludziom, by nocą swych obejść strzegli? Taki stróż to był ktoś i Krzywa Józka z radością opowiadała, jak to wnuczka go zapoznała na zabawie odpustowej w Nabrozu. Brzydki był, nos miał złamany, ale podobno dobry i mocno zakochany. A tu taka sytuacja. Wnuczka Józki pewnie oczy wypłakuje. Jak to mawiają starzy ludzie, beczkę soli zjesz, a człowieka nie poznasz. Czemuż on na życie Kornelowicza nastawał?

- Wiadomo, czemu on to zrobił?
- Bronek wzruszył ramionami.
- Gorzałka się skończyła i kolędnicy patrzyli pytająco jeden na drugiego, wreszcie Mikołaj nieznacznie skinął głową w kierunku drzwi.
- A posiedźcie jeszcze chwilę – poprosiła Staszka, ale oni już coraz bardziej nerwowo się kręcili.
 - Nie wy jedna we wsi. Jeszcze parę chałup na dziś nam zostało, a dzień krótki.

- Toż wy i wieczorem kolędować możecie.
- Wieczorem to oni do umarca poleżą.
- Do jakiegoż znowu umarca? – zdziwiła się Pomiechowska.
- A do Mazurowej.

Staszkę aż skurcz bolesny za serce złapał, bo czegoś takiego się nie spodziewała. To oni tu siedzą, jej wódkę piją, ciastka zjadają i gadają o tym, co już od dawna wie, a o czymś tak istotnym to się żaden nawet nie zająknie? Gdyby nie przypadek, dalej siedziałyby w izbie, nic nie wiedząc. Normalnie jakby ślepa i głucha była.

- A która to Mazurowa umarła? Młoda czy stara?

Jakże ich rozbawiło to pytanie.

– Jakby wy z chałupy wyszli, toby raz-dwa wiedzieli, że młodej nic nie jest. Tak się w chacie starej Hubowej z Wojtkiem kłóci, że aż strzecha się podnosi. Młoda zdrowa. Jedyne, co jej stać się może, to chrypka.

– Gala umarła? – Choć wiadomość o kłótniach młodych małżonków była ciekawa, to jednak wieść o śmierci Mazurowej stokroć ciekawsza.

- No umarła. Dziś rano.

– Toż ona niestara była i silna w sobie. Chorowała?

– Gdzież tam chorowała. Zdrowa była. Do obory biegła krowie siana podrzucić i padła jak gromem rażona. Powiadają, że żyłka jej w głowie pękła.

- Kto tak powiada?

– No jakże kto? Doktor.

– To Kajtek doktora zawołał?

– Jadźka. Jak Gala w śnieg bachnęła, Wieta krzyku narobiła i młode Mazury przybiegły. Jadźka kazała Kajtkowi do izby matkę zabrać, a sama w te pędy przez śniegi do Wawrzka pognała, ten do sań zaprzągł, do Łaszczowa pojechał, doktora przywiózł.

- I co? – drążyła Staszka, choć tamci już w drzwiach stali.

– Nic.

– No ale co ten doktor powiedział?

– To, co my już gadali, że żyłka jej w głowie pękła.

– I co jeszcze?

– To, że nam iść już trzeba, a wy, jakeście ciekawi, to idźcie se do Mazurów, tam pytajcie.

Jeden po drugim, jak te kaczęta, co gdy poczują wodę, z podwórka się wymykają, opuścili izbę. Trzasnęły drzwi, na podwórzu rozległo się

skrzypienie śniegu pod butami i śmiech, w którym wyraźnie słyhać było pijackie nuty. Po chwili ucichło i to. W izbie został tylko zapach mokrych kozuchów i plamy roztopionego śniegu na klepisku.

– Też mi kolędnicy! Tylko wódkę wypili i poszli. Nawet *Przybieżeli* nie zaśpiewali – sarkąła Staszka. – Łobuzy, nie kolędnicy. Pijaki, choć to jeszcze dzieciarnia, a już pijaki. Człowiek niczego się nie dowiedział.

Westchnęła ciężko.

– Na to wypada, że jednak trzeba mi z chałupy wyjść. Byle u Mazurowej ciepło było. Pewnie nie napalą, żeby trup się nie psuł. Też pomyśl, w taki mróz umierać! Żyłka w głowie pękła? Jak życie moje, czegoś takiego nie słyszałam. Że serce stanie, to bywało, u chłopów zwłaszcza, jak piją i nerwowi są. Ale żyłka w głowie? Pewnikiem coś pokręcili, gamonie. Okutam się dobrze i pójdę. Sama się wszystkiego porządnie dowiem. Przecie nie muszę długo siedzieć. Jeden różaniec powinien wystarczyć. Może dadzą ciepłej arbaty? Jak dadzą, to dłużej posiedzę, jak nie, to pacierz zmówię i do chałupy wrócę. Byłem tylko nie zachorowała. E, źle nie będzie. Zachowa mnie miłościwy Pan Bóg w zdrowiu, bo jakbym ja zmarła, to nikt już nie będzie wiedział, co się we wsi dzieje.

W miejscu na szybie, gdzie zrobiła kółko, mróz na nowo namalował kwiatki. Mniejsze były i delikatniejsze. Starła je i spojrzała na biały świat, który nie zmienił się ani na jotę.

– Ciekawam wiedzieć, czy ja też mam taką żyłkę w głowie?

Rozdział dwudziesty ósmy



Miód fasolowy to obecnie jedna z większych kulinarnych ciekawostek Roztocza. Jedną z popularniejszych upraw w tym rejonie jest fasola, a pszczoły chętnie korzystają z dużych obszarów, na których wysiewana jest ta miododajna roślina. W postaci płynnej miód fasolowy ma barwę słomkową, a po skryształowaniu staje się biały. Charakterystyczny jest jego mało słodki, lekko kwaskowy smak oraz kwiatowy, bardzo intensywny zapach. Wzmacnia układ odpornościowy, działa wspomagająco na pracę serca, łagodzi dolegliwości ze strony układu pokarmowego, przyspieszając regenerację mikroflory bakteryjnej.

Lipiec 1934

Grafitowy półmrok spowijał ulice miasta. Było cicho, takiej ciszy Pietro nigdy w całym swoim życiu nie doświadczył. Nawet w te najskwarniejsze letnie dni, gdy ptaki milczą, bo im w gardłach zaschło, a rozgrzane powietrze stoi w miejscu i ani gałązka, ani kłosek zboża nie drgnie, usłyszysz dźwięki mącącej ciszę. Bo to kwoka zapyta, czy dzieci nie głodne, a to krowa stęknie, koń zarzy, kocur uradowany słońcem zacznie mruczeć, wystawiając bandzioch na promienie słoneczne. Ta cisza, której tu doświadczał, była absolutna. Cisza i pustka, bo nikogo na ulicach nie było, jakby mieszkańcy uciekli albo wymarli. Zagubiony Pietro rozglądał się wokół, nie do końca wiedząc, gdzie jest ani w którą stronę pójść powinien. Za węglem kamienicy, przypominającej te, które otaczają zamojski rynek, tylko mniej kolorowej, ktoś stał. Szary cień tańczył na murze. Pietro ruszył w tamtą stronę.

Gdy podszedł bliżej, zorientował się, że to dwa cienie przytulających się

osób. Nagle odskoczyli od siebie, pewnie usłyszeli kroki. Zatrzymał się, niepewny, czy iść dalej. Czuł w powietrzu tę samą woń, która unosi się w chałupie, gdzie leży umarły, zapach sprawiający wrażenie, jakby ciało nie psuło się, lecz butwiało niczym stare drewno.

Dreszcz przeszedł mu po plecach. Mężczyźni, których cienie widział, zbliżali się do niego. Mieli na sobie długie płaszcze i kapelusze. Jeden wysoki, postawny, drugi kurdupel. Rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, niezrozumiałe słowa odbijały się echem od ścian kamienic. „Musisz na nich poczekać, tak było umówione”, odezwał się w jego głowie głos Wojtka Dołęgi. „A jeśli co pójdzie nie tak?”, zapytał. „Cóż tu może pójść nie tak?”, odparł tamten.

Niby racja. Nagle Pietro przypomniał sobie, że ma przy sobie świecę. Gdy sięgał do kieszeni, uświadomił sobie, że też ma na sobie długi płaszcz. Wyjął świecę i zapalił. Płomyk drżał delikatnie; coraz to się wydłużał, rozjaśniając ulicę dalej i dalej. W jego kręgu znaleźli się mężczyźni i Pietro wreszcie ich rozpoznał. Ten wyższy był to sam Stepan Bandera, kurdupel zaś – Adolf Hitler.

Bandera skinął na Pietra.

– Czas już, Hrihoryju – powiedział, wciskając mu w rękę paczkę owiniętą w szary papier. – Zrób wszystko tak, jak było ustalone.

Hitler uśmiechnął się tajemniczo, odgarniając grzywkę, która mu spadła na oczy.

– To pomyłka. Mnie na imię Pietro.

Tamci zamarli. Patrzyli na niego zdeorientowani.

– *Der Spitzel?* – zapytał Hitler.

Bandera przecząco potrząsnął głową.

– To nasz, to Hrihoryj – zapewnił, po czym zwrócił się do Pietra. – Zbijesz tę szklaną rurkę i ciśniesz w niego jak kamieniem. A potem chodu.

– Nie jestem...

Tamci zniknęli, jakby rozplynęli się w mroku. Świeca zgasła i widać było tylko dwa jasne punkty w oddali. Pietro uświadomił sobie, że to światła auta, wyraźnie słyszał warkot silnika.

Chciał uciekać, ale nie mógł, stał jak ten kołek w płocie.

Auto zahamowało tuż przed nim, drzwi się otworzyły i wysiadł mężczyzna czterdziestoletni, o twarzy pociągłej, topornej, dużym nosie z szerokimi nozdrzami i wąskich ustach, których opadające kąciki nadały jej,

w połączeniu z uniesionymi brwiami, wyraz wiecznego zagniewania. Wygląda jak spasiony borsuk, pomyślał Pietro.

– Zejdźże z drogi. Ot, ukraińska swołocz – odezwał się tamten. A gdy nie było reakcji, dodał gniewnie: – Jam jest minister Pieracki.

Wiem, kim jesteś, chciał odpowiedzieć Pietro. Zamierzał mu wypomnieć wszystkie działania przeciw Ukraińcom, ale nie mógł. Miał sucho w ustach, językiem nie dało się ruszyć.

– Zejdźże z drogi, chamie! – powtórzył minister.

Pietro cofnął się odruchowo. Czuł gniew na tego człowieka, będącego jednym z największych wrogów narodu ukraińskiego, czuł też gniew na siebie, że w tym momencie, gdy mógł coś zrobić, nie robił nic, tylko stał. Żeby stał! On się cofnął, zgodnie z rozkazem polityka.

Wtedy przypomniał sobie o paczce. Próbował złamać w rękę szklaną rurkę, ale się nie udało. Cisnął więc paczką w ministra, a ten zaniósł się śmiechem.

Wtem z ciemności wyskoczył jakiś mężczyzna. Pietra ogłuszył huk strzałów. Pieracki rozejrzał się zdziwiony, zrobił krok do przodu, zachwiał się i upadł. Z jego głowy krew płynęła tak szybko, że pokryła się białą pianą jak woda w rzece w czas roztopów. Tej krwi było coraz więcej i więcej. Oniemiały szofer przyglądał się Pietrowi, a ten stał, patrzył na wzbierającą krwawą kałużę, która sięgała mu już do kostek.

– Uciekaj! – Ktoś szarpnął go za ramię i zmusił do zrobienia kroku do tyłu.

W tej chwili spieniona krew podniosła ciało Pierackiego i odwróciła twarzą ku górze.

– To nie minister, to Kornelowicz.

– Jakie to ma znaczenie? Też sobie zasłużył – powiedział ten ktoś z tyłu. Pietro poznał po głosie, że to Wojtek Dołęga.

– Tyś go zabił?

– Kogo?

W tej chwili krew sięgała Pietrowi już do pasa. Chciał uciekać, ale nie mógł, był jak skamieniały. Krew znowu się podniosła i zaczęła wlewać mu się do ust, które tak zdrętwiały, że nie mógł ich zamknąć. Próbował ją wypluwać, ale bezskutecznie. Poczul w żołądku gwałtowny skurcz, później drugi.

W tym momencie Pietro zdał sobie sprawę, że to sen. Zerwał się z łóżka, ale do drzwi nie dobiegł. Pochylił się nad szaflikiem stojącym pod piecem i zwymiotował.

Kłęczał na środku chałupy i próbował uspokoić szaleńczo walące serce.

– A tobie co? – zapytała Marinka.

– Coś mi poszkodziło – odburknął.

– Toż wszyscyśmy to samo jedli, a tobie poszkodziło?

– Pewno skórka do kiszek mi się przykleiła.

– Może tak być. – Uspokojona takim wytłumaczeniem, odwróciła się do ściany i sądząc po równym oddechu, momentalnie zasnęła.

Pietro z trudem dźwignął się na nogi. Jakbym był starcem, pomyślał. Podszedł do pieca, na którym trzymał woreczek z tytoniem. Wziął go i wyszedł przed chałupę. Usiadł na ławce, głowę oparł o ścianę.

Noc była przyjemna, jak to pogodna noc lipcowa. Po skwarnym dniu otulała wilgotną rzeźkością, ale bez tego chłodu, którym podszyte były noce w sierpniu. Na bezchmurnym niebie migotały gwiazdy. Wiszący nad chatą Pomiechowskiej sierp księżyca wyglądał tak, jakby koniuszkiem zaczepił o strzechę i teraz nie mógł się wznieść wyżej. Świerszcze grały swoje skrzypiące piosenki, które dotąd sprawiały wrażenie radosnych, a dziś wydały się Pietrowi smutne i niespokojne.

W tytoniu namacał papierosa, poczęstunek od Dołęgi. Wzbudziło to gniew Pietra, jakby ów papieros winny był koszmarnych snów, od miesiąca wciąż go nawiedzających.

Po morderstwie, którego ofiarą padł Kornelowicz, Matwiejczuka ogarnęło okropne uczucie całkowitego bezwładu. Straszny był ów widok zgładzonego człowieka, który dosłownie umarł na jego oczach. I jeszcze ta krew, strzępki mózgu, kawałki kości. Jeśli żyje się na wsi, każdego dnia widzi się śmierć. Mało tego, samemu ją się zadaje. Walisz trzonkiem noża rybom w głowy, obcinasz łby kurom, podrzynasz świńskie gardła, więc wydaje ci się, żeś odporny, twardy jak to drewno dębowe.

Angażujesz się w działania niepodległościowe, mówią ci, że trzeba będzie walczyć, zabijać, a ty na to przystajesz, bo przecież zabijać wrogów własnego narodu to betka. Nagle jednak los stawia cię oko w oko ze śmiercią i uświadamiasz sobie, jaki jesteś miękki. Jak ten ślimak pozbawiony skorupy. To zrozumienie własnej słabości i nieprzydatności dla ukraińskiej sprawy przeraziło Pietra bardziej niż myśl, że może zostać oskarżony o zamordowanie Kornelowicza.

Męczyło go to, tak jak męczy zgaga. Ogień niechęci do samego siebie wypalał od środka. Nic nie cieszyło, ale i zmartwić nic nie było w stanie.

Gdy w połowie czerwca gazety napisały o zabójstwie Pierackiego, Pietro odebrał to jak policzek. Okazało się, że ktoś, nie dbając o własne życie, był w stanie zgładzić zapiekłego wroga narodu ukraińskiego. Pieracki dołączył do Hołówki. Niech im ziemia ciąży, niech się smażą w piekle. A ci, co jeszcze żyją, niech już portkami trzęsą, bo... Bo znajdą się odważni synowie ludu ukraińskiego, do których ty, Pietro, nie należysz.

Po zamachu przeczytał każdą wzmiankę w gazecie, każdy strzęp informacji, które docierały tajnymi drogami do członków OUN-u, chwycił jak wygłodniały pies ochłap mięsa. Nigdy nie był w Warszawie i pewnie nigdy nie będzie, ale nauczył się na pamięć wszystkich nazw ulic, o jakich wspomniano – Foksal, Nowy Świat, Kopernika. W wyobraźni widział siebie, jak strzela, wyprowadza w pole pościg, znajduje kryjówkę. Wyobrażał sobie szacunek, jakiego dostępuje. Jak dziecko, co myśli o nowej zabawce, jak panna, co wyobraża sobie ślicznego kawalera, tak i on marzył. Niegodne to dorosłego człowieka, który zamiast roić, powinien czynem dawać znak swojego zaangażowania dla sprawy niepodległości.

– Czynem – powiedział na głos. A po chwili krzyknął: – Czynem!

Obudzone psy zaszczekały gwałtownie jeden przez drugiego. Chwilę trwało, nim się uspokoiły, umilkły. Wieś na powrót spowiała cisza.

Pietro wiedział, że jeśli zaśnie, znów będzie śnić to samo. Nie to samo, za każdym razem sen zdawał się inny, ale tego samego dotyczył. Była śmierć, krew, a on, Pietro, stał jak sparalizowany.

Kiedy jakiś czas temu pytano go, czy chce bardziej się zaangażować, zawahał się. Wyruszyć nie wiedzieć gdzie, porzucić żonę, dzieci, chałupę własną? Przecież strzelać umie, jak przyjdzie co do czego, to za broń chwyci, myślał. Śmierć Kornelowicza uświadomiła mu, że człowiek nie zna siebie, dopóki nie zostanie poddany próbie. On zawiódł i gdyby przyszło do walki, mógł zawieść jeszcze bardziej. Chyba że...

– Ukraina potrzebuje mnie bardziej – powiedział do żony, choć nie mogła słyszeć jego słów.

Spojrzał na swoją chałupę, tak jak patrzy się ostatni raz na ukochaną osobę. Wróci tu, ale nie jako Pietro Matwiejczuk, strachajło, który śmierci polskiego ścierwa się przestraszył. Wróci jako wojownik, ktoś na miarę hetmana Bohdana.

W ciemności nad łąką mignęły światełka. Może to były świetliki, a może ogniki, które pojawiały się tam, gdzie ziemia pękała, wyzwalając metanowy

oddech. Z daleka trudno było rozpoznać.

Rozdział dwudziesty dziewiąty



Radośnie jest żyć i walczyć w kraju, gdzie wielki rozum Partii i żelazna wola jej wodza Józefa Stalina na zawsze wyzwalają człowieka z przeklętych nawyków i przesądów przeszłości. Żyjcie zgodnie, towarzysze, kochajcie swoją drugą matkę, naszą potężną ojczyznę socjalistyczną.

„Prawda” nr 160, 11.06.1935

Związek Radziecki, czerwiec 1936

Grzegorz! Grzegorz! – Weronika krzyczała, jak mogła najgłośniej. – Grigorij!

Zgromadzeni na dworcu ludzie z obojętnością patrzyli na krzyczącą kobietę. Wygoniono ich w nocy z domów, grożono karabinami. Wielu nie dotarło na peron, zostali zastrzeleni po drodze. Okazanie zainteresowania obcą kobietą było niebezpieczne.

Sołdat szarpnął Weronikę za ramię. Przestraszona Wandzia zaczęła płakać. Nadia wczepiła się w matczyną nogę, jakby nie była dzieckiem, a dzikim zwierzątkiem.

– Zostawcie nas. Jestem... – zawahała się. – Jestem żoną towarzysza Grigorija Lesiuka.

– Nie znam tego towarzysza. – Na kamiennym obliczu żołnierza nie drgnął ani jeden mięsień.

– To zapytajcie o niego. Wyjechał kilka dni temu.

– A, wyjechał.
– To nie tak, jak myślicie.
– Ja nie jestem od myślenia, ja jestem od wykonywania rozkazów. –
Roześmiał się, ukazując białe, równe zęby. Jego śmiech umilkł jak ucięty
nożem. Oblicze na powrót skamieniało. – Wsiadajcie do wagonu.

– Gdy mąż się o tym dowie, będziecie mieli kłopoty.
Podszedł do nich inny żołnierz, dotąd stojący obojętnie przy drzwiach
wagonu.

– No co? – zapytał.
– Ot, bładź – usłyszał w odpowiedzi.
Odwrócił się do Weroniki.
– Wsiadajcie, czasu nie ma.
– Powiedziałam już, że nigdzie nie jadę. Mój mąż jest znanym
towarzyszem. To Grigorij Lesiuk. Wyjechał na kilka dni, a mnie wzięto przez
nieporozumienie.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że popełniła błąd, wychodząc z domu.
Nie należało tego robić. Była skołowana, zmęczona opieką nad Wandzią, no
i zamartwiała się o Grzegorza. Gdy tamci wtargnęli do mieszkania, robiła
wszystko, co kazali. Głównie przez wzgląd na dziewczynki – nie chciała, by
się przestraszyły. To znaczy Nadia, bo Wandzia była zbyt mała, by
zrozumieć, co się dzieje.

Właściwie Weronika też nie rozumiała, co się dzieje. Dlaczego po nie
przyszli? Czemu zabrali na dworzec i kazali wsiadać do pociągu? I gdzie, do
cholery, jest Grzegorz? Powinien tu być, wyjaśnić to nieporozumienie
i zabrać je do domu.

A może on gdzieś tu jest, tylko nie może ich znaleźć w tym tłumie?
– Grzegorz! – krzyknęła.
Kolba karabinu tylko śmignęła. Weronika poczuła ból brzucha, zanim
zrozumiała, co się stało. Upadła na kolana. Wtedy go zobaczyła. Biegł do
niej, roztrzając ludzi.

– Grzegorz! – krzyknęła.
Ktoś szarpnął ją za ramię.
– Obudźcie się, moja Lesiukowo.
Otworzyła oczy. Pochyliła się nad nią pani Jurkiewiczowa.
– Krzyczeliście przez sen – wyjaśniła. – Dzieci tylko niepotrzebnie
straszyacie.

– Śniło mi się, że Grzegorz przyszedł na peron.

– Wy wciąż swoje?

Weronika odwróciła głowę. Nie chciała się wdawać w spór z tamtą. Maria Jurkiewiczowa, sześćdziesięcioletnia nauczycielka języka polskiego, wdowa po Stefanie Jurkiewiczzu, lekarzu rozstrzelanym za szpiegostwo, nie znała Grzegorza Lesiuka i niczego o nim nie wiedziała. Na dodatek, choć swoje małżeństwo wspominała jak najlepiej, o związku Weroniki wyrażała się źle.

– Gdyby on cię naprawdę kochał, toby nie zostawił – tłumaczyła.

Początkowo Weronika twierdziła, że Grzegorz ich nie zostawił, tylko po prostu nie wie, gdzie ona jest.

– Szuka mnie. Nas szuka. Gdybyście go zobaczyli z dziewczynkami... To wspaniały ojciec, nigdy, nigdy by ich nie porzucił.

– Skoro tak, to pewnie zobaczymy go tu lada dzień – odpowiadała Jurkiewiczowa takim tonem, że Weronika prawie traciła nadzieję.

Prawie. Bo na szczęście miała wspomnienia. Zamykała oczy i je przywoływała.

– Polska to nędzny kraj, skarłały pod każdym względem – mówił Grzegorz. Był jesienny wieczór, a oni siedzieli w jej chałupie w Tynczynie. – Odzyskanie niepodległości niczego nie zmieniło, szlachta dalej jest szlachtą, a chłopci i robotnicy pracują na tych darmozjadów. Mieliśmy szansę w roku dwudziestym stać się częścią czegoś pięknego i nowoczesnego, jedyne w swoim rodzaju braterstwa ponad granicami i narodowościami, braterstwa ludzi pracy, ale ją zaprzepaściliśmy. Każdy, kto w dwudziestym szedł walczyć, jest winien obecnej sytuacji, a będzie jeszcze gorzej, bo kapitalizm polega na wyzysku. Naród rosyjski, którego nasza szlachta od wieków kazała nam nienawidzić, okazał się daleko bardziej światły. Zrozumieli, że ludziom jest dobrze tylko tam, gdzie panuje równość, i tę wspaniałą ideę wcielili w życie. Chciałbym, by stało się tak też u nas, ale to niemożliwe. Dwie grupy społeczne, żyjące z wyzysku, nigdy na to nie pozwolą. Jedną z nich jest nasza szlachta, drugą żydostwo.

– Musimy o to walczyć.

– Przecież walczymy. I to nie tylko słowem, ale i czynem. Są strajki. Cóż z tego, skoro łupi nas policja, a nasza działalność uznawana jest za nielegalną i karze się za nią więzieniem? Więzieniem! I za co? Za to, że uznajemy postanowienia traktatu z Wersalu za krzywdzące i niesprawiedliwe. Bratni naród niemiecki ograbiono, każe mu się żyć w nędzy i za co? Za to tylko, że

ich szlachta, ich hrabiowie wymyślili sobie wojowanie. Z jakiej przyczyny? Bo ktoś tam gdzieś zastrzelił bratanek. Tyle że nie był to zwykły bratanek, a cesarski. Czy ty myślisz, że za chłopskim ktoś by się ujął? Nie. Ale za cesarskiego miliony ludzi musiały zginąć, a na koniec uznano, że wszystko to wina Niemców, ograbiono ich ze Śląska i Pomorza i prostym robotnikom kazano spłacać olbrzymie długi. Kto weźmie te pieniądze? Otóż szlachetnie urodzeni Francuzi i Anglicy. Ich kieszenie się wypełnią. A nasza szlachta temu przyklaskuje, naiwnie myśląc, że coś im skapnie. To nasza szlachta blokuje przyłączenie województw wschodnich do ZSRR, a przecież tam właśnie jest nasze miejsce. – Westchnął. – Ty nawet nie wiesz, jak ja pragnę żyć w tamtym, lepszym świecie.

– To wyjedźmy tam – rzuciła Weronika.

Spojrzał na nią, jakby uchyliła drzwi, o których myślał, że są zamknięte na siedem spustów.

– Ale jakże to?

– Zwyczajnie. Mnie nic tu nie trzyma. Dzieci prawie dorosłe, dadzą sobie radę, matką brat z bratową się zajmą. Twoja matka przy twym bracie zostanie. Możemy wyjechać choćby dziś.

– Jak to się rozniesie, mogą nas aresztować...

– A czemuż miałyby się roznieść? Musimy komu o tym mówić?

Jeszcze szerzej otworzył oczy, a chwilę później jakby się zapalił. Zaczął mówić szybko i chaotycznie planować, namiętnie całował Weronikę, obiecując jej szczęście, o jakim nie miała pojęcia, w tym rajku na ziemi, którym jest Związek Radziecki.

Nie czekali nawet dnia dłużej, niż to było potrzebne. Weronika wzięła tylko pieniądze, a i to bardziej z myślą o podróży niż na zapewnienie sobie życia tam, dokąd się udawali. W tym cudownym kraju niczego nikomu nie brakowało, nie było sensu zabierać ze sobą niepotrzebnego obciążenia.

Grzegorz miał swoje kontakty, dzięki którym udało im się przekroczyć granicę. Udali się w kierunku Żytomierza, na południe wołyńskiej republiki, do Polrajonu, którego sercem był Marchlewsk.

Przyjęto ich z szeroko otwartymi ramionami. Zaraz znalazł się dach nad głową i miejsce pracy. Zaprzyjaźnili się z mnóstwem osób. Wieczorem ich izbę wypełniał tłum chętnych do słuchania, jak bardzo źle jest w Polsce. Weronikę trochę dziwiło, jak bardzo wypaczone wyobrażenie o tym, co dzieje się jakieś sto pięćdziesiąt wiorst dalej, mają tutejsi ludzie. Widzieli oni

Polskę jako kraj więzień i szubienic, na których za byle przewinienie można zawisnąć. Kraj niewyobrażalnego głodu, przez który dzieci umierają tysiącami. Kraj zacofania, gdzie nie ma szkół, a z wyjątkiem „burżuazji” nikt czytać nie umie. Kraj, gdzie ludzie mieszkają w norach.

Jakież to przewrotne – ta myśl wyrwała ją z rzeki wspomnień. Z przyzwoitej szalowanej chałupy w tym okropnym kraju, jakim według mieszkańców Marchlewszczyzny była Polska, Weronika przeniosła się do ziemnej nory w kraju, który według nich był rajem.

Nie myśl o tym, gdzie jesteś, myśl o tym, gdzie byłeś. Wtedy, w dwudziestym ósmym i jeszcze z rok czy dwa później, gdy wszystko wyglądało cudownie. Były szkoły, oświata, własna gazeta, spotkania, dyskusje o tym, jak świat zły odmienić.

Przypomnij sobie to wszystko. I jeszcze jak cię Grzegorz na rękach nosił, gdy mu powiedziałaś, że będziecie mieć dziecko. Przypomnij sobie, jak straszliwie się pokłóciliście o imię dla córki. Jakież to było piękne, a zarazem zabawne wspomnienie. A przecież wtedy gotowa była Grzegorzowi oczy wydrapać. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym na Dnieprze wybudowano hydroelektrownię. Z tej okazji jakiś działacz nazwał swoją córkę Hydroelektrostanca. Grzegorz uważał, że to dobre imię dla dziewczynki, i chciał, by ich córka tak miała na imię. Czemu była wtedy tak głupia i mu nie pozwoliła? Gdyby mogła cofnąć czas, zachowałaby się inaczej. Czemuż nie można tego wszystkiego przywrócić?

Będzie dobrze, zobaczysz, będzie dobrze, tylko nie trać nadziei. Nadzieja – tak po tej okropnej kłótni nazwali pierwszą córkę. Druga dostała na imię Wanda, wiadomo po kim.

– Serce mi podpowiada, że on żyje – powiedziała do Jurkiewiczowej.

– Czemu miałby nie żyć?

– No właśnie, czemu? Wszystko będzie dobrze. Gdy tylko dotrze do niego wiadomość, że my w Kamyszence, przyjedzie tu i nas zabierze.

– Dobrze by to było, zabiorę się wtedy z wami.

A ta swoje. Weronika już, już miała coś powiedzieć, gdy pani Maria pogładziła ją po ręku.

– Nie rozmyślaj już o tym, dziecko. Śpij, bo jutro trzeba nam iść do roboty.

Robota. Nosily wiadra z piaskiem na budowę zapory. Koromysła najpierw zostawiały sińce, później otarcia, na koniec krwawą miazgę.

Początkowo Weronika nie zgadzała się pracować, bo musiałyby zostawić

dzieci same, głodne w ciemnej ziemiance na calutki dzień. Obawiała się, że gdyby ukochany przyjechał i nie zastał jej przy dziewczynkach, mógłby pomyśleć, że odeszła albo umarła. Nawet gdyby tak nie pomyślał, pozostawianie dzieci samych na pewno by mu się nie spodobało. Był wspaniałym ojcem i bardzo kochał swoje córeczki.

– Zaczynij myśleć, dziewczyno – upominała ją Jurkiewiczowa. – On się tu nie zjawi, ciebie aresztują, zamkną, a dzieci zostaną same.

W końcu siłą zagoniono Weronikę do pracy. Dziewczynki zostawały na cały dzień same, bez jedzenia, w zimnej ziemiance. Nadia miała siedem lat, Wandzia niecałe trzy.

– Gdyby Grzegorz wiedział... – powtarzała ze złością Weronika.

– Obudźże się, dziewczyno. Obudźże się – powtarzała Jurkiewiczowa.

– Zaczynam się o niego martwić. W Marchlewsku wszystkim mówiłam, że chcą nas wywieźć do Kazachstanu. Przecież ludzie tam byli nam życzliwi, czemu więc nie przekazali mu wiadomości?

– Może dlatego, że donosy na nich pisał?

– Wy w kółko swoje. Nie znacie mego Grzegorza.

– Z nas dwóch, Weroniko, to ty go nie znasz.

Jakże nie?

I znów przywoływała wspomnienia z Tynczyna i czas, gdy tak bardzo, bardzo się zakochała.

Znów poczuła szarpnięcie. Pomyślała, że to Jurkiewiczowa, że czas wstawać do roboty.

– Mamo, zbudźcie się! – wołała Nadia.

– A cóż to, kwiatuszku? Spać nie możesz?

Córeczka często się budziła, tęskniła za ojcem, za domem, koleżankami.

– To Wandzia. Ona tak dziwnie oddycha.

Rozdział trzydziesty



Pierogi z kaszą gryczaną i serem czasem nazywane są pierogami zamojskimi, to potrawa kojarzona z tym regionem. Korzenie jej sięgają jednak daleko bardziej na wschód.

Łatwa w przygotowaniu, wymaga jedynie odrobiny wprawy w lepieniu. Ciasto przygotowujemy jak na każde inne pierogi – z mąki pszennej i wody. Farsz to ugotowana na sypko kasza gryczana, rozdrobniony biały ser (można ubić go tłuczkiem do ziemniaków albo przepuścić przez maszynkę) i podsmażona cebulka ze skwarkami.

Jak na wiele innych potraw, tak i na pierogi z kaszą i serem istnieje mnóstwo przepisów. Podstawowa różnica dotyczy proporcji kaszy i sera – pół na pół czy też dwa razy więcej kaszy niż sera. Kolejna to kwestia przypraw – według niektórych obowiązkowa jest mięta, według innych majeranek. Są też przepisy, w których mięta zastępuje cebulę, oraz takie, gdzie pojawiają się grzyby.

Wertując stare zeszyty z przepisami, natrafiłam na taki, gdzie nie było mowy o serze, a farsz stanowiła kasza gryczana i ziemniaki. To oczywiście rzecz gustu. Doprawione tak czy inaczej, pierogi z kaszą gryczaną i serem są jednymi ze smaczniejszych.

Sierpień 1936

Choć świt spowił świat mgłami, a poranek wysrebrzył łąki rosą, dzień był upalny. Słońce, jak ten piec w chwili, gdy ostatni kawałek drewna w nim się wypala, było bardzo gorące i raz-dwa osuszyło świat. Za dni kilka zacznie stygnąć, pozwoli rosie dłużej wisieć na liściach, a mgłom snuć się nad łąkami. Nim to nastąpi, grzało tak, jakby lato miało się nigdy nie skończyć.

Kto pozwoził z pól, a także zdążył otawę skosić i do kopic zgrabić, tego

dnia czuł się jak pan świata. Skoszona trawa wyschła i można ją było zwozić. Małe kopice zamieniały się w wielki stóg. Nie tak duży jak ten z siana zwożonego na początku lata, bo otawa była krótsza, mniej bujna, ale zapewniający dodatkową porcję paszy dla zwierząt.

Zwożenie tak siana, jak i otawy zawsze stanowiło nie lada trudność. Była to bowiem robota dla dwojga. Ktoś siano z kopic podawał na wóz, ktoś na tym wozie układał. Szczęśliwi ci gospodarze, co mieli podrośniętych synów czy sprawnych ojców albo braci czy szwagrów chętnych, by się wspólnie obrobić. Gdzie w chałupie tylko chłop i baba, tam ze zwożeniem zawsze był kłopot. Kobieta, choćby nie wiadomo jak silna, zawsze miała trudności, gdy przyszło widłami siano wysoko na wóz podawać. Póki płasko, robota w miarę się posuwała, ale gdy na wozie powstała spora sverta i ręce wysoko nad głowę trzeba było wznosić, baba nie dawała rady. A to się zachwiała, a to jej spadło, a to rzucała nie tam, gdzie należało, i konstrukcja traciła na stabilności.

Podczas drogi do domu chybotąło się wszystko, wóz trzeszczał, koń nerwowo zerkał za siebie, wyczuwając niepokój gospodarza. Nie raz, nie dwa siano spadało i trzeba było na nowo je ładować, nikt jednak nie narzekał, tylko Panu Bogu dziękowano, że nikt się nie połamał. Jeśli zaś kobiecie wypadło siano na wozie układać, to jeszcze gorzej się działo, mało która bowiem nie bała się wysokości. „Zlecę, na pewno zlecę”, krzyczały. Zaciskały powieki i szukały, czego by się tu złapać. Im sverta wyższa, tym baba bardziej przestraszona. Gdy siano już pod niebo, ta chce złazić. Mąż musiał jej tłumaczyć jak dziecku, że lepiej, by na wierzchu została.

– To jak ty myślisz, w domu jeszcze raz się będziesz na górę ładować? – pytał.

Ona nic nie odpowie, tylko w płacz uderza, że zaraz zleci i kark skręci.

– Jeszczem nie słyshał, żeby kto spadł – próbuje ją uspokoić chłop, lecz daremnie.

Mało tego, ona już się zsuwa. Trzeba biec, pomagać, żeby noga trafiła w burtę, bo inaczej naprawdę spadnie. Po powrocie do domu trzeba drabiny szukać, przystawiać, żeby mogła wejść na górę.

– No liź – mówi chłop.

Baba na to:

– Nie polizę, boję się.

Przepychanka trwa, póki które się nie ugnie, a nic dobrego z tego nie

wychodzi, tylko się czas daremnie traci. Na koniec dnia gospodarz tak jest rozdrażniony, że musi między chłopów iść, gorzałki łyknąć na uspokojenie. Krótko zresztą trwa jego spokój, bo gdy tylko przestąpi próg własnej chałupy, to zaraz musi od baby wysłuchać, jak to w ogóle jej nie szanuje, życie jej na szwank narażał, a na koniec pić poszedł, a przecież na ślubnym kobiercu przysięgał miłować. Później są łzy, wspomnianie matki, z serca radzącej za tego nie iść, ale zaślepiona miłością kobieta durna była i teraz ma.

W takiej sytuacji powiedzenie złego słowa o świerze, choć przecież dobrze wiadomo, że z niej okrutnie złośliwe babsko, którego niechęć ujawniła się, gdy stało się jasne, że na jednej wizycie u córki się nie skończy, a z czasem ta niechęć rosła i rosła jak ten tuczny wieprzek, było porównywalne z próbą zamachu na własne życie. Tylko gdy chłop chciał do rana wysłuchiwać najgorszych rzeczy o sobie i swojej rodzinie bliższej czy dalszej, mógł się odważyć na powiedzenie złego słowa o „mamci”. Jedynym rozsądnym zachowaniem w tej sytuacji było przeproszenie żony za wszystko. Jeśli komu tak źle się w życiu ułożyło, że pod jedną strzechą z małżonkami żyła i świekra, to każdy element tego przedstawienia trwał dziesięć razy dłużej, bo o ile żona czuła się usatysfakcjonowana, gdy raz coś powiedziała, o tyle jej matka musiała wszystko powtórzyć dobitnie razy dziesięć, by mieć pewność, że została dobrze zrozumiana.

Czy wobec tego można się dziwić, że mężczyźni tak nie lubili zwozić siana z własnymi żonami?

Jaśko Lipczewski, choć obrobiony już był, to trzy dni zwlekał, by na łąkę wyruszyć. Zwykle siano robił z Julianem, ale teraz brat był na niego zagniewany. Wszystko przez Antoszkę.

To, że brat swojej żony nie lubił, było jasne nie tylko dla wszystkich w rodzinie, ale i dla ludzi we wsi. Czemu nie miał do niej serca, nie wiadomo. Nie była z niej przecież zła kobieta. Za swoje dzieci żywcem by się dała pokroić, Julianowi oddana całym sercem, teściów, z którymi przyszło jej mieszkać, otaczała szacunkiem i troską, jakby to byli jej rodzeni. Może nie umiała tak dobrze gotować jak Bronka i nie była tak pracowitą gospodynią jak Aniela Hubowa, może miała bałagan w chałupie, ale gorszych od niej we wsi znalazłoby się sporo.

Za to, że pomagała dzieciom na świat przychodzić, szanowali ją wszyscy. Antek Hub to z daleka w pas się Antoszce kłaniał, a nie zaszlachtował prosiaka, żeby kawałka mięsa czy wędlin nie przynieść jej w podziękowaniu,

że jego ukochanej żonie nie pozwoliła umrzeć, choć to przecie tyle lat minęło. Walercia wyrosła na tak śliczną dziewczuszkę, że nawet ta szrama po zadrapaniu koguta, co przez policzek biegła, nie odbierała jej urody. Lecz ani oddanie rodzinie, ani ludzki szacunek nie miały znaczenia dla Juliana. Nie lubił swojej żony i tyle. Przy dzieciach, by ich nie zasmucać, pytany przez Antoszkę, odpowiadał, ale gdy zostali sami, to słowem się do niej nie odezwał. No chyba że popił. Bardzo rzadko mu się to zdarzało, gdyż się szanował, stanowiska polowego w nadoleckim majątku utracić nie chciał, bo to i pieniądze pewne, i ludzka wdzięczność. Jaśkowy brat bowiem sprawiedliwie ludzi zatrudniał, zawsze pierwszeństwo dając najbiedniejszym. Jednak, jak każdy chłop na świecie, musiał sobie od czasu do czasu golnąć dwa czy trzy głębsze.

Ponieważ nikt z Lipczewskich do karczmy pić nie chodził, a pytani dlaczego, odpowiadali, że to teraz zwykła speluna i porządny gospodarzom wstyd się tam pokazywać, Julian pił we własnej chałupie, w towarzystwie swego serdecznego przyjaciela i kuma, Mikoszki. Dobrali się oni jak w korcu maku jeszcze w dzieciństwie. Obaj gospodarze, obu się w małżeństwach nie poszczęściło, Mikoszka miał już trzecią żonę, bo dwie poprzednie młodo go odumarły, zostawiając z dziećmi, którym nowej matki i opiekunki musiał szukać. Po obecnej wiele sobie obiecywał, lecz wiadomo, że człowieczy plan to jedno, a boski drugie. Podobnie jak Julian, tak i Mikoszka pijakiem nie był, ale od czasu do czasu lubił o troskach zapomnieć przy kieliszku wódki.

No i tuż po żniwach, gdy już trochę pieniędzy wzięli, zaczęli sobie urządzać „wieczórki”. Nie dalej jak przed tygodniem Antoszka przyszła do Bronki soli pożyczyć, na chwilę przy stole przysiadła i zasnęła.

– Co to wam, że w dzień żywcem śpicie? – zapytała Bronka.

– Bom ta całą noc grała.

– A to wy grać umiecie?

– Nie.

– To jakże wy grali? I na czym?

– O tak, „rypcium pypcium, rypcium pypcium, tra ta ta” – zaśpiewała Antoszka.

– Czemu wy tak grali? – zainteresował się Jasiek.

– Ta Julian mnie kazali. Popiją z Mikoszką, chcą tańczyć i Julian woła: „Antoszka graj”. To ja tak gram, a oni pod ręce się wezmą i w kółeczko tańczą. I tak noc całą. – Zadumała się nad czymś. – Brat by ta z moim

Julianem pogadał, żeby on mnie grać nie kazał. Tylaśno roboty, ja caluteńki dzień na nogach, a nocą muszę grać. Ustaję już.

Szkoda się Jaškowi zrobiło bratowej. Dobra z niej była kobiecina, Bronkę bardzo wspierała. Po tym pierwszym porodzie, który wielkim nieszczęściem dla ich rodziny się skończył, nie było dnia, żeby Antoszka nie zajrzała, dobrego słowa nie powiedziała. Gdy Bronka drugi raz w ciążę zaszła, bratowa od samego początku jej doradzała, co robić, by zdrowe dziecko urodzić. Gdy zbliżał się czas rozwiązania, wszystko rzuciła i chodziła za Bronką jak ten pies. Edziowi pomogła na świat przyjść bezpiecznie i już drugi rok Jaško i Bronia mogli się cieszyć ślicznym, zdrowym synkiem. Rozważywszy to wszystko, Jaško nie mógł bratowej odmówić.

Od Juliana usłyszał, żeby się nie wtrącał.

– Zechcę, żeby grała, to grać będzie. Tak jej się małżeństwa chciało, że naszej matce nakłamała o ciąży, niech teraz zobaczy, jaki to miód takie małżeństwo. A ty się do moich spraw nie mieszaj.

I Julian się na Jaška obraził. Jedyne dobre, co z ich rozmowy wynikło, to że Antoszce nie kazał już grać. Tyle że na pomoc brata przy zwożeniu otawy nie było co liczyć.

– Co my dziś będziemy robić? – zapytała Bronka.

– Siano wozić.

I westchnął ciężko, bo dobrze wiedział, jaka z tym będzie przeprawa. Prawdę powiedziawszy, podziwiał żonę, która, wychowana w dworskiej kuchni, do chwili wyjścia za mąż o pracy w gospodarstwie niewielkie miała pojęcie. Nauczyła się wszakże wszystkiego i była teraz lepszą gospodynią niż niejedna, co od urodzenia na wsi. Prawda, że od pracy w polu wolała zajmować się domem, ale nigdy tego nie okazywała, słowem się na swój los nie skarżyła. Zhardziała też bardzo. To już nie była ta grzeczna panienczka, którą do Tynczyna przywiózł, o nie. Tamtej każdy mógł coś złośliwego powiedzieć, a ona tylko oczy spuszczała, by łez w nich nie można było zobaczyć. Teraz ciętego języka Bronki bali się i młodzi, i starzy. Dlatego też nikt słowa nie powiedział na jej grządki krzywo posiane, zjedzoną przez robaki kapustę czy chwast rosnący wyżej niż fasola. Bo i po co? Po to, by w odwecie Bronka na całą wieś wykrzyczała:

– Ty się moim chwastem nie zajmuj, ty się zajmij swoimi garnkami, bo po uszy osmalone, jakby w całym Tynczynie piasku i kamyczków zabrakło.

Czasem tęsknił za tamtą dawną słodką panną Bronią, czasem zaś ta nowa

Bronka Lipczewska napawała go dumą.

Bez względu na to, jak bardzo nie chciało mu się wozić z nią siana, nie miał wyjścia. Jedna rzecz na wsi jest niewybaczalna, to brak szacunku do pogody. Trzeba ją szanować, gdy sprzyja – korzystać, pracować bez opamiętania, choćby pot strumieniami lał się po plecach. Gdy się popsuje, odpoczywać, spać czy też po prostu w okno się gapić, czekając na promień słońca przedzierający się przez chmury. Jeśliś głupi i z dobrej pogody nie korzystasz, to przyjdzie ci robić w deszczu albo, co gorsza, patrzeć, jak kilka miesięcy twojej ciężkiej pracy gnije na polu, a później boki wygłodniałych zwierząt coraz bardziej się do siebie zbliżają.

– Idę zaprzęgać – powiedział.

– Toż poczekaj chwilę, Edka do matki podprowadzę. – Odwróciła się w stronę stołu, przy którym chłopiec siedział nad miską klusek drobianych. – Zjadłeś? Pójdiesz do babci Teosi?

Edek skinął głową. Bronka się roześmiała.

– Trzeba ładnie odpowiadać.

– Tak – odparł malec.

– Trzeba jeszcze powiedzieć, co „tak”.

– Tak. Do babci. Klusek nie chcę – zakłaskał po dziecięcemu.

Bronka przestała się uśmiechać i z niepokojem popatrzyła na dziecko.

– Może chory?

– Gdzież chory.

– To czemu nie je?

– Bo to dziecko. Dziś nie je, jutro mu żarcia nie nastarczysz, zobaczysz. – A widząc wahanie na twarzy żony, dodał szybko: – Już mamcia i Antoszka o niego zadbają. Napchają go jak młodego szpaka – dorzucił ze śmiechem, ale szybko zdał sobie sprawę, że podążać tą drogą to zły pomysł, bo Bronka zaraz zacznie się zamartwiać, że przekarmią i Edka brzuch rozboli. – Mamcia zadba o niego, nic mu się nie stanie. Wychowała pięcioro dzieci i szóstkę wnucząt, to i z siódmym da sobie radę. Idźże już, trza wozić, póki pogoda.

Nie chcąc pozwolić, by cokolwiek powiedziała, wyszedł z izby. Bronka zupełnie niepotrzebnie się zamartwiała. Edek zdrowo się chował i choć jak na swój wiek nie był postawny, to nie wyglądał na chuderlaka. Ot zwyczajne, pogodne dziecko.

Przeszedł przez podwórko i wszedł do obory, postawionej z drewna ze starej chałupy. W niektórych miejscach na brusach wciąż można było

dostrzec resztki wapna z lakmusem, którym ściany mazano, i wzorków malowanych pod sufitem przez lepsze gospodynie, w innych zaś grubą warstwą osadził się dym czarny, kłębamii walący z pieca, gdy się paliło niedosuszonym drewnem.

Im bliżej klepiska, tym mniej było tych pamiątek przeszłości. Ścierały je krowie i końskie zady, oblepiała gruba warstwa łożu i resztek zwierzęcych odchodów. Pająki i muchy dodawały od siebie setki brązowych kropek. Kury obsrywały ścianę tylko w tym kącie, gdzie stały grzędę. By doprowadzić ją do ładu, Bronka musiała motyką zdzierać poprzyklepane gówna. Pod grzędami było jeszcze gorzej. Gruba warstwa kup wydzielala kwaskowy odór, drażniący oczy i wypalający błony w nosie. Po świńskim to najgorszy rodzaj gnoju, jaki trzeba było wywalać z obory. Dużo lepsze było łajno krowie, bo owszem, śmierdziało, ale trawą i sianem bardziej niż ciepłymi trzewiami. Najprzyjemniejsze zaś końskie. Najprzyjemniejsze i najgorsze zarazem, tak ciężkie, że trzonki wideł się wyginały jak te wierzbowe witki. Kto choćby raz jeden na czas od koni gnoju nie wyrzucił, ten nigdy więcej tego błędu nie popełnił. Zbity i nasączony moczem jeszcze trudniejszy stawał się do wywalenia. Trzy dni bolały ręce i grzbiet.

Starym zwyczajem oborę dzielono na trzy części. W jednej stał koń albo i dwa, a u bogatych gospodarzy nawet i cztery, w drugiej krowa lub dwie, czasem przy nich cielę, w trzeciej, starannie zagrodzonej, była maciora albo warchlak. W kącie pod ścianą urzędował drób. Bywało, że ten i ów trzymał kozy, barany albo kilka królików. Jeśli dla nich w oborze miejsca nie starczało, dobudowywano szopki, zagrodki, komórki, tworząc coraz to dziwniejsze konstrukcje, a że drewno zrobiło się horrendalnie drogie, szukano starego z rozbiórek, pożarów, podlepiano wapnem ze słomą, plecione z wierzby drzwiczki wieszano na zawiasach ze sznurka.

Nic dziwnego, że chłopci z Tynczyna i innych wsi okolicznych z zazdrością patrzyli na majątki w Nadolcach czy Pukarzowie, gdzie stawiano obory z prawdziwych cegieł. Chłop nie tylko o oborze, ale i o domu z cegły nie miał co marzyć. Ba! Nie w każdej chałupie piec stał ceglany, często zwyczajnie lepiony z samej gliny.

Konie na widok gospodarza zarżały wesoło, uniosły do góry ogony na znak radości z wizyty. Szybko jednak zdały sobie sprawę, że nie dostaną kolejnej porcji obroku. Widząc, że Jaśko zdejmuje uprząż z haka, gniady zatupał nerwowo.

– A ty myślisz, że mnie się chce? To dla mnie to siano? Popracujesz dziś, do wiosny będziesz miał co żreć. Ja siano nie zjem, jam nie ten radziecki protestujący.

I roześmiał się, bo uważał żart za zabawny, choć matka miała na ten temat inne zdanie. Nienawidziła bolszewizmu, Lenina, Stalina i wszystkiego, co z nimi związane. Nawet żartów.

– Będziesz się z niego śmiał, to uznasz, że niegroźny. A on tylko na to czeka. Wspomnisz moje słowa. Jeszcze będziemy przez niego płakać w obie garście.

Jaśko długo lekceważył słowa matki, ale teraz, trzy miesiące po śmierci Marszałka, ludzi ogarniał coraz większy niepokój. Naprawdę czuli się osieroceni. Niby była konstytucja, niby jeszcze w trzydziestym czwartym zawarto układ z ZSRR, o którym gazety pisały, że oba kraje uznały wojnę za najgorsze z rozwiązań i zobowiązały się zrobić wszystko, by do niej nie doszło, jednak przy bałaganie, jaki panował w sejmie, trudno nie czuć lęku przed wschodnim sąsiadem. Dla Rosjan utrata ziem dawnego zaboru wciąż była bolesna. Czy nie zechcą wykorzystać sytuacji i raz jeszcze wziąć, co nie ich? Kto im się sprzeciwi, gdy Marszałek nie żyje?

Jaśko westchnął. Tak by się człowiekowi chciało spokoju. Pracować, na ten cudny świat patrzeć, dziecko chować, kolejnych się doczekać, a potem wnuków i prawnuków, a wszystko w jakim takim spokoju i dostatku. Tymczasem życie pełne strachu, ze świata coraz bardziej niepokojące wieści nadchodzą. Jeszcze proch armatni nie opadł po jednej wojnie, już ludzie o kolejnej mówią. Inna sprawa, że wieszczą ją od lat co najmniej dziesięciu, a dotąd nic się nie stało. Nikt wojny nie chciał, bo poprzednia była niewyobrażalnie straszna.

Wobec piekła, które ogarnęło świat, przerażająca wydawała się myśl, że Polacy tak na tamtą wojnę czekali. Pewnie dlatego, że nikt się nie spodziewał takiej ilości krwi, tylu zniszczeń, unicestwienia świata. A przecież Tynczyn ledwo, ledwo tego doświadczył. Tutaj docierał tylko cień burzowej chmury, stąd widać było srebrne zygzaki błyskawic, słyszeć huk grzmotów i miliona wielkich deszczowych kropli, czuć zimny oddech szaleńczego wiatru. Tutaj ludzie doświadczyli strachu przed tym, co przyjdzie, ale nie przerażenia tym, co jest.

Uśmiechnął się, choć smutek ogarnął jego duszę. Bo z tą wojną to trochę tak, jak wtedy gdy człowiek spodziewa się burzy i myśli, że przeżył ich

ze sto i już wie, co przyniesie, a tymczasem to, co nadchodzi, to nie jest burza, tylko katastrofa. Po czymś takim zawsze już będziesz się, człowieku, bał nadciągających czarnych chmur, bo teraz wiesz, jak zgubne jest myślenie, że wiesz wszystko, że wiesz, czego się spodziewać. Nawet nie trzeba wojny, by człowiek doświadczył niewyobrażalnego wprost nieszczęścia. Jaśko spojrział na wschód, w stronę granicy. Na wspomnienie Hołodomoru serce ścisnął ból. Taka wielka, niewyobrażalna krzywda narodu ukraińskiego. Wciąż pamiętał te dni, gdy wiejący ze wschodu wiatr przynosił odór ludzkich ciał, leżących tygodniami tam, gdzie opuściły je dusze, bo nie pozostali już żywi, którzy mogliby je zakopać, a nawet jeśli pozostali, to byli zbyt słabi, by po łopaty sięgać. Cała Ukraina zmieniła się w cmentarz.

To, co się tam stało, położyło się cieniem na Tynczyn. Ci, którzy czuli się Ukraińcami, patrzyli z niechęcią na tych, którzy czuli się Polakami. Nieprzyjemne nastroje potęgowało to, że w Warszawie dzielono ludzi tak, jak się segreguje jabłka po zbiorze – na te lepsze, gorsze i te do wyrzucenia. Nikt tam nie rozumiał, co się dzieje. Jeśli uznać to poczucie krzywdy Ukraińców za oparzenie, rząd polski lał na nie wrzątek, jeśli uznać je za ranę, sypał sól.

Teofila wróżyła, że za decyzje polityków zwykli ludzie zapłacą. Też mi mądrość, zachnął się Jaśko, wszak zawsze zwykli ludzie płacą za decyzje tych, co rządzą. Jest trochę tak, jakby samo wejście do tej komnaty, gdzie trony dla polityków przygotowano, sprawiało, że ludzie ślepli, a ich serca, nigdyś nawet wrażliwe, zamieniały się w twardą skałę.

– Ty nie dumaj – upomniał sam siebie – tylko konie zaprzęgaj.

Pogładził Kasztana po czole, naznaczonym białą gwiazdką. Wielką miłością darzył tego konia, był przy jego narodzinach i patrzył, jak dzielnie wspina się na nogi. Pamiętał źrebięce harce i problemy, jakie sprawiał Kasztan, gdy go przyuczano do pracy. Miał iść na sprzedaż, ale że Jaśko się ożenił, dostał go w wyprawie. Drugiego, Siwego, sam kupił. Nie był to najlepszy wybór, bo koń, choć z postury zwalisty, umięśniony, a przez to silny, temperament miał taki, że niejedna baba mogła mu pozazdrościć. Wiecznie wściekły, uzewnętrzniał swoją złość i niezadowolenie na przeróżne sposoby, najczęściej kopiąc i gryząc, ale potrafił i stanąć dęba, a nawet, na środku pola, w środku roboty, po prostu się położyć. Na dodatek nie lubili się z Kasztanem i na każdym kroku okazywali sobie wzajemną niechęć.

– One ci kiedyś wóz połamią, bo jak jeden idzie w prawo, to drugi z przekory w lewo ciągnie – mówił Julian, śmiejąc się złośliwie.

Prawda to była. Jaśko sprzedałby Siwego i kupił nawet najgorszą chabetę, gdyby nie ambicja, która mu na to nie pozwalała. Pamiętał z własnej młodości piękne bułane ogiery Ksawerego Huba i marzył, by jego konie też przeszły do legendy. Kasztan i Siwy, choć uparte, złośliwe i wredne, wyglądały tak, jakby je kto wyjął z obrazka. A gdy stały obok siebie, nie było koniarza, który nie westchnąłby z zachwytem. Te zachwyty łagodziły wszelkie niedogodności, które napotykał Jaśko każdego dnia, gdy zaprzęgał, czyścił, poił czy karmił swoją parę.

Niedogodności. Mało powiedziane, bo czasem była to prawdziwa walka. Choć Kasztan dał sobie założyć kantar, przed uprzęgą się bronił. A to wykręcał łbem, a to zadem. Gdy Jaśko wreszcie uporał się z jednym, przyszedł czas na tańcowanie z drugim, a skórzane szory lekkie nie były.

– Jeszczem z obory nie wyszedł, a już mi się pot po plecach leje, podłe szkapy.

Wyprowadził konie jednego po drugim i zaczął do wozu zaprzęgać. Trzeba było uważać, by dobrze wszystkie paski dopasować i pozapinać, by podbrzusznik czy napierśnik nie otarły delikatnej końskiej skóry. Jeszcze tylko postronki założyć na orczyk... Kopyto świsnęło może dwa cale od Jaśkowej głowy.

– Cholera jasna! – krzyknął, podnosząc się gwałtownie. – Jak zaraz za bat złapię, nabierzesz ty...

Wesoły śmiech sprawił, że urwał. Odwrócił głowę. Plecami oparty o płot, odgradzający podwórko od kwiatowego ogródka, stał nie kto inny jak Franeczek z Małoniza, przyjaciel Jaśka z czasów służby wojskowej w hrubieszowskim pułku ułanów.

– A wy, Lipczewski, lewą nogą wstali? – Ruszył w stronę Jaśka z szeroko otwartymi ramionami.

Uściskali się jak przyjaciele czy bracia, jak najserdeczniejsi, najbliżsi sobie ludzie, bo też wspólna służba wojskowa, ciężka i trudna, ma to do siebie, że zbliża ludzi bardziej niż więzy krwi. Choć nie widzieli się szmat czasu, Jaśko czuł się tak, jakby rozstali się wczoraj.

– Co ciebie tu przyгнаło, Franeczku?

– W Tyszowcach byłem, za robotą. Dziadowski czas – westchnął.

– Ano dziadowski – przytaknął Jaśko i już nie pytał, co z tą robotą, bo owo westchnienie starczyło za odpowiedź.

Tamten spojrział ciekawie na zaprzęgane konie.

- Gdzie się zbierasz?
- Otawę wozić. Szkoda, żeś się kwadrans wcześniej nie zjawił, Bronka synka mego zaprowadziła do ojców. Zobaczyłbyś tego zucha.
- Ze wszystkim zdążym – powiedział Franek, uśmiechnął się i podszedł do koni. Położył rękę na łbie Siwego i gładził delikatnie. Zwierzę cicho parsknęło, potrząsnęło łbem, starannie wyczesana grzywa zafalowała. – Piękny koń.
- Już mi ta jego pięknota bokiem wychodzi. Machnął kopytem tuż przy mojej głowie, mało mnie nie zabił.
- Kowala syn i nie wiesz, że jakby chciał trafić, toby trafił?
- Jaśko skinął głową. Prawda to. Żaden człowiek nie osiągał takiej precyzji jak zwierzę. Taki kot na przykład. Człowiek cały dzień może po izbie biegać za myszą, a ta i tak mu umknie. Kot tylko łapą pacnie i biedaczka martwa leży. Tak i Siwy, gdyby planował swemu gospodarzowi krzywdę zrobić, toby już było po Jaśku. Koń chciał tylko pokazać, że to, co się dzieje, wcale mu się nie podoba. Nie był w tym osamotniony. Na myśl o wożeniu siana z Bronką Jaśka taki nerw brał, że sam by chętnie kogoś kopnął.
- Tymczasem Franek schylił się, założył postronek na orczyk, zaciągnął i mocnym szarpnięciem sprawdził, czy trzyma. Później sprawdził całą uprząż, to luzując, to dociskając skórzane pasy.
- Gotowe. Czas nam jechać. Chłodniej się nie robi.
- Jaśko spojrzał na przyjaciela, nie rozumiejąc.
- Ty nie patrz, tylko zasiadaj. Ja będę powoził, tylko mnie musisz powiedzieć, gdzie ta wasza łąka.
- Chcesz z nami jechać?
- A jak. Robotym nie dostał, to co będę po próznicy w domu siedział?
- Zapłacę ci.
- Franek się zmieszał. Widać było, że chętnie by przyjął propozycję, ale jednocześnie wstydził się brać pieniądze od Jaśka.
- Dasz dobry obiad i co tam na drogę, to będziem kwita – powiedział w końcu.
- Jaśko skinieniem głowy dał znak, że przystaje na takie rozwiązanie, jednocześnie przemyśliwując, jak do koszyka z wałówką parę groszy wcisnąć, by Franek się nie zorientował.
- Bronka pewnikiem biegła, bo gdy wpadła na podwórko, zziajana była, a policzki pałały jej czerwienią. Poprawiając chustkę, która zsunęła się na

oczy, prawie wpadła na Franka.

– Ależ niespodzianka! – zakrzyknęła, serdecznie obejmując gościa. – Szkoda, że Edka odprowadziła. Zobaczylibyście, jak wyrósł. – I pisnęła, bo ją Franek z ziemi poderwał i przyciskając do siebie jedną ręką, zakręcił jak w tańcu. – Z was to kawalarz – wyrzuciła z siebie ze śmiechem. – Aż mi się w głowie zakręciło.

– To was jeszcze, Jaśkowo, na wóz podsadzę, bo nam ruszać trzeba.

Nie czekając na odpowiedź, złapał ją pod pachy i przez burkę przesadził, jakby była dzieciątkiem malutkim, nie dorosłą kobietą.

Sam zajął miejsce z przodu, nogi na dyszlu wsparłszy, za lejce chwycił, batem w powietrzu świsnął, by dać koniom znak, że czas w drogę. Jaśko ledwo zdążył doskoczyć, bo Kasztan z Siwym, czując inną rękę, ruszyły z kopyta. Wóz trzeszczał, ośki skrzypiały, a gdy koło trafiło w dziurę, których przecież na tynczyńskim gościńcu nie brakowało, wszyscy podskakiwali w górę, a potem spadali z takim impetem, że zęby dzwoniły. Gdy z niego zjechali, Bronka westchnęła z ulgą. Na drodze, którą koła wozów wytarły wśród łąkowych traw, nie było takich dziur. Konie, uświadomiwszy sobie, gdzie się znalazły, zwolniły i rozglądały się wokół takim spojrzeniem, jakim dzieciak patrzy na stół zastawiony do Wigilii. Parskały do siebie, a wrażliwy na mowę zwierząt usłyszeć mógł ten dialog, pełen pretensji i żalów do gospodarza, co na sianie trzyma, zamiast pozwolić biegać wśród tych traw, tak zielonych, że niemal czuło się pulsujący w nich sok.

Tynczyńskie łąki, zwane przez miejscowych kubaniami, ciągnęły się od Huczwy, która zakolem czule obejmowała tu Mikulińską Górę, aż po Czartowiec. Poprzecinane były rozlicznymi rowami i rowkami, chaotycznie żłobionymi przez wody roztopów, gdzie łowiono ryby i raki. Znajdowało się tu też mnóstwo głębokich dołów, powstałych, gdy chłopci tynczyńscy kopali torf.

Ciężka to była praca. Wycinano kostki, podobne do dużych cegieł, i suszono je na słońcu, a gdy wyschły, zwożono do domów. Wokół Tynczyna nie było lasów, po drewno mieszkańcy musieli aż na Wólkę jeździć, stać cały dzień, na łaskę dziedzicowych sługusów czekając, by w końcu nierzadko z pustym wozem wrócić. Suchy torf był ratunkiem, często jedynym źródłem opału. Zapalał się szybko, a później tlił długo. Nie dawał dużo ciepła, za to dymu sporo. Dało się na nim coś upichcić, a ciepły piec za plecami zawsze

lepszy od zimnego, dlatego też kto miał choć kawałek torfowiska na kubaniach, kopał torf. Podczas wiosennych roztopów woda wypełniała dziury, ziemia się rozmywała, przesuwała, zarastały to wiązówki i krwawnice, między którymi złościły się oczka kaczeńców i tojeści, mrugały niebiesko niezapominajki. Z czasem wszystko porastało trawą i tak po kilku latach dół zniknął. A ludzie już w nowym miejscu inny kopali, bo żyć bez opału, nawet tak lichego jak torf, nie sposób.

Gdy kosi się trawę w czerwcu, raz-dwa na powrót zielenieje i nie bacząc na krzywdę, którą jej wyrządzono, wznosi do góry wstążkowate ręce. Koszona pod koniec lata nie ma już tej siły witalnej, można pomyśleć, że się obraża, bo stroszy zasuszone źdźbła, a jej kępy przypominają jeża, gdy go ciekawski pies nosem trąca.

Nie byli na łąkach jedyni. Tu ktoś zwoził, tam zagrabiał. Kobiety nuciły, mężczyźni pogwizdywali. Tęskne melodie jak chyże jaskółki gnały ku falom Huczwy, błękitnym jak niebo, które się w nich odbijało, i wyłocnym na grzbietach promieniami słońca, by tam przepaść.

Jaśko układał na wozie, Franek i Bronka podawali.

– Pamiętasz, jak nam się poprawiło niedługo po wojnie? Sprzętyśmy mieli, narzędzia porządne. Dziś znów wracamy do wideł z gałęzi struganych. Jakby nas kto cofnął o sto lat – powiedział Franek, podając prawie pół kopicy naraz.

– Co zrobisz?

– Buntować nam się trzeba. Tak jak nasze ojce w piątym roku.

– Myślisz, że to co da?

– Da czy nie da, nie dowiesz się, póki nie spróbujesz. Spójrz za siebie...

Jaśko odwrócił się i rozejrzał, ale niczego ciekawego nie zobaczył.

– Spójrz za siebie na historię – dokończył tamten ze śmiechem. – Gdyby kto twojej matce czy ojcu, czy moim ojcom powiedział, kiedy młodzi byli, że robotnicy cara z tronu strąca, toby się śmiali jak z najprzedniejszej szutki. Stało się, car z tronu zepchnięty, zabity, pogrzebany tak, że nikt go nie znajdzie. Nowy porządek.

– Nie chciałbyś ty takiego porządku jak tam. – Jaśko wskazał głową na wschód.

– Ano nie chciałbym. Ale tego naszego, który chłopu ma, tak jak i wcześniej miał, za psie gówno, to ja też nie chcę. Jest u nas demokracja i trzeba z niej korzystać. Trzeba do partii chłopskiej się zapisywać, swoich do sejmu wysyłać...

– Moim zdaniem – wtrącił Jaśko – w karczmie w czas największej awantury nie ma takiego bałaganu jak w tym polskim sejmie.

– To i prawda. Póki jeszcze Marszałek żył, to porządek robił, po nim już nikogo nie ma, kto by to rozbisurmanione towarzystwo za karki ścisnął i porządku nauczył.

– Najgorszy czas przed nami.

– Prawda to, ale mogę go zmienić. Do naszej chłopskiej partii się zapisz. Działaj, innych namawiaj. Skapitulował car przed robotnikami, ugną się kolana warszawskich paniczków, gdy siłę polskiego chłopca zobaczą.

Jaśko nic nie odpowiedział. Matka mówiła, a on się z nią wyjątkowo zgadzał, że ci, co przy władzy, gdy zechcą, to każde, nawet najszczęśliwsze działanie prostych ludzi pokażą w najgorszym świetle. Mają od tego nie tylko pismaków, a ci napiszą, co tylko będzie potrzeba, ale także i księży, którzy z ambon grzech nieposłuszeństwa ludowi wytkną.

– Tyś się zapisał?

– A jakże. Moi bracia i ojciec również. My nie bardzo mamy inne wyjście, musimy walczyć o swoje.

Jaśko, który znał historię rodziny Franka, nic nie powiedział, ale Bronka, zaciekawiona, zapytała:

– Czemuż to?

– Bieda u nas czarna, a to przez spłaty i wuja. No i nas czworo. Kiedyś my byli bogaci...

My też, pomyślał Jaśko.

– Dziadek mój, Sokołowski, i brat jego byli to gospodarze na cały Małoniż. Dziadek miał sad, pierwszy we wsi. Po dziś dzień pod tymi drzewami chodzimy. Ubierał się w długą sukmanę, po tym sadzie chodził, drzew doglądał, ogrodzenie poprawiał. Płot z prawdziwych desek postawił. Żeby nie gniły, porobił na nich strzechy ze słomy. Opowiem wam, bo to zabawna historia. Razu pewnego dziadek zasnął pod drzewem w trawie, przykryty tą swoją zieloną sukmaną. Traf chciał, że drogą szła banda wyrostków i zapach jabłek ich zniósł. Wybrali spośród siebie najmniejszego, bo tak właśnie robią cwaniaki, podsadzili go do góry, a ponieważ dziadka nie dostrzegli, przerzucili dzieciaka przez płot. Chłopczyna jabłka zbiera, a koleżki się niecierpliwiają. Najpierw szepczą, potem pokrzykują, by go ponaglić. Zbudził się dziadek. Rozgląda się, widzi chłopczynę z koszulą pełną jabłek. A zza płotu pada pytanie: „Masz te jabłka?”. Dziadek na to gromko: „Ano mam!”.

Tamci prysnęli, mały został, a ze strachu słowa przemówić nie mógł. Chciał przez płot uciekać, ale ogrodzenie wysokie, deski ciasno jedna przy drugiej, stopy nie ma na czym wesprzeć. W końcu zawrócił i przez dziadkowe podwórze ku wsi się rzucił. Podobno trzy dni nic nie mówił. Dziadek, gdy się dowiedział, czyj to dzieciak, to cały koszyk jabłek kazał małemu zanieść. Zły on nie był, choć ludzie ich obu, dziadka i jego brata, bardzo się bali. Za dziadka czasy były dobre. Pieniądz w chałupie, parobek w oborze. Poza moją matką, Marcelą, było ich jeszcze troje. Siostry, Rózia i Stasia, i brat. Tamte wyjechały za pracą pod Warszawę, w Józefosławiu, poczta Piaseczno, osiadły. Jedna jest panną, druga wyszła za mąż za murarza, piszą do matki, że dobrze im się wiedzie. Brat został i matka moja została. A że ona bogata z domu była, to umyśliła sobie wyjść za mąż, za kogo zechce, a nie za tego, co jej każą. A spodobał jej się mój ojciec, Leon, co był za parobka w Michalowie. Z tej to przyczyny go sobie upatrzyła, że wyższego chłopaka to w okolicy próżno szukać. Nie masz drzwi, no, poza tymi do kościoła, przez które ojciec by wyprostowany przeszedł. My po nim wysocy, poza moją siostrą, Maryską, ona po matce drobna. Bo matka moja to ojcu do pasa ledwo sięga. Mnie się zdaje, że jej się w nim to spodobało, że pod boki ją brał i w górę podnosił, jakby dzieckiem była. Gdy się pobrali, siostry wyjechały, a brat do roboty się nie brał, bo go dziadek straszliwie rozpuścił, tak mój ojciec do matki gada: „Pospłacajmy ich, Marcela, ziemię weźmy, a ich spłacmy”. Szkopuł w tym, że spłacić siostrę nietrudno, bo dostaje tyle, ile pole warte, ale spłacić brata nie tak łatwo, bo jemu trzeba dwa razy dać, żeby stratę ojcowizny wynagrodzić.

– Znamy to – wtrącił Jaśko. – Natalia Dołęgówna brata spłaciła. Niektórzy we wsi wciąż w głowę zachodzą, skąd miała tyle pieniędzy.

– To ona szczęśliwa, jak na raz spłaciła. Ojce moje płacili w ratach. Co zarobili, oddać musieli. Co ciotki z pieniędzmi robiły, to ja nie wiem, ale one dla matki wciąż życzliwe, znaczy zadowolone ze spłaty. Gorzej z wujem. Jak pieniądze dostawał, ludziom pożyczał. A to były pieniądze! Potem przyszła inflacja, wszystko zeżarła. Kto pożyczał od wuja, by krowę kupić, teraz sprzedał kurę albo koszyk jajek i mu oddał. A on z pretensjami do kogo? Do ojców moich. Sądzić się chce. My jeszcze z tej biedy po spłatach się nie wykaraskali. Nas czworo, wszyscy robimy, ale to jakby w dziurawe wiadro wodę lać. Ojciec z wozem się wynajmuje...

Jaśko potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, że opowieść się urwała.

Franek podrzucił na widłach porcję siana, a że był wysoki, z łatwością mu to przychodziło. Bronka już nie podawała, za wysoko dla niej, zgrabiła więc resztki pozostałe po kopicach, by ani jedno źdźbło siana nie zostało na łące.

– Jak tam w górze? Podawać jeszcze?

– Starczy chyba. – Jaśko spojrzał pod nogi, na zgrabnie ułożoną stertę. Gdy człowiek kładzie pod nogami kolejne oberemki siana, pilnuje, by rozkładać je równomiernie, nie zważając na to, że z każdą porcją robi krok ku górze. – Starczy, starczy – krzyknął, uświadamiając sobie, jak jest wysoko. – Jeszczem nigdy tak nie naładował.

– Widzisz? A pomocą gardziłeś.

– Nie to, zem gardził. Po prostu nie chciałem szanownego kolegi fatygować. Podaj lepiej kołka.

Przywiązany długim postronkiem kołek, grubości dyszla i długości wozu, kładło się na sianie, by tym sposobem ustabilizować ładunek.

Bronka ani myślała wspinać się na wóz. Powiedziała, że piechotą wróci, a Franek natychmiast zaoferował jej towarzystwo. Konie szły spokojnie, raz dlatego, że ciężko im było, dwa, że mądre zwierzęta wiedziały, czym grożą narowy, gdy ma się za plecami wóz sianem wyładowany pod samo niebo.

Jaśko słyszał melodyjny głos Franka, nawykłego do opowiadania różnych historii, i wybuchy śmiechu Bronki. Znów się śmiała. Jak dobrze było słyszeć jej śmiech. Ilekroć go słyszał, czuł się jak człowiek, którego bliski wyprawił się w daleką podróż i nie wracał latami, a krótko po tym, gdy już umarła nadzieja, wszedł do domu i jak gdyby nigdy nic zaczął opowiadać o swojej wędrówce. Ten zaś, co tęsknił, nie wiedział, czy to sen, czy jawa, i wahał się niezmiernie, bo jeśli jawa, to trzeba pozwolić sercu szaleć ze szczęścia, a jeśli sen, nie można sobie pozwolić na radość, bo ból po przebudzeniu będzie tysiąckroć boleśniejszy.

Życie ich, bez względu na to, co przyniesie los, naznaczone będzie bólem. Rana, która zostaje w człowieku po stracie dziecka, nigdy się nie zagoi całkowicie. W najróżniejszy sposób ludzie sobie z tym radzą, bo mało kto we wsi nie doświadczył takiej tragedii. Jedni pokładają nadzieję w Panu Bogu, inni w tłumaczeniu, że dla dzieciąteczka lepiej odejść, bo ciężkiej doli nie doświadczy, są tacy, co się żalą, i tacy, co milczą, bo w ciszy łatwiej im cierpienie znosić. Każdy jeden oddałby pół swego życia, by znów zobaczyć swoje dziecko żywe i zdrowe.

Pół? Jaśko oddałby całe. Nie tylko przez wzgląd na to maleństwo, które

pokochał, zanim na świat przyszło, ale też ze względu na Bronkę. Płakałaby po mężu, co do tego nie miał wątpliwości, ale nie zapadłaby się w taką ciemną jamę rozpacz. Żałowałaby, tęskniła, z miłością wspominała, a potem pewnie za innego by poszła, bo ładna i dobra z niej gospodyni. Umierając, Jaśko nie zabrałby ze sobą części jej serca, tak jak to zrobiło zmarłe dziecko.

Popatrzył w niebo. Często to robił, myśląc o synku, którego nie karmił, którego mówić nie uczył, któremu piszczałek z wierzby nie strugał. Dziecko zabrało również część jego serca i teraz zionęła tam czarna dziura, pełna smutku. W takich chwilach, gdy czuł ulgę, że Bronka znów normalnie rozmawia, a czasem nawet się śmieje, z tej dziury wypływał czarny szlam wyrzutów, że jest radość, śmiech i normalność, gdy powinna być tylko żałoba.

Czy kiedyś przyjdzie taki dzień, gdy radość ze śmiechu Bronki nie będzie wzbudzała wyrzutów?

Konie skręciły na podwórze. Wóz pisnął, jakby mu kto krzywdę zrobił, ładunek zachybotał lekko. Konie, niepewne, gdzie im się iść każe, stawiały krok za krokiem wolno, z rozwagą. Minęły chałupę, oborę, przyzmę gnoju, która z każdym dniem rosła, aż trudno było uwierzyć, że jesienią, gdy tę karmę ziemi wywiezie się na pola, nie zostanie nawet ździebełko. Teraz wznosiła się dumnie, racząc okolicę wonią strawionej trawy, dając dom tysiącom muszych larw i radość kurom, dla których owe larwy były najprzedniejszym przysmakiem.

Za oborą, żeby daleko nosić nie trzeba było, Jaśko zakładał sterty. Stała tu już ta z sianem na początku lata zwożonym. Różnie siano przetrzymywano. Byli tacy, co brogi mieli postawione, tam pod dach składali. Chwalili to sobie bardzo. Młodzi gospodarze na dorobku, tak jak Jaśko, najdawniejszym zwyczajem składali siano w stertę wokół słupa. Co prawda wierzchnia warstwa siana szła na zmarnowanie, bo poczerniałego, wypłukanego deszczem i śniegiem żadne bydło tknąć nie chciało, ale to, co pod spodem, pięknie się przechowywało do wiosny. Jeśli oczywiście stertę kładł ktoś, kto się na tym znał, a nie gamoń, któremu deszcz ciekł po słupie do środka, tak że siano się psuło, gniło, a czasem i zapalało.

Jaśko westchnął ciężko na myśl o pożarze. Ze wszystkich kar, które na biednych chłopów dobry Bóg zsyłał, ta była najgorsza. W Tynczynie, poza najstarszą częścią wsi, chałupy stały dość daleko od siebie. Może dlatego wciąż nie utworzono tu straży ogniowej? A bardzo by się ona przydała, oj

bardzo. Jaśko wciąż pamiętał pożar w chałupie Adamczuków. Ileż on wtedy miał lat? Podrostkiem był, a jednak ognia się nie bał. Raz za razem wbiegał do izby, wypełnionej czarnym dymem, gdzie ani patrzeć, ani oddychać się nie dało. Podobnie jakbyś nurkował, tyle że zamiast spokojnej tafli wody miałeś nad sobą szalejące płomienie. I podobnie jak człowiek wynurzający się z głębiny, tak ten, co z pożaru wyszedł, łapczywie chwycił powietrze, bo pieczenie w płucach czuł okropne. Gdyby jednak kto kazał mu wybierać, gdzie umrzeć woli, prędzej wybrałby rzekę niż płonąca chałupę.

Zatrzymał wóz i czekał na Franka i Bronkę.

– Zgrabna ta twoja sarta, ale teraz ładniejszą postawim – rzucił tamten.

Szybko uradzili co, jak i już widły za widłami Jaśko zrzucał siano z wozu, a Franek dokładnie je na dole układał.

– Tylko równo, żeby mykać było łatwo! – niby to groźnym tonem rzucił Jaśko, a tamten w odpowiedzi zarechotał głośno. – Dobrze, żeś mi się dziś trafił, przyjacielu.

– Drugim razem daj znać, przyjdę, pomogę. A twoja żonka niech w kuchni siedzi, czego dobrego nam nagotuje, to se na wianek podjemy, golniemy po kieliszeczku gorzałki i wszyscy radzi będą.

– Słyszałaś, Bronka? Idź co ugotować.

– Toż ja od rana mam nagotowane barszcz i ziemniaki. A dla Franka to się i kiełbasa znajdzie, bo on wart. – Roześmiała się, a Jaśkowi jakby miód spłynął po sercu. – Franek, a powiedz Jaśkowi o tych babach, co z karczmy wracają. Uśmiełam ja się z tego, niech on też się pośmieje.

Do opowiadania Franeczka zachęcać nie trzeba było. Odchrząknął, jakby miał jakąś mowę uroczystą wygłaszać albo kazanie, a nie zabawną gawędę.

– U nas, w Małoniżu, jak i po innych wioskach, jest karczma. Żyd ją trzyma, mieszka tam, gorzałką handluje, chodzą do niego tak chłopcy, jak i baby. I jest też u nas droga błotnista, na całą okolicę słynna, bo trzeba tygodnia dobrych upałów, by kałuże na niej wyschły. Ojciec mój jest kawalarz, a ma kilku koleżków, takich samych jak on. Siedzą u nas w chałupie wieczorem, z fajeczek pykają, gazetę czytają, o polityce debatują. Czekają tylko, by kto dał znak, że baby do karczmy poszły. Jak się dowiedzą, a trafi się akurat, że noc ciemna, to zaraz fajki gaszą, po kaftany sięgają i za stodołę biegną. Stoją tam suche krzaki, takie, co to po rowach rosną, wyschnięte i do szutek przygotowane. Łapią oni te krzaki i pod karczmę. Czekają. Nareszcie wyjdą baby, a całkiem trzeźwe to nie są. W ciemnościach

na pamięć trzeba iść. A tu już te krzaki, tarniny czy inne, przygotowane leżą. Namaca baba krzaki, to zawraca. I prosto w kałużę. A oni już z drugiej strony. Wygrzebie się ona, parę kroków zrobi i znów na krzaki trafia, to zawraca i znów w kałużę. „Kumo, gdzie my wlaży?”, pyta jedna drugą, a drogi znaleźć nie mogą, póki się ojcu i koleżkom figiel nie znudzi.

Bronka chichotała jak dziecko.

- U nas nikt takich szutek nie robi – powiedziała z żalem.
- Skąd wiesz? Pójdź raz do karczmy, to się przekonasz.
- Dałbyś ty mnie, jakbym tam poszła.
- A pewnie. Bom ja się z piękną szafareczką żenił, a nie z babą, co gorzałą goli.

Bronka nic nie odrzekła, a z ciszy, jaka zapadła, Jaśko wywnioskował, że coś powiedział nie tak. Trudno z tymi babami dojść do ładu. W domu matka i trzy siostry, wydawać by się mogło, że dzięki temu człowiek wszystkiego się o nich dowiaduje, a to nieprawda. Jakbyś żył obok dziwnych stworzeń podwójnych, które na zewnątrz inne niż w środku. To jak z miastem, którego ulice tyle razy przemierzasz, że gdy zamkniesz oczy, widzisz każdy szczegół, ale co się dzieje w tych domach, jak one urządzone, jakich mają mieszkańców, nigdy się nie dowiesz, chyba że kto cię zaprosi. Baby zaś to mają do siebie, że do swego wnętrza nie zapraszają. Domyśl się, jak tam jest, a nie domyślasz się, to wywołasz gniew, łzy albo obrazę.

Szczyściem był Franek, który wyczuł napięcie i od razu zaczął mówić. Tym razem o polityce, konstytucji i niezrealizowanej reformie rolnej.

- Jakby ona na korzyść wielmożnych panów dziedziców była, to zaczęto by ją realizować, zanim sejm by przegłosował. A tak tylko na papierze. Cóż nam z tego? Tyleż samo co z carskiego uwłaszczenia, co to niby dało chłopom własność, ale nie dało pastwisk, nie dało lasów, ziemi nie dało, a to, co wcześniej nazywano pańszczyzną, przemianowano na odrobek.

Po tych słowach zamilkli wszyscy troje, zadumani nad niesprawiedliwością losu, który zawsze przeciw chłopu. A ponieważ wóz już rozładowano, Franek, co do niego niepodobne, bez słowa wziął lejce i dał koniom znak, że czas ruszać.

- Ty, Bronka, zostań w domu, obrządek na południe zrób, co do jedzenia przygotuj. My we dwóch damy radę – powiedział Jaśko.

Skinęła tylko głową, widły oparła o ścianę obory i poszła do chałupy. Pewnie zaraz po Edka poleci, nie wytrzyma bez dziecka cały dzień. Tylko

sobie roboty tym doda, małego będzie musiała pilnować, ale jak jej się tam chce. Teofili jedyne zajęcie teraz to wnuki bawić.

– Miałbym ja do ciebie sprawę – niespodziewanie odezwał się Franek.

– Co ci potrzeba?

– Nie chciałby ty tego swego siwego ogiera sprzedać?

Jaśko spojrział na szeroki koński zad, na którym mięśnie to napinały się, to rozluźniały.

– Silny on, choć wariat.

– On nie wariat. Ty nerwus, to i on przy tobie taki. Jak nie sprzedać, to może pomienić.

– A za co i z kim? – zapytał Jasiek bardziej z uprzejmości niż ciekawości. Nie chciał się konia pozbywać.

– Powiem ci szczerze, boś ty mój przyjaciel. U nas bieda, to mój ojciec u Żydów jeździ, czasem we dworze się najmuje, ale najczęściej u Żydów. Ma wóz dobry, ogiera siwego, takiego jak twój, i kasztanową klaczkę. Ogier silny, klaczka słabsza, męczy się szybciej, wiesz, jak jest. Teraz na dodatek żrebna, trzeba by ją trochę oszczędzić, ale jak tu oszczędzić, kiedy grosza w chałupie nie ma? Ze żrebaka też radości nie będzie, bo u nas o jajka, mleko i cukier trudno, więc dokarmiać go nie będzie czym. Trzeba pewnie od razu sprzedać. Ot i tak to wygląda. Jakem cię rano zobaczył, to sobie pomyślałem, zagadnę, a nuż się uda. Nie lubisz tego konia, a on ciebie nie lubi. Klaczka spokojna, pokorna. I żrebaka od niej mieć będziesz, a z tego, com u was widział, wykarmisz go bez kłopotu.

Prawda była taka, że Jaśkowi ta zamiana wcale się nie uśmiechała. Są jednak czasem takie sytuacje, gdy człowiek robi coś wbrew sobie, bo wie, że tak właśnie powinien się zachować.

– Toś ubił, bracie, interes.

Franek objął go za szyję, przyciągnął do piersi i pocałował w czubek głowy jak dzieciaka.

– Rad jestem niewypowiedzianie, żeśmy się dogadali. Jedno mi jeszcze powiedz. Do partii chłopskiej się zapiszesz?

– Nie może być inaczej.

Rozdział trzydziesty pierwszy



*Kipi kasza, kipi groch.
Lepsza kasza niż ten groch.
Bo od grochu boli brzuch,
a od kaszy człowiek zdrów.*

Tak uczyła dziecięca rymowanka. To nie chleb, którego spożywano niewiele, a w niektórych okresach roku wcale, tylko ziemniaki i kasze stanowiły podstawę wszystkich posiłków w chłopskiej kuchni. Przyrządzano je na gęsto, kraszono olejem, a czasem słoniną albo gotowano z nich zupy. Rozmaitość kasz zadziwia. Przygotowywano je w domach, stałym elementem wyposażenia każdego gospodarstwa były stępy kaszarskie. Ziarno albo tylko obłuskiwano, albo łamano, albo gnieciono na płatki. Z jęczmienia uzyskiwano pęczak, kaszę mazurską i perłową, z prosa kaszę jaglaną, z pszenicy mannę, z gryki gryczaną i krakowską, a z owsa płatki owsiane.

Wrzesień 1936

Jesień skrzydłem północnego wiatru musnęła świat, dając znak temu, co ma zimę przetrwać, że powinno szykować się do snu, a temu, co ma umrzeć, że ostatnia to chwila, by cieszyć się życiem. Dlatego też susły, których futerka zdobiły jasne, perłowe plamki, i myszy, bure z czarnym paskiem na grzbiecie, uwijały się wśród ścierni. Chomiki polne, tłuste jak nigdy, taszczyły do nerek ziarna upchane w policzkach. Przysiadają czasem na swoich krótkich, czarnych ogonkach, wystawiając do słońca brzuszki. Wtedy dopiero można było podziwiać elegancję tego zwierzątka, które zupełnie po

pańsku odziane było w brązową marynarkę, czarną kamizelkę oraz białe rękawiczki i onucki. Błyszczącymi jak paciorki oczyma wodziło po polu, uważne, ale nie tak strachliwe jak mysz czy suseł. Gdy chomik dostrzegł zbliżające się niebezpieczeństwo, umykał, jednak zaskoczony stawał do walki. Podskakiwał na pół sążnia w górę, wydając piskliwe okrzyki jak jakiś wschodni wojownik, a gdy to nie odstraszyło atakującego, rzucał się z zębami. A były one tak ostre jak najlepiej wyszlifowany kozik. Nieraz wracał do domu pies czy kot z nosem poharatany, ranami na łapach, a nawet brzuchu. Bywało, że mimo wielkiej swej odwagi mały wojownik zginął. Żałość wielka ludzi brała, gdy patrzyli na jego truchelko, wyglądał bowiem wtedy jak mały człowieczek, poległy na polu walki.

Na miedzach, spasionych do gołej ziemi, przysiadły koniki polne i duże, błyszczące żuki. Z każdym dniem ciężiej było im chodzić, a o lataniu mowy być nie mogło. Szukały miejsc nagranych słońcem, bo to ciepło dawało im siłę. Jednak słońce stygło z dnia na dzień i coraz częściej można było napotkać żuki przewrócone na grzbiet, próbujące jeszcze zamachać kostropatymi łapkami, ale już bez nadziei, że uda się wstać. Koniki polne grały żałobne nokturny coraz ciszej i ciszej.

Chłopi czyścili pługi. Lemiesz błyszcząły w jesiennym słońcu, jakby odlane były ze szczerzego srebra. Kładziono je na wozach, obok koszyka z grubymi pajdami chleba, serem, cebulą i butelką wody, zaprzęgano konie i ruszono w pola. Tam konie przepręgano do pługów i zaczynała się orka. Ze wszystkich prac w polu najcięższa. Gdy kto stał z boku i patrzył na lemiesz, który odkrawał skibę ziemi z taką łatwością, jak dobrze naostrzony nóż kroi masło, trudno było uwierzyć, jak trudna to była robota. Na dłoniach tworzyły się bąble, plecy piekły, jakby kto je wrzątkiem polewał. Mięśnie albo się telepały, albo łapały w nich skurcze. Siły uchodziły szybko, a postny chleb z serem ich nie przywracał. Do tego cały czas trzeba było na konia uważać, żeby się nie przemęczył, nie naciągnął, nie podbił, nie ochwacił. Bo koń cenniejszy niż chłop.

Wojtek Dołęga, podobnie jak inni gospodarze, wyruszył w pole. Gospodarze! Tfu! Splunął, bo go to słowo, nawet przywołane w myślach, mierziło. Analizował drogę, która go zawiodła do tego przeklętego miejsca. Jak w tej bajce o człeku, co wędrował przez las, a gdy się zatrzymywał, zdawał sobie sprawę, że jest dokładnie tam, skąd wyruszył. Uciekł Wojtek ze wsi, bo nie chciał gospodarzyć, pole siostrze sprzedał, a teraz, po czterech

latach, na powrót był chłopem, który wyrusza na pole, by orać. Żeby to chociaż było jego własne pole. Niestety. Szwagier, ten mruk, momot, uparty jak bydło, ani słyszeć nie chciał o podziale schedy.

– Ja będę robił na ojcowych pięciu morgach, a ty na babczynym i tym kawałku przy krzyżowych drogach – powiedział.

Uznać to należało za przemowę, bo nikt nigdy nie słyszał, żeby Kajtek Mazur powiedział naraz więcej niż trzy słowa.

– Weź sobie wszystko, a siostrę spłać – zaproponował Wojtek.

– Już twoja cię spłaciła.

Żądania, by u notariusza ziemię podzielić, szwagier zbywał uśmiechem. I na tym się kończyło, bo jak się okazało, Mazur nie mówił wiele nie dlatego, że był cofnięty na umyśle, tylko dlatego, że nie chciał. Wojtek, mocny w gębę, który każdego przegadać potrafił, wobec milczenia stawał się bezsilny. Ani słowa przymilne, ani gniewne, ani rozsądne nie robiły na Kajtku wrażenia. Wojtek mówił, a miał wrażenie, że tamten siedzi za szybą tak grubą, że ani go nie słyszy, ani nie widzi.

Zachciało ci się Wietki, to teraz masz, wypominał sam sobie. Co też ta chuć z człowiekiem robi to trudne do uwierzenia. Toż ona taka sama jak wszystkie inne. Gdyby mu nie odmawiała, wziąłby, co chciał, i w dwie niedziele o niej zapomniał. Z tej jednak przyczyny, że dać nie chciała, ożenił się i teraz był jak z kulą u nogi. Uparta flądra, pomyślał o żonie, to u nich rodzinne. Na dodatek w sporze o zapis niespodziewanie stanęła po stronie brata.

– Jeszcze matka moja nie ostygła, a ty już krwawicę naszą chcesz dzielić? – krzyczała tak głośno, że każdy jak wieś długa słyszał. A Tynczyn długi był, że ho, ho.

Nie pierwszy to raz, a pewnie nie ostatni, mogli szanowni tynczynianie posłuchać, co się między małżonkami dzieje. Wietka okazała się choleryczką, choć nic na to nie wskazywało. Pierwsze dwa miesiące małżeństwa upłynęły im jak we śnie lepkim i gorącym. Wciąż szukali siebie, nie wychodzili z łóżka, senni i rozgorączkowani. Wietka była cudownie niewinna, ale chętna, dzika i pojętna zarazem. Pachniała jak moczary w letni dzień, jak ogród kwiatowy, gdy spada poranna rosa, i tym zapachem otumaniała Wojtkę, który czuł się jak opity kompotem makowym.

W końcu jednak każdy głodny się nasyci, a spragniony napoi. Nadeszła chwila, gdy żona nie miała mu już niczego do zaoferowania, zaczął więc ją odsuwać, nie ze złośliwości, tylko zwyczajnie, by odpocząć. Wtedy się

okazało, że choć on jest zaspokojony, Wietka nie. Naciskała na niego, a gdy prosił, by przestała, zachowywała się jak wzgardzona kobieta i wybuchała płaczem. Szybko jej to minęło i łzy zamieniły się w krzyki. Wyrzucała Wojtkowi, że ją omamił, inny los obiecywał, że nie kocha. Początkowo gasił te wybuchy złości, tłumaczył, przytulał, a gdy to nie pomagało, rzucał Wietkę na łóżko. Zaspokojona cichła natychmiast i potulniała, łasiła się jak kotka, mruzczała przymilnie i dzień, dwa było spokoju. Potem zaczynało się od początku.

W końcu Wojtkowi znudziło się wysłuchiwanie pretensji i gdy żona zaczynała krzyczeć, po prostu wychodził. Znajdował ukojenie u spokojnych mężatek, zwłaszcza miła mu była Marinka Matwiejczukowa. Westchnął na wspomnienie jej gorących ud, gdy oplatała mu biodra w ciemnej oborze. Szkoda, że wszystko, co dobre, szybko się kończy. Co strzeliło Pietrowi, że z domu odszedł, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że pewnego wieczoru położył się spać przy żonie, a rano nie było go ani w łóżku, ani w chałupie, ani w obejściu, ani we wsi. Przepadł jak kamień w wodę. Ten i ów miał na ten temat własne zdanie. Byli tacy, co mówili, że podobnie jak wielu zaangażowanych politycznie do Niemiec wyjechał. Byli też tacy, do których stara Pomiechowska należała, co Wojtka czynili winnym odejścia Matwiejczuka.

– Na to, co jego własna baba wyczynia z Dołęgą, patrzeć nie mógł – mówiła.

– Jakby tak z moją żonką, córką, siostrą robił, to dałbym ja mu sto batów przez grzbiet – odpowiadał jej ten, z którym właśnie rozmawiała, zupełnie nieświadom, że w czasie gdy wygłaszał to zdanie, Wojtek z jego żonką, córką, siostrą wyczyniał, co chciał, ku obopólnemu zadowoleniu.

Gdy z nieznaney przyczyny Pietro odszedł, Marinka umyśliła sobie, że kochanek zajmie miejsce męża nie tylko w łóżku, ale i w obejściu.

– Ktoś mi musi pomóc. Jakże to, sama z dziećmi zostałam.

Na to Wojtek się nie pisał. Wystarczy, że Wietką był uwiązany. Przy czym żona miała pewne atuty. Gdyby udało się zdobyć trochę grosza i tę cholerną wieś opuścić, mogłaby być wabikiem, mogłaby dawać znak, kto co ma w kartach, mogłaby też spieniężyć swoją urodę, może nawet znalazłaby kogoś, kto by jej bardziej pasował niż Wojtek, i rozstaliby się ku obopólnej korzyści. Taka kobieta jak Marinka nie nadawała się do tego, by do innych chłopów się wdzięczyc. Za mądra była, by przymilnym słowem udało się ją

przekonać. Zbyt dumna, zbyt uczciwa. Nade wszystko na takie życie za mądra. Na dodatek miała dzieci. Porzuciłaby je, to każdego dnia tysiąc razy nazwałaby siebie wyrodną matką. Zabrała... To nie wchodziło w grę. W ogóle Marinka po odejściu męża nie wchodziła w grę i dlatego Wojtek wycofał się z tego romansu, jak się dało najrychlej.

Zapłacił za to, bo urażona kochanka czym prędzej pobiegła do Wietki i ze szczegółami zdała relację ze wszystkiego, co we wsi wyczyniał Wojtek. Na szczęście o ich schadzkiach w oborze nie miała odwagi powiedzieć, ale i tak zrobiło się piekło. Żeby jakoś ułagodzić żonę, przysiągł, że Matwiejczukowa kłamie, że on już od dawna na żadną inną nawet nie spojrzął, bo kocha tylko Wietkę i zamierza ciężką pracą poprawić ich los. Odłożą trochę pieniędzy, a potem wyjadą, tak jak to zostało ustalone przed ślubem.

Prawdą było, że Wojtek planował wyjazd, ale sam. Teraz, po śmierci Marszałka, wszędzie panował bałagan i można było coś niecoś na tym skorzystać. Wkręcić się gdzieś, urzędnika udać, kogoś z komisji państwowej na wizycie, niemieckiego arystokratę wydalonego z Rzeszy, który zbiera fundusze na wywóz rodzinnego skarbu głęboko ukrytego, czy inną jeszcze historię wymyślić, w którą ludzie uwierzą, bo nic tak skutecznie nie mąci rozumu jak nadzieja na szybki i łatwy zarobek.

Potrzebował na to tylko trochę gorsza, żeby ubranie porządne kupić i w lokalu mieć czym zapłacić. Resztę w karty wygra albo pożyczycy, albo też ukradnie. Miał już pomysł na ten kapitał początkowy. Zamierzał sprzedać chałupę babki, która na niego przepisana, a której babka już nie potrzebowała, bo z racji wieku nie powinna sama tam mieszkać. Niech więc idzie do Natali albo do wuja, niech się tam nią zaopiekują. Kupca znajdzie, bo się drożył nie będzie, zresztą nie ma z czym, chałupa stara, choć z porządnych brusów stawiana. Tyle że trzeba z tym poczekać do wiosny, bo wyruszać w świat jesienią mogą tylko te ptaki wędrowne, co do ciepłych krajów odlatują. Zimą lepiej siedzieć w cieple, spać, pić i jeść.

Tylko że zanim zima przyjdzie, trzeba to cholerne pole zaorać, oziminę zasiać. Udawać dobrego gospodarza, pokornego męża, czułego kochanka. Uspokoją się burze w rodzinie, przycichnie wszystko, a wtedy gdy nikt nie będzie się tego spodziewał, zniknie Wojtek, tak jak to zrobił Pietro Matwiejczuk. I niech Pomiechowska zachodzi w głowę, z jakiej przyczyny.

– Durna to ona nie jest – ze śmiechem powiedział na głos. – Dobrze będzie

wiedziała. I nie tylko ona. Powiedzie mi się jednak, bo jak to ludzie powiadają, do trzech razy sztuka, tedy ostatni raz to będzie, gdy Tynczyn opuszczę.

I gwizdnął na konia, by go zachęcić do roboty.

Trzy razy obszedł pole, gdy na drodze dostrzegł znajomą postać. Ściągnął lejce, by konia zatrzymać. Zwierzę natychmiast w miejscu stanęło, rade z chwili przerwy. Wojtek podniósł rękę, pomachał.

– Hola! A gdzie to idziesz, siostrze?

Natala zboczyła z drogi i szła po grzbietach skib. Powoli, bo po oranym trudno iść szybko.

– Boże dopomóż – pozdrowiła go zwyczajowo. – Do teściów idę. Zbierają się jutro do miasta, może mnie sprawunki zrobią.

– Ty się nie zbierasz?

– Roboty mam dużo.

– Tylko robisz i robisz, a gdzie czas na odpoczynek?

– Kiedy ja robotę lubię.

– W dziadka się wdałaś, on też robiłby od świtu do nocy, a jakby mógł, to jeszcze w niedzielę.

Natala skrzywiła się na te świętokradcze słowa. Niedziela była niedzielą, świętem wielkim. Nawet gdyby coś z plonów przepaść miało i widmo głodu stanęłoby na progu, nikt by w pole nie ruszył. Święcić to święcić, Pan Bóg więcej ma, jak rozdał, wie, co czyni, a bogobojnemu wynagrodzi. Wojtka śmieszyły chłopskie gusła. Z drugiej strony sam chętnie święciłby każdy dzień, nie tylko niedzielę. Bo robota lubi głupiego, a on głupi nie jest.

– Tak tylko powiedziałem – łagodził. – Lubiłem go, niech mu ziemia lekką będzie. – I nie ty jedna, siostrze, masz coś po tym starym capie, pomyślał. Mnie w spadku przypadł pociąg do wódki i bab. – Widzisz, teraz i ja na roli robię. – Podniósł lejce w górę, co koń mylnie uznał za znak, by ruszać. – Prr! – zakrzyknął, ściągając lejce ku sobie.

– To nie wstrzymuję. – Odwróciła się, by odejść.

– Stój, Natala, gdzie ci tak pilno? Toż wiem, że mnie unikasz.

Przygryzła wargę, nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Wzięła wdech głębszy, jakby to jej miało dodać odwagi.

– Jakże mam nie unikać, skoro wy z babką tylko o jednym?

– Wybacz – poprosił jak najprzymilniej. – Wiesz, jaka ona jest. Jak ktoś ci o jednym gada od rana do wieczora, to cię w końcu przegada. Alem to sobie

wszystko przemyślał i dobrze jest, jak jest. Mnie pola nie potrzeba. Interes w mieście nie wyszedł tak, jakem się tego spodziewał, ale kryzys wieczny nie będzie. Poczekam rok, dwa, coś się przecież zmieni, nie? Wietka też na wieś nie stworzona. Póki świekra żyła, to nie chciała jej zostawiać, bo to matka przecie, a wiesz, jaki jest Kajtek i ta jego Jadźka. Teraz jednak nic już nas tu nie trzyma.

– Nic? A babka?

Wojtek tak kompletnie nie poczuwał się do zajmowania gderliwą staruszką, że to pytanie go zaskoczyło. Szukał w myślach odpowiedzi, która nie zdradziłaby jego planu pozostawienia babki na opiece siostry.

– Dałby jej Pan Bóg i sto lat pożyć, ale oboje dobrze wiemy, że trzeba się cieszyć każdą z nią chwilą, bo to już końcówka. Choruje bidulka, i teraz już naprawdę, to nie wymyśli.

Natala skinęła głową, ale widać było, że nie jest przekonana.

– Zajdź do niej kiedy, to się przekonasz.

– Może i zajdę. – Te słowa wcale nie brzmiały jak obietnica.

– Nie będzie cię do odpisu namawiać. To już skończone. Zresztą to sprawa między nami. Ja pretensji nie mam.

Bo i nie miał. Niestety, nie miał też pieniędzy, a siostra je miała. Może i pożyczylaby bratu w potrzebie, ale nie wtedy, gdy się na niego gniewała. Trzeba było najpierw konflikt załagodzić, wkraść się w jej łaski, przekonać o szlachetności własnych zamiarów. To ostatnie najtrudniejsze, bo Natalia nie była już tą dziewczyną, która z otwartym sercem czekała powrotu brata z wojska. Zbyt wiele razy ją zawiódł i teraz była ostrożna. Nie ma jednak takiej ostrożności, której nie da się uśpić.

– Pomiechowska mówiła, żeś do sądu jeździła. Prawda to? – Postanowił zmienić temat.

– Wzywali, to jeździłam.

– Trudno uwierzyć, że takiego czynu się dopuścił. Toż to matczyn parobek był.

– Zły z niego człowiek.

– We wsi inaczej gadają.

– Bo go nie poznali tak dobrze jak ja – prychnęła. – Wiem, jaki on.

Wojtek skinął głową, przyznając siostrze rację.

– Ja tak tylko gadam, że nadziwić się nie mogę.

– Mnie nic nie zdziwi. Jakem z nim sama została, to zniewolić mnie chciał.

Po wsi za mną krążył jak wilk. A na koniec podstępem człowieka zgładził.

Napięcie na twarzy Natali uświadomiło Wojtkowi, jak bardzo siostra bała się Jakubka. Teraz sobie przypomniał, jak nerwowo zareagowała na wieść, że tamten osiadł w Mikulinie. Jej późniejsze zachowanie, które tłumaczył sobie złością, zapewne było strachem.

– To dobrze, że go sprawiedliwość spotkała. Dzielna jesteś, żeś powiedziała, co się stało.

– Tyle mego spokoju, gdy on za kratami.

Wojtek rozwarł ramiona, dając znak, żeby się przytuliła, ale przecząco pokręciła głową i zrobiła krok do tyłu.

– Pójdę już. Ciebie haję, a i sama czas tracę.

– Prawda to. – Gdy odeszła z dziesięć kroków, zawołał: – Natała! Może by wy tak której niedzieli do nas przyszli?

Nie zatrzymała się, ale zwolniła kroku.

– Zobaczym – odkrzyknęła i ruszyła ku kolonii, do Adamczuków.

Wojtek smagnął koński zad lejcamy, dając znak, że czas wracać do pracy.

Zadziwiające, jak to czasem los się dziwnie plecie. Kornelowicz nie miał zginąć, tylko się przestraszyć. Gdyby nie szarpnął drzwi z takim impetem, kamień by go nie zabił. A może by i zabił? Może źle został wyważony? Tak czy inaczej, plan był taki, że Kornelowicz wpadnie we wściekłość wymierzoną w Ukraińców. Jako winnego wskaże Pietra, bo przecież miał z nim na pieńku o pole, którego sprzedać nie chciał. Pietro pójdzie siedzieć, a w zamieszaniu nikt nie będzie pamiętał o pieniądzach, jakie dał Wojtkowi, by zadatkować Kornelowicza. Czy siedzący w więzieniu może się upominać o swoją własność? Przecież to będzie słowo przeciw słowu. Jeśli zważyć na stosunek sądów do zamachowców ukraińskiego pochodzenia, nie należało liczyć na łagodny wymiar kary. Jednak bez względu na to, jak by się sprawa w sądzie zakończyła, w momencie wyjścia Pietra na wolność Wojtek byłby już bardzo daleko.

Niestety, wszystko przyjęło zły obrót. To się czasem zdarza. Gdyby trwało śledztwo, ktoś by sobie w końcu przypomniał, że Wojtek wychodził, niby za potrzebą. Może nawet znalazłby się ktoś, kto go widział? Nawet po zmierzchu wielu ludzi po gościńcu się szwenda. Tymczasem przybiegła Natała i przez nikogo nieproszona, przez nikogo nienakłaniana, na całą wieś wykrzyczała, że Jakubek po nocy się kręci, że zamiary ma złe, że to rozbójnik. Nie pomogły słowa narzeczonej biedaka, która świadczyła, że on

uczciwy. Ludzka natura taka, że w złe słowa każdy wierzy od razu, a nad dobrymi rok rozmyśla.

Nagle przyszła Wojtkowi do głowy myśl, że może wcale nie musi jednać się z Natalą, by od niej trochę grosza wyciągnąć. Przecież źle by było, gdyby teściowie, co jakoś nie szaleli ze szczęścia, gdy za Dyzia szła, dowiedzieli się, że krzywoprzysięgała. A i parobek, który wcześniej złych zamiarów nie miał, teraz zapewne ich nabrał, niesłusznie ze kratami siedząc. Gdyby znalazł się ktoś, kto by mu pomógł z więzienia wyjść, mógłby zemsty na swej oskarżycielce szukać. Nawet gdyby nie szukał, sama świadomość, że Jakubek może wyjść na wolność, wystarczy, by Natalę przestraszyć. Wojtek oczywiście nie chciał działać przeciw siostrze, ale na krzywdę tamtego patrzeć nie mógł. Sumienie głośno się dopominało, by powiedział, jak było, że za śmiercią Kornelowicza stał nie kto inny jak Pietro. Czas pokazał, że tamten winien, bo porządny człowiek nie ucieka po nocy od żony i dzieci.

Sumienie się dopominało, by Wojtek powiedział prawdę. Bardzo się dopominało. Podzieli się tym z Natalą i delikatnie podpowie, jak je uciszyć.

Zagwizdał wesoło. Ostatni raz to pole orze. Ostatni raz w życiu.

Rozdział trzydziesty drugi



Biały ser był jednym z podstawowych produktów kuchni chłopskiej, dostarczającym białka. Stanowił podstawę wielu dań, zarówno słonych, jak i słodkich. Powstawał w bardzo prosty sposób – mleko wlewano do kamiennego naczynia i odstawiano w niezbyt ciepłe miejsce (około osiemnastu stopni), żeby skwaśniało czy, jak to się mówi potocznie, żeby się zsiadło. Zsiadłe mleko podgrzewano na kuchni, bardzo powoli, nie dopuszczając do zagotowania, co wymagało pewnej wprawy. Gdy już widoczna była różnica między serwatką a serem, zdejmowano z ognia garnek i jego zawartość przecedzano. Na sicie zostawał delikatny twarożek. Serwatkę pito – to bardzo zdrowy, ożywczy napój, smarowano nią ręce, mieszano z paszą dla zwierząt. Ser odciskano w ściereczce, by usunąć resztki serwatki. Jedną z popularniejszych potraw z twarogu był ser gotowany. Ser kruszono drobno i zostawiano w przykrytym naczyniu na kilka dni w ciepłym pomieszczeniu. Mieszano codziennie, by równomiernie gliwiał. Gdy już zżółkł, doprawiano go kminkiem, solą, dodawano odrobinę masła lub śmietany i gotowano na małym ogniu, cały czas mieszając, aż powstała jednolita masa. Tak przygotowany ser mógł być dodatkiem do chleba albo jadło się go jako samodzielną potrawę.

Sierpień 1937

Zadziwiająco często zdarzało się Jadźce zastanawiać, czy idąc za męża, dobrze zrobiła czy też nie. Głowiła się nad tym przed ślubem, ale przypuszczała, że gdy kłamka zapadnie, miną wszelkie wątpliwości. Tak się nie stało.

Chwilami wydawało jej się, że to słuszna decyzja. Kajtek pasował do ich rodziny, jakby zawsze do niej należał. Spokojny był i pracowity, tak samo jak

Wawrzek czy ojciec. Jeśli nie było roboty w polu, pracował w zagrodzie albo siadał na ławie przed domem czy na zydłu pod piecem i koszyki płótk. Wpadało za nie zawsze trochę grosza, bo porządnie wypłatał, baby chwaliły, że długo służą i pałaki się nie łamią, nawet jak co ciężkiego przyjdzie nosić.

Ojciec wyjątkowo Kajtka polubił. Mówił o nim „grzeczny chłopak” i często chwalił, nawet za najdrobniejsze rzeczy.

– Ty widziałaś, jak ładnie kobyłę wyczesał? Aż się błyszczy. Jak jej życie tak wyczesana nie była – mówił.

Albo też:

– Kajtek nowe nogi do ławki wystrugał. A tak wymierzył, że teraz się nie chybotze i siedzieć przyjemnie.

Czy:

– Jakiż to dobry chłopak. We wszystkim mnie posłucha. Powiedziałem mu, żeby od miedzy nie odbierał, to i nie odebrał. Nie będą się teraz Kity awanturować.

Jadźkę, gdy słuchała tych pochwał, napawała duma. Poślubiła dobrego człowieka. Nie sprowadziła pod ojcowski dach awanturnika, karciarza, pijaka, tylko pracowitego gospodarza. Sprawiała, że rodzice nie musieli się martwić jej losem, tak jak się martwili o Werę i Dorotkę, które wciąż były pannami. I tak pewnie zostanie, bo w ciężkich czasach lepiej biedę klepać samemu niż patrzeć na głodne dzieci. Mało to takich po wsi? A w miastach podobno jeszcze więcej. Niby siostry miały robotę, ale czy ona pewna? Odwidzi się chlebobawczyni, to wygoni na cztery wiatry i kogoś innego najmie, bo dziś znaleźć kogoś, kto i za pół darmo będzie robił, to nie kłopot. Rodzice do rzemieślników, fabryk czy służby oddawali dzieci, zgadzając się, by przez rok pierwszy pracowały za miskę zupy. Nic dziwnego, skoro ta odrobina stawy to więcej, niż mogli synowi czy córce w domu dać. Takie czasy, gdy jeśli nie było się zamożnym, dzieci lepiej nie mieć.

O dzieciach z Kajtkiem nie rozmawiali. Po cóż o tym więcej niż tamten raz mówić? Jadźka dzieci mieć nie chciała. Pewna była, że Kajtek tak samo. Tedy o dzieci się nie starali i byli ze sobą od wielkiego dzwonu, ot tyle, ile trzeba, by ludzkiego gadania nie wzbudzać.

Dziwne to, że choć w chałupie ciemno, a za ścianą tylko ojciec i matka, to jeśli chłop ze swoją żoną nie śpi, zaraz cała wieś o tym gada. Skąd wiedzą? Nie wiadomo. We wsi to już tak jest, że wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Tajemnica wtedy tylko pozostanie tajemnicą, gdy ludzie uznają, że

dla wspólnego dobra lepiej o czymś nie mówić. W innym wypadku, choćbyś na głowie, człowieku, stawał, nie tylko wiedzieć, ale i mówić o tobie będą, co zechcą.

Na szczęście o Kajtku i Jadźce nie gadali zbyt wiele. Początkowo, gdy wyszły zapowiedzi, w Tynczynie o niczym innym nie plotkowano. Jedni się dziwili, inni twierdzili, że wiedzieli o tym od dawna. Ktoś widział tych dwoje nad rzeką, inny ktoś na gościńcu, jeszcze ktoś słyszał o ich planach, ale wiary nie dawał. Po kilku dniach jednak wszystko ucichło, tak jak cichnie porywisty jesienny wiatr. Inne sprawy przykuły uwagę mieszkańców wsi i już ani Kajtkiem, ani Jadźką zbyt wiele się nie zajmowano. Co nie znaczyło, że ludzie na powrót nie zaczną o nich gadać, jeśli tylko znajdą powód. Dlatego też należało robić wszystko, by uwagi sąsiadów nie przyciągać. Bo i po co?

Mimo tych chwil, gdy zdawało się Jadźce, że słusznie zrobiła, przychodziły też takie, gdy ogarniały ją wątpliwości.

Kajtek nie mówił wiele, prawie nic, dlatego też nie było wiadomo, o czym myśli, co mu po głowie chodzi. Niby w Piśmie stało, że po owocach należy poznawać, a owoce wszystkiego, co robił, okazywały się jak najlepsze, czasem jednak byłoby po prostu miło usłyszeć od niego słowo czy dwa.

Inna sprawa, która niepokoiła Jadźkę, to zaangażowanie Kajtka w politykę. Chodził na ukraińskie zebrania i wcale się z tym nie krył.

– Jakaśmy byli pod carskim butem, wszyscyśmy byli jednakowi. Nikt się nie zastanawiał, czy jest Ukraińcem, czy Polakiem. Katolicy byli katolikami, prawosławni albo prawosławnymi, albo unitami. Żydzi byli Żydami. Za cara i oni cierpieli, to się z ludem zwykłym bratali. Teraz łby popodnosili, na chłopskiej biedzie żerują. Taki Żyd teraz się uważa za nie mniej ważnego niż dziedzic. A jak się wykształci na lekarza, to jeszcze wyższe ma o sobie mniemanie i zwykłych ludzi leczyć nie chce. Taki to fałszywy, judaszowy naród, ot co. Od ciebie kilo cebuli kupi za pięćdziesiąt groszy, a w mieście sprzedaje za dwa albo i trzy złote. I pyszni się, jaki to zaradny. A żeby choć jeden z nich tę cebulę posadził, oplewił i zebrał. Nie znajdziesz takiego – mówił ojciec.

– To wina rządu, nie Żydów – tłumaczył Wawrzek. – Bałagan jest w kraju i oni na tym korzystają. Tyle narodów, co w Ameryce, to nigdzie indziej na świecie nie ma. Ale niechby jeden nad drugim chciał się wywyższać, to by mu dali. Tam tyle znaczysz, ile jesteś w stanie wypracować. U nas znaczysz

tyle, co stołek, na którym siedzisz, a czyś na nim zasiadł uczciwie, czy nie, to już inna sprawa. Jak nieuczciwie, to czy ktoś ci coś powie? Nie. Bo jeden się boi, a drugi kalkuluje, jak się w łaski wkraść i jakiś pomniejszy stołeczek sobie pod dupę podsunąć.

Kajtek tylko słuchał takich rozmów. Nic nie mówił. Gdy go pytano, ramionami wzruszał. Na zebrania do Ukraińców chodził, a w ruch chłopski się nie angażował.

– Ojciec gadali, że w Nowosielicach bez mała dwieście tysięcy ludzi było – powiedziała Jadźka którejś zimowej niedzieli. – O nasze chłopskie sprawy walczyli. Po majątkach strajkują, wszyscy nasi za Witosem murem stoją. A ty, Kajtku, za nim jesteś?

Tylko kiwnął głową.

– Tatko mówi, że teraz nastąpi zryw większy niż w piątym roku. Wtedyśmy o język i wiarę walczyli. Teraz walczymy o życie – ciągnęła, a Kajtek znowu głową skinął, ale bez przekonania.

Podobnie gdy opowiadała o aresztowaniach, wbijaniu drzazg pod paznokcie przesłuchiwanym, w których żadnej winy, poza udziałem w proteście, nie było, o próbach przywrócenia pańszczyzny przez dziedziców, o karach, jakie policja nakładała na chłopstwo za rzeczy tak błahe jak nieuwiązany pies, płot niepomalowany czy gacie na tym płocie wiszące.

W styczniu Stronnictwo Ludowe zapowiedziało przeprowadzenie powszechnego strajku rolnego. I choć planowany był na sierpień, tylko tym żyła wieś przez kolejne miesiące. Ojciec z Wawrzkiem o niczym innym nie mówili, a nie oni jedni, bo i Jaśko Lipczewski, i Antek Hub, i wielu innych zaangażowało się w przygotowania.

Po sianokosach przyjechał do Tynczyna działacz ludowy z Małoniża, Leon, z synem swym, Frankiem. Wysokie to było chłopisko. Gdy na wozie w dwa siwe ogiery zaprzężonym stanął, wydawało się, że głową nieba sięga. Mowę płomienną wygłosił, nawołując wszystkich, by się do strajku przyłączyli. Największy wiec miał się odbyć na Małoniżu. Zebrać się tam mieli chłopci ze wszystkich okolicznych wiosek. Poza wiecem, zgodnie z tym, co władze partii nakazały, chłopci przez dni dziesięć mieli się wstrzymać od kupowania i sprzedawania.

Jadźka, wewnątrznie tą mową zbudowana, wróciła do domu i zapowiedziała mężowi, że jeśli on się do ruchu chłopskiego nie przyłączy,

to ona będzie musiała to zrobić.

– Pójdiesz na wiec? – zapytała na koniec, a Kajtek skinął głową.

W oznaczonym dniu już wcześniej rano, zaraz po obrządkach, chłopci zaczęli się szykować. Pieszko i wozami, wystrojeni jak na święto, jechali protestować przeciw uciskowi władzy, nierówności społecznej, wyzyskowi.

Jak zawsze, gdy mężczyźni mogło spotkać coś złego, kobiety gromadziły się przy figurach, by wspierać ich modlitwą. Tyle mówiono dookoła, że policja strzela do chłopów. Po innych wioskach użyto karabinów. I to przeciw komu? Przeciw biedakom z cepami i grabiami.

– Takie to państwo, że strzela do niewinnych. Krwią naszą wyzwolone, teraz tę krew przelewa – mówili starzy, ze smutkiem kiwając głowami. – To już za cara było lepiej, bo przynajmniej wiedziało się, kto wróg, kto przyjaciel. Teraz Polak Polakowi wilkiem.

Piękny to był dzień, jakby niebo postanowiło pokazać, że ruch ludowy wspiera. Słońce świeciło jasno, dawało dużo ciepła, ale nie było upału, bo powiewał lekki wiaterek. W powietrzu unosił się zapach ziemi, odsłoniętej po żniwach. Dzieciaki pasły krowy na miedzach i powoli zazieleniających się ścierniach. Jaskółki, które wyprowadziły ostatnie młode i już się szykowały do wyprawy za morze, urządzały gonitwy za muszkami, piszcząc przy tym radośnie.

Wieczór już się zbliżał, gdy dzieciaki od chałupy do chałupy niosły wieść, że chłopcy wracają.

Jadźka oparła widły o ścianę obórki. Martwiła się i o ojca, i o brata. Najbardziej zaś o Kajtkę. Do tej pory był on tylko człowiekiem, z którym połączył ją rozsądek. Dziś, gdy się zamartwiała, czy nie pobity, nie zastrzelony, nie aresztowany, zdała sobie sprawę, że jest miły jej sercu w taki ciepły sposób, nie przyjacielski, a małżeński. Czy ja go Kocham?, zapytała samą siebie, a policzki zapiekły ją rumieńcem. Mogło tak być. W jej sercu, które wydawało się suche jak ta ziemia, co nie zna deszczu, mogła się zrodzić miłość. Wszak nawet na piasku zakwitają kwiaty.

Wytarła ręce i poprawiła chustkę. Wyszła na gościniec. Chciała biec, ale przecież nie wypadało. Zatrzymała się z innymi kobietami przy studni. Początkowo milczały, ponieważ jednak nie ma nic lepszego na nerwy niż gadanie, zaczęły jedna przez drugą mówić o byle czym. A to o ślimakach, co na kapustę się zasadzały, a to o marchwi, co po suszy wilgoci dostała i pęka na potęgę, a to o cebuli, która słabo schnie, a przecież już trzeba ją

w warkocze zaplatać. Ot, takie babskie sprawy ważne i nieważne zarazem.

Między kobietami była i Marinka Matwiejczukowa. Przyszła po wodę, ale została. Jadźka bardzo jej współczuła, bo wciąż nie było wiadomo, gdzie się podział Pietro. Rozmaicie ludzie gadali, jedni, że w głąb Ukrainy wyruszył, inni, że on w Berlinie do nacjonalistycznych bojówek się szkoli. Znaleźli się i tacy, co szeptali, że go żona ubiła i zakopała, by móc z gachem grzechy wyczyniać. W to jednak Jadźka nie wierzyła, Marince zbyt dobrze z oczu patrzyło. Biedna kobieta, została sama, z dwójką dzieci, rodzina męża od niej się odwróciła, z własnych tylko brat jej został, a wiadomo, jak to jest z bratem. Jeśli układa ci się z bratową, to wszystko jest jak najlepiej, jeśli nie, to nie masz ani bratowej, ani brata. Jadźka dobrze to wiedziała. Marianna, choć nie była ładna, miała dobre serce, dlatego Wawrzek zawsze znalazł czas i dla rodziców, i dla sióstr. Natomiast bratowa Marinki rodziny męża nie lubiła, dlatego tyle się widywali co raz do roku na odpuscie w Gródku.

Wracali. Pomęczeni, zakurzeni. Ten i ów z uśmiechem, inny z marsową miną. Kobiety rzuciły się ku nim, wypytywały. Była policja, spisywali, ale do jatki nie doszło, bo chłopci nie dali się sprowokować. Wielu spodziewało się powiastek, bo tak po innych wiecach się działo, że po kilku dniach przychodziły wezwania. Byli też między protestującymi szpiedzy od jaśnie pana dziedzica. Na nich chłopci najwięcej pomstowali, że sprzedawczyki, swojej klasy się wyrzekli, że katolickie wrogi wszystkiego, co według nich nienarodowe. Nazywali ich judaszami albo i gorzej.

Jadźka wypatrywała Kajtka. Nareszcie go dojrzała, szedł na samym końcu. Pewnie się jej nie spodziewał, bo wzrokiem nie szukał, tylko obojętnie wodził od jednej twarzy do drugiej. Nagle oczy mu rozbłysły i na chwilę w tym spokojnym, zawsze jednakowym spojrzeniu pojawiło się życie. Gdy przez pokrywę chmur przedrze się choć jeden promień, człowiek uświadamia sobie ze zdziwieniem, że tam, w górze, za tą gęstwą, świeci słońce. To w tej chwili poczuła Jadźka. Zrozumiała, że za tym spokojem i obojętnością, jaką każdego dnia widziała w mężu, kryją się emocje, jest tam radość, jest miłość.

Poczuła się też oszukana. Nie bardzo, ot tak troszeczkę. Jak wtedy, gdy z żydowskiego sklepu wychodzisz i liczysz drobniaki reszty. Nagle sobie uświadamiasz, że grosza brakuje. Czujesz złość, boś oszukana. I żal, bo czemuż właśnie ty? Jeszcze ci przykro, że sprytny Żyd uznał cię za głupią, taką, której można coś odebrać. A przecież to tylko grosz. Czyż nie mógł go uczciwie wydać? Wiesz też, że wracać nie ma po co, bo cię przegada, powie,

żeś zgubiła, źle policzyła, na koniec, żeś schowała i jego chcesz na grosz naciągnąć. Wiesz to dobrze, boś nie raz miała do czynienia z żydowskimi oszustwami. Gdyś kupowała materiał na sukienkę, to usłyszałaś, że materiał po dziesięć złotych. A potem:

– Panienska nie wygląda mi na bogatą, panienska da cztery złote i garniec kaszy.

Wtedy sobie myślisz, że to dusza człowiek, sypiesz kaszę, wyliczasz pieniądze, cieszysz się jak dziecko. Później się dowiadujesz, że kasza warta była sześć złotych, a ten materiał kosztuje pięć złotych za metr. I złość jest w tobie ogromna, boś się dała oszukać. Większą jeszcze złość powoduje to, że nie unikniesz takich zdarzeń w przyszłości. W żydowskich rękach tkwi cały handel i nie da się tego ominąć, jeśli zechcesz co kupić albo sprzedać, będziesz musiała z Żydem mieć do czynienia.

Te wszystkie uczucia gotowały się teraz w Jadźce – złość, wstyd, smutek, żal. Przykro jej było, że tak się dała oszukać. I nie może podejść do Kajtka i zażądać zwrotu swojej miłości.

Bo spojrzenie męża nie na jej widok tak się rozjaśniło.

Rozdział trzydziesty trzeci



*Pędzi pociąg historii,
błyska stulecie – semafor.
Rewolucji nie trzeba glorii,
nie trzeba szumnych metafor.*

*Potrzebny jest Maszynista,
którym jest On:
towarzysz, wódz, komunista –
Stalin – słowo jak dzwon!*

Władysław Broniewski, *Słowo o Stalinie*

Związek Radziecki, kwiecień 1938

Weronika, najpierw Hubówna, potem Dołęgowa, następnie prawie Lesiukowa, a od dwóch miesięcy Gorynyczowa, stała na progu chaty, należącej do męża, i patrzyła na bawiące się dzieci. Nadia może nie sprawiała wrażenia szczęśliwej, ale wreszcie wyglądała na spokojną. Była najstarsza, najwyższa i najchudsza z dzieci. Dzieci, powtórzyła w myśli to słowo. Człowiek patrzący na córkę Weroniki, zwłaszcza w chwili takiej jak ta, mógł założyć, że niczym nie różni się ona od innych maluchów. Może nie krzyczała, może nie śmiała się w głos, nie angażowała w zabawę tak jak pozostałe, ale czy to raz się zdarza spokojne dziecko? Gdyby jednak ów człowiek spojrział w oczy Nadii, od razu zdałby sobie sprawę, że ma do

czynienia z osobą dorosłą, przedwcześnie dojrzałą, taką, która posiadała już całą mądrość świata, choć jeszcze nie miała ośmiu lat. Jakże mogło być inaczej, skoro dziewczynka w krótkim swym życiu widziała tyle śmierci. Nawet to, że teraz były w miarę bezpieczne, syte i miały dach nad głową, zawdzięczały temu, że ktoś umarł.

To moja wina, pomyślała Weronika. Nie powinnam była uciekać z Tynczyna. Westchnęła. Ile razy dziennie wyrzucała sobie tamte chwile słabości? Sto? Tysiąc? Cokolwiek złego się działo, a ostatnimi czasy działo się tylko źle, miała do siebie żal. Za dobrze mi w życiu było, oj, za dobrze, powtarzała. Ojciec dbali, biedy nie znałam. Nawet jak Franek był zaprzepałą, o nic mnie żopa nie zabolęła. Pusto we łbie miałam, za robotę żadną się nie wzięłam, Natała, choć dziecko, więcej ode mnie robiła. Ja, jak ten sowizdrzał, po wsi latałam od rana do nocy. Pieniądże w chałupie były, jedzenie też, a jak czego zabrakło, to do ojca poszłam albo do Antka i dostałam, czego potrzeba. Dlatego durnoty miałam w głowie, młodości mi się zachciało, miłości. Wiele złego można powiedzieć o Grzegorzu Lesiuku, ale nie to, że nie umiał pięknie gadać. Był jak wędrowny poeta, bazarz niezwykły, człowiek z innego świata. O czymkolwiek mówił, czy o wieczorze nad rzeką, czy o kobiecych wdziękach, czy o ustroju socjalistycznym, brzmiało to jak najcudniejsza na świecie opowieść. A co najgorsze, wydawało się prawdą.

Nic dziwnego, że Weronika, tak bardzo osamotniona, tak bardzo spragniona miłości, bez zastanowienia za nim poszła. I choć żałowała swej decyzji po tysiącokroć każdego dnia, to wtedy, na samym początku ich wspólnej podróży, było cudownie.

Przede wszystkim Grzegorz był wtedy młody. Młody ciałem, sercem, duchem. Tym zawrócił Weronice w głowie. Jakże to, myślała, ktoś taki mnie pokochał? Mógł mieć każdą dziewczynę, bo każdą zdolny był oczarować, a wybrał mnie? Dojrzałą kobietę, matkę, wdowę. Pytała go o to, gdy tulił się do jej spoczonej piersi, próbując uspokoić oddech.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem – odpowiadał.

– Przecież jestem tyle lat starsza.

– Czy miłość patrzy w metrykę? Nie. Ona patrzy w oczy. – Przesuwał się i ich twarze były blisko siebie. Weronika czuła lekko kwaśny oddech Grzegorza i wietrzejący zapach mydła, którym pachniała ogolona skóra policzków. – Jesteś cudowna – szeptał. – Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Wiesz wszystkie te rzeczy, które kobieta wiedzieć powinna. Cóż mi z młodej? Taka nic nie umie, nic nie wie. A ty... – Jego gorący oddech muskał obtarte wargi Weroniki. – Ty wiesz wszystko. Mógłbym to z tobą robić bez przerwy.

I choć ledwo co skończyli, Weronika czuła, jak pod wpływem tego oddechu jej ciało ogarnia pożądanie, jak zasycha w gardle, jak wilgotnieje krocze. Żądza Grzegorza, jego nienasycenie, była dla niej jak woda dla spragnionego. Oszałała z miłości, bo też pierwszy raz w życiu czuła się naprawdę kochana.

To nie było tak, że spędzali ze sobą czas tylko w jeden sposób. Dużo rozmawiali. Te rozmowy były inne od wszystkich, które Weronika w życiu prowadziła. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią w taki sposób, nawet Franek. Powinien był, a tego nie robił. Nie interesował się, co ona myśli, co czuje, czego pragnie, co ją uszczęśliwi. Grzegorz tak jak złaźniony był jej ciała, tak samo pragnął jej wnętrza – każdej myśli, każdego uczucia. Nikt nigdy nie był tego ciekaw. Nikt. Nigdy. Czy wobec tego może dziwić fakt, że Weronika czuła się przy Grzegorzu wyjątkowo? Nie miał znaczenia wiek, ani jej, ani jego. Ona była przy nim jak siedemnastoletnia trzpiotka, on zachowywał się jak czterdziestoletni mędrzec.

Nie miał znaczenia majątek, choć ona była bogatą wdową, a on biednym kawalerem, bo w jego mniemaniu wszyscy ludzie powinni mieć wszystkiego po równo, a chęć bogacenia się czy posiadania to domena zepsutej szlachty i kułaków. Tylko życie we wspólnocie, gdzie wszystko należy do wszystkich, a ludzie pracują dla wspólnego dobra, ma sens. Nie zabierzemy ze sobą nic z tego świata. To, co mamy, tu zostanie, lepiej więc, by zostały po nas piękne wspomnienia i ludzka wdzięczność.

Dziś, po tylu latach, Weronika mogła powiedzieć o Grzegorzu jedno – z całą pewnością on nie zostawi po sobie ludzkiej wdzięczności. Co do pięknych wspomnień... Jeszcze niedawno takie się wydawały. Przywoływała je, by pomogły przetrwać. Po tym wszystkim, co się stało, gdy w końcu przejrzała na oczy, wspomnienia, nawet te dobre, utraciły swój czar. Jakże mogła pozwolić, by uczucia wzięły górę nad rozumem?

Rozum? Nie miała go wtedy za grosz. I przez kilka następnych lat również. Żyła, jakby była pijana, ale nie tak jak wtedy, gdy głowa zaczyna ciążyć, żołądek nieprzyjemnie się kurczy, język tańczy w kółko, a świadomość to rozjaśnia się, to gaśnie. To jej uczucie było bliższe stanowi po pierwszych

dwóch kieliszkach, gdy ma się wrażenie, że okowy, które dotąd więziły ciało i duszę, opadły, a człowiek czuje się wolny, szczęśliwy i chce mu się śpiewać i tańczyć. Rozumu, nawet jeśli próbuje wtedy coś powiedzieć, nikt nie słucha. Dlaczego? Bo rozum każe nam zrezygnować ze szczęścia, przypomina o obowiązkach, reputacji, wstydzie. Tak jakby to, co ludzie powiedzą, znaczyło więcej niż nasze dobre samopoczucie.

– Cóż mnie to obchodzi? Co mnie obchodzą plotki starej Pomiechowskiej? – szeptała do siebie Weronika, gdy rankiem wychodziła z obory, palcami wyczesując ze zmierzwionych włosów źdźbła siana. – Będą gadać przez zazdrość. Jak wieś długa i szeroka wszystkie Mańki i Józefki życzą mi jak najgorzej, bo mogą się wywyższać nade mnie. „Ot patrzcie, idzie Weronka Dołęgowa, co to ją chłop zostawił i do Ameryki uciekł. Pewnie niezła z niej jędza, skoro uciekł”.

Przez tyle lat tego słuchała, przejmowała się ich szeptami, przeżywała. Te słowa były jak razy, które sprawiały, że kuliła się coraz bardziej i bardziej. Grzegorz sprawił, że już nie musiała. Zadzierała wysoko głowę, jakby była wielką panią, królową jakąś. Była bogata, piękna i po raz pierwszy w życiu szczęśliwa do nieprzytomności. Zazdrościłam ja wam mężów, spokoju w chałupach. Teraz wy możecie mnie zazdrościć. Dostałam od losu więcej niż którakolwiek z was. Któraż może się pochwalić taką miłością?

Czas pokazał, że Grzegorz nie był zdolny do prawdziwej miłości. Ta do Weroniki, jak ten kwiatusek pozbawiony wody, zwiędła, zmarniała, aż uschła zupełnie i ślad po niej przepadł. Gdy przyszło się do niej odwołać, w miejscu, gdzie rosła, był już tylko szary pył.

Po stokroć głupia, niczego nie zauważyłam, wyrzucała sobie. Nie darmo mówi się o zakochanych, że są ślepi. Ona doświadczyła tego w całym okrucieństwie nadziei, która kazała oglądać się za siebie, gdy Weronika wysiadała z bydłęcego wagonu w miejscu, gdzie poza trawą niczego nie było. Nawet wtedy, gdy z grupą innych wywiezionych koczowała przy torach, bo nikt nie wiedział, co mają robić i dokąd iść, wciąż oczekiwała, że nagle pojawi się Grzegorz i zabierze swoją rodzinę z tego piekła. Gdy po kilku dniach przybyli jacyś ludzie, mówiąc, że mają się udać do Kamyszenki, Weronika wszystkich ich razem i każdego z osobna prosiła, by przekazali Grzegorzowi Lesiukowi wiadomość, że tam właśnie będzie teraz jego żona z córkami.

Ludzie, którzy widzieli ją po raz pierwszy, patrzyli jak na wariatkę. Ci,

którzy razem z Weroniką wsiadali do bydłowego wagonu na stacji Marchlewsk, spoglądali na nią z niechęcią, a tylko niektórzy z politowaniem.

Gdy dotarły na miejsce, patrzyła, jak co sprytniejsi zajmują ziemianki. Ci, co ich nie mieli, wzięli się do budowy. Kopali doły w ziemi, lepili cegły z gliny i suchej trawy, której na stepie było w bród. Godzili się z tym, co ich spotkało, i robili wszystko, by przetrwać. Weronika nie robiła wtedy nic. Czekała na ratunek.

Spały na gołej ziemi, przytulone do siebie. Było im zimno, zapasy jedzenia skończyły się jeszcze w pociągu. Zostało trochę mąki. Weronika dodawała do niej wody i piekła placki na rozgrzanym kamieniu.

Ponieważ komendant kazał mężczyznom budować ziemianki dla nowo przybyłych, a nie było dnia, by nie zjawiali się polscy zesłańcy, w końcu i one doczekały się swojej. Nie było tam wcale cieplej niż na zewnątrz. Maleńki piec, opalany suchą trawą i kiziakiem, nie dawał zbyt wiele ciepła. Zresztą ile by go dał, ziemia i tak wszystko wchłaniała.

Ponieważ były tylko we trzy, dokwaterowano im Jurkiewiczową. Początkowo Weronika nienawidziła tej kobiety. Oschła, wredna, jeśli otwierała usta, to po to tylko, by powiedzieć coś złośliwego.

Widać Bóg chciał mnie uratować i dlatego ją zesłał, myślała Weronika teraz, kiedy tamten czas stał się wspomnieniem. Okropnym, rozdzierającym serce, ale wspomnieniem.

Mieszkały na stepie dwa, może trzy miesiące, gdy coś złego zaczęło dziać się z Wandzią. Przez kilka kolejnych nocy Weronika ni to drzemała, ni czuwała. Gdy zapadała w płytki sen, budził ją strach o córeczkę. Wandzia chorowała, jej drobne ciało trawiła gorączka, a tu nie było ani lekarza, ani leków. Modliła się wtedy żarliwie, by Grzegorz przyjechał. Na próżno.

Pewnej nocy, tuż przed świtem, córeczka się przebudziła, poprosiła Weronikę, by ją ucałowała, wspomniła tatkę, za którym tak bardzo tęskniła. Czółko miała chłodne, oczy jasne i przytomne, a gdy zasnęła, jej oddech był równy i spokojny. Weronika zamknęła ją w ramionach i pewna, że dzień przyniesie ozdrowienie, również zasnęła. Gdy się obudziła, godzinę czy dwie później, Wandzia już nie żyła. Jej ciało było zimne i zaczynało sztywnieć tym pierwszym, pośmiertnym sztywnieniem. Gdybym nie zasnęła, myślała, mogłabym ją uratować. To pierwsze „gdybym” pociągnęło za sobą kolejne: gdybym lepiej o nią zadbała, gdybym nie pozwoliła się wywieźć, gdybym jej nie urodziła, gdybym zmusiła Grzegorza do ślubu, gdybym z nim nie uciekła,

gdybym została w Tynczynie... Całe nieszczęście, które na nią spadło, zaczęło się właśnie od tego.

– Łatwiej to wszystko znieść, gdy serce nie krwawi – mówiła Jurkiewiczowa i bez szemrania szła nad rzekę nosić piasek, choć nie nawykła do pracy fizycznej.

Weronika nie wiedziała, czy łatwiej, bo jej serce wciąż krwawiło. I wtedy, gdy dziewczynki zostawały na cały dzień same, bez jedzenia, w zimnej ziemiance, i później, gdy zostawała tak już tylko sama Nadia.

Wandzia miała niecałe trzy lata, gdy umarła. Ilekroć Weronika wspominała młodszą córkę, widziała ją taką, jaka była, zanim wsiadły do pociągu – tłuściutka, uśmiechnięta, zadowolona. To okropne, że tak małe dziecko przeżyło dziesięć dni podróży bydłęcym wagonem w niewyobrażalnej ciasnocie i smrodzie, który wprost dusił, wytrzymało noce na stepie i głód, a umarło, gdy miały ziemiankę, a Weronika zarabiała na jedzenie.

Bez księdza, z modlitwą odmawianą w myślach, bo przecież nawet szeptem modlić się nie można było, urządziły pogrzeb dziewczynce. Nie, nie pogrzeb, to było po prostu zakopanie ciała.

– Gdyby Grzegorz wiedział... – powiedziała ze złością Weronika, gdy razem z Jurkiewiczową wracały z miejsca wiecznego spoczynku Wandzi do ziemianki.

– Obudźże się, dziewczyno, zanim stracisz drugie dziecko. Obudźże się.

I w końcu się obudziła. Śmierć córeczki była tak wielkim wstrząsem, że samą Weronikę pchnęła na krawędź przepaści między życiem a śmiercią. Tam bielmo spadło jej z oczu. Uświadomiła sobie, że Grzegorz w ogóle nie kochał Wandzi. Była mu zupełnie obojętna. Jeśli żywił jakieś uczucie do starszej z córek, to tylko dlatego, że stworzył sobie obraz osoby, którą Nadia miałaby się stać, gdy dorośnie – kogoś podobnego do Wandy Wasilewskiej i Józefa Stalina jednocześnie. Wychowana w idyllicznym zakątku świata, gdzie myśl socjalistyczna była realizowana w najdrobniejszych szczegółach, miała, według Grzegorza, szansę stać się kimś wielkim. Widział ją, jak na czele braci robotniczo-chłopskiej przekracza granice i dokonuje tego, co się nie udało w dwudziestym roku. Nadzieja Lesiuk – ta, dzięki której czerwona fala zalała najpierw Europę, później świat. Była w jego wizji odbiciem słów towarzysza Magdała, tym nowym, przed którym w Polsce wszystko, co stare, ucieknie. Na koniec zrozumiała również, że Grzegorz i jej nie kochał.

Przywoływała wspomnienia, a każde z nich naznaczone było rysą.

Kiedy w trzydziestym roku wybuchło na Podolu zbrojne powstanie chłopskie przeciw kolektywizacji, nikt nie myślał, że to początek końca. Po trzech dniach, gdy wojsko poradziło sobie z buntownikami, można było o wszystkim zapomnieć. Problem polegał na tym, że towarzysz Stalin nie mylił się w ocenie chłopów, jako ludzi chciwych i o wąskich horyzontach. W Polrajonie aktywistów namawiających do kolektywizacji witano z cepami i sierpami. Nie tylko nie zgadzano się tu na kołchozy, ale też dawano zły przykład. Chłopi ukraińscy zaczęli odpowiadać tym samym.

We wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego w Ukraińskiej Republice pojawiło się wojsko rekwirujące całą żywność. Rozpoczął się Hołodomor. Wielu zwolennikom socjalizmu otworzyły się wtedy oczy, nie mogli patrzeć na cierpienie, które najmocniej dotknęło dzieci. Grzegorz do nich nie należał, podkreślał słuszność tej decyzji. Jego zdaniem lepiej, by zginął nie jeden, a miliony niewinnych, niż miałyby zginąć Związek Radziecki.

– Musimy ponieść tę ofiarę. Zrozum – tłumaczył Weronice – każdego dnia na całej ziemi giną miliony deptyne kapitalistycznym butem. Nikt o nich nie mówi, nikt o nich nie walczy. Poza nami. My domagamy się praw dla naszych braci na całym świecie. Równych praw. To jest, moja kochana, wojna, a na wojnie zawsze giną ludzie. Niewinni ludzie. Kiedy się skończy, kiedy odniesiemy zwycięstwo, nikt już nie będzie umierał. Jednak nie da się wygrać bez ofiar.

Bez ofiar? Toż to były dzieci. A on mówi o tym z takim spokojem, jakby rzecz dotyczyła liści spadających z drzew jesienią.

Gdy teraz o nim myślała, docierało do niej, że Grzegorz był jak święty Paweł z Tarsu. Choć chybaby umarł, gdyby się dowiedział o takim porównaniu. On, czysty od skazy zabobonów wiary, miałby zostać porównany do jednego z tych ludzi z obrazków, którymi ciemny lud przyozdabia wnętrza chałup i do których modły wznosi! Lud tak głupi, niepojmujący, że kto umarł, ten nie żyje, nie słyszy i nie ma żadnej mocy sprawczej. A jednak taki właśnie był Grzegorz, bojownik o sprawę, wyznawca socjalizmu. Biblię zastąpił *Kapitałem*, obrazki świętych portretami Lenina i Stalina. Jego mszami były zebrania, słuchał tam odezw do narodu, jakby to były kazania. Każdego, kto nie był równie żarliwy jak on, traktował jak niewiernego. Weronice przypomniały się słowa z Biblii, nakazujące ludziom być albo zimnymi, albo gorącymi, bo letni zostaną wypluci. Według

Grzegorza można być tylko gorącym.

Na swoje nieszczęście Weronika była letnia. Lubiła życie w Polrajonie, a także towarzystwo, które tu znalazła, i ludzi wieczorami wypełniających ich dom, rozmowy, picie, dym z fajek rozsnuty po izbie. Uznawała słuszność postulatu równości i była przeciwniczką kapitalizmu. Jednak bardziej niż los świata martwił ją los własny i Nadii. Chciała stworzyć z Grzegorzem szczęśliwą rodzinę. Chciała mieć swój ogródek, swoją krowę. Marzył jej się ślub. Takie zwykłe, proste życie.

W trzydziestym trzecim zaczęto mówić o Polskiej Organizacji Wojskowej. Podobno należący do niej Polacy stali za podburzaniem chłopów na Ukrainie i byli bezpośrednio winni głodu, który przetoczył się przez republikę. Członkowie POW mieli być najgorszymi, najzacieklejszymi wrogami Związku Radzieckiego, tym niebezpieczniejszymi, że ukrywali się wśród towarzyszy, udając najserdeczniejszych przyjaciół.

Wówczas, zajęta sobą, bo kolejna ciąża była zdecydowanie najgorsza, nie zwracała uwagi na zachowanie ukochanego. To, z jaką obojętnością przyjął pojawienie się drugiej córki, a bardziej jeszcze to, że przestał się interesować Nadią, powinno było zwrócić uwagę Weroniki. Powinno...

Pod koniec kwietnia trzydziestego piątego Rada Komisarzy Ludowych podjęła uchwałę o rozwiązaniu Marchlewszczyzny. Masowo zaczęto wywozić ludzi.

- Grzegorz, a co z nimi będzie? – pytała przerażona widmem Syberii.
- A co ma być?
- Przecież to niewinni ludzie.
- Nie tacy całkiem niewinni.
- A my? Co stanie się z nami?
- Będziemy dalej lojalnie służyć sprawie.

Zadziwiająco, jaką moc ma miłość. Wtedy słowa Grzegorza uspokoiły Weronikę. Czowała się bezpieczna, choć wokół działały się rzeczy straszliwe. Enkawudziści wpadali do domów w nocy, wyprowadzali ludzi wyrwanych ze snu, nie pozwalając im się ubrać. Zabierali ich do więzień, bo tam jest miejsce wrogiego elementu. Niektórzy szeptali, że te aresztowania są tylko pozorne, bo tak naprawdę w więzieniach przeprowadza się egzekucje. Dlatego rodziny nie dostają żadnych wiadomości. Ci, którzy wsiadali do bydłowych wagonów, odjeżdżających w kierunku Syberii, mogli mówić o szczęściu.

W całym tym zamieszaniu Grzegorz przypadł. Nie został aresztowany, tego Weronika była pewna, nie odjechał też w żadnym z transportów. Kiedy kładła się wieczorem, zmęczona całodzienną krzątaniną, siedział przy stole i czytał, a rano już go nie było. Zniknął. Wziął ze sobą kilka książek, trochę ubrań i bochenek chleba, który upiekła poprzedniego dnia.

Zostawiła dzieci pod opieką sąsiadki i obiegła wszystkie miejsca, gdzie mógł być albo w których mogli coś wiedzieć o jego losie. Na próżno. Powinna wpaść w popłoch, zamiast tego znalazła wytłumaczenie. Wyjechał, by znaleźć dla nich nowe, bezpieczne miejsce. Może na Białorusi, może gdzieś w Rosji. Wróci po nie, napisze albo kogoś przyśle. Nie może być inaczej. Przecież nie zostawiłby swojej rodziny, córek, ukochanej? Nawet nie pomyślała wtedy, że przecież już raz to zrobił, zostawił swoich bliskich.

Może gdyby wcześniej ocknęła się z tego oszołomienia, jakim była miłość, Wandzia by żyła i bawiła się teraz razem z dziećmi. Weronika powoli przyzwyczajała się do myśli, że obecnie cała czwórka to jej dzieci. Nazywały ją mamą, a ona głaskała je po głowach, nalewając zupę do misek. Ukryły się między nimi z Nadią, tak jak małe zajaczki kryją się w pasie szarej ziemi pod miedzą, gdzie nawet najbystrzejsze oko nie może ich wypatrzeć.

Jakież to szczęście, że Pan Bóg postawił na drodze Weroniki Jurkiewiczową, która przewidziała najgorsze, zanim nadeszło. Przypominała Weronice Teofilę Lipczewską z rodzinnego Tynczyna, która, wróciwszy z bieżenstwa, przestrzegąca wszystkich przed bolszewikami.

– Wspomnisz moje słowa, to się nie skończy na wywózce – mówiła pani Maria. – Pozabijają nas jak psy. Stalin nienawidzi Polaków. Wcześniej nienawidził nas Lenin, ale w tamtym była jakaś ludzka część. Ten jest synem diabła i diablity. To nie człowiek, to czyste zło.

– To co mamy robić?

– Przede wszystkim się nie wychylać. Musimy myśleć o twojej córce. Trzeba ją jakoś uratować. Was obie.

– A wy?

– Na swoje szczęście jestem stara i przygotowana na spotkanie z Panem Bogiem.

No i się udało. Rok wcześniej Weronika wstawała przed świtem i szła na budowę nosić piach, zostawiając córkę samą w ziemiance. Teraz jedynym jej obowiązkiem było dbanie o dzieci i męża. Męża. Wiedziała, że ślub niczego nie gwarantuje, w końcu jej pierwszy mąż zginął, ale obrączka dawała jej

i Nadii porządne, rosyjskie nazwisko. Lecz gdyby nie śmierć, co przyszła do Gorynychów, nie miałyby ani tego nazwiska, ani dachu nad głową.

Iwan Michajłowicz Gorynych był jednym z wielu urzędników przysłanych na budowę tamy. W tym tłumie znajdowali się inżynierowie, architekci, ekonomiści i politycy, rozmaitych szczebli, ważni albo nie. Gorynych należał do szarej masy osób mało istotnych. Do jego obowiązków należało wypłacanie dniówek.

Przyjechał z rodziną – dwójką dzieci i ciężarną żoną. Otrzymali kwaterę – mały drewniany domek w pobliskiej wsi. Był to przystanek na ich drodze. Przybyli z podobnego miejsca w głębi Związku Radzieckiego i do podobnego mieli wyruszyć, gdy budowa zostanie zakończona. Nie spodziewali się wszakże, że jedno z nich zostanie tu na zawsze. Anna Gorynychowa zmarła podczas porodu.

Ponieważ wiele się tu nie działo, wieść o śmierci żony Gorynychy lotem błyskawicy obiegła okolicę i dotarła również do polskich robotnic.

Weronika właśnie napełniała wiadra, gdy przybiegła Jurkiewiczowa.

– Rzuć to! Biegnij do wsi, do domu Gorynychy. To twoja szansa – zakomenderowała zdyszana.

– Co wy mówicie? – Weronika nie rozumiała.

– To mówię, że żonę stracił i został z trójką dzieci. Musi być całkiem zagubiony. Idź, zanim któraś cię ubiegnie. Dobrze mu z oczu patrzy.

– I co mam tam robić?

– To, co baba w chałupie robi. Dziećmi się zajmij, gotuj, sprzątaj, pierz, a na koniec połóż się do łóżka.

Weronika sama nigdy by się na to nie zdecydowała. Jednak pani Maria przekonywała i brzmiało to dość rozsądnie. Nie, nie myślała o dzieleniu łóża z wdowcem ani o wychodzeniu za mąż. Uznała jednak, że praca opiekunki do dzieci jest dużo lżejsza niż noszenie wiader. No i mogłaby zabierać ze sobą Nadię.

Noworodek darł się w kołysce, głodne dzieci płakały po kątach. Gorynych siedział przy stole z głową wspartą na rękach. Zmarła leżała na łóżku przykryta prześcieradłem. Nad wrzuconym do wiadra łóżyskiem brzęczał rój much. Pierwsze, co zrobiła Weronika, to zakopała zawartość wiadra. Później umyła podłogę, rozpałała pod piecem i wstawiła wodę. Umyła garnek, nasypała do niego kaszy. Mleko skisło, ale znalazła kawałek słoniny i sól. Powyciągała dzieci z kątów, posadziła je przy stole, powycierała zapłakane

buzie, nakarmiła maluchy kaszą i odesłała je do sąsiedniej izby, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

– Jedzcie – zachęciła Gorynycza.

– Ja niegłodny.

– Nie starczy wam, że matka dzieci odumarła? Ojca mają stracić? Jedzcie, musicie być silni.

Wziął łyżkę i bezmyślnie dziobał nią kaszę. Czasem podnosił na wysokość ust, a po chwili pełną opuszczał.

– Pogrzebem trzeba się zająć. Zawiadomić kogo?

Przecząco pokręcił głową.

– Rodziny nie macie?

– My z Moskwy.

– Skoro tak.

Zostawiła Gorynycza nad kaszą, a sama zajęła się przygotowaniem jego żony na ostatnią drogę.

Wieczorem sprowadziła Nadię. Położyła ją spać z pozostałymi dziećmi. Sama drzemała na krześle, które ustawiła obok kołyski.

Odbył się pogrzeb i stypa. Weronika karmiła i przewijała niemowlę, gotowała, zajmowała się dziećmi, robiła pranie. Minął tydzień, gdy Gorynycz wreszcie zapytał:

– Wy kto? – W jego głosie nie było ciekawości.

– Wera.

– Wiera? – powtórzył.

Mogę być i Wiera, jakie to ma znaczenie?

– Wiera.

– Ty nie ruska?

– Ukrainka – skłamała, zgodnie z poleceniem Jurkiewiczowej. – Mój mąż był Polak.

– Co się z nim stało?

– Zginął na wojnie, dawno temu.

– A skąd się tu wzięliście?

– Z Dołbysza. – Pamiętała, by użyć starej nazwy stolicy Polrajonu.

Pewnie w innej sytuacji zadałby więcej pytań, dociekał, dlaczego znalazła się między polskimi robotnikami, sprawdził jej tożsamość, może dopatrzyłby się kłamstwa i przegnał Weronikę precz. Był jednak wdowcem, kompletnie zagubionym we własnym życiu i nie interesowało go, skąd nadeszła pomoc,

ważne, że nadeszła. Zamiast szukać luk w historii Weroniki, poszedł na wieś szukać tłustego mleka dla dziecka.

Nikt nie kwestionował obecności Weroniki i Nadii w domu Gorynycza. Nieszczęście, które dotknęło szanowanego towarzysza, onieśmiało ludzi. Drugim powodem, dla którego trzymali się od całej sprawy z daleka, była świadomość, że jeśli pogonią Weronikę, będą musieli znaleźć kogoś, kto zajmie jej miejsce. Po cóż brać na siebie taką odpowiedzialność? Siedzi u Gorynycza, kalesony mu pierze, dzieci karmi, niemowlę niańczy i niech tak na razie zostanie.

Weronika nabrała rozumu. Posłuchała rady Jurkiewiczowej i położyła się z Gorynyczem do łóżka, gdy tylko nadarzyła się okazja. Wziął ją nie tyle z miłości, ile z osamotnienia i desperacji. Świat mu się zawalił, żona umarła, a ta miła kobieta po prostu była na miejscu. „Dobrze mu z oczu patrzy”, powiedziała tamta i była w tej obserwacji prawda. Weronika pozwoliła, by Gorynycz brzuch jej zrobił, a on, gdy się o tym dowiedział, z przyzwoitości zaproponował małżeństwo.

Gdy więc Jeżow wydał rozkaz eliminowania Polaków, nie było już Weroniki Dołęgi, była Wiera Gorynyczowa. I nie mieszkała już na kazachskim stepie, tylko pod Rostowem, gdzie skierowano jej męża. Była wśród obcych, którzy ich nie znali, nie znali jej historii, nie wiedzieli, że nie jest matką tych wszystkich dzieci, które biegały po podwórzu.

Weronika westchnęła. Przypomniła sobie ostatnie spotkanie z Jurkiewiczową, tuż przed wyjazdem. Poszła na budowę, odszukała przyjaciółkę, ale tamta udała, że jej nie zna.

– Cóż z wami? Gniewacie się? – zapytała Weronika.

– Cicho, głupia dziewczyno. Życie ci niemiłe? Łagry ci się marzą? Chcesz sprowadzić nieszczęście na siebie i te dzieciątka, które masz pod opieką? I na dobrego człowieka, który cię uratował? Ty teraz Rosjanka, bo póki nią jesteś, jesteście bezpieczne.

– Prośbę mam do was. To już ostatnia.

Jurkiewiczowa oczyma dała znak, że pomoże.

Weronika odchodziła, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Oczy szpicli i donosicieli śledziły każdy krok każdego w łagrze. Żaden sekret nie był bezpieczny, żadna tajemnica. Wokół było mnóstwo oczu, które widziały. Zwłaszcza teraz, gdy wszystkich bez wyjątku Polaków uznano za szpiegów i dywersantów. Do Weroniki dopiero docierało, że tak jak Grzegorz nie

kochał jej, tak Związek Radziecki nie kochał obywateli polskiego pochodzenia. Był to tylko przelotny romans, chwilowe zauroczenie, które jak nagle przyszło, tak nagle się skończyło. Grzegorz uświadomił sobie, że najbardziej na świecie kocha ideologię socjalistyczną, wielki Związek Radziecki uświadomił sobie, że nie kocha nikogo.

Poprosiła Jurkiewiczową, by napisała do Natali. Tylko kilka słów, nic, co mogłoby je zdradzić. Miały zostać wysłane, gdy trafi się okazja, nie pocztą, a przez kogoś zaufanego. Córka musi wiedzieć, że ma siostrę. Gdyby Weronice coś się stało, musi być ktoś, kto zadba o Nadię.

Natala odłożyła dziwny list na stół. Nigdy wcześniej nie dostała żadnego. Na dodatek ten był od zupełnie obcej osoby. Czemu matka sama nie napisała? Nieznajoma kobieta starannym pismem skreśliła zaledwie kilka słów. Na kopercie nie było znaczka ani stempli. Ktoś podał ją komuś, bo sam dostał od kogoś innego. Kartka po zewnętrznej stronie była poszarzała od brudu. Żadnej daty czy adresu zwrotnego, nic, tylko imię i zupełnie nieczytelny podpis. Gdyby nie to, że zaadresowany był do Natali, gdyby nie zawierał imion ojca i brata, można by pomyśleć, że trafił do niej przez pomyłkę. „Natala Dołęgówna”, przeczytała po raz nie wiadomo który. Matka i ta nieznana Maria nie miały pojęcia, że wyszła za mąż.

– Matka – powiedziała na głos, bo chciała usłyszeć to słowo.

Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, jak mało myślała o Weronice przez te dziesięć lat. Wróciła wspomnieniami do tamtego poranka. Wtedy też był kwiecień. Przypomniła sobie sama siebie, jak biegała po chałupie przestraszona, zaglądała w każdy kąt, szukając i nawołując. Tak się martwiła, iż matkę spotkało coś złego, zupełnie nie myślała o sobie, o tym, że była dzieckiem, które zostało porzucone. Podlot, gdy wyfrunie z gniazda, wciąż może liczyć, że dopóki nie nauczy się dobrze latać, rodzice będą nad nim czuwać, karmić go i bronić przed niebezpieczeństwem. Ale człowiek to nie ptak, zupełnie inna jest jego natura, dziwna, czasem aż pokraczna. Zdarzają się matki, co dałyby się zabić za swoje dzieci, są i takie, które tyle się dzieckiem zajmują, ile muszą, i tylko czekają, by stanęło na nogach i można je było zagnać do roboty. W całym jednak Tynczynie, pełnym dobrych i złych matek, trafiła się tylko jedna, która swoje dzieci porzuciła.

– Wyszłaś z własnej chałupy jak z cudzej. Zamknęłaś drzwi i nic cię nie obchodziło, co się będzie działo po twoim odejściu. Nawet się nie obejrzałaś, nie dałaś znać, czy żyjesz, nie zapytałaś, czy ja żyję. Nawet przed ucieczką nie byłam dla ciebie ważna. Chodziłaś po wsi, narzekałaś, płakałaś, a obrządki zostawiałaś na mojej głowie. Tak całkiem na odwrót wszystko u nas, jakbym to ja była matką, a ty dzieckiem.

Nie chciała płakać, jednak łzy, nie pytając o zgodę, jedna po drugiej spływały po policzkach. Natała przestała wpatrywać się w list, przeniosła spojrzenie w kąt izby, gdzie na zdobionej półeczce stała figurka Matki Boskiej, jedynej matki, która nad nią czuwała, gdy rodzona porzuciła. Czy dalej czuwa po tym, co się stało? Natała przeżegnała się i cichutko wyszeptała *Pod twoją obronę*.

– Ja niewinna, Najświętsza Panienko. Ty widzisz wszystko, ty wiesz, że nie chciałam nikogo skrzywdzić. Bałam się. Tylko tyle.

Wir pamięci przyniósł z samego dna obraz twarzy parobka, gdy ten mówił jej, że będą teraz żyć jak mąż i żona. Tyle lat wypierane wspomnienie wróciło, a tak było wyraźne, jakby to się stało wczoraj. Zmierzwiona czupryna pełna strzępków słomy, wyschnięta skóra na ustach, strup na czole, krosty na nosie, kropla potu na kępce włosów między brwiami, kilka nitki sterczących z rozdarcia przy rękawie koszuli, wszystko to w jednej chwili stanęło Natali przed oczyma. Kwaśna woń oddechu, przypominająca zapach gnijących jabłek, zwierzęcy smród ciała uderzyły w nozdrza, jakby wcale nie były wspomnieniem, wywołując okropne mdłości. Natała otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na brzeg rzeki, jednak płuca nie wypełniały się powietrzem. Duszności były coraz okropniejsze, czuła, że lada chwila straci przytomność.

Zerwała się z krzesła, wybiegła z chałupy i rzuciła się biegiem na łąki. Ktoś za nią krzyknął, ktoś inny zapytał, czy gore, więc pokręciła głową przecząco i gnała jak ten spłoszony zając, byle dalej od niebezpieczeństwa. Tyle że ona uciec nie mogła. Nie da się uciec przed tym, co nosimy w sobie.

Biegając na oślep, nie patrząc pod nogi, dotarła do miejsca, gdzie rów przecinał łąkę. Zaplątała się w wyschlę trzciny i byłaby runęła w wodę, gdyby nie złapało jej i nie podtrzymało czyjeś ramię. Łzy wciąż zalewały oczy Natali, ledwo widziała, lecz poznała po wzroście, że to Kajtek Mazur.

Chciała mu się wyrwać i biec dalej, uciekać. Była jak ten porwany z roli przez błotniaka suseł, który, choć już w powietrzu, wciąż przebierał łapkami.

Jednak Mazur nie pozwolił jej biec. Objął ją muskularnymi ramionami i szepnął: – Cii... – jak do dziecka.

Rozszłochała się na dobre. Łzy zmoczyły cały przód jego koszuli, ładnej, ze starannie wyszytą krajką. Pod przemoczonym płótnem zarysowały się plamy ciemnych włosów, porastających pierś mężczyzny.

Trudno dociec, ile czasu łąły się łzy. Były chwile, gdy Natali wydawało się, że to już ostatnia, a potem nagle znów wzbierały i nowy strumień spływał na pierś Kajtka. Wreszcie oczy jej obeschły, ale w środku wciąż bardzo, bardzo bolało.

Mazur rozluźnił uścisk, ale nie puścił Natali. Delikatnie usadził ją na ziemi, sam usiadł obok. Przyglądał się, ale nie z ciekawością, tylko z obawą. Jakby czuł strach, że nagle ona się zerwie i rzuci przed siebie, w szaleńczym pędzie upadnie, że stanie się jej jakaś krzywda.

– Już dobrze – szepnęła i poklepała go po ramieniu.

Pewniście? – zdawało się pytać jego spojrzenie.

Nie, nie było dobrze. Jak w garze, w którym gotuje się zupa, tak w Natali wrzało. Strach, złość, nienawiść, miłość szalały w jej duszy, jakby chciały rozerwać ją od środka.

Mazur to widział. Odchrząknął jak zawstydzony młodzieniec, choć przecie młody już nie był.

– Mnie możecie powiedzieć. Nie rozgam.

Natala spojrzała na niego zdziwiona. Nie propozycją, ale tym, że się odezwał. Znała go od dziecka, a pierwszy raz w życiu usłyszała jego głos. Zdziwiło ją, jak jest czysty i dźwięczny. Ludzie mówili, że Kajtek niemowa, momot, jąkała, a to wszystko okazało się kłamstwem. Zdała sobie sprawę, że milczenie było jego wyborem, nie przymusem, i że ten człowiek ze wszech miar jest godny zaufania. Dlatego powiedziała mu to, czego nawet Dyziowi bała się wyznać. To, co zalegało na dnie duszy jak szlam w studni. I choć ukryte tak głęboko, psuło wszystko, co miało z nim styczność.

Opowiedziała o matce, która tak nagle zniknęła, o parobku, który chciał wykorzystać sytuację, o bracie, który udawał dobrego, o mężu, który nie może się dowiedzieć.

– A teraz przychodzi ten list, podany przez kogoś, że matka żyje i ma się dobrze. Ta kobieta napisała jeszcze, że mam małą siostrzyczkę i gdyby coś złego się stało, żebym miała o nią staranie. Skąd mogę wiedzieć, czy coś się stało, skoro dotąd nie wiedziałam nawet, że matka żyje. Jestem złą córką, bo

nie myślałam o niej wiele, ale nie była dobrą matką. O tę drugą się troszczy, obcym każe do mnie pisać, ale jak mnie się wie, to nie zapytała. Dobrze byłoby mi na świecie, bardzo dobrze. Dyzio mnie kocha, a ja jego jeszcze więcej. Teściowie mnie lubią. Pieniądze mamy, jest co jeść, z dachu nie kapie. Byłoby to życie jak sen złoty, gdyby nie... Wszystko wina matki. Jakby z domu nie poszła, toby parobek na mnie nie nastawał, nie obiliby go chłopcy, nie obiecywałyby zemsty. Skądże ja mogłam wiedzieć, że on tylko tak, w złości gadał? I po cóż jemu było wracać w nasze strony? Wojtek mnie powiedział, że Jakubka spotkał, a ja od wtedy wszędzie go widziałam. Nie wiem, czy to prawda, czy mi się zdawało. Tamtego wieczora szedł gościńcem od strony karczmy... Wówczas byłam pewna. Pewna, że to on. Nie chciałam go ukrzywdzić, nie chciałam posłać do więzienia kogoś, kto niewinny. Wierzycie mi, Mazur? Uwierzcie, proszę, bo może wy jedyni, co uwierzą. Wojtek wszystkiego się domyślił. Przychodzi do mnie, pieniędzy żąda, mówi, że jeśli nie dam, to do Adamczuków pójdzie, a oni mnie precz pogonią, że ludziom we wsi rozgada, a Pomiechowskiej pierwszej, i wstyd będzie, a ktoś na pewno na policję doniesie i za kłamanie w sądzie do więzienia mnie wsadzą. Dałam mu pieniądze, myślałam, że spokój będzie, ale on chce więcej i więcej. Wybaczcie, że źle o nim mówię, to wasz szwagier, a mój brat, ale... To nie jest dobry człowiek. Może dla Wietki, może w swoim domu on inny, ale dla mnie nigdy serca nie miał. Jak wrócił z wojska, wszystko, com odkładała, zabrał i roztracił. Babkę przeciw mnie buntował. Wuja próbował, ale Antek sprawiedliwy i nie dał się oszukać. Ja... Ja Wojtka nie winię, że on taki pusty. To wszystko przez matkę. Nie wychowała nas na ludzi. Żadne z nas nie usłyszało ani pochwały, ani nagany. Skąd mieliśmy wiedzieć, co dobre, co złe? Ja to przynajmniej rozsądek miałam, po ludziach patrzyłam, co robią, wstyd swój miałam. A Wojtek? Rósł jak ta samosiejka, jak mu się chciało, chodził, gdzie chciał, robił, co chciał. Taki został, o sobie tylko myśli. Gdyby on miał dobre serce, toby mnie nie gadał, że do więzienia pójdę. Pomógłby mi, doradził jak brat. A tak sama z tym wszystkim jestem. Mój Dyziu zły nie jest, on by mnie wsparł, tak jak we wszystkim wspiera, ale nie chcę na niego składać tego ciężaru. Tak sobie myślę, że dla niego to lepiej, żeby umarła, niż żeby to wszystko się wydało.

Kajtek położył tę swoją wielką dłoń na głowie Natali i pogładził tak, jak się gładzi dziecko, gdy chce mu się dodać odwagi.

– Gdzieżby dla Dyzia lepiej było was stracić?

W tej chwili uświadomiła sobie cały bezmiar miłości męża i to, jakim nieszczęściem dla Dyzia byłaby jej śmierć, i rozszlochała się na nowo.

– Co... co ja mam zrobić? – zapytała między jednym spazmem a drugim.

– Nic. Ja z Dołęgą pogadam.

Pozwoliła, by uspokoiły ją te słowa. Gdyby się nad nimi zastanawiała, mogłaby dojść do wniosku, że Kajtek Mazur, co go we wsi miano za niemowę, nie jest najlepszą osobą do rozmowy z Wojtkiem, który dla odmiany potrafił tak pięknie prawić, że sprzedałby człowiekowi jego własne odzienie. Dlatego postanowiła się nad tym nie zastanawiać, tylko radować się spokojem, który spłynął na nią wraz ze świadomością, że Kajtek wie wszystko, za nic jej nie wini, a nawet chce pomóc. Na razie to musiało wystarczyć.

Posiedziała jeszcze trochę, wsparta o niego, aż emocje opadły, jak opadają na dno drobinki ziemi w zbełtanej kałuży. Wiedziała, że to wszystko wciąż tam jest, ale ukryte i nie ma potrzeby do tego wracać. Wstała, otrzepała spódnice i szepnąwszy tylko: „Bóg zapłać”, ruszyła do domu.

Pierwsze, na co w izbie spojrzała, to ów list. Zmięła go i wrzuciła w ogień. Nie miała ojca, bo zginął na wojnie, nie miała też matki. Przekonała się, że nie ma brata. A siostry mieć nie chciała.

Rozdział trzydziesty czwarty



*Nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec*

*Księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergoczą w stogach
czegóż się bać*

Józef Czechowicz, *Na wsi*

Kwiecień 1938

Kwietniowe zachody słońca są najpiękniejsze ze wszystkich. Słońcu zdarza się ładnie zachodzić we wrześniu, czasem w październiku, ale nigdy tak jak w kwietniu. Każdego dnia wieczorem można obserwować na niebie niezwykle widowisko z udziałem słońca, chmur i ptaków, które dbają, by taki dziw miał należyłą oprawę muzyczną.

Mało kto się tym zachwyca, wiosną jest tyle roboty, że nie ma czasu się podrapać, a cóż dopiero patrzeć w niebo.

Tego wieczoru jednak Kajtek Mazur obejrzał cały zachód słońca, od chwili, gdy dotknęło chmur piętrzących się nad horyzontem, aż po ten moment, kiedy całe się za nim skryło. Największe wrażenie wywarł na nim widok, gdy

wciąż złociste słońce znalazło się na wysokości czubków drzew i sprawiło, że wyglądały, jakby je mistrz kowalski odlał z cennego kruszcu.

Niezwykłe piękno świata, którego tego wieczoru był świadkiem, sprawiło, że jeszcze boleśniej odczuwał brzydotę ludzkiej duszy. Nic z tego, co powiedziała Natalia, nie zdziwiło Kajtka. Wiedział, że jego szwagier to zły człowiek, fałszywy, zakłamany. Jednak dziwne, nie wiedzieć gdzie i kiedy nabyte poczucie sprawiedliwości nie pozwalało Mazurowi osądzać Dołęgi. Jak wszystkich ludzi, których znał, tak i Wojtka dotąd usprawiedliwiał, tłumacząc sobie, że może on sam coś źle zrozumiał, że czegoś nie wie i dlatego jego osąd będzie powierzchowny, a przez to niesprawiedliwy.

Teraz jednak, gdy te słowa padły z ust najbliższej Wojtkowi osoby, można było pozwolić sobie na uwolnienie własnych emocji. Gdy wyciąga się korek z dobrze zamkniętej butelki kwasu, to najpierw stawia on opór, później zaś wyskakuje lekko z cichym plaśnięciem, bo potrząsanie butelką uwolniło gaz, który nie może się doczekać, by znaleźć sobie ujście. Tak właśnie było z Kajtkiem; gdzieś w głębi zebrało się mnóstwo emocji i teraz, gdy Natalia nim potrząsnęła, pragnęły się uwolnić.

Przede wszystkim miał do tamtego pretensje o Wietkę. Kajtek nigdy nie okazywał swoich uczuć, ale całym sercem kochał malutką siostrzyczkę. Jakżeby inaczej? Toż on ją wychował. Matka rano szła w pole, rzucała tylko: „A do dziecka zajrzyj”, i nie było jej do ciemnej nocy. Dziecko nie wiedziało, że nie wolno mu żądać matczynej uwagi, bo najważniejsze, by wszyscy mieli co jeść, a na to trzeba ciężko pracować, marudziło więc, płakało, było głodne, śpiące, zmoczyło się albo i gorzej. Matki, gdy musiały iść w pole, dawały maluchom gałganek z makiem, którego ssanie czyniło te wszystkie bolączki mniej dokuczliwymi. Niektóre miały w rodzinie stare babki czy dziadków, wtedy tym niezdolnym już w polu robić członkom rodziny nakazywały dzieciaka pilnować. Inne, jak Mazurowa, miały starsze dzieci, które prócz wszystkich prac w obejściu musiały się jeszcze młodszym rodzeństwem zajmować. Różnie to wyglądało, bo tamte wolały z rówieśnikami po wygonach biegać niż pilnować maluchów. Jednak Kajtek, który naturę miał taką, że towarzystwa nie szukał, opiekował się siostrą, jak potrafił najlepiej. Wieta – tak mówiła na siebie, gdy była całkiem malutka, tak też nazywał ją Kajtek, a po nim ojciec i matka, w końcu zaś cała wieś zwała Elżbietę Mazurównę Wietką.

Matka, zwłaszcza po śmierci ojca, upatrywała w dziewczynce szansy na coś

dobrego, co dzięki niej zdarzy się w ich życiu. Mówiła o przyszłym mężu córki, że będzie to bogaty gospodarz, a może urzędnik jakiś się trafi albo wojskowy, jednym słowem „pan”. Z takim Wietce byłoby dobrze, a im wszystkim razem z nią. Kajtek swoim zwyczajem milczał. Czy był sens mówić matce, że przecież nie jest im źle, nie są najbiedniejsi, on ojca we wszystkim zastąpił, bo był już prawie dorosły, gdy tamten poszedł na wojnę z bolszewikami i zginął?

Nie. Gała patrzyła na wszystko inaczej. Śmierć ojca sprawiła, że świat, który znała, runął i koniecznie potrzebowała nadziei na coś dobrego, co jeszcze może się zdarzyć. Pewnie nawet gdyby Kajtek znalazł właściwe słowa, by matce wytłumaczyć, że dobro nie przychodzi ze świata, tylko jest w człowieku i jeśli dasz mu sposobność, to wypłynie jak ta woda ze źródła i ożywi wszystko wokół, jeśli zaś będziesz czekać na coś z zewnątrz, to uschniesz i tyle, nie posłuchałaby. Wiedziała swoje, była uparta. Zbyt ufna, trochę bezmyślna, trochę naiwna. Wietka miała te cechy po niej. Nic dziwnego, że ktoś taki jak Dołęga zdołał omotać obie kobiety i wykorzystać. Były jak dzieci, a Wojtek to wytrawny oszust.

Kajtek niejednokrotnie wyrzucał sobie, że pozwolił na ślub siostry z tym draniem. Inna sprawa, że niewiele mógł zrobić. Matka i siostra nie liczyły się z jego zdaniem, a on sam nie miał zbyt wiele do powiedzenia w domu. Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia – powtarzał raz za razem, a zważywszy, ile słów dziennie wypowiadał, wydawało mu się to jednocześnie zabawne i bardzo smutne.

Wyobrazził sobie sytuację, gdy na wieść o planowanych zaręczynach Wietki i Wojtka on, Kajtek, mówi, że się nie zgadza. Aż drgnął cały, bo jazgot matki i siostry, choć tylko w myślach, uraził go fizycznie. Wcisnął głowę w ramiona i przygarbiony czekał, aż przestaną, gotów zgodzić się na wszystko. Tak by to właśnie było, gdyby powiedział, że zgody na ślub siostry nie daje.

– Na drodze jej szczęścia stajesz! – krzyczałyby matka, a w jej oczach świeciłoby szaleństwo. Szaleństwo, tak, właśnie ono ogarnęło matkę za sprawą Wojtka Dołęgi. Wietkę, młodą i zakochaną, Kajtek dobrze rozumiał, w końcu sam nieroztropnie oddał serce Marince, ale zachowanie matki wprawiało go w osłupienie. Jak można było oddać tę śliczną dziewczynę komuś takiemu jak Dołęga? Kajtek rzadko kiedy myślał o swojej siostrze inaczej niż jak o małej dziewczynce, gdy mu się jednak zdarzało spojrzeć na

nią jak na obcą, musiał przyznać, że jest bardzo ładna, wesoła i miła. Nie była też najbiedniejsza, a to wszystko razem znaczyło, że mogła wybierać między kandydatami na męża. Czemuż nie czekała, nie patrzyła, kto jeszcze jej się trafia, tylko poszła za takiego lenia i nieroba?

Bo jej własny brat przez swoją bierność na to pozwolił. Kajtek poczuł ucisk w żołądku, a po chwili zalała go fala wstydu, jakby ktoś ściągnął z niego ubranie. Gorzej jeszcze, gdyż nagie ciało to nie aż taki wstyd w porównaniu z obnażoną duszą. A tak właśnie się poczuł. Niby zwykły kwietniowy wieczór, schyłek dnia wypełnionego pracą, po której szukał chwili odpoczynku na łąkach, ale zamiast w rowie łowić ryby, wysłuchał opowieści Natali, co sprawiło, że zaczął rozmyślać o Wojtku. A wtedy w końcu doszedł do punktu, w którym miał tylko jedną możliwość – przyznać, że to on, Kajtek Mazur, jest winien nieszczęściu siostry. Gorycz żółci wypełniła mu usta, splunął, ale nie pomogło, nieprzyjemny smak utrzymywał się nadal.

Dotarł już do wsi. Mógł teraz pójść gościńcem albo skręciwszy na ścieżkę, skrócić sobie drogę, ale pewnie i nogi zmoczyć, bo teren za chałupami wciąż był po zimie grząski.

Wybrał ścieżkę. Szedł wolniej, niż gdyby wybrał gościńiec, gdyż gałęzie bzów, rosnących za oborami, wyciągały swe zielone dłonie, by bić go po twarzy i szarpać za włosy. Zajęty swoimi myślami nie zwracał uwagi na to, co się wokół dzieje. W innych okolicznościach, słysząc czyjąś rozmowę, przystanąłby wcześniej, a może nawet by zawrócił. Stało się jednak tak, że zatrzymał się dopiero trzy, może cztery sążnie od kłócącej się pary. W antracytowym zmierzchu trudno było zobaczyć twarze tych dwojga. Tę jedną wszakże poznałby zawsze i wszędzie. Marinka.

– Czego chcę? Czego chcę? Tego, coś mi obiecał, chcę.

– Już ci to dałem – powiedział nie kto inny jak Wojtek Dołęga.

– Co mi dałeś? – Ta odpowiedź wyraźnie ją zaskoczyła.

– Szczęście, moja droga. Uniesienie, rozkosz, jakiej nikt ci nie dał. Zapomnienie.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Nie daję rady. Sama jestem, z dziećmi. Potrzebuję pomocy w gospodarstwie.

– To sobie znajdź kogoś.

– Myślałam... – Zawahała się. – Sprzedam wszystko, weźmiemy pieniądze. Wyjedźmy.

– Po cóż mi ciebie ze sobą ciągnąć? Tam, gdzie się wybieram, takich jak ty na pęczki.

– Ją weźmiesz, tak? Żonkę swoją ukochaną?

– Wezmę czy nie, nie twój interes.

– Teraz już powiem jej o nas! Wszystko jej o nas powiem.

– Mów, jeśli taka twoja wola. Wietka głupia jak to cielę, a zapatrzona we mnie niczym w obraz. Myślisz, że komu z nas uwierzy?

– Po wsi rozgadam.

– Będiesz od chałupy do chałupy chodzić i rozpowiadać, jak to mnie w oborze dupy dawałaś, gdy twój Pietro zmęczony drzemał w izbie? Od Pomiechowskiej zacznij, to będziesz mieć pewność, że każdy jeden we wsi, zechce czy nie, wszystkiego się dowie.

Odpowiedzią był szloch. I cisza.

Kajtek stał, kroku nie mogąc zrobić. Dołęga minął go, nie zauważywszy nawet.

Serce podpowiadało Kajtkowi, że powinien pójść za Marinką. Wziąć ją w ramiona, pozwolić się wypłakać, tak jak wcześniej Natali, szepnąć jakieś słowo dobre i ciepłe. I zrobiłby to, gdyby nie okrutnie urażona duma. No bo jakże to? Tyle lat ją kochał, wzdychał do niej i o niej śnił. Pogodził się z tym, że wyszła za Pietra, bo która by chciała Kajtka Mazura, który smutny był jak Popielcowa Środa, a cichy jak noc na początku grudnia? Która by go chciała, jeśli mogła pójść za wesołego Pietra, chłopaka, co i tańczył, i śpiewał, a gdy się śmiał, to cała wieś razem z nim? Kajtek to rozumiał. Gdyby sam miał wybierać między sobą a Matwiejczukiem, tamtego by wskazał i do kochania, i do małżeństwa. Ale Dołęga? I to jeszcze nim Pietro z domu odszedł? Ludzie jeden przez drugiego, gdy rozmawiali o tym, co się u Matwiejczuków stało, nadziwić się nie mogli owemu tajemniczemu zniknięciu męża Marinki i najdziwniejsze snuli tłumaczenia, kilku szeptało o gachu. Może rzeczywiście Pietro odszedł, bo na bezwstydną żonę patrzeć nie mógł?

Kajtek też nie mógł. Kolejna fala wstydu wypłynęła z najmroczniejszych zakamarków jego duszy. Jakże to? Tyle lat kochał kobietę i uważał ją za świętą, a ona okazała się zwykłą... Nie pozwolił sobie nawet pomyśleć tego słowa. Szkoda dla takiej duszy grzechem brukać.

Westchnął ciężko. Okazało się jednak, że nawet najgłębszy oddech nie pomoże w pozbyciu się fermentu z serca.

Wszedł na podwórze starych Adamczuków, bo teraz tu był jego dom,

i odłożył wędkę pod strzechę szopy, upewniając się, czy dobrze przymocowana, czy nie strąci jej wiatr albo jeden z buszujących tu za dnia wróbli.

Żaden blask nie oświetlał wnętrza domu, jednak Kajtek dobrze wiedział, że Jadźka siedzi przy stole. Pewnie się modliła. Może o czymś rozmyślała. Była dobrą, solidną towarzyszką życia. Choć ostatnio dziwnie się zmieniała. Nigdy nie lubiła gadać, to ich łączyło, ale teraz mówiła jeszcze mniej. Miał wrażenie, jakby o coś się na niego gniewała. Raz nawet zapytał, czy jej czym nie uraził, ale odparła, że nie. A jednak coś było inaczej, tylko Kajtek nie mógł dojść co. Przeszkadzało mu to trochę. Ze wszystkiego na świecie najbardziej lubił spokój, a humory Jadźki sprawiały, że czuł się jak w sierpniowy skwar, gdy na horyzoncie rysuje się czarna chmura – nie wiesz, kiedy nadejdzie, ale wiesz, że niczego dobrego z tego nie będzie.

Skrzypnęły zawiasy, przypominając gospodarzowi o tej kapce oleju, którą z dawna miały obiecaną.

– Głodnyś? – zapytała Jadźka.

– Kawy mi zrób.

Wstała. Woń palonej cykorii i jęczmienia rozniosła się po izbie. Pod paleniskiem zatańczył pomarańczowy płomyk, niewielki, bo też nie trzeba było dużo, by wodę podgrzać.

– Zmarzłeś? – zapytała.

Zaprzeczył ruchem głowy, a uświadomiwszy sobie, że nie mogła go widzieć, powiedział „nie” i przyciągnąwszy sobie zydelek pod piec, usiadł.

Jadźka podała mu kubek. Woń zbożowego naparu mile łaskotała nozdrza, ciepło przenikało przez gliniane naczynie najpierw do dłoni, później do ciała. Ogień pod blachą dogasał, ale kilka szczap wciąż się tliło. W chałupie czuć było wilgoć, ale już nie tę jesienno-zimową, ciężką i zatęchłą, a wiosenną, przyjemnie chłodną, ziemistą.

Jak dobrze by było, gdyby Kajtek sobie umiał życie ułożyć tak, by w takiej chwili mógł się czuć szczęśliwy. Bo przecież w tym wiosennym wieczorze było wszystko, czego potrzebował – cisza, spokój, kubek kawy i milcząca obecność bliskiej osoby. Nie potrafił się tym cieszyć. Do tej pory myślał, że to kwestia miłości. Przez tyle wieczorów patrzył na Jadźkę i myślał, że gdyby po chałupie chodziła Marinka, byłby szczęśliwy. Tego wieczoru zdał sobie sprawę, że nie ma znaczenia, kto podaje kubek z kawą. Znaczenie ma, że to wszystko – chałupa, gospodarstwo, żona – zostało mu dane przez kogoś

innego. Sam o nic się nie postarał, niczego nie zrobił, o nic nie walczył. Zakochał się w Marince, gdy był szczeniakiem, ale tylko za nią patrzył. Nigdy do niej nie podszedł, nie powiedział, co czuje. Może by go nie chciała, ale przynajmniej by coś zrobił. W tej sprawie, tak jak i w sprawie Wiety, był bierny.

Jadźka odchrząknęła.

– Zaszła dziś do nas twoja siostra – zaczęła. – Z tobą chciała gadać. Rozpisanie ziemi po ojcach chce. Mówiła, że Wojtek na cudzym robił nie będzie, bo nie wiadomo, kiedy mu zabierzesz. Do sądu pójdą, jak się na rozpis nie zgodzisz. – Zamilkła, ale nie dlatego, by czekała na jego odpowiedź. Zastanawiała się, czy ma powiedzieć to, co jej leżało na duszy. Widać uznała, że powinna. – Dołęga chałupę babki sprzedaje. Nie poczeka, aż starowina z tym światem się pożegna. Drań. Babka zostanie albo na Dyzia głowie, albo na Antkowej. A gdzie pójdzie, tam krwi napsuje. Ale czy jasnie pan Wojtek czym się przejmuje?

Co za dzień, nawet w domu musi o tym słuchać.

– Wietka mówiła, że za pieniądze z chałupy kupią kawałek ziemi od Połajowej, bo to przy ich między. No nie wiem. Mnie to najwięcej Dyzia szkoda, że będzie się z babką Hubową męczył. – Westchnęła. – Powiedziałam Wicie, żeby jutro rankiem przysła, to cię zastanie.

Zapadła cisza, ale nie taka jak przedtem, gdy pił kawę. Ta była niespokojna, pełna oczekiwania. Jadźka chciała, by coś powiedział, zrobił, zapewnił, że nie dojdzie do tego, by stara Hubowa psuła mir w domu młodych Adamczuków.

Cóż ja ci poradzę, kobieto? Jestem jak ten głaz na pole rzucony, trwam, a nic nie robię. Żeby mnie ruszyć z miejsca, trzeba siły ogromnej. Sam z siebie mogę tylko mchem porastać.

– Położę się już – powiedziała Jadźka.

Dobranoc, Jadziu. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie mogła słyszeć jego myśli.

– Dobranoc, Jadziu – powtórzył, choć pewnie tego nie słyszała.

Rozdział trzydziesty piąty



Uprawa poplonu to sposób na zwiększenie żyzności gleby. Rośliny, siane między dwoma głównymi plonami, wykorzystać można na paszę dla zwierząt albo zielony nawóz, który zwiększy biologiczną aktywność gleby i wzbogaci ją w składniki mineralne, głównie azot. Do największych korzyści z siania poplonu należy zahamowanie wzrostu chwastów, ochrona gleby przed wysychaniem i utratą składników mineralnych oraz poprawa jej struktury. Dlatego też nie wszystkie rośliny nadają się na poplon. Z tego punktu widzenia najistotniejsze jest tempo wzrostu roślin poplonowych – im szybsze, tym lepiej. Rośliny poplonowe nie mogą wyjaławiać gleby, lecz powinny ją wzbogacać. Ważną, często pomijaną cechą jest zdolność roślin do wiązania metali ciężkich i oczyszczania z nich gleby. Należy również wziąć pod uwagę wrażliwość na choroby i szkodniki. Na poplon nie nadają się rośliny słabo radzące sobie z pasożytami, które później mogą nękać również plon właściwy. Dlatego gorzycy nie sieje się na poplon tam, gdzie planowana jest w następnym roku rzepa, warto ją jednak wysiać przed sałatą, bo odstrasza ślimaki. Najpopularniejszymi roślinami poplonowymi są bobowate (znane również jako motylkowe).

Maj 1938

Różne rzeczy później ludzie gadali. Zresztą mało kto umie tak opowiedzieć jakąś historię, by czegoś od siebie nie dodać. W sprawach takich jak ta, które trudno objąć rozumem, opowiadający rzadko kiedy powstrzyma się, by własnego wyjaśnienia nie wpleść między nitki zdarzeń. Rzecz w tym, że historia jest jak tkanina – jeśli chcesz, by wzór się zachował, nie możesz niczego przypadkowego wplatać. Ważna jest gęstość wątku, ważna grubość

i kolor osnowy, a i sam splot nie bez znaczenia. Mało jednak kto zwraca na to uwagę, bo też mało kto traktuje opowiadanie historii jak rzemiosło. Kowal, tkacz, szewc, zdun, młynarz czy krawiec od dziecka uczą się tego, z czego później żyją, i wszystko o swej pracy wiedzą. Podobnie doktor czy karczmarz. Każdy trzyma się prawideł własnej sztuki. A z taką opowieścią to wszystkim się wydaje, że potrafią ją snuć. Pomiechowskiej bardzo się nie podobało, że po wsi biegały rozmaite plotkarki, jedna przez drugą opowiadając tę historię, każda coś od siebie dodała, każda coś zmieniała i na koniec to już zupełnie nie było wiadomo, co prawda, a co nie, jak to się stało, kto z kim i dlaczego.

– Przepadnie ta wieś w plotkach, gdy mnie nie stanie.

Ziarna prawdy przepadną między plewami, bo nie będzie nikogo, kto potrafi je odwiać. Na szczęście jednak Pomiechowska, choć już dość stara, wciąż jeszcze żyła. I jeśli nie była świadkiem wydarzeń, to gadała z bezpośrednimi ich uczestnikami, wiedziała więc dokładnie, co zaszło. Niczego do opowieści nie dodawała, nie szukała też tłumaczeń. Miała swoje lata, napatrzyła się na świat i ludzi, wiedziała, że nie ma nic bardziej skomplikowanego niż człowiecza dusza.

Zupełną nieprawdą było to, co niektórzy gadali, że Natalia zmówiła się z Kajtkiem. Ktoś ich widział na łąkach i po swojemu dodał, co mu do łba przyszło, by to wszystko, co później zrobił Mazur, wyjaśnić. Tak naprawdę powodem, dla którego stało się to, co się stało, była zła krew Wojtka Dołęgi. Skrzywdził on każdego, kogo miał w pobliżu – Terenię, Natalę, Wietkę i Marinkę. A na koniec jeszcze Kajtka, obarczając go na wieki ciężkim grzechem.

Trudno dociec, gdzie zaczęła się cała sprawa, która w obejściu Dołęgów tak tragiczny miała finał. Wszelkie próby domysłania się początku tylko zaburzają obraz i wprowadzają nieład w opowieści. Trzeba trzymać się tego, co rzeczywiście wiadomo, a samo to w zupełności wystarczy.

Pierwszą rzeczą pewną był zły charakter młodego Dołęgi, który zebrał najgorsze cechy zarówno po rodzinie matki, jak i ojca. Jak jego dziadek, Ksawery Hub, Wojtek lubił wódkę i kobiety, a po pradziadku, Marcinie Dołędzie, miał pociąg do kart. Po Tereni Hubowej odziedziczył samolubność, po Małgoście Dołęgowej skłonność do opowiadania niestworzonych historii. I choć żadnego z tamtych słabość charakteru nie przywiodła do upadku, wszystkie one, zebrane w jednym człowieku, były jak ten młyński kamień

przywiązany do szyi – pociągnęły Wojtka na dno. Czy stałoby się tak, gdyby w domu nie zabrakło ojca, tego nie wiadomo. Można się domyślać, że twarda ręka wyprowadziłaby chłopaka na prostą drogę, bo w gruncie rzeczy nie był on zły, tylko słaby i potrzebował pomocy, by się ze swoimi wadami uporać. Lecz to, co być by mogło, nigdy nie jest pewne. Wiadome jest tylko to, co się wydarzyło. Ojciec zaprzepadł w Ameryce, matka uciekła z kochankiem, a dzieci rosły, jak los chciał. Jedno wyrosło na dobrego człowieka, drugie na złego. Ot i wszystko.

Drugą rzeczą, od lat wiadomą Pomiechowskiej, ale tylko jej, bo z nikim się swą wiedzą nie podzieliła – tak już miała, że cudzych sekretów strzegła z równą pieczołowitością jak własnych – było to, że Kajtek Mazur kochał się w Marince. Czemu do niej z wódką nie posłał, tego nikt nie wie. Może się wstydził, może wiedział, że go odeślą? Kochał ją mocno przez lat wiele, a że człek był z niego skryty, to i swe uczucie skrywał i nikt we wsi, poza nim samym i Staszka, o niczym nie wiedział.

Trzecia rzecz wiadoma to ta, że Gala Mazurowa była trochę mądra, a trochę głupia. Są tacy, co gadają, iż całego rodu niewieściego to przywara, Pomiechowska jednak daleka była od takiego spojrzenia na świat. Znała kobiety całkiem mądre, znała też całkiem durne. Zdarzało się tym mądrym zrobić coś głupiego, a tym głupim mądrego, ale zwykle tylko zupełnym przypadkiem. Gala Mazurowa była dokładnie pół na pół. Dlatego też jej rozsądek znajdował wytłumaczenie dla każdej głupiej rzeczy, którą zrobiła. Komuś takiemu nie powinno się pozwalać decydować w ważnych sprawach. Niestety, Prokop zginął na wojnie, pozostawiając los rodziny w rękach żony. Ot i całe nieszczęście. Może gdyby miała jaką dobrą kumę, która by jej z serca poradziła, co robić, Gala nie wydałaby córki za Dołęgę. Może gdyby Kajtek był inny... Niestety, podobnie jak Wojtek, brat Wietki był słabym człowiekiem. Nie można narzucić innym swojej woli, gdy jej się nie ma. Kajtek był jak te zielone rośliny, co na dnie Huczwy rosną, kołysane jej nurtem to w prawo, to w lewo.

Mimo to mogło nie dojść do nieszczęścia. Wojtek sprzedałby babczyną chałupę i poczuwszy w kieszeni trochę grosza, ruszyłby w świat. Może szczęśliwie dla wszystkich nie wróciłby już nigdy. A nawet gdyby, to w czasie jego nieobecności bliscy zdołaliby odetchnąć, ich wzburzenie by opadło i do nieszczęścia by nie doszło.

Do nieszczęść, bo przecież nie jedno się stało, a kilka naraz. Choć będą

i tacy, którzy na tym skorzystają.

Wydarzenia z ostatnich dni kwietnia miały swój wpływ na Kajtka Mazura. Jeśli niektóre z nich były tylko małymi wstrząsami, to ostatnie można porównać do zapadnięcia się ziemi. Najmniej podziałała na niego rozmowa z Natalą. Nie była to żadna tajna schadzka, jak później szeptali niektórzy, tych dwojga nigdy nic nie łączyło. Owszem, kiedyś Gała roiła sobie, że Dołęgówna zostanie jej synową, jednak dziewczyna serce oddała innemu i szczęśliwie nic z tych planów nie wyszło.

Natala dostała jakiś list i jego treść bardzo ją wzburzyła. Pomiechowska ze swojego miejsca pod studnią dobrze widziała człowieka, który dostarczył kopertę do chałupy Dołęgów, czy jak to teraz mówiono, młodych Adamczuków. Zagadnęła go nawet, pytając, skąd jest i za czym po wsi chodzi, ale nic powiedzieć nie chciał, poza tym, że jego wuj handel prowadzi i czasem też inne usługi wykonuje, ot, choćby listy dostarcza tym, którzy nie chcą na pocztę czekać. Bardzo to dziwnie brzmiało i pachniało szpiegostwem, coś takiego jednak zupełnie nie pasowało do Natali. Biorąc pod uwagę, jak wzburzona wybiegła z chałupy i co mówiła Kajtkowi... Pomiechowska zachowała to dla siebie, wszak nie wypada podsłuchiwać ani podglądać, a świadkiem rozmowy stała się zupełnie przypadkowo. Nie ciekawość ją zagnała na łąki, tylko obawa, że Natala gotowa zrobić sobie coś złego. Starość siedzi w kościach, siedzi w ciele, i na trzy kroki młodego przypada ledwo pół kroku starca, dlatego zanim Staszka na łąki się dowłokła, Natala zdążyła już się wypłakać i ze smutkiem opowiadała Kajtkowi o wszystkim złym, co ją ze strony brata spotkało. Widząc, że dziewczyna jest bezpieczna, Pomiechowska poczłapała w swoją stronę, bo choć niewątpliwie wiele rzeczy można jej zarzucić, to na pewno nie wścibstwo. W każdym razie to, co niechcący usłyszała, i to, co powiedział człowiek od listu, pozwoliło staruszce wysnuć wniosek, że sprawa dotyczy długów Wojtka. Pewnie ktoś, kto mu pożyczył pieniądze, nie mógł się doczekać ich odzyskania i dlatego zwrócił się do siostry, której, bądź co bądź, nieźle się powodziło.

Gdyby to była prawda, coś takiego musiałoby Kajtkiem wstrząsnąć, wszak siostra jego, jako żona Dołęgi, była uwikłana w tę kabałę.

A jeśli nie to, na pewno wydarzenia następnego ranka nim wstrząsnęły. Tu akurat nie może być mowy o podsłuchiwaniu, bo Wietka tak głośno darła mordę, że nawet ci, co nie chcieli, słyszeli każdziusięńkie słowo.

Było to rankiem, gospodarze ledwo zdążyli gnoje po nocy powywalać,

kobiety uwijały się między kuchnią a oborą, tu rozpalając, tam krowy dojąc, tu w garach mieszając, tam kury macając, gdy Wietka Dołęgowa zdecydowanym krokiem przemaszerowała przez wieś i stanęła na progu chałupy brata.

– A czemuż ty krzywdy mojej chcesz? – krzyknęła od razu, nawet nie pochwaliwszy Pana Boga.

Ponieważ Kajtek nie był zbyt wymowny, przeto ona gadała za dwoje. O tym, że jej nieszczęście mu miłe, że przeciw Wojtkowi jest, że ziemi oddać nie chce. Zapędziła się nadspodziewanie daleko i każdy we wsi usłyszał, jak winę za śmierć matki na brata zrzuca. Musiał ten Kajtek bardzo być za siostrą, że usłyszawszy coś takiego, w twarz jej nie dał. Zaraz znaleźli się i tacy, co w tym Wietce przyznali rację. Ludzie to bywają durni. Przecież ten biedny Kajtek całym sercem matkę swoją kochał. Gdyby tak nie było, toby spod jej władzy dawno się wyzwolił i szedł przez życie własną ścieżką, a nie tą, którą mu matka iść kazała.

Z chałupy wyszła Jadźka i mitygowała szwagierkę, ale tyle to dało, że jej samej garść oszczerstw się dostało. Usłyszała, że jest kryminalistką, co się w więzieniu nauczyła podłych sztuczek wiadomej natury i nimi Kajtka opętała, a będąc dziadową z dziadowskiego domu, szuka łatwego zarobku i chce się wzbogacić na niesprawiedliwości, która Wietkę i Wojtka spotyka.

Wreszcie Jadźka nie wytrzymała.

– Niech mi twoja noga jeszcze raz na podwórzu stanie, to za sierp chwycę i ten durny łeb ci oberżnę – krzyknęła.

Wietka całą drogę do swojej chałupy wyklinała na tamtych dwoje.

Tego dnia po wsi podawano sobie wieść, że Dołęgowie się wynoszą. Nie ma tu dla nich miejsca. Z Mazurami będą się sądzić, bo jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie. Ale w Tynczynie nie zostaną. Wieść ta, jak każda inna, lotem błyskawicy wieś obiegła, lecz jej życie okazało się nader krótkie, do tego jednego dnia ograniczone. Nie postawały następnego ranka kumy, wsparte o płot, i nie szeptały między sobą o tym, co powiedziała Wietka. Nie gadali o tym chłopci, prowadzący konie do studni, ani stare baby, siedzące w słońcu na ławkach pod chałupami i łuszczące zeszłoroczną fasolę ze strączków. Nazajutrz mało kto o tym pamiętał, stała się bowiem rzecz straszna, która wszystkimi wstrząsnęła, a najbardziej ze wszystkich Kajtkiem Mazurem.

Tej nocy Marinka Matwiejczukowa zakończyła swój żywot własną ręką.

Powiesiła się w oborze na powrozie od końskiej uprzęży. Znalazły ją dzieci, które obudziwszy się rano, poszły szukać matki, by im co jeść dała. Znalazszy ją, niebożęta nie wiedziały, co robić, siadły więc na ziemi pod oborą i zalały się łzami. Pierwsza dostrzegła je Pomiechowska, która wolniutko szła przez wieś, jak to miała w zwyczaju od czasu, gdy ze względu na wiek nie robiła już porannych obrządków. Widok tej dwójki, kurczowo do siebie przyklejonej i zalanej łzami, był tak smutny, że nie pozostawiał wątpliwości – stało się coś bardzo złego.

Bez zastanowienia wpadła do obejścia, nawołując Marinkę, oczywiście bezskutecznie, ale wtedy, nie wiedząc, co się stało, nie mogła podejrzewać, że tamta już nie odpowie. Nie znalazłszy jej w chałupie, bo do izby najpierw wbiegła, jakoś tak z przyzwyczajenia bardziej niż z rozsądku rzuciła się do obory. Z jasnego w ciemność, dlatego też potrzebowała chwili, by się zorientować, że to, co przyczepione do belki tak miarowo dynda, to nie kapa, nie piernat, tylko człowiek. Nieważne, ile lat żyć będzie, nigdy nie zapomni widoku drobnych, bosych stóp, których nienaturalna biel między plamami zakrzepłego brudu raziała w oczy.

Pognałaby Pomiechowska na wieś, między ludzi, by ich wezwać i o tym, co się stało, opowiadać. Lecz choć dusza jej wciąż miała lat ledwo trzydzieści, no może czterdzieści, ale to tylko w pochmurne i wietrzne jesienne dni, to nogi liczyły lat siedemdziesiąt dwa i nic nie dało się tu zaszachrować. A takie stare nogi, wymęczone wieloma latami chodzenia po polu, pokręcone reumatyzmem, nie pozwalały, by na nich gnać. Można było drobić kroczek za kroczeniem, w ślimaczym tempie. Dlatego też Pomiechowska podeszła do płotu, wsparła się na nim i krzyknęła ile sił w płucach:

– Bywajcie tu, ludzie, bywajcie!

Poldek Adamczuk akurat krowy gnał na wygon. Usłyszał krzyk i przybiegł, krasule zostawiwszy na gościńcu, gdzie spokojnie skubały zielsko rosnące na poboczu. Kazała mu Pomiechowska biec po sołtysa, a gdy już tamtemu dać znać, żeby do Matwiejczukowej zagrody przyszedł, niech innym przekazuje, że u Marinki wielkie nieszczęście się stało. Na to, że Poldek wywiąże się z zadania, można było liczyć, gdyż biegał jak wiatr, no i dobry był z niego chłopak. Wiele czasu nie minęło, a zebrali się ludzie na podwórzu Matwiejczuków tak ciasno, że igły między nich by nie wcisnął.

Ci, którzy przyszli wcześniej i stali bliżej, opowiadali stojącym dalej, co się wydarzyło. Rozważano, czy biedaczkę odciąć, czy do przybycia policjanta

czekać. Bo wiadomo, że na ratunek już szans nie ma, ale może to grzech, że ona tak wisi.

Naraz zamieszanie się zrobiło. W tłoku trudno było dojrzeć, co się dzieje. Pytali jeden drugiego i szmer przeszedł przez tłum. Pewnie jak Mojżesz w fale Morza Czerwonego tak ktoś wszedł w ciżbę, rozgarniając ludzi, tak jak się rozgarnia szuwar porastający podmokły brzeg rzeki.

Pomiechowska, która stała przy drzwiach obory, bo wiadomo, że jeśli coś ważnego się stanie, to właśnie tu, miała zamiar na krok nie ustąpić, ale pod wpływem wzroku Kajtka Mazura i ona zrobiła krok do tyłu.

Kajtek wszedł do obory. Zajrzała za nim, a on ukląkł na ziemi, modlił się i płakał. Później złapał za sierp, który wraz z płachtą wisiał na gwoździu w ścianę wbitym. Powróż był mocny, a że Kajtek drugą ręką podtrzymywał ciało Marinki, ciężko mu to szło i nie jednego, a czterech razy potrzebował, by sznur przeciąć.

Gdy w końcu to się stało, wziął ciało w ramiona i poniósł je tak, jak niesie się śpiące dziecko. Ruszył z nim do chałupy, położył na łóżku i kapą przykrył. W oczach miał łzy, a na jego twarzy malowało się tak okropne cierpienie, że aż się chciało nad tym człowiekiem zapłakać. Wreszcie wyszedł z chałupy, wzrok jego tylko prześlizgnął się po zebranych, bo nic go nie obchodzili, za czym innym się rozglądał. Dostrzegł dzieci, które wciąż siedziały przytulone na ziemi i nikt nie zwracał na nie uwagi. Podeszedł do nich, szepnął coś, pomógł chłopcu wstać. Podniósł dziewczynkę i na ramieniu ją sobie usadził, chłopca zaś wziął za rękę i ruszył ku gościńcowi. A za nim Pomiechowska, świadoma, że tam, dokąd Kajtek zmierza, stanie się coś ciekawszego niż tu, pod Matwiejczuków oborą.

Mazur szedł z dziećmi do siebie, to znaczy do chałupy starych Adamczuków. Pomiechowskiej, gdy tak z bliska przyglądała się dziewczynce, zdawało się, że widzi w jej rysach podobieństwo do Dołęgów, ale być może dopatrzyła się go, bo je widzieć chciała? Ktoś, kto o romansie tych dwojga nie wiedział, w twarzy dziecka by go nie zobaczył. Czy Kajtek wiedział? Nie wiadomo. Wiadomo na pewno, że wszedł do swojej chałupy i dzieci przy stole posadził, jakby to był ich dom, ich stół, a on był ich ojcem.

Jadźka, która kaszę w garnku mieszała, by tłuszczem kapiącym ze słoniny zawieszanej pod okapem równo się omaściła, jednego słowa nie powiedziała. Ręce wytarła w zapaskę, podeszła do stojącego przy drzwiach kredensu, wyjęła z niego dużą miskę i cztery drewniane łyżki, a po chwili

zastanowienia dodała piątą i skinęła na Pomiechowską, która wciąż stała w progu. Nałożyła kaszy do miski, postawiła na stole, rozdała łyżki. Kajtek się przeżegnał, a za jego przykładem wszyscy, po czym jeść zaczęli. W innym wypadku pewnie by ta kasza migiem zniknęła, ale tego ranka nikt głodny nie był. Dorośli jedli bardziej ze względu na dzieci, przerażone tym, co się stało, by pokazać, że życie się nie skończyło i jest dla nich nadzieja.

Gdy skończyli, Jadźka zabrała miskę ze stołu i wstawiła ją do szaflika. Przyjrzała się twarzom dzieci, a widząc, że brudne i zasmarkane, namoczyła szmatkę i przetarła nią umorusane buzie i ręce.

– Wcześniej trzeba to było zrobić, przed jedzeniem – powiedziała. – Następnym razem najpierw was umyję, a potem nakarmię.

– One już duże, same myć się mogą – zauważyła Pomiechowska.

– To i racja. Rodzeństwem młodszym się opiekowałam, ale to dawno było, człowiek zapomina. Myślicie, żeby je teraz spać położyć?

Pomiechowska skinęła głową, bo pomysł, by maluchy ułożyć do snu, wydawał się najlepszy. Bo co z nimi można było teraz zrobić? Między dzieciarnię posłać ich nie można, wszak dopiero co zostały sierotami, a do roboty zaganiać dzieciak cudzych nie pasowało.

Gdy Pomiechowska została w izbie z Kajtkiem, zapytała:

– Co ty myślisz z nimi zrobić?

– Wychować.

Było to potwierdzenie, że w owej chwili, gdy tak siedzieli przy stole, nie planował tego, co stało się później.

Zdaniem Pomiechowskiej, gdyby nikt nie naruszył spokoju, który wówczas zapanował w chałupie Mazurów, całe nieszczęście skończyłoby się w tamtej chwili.

Niestety. Z rzeczy pewnych to jeszcze należało do listy dodać, że Wietka, obecnie Dołęgowa, po swojej matce odziedziczyła odrobinę głupoty, lecz w przeciwieństwie do Gali Mazurowej nie miała tej odrobiny rozumu, która jest niezbędna do zapewnienia równowagi. Dlatego też Wietka robiła tylko głupie rzeczy.

Gdyby na kogo innego trafiło, najpierw by się zastanowił. Mądry tylko przez chwilę; mniej rozumny potrzebowałby więcej czasu, jednak każdy, kto kapkę oleju miał w głowie, wcześniej czy później doszedłby do wniosku, że wobec tak okropnego nieszczęścia należało milczeć. Śmierć wymaga, by ją szanowano, gdy tego nie robisz, rozżłoszczona macha kosą na lewo i prawo,

można przez to uszczerbku na zdrowiu doznać, ale i życie stracić.

Wietka nie miała rozumu, brakło jej też szacunku do świętego śmierci majestatu. Z okropnym krzykiem wpadła do chałupy Mazurów i zaczęła brata wyklinać. Wziął ją Kajtek łagodnie pod ramię i z izby wyprowadził, zerkając przy tym za siebie na drzwi do alkowy, czy dzieci niepobudzone.

– Gadali mi ludzie! Ludzie mi gadali! – krzyczała jego siostra na całe podwórze.

Pomiechowska, która oczywiście podniosła się z ławy i wyszła za nimi, mogła wiele powiedzieć na temat ludzkiego gadania, głównie zaś to, że nic nie jest warte, uznała jednak, że roztropniej w kłótnię rodzinną się nie mieszać. Choć w zasadzie słowo „kłótnia” nie bardzo pasuje, gdy tylko jedno z dwojga mordę drze.

– Dzieciaki wzięłeś? A na co ci one? Tyle pieniędzy masz, że na czworo wam wystarczy? Mnie, siostrze rodzonej, żałujesz, a na cudze bastruki będziesz wykladał?

Na słowo „bastruk” Kajtek brwi zmarszczył.

– Nieprawdę gadam? Wszyscy we wsi wiedzą, jaka ona. Chłop od niej uciekł, bo na grzech patrzeć nie mógł. Wojtek mnie mówił, że i za nim latała, do grzechu namawiając, sucz jedna. Przez nią i przez ciebie on się Tynczyna wyrzeka, w świat idzie, bo tam ludzie lepsze są. Ty nam daj nasze pieniądze, a po tamtej nie płacz, bo to cholera była.

Ten potok słów przerwało plaśnięcie, po nim zapadła cisza. Pomiechowska widziała, jak Wietka rękę do twarzy podniosła; w oczach miała bezmierne zdziwienie.

– Co on z ciebie zrobił? – zapytał Kajtek.

Widać, że nie zależało mu na odpowiedzi, bo ruszył w stronę furtki. Obie kobiety za nim.

– Gdzie idziesz? – zapytała Wietka.

– Rozmówić się z nim.

Słowo „rozmówić” brzmiało w ustach Kajtka Mazura bardzo, bardzo dziwnie.

Poszli we troje. One stały dalej, on do drzwi chałupy załomotał.

– Dołęga! – krzyknął.

Trochę trwało, nim tamten z chałupy wylazł.

Panek z niego, oj, panek. Policzki miał równo wygolone, choć nie była to przecież niedziela, gdy wszyscy chłopci starannie wygoleni, a najzwyczajniejszy

dzień, gdy każdy inny chodził z odrastającym zarostem. Koszula na nim była po oczach śnieżną bielą, kołnierzyk sztywno wykrochmalony, kamizelka zapięta, a za guzik zaczepiony tombakowy łańcuszek od zegarka. Na głowie miał kaszkiet, według mody, co z miasta przysła.

– Szwagrze kochany, jakże miło widzieć. Cóż cię w me skromne progi sprowadza? – odezwał się z kpiną w głosie Dołęga.

– Wynoś się ze wsi.

– Słucham?

– Wynoście się, ludzie tylko przez ciebie cierpią.

– Co też ty mówisz? Kto cierpi? Siostra twoja? Nie może to być, bo jest ze mną bardzo szczęśliwa. Jeśli jakaś zgryzota ją trapi, to taka, że własny brat ziemi po matce nie chce jej oddać.

– Wietce jeszcze dziś bym oddał. Tobie na przetracenie nie dam.

Dołęga roześmiał się, jakby usłyszał najzabawniejszą na świecie krotochwilę.

– Dasz, dasz. Sąd ci każe i dasz, a co ja z tym zrobię, to moja sprawa. – I uznawszy, że rozmowa skończona, obrócił się na pięcie, by wejść do chaty.

– Gdzie? – krzyknął Kajtek, łapiąc go za ramię.

– Łapy przy sobie, chamie.

– Nic cię nie obchodzi, że ona...

– Ja po byle kurwiadze nie płaczę – odpowiedział na swoją zgubę Wojtek. I jeszcze się przy tym uśmiechał.

W oczach Mazura rozbłysło szaleństwo.

– Matkę moją do śmierci przywiodłeś! Wietkę ponieważ, jak półdurna przy tobie się zrobiła. Wiary jej nie dotrzymujesz. Babkę z chałupy wyгнаłeś. Siostrę rodzoną zastraszasz, pieniądze od niej na wódkę i karty wyciągasz, życie jej rujnujesz. A jeszcze tamtą... uwiodłeś i zostawiłeś. Przez ciebie na własne życie się targnęła.

– Szwagier wymowny jak nigdy. Tylem słów od ciebie jak żyję nie słyszał. I więcej już słyszeć nie chcę. Może ciebie los tych durnych bab wzrusza, mnie nie. – Tym razem nie zdążył się odwrócić, gdy go Kajtek za szewior chwycił i na środek podwórka wywlókł.

– A ty co? Bić się chcesz? To poczekaj, kamizelkę ściągnę, bo szkoda. Tania nie była. – Odwiesił ją na płot, rozpiął kołnierzyk. – I to jeszcze powiem, może kiedy ci się przyda, bo z tego, co wiem, nie bardzo ci idzie z kobietami, że one lubią, jak człowiek ładnie ubrany, ogolony i pachnący.

Leżą wtedy jak muchy do miodu, wprost się nie opędzisz. Że swojej głupoty później żałują, to nie moja wina.

– Ostatni to raz kobietę ukrzywdziłeś – powiedział Kajtek z takim spokojem, że Pomiechowskiej włoski na rękach dęba stanęły.

– Nie rzucaj gróźb, których nie spełnisz. Za dobry z ciebie człowiek, Mazur, byś się na co takiego szarpnął.

– Gdybym był dobry, nigdy bym do takiego zła nie dopuścił. Mój to grzech, zem ci na to wszystko pozwolił. I z siostrą moją się ożenić, i do Mariny chodzić. Ale na więcej nie pozwolę.

– I cóż zrobisz? Co zrobisz, człowieku? Jutro wyjadę, siostrę twoją zabiorę. Będę żył, jak mi się spodoba, a na ścierwo Matwiejczukowej mogę jeno splunąć.

Gdy spokojny pies podnosi wargę i zęby pokazuje, znak to, że stracił cierpliwość. Taki ugryzie prędzej niż ten, co od rana do wieczora ujada. Wiedzą to ludzie na wsi, jednak Dołęga widać nie poznał tej mądrości i choć z gardła Mazura dobywało się już warczenie, Wojtek nadal go drażnił.

Rozwścieczony Kajtek rozejrzał się wokół siebie. Wzrok jego padł na pień do rąbania drewna, o który była oparta siekiera. Złapał ją w dłoń. Wojtek tylko się roześmiał. Kajtek nie wytrzymał, uderzył. Siła ciosu przewróciła Wojtka na ziemię. Koszula poczerwieniała od krwi. Ziemia poczerniała od krwi. Dołęgowie krzyczeli jedno przez drugie, on z bólu, zranioną rękę przyciskając do piersi, Wietka z przerażenia.

Kajtek zrobił krok do tyłu, jakby miał się wycofać. Powinien był. Pomiechowska rzuciła się ku niemu, by go złapać, powstrzymać. Jednak stare jej nogi nie miały szans z młodymi nogami Wietki.

Tamta dopadła męża, chcąc mu pomóc, ale odepchnął ją, krzycząc, by poszła won, że patrzeć na nią nie chce, że leniwa i durna, a brata ma potwora.

Wietka zanosła się dzikim, zwierzęcym wyciem, Kajtek zaś postąpił do przodu, stając między Dołęgą a siostrą.

– Dobre słowo jej powiedz – poprosił.

– Poszli won oboje! – krzyknął Dołęga.

I były to jego ostatnie słowa. Łupnęło, jakby kto suche polano na dwoje przerażał. Wietka darła się jak opętana:

– Ludzie, ludzie! Męża mi zamordował, zabił. Za pole, za majątek! Ludzie, pomóżcie.

Zdążyła zachrypnąć, nim się kto zjawił. Mieszkańcy wsi mieli widowisko

gdzie indziej, bo też właśnie zjawił się u Matwiejczuków policjant.

Tymczasem Kajtek poszedł do swojej chałupy. Kazał Jadźce wody nagrzać i mydła podać.

– Koszulę mi daj, tę świąteczną – poprosił. – Dzieci najlepiej, jak możesz, wychowaj. Pietro był moim przyjacielem, przez wzgląd na niego. I przez wzgląd na ich matkę.

Gdy kończył się golić, posterunkowy stał już na podwórku.

Kajtek podszedł do Jadźki, objął ją i czule pocałował.

– Wybacz, żem ci szczęścia nie dał.

Nie odpowiedziała, tylko znak krzyża uczyniła mu na czole.

– Kajetan Mazur? Prawda to, żeście szwagra swego, Wojciecha Dołęgę, za majątek zabili siekierą?

Kajtek skinął głową.

– To pójdziecie ze mną.

Znów skinienie. Chwila wahania.

– Panie posterunkowy... wtedy, w karczmie, tego Kornelowicza, to też ja.

Rozdział trzydziesty szósty



*Czekają anioły, święci,
Błagają, aby chorały
W cerkwi przestrzeni grzmiąły.
Sędziwa nie lubi wichrów,
Nocy ciemnych, chmur skłębionych. (...)
W spiętej tarniną, bluszczem,
Tylko duchy kiedyś zmarłych
Mieszkańców wioski fruwiąją
W cerkwi pustej, samotnej,
W mojej cerkwi kochanej.*

Adam Wolańczyk, *Cerkiew w Radrużu*

27 czerwca 1938

Teofila usiadła na łóżku. Spojrzała w okno. Niebo było szare, ale w krótkie czerwcowe noce tylko przez chwilę jest aksamitnie czarne, bo ledwo zdąży ściemnieć, a już jaśnieje. Słońce śpi krótko i ludziom zmordowanym wyspać się nie daje. Mało snu, mało jedzenia, bo zapasy dawno skończone, a nowe dopiero rosną, za to roboty dużo.

Spojrzała na śpiącego obok niej Kazika. Kiedyś mąż i przyjaciel, teraz nie wiadomo czym się stał. Skurczył mu się rozum i nawet już nie wiedział, jak się nazywa. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Leżał więc cały czas w łóżku. Czasami zdarzały mu się przebłyśki świadomości. Mówił wtedy przytomnie,

wspominał dawne dzieje, nowych spraw był ciekaw. Teofila łaknęła tych chwil, jak głodny łaknie kromki świeżego chleba. Poza mężem nie miała nikogo. Dzieci urosły, pożeniły się i dochowały własnego potomstwa. Jak trzeba było kołyskami bujać, zabiegały o pomoc starej matki, ale teraz, gdy dzieciaki tak duże, że w gospodarstwach z nich pożytek, bo i krowy pognały na wygon, i napoiły wszelkie zwierzęta, i ogród oplewiły, i w pole z motykami poszły, Teofila nie była już nikomu potrzebna.

– Głupstwo to i nieprawda – zachnęła się. – Dobrze masz dzieci, czułe i kochające. Tyle że u ciebie czasu dużo, a u nich za mało.

Wspomniała samą siebie z czasów, gdy wychowywała dzieci, zajmowała się gospodarstwem, prowadziła karczmę. Czy miała wtedy czas dla starych rodziców? Bywały dni, że przypominała sobie o matce i ojcu dopiero przy wieczornym pacierzu. Bywały i takie, że zdążyła zasnąć, nim skończyła modlitwę. Od rana do wieczora na nogach, nic dziwnego, że odmawiały jej posłuszeństwa. Z wyrzutem spojrzała na wielkie zdeformowane stopy. Był czas, że mogła chodzić w rozczłapanych męskich butach, ale obecnie i to nie. Tylko boso i o lasce, inaczej się przewracała.

Nie ma sprawiedliwości na świecie; teraz, gdy mogliby siedzieć w cieniu z Kazikiem, na świat cudny patrzeć, cieszyć się wypełniającym go spokojem i własnym towarzystwem, mąż pograżył się w odmętach nieświadomości. Było to podwójnie smutne. Raz dlatego, że odebrało im przyszłość, którą mogli spędzić razem. Dwa, że odebrało przeszłość. Kazik nie pamiętał, jak się w sobie zakochali, nie pamiętał narodzin dzieci, wnuków, ślubów i tych wszystkich drobnych radości, rozsypanych w człowieczym życiu. Jedyne pocieszenie, że zapomniał też o nieszczęściach, o śmierci Agaty, wojnie, bieżącym, o przymuszeniu Julka do ślubu z Antoszką.

Westchnęła. Wiele rzeczy źle w życiu zrobiła, pochopnie, bezmyślnie, to jednak ze wszystkiego było najgorsze. Taka mądra, taka przenikliwa, a dała się oszukać. Więcej, własnemu synowi nie uwierzyła, gdy zapewniał, że nic między nimi nie było.

– Kazik mi uwierzył, jakem mówiła, że mnie z Kornelowiczem nic nie łączyło. Zaś ja własnemu dziecku nie uwierzyłam. Teraz do końca życia będzie nieszczęśliwy.

Antoszka nie była złą kobietą. Z czułością zajmowała się mężem i dziećmi, pomagała przy umierającym teściu, ogarniała dom i pracowała w polu, chodziła do rodzających, wspierała ciężarne. Nie była złą, tylko głupia. Taka

postrzelona. Raz tu, raz tam. Zaczęła robotę, nie skończyła, zapomniała, gdzie co położyła, zagadała się z kimś, to i pół dnia w domu jej nie było. A choć swoje dzieci straszliwie kochała, nie potrafiła ich dobrze wychować. Na dodatek Janeczka całkiem w matkę się wdała, zupełnie brak jej było rozumu.

Miała kawalera, Staszka, całkiem rozsądny chłopak. Zapytał ją raz, co by zrobiła, gdyby ją rzucił, a ona na to:

– Włazłabym na chałupę, komina się trzymała i krzyczała: „Staśko! Staśko!”

Mało, że to powiedziała. Wskoczyła na ławę i tak się darła, że na pół wsi było słyhać. No i kawaler więcej się nie pokazał, co nikogo poza Antoszką i Janeczką nie dziwiło.

Teraz przychodził do niej Waśka Kalmuk z Kazimierówki. Dziwny, mrukliwy, Teofili zupełnie się nie podobał, ale wiedziała, że ślub będzie, bo Janeczka oszalała na jego punkcie, a Antoszka razem z nią.

– Po żniwach wesele będzie, jeśli dożyjesz – powiedziała do śpiącego męża. – Jeśli nie, to rok będą musieli czekać. Może by jej się przez ten czas rozwidiało? Tak tylko mówię, nawet o tym nie myśl.

Kiedy byli sami, dużo do niego mówiła, choć tak naprawdę to do siebie. Nawet gdyby Kazik nie zapadł się w sobie, i tak niewiele by usłyszał. Głuchł od lat, zanim go starość dopadła, słyszał ledwo co. Teofila zaś lubiła mówić. Całe życie między ludźmi, całe życie gadania, żartów, przekomarzań, ale też rozmów mądrych, politycznych. Brakowało jej tego bardzo.

– Świtać zaczyna. I kogut pieje. Zaraz wstawać będą. Julek do majątku pójdzie, ależ roboty on tam ma. Wczoraj wieczór ludzi cała chałupa, każdy zabiega, żeby go do buraków wziął, bo chce trochę grosza zarobić. Takie to, widzisz, uwłaszczenia na nas od lat sześćdziesięciu, jak chłop robił u pana, tak dalej robi, bo ziemi tyle ma, że rodziny z tego nie wyżywi. Chłopski los, ciężki los, ot i tyle. Myśleliśmy, że nam wolna Polska da jaką poprawę, a teraz ten i ów powiada, że za cara lepiej było, bo choć Żydzi tak się nie panoszyli. Ja tam do Żydów nic nie mam, wyjąwszy Szymona Tabacha, co karczmy z powrotem odsprzedać mi nie chciał. Ale niech mu tam. Teraz ja stara, on stary, ja umrę i on umrze, a żadne z nas tego, co tu ma, ze sobą nie zabierze. Tylko jakoś tak by mi lżej na sercu było, jakbym ją zostawiła dzieciom i wnukom. Ma Jaśko rację, że zły na mnie. Byliśmy bogaci, a teraz jesteśmy tacy jak inni. Pobiednieli ludzie na wsi, oj, pobiednieli. I coś mi się

tak zdaje, że jeszcze gorszy los nadchodzi. Dziecko płaczące mi się śni, to nic dobrego nie wróży.

Dawniej nie zwracała uwagi na sny. Jak każdy młody człowiek żyła bliżej ziemi niż nieba. Czasem, gdy ją męczyło jakieś przecucie, radziła się Ciotki Leonki. Jakże jej brakowało mądrej zielarki. Wszystkim we wsi jej brakowało, tylko nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Ludzie odwracali się od tego, co pradawne, co głęboko w nich tkwiło. Kiedyś wiara w Boga nie przeszkadzała wierzyć w moc natury. Łączyło się to wszystko w najbardziej naturalny sposób. Chorobę leczono i ziołami, i modlitwą, wierzone bowiem, że jednakowa w nich siła. Okadzano chorego dymem, szeptano te same od wieków zaklęcia, dodając modlitwę do Najświętszej Panienki, i zdrowie wracało.

Dziś ksiądz z ambony krzyczał o ciemnocie, gusłach i zabobonach, bo wszystkiego, co działo się w naturze, nie rozumiał, tak jak nie rozumiał swoich wiernych. Młodzi, żądni postępu, szli za nim, wyrzekając się tego, co najważniejsze – głosu natury, odwiecznej siły, która w żaden sposób nie przeszkadzała Bogu, bo właśnie Nim była od najdawniejszych początków. Teofila, która jedną nogą stała już na tamtym świecie, teraz wszystko to rozumiała. Żałowała, że w codziennej bieganinie nie umiała znaleźć chwili, by usiąść z Ciotką Leonką i uczyć się od niej mądrości. Dzisiaj już na to za późno. Na wszystko było za późno, co gorsza, miała świadomość, gdzie popełniła błędy i co powinna była zrobić, by wyprostować krętą drogę życia.

– Powiem ci, że nie jest to sprawiedliwe – powiedziała na głos, jakby nieświadoma, że część tego wywodu przeprowadziła w myślach. Ale czy to miało znaczenie? Jeśli wierzyć w duchowe porozumienie małżonków, które się tworzy przez lata, to czy na głos, czy w myślach, Kazik i tak ją słyszał. – Życie nie jest sprawiedliwe. Dostaje człowiek rozum dopiero wtedy, gdy już nie może z niego robić pożytku.

Z obejścia zaczęły dochodzić odgłosy porannej krzątania. Skrzypiały drzwi, stukwały wiadra, trzaskały patyczki łamane na rozpałkę. Zaryczały krowy, domagając się, by ulżyć ich przepełnionym wymionom. Zagdakały kury, nie mogąc się doczekać, by ruszyć między chwasty, na grządki, do ogródków.

Teofila podeszła do okna. Przyglądała się tej krzątaniu. Julian tylko konie nakarmi i do nadoleckiego majątku rusza. Cała robota gospodarza spada teraz na ręce Bronka. Ładny z niego kawaler wyrósł. Oczka jak dwa

węgielki, czupryna czarna, ale skóra na policzkach jak mleko. Panny się za nim oglądały jedna przez drugą. Zaraz żenił się będzie, a tak niedawno Teofila w kołysce go bujała. Po śmierci Agaty tylko we wnukach znajdowała pociechę. Wnuki to zawsze nadzieja i dobrze, gdy są. Jak dorosną, żyją własnym życiem i człowiek sobie uświadamia, że chciał zawłaszczyć cudzy byt i dopasować go do własnych pragnień. Choć bywają i tacy, co tego nie widzą. Choćby Antoszka. Wciąż traktuje je, jakby były małe, wychowuje dla siebie, nie dla świata. Gdyby Teofila tak robiła, toby teraz wszyscy czworo w chałupie siedzieli i słuchali, co ona im każe robić. Tymczasem każde żyło własnym życiem.

– To jedno mi się udało. Dzieci dobrze wychowałam, dla świata, dla ludzi, a nie dla siebie.

Kazik mruknął coś przez sen. Potraktowała to jako przytyk, że więcej w jej opiece nad dziećmi było zaniedbań niż starań. Może i ma rację, ale czy to źle pozwalać drzewu, by rosło, jak chce?

Nie zdążyła odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo ruch się zrobił w obejściu niecodzienny. Antoszka krzyczeć zaczęła, Janka płakała wniebogłosey. Teofila chwyciła za laskę i poczłapała do drzwi. Nie zdążyła dojść, a już Broniek je otwierał.

– Babciu! Urzędniki we wsi. Cerkiew będą rozbierać.

– Jakże to? Naszą cerkiew?

– Nakaz państwowy. Rozbierają carskie cerkwie.

– Toż ona nie carska. Nasza ona. W tysiąc sześćset osiemdziesiątym siódmym podarowali ją nam Prusinowscy, by lud tutejszy po innych parafiach się nie błąkał, tylko jako jednego pana poddani we własnej wsi w swojej cerkwi na nabożeństwach bywał. Dwieście pięćdziesiąt lat stoi, bez mała sto lat przed carską niewolą ją postawiono. I nie dla zbrodniczego najeźdźcy, co cichaczem z Prusem do spółki państwo polskie rozparcelował jak własne, tylko dla Boga. Dla Boga ona postawiona. – Mówiła to już do siebie, bo niecierpliwym Broniek pobiegł owo widowisko urzędnicze oglądać. – Trza iść. Może da się co jeszcze wywalczyć.

I ruszyła, powoli, wspierając się na lasce, wiernej przyjaciółce starej inwalidki.

Cerkiew stała w sercu wsi, otoczona cmentarzem. Nieopodal znajdowała się nowa szkoła, wzniesiona na tym skrawku ziemi, którą Lipczewscy podarowali odrodzonej Polsce, by upragnionej ojczyźnie jak najlepiej się

przysłużyć. Dalej była karczma, oparta o czarne pnie topoli, opleciona potoczkiem jak wstążką. Latem cieniutki, ledwo widoczny w trawie, wiosną potrafił tak się nadać, zebrawszy wody roztopów, że się nie mieścił w korycie i rozpląwał na boki, tworząc spore bajoro. Cerkiew miała trzy kopuły i była najwyższą budowlą w całym Tynczynie. Dlatego czy to latem, czy zimą, z najdalszych krańców wsi było ją widać. Patronował jej niezmiennie święty Mikołaj, pierwotnie jako biskup, później jako cudotwórca. Do niego to modliła się Teofila, prosząc, by zrobił wszystko, co możliwe, by tego świętego budynku nie ruszano.

– A myśleliśmy, że nas to nie dotknie – powiedziała nie wiadomo do kogo, bo przecież Kazik został w chałupie.

Rewindykacja, tak to nazywali, po raz kolejny pchając się z polityką między ludzi a Pana Boga. Zaczął car, gnębiąc katolików i unitów. Kościoły kazał przerabiać na cerkwie, klasztory i monastypy likwidował, księży na Sybir wywoził, mnichom kazał iść precz, naciskał na ludzi, by wyznanie zmieniali na prawosławne. Nic dziwnego, że gdy skończyła się wojna, katolicy upomnieli się o swoje kościoły, na cerkwie prawosławne przerobione, a unicy, choć obrządek ich przecież niewiele się różnił od prawosławnego, na łono Kościoła papieskiego chcieli wracać.

Gdy robili tak zwyczajni, wierzący ludzie, nie było w tym nic złego. Niestety, zaraz włączył się rząd z tą swoją polityką, która cechuje się bezduszością i takim myśleniem, że gdy kto na wysoki stołek się wdrapał, to pewno dlatego, że mądrzejszy od reszty i swoje zdanie musi koniecznie narzucić tępej gawiedzi. Tym panom z Warszawy to nawet w głowie nie zaświtała myśl, że są jak starsi bracia, niczym nieróżniący się od tych, którymi mają się opiekować, dobrze, mądrze i sprawiedliwie. W nich jest coś z tych groźnych ojców, co gdy dziecko w izbie odezwać się ośmieli, zaraz pięścią w stół walą albo za bat łapią, by nauczyć je rozumu. Głosu jego potrzeby wyrażającego nie słuchają nigdy. Zaczęli oni, przez księży katolickich wspierani, niszczyć mienie, twierdząc, że to walka z opresyjnym caratem. W imię tej walki zniszczyli takie cuda jak sobór Świętego Aleksandra Newskiego czy cerkiew Świętego Michała Archanioła. Takie piękne budowle, takie bogate wnętrza, wszystko w gruz obrócili. A przecież ani car, ani carat nic już Polsce zrobić nie mogli, bo ich nie było, zostali zastąpieni przez ateistyczny bolszewizm. W Rosji Stalin teraz rządził, w myśl powiedzenia, że po złym panie gorszy nastanie. Pokazał on narodowi

ukraińskiemu, co znaczy opór przeciw władzy. Cierpieli też Polacy, którzy na swoje nieszczęście w Rosji zostali.

Stalin likwidował cerkwie, bo walczył z Bogiem i religią, gdyż była to jedyna siła zdolna stawić mu czoło. Włodarze w Polsce likwidowali cerkwie, bo walczyli z własnym narodem, a właściwie z tymi jego częściami, które nie pasowały do wyimaginowanej całości – z ukraińskimi i białoruskimi chłopami, z prawosławnymi, unitami, Żydami. Owa różnorodność przez lata stanowiła o wyjątkowości tego kraju, będącego jak ten wiejski pasiak, utkany z wielobarwnych skrawków. W Polsce było miejsce dla ludzi rozmaitych narodowości, języków i wyznań, tutaj szeroko otwierano ramiona dla tych, którzy w innych państwach byli niemile widziani. Teraz starano się to zmienić w wadę. Buntowano jednych przeciw drugim, mieszczan przeciw chłopom, Polaków przeciw Żydom, katolików przeciw prawosławnym.

Teofila westchnęła. Gdy w trzydziestym czwartym zakończyła się druga fala tej całej rewindykacji, mieszkańcy Tynczyna odetchnęli z ulgą. Myślano, że to koniec. A tu nagle, gdy nikt się nie spodziewał, wpadają urzędniki i chcą burzyć.

Cała wieś już się tam zebrała. Po jednej stronie stały kobiety; niektóre, wspierając się na ramionach kumoszek, płakały rzewnie, inne przeklinały pod nosem. Po drugiej stronie, ciasno, jeden przy drugim, jak atakowane zwierzęta, stali chłopci. Ten i ów miał cep, sierp czy kłonicę. Cerkiew opleciona była wozami, na których siedzieli przestraszeni robotnicy. Urzędnik machał papierem przed oczyma Antka Huba.

– To jest pismo urzędowe, nic nie poradzicie, a będziecie się stawiać, to policję i wojsko zawezwę.

– To wzywajcie. My cerkwi nie damy.

– Wy Ukraińcy?

– Polacy.

– Jakby wy byli Polacy, toby byli katolicy i prawosławną cerkiew wy by mieli w dupie.

Antkiem zatelepało, ale on wymowny nie był i nie umiał słów znaleźć, by urzędnikowi odpowiedzieć.

Teofila podeszła do nich powoli, Antka po rękę pogładziła, dając mu znak, że dzielny z niego człowiek.

– My jesteśmy tacy ludzie, że nam ani cerkiew, ani kościół, ani bożnica nie jest tam, gdzie pan urzędnik powiedzieli. Nasze ojce żyli tu za królów, za

cara. I teraz, za niepodległej my tu żyjemy. Nasi bliscy pochowani na tym cmentarzu, tak prawosławni, jak i katolicy, bo jak w obliczu śmierci my wszyscy równi, tak i w dostępie do miejsca wiecznego spoczynku nie ma lepszych czy gorszych. Matka nasza, ziemia, wszystkich przyjmuje. A że nagrobki jeden bogatszy, drugi uboższy, to tylko dlatego, że one nie zmarłym stawiane, tylko żyjącym, by się przed innymi własnym dostatkim chwalić. Ta ziemia tutaj święta jest od lat przeszło dwustu pięćdziesięciu, a może i dawniej jeszcze ludzie się tu grzebali. Wy zaś przychodzicie i jak bolszewickie pomioty podnosicie rękę na tę świętość?

– To nie żadna świętość. To przyczółek ukraińskiej szpicy.

– Pan, panie urzędniku, niech nie obraca kota ogonem i nas Ukraińcami nie straszy. Żyjemy tu obok siebie tyle lat i zawsze był pokój między nami, dopóki politycy się nie wmieszali. I to jeszcze panu powiem, że z budowania własnego szczęścia na cudzym nieszczęściu nic dobrego nie wychodzi. Nie trzeba się było odwracać od Ukrainy plecami, gdy o swoją wolność walczyła.

– Wy jedna z nich?

– Ja tutejsza.

Urzędnik taksował wzrokiem Teofilę. Widać było, że jej się nie boi, miał władzę, mógł wezwać do pomocy policję, rozgoniliby chłopów, bo dobrze się na tym znali. Złościło go tylko, że czas mitręży.

– Z tego drewna szkołę zbudują albo magazyn zbożowy. Przysłuży się ona jeszcze narodowi – powiedział łagodnie.

– Zmienicie świętość w magazyn zbożowy?

– To dobre drewno.

– To miejsce święte, święty budynek, a wy go na magazyn zbożowy?

– Cóż ja wam, babo, poradzę. Jest polecenie, ja mam dopilnować. Wy mnie zagadujecie, a ja robotników mam.

– Cóż nas to obchodzi? To nasza wieś i cerkiew nasza, a nie wasza.

– Cerkiew jest państwowa. A nakaz urzędniczy.

Teofila podniosła rękę i palcem wskazała na karczmę.

– W roku dwudziestym, jak bolszewik szedł na Polskę, tam, w tamtej karczmie stałam i wzywałam tutejszych ludzi, by szli o naszą Polskę walczyć, bośmy na nią z utęsknieniem czekali jak Żydzi na Mesjasza. Nikt nas wtedy nie pytał, czy my Polacy, czy Ukraińcy. Szli nasi mężowie tak samo i tak samo ginęli, aleśmy niepodległość obronili, bo nikt tu bolszewizmu nie chciał. A jak teraz popatrzeć na to, co się w tym całym

Związku Radzieckim dzieje, to widać, że jest się czego bać. Walczyliśmy wtedy o tę Polskę, bo nam się zdawało, że ona będzie lepsza od tego, cośmy wcześniej mieli, i dzieciom naszym lepiej w niej będzie żyć. Tymczasem okazało się, żeśmy krew przelewali, by stworzyć urzędnikom państwowym i dziedzicom raj, a sobie piekło. Są tacy, co dziś z rozrzewnieniem wspominają cara. I powiem wam, że ja się nie dziwię. Bo car kazał budować cerkwie, a rząd polski sracze.

To ostatnie zdanie, tak mądre i celne, wywołało salwę śmiechu. To rozzłościło urzędnika, który dał robotnikom znak, by zaczynali.

Wtedy to spomiędzy kobiet wyszła Hanka Połajowa. Stała między cerkwią a robotnikami. Podeszła do niej Teofila i mocno chwyciła ją za rękę.

– Przebaczysz mi? – zapytała Hanka.

– Dawnom ci wszystko zło przebaczyła.

– To z biedy, z głupoty...

– Ja już wszystko wiem. Bliżej nam dziś do Boga niż do ludzi, to i więcej rozumiemy.

Hanka skinęła głową.

– Co teraz będzie? – zapytała, patrząc na ludzi, którzy jeden za drugim przyłączali się do nich, łańcuchem rąk oplatając cerkiew.

– Jak mają rozebrać, to i rozbiorą. Ale my tak łatwo się nie damy. My jesteśmy chłopci z Tynczyna, naród uparty i zawzięty. – Roześmiała się, bo nagle było tak, jakby znów miała dwadzieścia lat. I najgłośniej, jak tylko potrafiła, zaśpiewała: – „Gdy naród do boju wystąpił z orężem, panowie o czynszach radzili...”

A wszyscy mieszkańcy Tynczyna jak jeden odpowiedzieli:

*Gdy naród zawołał „umrzem lub zwyciężym!”,
panowie w stolicy bawili.*

*O, cześć wam panowie, magnaci,
za naszą niewolę, kajdany,*

*o cześć wam książęta, hrabiowie, prałaci,
za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany.*

*Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
rękami czarnymi od pługa,*

*panowie w stolicach kurzyli cygara,
radzili o braciach zza Buga.*

I śpiewali tak, aż przyjechali wezwani przez urzędnika policjanci, śpiewali, gdy ich rozganiano i bito, śpiewali, gdy upadła Hanka Połajowa, a krew z rozbitego czoła zalała jej twarz, śpiewali, gdy rozbierano cerkiew, i śpiewali, gdy ostatni wóz z deskami opuszczał Tynczyn.

A potem stali w ciszy.

Czekali na tę Polskę przez pokolenia, walczyli o nią rękami czarnymi od ziemi, pchając swój ciężki wóz życia, patrząc na śmierć niedożywionych dzieci, na garby rosnące na plecach małżonków, przedwcześnie tracili młodość i zdrowie, klepiąc biedę tak czarną jak ta ziemia, którą uprawiali. Znosili to z pokorą, czekając na lepszą, niepodległą, własną Polskę.

I miało być im dobrze.

Ale czy może być dobrze ludziom w kraju, w którym jest źle?

Teofila usiadła na łóżku. Spojrzała w okno. Niebo było szare, ale w krótkie, czerwcowe noce tylko przez chwilę jest aksamitnie czarne, bo ledwo zdąży ściemnieć, już jaśnieje. Słońce śpi krótko i ludziom zmordowanym wypaść się nie daje. Mało snu, mało jedzenia, bo zapasy dawno skończone, a nowe dopiero rosną, za to roboty dużo.

Wydało jej się, że czas zrobił krok do tyłu, że jest dzień wcześniej, że cerkiew wciąż stoi. A jednak to wszystko się stało.

Sięgnęła po laskę i wyszła z chałupy. Usiadła na ławce. Z szarości wyłoniła się Hanka Połajowa, czoło miała mocno poharatane.

– Chodź tu, Hanuś, siadź ze mną – zaprosiła ją Teofila. – Też spać nie możesz? Dobrze, żeśmy się pojednały.

– Ano dobrze.

– Siadaj, co będziesz tak stała.

– Ja nie siadać przyszłam, tylko wziąć ciebie ze sobą.

– A gdzież ty chcesz tak bladym świtem chodzić?

Tamta nic nie odpowiedziała.

– Czekaj, tylko laskę moją wezmę.

– Tam, gdzie idziesz, Teosiu, laska nie będzie ci potrzebna. – I Hanka wyciągnęła do niej rękę.

A nad tynczyńskimi, jeszcze niewykoszonymi łąkami niósł się głos dzwonów z rozebranej cerkwi i śmiech dwóch małych dziewczynek, Agaty i Zosi.

Bełżec, 1946

Do stanowiska repatriacyjnego ustawiali się ludzie. Przyglądał się ich twarzom, zmęczonym długą drogą, walką, niepewnością. Prawie rok minął od zakończenia wojny, a oni wciąż nie zaznali spokoju. Niektórzy z nich nie zaznają go nigdy. Żyć będą w strachu, raz po raz spoglądając przez ramię, czy kto się na nich nie zasadza z siekierą. Śnić będą sceny pożarów i mordów, niewyobrażalnie okrutnych.

Czymże jest tamten mój grzech, pomyślał, wobec tego, co się na świecie działo? I choć przez te lata nie raz cudzą krew przelał, to na sercu jedna tylko zbrodnia mu ciążyła. Tłumaczenie, że Wojtek Dołęga na swój los zasłużył, nie pomagało.

Nie pomagało też to, że za grzech swój nie było mu dane odpokutować. Sąd skazał, do więzienia posłał, ale wybuchła wojna. Do Zamościa wkroczyli Niemcy i wypuścili wszystkich więźniów. Kajtka również.

Nie wrócił do Tynczyna, głównie ze strachu, że znów go złapią i zamkną albo też rozstrzelają. Wiele razy żałował tej decyzji. I nie tylko tej. Z drugiej jednak strony wiele dobrego uczynił, wielu ludzi uratował. Wielu też zabił, bo taka jest wojna.

Jedynym, czego teraz pragnął, było znalezienie takiego miejsca, gdzie nikt nie będzie znał ani jego, ani jego historii. Mogliby tam wieść życie spokojne, Jadźka i on. I dzieci. Znajdzie to miejsce, napisze do żony i sprowadzi swoją rodzinę, gdzieś, gdzie wszyscy będą szczęśliwi.

– A wy zostajecie czy jedziecie dalej? – zagadnął go przechodzący obok mężczyzna.

– Jadę dalej.

Spis postaci



Ksawery Hub – był najbogatszym gospodarzem we wsi i właścicielem słynnych bułanych ogierów. Mąż Teresy, kochanek Hanki Połajowej, w której objęciach zmarł, co stało się pożywką dla plotek, którymi bardzo długo żył Tynczyn.

Teresa Hubowa – żona Ksawerego, chorowita i pedantyczna.

Antek Hub – syn Ksawerego i Teresy. Ożenił się z Anielą Połajówną, jedną z najbiedniejszych panien w Tynczynie, bo był w niej bardzo zakochany. Ma z nią dwoje dzieci, Dominika i Walercię.

Aniela Hubowa – żona Antka, córka Hanki Połajowej. Jej pierwszą miłością był Wawrzek Adamczuk, z którym zaszła w ciążę. Synka wzięła na wychowanie jej siostra. Nikt we wsi o tym nie wie.

Weronika Dołęgowa – córka Teresy i Ksawerego, żona Franka Dołęgi, matka Wojtka i Natali. Uciekła z Grzegorzem Lesiukiem, komunistą, do Związku Radzieckiego.

Natala Dołęgówna – córka Weroniki i Franka, który wyjechał do Ameryki z Wawrzkiem i już nie wrócił. Ukochana Dyzia Adamczuka.

Wojtek Dołęga – brat Natali. Lubi wódkę, karty i kobiety. Łajdak i krętacz. Przegrał w karty wszystkie pieniądze i szuka sposobu, by się odbić od dna.

Gala Mazurowa – wdowa po Prokopie. Matka Kajtka i Elżbiety, zwanej Wietką. Jak może, stara się, by jej dzieciom było jak najlepiej. Szuka dobrej żony dla Kajtka i męża dla Wietki.

Kajtek Mazur – młody gospodarz, który uważa, że milczenie jest złotem. Mało kto słyszał od niego więcej niż trzy słowa naraz, dlatego uważany jest za opóźnionego umysłowo. Ma złote serce, które oddał pewnej dziewczynie. Niestety, nie potrafił jej wyznać swojego uczucia i jego ukochana wyszła za innego.

Wietka Mazurówna – córka Gali, siostra Kajtka. Bardzo ładna dziewczyna, której, niestety, brakuje odrobiny rozsądku.

Marinka Matwiejczukowa – żona Pietra. Nie widzi, że Kajtek jest w niej bardzo zakochany. Nie czuje się szczęśliwa, bo mąż angażuje się w działalność polityczną.

Pietro Matwiejczuk – mąż Marinki. Działacz ukraiński. W jego domu odbywają się tajne spotkania. Marzy o niepodległej Ukrainie.

Hanka Połajowa – matka Anieli i Marianny. Zadbła, by dobrze wydać córki za mąż. Miała romans z Ksawerym Hubem. Całe życie nienawidziła Teofili Lipczewskiej i źle jej życzyła.

Józek Połaj – był mężem Hanki, marzycielem. Stracił nogę w wypadku. Zmarł na zapalenie płuc, bo się rozmarzył i nie zauważył, że przemarzył.

Babka Połajowa – matka Józka, teściowa Hanki, wielbicielka miejsc świętych.

Michał Adamczuk – ojciec Tońka, Dorotki, Wawrzka, Wery, Szczepcia, Jadzi i Pawełka. Mąż Honoraty. Dzięki synowi na stare lata lepiej mu się żyje. Mądry, stateczny człowiek.

Jadźka Adamczukówna – gdy była dziewczynką, Marta Kornelowiczowa najęła ją do opieki nad dzieckiem. Niestety, chłopiec zmarł po wypiciu zatrutego naparu, przeznaczonego dla jej pasierbicy, Zosi. Jadźka nie porzuciła pracodawczyni. Więcej, winiła się za śmierć tamtej. Ta

wierność Marcie sporo ją kosztowała, została oskarżona o kradzież przez bratanka zmarłego Jana Kornelowicza.

Wera i Dorotka Adamczukówny – córki Wawrzka i Honoraty, poszły do pracy do Zamościa.

Wawrzek Adamczuk – teraz bogaty gospodarz, dorobił się w Ameryce. Wyjechał tam tuż przed wojną, wrócił po wojnie. Jego pierwszą miłością była Aniela Połajówna. W Ameryce zakochał się w Joan. Gdy wrócił, wziął sobie za żonę Mariannę Połajównę, siostrę Anieli. Ojciec Dionizego, Poldka i Bogusi.

Dyzio (Dionizy) Adamczuk – syn Wawrzka Adamczuka. Zakochany w starszej od siebie o kilka lat Natali Dołęgównie. Ponad wszystko pragnie z nią się ożenić.

Marianna Adamczukowa – córka Połajów, kiedyś najbrzydsza panna w okolicy. Wyszła za mąż za Wawrzka, gdy ten wrócił z Ameryki. Ma z nim dwoje dzieci, Poldka i Bogusię. Wychowała także jak swojego syna Dyzia.

Teofila Lipczewska – praprababka autorki. Matka Juliana, Heleny, Władziuni, Agaty i Jaśka. Miała karczmę, ale ją straciła.

Kazimierz Lipczewski – kowal, mąż Teofili.

Julian Lipczewski – najstarszy syn Teofili i Kazimierza. Jest polowym u dziedzica w Nadolcach. W czasie wojennej wyprawy w głąb Rosji został zmuszony do ślubu z Antoszką Leszczenko, która twierdziła, że jest z nim w ciąży. Było to kłamstwo, ich syn Broniek przyszedł na świat dopiero dwa lata później. Julian nie kocha swojej żony.

Antoszka Lipczewska, z domu Leszczenko – żona Juliana, akuszerka. Matka Bronka i Janeczki. Prababka autorki.

Jaśko Lipczewski – najmłodsze z dzieci Teofili i Kazimierza. Ożenił się ze swoją ukochaną Bronką Malicką, której matka była kucharką we dworze.

Bronka Lipczewska – córka Krystyny i Mariana Malickich. Matka Edka i Kazi.

Krystyna Malicka – dawna kucharka we dworze Kalińskich. Matka Bronki i Włodka, kobieta bardzo doświadczona przez los.

Włodzimierz Kaliński – brat dziedzica, u którego dawniej służyła Krystyna Malicka. Oficer w armii carskiej, wykorzystał wojenną zawieruchę, by porzucić służbę, później walczył w Legionach Piłsudskiego. Zginął w bitwie pod Komarowem. Ojciec Włodzia Malickiego.

Włodziu Malicki – syn Krystyny i Włodzimierza Kalińskiego, brat Bronki, wychowywany przez stryja Kalińskiego.

Zośka Kornelowiczówna, zwana we wsi Zośką Kociarą – córka Jana i Barbary Kornelowiczów, straciła rodziców i przyrodniego brata, w wyniku czego zapadła na chorobę psychiczną. Najserdeczniejsza przyjaciółka Agaty Lipczewskiej, zamordowanej przez bolszewików w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Zośka opiekowała się sparaliżowaną macochą Martą. W dniu ślubu Jaśka Lipczewskiego rzuciła miotłę pod końskie nogi, co było bardzo złym znakiem, wróżącym nieszczęście małżeństwa, a później przepadła. Od tego czasu nikt jej w Tynczynie nie widział.

Marta Kornelowiczowa – macocha Zosi. Chcąc zwrócić mieszkańców Tynczyna przeciwko pasierbicy, podpaliła chatę znachorki, zwanej Ciotką Leonką. Wtedy to na Martę zawalił się dach, a krokiew złamała jej kręgosłup. Sparaliżowaną kobietą opiekowały się Zosia z Jadźką.

Staszka Pomiechowska – przedstawicielka jednej z najstarszych rodzin we wsi. Jej ambicją jest wiedzieć wszystko o wszystkich.

Jakubek Zięba – były parobek u Dołęgów.

Od autorki



Pisanie posłowania do książki, której się jeszcze nie skończyło, ma w sobie pewną arogancję. Jednak bez względu na to, kiedy postawię ostatnią kropkę, te kilka słów znajdzie się na ostatnich stronach *Zielonych pastwisk* i wobec tego nie ma znaczenia, kiedy zostaną napisane. Natomiast ma to znaczenie dla mnie, bo właśnie obchodzę urodziny i jest to dzień zarówno wielkiej radości, jak i sporego smutku. Dla mnie to dzień, kiedy patrzę na siebie, dzień rozrachunku i planów. Nie będę się z Wami, Czytelnicy, dzielić tymi najbardziej osobistymi, podzielę się jednak pewnymi zawodowymi.

Pomysł napisania sagi wiejskiej zrodził się na początku mojej zawodowej ścieżki, pisałam już o tym. Wydawcy, z którymi wtedy rozmawiałam, nie byli, delikatnie to określając, przychylnie nastawieni do tego projektu. Ponieważ zapaliłam się do myśli o napisaniu książki historycznej, powstały *Meandry miłości*. I dobrze, że powstały. To mądra książka o kobiecie, która dojrzewa do samodzielności, odpowiedzialności i miłości, jednocześnie zaś najbardziej romantyczna z moich opowieści. Wyrosła z mojej miłości do literatury pozytywistycznej i fascynacji Polską i światem u schyłku dziewiętnastego wieku. Czy miała być początkiem sagi? Szczera odpowiedź brzmi: „nie”. Gdyby zarzewie dalszych losów tamtych ludzi tliło się we mnie, napisałabym ciąg dalszy. Jestem osobą, która doprowadza sprawy do końca. Pierwsze, co pojawiło się w historii Heleny Tarczyńskiej, to scena przed kościołem. Gdy znasz koniec swojej opowieści, wiesz, czy jest on definitywny, czy też nie. Ten był definitywny. Wszelkie próby znalezienia

w tej książce początku dla innej nie powiodły się. Dziś, wiele lat po jej napisaniu, wiem, że nigdy nie miała być podstawą dla czegoś innego, że to całościowa, integralna historia. Stało się tak dlatego, że nie chciałam napisać sagi o hrabiowskiej rodzinie z Kresów. Chciałam stworzyć epopeję inspirowaną opowieściami mojej babci. Choć wydawcy mówili mi wtedy, że taka historia nie znajdzie czytelników, nie porzuciłam tego marzenia. Czas pokazał, że słusznie, bo Czytelnicy w pełni docenili moją opowieść.

Przez kolejne lata napisałam dwanaście powieści, w tym trylogię. W każdą wlewałam kroplę swojej duszy, ten magiczny składnik, który sprawia, że opowieść przestaje być tylko opowieścią, a choćby najbardziej fantastyczna, staje się prawdą. Jednak przez cały czas myślałam o mojej wiejskiej historii, zbierałam materiały, czytałam o przeszłości, słuchałam nagrań w muzeum historii, chodziłam na wiejskie festyny i kiermasze, rozmawiałam z ludźmi, zapełniałam informacjami kolejne notatniki. Postanowiłam, wzorem dawnych autorów, stworzyć epopeję, ukazującą wieś w najdrobniejszych szczegółach, we wszystkich ważnych dla niej momentach dwudziestego wieku. Rozmach wzięłam ogromny, bo chciałam doprowadzić ją do czasów obecnych.

To, co nurtowało mnie przez cały czas, to forma, jaką powinna mieć ta historia. Od początku wiedziałam, że nie może to być opowieść linearna. Jak ją upełnić? Pewnego dnia oglądałam krosna w muzeum etnograficznym i to mnie natchnęło. Moja opowieść będzie jak ten pasiak, który wielu pamięta z babcinych domów. Nitki tworzą grubsze i cieńsze paski, przenikające się wzajemnie, kolory się powtarzają, jednak bez żadnej regularności, a gdyby zszyć brzegi, nie wiadomo byłoby, gdzie początek, a gdzie koniec. Taką strukturę mają kolejne tomy. Drugi nie zaczyna się tam, gdzie kończy się pierwszy, ani trzeci tam, gdzie skończył się drugi. Nakładają się i przenikają nawzajem. Nowi bohaterowie ukazują nam swoje historie, ale wciąż możemy dostrzec cieniutkie nitki wątków z poprzednich tomów. Ma to przypominać oglądanie obrazu, którego nie można objąć wzrokiem w całości, jeśli nie odejdziemy odpowiednio daleko, jednak gdy to zrobimy, uświadamiamy sobie, że zatarciu uległy detale. Dlatego znów się zbliżamy. Taka jest właśnie moja opowieść.

To zabawne, jak jedno zdanie, wypowiedziane we właściwym momencie, determinuje pewne wybory. Gdyby pewnego lipcowego dnia mój tata nie powiedział: „Nie graj, Wojtek, nie stracisz portek”, być może ta opowieść potoczyłaby się zupełnie inaczej. Potoczyłaby się też inaczej, gdyby nie

pandemia koronawirusa, która uniemożliwiła mi wędrowanie po bibliotekach. Internet to dobre źródło informacji, owszem, ale ja wierzę w bezpośredni kontakt. Czym innym jest przeglądanie starych książek i gazet w ciszy czytelni, czym innym googlowanie. Nie poczuje się wnętrza wiejskiej chaty, gdy tylko patrzy się na zdjęcie. Przeglądam dokumentację, którą przez lata robiłam, i myślę sobie: Czemu nie zrobiłam tego zdjęcia pod innym kątem? Potrzebuję wiedzieć, co jest za piecem. Dlatego też, choć chciałam, by trzeci tom obejmował lata drugiej wojny światowej, postanowiłam zostać w obrębie lat trzydziestych. I bardzo się z tego cieszę, bo zmusiło mnie to do przestudiowania historii tego okresu. Pełno wtedy było antagonizmów, rodziły się nacjonalizmy, na wsiach umacniał się ruch ludowy. Zrozumienie tego czasu jest kluczem do zrozumienia wydarzeń, które nastąpiły później. Wiele z tego, co się działo, pokazałam w powieści, proszę jednak pamiętać, że to fikcyjna historia. Dla mnie najistotniejsze jest, że Wojtek Dołęga otrzymał swoje miejsce w tej opowieści. Kolejne nitki zostały wplecione w ten pasiak. Mogę też zdradzić, stosując dalej te tkackie porównania, że osnowa czwartego tomu już naciągnięta, teraz trzeba tylko przepleść przez nią wątki. Mam nadzieję, że Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy zechcą wrócić ze mną do Tynczyna w czwartym tomie sagi wiejskiej.

Kasia Bulicz-Kasprzak

Spis treści

[Wstęp](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Spis postaci](#)
[Od autorki](#)